

Bałucki Michał

MŁODZI I STARZY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH LAT

Część Pierwsza

I. MIASTO PAMIĄTEK.

Groblą przez Zabierzowskie moczary pędził pociąg w stronę Krakowa — w wagonach podróжных było nie wielu. W jednym oddziale klasy trzeciej siedział przy okienku młody człowiek.

Nie będę wam opisywał jak był ubrany, bo i poco? — Z ubioru można się bardzo pomylić na człowieku — nie zawsze przez dziury płaszczka przegląda ubóstwo duszy i nędza moralna; świat zna obdartych geniuszów i cnotę bez butów. — Młody człowiek nie miał wprawdzie dziur ani łachmanów, tylko surducik mocno przetarty i wyszarzany, jednak patrząc na jego twarz, na jego układ pełen godności, zapomniało się o ubiorze. Twarz miał śniadawą, rysy dość zwyczajne; ale niebieskie, zamglone nieco oczy, przy czarnych rzęsach i czarnych włosach, czyniły tę twarz dziwnie interesującą, sympatyczną. Resztę opisu : zawierał jego pasport, do którego odsyłam ciekawych. Nieznajomy ten jechał z Warszawy.

Obok niego siedziało żydowskie małżeństwo. Na wymokłej twarzy żyda znać było febryczne drganie muszkułów, zwyczajne u spekulantów i graczy, którzy ciągle się trwożą i ciągle spodziewają, gorączka chciwości spiekła mu usta, a ruchliwe oczy latały za jakimiś myślami, to znowu się zatrzymywały, jak człowiek, co przystaje i ogląda się. — Żyd myślał i rachował, pomagając sobie czasem palcami. — Żona jego mizerna i zchorowana ciekawie a zarazem z rodzajem uszanowania patrzyła w twarz męża, jak na rachunkową tablicę — zdawało się, że na jej żółtej twarzy jest kilka znaków zapytania, taka ciekawość wyglądała z jej oczów. Suknie ich były nędzne, dołem zaszargane. Widać po tem, jak ten lud przywykł do brudu i błota i nie myśli o wygodzie, o przyjemności życia, jeno o zysku. — Ten lud wiecznie w ruchu, w podróży wśród narodów. Ludzie dzielą się u niego na tych, z których jest zysk, i na obojętnych, z których nic wycisnąć się nie da; pieniądz to cel jego życia, to jego jedyna żądza. Kiedyś ta żądza była tylko środkiem do pięknego celu, tą metą była ojczyzna. Dziś powikłały im

się nogi i upadli w błoto uliczne, gdzie plugastwo ochydnym, nieprawym zarobków i ślina ludzkiej pogardy. Biorą jedno i drugie. W takie spodlenia musieli koniecznie upaść ci, co mieli odwagę wiecznie się tułać, co nie są nigdy u siebie, nawet już w ziemi ojców swoich nie są u siebie. Wieki całe leci ten naród drogą tułacza, siłą bezwładności, jak wachadło zegaru popchnięte. Talmud balsamiczna płachta, która ich jak mumie broni od zepsucia i rozsypania się w proch, daje im charakter ludzi umarłych — żądza czyni ich podobnymi upiorom. Prześladowania średnich wieków straszne, oburzające, nie zdołały przemienić tego ludu, zrobić z upiora trupa lub człowieka, rozwinąć mumię z starej powłoki. Któż to uczyni? Miłość i cywilizacya.

Może być, że podobne myśli przechodziły także młodemu człowiekowi, siedzącemu w wagonie, bo patrząc na żydowską parę, zamyślił się; ale zarazem patrzącego ośwładnęło jakieś niewyraźne a przykre uczucie; plugawy zapach szat tych ludzi, przypominał mu coś — coś z przeszłości jego — duszno mu było w tej atmosferze, ale sam nie wiedział czemu, nie umiał sobie tego wytłumaczyć — przypomnienie było za słabe, by się skryształizować mogło w słowo, w obraz. —

Przestał więc myśleć nad tem, wstał i stanął przy okienku patrząc na okolicę, jak ten, co wita znajome miejsca.

Po lewej strome równiny szerokie, nudne, smętne, gdzieniegdzie zaczernione kępami lasów i wiosek, ciemne smugi chmur na kończynach widnokregu przedłużały równinę i topiły ją w niebie, zadympionym nadchodzącym zmrokiem.

Przez ten lekki półzmrók przeglądały już gwiazdy jak przez zasłonę.

Za to z drugiej strony słońce resztkami światła hojnie rzucało na świat i złościło wszystko, czego się dotknęło, jak stary chciwiec frygijski. — Ziemia podniosła się w garby, pagórki lesiste — tu i owdzie sina skała pustelnica wychyliła się z liści. A było to w początkach października. Natura, jak dziewczyna po balu, uwiędła zmęczona; ale za to na jej twarz wystąpiły wszystkie kolory namiętności, wszystkie odcienia marzeń, tajemnice serca. — Dziewicza zieloność wiosny zamieniła się w złoto, czerwoność, fiolety. Kwiatów już nie ma — liście wzięły wszystkie ich kolory na siebie i lasy udawały bukiety kwiatów, przetkane zielenią świerków i sosien. Te nie zwiędły — bo nie żyły nigdy pełnością życia, nie udzielały się. żyjątkom, — to samoluby.

Im bliżej Krakowa, tym pagórki bardziej się zniżały, jak stopnie wzorzystym dywanem nakryte, aż tam gdzie zdawały się już zstępować w dolinę, podniosły się jeszcze do góry dwoma wzniesieniami. Na wyższym stoi klasztor biały — na niższym mogiła. Zdaje się, że to ziemia westchnęła i piersi podniosła ku górze. Westchnęła ku Bogu i na tem podniesieniu jej piersi stanął kościół — a drugi raz westchnęła ku wolności i stanęła mogiła bohatera.

Młody człowiek podniósł się, oparł o okienko i utopił oczy w tym widoku, twarz mu się ożywiła, wyjaśniła — widocznie serce roztańczyło się w piersiach; ale wśród jasności czasem w oczach jego przewijała się jakaś zaduma, jak dym po przeczyszczeniu niebie. I nie dziw. Serce bije żywo, bo czuje bliskość rodzinnego miasta; ale często zwalnia radosne bicie — bo to miasto grobowiec narodu — miasto pamiątek.

Stał, patrzył i myślał — myśli szły bezładnie, ale gwałtownie jedna po drugiej. Były tam rycerskie rapsody, hymny, tryumfalne marsze, psalmy, bluźnierstwa, modlitwy i Bóg wie co. Nagle w te zakłócone, pogmatwane akordy jego duszy wpadł dźwięczny głos kobiecy, — dwa słowa: — Ojczaszku — Kraków!

Młodzieniec zadrżał — te dwa słowa zatrzęsły nim; tak zadrgnąć musiał „gliniany posąg Adama” gdy w niego wstępował duch. Młody czuł, że mu do żaru ktoś ognia przyrzucił, że rzeka jego myśli wezbrała przypiływem pokrewnych myśli i zdwoiła pęd. Są słowa, co mają w sobie potęgę jak piorun, ale takie słowa nie często wylatują, z piersi ludzkich, na to potrzeba wysokiego nastroju duszy, podziemny wulkan musi się przepelnić, by pękł — i piersi ludzka musi wezbrać, tak wezbrać, żeby te słowa mogły rozwiązać nawet nieme usta, bo gdyby nie wysadziły tej bramy, gdyby zostały w nas, piersi by pęknąć musiały. Takim słowem zakrzyknął niemy syn Krezusa, gdy krzyknął: „To król”. I słowem tem lepiej niż mieczem zasłonił ojca. Takie słowo za milion stanie, jak są znowu miliony słów, które nic nie mówią. Taką potęgę miały dwa słowa, co wyleciały z piersi dziewczęcej — ileż tam uczuć musiało rozplynać się, stopić na te dwa słowa, córki i Polki? Te dwa słowa trzeba było koniecznie słyszeć, aby uczuć. Napisane, leżą jak ostygła lava, po której śmiech ludzki może stąpać bezkarnie i dziwić się, że to kiedyś parzyło, piekło. — Ale młody człowiek, który był przy wybuchu tych słów, domyślił się głębin, z których one

wyszły, w tych dwóch głosach czuł tysiące głosów. Jemu się zdawało, że słyszał radość i płacz, tęsknotę i dumę. Usłyszał głos swojej duszy, tylko spotęgowany, silniejszy. Wychylił się z okna i zobaczył z okienka drugiego wagonu wystającą rączkę okrytą czarną rękawiczką i kawał aksamitnego rękawa. Rączka ta drgała jeszcze w powietrzu, wyteżona w stronę Krakowa, jak drogowskaz. Na drzewczkach, z których wychyliła się ta rączka, stała rzymska I. Z tego i z aksamitnego rękawa młody się domyślił, że musi być bogatą, z drobniuchnej rączki wnosił, że musi być piękną, — a głos jej i słowa kazały mu wierzyć, że ta kobieta musi być młodą i że ma serce. Serce? albowż to tak trudno o serce w kobiecych piersiach? I bardzo, bardzo trudno moje panie. Znałem dużo serduszek — serc nie wiele. A różnica między temi słowami ogromna — pierwsze ma się do drugiego, jak serce dzwonka stojącego przy łóżku kapryśnej wdówki — do serca Zygmunrowskiego dzwonu, na głos którego drży ziemia, drżą mury, drżą serca ludzkie. Serduszko, to coś tak jak zegarek kieszonkowy, co odmierza godziny jednej osobie — serce to słońce, zegar wieków i ludów. Z porównania tego zaraz się wytłomaczę. Serce objawia się przez miłość —

serduszko przez upodobanie, kochać jest potrzebą wszystkich — nie ma człowieka, któryby coś w życiu nie ukochał, nie przyłgnął do czegoś, każde serduszko drgać musi poruszone ręką tego uczucia. To zaspokojenie wewnętrznego pragnienia jest, jak powiedziałem, potrzebą, a więc nie może być zasługą — a znamiem jego jednostronność. Serduszka drgają taką miłością. Córka kocha matkę, kocha ją bardzo, oddała jej kapitałik cały swej miłości tak, że dla biednego ojca zabrakło tych funduszów. — Młody człowiek kocha kobietę — ukochał ją miłością szaloną, bezmierną — kocha bez wzajemności, lub z wzajemnością ale z przeszkodami — kobieta idzie za mąż za innego, a młody człowiek dzień jej wesela obryzgał krwią i resztkami mózgu. To mi miłość, — ktoś powie. Ale ten młody człowiek miał rodziców, rodziców biednych, którzy się wyniszczyli na wykształcenie syna, którzy teraz czekali na pomoc od niego, w nim tylko żyli. Czy ten młody człowiek miał serce — choć kochał? Dewotka zakochała się w Bogu, w kościele, w bibliotece nabożnych książek, w codziennej spowiedzi, ale nie lubi motłochu ulicznego, brzydzi się żydami, wścieka się na heretyków. To serduszko. Takim serduszkiem stara panna ukocha papugę, psa,

kota — a znenawidzi ród ludzki; szlachcic zakocha się w herbie, a poniewiera zasługą ludzi nowych, „dzisiejszych.” — Na tych kilku przykładach sędzę, że dostatecznie pokazałem, co rozumiem pod serduszkami: jednostronny, samolubny popęd uczucia. — Zaś serce — to suma uczuć i najdoskonalsza ich harmonia — to nie miłosne chwilowe porywy, ale miłość w całym znaczeniu tego słowa, miłość, co jak promień słoneczny łamie się w warstwach ludzkości na różne kolory, powiązane ze sobą. Serce kocha Boga, ludzkość, ojczyznę i rodzinę, kochankę, bliźnich, niewiernych, nieprzyjaciół, zwierzęta, przyrodę — wszystko. Dla tego nie pojmuję gadaniny o sercu zastygłym, obumarłym wśród zawodów, szczególnie miłosnych. Jakżeż ubogiem byłoby serce, gdyby całe życie miało się żywić tem jednym uczuciem. Kto utrzymuje, że mu serce skrzepło od jakiegoś jednego ciosu, ten nie miał serca; bo serce jest jak krzak róży miesięcznej, jedne kwiaty uczuć więdną, drugie kwitną ale krzak trwa. Tak pojmuję serce. Takie serce może mieć tylko chrześcianin. Na Golgocie pękło takie serce, wzór światu; ono pękło dla tego, że nie umiało nie kochać. — Gdzież więc bardziej należy szukać choć słabej podobizny takiego serca, jeżeli

nie w piersiach kobiety, której zadaniem całego życia winna być tylko miłość. A jednak jak powiedziałem, serc tak niewiele. Na to spaczenie myśli Bożej winy wieków się składały — w całej ludzkości trzeba szukać przyczyn tego grzechu, która tak fałszywe stanowisko wyznaczyła kobiecie, że przenaturzenie jej jest konieczne; że tak trudno u sercowych istot o serce.

Nieznajoma z wagonu miała serce. Tak się przynajmniej zdawało młodemu. Może się mylił, może piękna rączka należała do całości wcale niepięknej, może dźwięczny głos pochodził z ust wcale nieładnych; takie przeciwieństwa często nasuwają się nam na oczy. A może też instynktowe przecucie powiedziało mu prawdę i z wykrzyku sądził o sercu. Są słowa, co wychodząc z serca, mają na sobie odciski jego wewnętrznych ścian, wynoszą z głębin tajemnice, tak jak rzeka nurtując górę, wynosi z niej złoty piasek.

Młody człowiek nasłuchiwał, czy nie usłyszy więcej słów, a przynajmniej czy ten sam głos się nie odezwie, tak mu było mało; ale w wagonie cicho, usta nieznajomej się zamknęły, pewnie dusza jej mówi i oczy patrzą teraz na ten Kraków, który z takim uniesieniem powitała. — Stare miasto coraz wyraźniej rysowało się na

równinie. Wieże jedna po drugiej występowały, złocąc szczyty resztkami słonecznych promieni. Młody podróżny oczami jak ptak szybował po tych. wieżach, czerwonych dachach, basztach, rozpoznawał, witał się. Z pośród gromady mniejszych, Maryackie dwie wieżycy wystrzeliły w górę. Jedna wybiegła nad drugą i ukoronowane ma skronie — drugiej brakło sił, przystała. W tej niesymetryczności jest coś tajemniczego, niespokojnego. Ta nie symetryczność nie mogła zostać bez legendy. — Z za Maryackich siostrzyc wysuwa się ratuszna — potem inne, jak wierzchołki sztandarów, bo też całe miasto widziane zdala za przeźroczystą osłoną niebieskiej mgły, co osłania je przy zachodzie, ma uderzające podobieństwo jakiejś procesji olbrzymów — stare mury i bramy jak feretrony i obrazy święte. Za świątyniami w otwartem miejscu podnosi się zamek Wawelski, właśnie teraz bogato ubrany w purpurę zachodu. Koło krzyża katedry kawki jak rój much się uwijały. Całe miasto bogato przetkane zielenią kasztanów i topoli. — Komuś, co niedawno zamknął księgę dziejów tego miasta, mogłyby te wieżycy i ta zieloność dać podobieństwo królewskiej korony, ubranej w wieńce, położony na niebieskiej wstążce Wiślanej. — Od

miasta dolatuje gwar dzwonów, mówiących „Anioł Pański” — na zoranej świeżo ziemi siedział pastuch i śpiewał krakowiaka. Młody nie widział, nie słyszał tego wszystkiego przez dziesięć lat. W tej jednej chwili chciał wynagrodzić sobie stratę. Ale pociąg wjechał już do dworca — inne wagony zasłoniły widok, ruch maszyny zwolnił, wozy zatrzymując się posyłały sobie uderzenia jak hasło — stanęli. Gwar ludzi oczekujących na pociąg, bieganie tragarzy, krzyki, rozmowy, śmiechy sprowadziły myśli młodego na ziemię. Ocknął się, spojrzął, zdawało mu się że nie w Krakowie, że Kraków widziany był snem. Bo też i rzeczywiście w dworcu kolei można tak myśleć, nie ma on nic krakowskiego w sobie, żadnej wewnętrznej łączni z miastem; ale to nie tylko u nas, to wszędzie dworce kolei mają odrębną fizyonomię od miast, przy których stoją, a znowu wielkie podobieństwo do siebie. „Są to kosmopolity, jednakże we wszystkich krajach. Znać, że to stacye drogi europejskiej! Ale konduktor krzyczy: Krakau — więc to może i Kraków. Młody wziął w rękę niewielki czarny kufeczek i wyszedł. Przed dworcem oblazł go tłum uliczników i żydowskich fiaków.

— Dobrodzieju, mój dobrodzieju, ja zaniosę za dobrodziejem za szóstkę, jeść się chce dobrodzieju, wołali jedni.

— Wielmożny panie — może dorożka, nie droga dorożka, zawiozę gdzie pan każe — wołali obdarci żydkowie, pokazując biczami na swoje wózki i kościste, ślepe szkapę. Do jednego takiego fiakra jednokonnego siadła żydowska para, którąśmy poznali w wagonie i jeszcze kilkoro innych bez liczby. Odjechali. — Ich widok rozwarł znowu przed oczami młodego jakąś przepaść, w której napróżno silił się coś rozeznąć — same ciemności. —

— No dobrodzieju, jakże będzie — ja wezmę.

— Nie wierz mu jegomość, to złodziej.

— Ja ci tu dam...

I zaczęła się bitka, z której korzystając trzeci podbiegnął do młodego podróżnego i gwałtem prawie chciał mu wyrwać kuferek i ponieść. Podróżny opędał się jak mógł od natarczywej grzeczności i rzekł:

— Nie potrzebuję, sam zaniosę — i poszedł ku miastu.

— Dzisz ty, co mi to za pan — fiu, fiu, sam niesie — odezwał się jeden ulicznik.

— Szkubant, szkubant — zawołał drugi, rozśmiał się i zagwizdnął, w czym mu inni pomogli.

To uliczna satyra ubóstwa lub oszczędności, i dziwna rzecz, że pochodzi właśnie z ust biednych. Młody nie uważał na nią, szedł ku miastu.

Minąwszy planty, zwrócił się w prawo na gościniec wiodący ku Kleparzowi, wieczór był ciemny, pochmurny, kilka latarni słabo oświetlało drogę. Szedł bokiem drogi, bo środkiem pędziły doróżki z dworca kolei. Doszedłszy do mostku, przy którym przedłużenie ulicy Szpitalnej prostopadle dotyka do gościńca, zatrzymał się, bo właśnie jedna doróżka w tę stronę skręcała, stanął pod latarnią. Kawalek błota wyrzuconego w górę kopytami końskimi, padł mu na twarz; cofnął się nieco, podniósł głowę i zobaczył w głębi doróżki aksamitny płaszczyk, takiż kapelusik osłonięty popielatą, ledziuchną, prawie pajęczą woalką. Gdy na mostku powóz mocniej się zakolysał i przez to wstrząśnienie woalką nieco się odchyliła, zobaczył przy świetle latarni twarz, ale tak niewyraźnie, jakby ogólny szkic na płótnie malarza, ledwie mógł dojrzeć, że była rumiana i młoda. Już nie dziecko, jeszcze nie dziewica. Dziwna rzecz, dla czego przypadkowe, chwilowe zbliżenie się do nieznajomej — twarz

mu błotem zwałowało, choć mimo jej wiedzy i woli, a jednak się to stało. — Powóz przejechał — a podróżny klapiąc po błocie, znikł w ciemnych zaułkach przedmieścia.

II. NA PODDASZU.

Kto znał Kraków przed rokiem, przypomni sobie zapewne na Kleparzu wprost naprzeciw plantacyj i resztek muru miastowego szereg brudnych, drewnianych karczemek z podcieniami wspartymi na krzywych, często na pół spruchniałych słupkach. Bramy stosunkowo ogromne prowadziły do ciemnych, obszernych stajni — w sieni opodal bramy drzwi do szynkowni brudnej, dużej a pustej, oświeconej dwoma okienkami, ułożonemi z niekształtnych kawałeczków szyb; idąc dalej w tę ciemną otchłań sieni, można było rozpoznać jeszcze kilkoro drzwi od tak zwanych pokoi gościnnych. Dalej na lewo słup światła przecinał

ciemności i ginął w nich — to światło od drzwiczek prowadzących na maleńkie podwórko, a na tem podwórku chlewek i dół na śmieci, na śmieciśku nocny zegar — kogut. Na dachu porośłym pleśnią jak wytartym aksamitem, gołębnik i kilka białych gołębi. — Taką miały postać i taki rozkład te karczemki z małą różnicą — podobne do siebie, jak dziadówki pod kościołem, jednako obdarte, koszlawe, łatane i jednako stare. Oddzielało je od plantacyj szerokie targowisko, zawsze błotniste, zanieczyszczone resztkami słomy i siana Kilka białych, dużych kamieni wystających z błota — to jedyna ścieżka, na której w niedzielę wystrojone mieszczanki kleparskie czyniły próby swej zręczności. Zresztą nikt nie pozwalał sobie podobnych wygódek — chłopskie, szlacheckie i żydowskie buty odważnie tonęły w błocie w dnie targowe.

Później próbowano w tę kałużę wsypać kilkanaście fur kamieni — znikły bez śladu. Powtórzono kilkakrotnie to doświadczenie i z błota wynurzyła się ziemia — bruk nierówny, kamienisty, który co rok naprawiać i podnosić musiano. Bruk się podnosił, ale z karczemkami trudno było toż samo zrobić — zostały w dole z każdym rokiem głębiej się zapadając tak, że w dnie targ

Bo słyszał o tem, że Kraków pogorzał, że Kleparz był w płomieniach; ale jemu trudno było zmienić w pamięci obraz, z jakim wyjechał, nie umiał wydrzeć kiwałek z (niego i zrobić próżnię — i teraz na nowo zaczął się dziwić, smucić, jak ten, co słysząc o śmierci przyjaciela nie może uwierzyć temu, i wracając w jego dom, ma nadzieję go zastać. Trudno człowiekowi, szczególnie młodemu, uwierzyć, że to co było, już nie jest i już nie będzie, że on to przeżył. — W takich chwilach starzeją się ludzie — trumny i gruzy stoją jak słupy milowe na drodze życia i odmierzają je. — Młody zaczyna się rachować z latami.

Takie uczucie ośwładnęło podróżnego, kiedy stanął na pustkowiu. Te domki — to była jego znajomość z dzieciennych lat, nie doczekały go, znikły. Tęskno mu się trochę zrobiło za niemi. Potem chciał wracać do miasta, ale zawahał się, pomyślił i poszedł w głąb przedmieścia ku karczmi takiegoż chowu i tych obyczajów, co nieboszczki, ale większej i murowanej.

Wszedł do obszernej sieni i usłyszał coś jak szepty, jak gruchotanie gołębie. Spojrzał — w ciemności zabielił się ubiór kobiety i zaświeciły metalowe guziki żołnierza.

— Czegóż to? — spytała opryskliwie gołębica, mierząc przybyłego.

— Chciałbym przenocować.

— W szynku, czy w osobnej stancyi?

— W osobnej.

— To idź pan na górę — zaraz poświecę.

I kończyła dziewczyna z pośpiechem pożegnanie ze swoim rycerzem.

Młody tymczasem macając, dostał się do schodów, które więcej wyglądały na drabinę przyzwoitą, i drapał się po nich na górę. Dość długo czekać musiał i mimo woli słuchać miłosnych szeptów i pocałunków, aż dziewczyna przypomniała sobie o gościu i pokazała się na górze ze świecą.

— Tu — rzekła odmykając drzwi — to stancya najporządniejsza, wygodna, tu panowie stawają. W drugiej izbie, ot tam mieszka doktor — a pan co za jeden?

I zaświecił mu w oczy zasmolony, tłusty kopciuszek.

— Student — rzekł przybyły, i nierozglądając się wcale po lichej izdebce, bądź, że nie był wybredny, bądź, że wierzył zaręczeniu kopciuszka, zabierał się do rozpakowania tłomoczka.

— Może pan będzie co jadł?

— Nie — dziękuję.

Kopciuszek ruszył ramionami i wyszedł. — Młody człowiek rozgospodarowawszy się, zbliżył się do okna, otworzył je i patrzył na łunę gazową, srebrzystą, kołyszącą się nad miastem w ciemnościach. Po dziesięciu latach on znowu tu, miasto, co w snach tylko widywał, stoi teraz przed nim o kilkadziesiąt kroków. Głębokim milczeniem witał to rodzinne miasto. Potem ukląkł przed łóżkiem i modlił się. Nad łóżkiem ktoś umyślnie czy przez nieuwagę, zamiast świętego obrazu, zawiesił jakiś lichy sztych kolorowany, przedstawiający miłosną scenę. Amant z czubem na głowie, we wciętych fraku z długimi szosami, w wyciągniętych pantalonach, klęczy przed wyfiokowaną, wyczupirzoną, wyróżzoną i wygorowaną pięknoscia. — Wśród drzew na kolumnie nagi amarek ze strzałkami, a niżej para gruchających gołębi.

Przed tym obrazem klęknął młody człowiek i modlił się gorąco. Bigot nie uwierzy, dewotka się zgorszy. Jak można się modlić, nie mając świętego obrazu przed sobą? — Młody nie widział obrazu, nie patrzył na obraz, nie szukał Boga po ścianach — Bóg był w nim. W chwilach wielkiej radości, szczęścia, lub ogromnej boleści, w sta

nowczych przejściach życia, dusza jak morze wzbiera i podnosi się — na wzburzone fale zstępuje Chrystus. Ale takie podniesienie duszy nie może się dziać co dzień, na zawołanie, i modlitwa taka nie liczy się na tuziny pacierzy. Ostatnie słowa jego modlitwy były: „Boże błogosław”

Potem wstał i zabierał się wyjść (zapewne na miasto); ale drobny, gęsty deszcz, który się przed chwilą puścił, wstrzymał go. Deszcz zaciągnął się na długo; podróżny więc będąc nieco znużony drogą zaniechał na dziś wyjścia, rzucił się na łóżko, i patrząc na dopalający się ogarek świecy, rozmyślając, czekał na sen.

Wtem do sąsiedniej izdebki ktoś wszedł — chód był ciężki, hałaśliwy. Równocześnie dała się słyszeć rozmowa.

— Cóż Fedko nie świecisz? — zapytał głos surowy, ostry.

— Nie, bo świecy niema — odpowiedział głos chłopięcy.

— Na, masz, zapal, wziąłem od mydlarki na krede. Jak budą horosze — to się odda.

Szustnęła zapalka po murze i przez szpary padły na koldrę naszego podróżnego dwa paski światła. W drugiej izbie przybyły począł chodzić

żywo dużymi krokami. Czapkę rzucił gwałtownie w kąt. Po chwili tenże głos się odezwał:

— Fedko!

— Co?

— Jadł ty co na wieczór?

— Nie.

— Nie turbuj się chłopcze, będziemy jutro jeść, i ja pościł. Zarobku nie ma.

— Ja zarobił dziś kilka kraj carów, ale chowam na papier, bo profesor zagroził mi różgą jak nie będę miał papieru.

— A gdzie ty zarobił? He? Milczenie.

— Ty ukradł może? Chłopcze?

— Wasyl, ty mnie nie lżyj — zakrzyczał chłopiec na pół z płaczem — ja za panami od kolei zaniósł kuferek. Zdźwigał się, bo był za ciężki, ale zarobił a nie ukradł.

— No, taki grosz nie krzywdzi. A czemu ty bał się to powiedzieć zaraz?

— Bo bo ty mnie raz bić chciałeś za to, żem się wynajął do posługi temu panu z Wiślniej ulicy.

— To co innego — tam tobie wara. Bo to pies — on lżył twego brata — wiesz? On powiedział, że ja podejrzany — rozumiesz? Takie

słowo to piętnuje człowieka na całe życie. Och i opiętnowali mnie Lachy, psubraty.

Ostatnie wyrazy przemieniły się w ryk bolesny, rozdzierający i równocześnie słyhać było uderzenie łokci o coś twardego, jakby o stół.

— Ale ja się pomszczę; ja nie daruję, niech dowodzą, a jak nie dowiodą to im śmierć, albo mnie śmierć. Rzezać gałganów. Łby porozwalam. Ha!

Silne uderzenie pięści, towarzyszyło tym słowom.

— Taki ja ich i tak nie przekonam — oni będą czekać swoje. Oj dolaż, dola! Och!

Szamotanie gwałtowne, rozpaczne doszło do uszów podróżnego. To co słyhał zainteresowało go mocno i poruszyło,

— sen odleciał na długo, — usiadł więc na łóżku i słyhał.

— Wasyl daj pokój, nie lamentuj — prosił go głos chłopięcy.

— Fedko, ty smarkacz jeszcze, ty nie wiesz jeszcze co lepsze, czy dobry obiad, czy dobre imię; ale ja znam. Ty czytał w starvm testamencie o trędowatych, od których uciekano. No, widzisz, to człowiek, o którym źle mówią, to jeszcze gorszy, bo nad trędowatymi chociaż litość miano.

I zaharczał płacz w piersiach Wasyla; płacz suchy, rykliwy, jak zgrzyt żelaza po szkle.

— Bożeż, mój Boże — to niech tu przyjdą niech zobaczą, gdzie ja kryję te ruble moskiewskie, czy w tej pustej izbie, czy w dziurach mego surduta, czy w głodnym brzuchu. Oj! u was słowo wiatr, wyleci jak nic — a na kogo spadnie takie słowo — to kamień.

— Wasyl, Wasyleńku, wstydz się, ta ty nie baba, żeby szlochać — prosił brat, a jeszcze bardziej zanosił się od płaczu i długą chwilę nic nie było słyhać, tylko te dwa płacze zrywające piersi.

Nieznajomemu podróżnemu zrobiło się ciężko i duszno. Pierwsze słowa, które usłyszał w rodzinnym mieście, były straszną skargą na nie, wyrzutem i przekleństwem. Słyszał skargę człowieka potępionego bez winy, a więc bez sądu i to przez ludzi młodych, którzy z natury więcej skłonni być winni do łatwowierności w dobre niż do podejrzliwości złego. Czemże się dzieje, że tu rzecz ma się inaczej? Czy ta pochopność do sądu, do potępienia, idzie z lekkomyślności, płytkości myślenia, braku zastanowienia się, czy ze złości serca? — Zanim podróżny ów będzie sobie mógł rozwiązać tę zagadkę — my odpowiadamy, że

nie złość serca, bo owszem mieszkańcy Krakowa grzeszą zbyt serdecznością nieraz, ale lekkomyślność, brak zastanowienia jest tego powodem. U nas potępić kogo łatwiej, niż zjeść kromkę chleba z masłem, i również łatwo tego samego człowieka potem chwalić, wielbić. Przyjeżdżający do naszego miasta w jednej chwili, podczas jednej przechadzki po rynku dowiaduje się, że ten szuler, a tamten zbrodniarz, bo okradł wdowę i dzieci, a inny podły. Trwoga go przejmuje, że się dostał w taką kałużę zbrodniarzy i dziwi się, czemu tych zbrodniarzy nie zamykają na Kanonnej ulicy, nie kują w łańcuchy. Ale bardziej się zdziwi, gdy przechodząc koło uprzywilejowanych handelków, jak Fuchsa, Waltera, zobaczy tego samego jegomościa, który mu palcem wytykał zbrodniarzy, połykającego z nimi kieliszki koniaku lub kontuszówki. Słowo tych mniemanych zbrodniarzy wprawiło w zły humor cenzora, słowo inne przyciągnęło go do nich. — Albo: mówiono mu, że to źli ludzie — i uwierzył i trąbił o tem po mieście, ale zeszedł się z nimi, poznał i wyrzeka się poprzednich słów. — Idziesz ulicą i witasz się z kim. W tem drugi czepia się ciebie jak oset i szepcze: „Nie wdaj się z nim — on, wiesz.....?” — Nie może być? — Radzę

ci strzeż się. — To ci powtarza jeden, drugi i dziesiąty. Jak tu nie uwierzyć? Wtem ów podejrzany pocnie się uniewinniać, słówka jak miodowe plastry przykładają na serca potępiających go, przemawia do uczuć, porusza, chucha na te serca i serca tają jak wosk w gorącym piecu i choćby to był rzeczywiście winny człowiek, wyjdzie czysty z tej sprawy. „Eh, wiesz co, to nie zły człowiek” — powie ci potem ten sam, który dawniej ostrzegał. A jeżeli do tego jeszcze sprawę tę zapiją — to ci się przysięgnie: „że to jedyny człowiek, że to wzór pocziwości.” I tak ciągle nagłe przechody z łatwowierności do podejrzeń. Żelazo w nagłych przejściach z gorąca do zimna pęka — w człowieku dusza wśród tych nagłych przechodów słabnie jak struna w wilgoci, wola się kiwa jak czułe ważki. Serdeczność ta nasza, która za lada promykiem słonecznym wyciąga ślimacze rożki, za lada także oporem, dotknięciem, ściągają się i chowa w skorupę, jest naturalnym skutkiem zbytnej czułości, wrażliwości — przymiot serduszek, nie serc. Są ludzie, którzy się unoszą nad tą pocziwością krakowskiego, a w ogóle polskiego serca, które tylko do rany przyłoż, i od dobrych słówek

kilku topnieje. Jakiś poeta nawet wierszami pochwalił tę cnotę. Jabym to nazwał wadą, obrzydliwą wadą. Wolę człowieka, który mną przez całe życie słusznie pogardza, niż takiego, który ani gardzić, ani szanować stale nie umie. Bądźmy ostrożni w sądach, ale sprawiedliwi, i miejmy odwagę nazwać zbrodnię po imieniu i wytknąć ją palcem, a znowu szacunek niezmienny dla cnoty. Pobłażliwość występкови, nie jest cnotą chrześcijańską ale słabością duszy. Chrystus przebaczył Magdalenie i celnikowi, a palcem wytykał faryzeuszów i bezbożników niepokutujących. Kto pobłaża występcom drugiego, ten albo sam czuje że potrzebuje pobłażania, albo nie ma pojęcia sprawiedliwości. Pobłażliwość zachęca do złego, wiedzie do nadużycia; — a gdzież nadużyć było więcej, jak u nas? Prawa nie były złe (względnie do czasów i okoliczności); ale pobłażanie przestępującym też prawa osłabiało i niweczyło ich potęgę, wpływ. „Jak tu skarać kondemnata, kiedy to brat szlachcic taki jak ja — hodie mihi, cras tibi panie dobrodzieju — nie, nie można." Albo: „Ta to przecież mi krewniak, rodzi go stolnikowa z ciotki stryjecznej siostry mojego teścia — to chyba trzebaby nie mieć serca, żeby go potępić." Zważywszy teraz, jak

poplątaną jest sieć szlacheckich pokrewieństw i koligacyi? będziemy mieli wyobrazenie, jak rozległe mogły być granice podobnego pobłażania. Xo wyjaśni nam poniekąd, czemu tak trudno było u nas o konsekwencyą, o sprężystość w działaniu, dla czego tak zbawienne uchwały, jak o zaciągach wojska, o podatkach — w wykonaniu były spaczone i ślimaczym szły chodem.

Ta z jednej strony pochopność do potępienia bez sądu, bez przekonai — jak z drugiej skłonność do pobłażania, do zapomnienia uraz, oskarża nas, że nie umiemy brać rzeczy głęboko, na seryo, w sprawach publicznych dowodzi niedojrzałości politycznej. Ta sama szlachta, która w r. obrzuciła błotem „Projekt do praw" i jego autora — i dopominała się spalenia dzieła ręką kata — w r. z entuzjazmem przyjmuje konstytucya, będącą prawie dalszem rozwinięciem i zmodyfikowaniem myśli Andrzeja Zamojskiego.

Siągnijmy wyżej: kraj zagrożony najazdem tureckim, pospolite ruszenie wobec nieprzyjacielskiego wojska rozchodzi się do domów; — a znowu w kilkanaście lat później to rycerstwo ciągnie na obronę zagrożonemu Wiedniowi. — W ostatnim wieku jeszcze jeden podobny ustęp

wysuwa się z dziejów naszych, z napisem: „rok , Hiszpania." — Jakże tu strasznie zadrwił z naszych wyrachowań „wielki żołnierz?" Męczenników wolności pchnął na zagładę wolności. — Nie bez powodów zбочyłem na ten ustęp.

To samo, co wojowników naszych pchało w wąwóz Somosierry i w walące się ulice Saragosa — to samo kładzie nam w usta lekkomyślne słowa potępienia lub pobłażania: brak zastanowienia. Gdzie tu logika, gdzie zastanowienie? Nie, to tylko porywy serca, piękny zapach improwizowany. Ten zapach, ta fantazja stworzyły wielkość naszą, dały nam bohaterów — tem jedynie stanąć możemy wysoko. Tam, gdzie potrzeba ciągłej, elastycznej wytrwałości, rachunku, myślenia — nie podaliśmy. Jest to nasza wada wrodzona, która nie powinna zostać wieczną. Bądźmy mniej dobrodusznymi względem obcych, a będziemy mniej podejrzliwymi względem swoich. Bo i to jest ciekawym rysem, że Polak nie ufa sobie, a ślepo wierzy innym. Ztąd nie dziw, że dyplomacya wodziła nas za nos. Na każdą wędkę nas chwytało, choćby ją najlichszą nadziano ponętą. Każdy naród umiał nas zużytkować na swoją korzyść — my żadnego. Jak nazwać tę dobrodusznosc? —

Zamykam gwałtem usta i nie nazywam rzeczy po imieniu — każdy nazwisko znajdzie.

Zakończamy więc uwagi nasze w ten sposób: uczmy się myśleć i zrozumiejmy wagę i powagę słów — sądźmy sumiennie, ale potępiamy głośno występnych. Jenemu niech ręka, która występnych odtrąca od towarzystwa ludzi uczciwych, naznaczy mu zaraz ślad drogi, po której ma do niego wrócić. Rehabilitacya jest konieczną. Są ludzie, którzy zapleśniali w występku dla tego, że zagrodzono im drogi powrotu, że drogi te zarosły złorzeczeniem i pogardą ludzi. — A to straszna rzecz zatracić człowieka. Szczególniej dla młodych potępienie bywa zabójczem. Młody człowiek idzie jakby krawędzią dachu, między złem a dobrem, czasem krok fałszywy, chwilowy zawrót głowy przechyla go na złą stronę, potrać go potępieniem, pogardą, a zleci w przepaść złego na dno same; gdy tymczasem przyjacielską przestrogą łatwo z małego zboczenia mógł się wrócić.

Droga, na której zaryczał bolesnym płaczem Wasyl, to stanowcze rozdroże. — Czy się zsunie w przepaść, w którą go wypycha podejrzenie ludzi i do pozoru doda prawdę — czy się wygrzebie z błota i pójdzie przebojem przez złość ludzką, obmowę i potępienie? Chwila ważna. —

Młody podróżny chciwie nadśluchiwał — nie była to próżna ciekawość, niepotrzebne wdzieranie się w tajemnice sąsiedniej izdebki. On w rozpaczy jej mieszkańca chciał dosłyszeć przyszłość tego człowieka — a może przyszłości wielu jemu podobnych.

W izdebce była chwila głębokiej ciszy, niby jakiegoś namysłu — duch pracował — wreszcie odezwał się znowu głos, ale już spokojniej, jak pomruk po burzy:

— Eh, bierz ich czort, niech gadają, gęby zabolą — przestać muszą. Odepchną — ha, znajdą się poczciwi — a pracować trzeba i pracą iść w górę, w górę — rozumiesz Fedko, co? he? — Jeszcze parę lat biedy i złych ludzi, a potem ja będę doktorem, człowiekiem, i ty Fedko musisz być człowiekiem, rozumiesz Fedko? rozumnym człowiekiem i pieniądze mieć. Wrócimy na Ruś, mój Boże, na naszą świętą Ruś — rozumiesz Fedko, co? — Toż to będzie dziwu u diaczków, co z nami świnie i bydło pasali — co? Sprawimy im praznik — będzie uciecha na Rusi. — Oj Boże! Nasłuchamy się dumek na pastwiskach. Fedko ty pamiętasz dumki — co? Musisz pamiętać, jabym ci kije dał, jakbyś ty ruskie dumki zapomniął — to nasze, nasze.

I począł nucić:

Ne chody Hryciu na wiecznicu,

Bo na wiecznicy wsi czarownicy...

I dziwna rzecz, głos tego człowieka ostry, twardy, wśród śpiewu stopniał, złagodniał — płynął jak woda, cichnął jak dalekie echa, jak lekki wiatr między drzewami, sęp w słowika się zamienił — z chropawej skały wypłynął strumień. Nie dokończył pierwszej zwrotki, kiedy do drzwi ktoś zapukał. — Śpiew ustał, zaczęła się rozmowa.

— A, to wy staruszk, jak się macie ojcie taki siadajcie na czym jest.

— Czekałem na pana doktora, chciałem się poradzić, coś dziś w krzyżach mnie strzykać poczęło i z przeproszeniem rozwolnienie.

— A i oczy jakoś dziś gorzej?

— A bolą, bolą. I z czego tak to wszystko?

— Mój staruszk, pocziwcze — tobie by już trzeba odpocząć, to by było najlepsze lekarstwo.

— Tak, dobrze proszę pana doktora, a z czegoż będzie się żyło...?

— Wieleż macie lat?

— Ha, będzie szósty krzyżyk, a tak, bo pamiętam jak Francuzi szły przez naszą wieś, to już byłem sporym chłopakiem i już latałem za

matką. Pamiętam, jak Francuzom nasz żur wykrzywił gęby.

— Tak, tak, odpocząćby wam już staruszk, dość było pracy.

— Ha, cóż robić. Są dzieci. Jeszcze córka jak córka, bo ta obszyje siebie, dom i jeszcze coś zapracuje. Ale syn w szkołach, lekcye jakoś mu się nie trafiają, jak to innym na ten przykład. A chciałoby się też chłopca do jakiegoś stanu doprowadzić, żeby przecież wyszedł na pana, bo to on panie szlachcic, jak pan wie, że my szlachta, tylko panie nieszczęście...

Tu westchnienie — poczem znowu ten sam głos mówił:

— Ale może ja panu doktorowi przeszkadzam —

— Nie, pocziwy stary, siadaj — dajno tabaki —

— Ej bieda i tabaki brakło panie.

— Brakło? — Fedko, ty masz kilka kraj carów, skoczno staremu po tabakę, tylko żywo.

— Ale nie trzeba panie doktorze..

— No, no stary nie rób ceregieli, ja funduję i basta. Przyjdzie czas, to ty zafundujesz.

— Panie doktorze, pan jesteś pocziwy człowiek, ja pana kocham jak własnego syna. Nie

miej mi pan za złe, że nieraz się naprzykrzę, ale w domu u mnie nie ma z kim pogadać. W słowach tych była skarga.

— A syn gdzie?

— A kto wie — pono się tam z kimś uczy. Mało go widzę w domu, a przyjdzie to siedzi jak mnich, już to wdał się w nieboszczkę.

— Ej, to tobie stary nie tyle krzyże dokuczają co nudy i cichość — ty tu nie po radę, jeno na pogwarke załgał się — co? he? —

— He, he, jak to pan konsyliarz wszystko musi zgadnąć. Daruj pan staremu — u mnie —

— Dobrze, dobrze, będziemy gwarzyć, mam nowinek dużo, od ludzi nie tyle, ale z gazet.

I rozpoczęła się rozmowa o tem i owem, doktor rozpowiadał, stary wtrącał swoje epizody, uwagi. Młody podróżny słuchał z początku — potem znużenie zwyciężyło i gwar rozmowy go uspił — usnął.

Na drugi dzień, rano gdy ubrawszy się, zabierał się do wyjścia, usłyszał skrzypnięcie drzwi sąsiednich i głos dobrze mu już znajomy, nieco stłumiony zapytał:

— Magdeczka, wczoraj tu ktoś się wprowadził, prawda, co?

— Tak, proszę łaski pana doktora.

— A kto taki?

— Jakiś skubent.

— Kolega — rzekł podróżny wychodząc ze swej izdebki — jestem Leon Stobierski — i z ujmującą szczerością podał rękę sąsiadowi.

Ten się cofnął przed tak natarczywą szczerością — popatrzył badawczo z pod gęstych, czarnych brwi i nasrożył się. Twarz jego ciemna, prawie oliwkowa z jaśniejszemi gdzieś tam plamami, wzrok ponury, podejrzliwy, włosy czarne, lśniące, szczecinowate, ubranie wytarte — wszystko to mogłoby odstraszyć, odepchnąć naszego przybysza, gdyby go był wczoraj z rozmowy nie poznał, gdyby nie wiedział, że w tej szorstkiej, chropowatej, nieforemnej bryle jest dyament. — Rusin obejrzał go od stóp do głowy, zatrzymał się na wytartym surducie, coś mruknął i nieco rozpozgodził się.

— No, nie panicz żaden, może i nie zły człowiek — a może potrzebny ...

— Jestem Leon Stobierski — powtórzył tamten — przyjechałem tu na uniwersytet, a więc wasz kolega — myślę że między kolegami po

znajomienie nie powinno być trudne. Daruj, żem szczery.

— Witaj brat — ja medykc. A chcesz wiedzieć nazwisko, to ci powiem, jeżeli ci co z tego przyjdzie, bo i ja nie ulął się jak szczeniak bez nazwiska — ja Wasyl Popowicz, Rusin, — i podał mu muszkularną dłoń.

I znajomość gotowa, Co ich zbliżyło? Jedność drogi? nietyłe, więcej wytarte surduty, ubóstwo. Śmiejemy się z tych szmat, któremi zakrywamy nagość naszą, powtarzamy do znudzenia „nie suknia zdobi;” a jednak któżby zaprzeczył, że te gałgany, co się kiedyś razem spotkają na śmietniku lub w papierni, stanowią między nami różnicę. Co do mnie, rzadko mi się zdarzyło widzieć wytarty surdut obok eleganckiego paletota. Jest siła odpychania i przyciągania w tych łachmanach. Podejrzliwy i nieufny Wasyl powalał widać ręce na delikatnych sukniach paniczów, bo się ich bał; wytarty surdut Leona ośmielił go i przyciągnął. Ubiór ma wpływ na ludzi. A ludzie na ubiór? bardzo mały.

— Może wstąpisz do mnie? — spytał Leon.

— Na chwilę, bo wyjść muszę niedługo. Weszli — Wasyl rozglądnął się po izbie.

— Dawno przybył do Krakowa? — spytał.

— Wczoraj wieczór.

Rusin chciał coś powiedzieć i zawahał się, spojrzął w oczy Leonowi i znowu się zawahał — otworzył usta:

— A może ty potrzebny czego — hę? Powiedz — ja nie mam, ale postaramy się. Mów śmiało.

— Nie kolego, dziękuję ci. Tłomoczek mój nie pakowny i nie duży, ale mam troszkę zasobów do życia.

— Masz, to nie szastaj, przyda się, bo tu nie łatwo żyć młodemu. Jak będziesz chciał zjeść tanio, to powiedz, ja cię zaprowadzę do mojej garkuchni. Ty nie panicz, żebyś na gębę dużo wydawał — prawda, hę, co?

— Dobrze, pójdę z tobą — a mieszkanie?

— Alboż ci źle tutaj? Tu cię nie zedrą, to poczciwy lud, bo biedny.

Ta struna wciąż drgała w sercu Rusina, bieda i dobroć, bogactwo i występki — te pojęcia zrosły się u niego jak sijamscy bliźnięta.

— Ależ to daleko do wszechnicy ztąd.

— Nie bój się, nie padniesz — taka przechadzka na zdrowie idzie, przypomnisz sobie chodzenie. Ale, alboż ty wiesz gdzie wszechnica? —

— Ja tutejszy, krakowski.

— Tak — rzekł Rusin przeciągle, ochłódl

nico i zamyślił się. On rad był, że złapał biedaka że w obcym mieście pomoże mu, pokaże, że się nim zaopiekuje, on potrzebował tego; w domu u siebie, gdzie był najstarszym w rodzinie po śmierci ojca przywyknął do tej roli, umiał być

ojcem. A przytem odstapiony od kolegów, rad był że znalazł jakieś uczciwe serce, kolegę, który nieznając się z nikim, przyjrzy mu się nie przez pożyczane szkła uprzedzeń, ale przez własne. Uczepił się go, bo mu miał wystarczyć za innych, za wszystkich. Aż tu jedno słowo Leona rozwiało tę pociechę. — On Krakowiak, on tu znajomy, ja jemu nie potrzebny, obejdzie się bezemnie, to też i nie rad mi będzie i pójdzie do drugich, a może on taki jak inni, — pomyślał i sposepniał.

Leon jakby się domyślił tego, rzekł:

— Dziesięć lat nie byłem w Krakowie.

— Tak? no, to go nie poznasz. A na jaki wydział bracie?

— Filozoficzny. Czemu się skrzywiłeś?

— Nie wiele skorzystasz, lichy obsadzony.

— Brak zastąpi się własną usilnością, a uczyć się w wszechnicy Jagiellońskiej to także coś znaczy. A życie młodych tu jakie?

— A zobaczysz, uprzedzać cię nie będę. Jeżeli jesteś taki, jak cię poznałem, to ci serce zcierpnie i pluniesz. Kółka, kółeczka, samolubne pojedynki — życia koleżeńskiego za grosz. Funta kłaków nie warte wszystko. Gałgany La... Zachrypnął się i uderzył ręką po ustach.

— Nie gniewaj się kolego, i ty Lach, ale może nie taki jak tamci?

— Ja Polak.

— No tak, ale tamci nie.

— Zmieni się to może — to przecież młodzież, o tej wątpić grzech.

— Ja zwątpił i ty tak zrobisz, przypatrzysz się i uciekniesz. Ale to nic — ja ci dam innych kolegów i znajomych; ludzi osmolonych, obdartych — rozumiesz? — ale serca u nich czyste jak białko w oku, oni nie mają nauki, wykształcenia — rozumiesz? — ale oni umieją żyć po ludzku, — razem, rozumiesz? — Ja cię do nich zaprowadzę — uściśniesz im ręce. Poważają cię ręką, ale słowem nie. Ja ich znam dobrze, bo ja ich leczę i prośby i listy piszę, bo widzisz człek musi zarabiać czem może. A oni dają niewiele bo sami biedni, ale co mogą. Dobrzy węglarze — czysta krew krakowska. Serce u nich na języku, łatwo poznać. U nas inaczej.

Bo widzisz ja Rusin — rozumiesz — ze świętej Rusi. Ja się z tego cieszę, choć nieraz i płaczę na to, ale to wina ludzi złych nie Rusi. — Widzisz to Rusin nie taki otwarty, jak wasz lud; ale także poczciwy. Rzadko mówi, to też mądrze. Między tym ludem ja się uchował i urósł. Syn popa — rozumiesz? Ojciec zmarł wcześniej, zostało popadina i siedmioro drobiazgu i ósma bieda, i ta najwięcej miejsca zabrała w domu. Zlitował się ojciec i wziął troje do siebie na odchowek — na mogliki. Zostało nas czworo, dwie siostry i dwóch braci. Chciało się uczyć, bo ja pamiętał co ojciec mówił: „Dzieci, wy możecie iść wysoko bylebyście chciały,” no ale cóż — była bieda, ledwie diaczek troszkę poduczył czytać i pisać — trzeba było rzucić elementarz a iść do bydła. I było tak lat kilka, ale słowa ojcowskie taki nie przepadły, nie utonęły — czuł ja je w sercu — nie dawały pokoju, aż się wyszło w świat. Dużo ja przeszedł, nie raz nie było kącika, gdzieby się w cieple przespać i człowiek po nocy tłukł się od domu do domu prosząc o nocleg — i przecierpiał się

wszystko, aby być czemś i zrobiłem to sam — rozumiesz? Wszystko com zrobił, do czego przyszedł, to sam. Ale nie teraz o tem, dziesiąta bije — mnie czas iść.

— Poczekaj, i ja wychodzę, pójdziemy razem.

— Nie, to być nie może, ja nie chcę. Bo widzisz kolego ja Rusin, mnie tu źle uważają, nie dowierzają mi — rozumiesz?

I twarz jego ciemna wyglądała jak piec rozpalony, a czarne oczy z napięciem wpatrywały się w kolego, chciały wyczytać, jakie wrażenie zrobiły na nim te słowa. Ucieszył się, że nie zobaczył w nim przerażenia, wzdry, ale spokój i łagodność. Może nie zrozumiał mnie — pomyślał — i znowu począł mu tłumaczyć; szedł dalej jak człowiek co spodziewając się usłyszeć straszną nowinę chciałby się wstrzymać, rad że ją nie słyszy, a fatalność pcha go naprzód.

— Widzisz — ciągnął dalej a w twarz jego wbił oczy — widzisz, ze mną tu nikt nie żyje, mnie się boją i niecierpią tu.

— Bo cię tu nie znają, ja cię znam; wczoraj słyszałem przypadkiem twoją rozmowę, to mi rozświeciło wszystko — i wyciągnął do niego rękę, którą Rusin z całą mocą uściśnął.

— Dziękuję ci brat za dobre słowo, to mi się tak rzadko zdarza. Ale ty i tak ze mną iść nie możesz razem między nich, to by ci zaszkodziło. Widzisz, na samym wstępie taki krok toby cię potępił, zgubił — a ja tego nie chcę.

— Potępią na chwilę, a potem pożałują, — Prawda jest jak korek, można ją wepchnąć w męty, ale ona tam nie zostanie — wypłynie. Ja w to mocno wierzę; boję się występków, ale nie pozorów.

— Niech ci Bóg zapłaci bracie za tę mowę. Jam cię straszył, odpychał, ale drżałem, bym cię nie przekonał, byś nie uciekł, bo... bo widzisz, ja trochę przyłgnął do ciebie.

Zeszli razem ze schodów. W sieni koło nich przemknęła młoda, ładniutka blondynka, skromnie ale zgrabnie i czysto ubrana.

— Dzień dobry panno Teklo.

— Dzień dobry panu doktorowi — zadzwoniła głosikiem i przeleciała.

— To córka Jana szewca, niczego dziewczyna — szkoda, żeby to zmarnieć miało, matki nie ma.

Wyszli za bramę. Ranne słońce oświeciło kościoły, stare mury, bramę Floryańską, z kominów dymy sine płynęły w blaskach słońca w górę, na tle różowego porannego nieba. Leon stanął, zapomniał się i zapatrzył.

— A gdzie ty chcesz iść kolego? — spytał go Rusin.

— Przywitać się z Krakowem.

— To idź sam — samemu wtedy najlepiej, ja to znam.
I rozeszli się.

III. CZŁOWIEK MIĘDZY UMARŁYMI.

Do dalszego roznucia wątku powieściowego potrzeba nam poznać jeszcze jednego człowieka; opuścimy więc Kraków na czas krótki.

Wyjdziemy przez rogatki Zwierzynieckie, biały gościniec poprowadzi nas koło klasztoru panien Norbertanek, zostawimy na boku starą kaplicę św. Małgorzaty, smutną wieżę św. Salwatora, stojącą wśród cmentarza jak grabarz, gdy wykopie dół i na trumnę czeka; za murem klasztorным szerszy widok nam się otworzy. Z jednej strony pokaże się błękitna szyba Wisły, oprawiona w zielone wikliny i nagie skały Krzemionek; z drugiej strony podnosi się wzgórze św. Bronisławy — na jego szczycie mogiła w cieniu wysokich, kołyszących się włoskich topoli. Pagórki ciągnące się z prawej strony gościńca, zasłonią

nam wnet ten widok. Na pagórkach resztki zielonej trawy, żółte ścierniska, albo się czerni odwrócona pługiem ziemia. — Przegorzalski dwór przegląda przez drzewa dobrze już obdarte z liści, dalej brakło ziemi i zieleni, naga skała jak kość z ciała sterczy, a nad nią kilka białych brzoź rozpuściło drżące warkocze. Wszystko to ma za tło wysoką górę, porośłą lasem, górę „srebrną” nazywaną, a na szczytach lasu pokazują się dwie wieżyce, z daleka dziwnie podobne do kształtów ludzkich. Tak się to wydaje jakby dwaj pielgrzymi wychodzili z za wzgórza — zobaczyli nad Wisłą miasto stare, stanęli i patrzą. Wieżyce te należą do Bielańskiego klasztoru, do którego właśnie idziemy, skręcając z gościńca koło płotów w wąwóz gliniasty. Wąwóz wchodząc głębiej w górę, staje się coraz płytszy, aż się zamienia w ścieżkę zaslaną suchymi szpilkami świerków, ciągnącą się wzdłuż muru klasztornego i ginącą wśród lasu. Tam gdzie las rzednieje i niebo przegląda przez drzewa, ukazują się klasztor biały i kościół. Tablica, na której wypisana kłątwa na kobiety przestępujące progi tej pustelni, stoi u wejścia na strażę. Za bramą klasztorną przed kościołem szeroki podwórzec, wykładany płytami kamieni i

kończący się z jednej strony kamienną balustradą, z kąd przestrony widok na okolicą, leżącą głęboko w dolinie. Niedaleko drzwi kościelnych jest brania, w którą wejdziemy, miniemy jeszcze dwa dziedzińce puste i ciche i wejdziemy do klasztornego wirydarza. Jest to prostokąt bardzo foremny środkiem którego prowadzi droga wyciągnięta pod linię; tę drogę przecinają pod kątem prostym mniejsze ścieżki w równych odstępach tak, że cały wirydarz

podobny do okna położonego; ścieszki to niby ramy tego okna a kwadraty obsadzone kwiatami — to szyby. Każdy kwadracik obrąbiony brzegiem listewką bukszpanową, w pośrodku troszkę jesiennych kwiatków, już na pół uwiędłych, między którymi przeważają astry. Kilka akacyj, z których nie opadły jeszcze drobne zielone listki, ożywia tę małą, milczącą pustynię. Wchodzący tutaj, dziwnego doznaje wrażenia. Ta nadzwyczajna symetryczność ogródka, zamkniętego murami, nadaje mu ponurą jednostajność, do tego jeszcze spostrzegasz że nad czystością ścieżek, nad klombami kwiatów czuwać musi staranna ręka, a ręki tej nie widać, żadnego znaku życia i ruchu, żadnego głosu — coś jak w zaklętych gmachach. Na tych ścieżkach, na kwiatkach, na furtkach,

do których prowadzą poboczne ścieszki, na oknach okratowanych wszędzie zdajesz się czytać słowo: "wymarło" jest tu jak nazajutrz po pogrzebie.

A jednak tu żyją ludzie, jeżeli to życiem zwać można. Przystąpmy jedną furtkę: znowu kwadratowe podwórko, na niem kwiaty, znowu drzwi otwarte prowadzące do wąskiej sionki. W sionce po prawej stronie kapliczka, po lewej koło, jakie widzimy przy furtkach klasztornych, koło obracalne do podawania pożywienia, obok drzwi od celki. Wszędzie tak cicho, taki brak ludzkiego głosu, że ten, ktoby się tu odezwał i usłyszał swój własny głos budzący ciszę, zląkłby się i zadrzał. Wejźmy do celki.

Przy okratowanym oknie siedzi — biały mnich. To człowiek, któregośmy szukali — przypatrzmy mu się. Ręce założył na piersiach, głowę nieco pochylił — przed nim otwarta książka — widocznie modlił się i nie skończył — wśród modlitwy przyszła jakaś myśl, nad którą się zadumał. Człowiek ten był w pełni męskiego wieku — twarz piękna, spokojna, kontemplacyjna, czoło mędrców greckich wyniosłe, silnie sklepienie, każda błękitna żyłka, tętnica na niem pokazywały, że pod tą czaszką jest życie, ruch. Czarna broda w dwa strumienie rozwiana, spadała na biały

habit. — Mędrzec i asceta złożyli się na stworzenie tej poważnej postaci. Czasem po tej spokojnej twarzy przechodziło chwilowe drgnienie i zamknięte usta skrzywiły się w jakiś cierpki, bolesny uśmiech — i nozdrza wtedy lekko się wzdymały, ale bez śladu gwałtowniejszej namiętności. — Twarz jego miała wtedy taki wyraz, jaki miewa człowiek, co z ciężkiej podniósł się choroby.

Drewniane łóżko przykryte derką, nad łóżkiem czarny krzyż, obok łóżka stolik, na którym kilka książek — to wszystko co zdobiło tę celkę, co rozrywało smutną jednostajność białych ścian.

I tak już będzie zawsze! W życiu tego człowieka już się nic nie zmieni — burza, co szaleje w odmętach ludzkości, skona doszedłszy do murów klasztornych, nie dojdzie do jego ucha, nie roznamiętni serca, — jego dom — to grób, jak powiada poeta — on skończył ze światem — umarł. On już niczego nie pragnie, niczego się nie spodziewa — jedynym jego zajęciem — modlitwa, jedyna rzecz, na którą czeka — śmierć. Któregoś dnia stanie się, że w katakombach pod ołtarzem zamurują znowu jeden otwór i napiszą: „Frater Adrianus obiit anno... die...” to będzie tylko powtórzeniem tego, co już przedtem napisali ludzie w miejscu, w którym ten człowiek stał

społeczności — to będzie śmierci powtórzenie. I on tę śmierć czuje ciągle przy sobie, nieraz zdarzy mu się przechodzić i spojrzeć w ciemny otwór w murze, gdzie go wrzucą za lat kilka, kilkanaście — lub może za kilka godzin. Zdaje mi się, że wobec tej ciągłej przytomności śmierci, zagadka życia szybko i jasno rozwijać się musi, człowiek patrzący tak spokojnie i tak z wysoka na pogmatwane drogi ludzkości, powinien dopatrzeć, gdzie one idą. Ale na to potrzeba, ażeby wśród nieprzerwanej ciszy duch się nie zdrzymnął, nie usnął, ażeby wzrok zstępujący w przepaści grobu nie przywyknął do ciemności i mógł spojrzeć w słońce, potrzeba, żeby w piersiach takiego człowieka wiecznie coś pracowało, jak budzik nocny, żeby myślenie nie stępiło się, nie zardzewiało.

Pojmujemy całkiem takie pustelnie, rozumiemy potrzebę takich schronień — to chrześcijańskie asyła, gdzie człowiek przed Eryniami losu uciec może. Jest to jedna z piękniejszych myśli chrześcijaństwa, które zagładnęło we wszystkie potrzeby ludzkości i starało się znaleźć odpowiednie zaspokojenie. Wprawdzie pierwszym bodźcem do założenia pustelni, były prześladowania, — atoli później, gdy te ustały, i cel zmienić się musiał. —

Nie ma już prześladowań religijnych, ale ileż jest to ludzi prześladowanych losem, ludzi, na których cięższe niż na innych spadły brzemiona życia i złamały ich, i przygniotły, i porozrywały nici wiążące tych ludzi ze światem. Gdzież miejsce dla takich rozbitków? —

W świecie im źle, ciasno, i z nimi źle. To kamienie na drodze, dla których jeszcze nie wykopano dołu. Dla chorych są szpitale, dla zbrodniarzy domy poprawy, dla starców domy przytułku — dla ludzi złamanym nieszczęściami, przeciwnościami są pustelnie, spokojne przystanie po burzy. Na ludzi, którzy nieszczęśliwymi okolicznościami wypchnięci zostali z kolei i nie mogą być pożytecznymi ludzkości, czekają u wrót pustelni dwie pociechy: modlitwa i przyroda, dwie nieprzebrane głębiny pięknych rozkoszy. Człowiek który w życiu skazany był na dłuższą samotność, doświadczył tego, że w najciemniejsze chwile życia Bóg rozsypał brylanty szczęścia. Że je nie zawsze widzimy w życiu, to dla tego, że nam zanadto jasno, słoneczno; skargi na nieszczęście wychodzą najczęściej od ludzi szczęśliwych, tak jak bogacze tęsknią za pieniędzmi. Biednego lada grosz ucieszy.

Tak się ma i z człowiekiem, który wiele prze

szedł przecierpiał w życiu, mało mu trzeba, aby był szczęśliwym. Człowiek rozrzucony w codziennych zajęciach, roztrzępany, zajęty drobnostkami życia, nie pojmie, że można kilka godzin przesiedzieć nieruchomo a potem westchnąć i dziękować Bogu za te kilka godzin szczęścia. Ludzie cieszący się wolnością, z trudnością rozumieją, jaka to radość dla więźnia pierwszy motyl lub zielona gałązka, co w okno zagląda; nie rozumieją, jak on ze skrawka błękitnego nieba, co widzi przez kraty, pożyczca sobie pogody, jak najsmutniejsze myśli rozjaśniać się muszą, kiedy przez gęstą sieć kraty wpadnie pęk złotych promieni i jak struny na harfie rozłoży się w ciemności izdebki. Takie drobiazgi, co nie postrzeżone przelatują około innych, składają się na szczęście samotnika. Rozbitek jakiej strasznej rewolucyi, z zajęciem przypatruje się potem sznureczkowi snujących się mrówek i czuje się pocieszonym. Serca strawione, spalone gorączką oczekiwaniem lepszej doli, pełne goryczy na widok niesprawiedliwości, popsutej równowagi w świecie społecznym — odżywiają wśród spokoju przyrody i jej porządku. Natura wiecznie piękna, wiecznie rozmaita — to balsam na takie serca, to piękna zabawa dla oczów spłowiiałych od łez, to szeroka arena dla myślącego ducha.

Miliardy zapytań stawia przyroda duchowi myślącemu, miliardy zagadnień do rozwiązania — stawia mu je przy infuzoriach niedojrzanych i ogromnych światach, szybujących w przestworzu. Cząsteczka tych zagadnień zdolna zaludnić celę samotnika, zając jego duszę i odwrócić od bolesnych wspomnień, i dać czas zagoić się ranom. Ale nie tylko myśli fantazja jest w ruchu w obec przyrody — ona działa i na uczucie. Człowiek, przed którym zamknęły się wrota uciech ludzkich, miłości, przyjaźni, — musiałby umrzeć z nudów, gdyby wiecznie zostawał pod wpływem jednego uczucia. Przyroda oddziaływa na to uczucie niezbadanymi drogami i urozmaica je; pod jej wpływem człowiek raz czuje lubość, to znów tęsknotę cichą i czasem jest kwaśny, nie swój, to znowu promień słoneczny padający na podłogę wzrusza go, ożywia, — człowiek by skakał. Księgi i prace duchowe — to drugi towarzysz samotnika, a trzeci wykwit z tamtych — kościół na wzgórzach — modlitwa! Te trzy rzeczy zdolne zaludnić pustynię, zagoić rany i podnieść upadłą duszę. Nie wiem, czy ze wszystkim ten cel mieli pierwsi założyciele pustelni, ale nam się zdaje, że

taki i tylko taki być winien. — Umyślnie używamy tu tego słowa „pustelnia”. Czytelnik z tego, cośmy poprzednio powiedzieli o wpływie przyrody na człowieka, zrozumie łatwo, dla czego tylko w ustronnych miejscach przypuszczamy schronienia nieszczęśliwych rozbitków. Klasztorów po miastach nie rozumiemy całkiem, wyjąwszy tych, które się zajmują kształceniem młodzieży lub niosą pomoc chorym. Zdaje nam się także, żeśmy się dość jasno wytłumaczyli, dla kogo są klasztorne schronienia: dla ludzi zrozpaczonych, złamanych przeciwnościami, dla ludzi: „którym (jak się nierozważnie i nie po chrześcijańsku jeden poeta wyraża) trzech tylko przyjaciół zostało: nóż, powróż i woda” — dla tych ludzi został jeden, jedyny przyjaciel — Bóg. Potrzeba więc wszystko stracić, wszystkie nici mieć pozrywane łączące nas ze światem, ze społeczeństwem, aby można bez grzechu usunąć się ze stanowiska.

Bóg stwarzając nas na ziemi, dając nam ziemię, dał stanowisko na niej; zapoznawać to, jest to występować przeciw myśli Bożej, jest to czynić wyrzut Bogu, że nas bezpotrzebnie tu zrzucił, dostawiono nas w szeregu, więc stać, kto się co

fnie, ten tchórzy lub zdrazca. Tylko ranny może bez sromu i grzechu opuścić stanowisko.

Śluby zakonne wymagają wyrzeczenia się; świata i rodziny. Czyż więc się godzi człowiekowi wyrzekać ojca, matki, rodziny, gdy ta rodzina żyje, gdy on w niej potrzebnym być może? Godzi się rozrywać związek krwi poświęcony od Boga? Nie, nie, i jeszcze raz nie. W takim zaparciu się nie ma cnoty. — Popatrzmy w świat zwierząt. Szczeniak wykarmiony, wypielegnowany — nie zna potem swojej matki. — To dosyć, nie chcę o tem więcej mówić. Straszne są często obłądki ducha wykraczającego za granicę praw Bożych. Molochowi rzucano dzieci na ofiarę — w Indyach zabijano rodziców. Chrystus wskrzesił Łazarza, bo miał rodzinę — wskrzesił córkę ojcu, syna matce płaczącej — On nie chciał, żeby ci ludzie umarli przed czasem. — Innym pozwolił umrzeć.

Takim czerepem zdruzgotanym kołem losu, odrzuconym od towarzystwa był człowiek, którego spotkaliśmy w celce bielańskiego klasztoru — tu szukał spokoju, jakiego tam nie miał. Twarz jego mówi, że znalazł to czego szukał. Okienko, przy którym siedział, wyglądało na południe. Z tej strony bielańska góra nagle się zsuwa na

dół — drzewa drzewom stopy gałęziami obmiatają — u spodu Wisła srebrzy się w zakrętach jak wstążka rzucona po balu — z drugiej strony Wisły jałowe pagórki się podnoszą — a dalej dalej coś jak chmury pozłoczone słońcem, białe po brzegach — to Tatry. — W całym krajobrazie ziemia gdzieś w dole i mało miejsca zajmuje, za to nieba dużo. To obraz duszy mnicha. W niej ziemia opadła, jak fala morska po burzy — a niebo rozpięło szeroko błękitny namiot. Modlić się nie mógł — położył książkę. Czemu? Czuł w sobie jakiś przypływ radości, oczekiwał czegoś, sam nie wiedział czego. — Może to wpływ powietrza? Dzień był tak piękny, jeden z tych jesiennych dni, jakim usypiająca przyroda uśmiecha się do człowieka.

Wtem zachwierało koło — mnich obejrzał się i zobaczył obiad. Obiad nic złego, a przecież w tej chwili powalał jego myśli, zadrasnął jego radość. Rozdrażniło go to nieco, zamknął książkę, Wziął ją z sobą i wyszedł.

Przeszedł wirydarzyk i wszedł do właściwego ogrodu.

Kilku mnichów przechadzało się po ścieszkach, rzucając długie cienie na murawę. Ten podlewał

kwiaty, inny przesuwiał w palcach korale różańca, inni zakapturzeni czytali lub rozmyślali. Twarze mieli zwrócone ku ziemi, oczy nakryte powiekami — przechodząc koło siebie witali się ponurem „Memento mori”. Istne grobowce białe, bo grobowce równie jak oni mówią przechodzącym tylko o śmierci.

— „Memento mori” — odpowiedział mnich, którego już znamy, przesunął się między nimi i zwrócił ku altanie. Altana ta stanowi zarazem bramę do ciemnego, świerkowego gaju, położonego na stoku góry. Marmurowa balustrada i kamienne schody miały kiedyś zdobić to miejsce — dziś śladu nie ma; od altany pochyłe ścieżki prowadzą w gaj. — To miejsce ma swoją historią: ztąd Jan Kazimierz, uciekając na Szląsk, patrzył na pałacy się Kraków i podobno płakał. Mógł płakać, bo patrzącemu ztąd, miasto wydaje się jak śliczne malowidło na błękitach, — jest to coś podobnego, jakbyś brylant w najkorzystniejszym świetle ustawił. Tu mógł uczuć król, co tracił. Odtąd dużo przeszło lat — Kraków nieraz gorzał. Ostatni raz takie straszne widowisko powtórzyło się w r. . . Już nie było króla, coby patrzył na to i płakał. Ciekawy jestem, czy luna rozwieszona na niebie, jak czerwona chorąg

giew pożaru, czy kłęby czarnego dymu, buchające z płomienistych sklepieni ognia, wywabiły mnichów z celi, czy gorący oddech ognia czuć było w ich piersiach i na ich twarzach, czy który z tych kamiennych posągów przemówił wtedy więcej jak „Memento mori” — czy który zapłakał? —

Mnich usiadł przy marmurowym stole, położył książkę, ale nie czytał — patrzył. Poranny szron roztąjał w słońcu, dyamentowemi kroplami staczał się po gałęziach i upadał z szelestem na zwiędłe liście. W oprawie ciemnych świerków widno było w dali Kraków za mgłą, jak za szafirową szybą, co zaszła parą. Od maryackiej korony odbłyśkiwało słońce. Mnich zapatrzył się w ten świecący punkt. — Szmer kroków odwrócił uwagę, spojrział za siebie. —

— Leon! —

Leon rzucił się w otwarte ramiona ojca Adryana. —

Marmurowa twarz mnicha zapłonęła, rumiany obłok radości przeleciał po niej; krew poczęła krążyć w posągu, oczy rozjaśniły się, jakby promień słoneczny je przeszył, ale poważny spokój nie opuścił go — złożył pocałunek na głowie

młodzieńca, i czas jakiś trzymając tę głowę w swych rękach, przypatrywał się z ojcowską miłością i zajęciem.

— Wróciłeś? — spytał, głos jego drżał nieco.

— Musiałem, powinienem.

Takie było przywitanie opiekuna i wychowanka, mistrza i ucznia. Potem usiedli i poczęła się rozmowa.

— Musiałem, powinienem był wrócić, mój opiekunie — powtórzył młodzieniec. — Aż tam doszły mnie bolesne wiadomości o Krakowie, że martwota grobów przeszła do ludzi, że wszechnica Jagiellońska znaku życia nie daje, że wszystko zbeczynniało, zgnuśniało, stanęło jak woda w kałuży i zgnilizną czuć. Takie krzyki podnieśli ludzie i pisma

— to mnie dotknęło mocno. Na moje miasto rodzinne rzucono ślinę pogardy; wstyd palił mi twarz. Chciałem bronić, ale mi pokazano dowody. Wróciłem więc, chcę pracować nad sobą i nad innymi, trzeba hańbę zetrzeć z czoła. Jeżeli kamyk rzucony w wodę daje początek ruchowi fal, czyż usiłowania człowieka w społeczeństwie mogą przepaść bez śladu? — Ta myśl mnie tu przygnała.

Ty wiesz, mój ojcz, jakie straszdyła podnosiły ztąd ku mnie ciemne palce i groząc mówiły:

"Nie wracaj," znasz moją przeszłość, wiesz dobrze jakie nieprzyjemności, jakie bolesne zajścia czekają tu mnie, drzę, bym się nie zeszedł z tymi ludźmi, od których powinienem być bardzo daleko — a jednak wróciłem, bo ta myśl jak magnes ciągnęła mnie tu i przeważyła nad innymi względami. Gdzie idzie o wszystkich, zapomniałem o sobie. — To wszystko, co ci miałem powiedzieć.

Skończył i zwrócił na mnicha oczy, czekając na jego słowo. Ten miał ręce wsparte na stole, sklepienie złożonych dłoni rzucało cień na jego twarz, — zamyślił się. Po chwili począł mówić niby do siebie — strumień słów płynął z ust jego poważnie, spokojnie jak rzeka, gdy wstępuje do morza.

— Więc miasto nie daje znaku życia. Tak, to się nieraz dzieje, po ciężkich katastrofach nieraz taka ołowiana cisza przygniata ludzi. — I w królestwie przyrody są takie chwile. Burza poobala dęby, naniesie mułu i kamieni i podnosi się wał nie przestępny, strumień życia zatrzymuje się, i to, co powinno płynąć naprzód, cofa się wstecz, rozlewa się szeroko a płytko, i z rzek tworzą się bagniska, moczary, kałuże; taki spokój to powolne niszczenie, zgnilizna, zaraza,

w takiej ciszy lęgną się gady. Nad moczarami kilka namiętych dusz pali się bez celu i bez skutku, jak błędne ognie. I uczeni za brzegi swoich ksiąg nie wychodzą wzrokiem, i ludzie nie umieją się wygrzebać myślą po za koło codziennych zajęć, nie widzą jutra, celu przyszłości; przy odrobinie dobrego bytu materialnego, jak przy słońcu wyciągają leniwe członki i jak chorzy mówią: lepiej mi dziś. — Taki spokój grzech, taki spokój śmierć, — trzeba rozerwać zapory, zesunąć z drogi zasieki, rzecze stojącej, pełnej żółtych szumowin i mętów, wrócić ruch, życie. — — Gruzy przysypały tradycją czynu — trzeba ją odszukać na nowo. Kiedy żydostwo wróciło z niewoli do resztek miasta, szukało także wśród gruzów ognia świętego. I znalazł się stary żyd, który im pokazał to miejsce. U nas starzy stracili pamięć czynu, przeszło więc na młodych, by odszukali ten ogień święty zapału w sercach swoich i przy tem świetle poczęli budować świątynię na nowo. Starym wypadły chorągwie z omdlałych dłoni, pokładli się na nich leniwi i śpią. Taki spokój, to śmierć. Bo są dwie cisze w życiu i w naturze, jedna pozorna, druga rzeczywista, cisza, która pracuje w głębi jak przyroda

pod białym nakryciem śniegu — a druga martwota, śmierć. W takiej ciszy posnęli ci starzy. Mają zgnić pod nakryciem ich ciał narodowe znaki? Nie, na Boga nie! Młodzi nie powinni dopuścić tego, młodzi wyrwą z pod nich te chorągwie i pójdą naprzód. Będzie dużo krzyku — starych przebudzi ten ruch i oburzą się na tych, co im sen mącą. To nic. Starość nie zawsze ma prawo przewodztwa, stracili hasło, nie stać ich nie już na czyn, ale na słowo, co by pchnęło młode szeregi naprzód, więc stać się musi zmiana frontu i starzy zostaną w tyle. Światu trzeba dziś młodego ducha, gorącego serca, by nie zeszywniał, nie zamarznął. Tylko młodość zdolna tworzyć wielkie rzeczy bo ma ogień zapału, a nie zna samolubstwa. — Napoleon miał lat , kiedy zwycięstwami włoskimi przeraził Europę, bił się dla Francji, dla idei wolności i był wielkim. Potem bił się dla siebie, z młodego bohatera stał się tryumfator, despota — i upadł. Słusznie więc zacząć od młodzieży — młodzież to byt nasz, to przyszłość nasza. Chcąc ożywić społeczeństwo, trzeba rozbudzić ducha w młodych, on się udzieli dalej. W młodzieży jest potęga, ale nie w pojedynkach, tylko w łączności —

razem. A obok braterstwa — winna być siła moralna, szlachetny ogień w piersiach, któryby wypalił i zniszczył wszelką nieczystość. Na takich fundamentach trzeba budować umiejętność. Nie zapominajmy, że nauka to nie cel życia, ale środek do niego, i nauka nie dla tego samego, który ją posiadał, jeno dla społeczeństwa; trzeba więc myśleć jak orła pchnąć w górę, rozpatrzeć się w potrzebach, rozmiarach i drogach tej ludzkości i dopiero utonąć w księgi, a wtedy pył ich nie obsiedzie nas, nie zapleśniejemy; wtedy z pomiędzy ksiąg nie wyjdą wyrobownicy pracujący na chleb, ani uczone półmędrki, ale mędrcy, ludzie czynu. Apostolstwo twoje więc ma piękny, rozległy cel. Grzeszyłbym wstrzymując cię za poły i odradzając choćby jednym słowem. Tobie owszem zachęty potrzeba, bo droga trudna, praca podwójna: nad sobą i nad drugimi, praca w sobie nad doskonaleniem ducha i serca, i praca w społeczeństwie. Jesteś jak żołnierz, który się jeszcze dobrze mustry nie wyuczył, ale mu dowodzić kazano, bo dowódców nie ma; pracować więc musi ciężko, podwójnie. Trzeba wam przewyższyć starych nauką i zasługą, a zostawić im doświadczenie, z którego się nie nauczyli nic więcej —

jak samolubstwa i beczynności. — Wy ich każdą i bronią pokonać musicie: nauką, pracą, miłością, poświęceniem, wszystkim, nie zostawieniem żadnej broni, którąby mogli szermować przeciw wam —

Widziałem już takich, którzy rzucali się na tę drogę, rozbudzali w innych życie, ale im brakło czasu i siły pracować nad sobą — zostali w tyle, bez stanowiska, bez zatrudnienia, z wielkimi chęciami, ale małą nauką, i słowo ich straciło potęgę, poszanowanie, w ich chęci nie uwierzono, upadek ich odstraszył innych i zmarnieli. Chcąc przodować, trzeba we wszystkim stanąć na czele.

Mów mało, a czyni wiele. Potęga słowa dziś zużyta i nadużyta, kłamstwo i fałsz i złe słowa fałszować umie, tylko w czynach jest prawda. Słowami odurzysz, ale tylko czynem, przykładem dobrym przekonasz, pociągniesz za sobą. Życie twoje niech będzie czyste jak ogień i gorące jak ogień, niech rozpali innych, wtedy kilku słowami jak młotem uderz w to rozpalone żelazo, a skutek będzie.

Idź tą drogą, droga choć przykra ale piękna, droga zasługi. Lecz pierwszej przejrzyj do dna swoją duszę, zobacz, co za siła pcha cię w ruch.

Jeżeli czujesz w sobie tylko podszepty dumy, jeżeli na tę drogę, wstępujesz z uczuciem tryumfatora dla poklasku, jeżeli podejmujesz pracę, aby potem powiedzieć z dumą: ja to zrobiłem — to zwróć się z tej drogi, póki czas. Bo na tej drodze, obok odrobiny słabych poklasków, będą szepty złych ludzi, oszczerstwo jak gad i ciernie położy ci się pod nogi, ludzie złej woli wyśmieją szyderczym śmiechem twój zapał, najlepsze chęci twoje spotwarzą, zbezczeszczą, oplwają, zdepczą. Trzeba będzie to wszystko znieść, przecierpieć dla zwycięstwa tej idei, której się poświęciłeś. Na to potrzeba nie dumy, ale Chrystusowej pokory, świętej cierpliwości i łagodności; nieraz trzeba ci będzie ciszyć namiętne rozkołysanie rozbolełego serca, przenieść wiele, przebaczyć wiele. Taką jest twoja droga. Jeżeli chcesz znaleźć na niej swoją wielkość, to się wróć, bo tam ponizenie. Bez krzyża zabłądzisz na tej drodze, ludzka złość zburzy żółć w tobie, pluniesz na wszystko, porzucisz zaczęłą pracę, zwątpisz, opuścisz ręce i staniesz się mniej użytecznym, niż najlichszy, zwyczajny pracownik — zmarniejesz. —

Mnich przestał mówić — młodzieniec nie przerwał milczenia, słuchał jeszcze. — Ktoby mógł

zajrzeć teraz do jego duszy, zobaczyłby coś podobnego do przepaści, w którą upadały słowa mnicha; długo powtarzał się łoskot ich uderzeń o ściany. — Po długiej pauzie ojciec Adryan zapytał:

— Dawno jak przyjechałeś?

— Dziś trzeci dzień dopiero. — Poznałeś się już z kim?

— Tak, przypadek zbliżył ranie do jednego młodego człowieka. Poczciwiec zapoznany — opinia go potępia.

— Czemu?

— Podejrzany. . .

Mnicha twarz sponsepniała, zachmurzyła się, na chwilę zamilkł, jakby wahał się, potem rzekł:

— Poznałeś dobrze tego człowieka?

— Przypadek zrządził, zem podśluchał tajemnicę jego serca.

— To nie był przypadek — mruknął mnich półgłosem. — Ha stało się, a jednak ja niekontent, że się tak stało. To złe, to pierwszy krok nieszczęśliwy na twojej drodze.

— Ależ ojciec, to człowiek zacny, tylko pozory ...

— Człowiek taki jak ty, wstępujący na drogę

takiej pracy, powinien być czystym nawet od pozorów. Przypomnij sobie Maurycego Mochnackiego w rewolucji listopadowej, bystry wzrok jego widział całą płataninę intryg, jaką ludzie złej woli rzucali pod nogi ludu, i ostrzegał i wołał na dobre drogi. Głos jego, jak proroctwa Kasandry, przeleciał nad ludem— czemu? To było straszne następstwo za jeden niebaczny krok w jego życiu, i chociaż ten krok nie był występny, ale miał pozór występku. Ludzie złej woli zranili go w tę słabiznę, pozór był dostatecznym, by go potępić w opinii i zbezwładnić.

— Jakto, więc cnota, więc prawda na tak słabych stoi podstawach, że lada pozór zepchnąć ją w błoto i zdeptać potrafi? — zagadnął młodzieniec, a w jego głosie czuć było boleść i uciśnienie wewnętrzne.

— Prawda zwycięży — to dogmat; ale mój Leonie do zwycięstwa nie jednej chwili, ale długiego czasu potrzeba. Są prawdy, są prawa Boże, co od wieków walają się pod nogami ludzkiemi, strącone z pedestałów, zdeptane, czekają na dzień swego odrodzenia i ten dzień przyjść musi. Wielom już przyszedł ten dzień. Ja to się nie lękam. Pozory nie szkodzą prawdzie, ale szkodzą ludziom. Cóż z tego, że z czasem pokaże się, żeś

był niesłusznie potępiony, kiedy czas, w którym mogłeś pracować dla ludzi, być użytecznym, minął, kiedy źli ludzie, chwytając za pozory, umieli cię zbezwładnić wtedy, kiedyś trzymał w rękach chorągiew czynu rozwiniętą, kiedyś był w marszu? Patrz na mnie! Co mnie wypchnęło ze społeczeństwa, co przed czasem zagnało w tę ustron, jeżeli nie pozory? Bóg widzi, jak chciałem się wygrzebać z tej przepaści, w którą mnie potwarz wtrąciła, czuję siły w sobie i chęci, a jednak daremno. Nie mogłem sobie zdobyć ani piędzi ziemi, najmniejszego stanowiska, na którym mógłbym pracować i być użytecznym. Moje nazwisko było skompromitowane — straciłem wiarę u ludzi i ich szacunek. Pozór nie tylko mnie szkodził, ale i tym, do których się zbliżyłem. Pamiętasz scenę w Warszawie, która mnie ostatecznie zmusiła rozstać się z tobą? Mój cień padał i na ciebie. Ja nie mogłem pozwolić na to, bo ty masz przyszłość przed sobą.

— To były tylko przywidzenia mój opiekunie, przesadzone skrupuły, które mnie pozbawiły najlepszego przyjaciela, najpotrzebniejszego doradcę i mistrza — rzekł młodzieniec wzruszony i pochylił twarz na piersi mnicha.

— Nie straciłeś nic na tem moje dziecko.

Słowa moje są z tobą i serce moje przy tobie. Com w duszy zebrał skarbów doświadczeniem, nauką, rozmyślaniami — to wylałem na ciebie: dziś czara próżna, niewielebyś z niej zaczerpnął, a moje towarzystwo mogłoby ci wiele szkodzić. Trzeba nam szanować opinią. Opinia, głos ludzi, to wielka rzecz. Dziś ona błądzi po manowcach, ale przyjdzie czas, że opinia to będzie jedyny i ostatni trybunał czynów ludzkich, dla tego nam nie wolno pomiatać tem dzieckiem w pieluchach, choć teraz do świecideł i błyskotek wyciąga rączki, bo ono kiedyś wyrośnie na sędziego naszego. Dziś nawet ileż brudnych zamiarów, zbrodniczych pomysłów chowa się w cieniach dusz ludzkich i nie śmie wypełznąć na słońce — jedynie ze strachu przed opinią. Dla tego nie gardzić nam opinią, choć czasem koło jej przejdzie po piersi niewinnie potępionego i zdruzgocze go i wyrzucić każe za granicę społeczeństwa. Mnie tak odrzucono! Mnich westchnął z głębi piersi.

Podczas rozmowy trzymał w rękach haftowaną w desenik zakładkę od książki i bezwiednie szarpał ją i skubał, wyciągając pojedyncze nitki.

— Patrz — mówił dalej, pokazując młodemu zakładkę — w społeczeństwie drogi ludzkie tak

się plączą, wikłają i wiążą, jak kolorowe nitki tego haftu. Wyciągnij jedną, a pozrywasz lub nadwerezysz inne — oh — wyciągnąłem różowe pasmo, jak haft osłabił, jak czuć brak tego koloru w różnych miejscach. To człowiek potrzebny w społeczeństwie; usunie się, czuć brak, usunie się dobrowolnie — to grzech. Ale są ludzie odosobnienia, ludzie, których związki ze światem pozrywane, ludzie bez rodziny, krewnych, bez stanowiska, pojedynki odosobnione, jak te czarne nitki stanowiące tło, każdą wyciągniesz łatwo, próżnią po nich zastąpisz inną nitką — to ja i mnie podobni. To mówiąc wyciągał nitkę, ale nić się zaczepiła, pociągnęła inne w jeden punkt. Mnich pociągnął silniej, urwał ale nie wysunął.

Błady uśmiech przeszedł po jego ustach.

— Omyliłem się, złe było porównanie. Złe widziałem — ta nitka, co mi się zdawała odosobnioną, była zaczepioną o inne, była potrzebną.

— Tak jak ty, ojczu.

— O nie, co do mnie nie omyliłem się — rzekł zapadając napowrót w posepność — jam nie potrzebny już był, co więcej zbytecznym. Odrzucono mnie na bok — ja już ze światem skończyłem.

W tej chwili dzwon się odezwał na wieży i tłukł się echem po cichych murach pustyni. Mnich się podniósł.

— Dzwonią na nieszpory — trzeba nam się rozejść. Jak ten czas szybko bieżał. Bądź zdrow — to pożegnanie może na bardzo długo, bo ustawy naszego zakonu zabraniają stosunków ze światem; już to, że czasem wolno pomówić z blizkim, jest przestąpieniem reguły, zwolnieniem. Ale może ci będę kiedy potrzebny — w jakiej stanowczej chwili — to przyjdź.

I szli obaj środkową drogą przez wirydarzyk. Mnich trzymał młodzieńca za rękę i oczami spoczął na nim; jakieś uczucie rzewne, gorące paliło się za szkłem tych oczów. O! ten człowiek nie całkiem jeszcze umarł, nie zerwał jeszcze do ostatka ze światem. Zwolnił kroku jakby chciał przedłużyć drogę.

— Zmężniałeś Leonie.

— Tak uważasz ojczy? —

— Lepiej ci z tem, byłeś zawsze taki wątry. A to ważna rzecz, czy posąg ze spiżu, czy z gipsu.

Znowu umilkł i przyglądał mu się. To już nie był mistrz nauczający, tylko ojciec, którego widok syna przejmuje radością.

— Wszak nie skończyłeś jeszcze dwudziestu dwóch lat, prawda?

— Za miesiąc skończę.

— Tak, tak, jak te lata leca.

Szli powoli, ale dojsć w końcu musieli do drzwi zakrystyi. Mnich pocałował młodziana i pożegnał.

— Niech cię Bóg błogosławi — rzekł i wszedł do kościoła. Młodzieniec wyszedł za furtę klasztorną — w świat.

Jest przy bramie wchodowej na boku za figurą pagórek nie wysoki, tuż obok muru klasztornego. Kiedyś musiała tu stać jakaś kapliczka, figura lub coś podobnego, domyślić się tego można z cegieł i gruzów co sterczą z pod trawy. Dziś macierzanka i rozchodnik pokryły wzgórek. Na wzgórku owym, gdy Leon wychodził z klasztoru, stał jakiś nie młody już mężczyzna — twarz jeszcze pełna życia i zdrowia, choć włos już siwiał. — Obok niego stała jego córka. Oboje z zajęciem rozglądali się po rozległych obszarach ziemi widnych z tego pagórka.

— A to Ojcaszku, co się tak bieli nad rzeką, co to? skała czy zamek? — pytało dziewczę.

— Gdzie, gdzie Helenko? — i ojciec dłoń jak daszek przyłożył do czoła.

— O, tam! — widzisz Ojcaszku? Teraz słońce oświeciło dobrze — to jakaś ruina.

Ojciec nie znał okolicy — nie wiedział. Na szczęście właśnie wychodził młody człowiek z klasztoru — zagadnął go więc:

— Daruj pan, że zapytam, bo my nie tutejsi, co to widać tam?! —

Panienka odwróciła się także ku młodemu i patrzyła w niego z zajęciem tak, jak się czasem patrzy w ciekawą książkę. Leon spojrział na nią — i zmieształ się. Panienka, co stała przed nim na pagórku, miała aksamitny płaszczyk i takiż kapelusik z popielatą woalką. Teraz woalką nie zasłaniała twarzy, ale odrzucona unosiła się nad nią jak lekki dym nad kwiatem. Dodać tu jeszcze muszę, że cała giętka postać dziewczyny miała za tło do połowy las zielony, a dalej błękit nieba.

— O, tam panie — powtórzyła za ojcem i pokazała rączką.

Leon znał już ten głos i tę rączkę;

— To Tyniec.

— A, Tyniec — powtórzyła przeciągle jakby przypominając sobie, i przypomnienie paluszkami przytrzymała na czole

— to opactwo zniszczone.

— Tak. —

— Dziękujemy ślicznie — rzekł ojciec i on i córka ukłonem pożegnali go.

Leon schodząc z góry nucił sobie przez zęby coś bardzo wesołego. — Na dole zobaczył czekający powóz, mijając go zapytał woźnicy:

— A czyj to powóz?

— Pana hrabiego Zatorskiego.

— Hrabiego — powtórzył cicho jak echo i poszedł dalej. Już nie nucił więcej i sam nie wiedział dla czego, ale nie rad był, że się zapytał.

IV. KRAKÓW PRZED ROKIEM .

Wiemy już, po co Leon przyjechał do Krakowa, Zanim rękami dotknie starego paralytyka i iskrę elektryczną puści w jego ciało, rozpatrzmy się nieco w stosunkach miejscowych.

Kraków upadać już począł od czasu przeniesienia stolicy do Warszawy. Nie było to miasto ani handlowe, ani przemysłowe; cała świetność

jego i zamożność szła od blasku królewskiej korony, nawet stosunki jego z Hanżą zawiązały się przy tem świetle. Kiedy więc potok życia publicznego, który wrzał i szumiał w tych murach, rzucił się w inne koryto, miasto się wyludniło i stało podobne do wyschłego łożyska. Warszawa dźwigała trony królów, do Krakowa odsyłano ich trumny, tam było życie, tu po opustoszałych murach wałęsało się wspomnienie życia, tam tętniło serce narodu, tu słyhać było ledwie słabe uderzenia jego pulsu. Z braku ruchu miasto zastygło, skrzepło i zachowało charakter średniowieczny. — Kościoły były jego wyrazem. Warszawa stawiała pałace, a od pałacu nagły przechód do Starego miasta; królewski zamek stoi pośród magnatów i klasy małomieszczańskiej. W Krakowie wyrobiła się arystokracja mieszczańska, poważna, mająca trochę nienaturalności a więc sztywna nieco. Trochę staroniemieckiej flegmy było w mieszczaństwie wyższem.

Tak było do roku .

Zdawało się, że to miasto zyskując tak świetne warunki w porównaniu do innych miast Polski będzie umiało korzystać ze szczęśliwej chwili i przy tej odrobinie wolności nadanej rozwinie się, podniesie, rozrośnie. Nie mówię już o prze

myśle, o handlu, bo może i nie godziłoby się takie poważne lica naszej przeszłości, takie muzeum okopcać dymem fabrycznym — z powagą i ciszą grobów może nie zgodziłby się gwar jarmarczny i turkot machin; — ale sztuki, ale umiejętność, ale życie narodowe, towarzyskie gdzież jeżeli nie tu przytułek znaleźć winny? — Z całej tak rozległej Polski jedyne miasto, któremu zostawiono trochę swobody, trochę wolności — to też tu powinno być słycać uderzenia narodowego tętna — tu winny być usta narodu — tu ognisko życia.

Tymczasem stało się całkiem inaczej. Kraków przyjął tę wolność nie jak syna, co w dom powraca pomagać ojcu do pracy, ale jak kapryśną żonę, o którą mąż się obawia, by za łada obrazą nie frunęła znowu z domu z jakim amantem; więc chodzi na palcach, mówi półgłosem, boi się kaszlnąć, kichnąć, ziewnąć, a wszystkie męki dla tego tylko znosi, aby sobie mógł powiedzieć: "jest, nie uciekła". Kraków się cieszył wolnością, była to radość skapca. Obawa utraty tej wolności zbezwładniła go. Ta wolność jego, to był największy despot, jaki go uciskał. Ztąd się też stało, że kiedy gdzie indziej pod skorupą niewoli wrzało życie, tu było cicho i głucho, — było „dobrze!”

Po trzydziestym pierwszym roku położenie stało się jeszcze trudniejsze. Martwota grobów przeszła do ludzi. A przecież z takich grobowców, jakie stoją przed obliczem tego miasta, nie martwota iść powinna na ludzi, z takich grobowców pełnia życia oddycha. Jeżeli murom, co czas swój przeżyły, wolno się pokłaskać gruzem, to ludowi, co wśród nich się roi, grzechem jest sen bez pracy. — Ale Kraków nie spowiadał się z tego grzechu nigdy. Na dowód niewolności wolnego miasta, dość przytoczyć, że w egzemplarzu „Zbieracza literackiego" z r. cenzura (cenzorem był K. Majeranowski) wykreślała takie wyrazy jak: ojczyzna (zamiast tego: kraj), wojenny (rycerski), zamiast rewolucya francuzka — zmiany i t. p. — Czemże ta wolność różniła się od despotyzmu? —

Niedawno temu, na naszej scenie przedstawiono, nie pamiętam już dobrze czy „Zaręczyny djabła", czy „Zaślubiny w piekle," czy coś podobnego. Nędzna farsa niemiecka, lichy przerobiona, ale w tej komedyjce jest jedna figura, którą możnaby wykuć w marmurze i postawić na bramie i podpisać: „Kraków". Jest to obywatel dość poważny, dobrze żywiony (czego są dowody), serdeczny, poczciwy, to jest: że nikomu

nie chce źle zrobić, ale energii ani za grosz, ani za fenig. Po za dom nosa nie wystawi, a w domu nie pragnie od swej małżonki niczego tylko spokoju — do trawienia.

Jest to przykry, ale niestety wierny obraz naszego miasta. Konstytucya nadana była karłem, na którym rozparł się podtatusiały lud, aby odpoczywać, zdrzemnąć się przy kominku. Dwa razy ten wygodniś ruszył się, kichnął, ale to nie

od siebie, francuskiej tabaki do tego trzeba mu było. Podniósł się wtedy, zarumieniły się policzki z natężenia, sąsiedzi powiedzieli „vivat” — odklonił się i usiadł Ruch, co nie wyszedł z niego, nie zostawił także śladów po sobie. Są ludzie, którzy taki stan obojętnego spoczynku, w którym ani źle ani dobrze nie czynią, nazywają cnotą — i umarliby z tą myślą, gdyby im kto nie powiedział, że to występki. To usposobienie miasta skryzlowało się w stereotypowych wyrażeniach. U nas „polityką się zajmować” — to znaczy: gazety czytać; „patryotą dobrym” jest ten co „po polsku chodzi”. Te wyrażenia same oskarżają, choćbym ja milczał. A milczeć trudno — dotykam słabości naszych, by je wyrzucić na śmieć i pokazać przez okno: patrzcie, to było w nas. Milczeć

trudno, bo mnie boli, żeśmy upadli, że nasi bracia z politowaniem patrzą na nas, że pracy naszej nie znać, że idziemy jak niewolnik do pracy, a nie jak gospodarz. Małość nasza tym wybitniejsza, że stoimy na gruzach wielkości — od nas zależy, czy w wielkiej świątyni narodowej staniemy jako kapłani przy ołtarzu, czy jako dziady w kruchcie. Charakterystyczną cechą Krakowa jest życie rodzinne. W większych miastach rodzina powiększając się, rozmnażając — dzieli się zarazem i każda cząstka stanowi początek nowej rodziny, taki rozdział stać się koniecznie musi już z powodu rozległości miasta, odmiennych zajęć i stosunków, często z powodów czysto ekonomicznych. — U nas, gdzie te przeszkody nie zachodzą, rodzina staje się ogromem rzadko kiedy rozdzielnym. Na przechadzkach, na zabawach, na zgromadzeniach — wszędzie występują nie ludzie, nie małżeństwa, ale rodziny. — Nie mam nic przeciw życiu rodzinnemu, owszem, życie rodzinne jest podstawą narodowego; gdzie nie ma rodzin, tam nie ma narodu, ale jeżeli życie rodzinne całkiem zużytkuje ludzi, obraca ich na swoje usługi, jeżeli po za ten mur nie wychodzi się, jeżeli w ojcu rodziny utonął obywatel, wtedy takie

życie rodzinne rozdrabia siły narodu, niszczy go.

— Trzeba przypatrzeć się życiu krakowskiemu, żeby zrozumieć co znaczy tutaj rodzina.

Rodzina to kasta, to kółko ściśle zamknięte, złożone z blizkich i dalekich krewnych — ściśle oddzielone od innych. Tu się wzajemnie żenią, admirują, bawią — obmawiają, rozumie się, że nie siebie, cieszą się, smucą, pobbłają i t. p. — Co za tem kołem — to obce, obojętne. Wdarłszy się przypadkiem do takiej fortecy, dziwisz się zastawszy nieraz nieznanymi geniuszów, artystów, ludzi wielkich na małą skalę, bohaterów niektórych przygód, talenta, o których w drugiej rodzinie już nic a nic nie słyhać. Rodziny mają swoje uprzywilejowane spacerunki, swoją upodobania, swój odrębny sposób myślenia, zapatrywania się, zwyczaje — słowem odrębne państwo. Życie rodzinne absorbuje całkiem obywatela dla siebie; od tego ogniska, gdy przyjdzie wyjść na ulicę do życia politycznego, obywatel krakowski nabawia się kataru i słabnie; w pierzynkach owego szczęścia zleniwił hart męzki. Miękkosć i zasiedziałość obywateli krakowskich stają się historycznymi. W życiu publicznym jeżeli wypadki gwałtem ich wyciągną do tego, obywatel ten dziwnie jest nieradny, krząta się, goni, poci

się, ale więcej złego jak dobrego zrobi, mimo najuczciwszych nieraz chęci. On tam wygląda jak stary sługa cichego domu, któremu nagle kazano usługiwać na wielkiej fecie, więc lata, chce usłużyć a tłucze szklanki, potrąca lokai z półmiskami, nadeptuje panom na nogi i t. p. — Nic dziwnego, do każdej rzeczy potrzeba wprawy — a tu jej nie było —. to też powaga obywatelska taka wspaniała w stanie spoczynku, ruszając się szwank ponosi. Ta sama ciężkość robi go niezdolnym do wszelkiej usługi obywatelskiej. Chciej od obywatela krakowskiego, aby się zajął twoim interesem i ułatwił — nie ma czasu; aby cię wspomógł w potrzebie, nie ma pieniędzy, a w tej samej chwili wciągnie cię do sklepu jakiego na śniadanko, naco czas i pieniądze się znajdują. Uściska cię i obcałuje — roztworzy serce. Jest serdeczność bez użyteczności.

Powaga — to także charakterystyczny rys Krakowa. Myliłby się, ktoby ją uważał jako wykwit wewnętrznej siły, wyrób ducha — jest to powaga przybrana, miasto się w nią stroi jak w surdut świąteczny. Powaga ta stoi na straży obyczajów i zwyczajów, jak mistrz ceremonii.

Obywatel nie rozróżnia co dobre a co złe, jeno co przystoi, a co nie przystoi. I tak: nie

nie przystoi obywatelowi krakowskiemu chodzić w miejsca nie uprzywilejowane. Są uprzywilejowane spacery, sklepy, kościoły i t. d.

Przyzwoitość to chorobliwy wyrób duszy, której brak stałej podstawy moralnej — przyzwoitość nie prowadzi do cnoty, tylko do pozorów cnoty — Chrystus Pan nic uczył przyzwoitości. Tymczasem dla obywatela krakowskiego to kodeks moralności; — człowiek przyzwoity to ideał jego, do którego idzie drogą ubitą przez inne powagi; zboczyć jest to stać się dziwakiem, szaleńcem.

Nie mieć przywileju — to znaczy w Krakowie tyle, co być nieznanym i gorzej jeszcze, bo to znaczy być skazanym na zapoznanie. Zasługa i zdatność stoją, na drugim planie, często może się bez nich obejść. Byli ludzie, były familie uprzywilejowane do krzesel senatorskich, do biletów doktorskich, do katedr, do warsztatów, — było nawet uprzywilejowane ubóstwo. To także były kółka, kasty, bastiony, albo jak je tam kto chce nazwać. Wedrzeć się w nie. było niepodobieństwem, komu się to udało, by! wtrętem. Człowiekowi nieuprzywilejowanemu lub nieprotegowanemu, również trudno było dostać się na krzesło senatorskie, jak na dziadowski kamień pod cmen

tarzem. Nawet literatura była przywilejem pewnych ludzi, wszystkie wyroby innych były ściśle poszukiwane krytyką i prześladowane — to była kontrabanda. — Nie chcemy tu uwłaczać talentom i zasłudze tych ludzi — owszem, Kraków ma im to zawdzięczyć, że go rozbudzili nieco, jeżeli już nie do czynu, to przynajmniej do mówienia, do pisania; przed tem był zupełny brak życia intelektualnego, mieliśmy wszechnicę, a był brak ludzi pióra. Ale też tutaj zaczyna się i kończy zasługa tych panów. — Średniowieczny duch miasta owiał ich i zamroził, i to co było chorągwią, stanęło i nieszło naprzód, i co dziwniejsza, nawet obrotne chorągiewki, powolne kochanki różnych prądów, także stanęły, — utworzył się cech ściśle ze sobą związany wzajemną admiracją, wzajemnem pobłażaniem, względnością, tu był areopag uzurpujący sobie władzę nad życiem i śmiercią prac literackich nieuprzywilejowanych, — tu było ognisko oświaty, do którego nie wolno było więcej drzew dorzucić, areopag orzekł: że to wystarczy. — Ale nowsze pokolenie, jak nowy przypływ wód, naniósł ze sobą także jakichś ludzi z piórami w rękach, i uczynili skrzyp piór po papierze. Cechowi wyjrżeli i zdziwili się, że oprócz nich znaleźli się jeszcze jacyś ludzie,

którzy ośmielili się pisać. „Nie znamy ich” — postanowił areopag i zatrzasnął im drzwi przed nosem, a jeżeli już konieczne trzeba było przyjąć jakiego pomocnika, rozumie się przez protekcją, to mu otwierano furtkę od tyłu. I cóż się stało? Jaką korzyść miasto odniosło z tego monopolizmu?

Wśród tego nowego napływu może były prawdziwe talenta, a z pewnością był zapal, była chęć, którą trzeba było pokierować. Ale założono przed nimi główny gościniec, położono zapory, zostawiono własnym siłom, zostawiono bezdroża. Tylko geniusz łamie zapory, parabolicznym rzutem myśli przenosi się za głowy ludzi współczesnych i odgaduje drogi przyszłe — talenta często rozbijają się o te zawady i marnieją. Tak się tutaj stało. Młodzi zostawieni sobie, poczęli błądzić po bezdrożach, pogardzeni, zmuszeni byli pogardzać nawzajem, niewpuszczeni w głąb tajemnic areopagowych, mając przed sobą tylko zewnętrzną ich, sztywną, zaschłą i zastygłą formę, poczęli ją lekceważyć — prace starszych mierzyli siłą swojego zapalu, i rozumie się, że ta miara pokazała im ich wyższość, ztąd zarozumiałość, zapoznavanie powag, duma, czyli innem słowem powiedziawszy: upadek — ci ludzie zmarnieli

a przynajmniej marnieją, ich zapal strawił się na bezużytecznej szermierce, na błędnych drogach, z których nieraz wracać trzeba było.

Przypuśćmy teraz, żeby ów cech uprzywilejowany roztworzył im swoją bramę, wprowadził do tego muzeum archeologicznego i pokazał im prace wieków i doczynek własnej pracy.

Ten ogrom zdeptałby młodzieńczą junakieryą, zarozumiałość, a zdwoił zapal do pracy, i młodzi ci zwerbowani pracownicy, widząc, co dotąd zrobiono, budowaliby dalej. Byłby to rodzaj naukowej wystawy, która w skutkach pokazuje zbawienny wpływ na rozwój. U nas, przy braku prac bibliograficznych, publicznych czytelń, wielkich zakładów księgarskich, tylko, podobna łączność może rozbudzić ducha, wpłynąć korzystnie na wzrost umiejętności i sztuki Między pokoleniem, co pracowało, a pokoleniem, które przychodzi do pracy, nie powinno być przerwy, starsi młodym nietylko księgi ale i tradycją swych duchowych zdobyczy zostawiać powinni. — Przypływ młodej generacji

oddziaływa także korzystnie na starszą — po zapyłonych książkach i pracach ich przelatują błyski nowego ducha, świeżego zapachu. Każde pokolenie przynosi ze sobą jakąś odrobinę własnych pojęć, a przynajmniej instynktów —

złanie się, wzajemna wymiana nie bez korzyści dla stron obu.

Jeżeli w naszym mieście inaczej się stało — wina nie po stronie młodszych; każdy młody człowiek zmarniony na tych drogach — to grzech, co zacięży na sumieniu starszej generacji. Każdy sumienny człowiek przyzna mi że w tych słowach nie ma odrobinki nawet przesady, owszem kreśląc ogólny szkic tych stosunków siliłem się na umiarkowanie, hamowałem namiętniejsze niekiedy drgania pióra, aby nie uwłaczać ważności sprawy i prawdzie — starałem się o spokój nad wiek i usposobienie. Nie wytykam palcem jak ulicznik, ale się skarżę jak człowiek, który chce dobra. Stan ówczesny ludzi pióra w naszym mieście, starszej i młodszej generacji, przyrównał ktoś do obozów nieprzyjacielskich i nazwał jednych literaturą tryumfującą a drugich wojującą. Smutnie to mówić tak o zastępach, których cel winien być ten sam, ale niestety prawdziwie powiedziano. Starsi oszańcowali się w mieście, przez które młodsze pokolenie przejść powinno, aby iść naprzód. Zamiast pochodu — oblężenie, siła i zapal potrzebne do marsza zużytkują się na niepotrzebną i niezaszczytną walkę.

Nie wątpię, że nie jeden z młodych szermierzy wejdzie do tego zamkniętego miasta drogą układów, ale kiedy? Gdy utraci energię młodzieńczą, zapal, który wielkie rzeczy tworzy; gdy z człowieka stanie się uczonym, z postępowego konserwatystą, i na bystry wzrok wsadzi kolorowe szkła archeologiczne, gdy twarz straci barwę życia. Wtedy czeka go zaszczytne miejsce członka Towarzystwa naukowego i w gazetach doniesienie: „Uczony nasz i zaszczytnie znany N. N. opuścił mury naszego miasta na czas niejaki, udając się do tej a do tej prowincyi dla poślubienia i t. d.” I to będą pisały te same dzienniki, które pierwiej unikały wszelkiej wzmianki o pracach choćby najlepszych tego człowieka. Smutna rzecz! Bogata treść i do komedyi, ale nam tu nie o śmiech idzie — my bierzemy tę rzecz na seryo. — Nie bez powodu tak zatrzymaliśmy się dłużej na tym punkcie, bo nam się zbyt ważnym wydawał. Nie obojętna to bowiem rzecz poznać jakimi są ludzie, od których ma iść światło na naród, od których po części przyszłość jego zależy. Te i inne wybitniejsze rysy, a zarazem wady miejscowe uderzyły uwagę Leona; czyniąc spostrzeżenia, zaczepiając rozmowę o te miejsca badał głębokość ran i cierpiał nieraz, bo doktor

był zarazem synem tego chorego, którego ran dotykał. Szczególniej zajął go los młodzieży i uniwersytetu. „Alma mater”, pośmiertna pamiątka królowej Jadwigi, w smutnym zostawała stanie. Wchodzącego między kolumny, zdobiące się tego gmachu, obwiewała posepność grobu — taki brak życia. Był to rzeczywiście stary, wspaniały, ale popękany grobowiec, przykryty pleśnią i kurzem, pełen pamiątek, wszystko tu jak dawniej. Odczyty profesorów suche i jednostajne ze skryptów pisanych przed laty, albo o rzeczach, o których przed laty przestać mówić należało; do tego język niemiecki stawiając wykładającym i słuchaczom trudności, przemieniał prelekcje w stereotypowe formułki, które nie umysł ale pamięć chwyciła. Język kępował myśli, obcinał je jak na łożu Prokrusta, włókł się u ich nóg jak łańcuch, ciężył nad nimi, dla tego żadna myśl nie wystrzeliła wysoko, nie rozrosła się pięknie, ale karłała, słabła. Takie pokaleczone, nieudane płody myśli szły od katedry do słuchaczy. Aby ożyły, podniosły się i rozwinęły, trzeba było w duszy je rozebrać z obcej sukni, przypatrzeć się im, tchnąć w nie cząstkę swego ducha, i chcąc Je wydać z siebie, trzeba było znowu je pętać, pchać, pchać w formę narzuconą. Taka praca

zbezwładniła ducha, stępiła go i zniechęciła. Duch przestał działać — myśleć. Brano tak jak dawano i podawano dalej — nauka szła jak wiadro z rąk do rąk. Jedni się uczyli, bo to było życzeniem rodziców, drudzy dla chleba — inni całkiem zaniechali naukę, odsiadując rekolekcje na ławkach akademickich.

Do tego dodać trzeba, że kilku profesorów obcej narodowości, nieznając ducha młodzieży, którą nauczali, nieumiejąc zyskać sobie jej serca, zwiększali apatyę do nauki i rozrywali do reszty ową łączność i stosunek profesora do słuchacza. Nawzajem znowu puste ławy przykro oddziaływały na profesorów i odstręczały do reszty od sumiennych wykładów, brakowało ognia, coby ożywił oschłe nieraz przedmioty. Ten ogień, ta iskra tylko wtedy jest w obiegu, gdy drut łączący baterią, a tutaj jakeśmy powiedzieli związek był przerwany.

Ale jeżeli tak opłakany był stan nauk, to życie młodzieży nierównie smutniejsze czyniło wrażenie. A wszakże od młodzieży zależało zmniejszyć a nawet całkiem zatrzeć zgubny wpływ nieodpowiedniego systemu nauk — od niej zależało po za murami uniwersytetu w stowarzyszeniach rozpocząć pracę i rozwijać się o własnych siłach.

Młodzież polska uniwersytetów kijowskiego i moskiewskiego dowiodła jak daleko zająć można na takich drogach. Bo i rzeczywiście uniwersytet nie daje nauki, ale jej program, którego rozwinięcie i wykonanie od młodzieży zależy. Jeżeli program był niedostateczny, trzeba było go uzupełnić, ale temu nie siły pojedyncze, jeno zbiorowe podolać mogą — Tymczasem jak nie było żadnej łączności w senacie akademickim, tak jej nie było między młodzieżą — przykład idzie od starszych. Ludzie naukowci jakichkolwiek stopni powinni tworzyć łańcuch, profesorowie różnych szkół winili zostawać ze sobą w wzajemnych stosunkach, tak dla przykładu młodzieży, jak dla tego, że oni prowadząc młodzież powinni ją z rąk do rąk sobie oddawać — na tych schodach uczeń nie powinien mieć przerwy, przepaści, bo często braknie siły lub zręczności, nie przeskoczy i wpadnie. Piękną i głęboką myśl zawiera w sobie procesja zakończająca uroczystość św. Jana Kantego — w procesyi tej profesorowie wszystkich szkół tworzą dwa długie szpalery niosąc w

rękach zapalone pochodnie i poprzedzają sanctissimum. — W tym całym szeregu od nauczyciela szkółki parafialnej do rektora uniwersytetu, od elementarza, na którym dziecko uczy się

stawiać pierwsze kroki swej wiedzy — aż do pandektów i ksiąg filozoficznych jest jedna myśl, jeden cel, rozświetlanie ciemności ducha — koroną mądrości, jej zakończeniem — sanctissimum — Bóg. — Obrządek religijny jest tu węzłem, co łączy pojedyncze ogniwa oświaty; ale obrządek ten, jak tyle innych, jest dotąd formą bez ducha, łupiną, w której nic nie ma. Jeszcze nie pogasną świeczniki w kościele, nie przebrzmi śpiew — a już ten łańcuch rwie się, ogniwa się rozlatują, ci ludzie nic zejdą się. więcej, chyba na przyszły rok (da Bóg doczekać) o tym czasie. I gdzież tu mówić o jakim organicznym rozwoju nauki przy takich stosunkach? — Bez łączności, bez wzajemnego znoszenia się, bez stowarzyszeń pedagogicznych, bez organu nauczyciele pozostaną zawsze na stanowisku bierności, machiną, którą plan z góry nakreślony w ruch wprowadza, a do tego machiną bez siły, bo każde kółko obraca się osobno, a wiadomo, że tylko wzajemne zaczepianie się kół mnoży siłę. Nauczyciel powinien znać w ogólnych zarysach całą budowę wychowawczą, a w szczególności przynajmniej te jej części, z którymi jego zakres się styka. Odchodzącemu od siebie uczniowi powinien rozświetlić drogę przy

szłą, — nie byłoby tyle obłąkań, gdyby tak było. —

Podobna jednia konieczną jest między młodzieżą — potrzeba tu nawet staje się większą, bo tu łączność nietylko pomaga środkom wychowawczym, ale celowi samemu." Młodzież — to przyszły naród, więc braterstwo i spójnia młodzieży — to podstawa jedności i trwałości narodu. Tymczasem ta młodzież, równie jak jej przewodnicy, rozprysnęła się na pojedyncze gromadki. Technika z gimnazyum w wiecznej wojnie i utarczkach, uniwersytet odsuwa rękę od braci niższych w hierarchii naukowej i po dziecinnemu zadziera nosa. A nawet w samym uniwersytecie ileż działów, kółeczek, pojedynków!

— Wasyl prawdę mówił — pomyślał sobie Leon, stojąc w bramie akademickiej i patrząc na przechodzących — tych ludzi nic nie wiąże ze sobą. Zbiegowisko łotrów stworzyło naród rzymski — tu zgromadzenie młodzieży mającej jeden cel, jeden język, jedną przeszłość i przyszłość, nie zdolne złożyć całości.

Widział, jak filologowie (nie mamy pod ręką innego wyrazu na oznaczenie ludzi uczących się gramatyki łacińskiej, troszki literatury i tłumaczących znajomszych autorów) snuli się sznurkiem

z gmachu niby czarne mrówki, każda z ładunkiem, nie witając się i nie żegnając nawet. — To znowu swobodni słuchacze medycyny zabręczeli w sieniach jak bąki w cichej celi zakonnika i rozeszli się w różne strony pogwizdując, śpiewając — po kilku. Suknio klasyfikowały odchodzące gromadki. Delikatniejsze surduty ciągnęły się jak magnesy do siebie — biedniejsi cicho, chyłkiem, najczęściej pojedynczo wysuwali się z gmachu. — Po chwili wyszło jeszcze trzech młodych, ubranych według ostatniej mody. Jeden wdziewał rękawiczki, drugi zakładał szkiełka na nos, trzeci laseczką otrzepywał ze spodni pył szkolny.

— Ależ nudził, nudził nas dzisiaj — odezwał się ten ostatni.

— Emilu, gdzie ty teraz idziesz, — spytał ten w szkiełkach kolegi zapinającego rękawiczki.

— Dla czego się pytasz?

— Bo możebyście wstąpili do mnie na preferans ?

— Nie, nie mogę — mam... powody.

— Pewnie do Józi się spieszysz — zgadłem? ha, ha — awanturujesz się z tą dziewczyną.

— No, no, dajmy temu pokój — chodźmy na śniadanko.

Odeszli.

Potem wyszło jeszcze kilku prawników — ci nawet pożegnać się z sobą nie mieli czasu, spiesząc do biur mecenasów. Leon wracając do domu ze spuszczoną głową rozmyślał: Gdzie środek ciężkości tych ciał rozbierających się w przestrzeni ?

V. AKCYA SIĘ ROZPOCZYNA.

Kilka pierwszych dni swojego pobytu w Krakowie Leon użył na urządzenie swoich stosunków i potrzeb. Wasyl był mu w tem wielką pomocą. Bieda, wczesne łamanie się z losem, wyuczyły Rusina praktyczności, zaradności, na czem Leonowi zbywało; zdał się więc zupełnie na niego. Wasyl mu zgodził mieszkanie, wyszukał najtańszą praczkę, objaśnił go, gdzie każdej rzeczy dostanie za małe pieniądze, zaprowadził do „swojej nadwornej garkuchni”. Tak nazywał szynceł w pobliżu ich mieszkania.

Przekonany jestem, że żaden z porządnych obywateli krakowskich nie zajrzał do podobnych miejsc; jednak dla człowieka, któryby chciał poznać miejscowość, takie tylko zakątki mogą dać o niej charakterystyczne wyobrażenie. Większe restauracje mają familijne podobieństwo między sobą, po różnych stolicach Europy znajdziesz prawie te same speisenzetle, wszędzie spotkasz się z bifsztykiem i kelnerem we fraczku. Ale zejdziesz o kilka stopni niżej, przypatrz się, czem się żywi chudzina, a każde miasto w odrębnej ci się przedstawi fizyonomii. Już Rej rozpatrywał się

w ten sposób po krakowskim rynku, stawał pośród kłótliwych bab, uzbrojonych warzuchami za ogromnem] garnkami, powitemi w szmaty jak niemowlęta, i wdzięcznie to opisał. Dziś jeszcze to rodzajowe malowidło jest wiernem, niektóre tylko rysy się zatarły przez czas — dziś jeszcze na rynku lub po zaułkach zobaczysz pojedyncze części tego obrazu. Jest to tak zwana w języku ludowym garkuchnia pod słońcem. Żebracy, wyrobnicy tutaj się fetują. O stopień wyżej w hierarchii traktyerniczej mieszczą się garkuchnie po szynkach, różniące się od tamtych więcej dekoracją niż treścią; już to nie „pod słońcem,” ale pod wieżą świerkową

lub „pod Napoleonem”, wychylającym w galopie kufel piwa, „pod kogutkiem” lub „pielgrzymem” i t. p. — potrawy nie tkają ci już w rękę ale kładą na stół, zamiast drewnianej miseczki, talerz, zamiast palców, widelec i łyżka przychodzi w pomoc, jako parlamentarz między ustami i talerzem. Już i zapach obfitszy, rozmaitszy, bo pomieszany z wyziewami wódki, już i towarzystwo dobrańsze, bo między wyrobnikami znajdziesz rzemieślników, nierzadko także jaki mieszczanin z pobliskiego miasteczka wmiesza się w tę ciżbę. — Uniwersalną, dominującą potrawą barszcz, około którego, jak planety koło słońca, przewijają się ziemniaki, kapusta, kiełbasa, wieprzowina, kasza, czasem jaka pieczonka lub udo gęsię jak kometa przeleci.

Do takiej garkuchni Wasyl wprowadził Leona.

— Tu mamy i blisko domu i smacznie i tanio, a w potrzebie to ci zborgują, dobrzy ludzie, chodź, poznam cię z niemi. Rzekł i przeciskał się przez tłum robotników od kolei, osmolonych węglarzy, a wszystkich witał po imieniu, za rękę ścisnął, każdemu się uśmiechnął, do niejednego zagadał.

— Pani Onufrowa — jak się pani ma?

— Sługa pana doktora — odstrzeliła baba

ogromna z podbródkiem o trzech piętrach, opartym na sznurze koralu, i nagle zmieniając głos, jak wioski improwizator, siedzący pod budką maryonetek: — Magda, szelmo ty jedna, patrz, jak dałaś kiełbasę rozgotować, i któraż osoba będzie chciała to jeść?! — Franka!

— Co i mość?

— A nie słyszysz wałkoniu, że cię wołają? — Czemże mam służyć panu doktorowi?

— Barszczu dwa razy. Rozumie pani, bo ja tu przyprowadził nowego gościa.

— Obowiązana panu doktorowi — odbębniła baba nieoglądając się nawet.

— Mój przyjaciel — dodał Wasyl.

Pani Onufrowa przestała krajać wątróbkę, odwróciła się, otarła rześisty pot z twarzy ręką i spojrzawszy na Leona:

— Moje uszanowanie — rzekła rezolutnie, przejechała się ręką po fartuchu i znowu zabrała się do roboty.

Wasyl skinął na Leona, przecisnęli się do ostatniej izdebki pełnej gwaru, brzęku, zapachów i dymu. Przy jednym stole zrobiono im miejsce, kilka czapek uchyliło się na powitanie i poczęła się rozmowa.

— Cóż tam słyhać nowego w świecie panie doktorze"? — spytał robotnik.

— Ot durno i kwita. Piszą i piszą a z pisania nic.

— O wojnie tam niesłyhać jakiej?

— A małoż wam na jednej?

— Ej z przeproszeniem pana doktora taka wojna — to nieprzymierzając jak wódka przed jedzeniem — ktoby na tem przestał, djablo by się kręcił. My sobie tak głupim rozumem rozważali, że to dopiero początek, a tu słyhać już koniec.

— Mój Mateuszu, wojna to nieszczęście, nie ma czego pragnąć.

— Kiedy to panie pono taka jest przepowiednia, że dotąd nie będzie dobrze na świecie, dopóki tyła luda nie wyginie, że ci co zostaną to się szukać będą musieli — takie pustki będą na świecie i straszne pożary i zniszczenie — dopiero wtedy ludzie będą się miłować, jak jeden do drugiego o miłę w odwiedziny iść będzie musiał. My ta o tem wiemy, bo to nie trzeba panu doktorowi mówić, człowiek nie dzisiejszy i nie z jednego pieca chleb jadał — to się różnych rzeczy nasłuchało.

Wasył spojrział znacząco na Leona i trochę

się uśmiechnął. Leon ciekawie przysłuchiwał się rozmowie. Mimo, że miał chęć i serce do ludzi niższego stanu, że chciał nieraz wejść między nich, nie mógł nigdy zbratać się z nimi, nie umiał przemówić do nich, ując ich. Z natury milczący i małowówny, w stosunku do chłopca lub rzemieślnika stawał się prawie niemym, nie wiedział od czego zacząć i jak prowadzić rozmowę; aby to móż, trzeba się albo uchować z tym ludem, wśród niego, albo być dobrym komedyantem. Leon nie miał ani jednego, ani drugiego warunku. A przecież gorąco chciał podsłuchać duszę tych ludzi w chwilach serdecznego, poufnego wylania się, chciał poznać tych ludzi. Dla tego przysunął się do kółka rozmawiających i pilnie słuhał. — Kto tam tego doczeka — wtrącił osmolony węglarz, w dziurawym kapeluszu z wiszącym okapem — ludby ta i rad wojować, ale panowie nadrabiają pieniędzmi, coby tego nie było.

— A cóż im na tem zależy?

— Co? cie wy, a toż wojna, to na nich strach, bo by musieli oddać biedniejszym to co mają. Jaki taki wyrobnik by się skrzepił, choćby odrobina.

— Jakto — chcielibyście brać, co nie waszę, a dobrze by to było i uczciwie ?

— He, he, proszę laski pana doktora, co tuo uczciwości gadać, kiedy na świecie nie ma uczciwości i sprawiedliwości. Proszę pana, to człowiek musi jak bydlę od świtu do zmroku pracować i przez miesiąc nie zarobisz tego, co hula kanonik leżący, uczciwszy uszy, do góry brzuchem, za jeden dzień dostanie. Oj ! daj Panie Boże wojny — toby człek już wyszedł na swojej wiedział gdzie pieniędzy szukać.

— Marcinie, Marcinie — reflektował doktor. Wyrobnik nie uważał tego — rozgadał się, ciemna twarz jeszcze bardziej pociemniała, nad bielejącymi białkami oczów ściągnęły się brwi, konwulsyjnym ruchem pociągnął kapelusz na oczy, splunął, zaciągnął się i mówił dalej :

— A zkad oni mają te pieniądze, jeżeli nie z naszej krwawej pracy? Panie, ja nie uczony człowiek, ale ja znam co się komu należy. Kto bierze więcej jak zarobił — to u mnie oszust i złodziej, choćby on tam był niewiedzieć kto.

— Marcinie — przemówił surowiej doktor — Bóg będzie sądził ludzi a nie wy, wam pracować uczciwie i zdać się na wolą Boską.

— Eh! — odezwał się i machnął ręką. Leon zadrzał — w tym krótkim wykrzyku, w tem pogardliwym machnięciu ręką zobaczył

straszłą rzecz, dosłyszał okropny rozstrój w duszy — zwątpienie w sprawiedliwość Boską.

I kto temu człowiekowi wydarł tę ostatnią pozłotę z jego łachmanów, co mu odebrało wiarę? Zburzenie równowagi w świecie — on siebie i swoją pracę zważył z innym, powinienby zaciężyć, — zaciężył ale nędzą i poszedł na spód. W tym upadku, w tem błocie mogła się taka myśl ulegnąć. — I dziwna, nikt się nie znalazł w tłumie, ktoby mu powiedział: bluźnisz Marcinie. — Milczeli wszyscy zwiesiwszy głowy.

— Inne miałem ja o was wyobrażenie Marcinie — rzekł doktor z rodzajem niechęci.

Węglarz zrozumiał ton mowy — zaszklily mu się oczy — chciał mówić i zachłysnął się łzami.

— Jakto? to może źle mówię? — może nie mam słusznie? oj, panie, chodź do mnie i przypatrz się — babina od roku kwęka, ani opruć, ani obszyć, ani zrobić co koło domu, koło dzieci, a dzieci pięcioro obdartych, chorych, napuchłych, i nie mam mówić? żeby tak na drugiego padło, toby poszedł kraść lub rozbijać. Daj, albo śmierć, moja albo twoja!

Podniósł żylastą rękę do góry, zwinął ją w kułak i uderzył pięścią w stół.

Tragiczność tyka o śmieszność. I tutaj tak się

stało. Uderzenie w stół było tak silne, że wszystkie talerze podskoczyły i barszcz i sosy i kapusta jak florencka mozaika ułożyły się na twarzach. Twarze Leona i Wasyla ze smugami ściekającego barszczu wyglądały jak marmur pręgowany. Robotnicy chórem się zaśmiali, jedni strofowali Marcina za nieuważę, inni pomagali doktorowi zetrzeć ślady barszczu, który tak niezwykłą drogą chciał się dostać do żołądka. — Marcin się zmieszał, zdjął kapelusz z głowy i obracając go w rękach począł się uniewinniać i przeproszać. Kto go widział przed chwilą, zdziwiłby się tą nagłą przemianą postawy i rysów, z rozjuszonego zwierza stał się baranek.

— Widzisz — szepnął pocichu Wasyl do Leona — oni wszyscy tacy, słowami by cię posiekał, zjadł, a serce w gruncie poczciwe, od wściekłości do serdeczności tak blisko, że palca między nie nie wsadzisz.

Potem odezwał się głośno:

— Słuchajcie Marcinie, przyjdźcie w niedzielę do mnie, przynieście arkusz papieru, napiszemy prośbę — rozumiecie?

Trzeba będzie podać do kogo z bogatych — rozumiecie — co?

Węglarz się podrapał po głowie i rzekł smutnie:

— Eh, proszę łaski pana doktora, może szkoda i centka, z tego nic nie będzie.

— Widzisz, jakiś ty leń, chcesz żeby pomoc sama przyszła do ciebie. Trzeba próbować.

Marcin kiwnął głową na znak, że to robi, westchnął ciężko i usiadł na boku.

Tymczasem Mateusz, mający nieprzewyciężony pociąg i niejaki pretensje do polityki, znowu się nachylił ku doktorowi i tajemniczo zapytał:

— Jak pan doktor myśli, co też Napoleon teraz zrobi?

— To, co jemu i jego familii będzie korzystne.

Mateusza jakby coś odrzuciło na bok.

— Ależ bo proszę pana tyle dobrego gadają o nim . . .

— Ludzie, którzy nie chcą sami nic robić, jeno żeby za nich robiono.

Mateuszowi zaciężyły bardzo te słowa, bo biedak głowę aż podparł rękami i kiwać począł.

Właśnie też Wasyl i Leon skończyli obiad, zapłacili i wstali. Leon odchodząc wsunął Marcinowi do ręki papierek reński. Ten po ich odejściu rozwinął, przypatrzył się i zdziwił.

— Cóż to? — spytali go inni.

— Reński.

— Od kogo?

— Od tego, co był z doktorem.

— To także widać jakiś pocziwina, ale kieszeń u niego nie taka dziurawa jak u naszego doktora.

— A co, jak ci się wydaje moja restauracye, zapytał Wasyl Leona, gdy wyszli na ulice — dobra, co? Jedzenie smaczne, co? i tanie. Tak, tanie — to grunt.

Leon milcząco przyznał skinieniem. Może i nic ze wszystkim wydało mu się tak dobre i smaczne; ale nie myślał sprzeciwiać się Wasylowi i postanowił stołować się u otyłej Onufrowej, choćby dla tego, że tędy jak teleskop zaglądnął w ciemności pracy i ubóstwa, i pozna życie ze strony, której nie znał. Jeszcze jedno pole do pracy.

A nadto był inny powód. Leon aczkolwiek niemajątny, był przyzwyczajony do lepszego życia, niż to, które obecnie prowadzić zamierzał; ale się przewyciężył. Uważał za grzech dogadzać sobie, gdy jest tylu, którym nawet lichej strawy brak. Ta myśl dławila go przy każdym lepszym obiedzie; a przytem pokonywać zachcianki podniebienia i żołądka — to także zwyczajtwa na pozór drobne, ale w skutkach wielkie. W wygodach życia lęgnie się lenistwo ducha i lubieżność.

Leon więc w tera i w innych rzeczach, odnoszących się do życia codziennego, szedł za radą praktycznego Wasyla — on mu był przewodnikiem, opiekunem. Ale też na tych drogach kończyła się jego przewaga — przewodnik czuł moralną i duchową potęgę tego, który szedł za nim.

Leon małowówny, poważny nad wiek, rzadko kiedy zapuszczał się w długie rozprawy, pozwalał się wygadać Wasylowi, i nieraz, gdy ten już myślał, że go przekonał, gdy mu się zdawało, że wybiegł po nad niego, milczący towarzysz rzucał jedno lub dwa słowa, czasem gest jak kulę i Wasyl spadał do nóg jego, uznawał się zwyciężonym; z każdym dniem się przekonywał, że milczenie Leona to właśnie dowód jego siły wewnętrznej, że tam w tej młodej duszy nauka czy też doświadczenie postawiły zasady niewzruszone.

I tak raz przechodzili koło kościoła św. Marka. Wasyl uchylił czapki — Leon o czymś zamyślony zapomniał to uczynić. Wasyl nie mógł tego zamilczeć.

— Leonie — odezwał się tonem trochę mentorskim, do jakiego był nawykły — prześliśmy koło kościoła — tyś nie zdjął czapki.

— Prawda! — zapomniałem — nie uważałem.

— To źle. Wy Lachy nie szanujecie święto

ści — wam filozofia głowy poprzewracała, że zamiast ku niebu, ku ziemi ciężycie. Widzisz, u nas 'Rusinów tego nie ma. U nas po cerkwiach nie wstydzą się i bogatsi i ubożsi czołem o posadzkę uderzyć — rozumiesz. U' was nie tak. Napatrzył ja się i nasłuchał na medycynie. Raz pamiętam przyniesiono płód trzechmiesięczny — rozumiesz, ot taki maleńki projekcik na przyszłego człowieka. Poczęliśmy mierzyć — miarą wyrachowaliśmy dnie, w których żyło. Ale mnie o coś więcej chodziło, i spytałem: czy w zawiązku ciała tego dziecka był zawiązek duszy? No, wiesz co? panowie koledzy parsknęli śmiechem i kazali mi krajać trupa i pokazać sobie gdzie dusza. Błazny, oni chcieliby duszę taką, którąby krajać i mierzyć można. A widzisz to źle, taki brak wiary — to do błota, do ziemi ciągnie. Ty Bogu nie wstydz się pokłonić.

Leon kazania w milczeniu wysłuchał, w końca dobrotliwie się uśmiechnął i zapytał:

— Wasylu, ty umiesz katechizm?

— No, albo co?

— Gdzie jest Bóg? — spytał go poważnie, łagodnie.

Wasyl zamilknął — czuł się pokonanym.

— Tak, tak — odezwał się po chwili — ja cię rozumiem. On i tu jest między nami.

I Rusin uchylił znowu czapki.

— Wasylu — On nie wymaga, by człowiek z odkrytą głową stał przed nim jak poddany przed dziedzicem — On duch, chce pokłonu ducha — chce, by człowiek ciągle się czuł przed obliczem Jego. — Są ludzie, którzy grzechy swoje zostawiają u drzwi kościelnych, jakby mówili: czekajcie, zaraz wyjdziemy.

— Prawda, prawda — ja nie pomyślałem nigdy nad tem, choć to umiałem na pamięć.

I popatrzył w koło siebie nabożnie, ze czcią.

Innym razem, było to w szarej godzinie, Leon siedział przy oknie, wsparty na rękę — pół twarzy miał oświeconej resztką dnia, połowa już w zmroku. Wyglądał jak domino pół białe, pół czarne. Wasyl wszedł do jego izdebki, z jakimś listem pomiętym, krok jego był przyspieszony, w twarzy wzruszenie.

— Co ci jest? — spytał go Leon.

— List z Rusi — od rodziny — piszą mi, że siostry chcą iść za mąż, a ja tego nie chcę, ja na to nie pozwolę — rozumiesz, bo ci dwaj biedni są, a ja nie chcę mieć już w moim rodzie biedaków — rozumiesz? Nam trzeba z biedy jak

z robactwa ogarnąć się i podnieść naszą rodzinę. A to tylko my zrobić możemy, ja i brat. Z kobiet nie — to istoty bierne, a gdy do tego i urody nie ma, to kobieta nigdy nie podniesie swego rodu. Moje siostry nie urodne — to zawadza. Ja teraz po śmierci ojca głowa domu, ja rozrządę nimi. Pójdą na mniszki — muszą iść na mniszki — ja im to wytłomaczę dla czego. Bo widzisz brat, ja mam szerokie plany — ja nietylko chcę dom nasz wygrzebać z biedy i stanąć jako korzeń, od którego się rozejdą gałęzie mojego rodu już inteligentnego — ja jeszcze chcę, gdy stanę na stanowisku, brać z mej rodzinnej wsi po dziesięcioro dzieci na odchówek do siebie i kształcić, tak jak mego Fedka, i potem uczonych ludzi pchnąć na Ruś. Widzisz, mnie się uśmiecha taka myśl, w tem moja duma. Otworzą oczy Rusini, kto to im tak dzieci odchowuje, pewnie jaki wielki pan, pomyślą, a to syn diaka, co pasał trzodę z nimi, co w Buczaczu usługiwał i uczył się, co się nażył w świecie głodu, nędzy, ludzkiego śmiechu, urągowiska — i to ten człowiek taką pamiątkę Rusi zostawi. Prawda, że to piękna myśl, co? Dla niej warto poświęcić coś — ale na to potrzeba pieniędzy, — a nuż rozmnoży się bieda w rodzie, a do tego córki ?

toby zabiło myśl moją. Nie, nie — one się poświęcić muszą. No, a co ty na to — ty milczysz? —

Leon pokiwał głową i spokojnie rzekł:

— Biedne te siostry twoje.

Nic więcej, a Wasyl uczuł jak ostrze tych słów przeszło po jego sercu, uczuł ranę, krew ale i ciepło zarazem. Biedne jego siostry! te słowa powiedział człowiek obcy, który ich nie zna, którego ich los nie powinien obchodzić, a przecież tak serdecznie ulitował się nad losem, jaki im własny ich brat gotuje. Uczuł się złym, ale próbował się bronić i spytał:

— Czemu biedne?

— Wasylu i ty pytasz jeszcze rzekł z lekkim wyrzutem Leon. — Czyś się ty namyślił nad tem, co to jest kobietę, która kocha, której roztwiera się najśliczniejsza droga życia, jako żony i matki — zapędzić w mury klasztorne mimo jej woli? To gorszy los, niż zamurowanej Antygony, bo tamta skonała w dni kilka, a ta lata konać będzie. Każde przypomnienie kłaść będzie jej duszę na tortury straszne, życie obecne i to jakie ją czekało, wyprężą jej członki. Każdy dzień jej życia będzie przekleństwo rzucał na ciebie, choćby usta tej kobiety milczały jak grób. Ty odbierz

tej kobiecie wszystko, nie podaj ręki w biedzie, ale pozwól jej żyć w rodzinie, stworzyć rodzinę, a będzie ci błogosławić.

Wasyl stał jak winowajca przed trybunałem tych słów, dziwnie było patrzeć na tego Herkulesa skruszonego.

— Słuchaj Leon, więc nawet dla takich celów jak moje nie wolno nic poświęcać?

— Poświęć szczęście własne, ale nie drugich. Na łzach i nieszczęściu siostr chcesz budować gmach wielki, a kto ci zaręczy, że nie zwali ci się na głowę? — Ważna to rzecz w budowie fundamenta. Spójrzysz po świecie — czemu dziś po tylu wiekach nauki Chrystusa nie znać w ludzkości? Pojedynki są chrześcjanami, społeczność pogańska — grzechy jej potępione od Chrystusa wegetowały pod cieniem kościoła — czemu? Bo fundamenta same nie były rzucały w myśl Chrystusa — bo często miecz, przemoc zastępowała słowo miłości. Była to gorączka pospiesznego rozkrzewiania wiary — i przyspieszano zatknięcie krzyża, ale nie nauki Chrystusa. Ztąd dziś praca taka ciężka na tem polu, praca podwójna, bo trzeba burzyć i stawiać.

Wasyl złożył list, zamyślił się — potem zbliżywszy się do Leona, podał mu rękę i rzekł:

— Bóg tobie niech zapłaci brat za siostry moje. —

Na drugi dzień posłał na Ruś życzenia braterskie na wesele siostr. Od tego dnia więcej "jeszcze przyłgnął do Leona. On mu mówił o jego siostrach, o ich szczęściu tak, jakby należał do ich rodziny.

— To on i mnie tak rad ma, onby i za mojem szczęściem pewnie tak samo przemawiał — pomyślał sobie. — Jemu wczoraj szło o to, aby mnie przekonać, on nigdy nie był taki mowny, on taki zamknięty zawsze.

To zamknięcie się w sobie drażniło Rusina, on lubiał gaworzyć, a Leon był tak oszczędnym w słowach, tak skąpy na nie, jakby słowa były ze złota. A przecież nie mógł się skarżyć, żeby Leon jakiegokolwiek jego pytanie zostawił bez odpowiedzi, zbył z niechcienia, owszem; ale jemu tego wszystkiego było za mało, on czuł potrzebę słów jego, chciał żeby Leon stał się z nim gadułą. Nie mógł tego strawić w sobie, i raz zaczął o to rozmowę.

— Leonie, ty coś cierpisz do mnie — zagadnął go — ty się gniewasz na mnie?

— Ja? — spytał zdziwiony Leon — któż ci powiedział o tem ?

— Ty sam, ty tak mało mówisz do mnie, pytam, ty nic.

— Nie przypominam sobie, żeby tak było.

— No, to jest ty mówisz do mnie, ale tak, że z tej mowy ująć słówko, a czuć brak, tak to i umiesz jakoś skąpo wyrachować. Widzisz ja Rusin, mówią że Rusin zamknięty — a ja gadam od rana do wieczora, wyśpiewam ci wszystko jak słowik, a twoje słowa porachowaćby można.

— Nie gniewaj się za to na mnie — rzekł łagodnie i poważnie Leon — to już taka moja natura. Widzisz, to zależy od młodych lat, od przyzwyczajenia — ja wcześniej zacząłem myśleć nad sobą — mówić nie zawsze było z kim — byli znowu ludzie, których warto było słuchać — ot i tak jakoś odwykło się od szerszego gadania.

I umilkł — Wasylowi się zdawało, że zapadło ciężkie wieko grobu, które on z mozołem podnosił, by zajrzeć wewnątrz. Znowu próbował:

— Leonie, ty nieszczerzy dla mnie, ty mi nie ufasz ?

— Czemu?

— Ja dotąd nie znam ciebie — nie znam twojej przeszłości.

Leon zmarszczył czoło jak człowiek, którego coś wewnątrz zaboli.

— Wasylu kochany, nie pytaj mnie o to, to mi przykrość sprawia. Gdybym wiedział, że z tej spowiedzi coś tobie przyda się w życiu, drapałbym zaschłą ranę; ale dla zaspokojenia ciekawości tylko, nic wymagaj tego po mnie. Prośba była tak obowiązującą, że Wasyl nie ośmielił się więcej pytać. Domyślał się tylko, że ten młody człowiek miał po za sobą już wiele przykrości. Nieraz potem wpatrując się w twarz Leona, spostrzegał to, czego przed tem nie uważał, to jest, że Leon nieraz wydawał się o wiele lat starszym, wcale nie tym Leonem, którego widywał wśród ludzi. Było to szczególnie w szarych godzinach, gdy się Leon zadumał.

Tak zbiegło im znowu dni kilka.

Leon tymczasem porobił kilka znajomości między kolegami. Nieraz puszczał Wasyla samego na obiad, a sam szedł do restauracyi. Rusina to trochę dotknęło, zdawało mu się, że Leonowi nie w smak obiady pani Onufrowej, towarzystwo jego i innych ludzi tam chodzących. Nie trzeba się dziwić Wasylowi, dusza zrażona niepowodzeniem, dotknięta nie zasłużonem oszczerstwem, staje się wrażliwą i za najmniejszym dotknięciem cofa się w głąb jak ślimak w skorupę. Nie śmiał

tego wyrzucać Leonowi, ale spochmurniał, skwaśniał. Leon odgadł i sam się usprawiedliwił.

— Złe sądzisz o mnie Wasylu, jam przyłgnał do waszego kółka, ale trzeba nam zaczepić o drugie ogniwo, aby łączność była — inaczej znowu będzie rozdział. Chcę poznać się z kolegami, chcę żyć z nimi — to mój obowiązek. Kiedyś przyznasz mi, że mam słuszość.

Wasył może nie rad był tym nowym znajomościom, ale milczał, bo miałże się wydawać z samolubnym zachcieniem, że on tylko do niego należeć powinien?

Tymczasem Leon łagodnością, uprzejmością, a może też i magnelem swego ducha zjednywał sobie kolegów, ujmował ich. Kilku zbliżyło się ku niemu, i poznawszy go lepiej polubiło. Dziwiło ich tylko jego towarzystwo i przyjaźń z Wasylem. Niektórzy ostrzegali go, mówiąc:

— Może ty nie wiesz, co to za człowiek? Tu z nim nikt nie żyje — to podejrzany.

— Zkąd wiesz o tem? — pytał wtedy najspokojniej Leon, głębokimi oczami otaczając mówiącego.

— Tak mówią.

— I tobie to wystarczy do potępienia człowieka, którego nie znasz, do rzucenia na niego

podejrzenia, z pod którego może przez całe życie się nie wygrzebie? Często fakta mogą nas omylić pozorami, a wy lada pogłosce wierzycie. Oh! jak wy sami tworzycie złych ludzi!

Takie słowa poważne, rozsądne zaciężyły nad niejednym sumieniem, niejednen dopiero wtedy zastanowił się nad tem, co dotąd bezmyślnie gadał za drugimi, zdziwił się nad lekkomyślnością własną, a kiedy spojrział w głębie następstw swej lekkomyślności, zdrzął przed odpowiedzialnością. Kilku zmieniło swe zdanie o Wasylu. Tak mało było potrzeba do tej zmiany. Lubo przyznać trzeba, że do tego nie mało się przyczynił moralny wpływ, jaki Leon począł wywierać na niektórych. Ujmująca słodycz, dobroć, a obok tego powaga nad wiek i godność przebijająca w jego słowach i czynnościach jednały mu serca. — Powiedziałem jednak, że tylko kilku poszło w tej mierze za Leonem. Możeby i wielu innych zmieniło swe zdanie o Wasylu, ale nie mieli czasu nad tem myśleć. Byli i tacy, którzy z rozmysłem rozszerzali oszczerstwo. Wasył był prawdomówny a od takich ludzi błędy ludzkie uciekają jak najdalej; potępiali go więc choćby dla tego, aby go utrzymać w pewnej odległości od siebie, aby go nie słyszeć. I Leon im się nie podobał, stronili od

niego jak ułomny od zwierciadła, i o nim pozwalali sobie czynić nieraz dwuznaczne uwagi. Echo tych pokątnych oszczerstw doszło do Leona; ani się tem zdziwił, ani oburzył, litośnym uśmiechem przyjął taką nowinę i postępowania swego nie zmienił — owszem, odtąd częściej widywano go z Wasylem.

Raz zdarzyło się, że gdy obydwaj szli chodnikiem, z przeciwnej strony zbliżyło się trzech młodych ludzi, których Leon już raz zauważył w bramie uniwersytetu. Było to w południe — ulica była prawie pustą; przestrzeń dzieląca nadchodzących coraz się zmniejszała, idąc tak, nie mogli się ominąć, musieli się zejść oko w oko, a że chodnik był wązki, trzeba było jednym lub drugim ustąpić. Trzej młodzi ludzie szli rozmawiając głośno i śmiejąc się, z tem pogardliwym lekkceważeniem, które zdaje się nie zważać na przechodzących i nie dbać na nich. — Gdyby Leon w tej chwili spojrział na twarz swego kolegi, byłby się zdziwił nie mało: Wasył bowiem strasznie pobladł, głowę nieco

pochylił, przez co wzrok pod czarnymi oczami bardziej zdziczał, wargi jego drgały nerwowo, a ręką niespokojnie węs szarpał. Coś się w nim gwałtownego stało,

coś burzyło. Taką bladość mają nieraz chmury przed burzą.

Leon nie uważał tego wzruszenia i właśnie miał nadchodzącym zejść z drogi, gdy go Wasyl przytrzymał muskularną ręką — drugą wyrzucił przed siebie, wyprężył i wskazującym palcem uderzywszy o pierś jednego z nadchodzących, zagrzmiął podniesionym głosem:

— Stój!

Cała ta scena stała się tak nagle, tak bez przygotowania, że młodzi ludzie znieruchomieli z zadziwienia. Barwy się zmieniły — teraz ich twarze zbieleły, a Wasylowa krwią nabiegła. Czarnymi, sztywnymi oczami jak magnetyzer trzymał ich w osłupieniu. Kilku ciekawych otoczyło tę grupę.

Po chwili panicznie maskując pomieszanie, poczęli się groźnie stawiać.

— Co to ma znaczyć ta napaść? — spytał z oburzeniem Emil, do którego piersi Wasyl trzymał przyłożony palec jak gwóźdź rozpalony.

Rusin zapytaniem nie zmięszał się, nie cofnął kroku, zmienił tylko ruch ręki spokojnie, z pewnością, jaką nadaje siła i słuszność. Palec wskazujący zgiął i zaczepił go o dziurkę surduta Emila. Był to lew bawiący się. Szarpiąc go za tę dziurkę mówił powoli ale z siłą:

— Ty paniczu nie pytaj co to. Ty wiesz dobrze co to. — Ja wiem dobrze, że ty szarpiesz moją sławę, ale ja nie pozwolę na to, ty zamilknąć musisz — rozumiesz — co?

Rzeki potęgując siłę głosu i przybierając wyraz groźniejszy, wątlą postacią Emila zatrzaskał jak snopkiem słomy.

— Albo odszczekasz jak pies — ciągnął dalej — albo dowódź mi, że ja zły człowiek — rozumiesz? — Chcesz satysfakcji — dam ci, ja się nie uczył u fechtmistrza, ale zrabuję, bo przy mnie prawda. A jeżeli ci idzie o herb, to ci powiem, że i ja szlachcic taki jak ty, może i lepszy — chcesz, pokażę dokumenta, a odwołać musisz, bo jak nie, to obić, ochłostać każę — mam ludzi. Słyszałeś? a teraz idź. Na dziś skończyłem z tobą i z wami panicze.

Ostatnie słowo wymówił przeciągle, ironicznie, puścił Emila odepchnąwszy go, pogroził dwom innym i poszedł dalej, trzymając ciągle za rękę Leona, pomieszanego tą sceną. Długo jeszcze nie mógł Rusin ochłonać, uspokoić się po wzburzeniu, dygotał jeszcze cały.

— Łotry — mruknął jeszcze przez zęby.

— Wasylu, co ty wyrabiasz — odezwał się Leon, gdy przyszli na ustronne miejsce.

— Co zrobiłem? Dobrze zrobiłem — teraz mi lżej. —

I odetchnął mocno.

— Igrali i doigrali. Widzisz Leonku — mówił, a głos jego szorstki zrzewniał, przycichł — widzisz, dopóki ja byłem sam, tom znosił, cierpiał, wreszcie nie zważał, odsunąłem się od ludzi, plunałem na wszystko i kwita; ale teraz inna rzecz, ja teraz musiałem wyświecić sprawę, bo mnie idzie o ludzkie gadanie — szło mi o ciebie Leonie. Nie przerywaj — niech się wygada. Widzisz ja Rusin, Rusin podejrzliwy. Kiedyś mi pierwszy raz podał rękę — pomyślałem: poczekaj Laszku, niedługo będzie tej serdeczności, jeno się rozpatrzysz po mieście, jeno ci ludzie o mnie nakładą w uszy, uciekniesz od Rusina A ty jednak nie odleciał mnie i złamałeś się ze mną niesławą jak proskurą — i o tobie już zaczęli źle mówić. Ja to wszystko wiem. No, widzisz, tak dłużej zostać nie mogło — prawda musiała się wyświecić.

— Więc myślisz, że ich przekonasz siłą, że zmusisz pięścią, by zmienili zdanie?

— Już daj pokój Leon, ja wiem, że dobrze zrobił, wyszedłem na słońce. Który z nich poczciwy — to mi uwierzy, który podły to zamilknie

ze strachu, a to dosyć mi od takich. Zepchnąłem ich — teraz ja się czuję na górze.

VI. JAKIE MIAŁA SKUTKI ULICZNA AWANTURA?

Trzej panice sponiewierani w ten sposób publicznie przez Wasylą, uchodzili spiesznie z przed oczów ludzkich, powarzeni i zawstyżeni. Każdy jak mógł nadrabiał miną, jeden się odgrażał, drugi drwił, jednak każdy czuł, że tylko gra komedia i to dość nędznie. W duszy czuli się upokorzeni.

— Jakaż u nas policya niedbała — odezwał się wreszcie jeden obglądając się do koła — lada obszarpaniec może bezkarnie napastować człowieka (tu spojrzął po sobie), i ani jednego policyanta, któryby go sprzątnął z drogi.

— Uważacie — odezwał się drugi, wysoki, blade Edmund, aby ożywić się rozmową i przyjść do siebie — uważacie, czego mu się zachciało — pojedynku.

Emil najdłużej zachował milczenie, był zachmurzony, twarz rozpalona wstydem — zmięte ubranie poprawiał na sobie.

— A jednak — odezwał się po chwili — z błotem nas zmieszał.

— Jako i mnie? spytał Edmund urażony. Emil spojrzął na niego z wyrzutem.

— Może ciebie nie chciał, ale mnie. Ja tego darować nie mogę.

— Jakto, może chciałbyś się pojedynkować? ha, ha, ha — wyborny sobie!
— Czy widzisz inną drogę?
— Pojedynkować się z nim? Jeżeli z pierwszym lepszym ulicznikiem chcesz się bić, to ci radzę, miej ze sobą zawsze cyrulika, bo żaden dzień bez pojedynku ci nie przejdzie.
— Ależ on mnie znieważył.
— Co? — Nie bądź dzieckiem Emilu, czyż taki oberwaniec może znieważyc kogo, prócz siebie? Pies szczeka, wiatr niesie.
— Nie, nie, nie przekonacie mnie. Tego strawić nie można. Który z was pójdzie go wyzwąć?
— O, już ja dziękuję za ten honor — rzekł Edmund.
— I ja także — powtórzył jego kolega.

Z lekkością i zręcznością, właściwą ludziom płytkim, skręcili rozmowę na inny przedmiot, poczęli o tem i o owem, o różnych zajmujących drobnostkach, skandalikach, ruszali dowcipem, jak ptak skrzydłami, gdy je błotem powala. Błotem była dla nich awantura z Wasylem. I udało im się — wrócili do dawnych ról.

Tylko Emila rozruszać nie mogli. Powaga i zamyślenie jego nudzić ich już zaczynało; każdy więc znalazł na prędce jakiś ważny interes, dla którego musiał odejść. Rozbiegli się jak krople wody z kulistej powierzchni. Emil wrócił do siebie zły, kwaśny, pod wpływem przykrego wrażenia.

Służący zdziwił się, że pan jego wszedłszy do pokoju nie zdjął kapelusza, nie rozebrał się jak zazwyczaj, ani zapytał o obiad, jeno jakiś czas chodził po pokoju nie miarowym krokiem, potem stanął przy oknie i drapiąc paznokciem pokost wpatrywał się w ten punkt, ale wzrokiem, który nic nie widzi. Emil zamyślił się głęboko.

Są ludzie (a zdarza się to szczególnie młodemu i szczęśliwemu), którzy nie mają czasu i sposobności zastanowić się, wejść w siebie, roztargnieni, zającymi tysiącami drobnostek idą za wypadkami, jak łódź za wodą. Dusza jak wioślarz próżnujący, patrzy na przelatujące po niebie

gwiazdy, na znikające brzegi, słucha szmeru wody, pluskania ryb, i dobrze jej w tym omdleniu rozkosznym, w tym półśnie. Aż nagle łódź uderza o skałę lub mieliznę, wstrząsa się, wioślarz się zrywa i rozgląda się trzeźwym okiem. Takie uderzenie obudziło dziś Emila — począł myśleć, a najprzód przyszedł mu na myśl dwaj jego towarzysze. Gdyby go wczoraj jeszcze kto zapytał: co to za jedni, bez namysłu by odpowiedział: to moi przyjaciele. Nie zdawało mu się, żeby mogło być inaczej. Razem bawili się, chodzili, trzpiotowali, polowali przyjemności życia, razem jedli, pili — przekonany był, że jednako myśleli, czuli, że ich łączy silny węzeł przyjaźni. Tymczasem dziś, gdy w skręty tego węzła wsunął się palec obcego człowieka, rozszedł się, jak krawatka źle wiązana, bez natężenia. W chwili tak przykrej, ci ludzie opuścili go obojętnie, obraza jego nie dotknęła ich, nie oburzała. Dziś nie śmiałyby tych ludzi nazwać choćby tylko znajomymi, bo przekonał się, że ich nie znał.

Drugim przedmiotem myśli Emila był Wasyl, jego dzisiejsze wystąpienie uderzyło go, zdziwiło, — tak śmiało nie występuje człowiek poczuwający się do winy — aby to zrobić, trzeba być albo czystym, albo bezczelnym. Może Wasyl niewinny.

Ale czemuż tak długo dźwigał podejrzenie, czemu dopiero dziś wystąpił, czemu milczał i nie usprawiedliwiał się? Po tych pytaniach zapadł wyrok potępiający Wasyla, ale to trwało niedługo. Emil postawił siebie w podobnym położeniu i zapytał siebie: a gdyby mnie potępiono, jakbym postąpił — jakbym się usprawiedliwiał? Usprawiedliwiać się? Nigdy, czuł, że nie zniżyłby się do tego; kto się usprawiedliwia, ten się czuje winnym. Tak, tak Wasyl miał słusność, że się nie usprawiedliwiał. A jednak, co skłoniło innych do potępienia go, co skłoniło mnie, jakie dowody, co on zrobił?

Począł szukać dowodów w głowie, i zdziwił się — nie znalazł nic, nic prócz domysłów. Powiedziano mu, że to Rusin, nieprzychylny nam, zły, podejrzany — on nie badał dalej, to mu wystarczyło, brzydził się nim jako złym, stronił, jako od podejrzanego i innych ostrzegał. Zresztą fizyonomią tego człowieka odstręczała od niego, nazwa „Rusin” do reszty go potępiała w opinii. A jeżeli to wszystko było domysłem, bez podstawy, pozorem? Jeżeli ten człowiek rzeczywiście niewinny?

Emil zląkł się tego pytania, bo odpowiedź na

nie była łatwa, w takim razie nie Wasyl ale on zbrodniarzem, a przynajmniej winnym.

Z tej walki myśli widzimy, że Emil choć zepsuty i lekki, miał grunt serca szlachetny, poczciwy, że odkąd zwrócono jego uwagę, w tę stronę — rzecz brał sumiennie i na seryo; szło mu o prawdę i o człowieka. — Może też i obawa owej chłosty ulicznej, którą groził Wasyl, była jednym z gorliwszych doradców w tej sprawie, może być; my jednak wolimy przypuszczać szlachetniejsze pobudki.

— Jakubie — rzekł siadając do obiadu — pójdziesz do akademii i dowiesz się u pedela o mieszkanie Wasyla Popowicza medyka.

— Czy teraz panie, czy po obiedzie?

— Teraz zaraz.

Służący odszedł — Emil po jego odejściu uspokojony, że zrobił, co był powinien zrobić, zabrał się do obiadu, zjadł go z apetytem. Po obiedzie zapalił cygaro, przechylił się na sofie i bawił się kłębamii dymu. To już nie ten człowiek, którego widzieliśmy przed chwilą — obiad go zmienił. Wpływ żołądka na duszę jest rzeczą dowiedzioną, niech każdy spisze swoje myśli przed i po obiedzie, a zobaczy wydatną w nich różnicę, stosunek między pierwszymi a drugimi

jest mniej więcej taki, jaki jest między gwiazdą a latarnią olejną — dusza przed jedzeniem drga namiętnościami, po jedzeniu łakocze ją lubieżność. Wykazy statystyczne podają, że znacznie większa część samobójstw dokonana została przez ludzi głodnych, a przynajmniej nienajedzonych, ja zaś ośmieliłbym się wnioskować, że przeważnie wszystkie wielkie czyny, piękne poświęcenia rodzić się musiały w takich chwilach. Wspólne obiady, tak modne u nas, nie wylęgły z siebie nic, prócz toastów, to też skończyło się na toastach. Myśl na pozór najpiękniejsza, natchniona pasztetem i szampanem, smakuje i szumi bez skutku.

Ztąd tłómaczy się potrzeba panowania nad zwierzęcymi potrzebami; zmniejszenie ich wpływu na nas, sprowadzenie ich do minimum. Tu leży główna przyczyna, główny cel umartwień, przewyciężeń skłonności, postów. Pod postem zaś rozumiem pewne ograniczenie się w zaspokojeniu potrzeb, wstrzemięźliwość. Dodatek ten umyślnie zrobiłem, aby uniknąć nieporozumień. Zdarzyło mi się bowiem słyszeć ludzi potępiających bliźniego połykającego odrobinę mięsa, która stanowiła jego całodzienne pożywienie; a znowu widywałem po korytarzach klasztornych mnichów, wlekących z trudnością opasłe żywoty na spoczy

nek do celi — oni wracali z postnego obiadu! — Dusza człowieka najedzonego — to mucha w miodzie, próżno skrzydełka rozpina — nie wzleci.

Emil, palący cygaro, awanturę dzisiejszą widział teraz z innej strony, nie przedstawiała mu się tak strasznie, dziwił się, że go chwilowo tak mocno zainteresowała, że się tak nagle wziął do tego.

Przed obiadem widział twarz Wasyla groźną, poważną — po obiedzie przypominał mu się jego surdut wytarty i źle przykrojony, jego czapka zmięta i kipiąca nad lewym uchem, i — uśmiechnął się ironicznie. Rozumie się, że i koledzy jego nie tak potworni mu się wydali.

Służący wrócił.

— Ten pan proszę pana mieszka na Kleparzu w jakiejś karczemce Nr. .

— Dobrze. Sprzątnijno ze stołu i daj czarną kawę.

Pił kawę i palił cygaro. Nie zrzekał się wprowadzić załatwienia w jakiś sposób dzisiejszej sprawy; ale jeżeli przedtem gnały go do tego szlachetniejsze pobudki, to teraz może przeważnie groźba Wasyla do tego wiodła. Powoli zebrał się i wyszedł. — Długo chodził po rynku, rozmawiał ze znajomymi, potem ich pożegnał i wszedł

w ulicę Floryańską prosto ku Kleparzowi. Ale od bramy zwrócił się na prawo i poszedł w plantacye. Na plantacyach było pusto — ostatnie dni października zrywały do reszty liście z drzew, jak namiętne starcy suknię z ramion Zuzanny, wiele drzew już nagiemi konarami czerniło, na ziemi, na ścieżkach niezamiecionych leżały pokłady liści szeleszczących smutnie pod nogami. Emila drażnił ten szelest, gniewało go, że pusto na plantacyach, nie widział celu w takiej włóczędze, a radby był znaleźć powód do niej — tak mu się nie chciało iść tam, gdzie był powinien. Miłość

własna odciągała go. Iść tam — to przyznać się do winy, to uznać wyższość tamtego. Kazał, więc przyszedłem. Nie, nie — i zwrócił się w tył. Ale mu zastąpiła drogę refleksja i mówiła: trzeba skończyć, dziś czy jutro skończyć trzeba — zdecydował się więc i poszedł spieszenie ku karczemce.

W szynku rozpytał się szczegółowo o drzwi i po ciemnych wschodach wdrapał się na stryszek, gdzie było dwoje drzwi. Zwrócił się do drugich, podług informacji. — Tam jeszcze się chwilę zawahał, możeby się wrócił, ale zdawało mu się, że słyszy za sobą jakieś kroki — już nie czas się cofać — wszedł.

Zobaczył kilkoro ludzi siedzących na ziemi lub stojących, jakiegoś starego, zbiedzonego człowieka, stojącego pokornie przy drzwiach, kilka kobiet, z których jedna u piersi, wiszących jak dwa puste worki, trzymała chore dziecko, ciemnożółte prawie. Między tymi ludźmi stał nedorostek z kędzierzawymi, czarnymi włosami, dużymi oczami i zadartym nosem. Był w zgrzebnej koszuli, krajka podtrzymywała spodeńki.

Emilowi się zdawało, że się pomylił w mieszkaniu i już się miał cofnąć, gdy chłopczyna podbiegłszy ku drzwiom, spytał rezolutnie.

— A do kogo to pan?

— Ja chciałem do pana Popowicza, ale zdaje mi się, że to nie tu.

— Owszem tutaj, trafiłeś pan, ale brata nie ma w domu — niech się pan zatrzyma, on nie długo wróci.

Emil wszedł, chciał sięść, nie było na czym, wsunął się więc we framugę okna i oparłszy się rozglądał się po izbie.

Gdyby nie kilkoro ludzi zajmujących miejsce, izba wydałaby się prawie pustą; w kącie leżał na ziemi siennik przykryty derką, nad nim obrazek święty, obok niego coś niby stolik, niby ławka, na której kilka książek, trochę rupieci

i świeca; — na gwoździach na ścianie trochę odzieży, kawałek zwierciadła oparty o ramy okien i konewka u drzwi — to było całe umeblowanie. Z każdego kąta czuć było niedostatek, biedę; mówię czuć, bo i bieda jak kwiaty ma zapach, tylko inny, stęchły, wilgotny. A jednak ta izdebka ciemna, grube księgi obok barłogu, obrazek na ścianie, pajęczynami zanieczyszczonej, miały w sobie coś dziwnie poważnego, niby dziurawy płaszcz filozofa i dyscyplina ascety; po za tym smutnym łachmanem czuć było silnego ducha — ubóstwo to nakazywało uszanowanie, bo było znoszone z godnością. Dwa są rodzaje ubóstwa, jedno nie chce być bogatym przez występki, a drugie nie umie.

Emila dziwne ogarnęło uczucie, jakiś dreszcz go przejął, jak człowieka, co się dotknie czegoś zimnego.. On nie był nigdy tak blisko ubóstwa, nie znał go, nie myślał nad nim. Wiedział, że są biedni, nieraz dawał im jałmużnę, nieraz żałował ich, ale ubóstwo uważał jako konieczność, której zmienić nie można, tak jak nie można ułomnemu odjąć garbu, ślepemu dać oczów — ubóstwo uważał jako klasę stojącą w hierarchii społecznej o kilka stopni od niego, słyszał o nim jak o pożarze za rzeką. Dziś zobaczył to ubóstwo

tuż przy sobie; człowiek który tu mieszkał, był jego kolegą, równy mu wykształceniem, mający przyszłość świetną przed sobą — zadrzał, gdy pomyślał, że i on mógłby być tak ubogim. Strach samolubny — to było pierwsze wrażenie, jakie na nim zrobiła izdebka kolegi.

Emil nie żyjąc bliżej z kolegami biedniejszymi od siebie, nie miał sposobności poznać stopniowań, odcieni majątkowych; przypadek dzisiejszy sprowadził go nagle na ostatni szczebel, ze słonecznej jasności w podziemia, od widoku piękności do jej szkieletu. Takie kontrasta im odleglejsze, tym obszerniejsze miejsce zostawiają rozmyślaniu. Emil porównał swoje położenie, swoje mieszkanie z tutejszem i począł się dziwić, jak ten człowiek żyć może, i jak może żyjąc tak, nie skarżyć się — pracować. Czy to hart duszy, czy na wylnienie do takiego stanu? I on przyszedł temu człowiekowi zrobić zarzut, że sprzedał swoje dobre imię — za co sprzedał? Czy za te izbę lichą, za tę odrobinę łachmanów?

Emil począł wierzyć w niewinność Wasyla — on sam nie bronił się, ale mówiły za niego puste ściany, ubóstwo go broniło. Emil przyszedł tu więcej z musu, teraz rad był, że przyszedł; przy

szedł nieco szydrczy, pogardliwy — teraz stał się poważnym.

Tymczasem ludzie czekający także na Wasyla, którym przybycie nieznajomego na chwilę rozmowę przerwało, poczęli się znowu ruszać, niezważając na niego, jakby go już nie było.

— Jakoś pana doktora nie widać, a mnie się spieszy — odezwała się jedna kobieta czerstwa i zdrowa.

— A gdzież wam się tak spieszy — zagadła kobieta z dzieckiem — ani wam dzieci w domu nie płaczą, ani męża teraz w domu nie ma.

— Ale przyjdzie, to mu trzeba nagotować i pod głowę podstawić, bo by był sądny dzień, niech ręka Boska broni.

— Takiego to pani ma złego męża?

— Któż jejmości mówił że zły? — odgryzła się zaperzona baba — bije, bo pracuje na to, każdy pan za swoje pieniądze. A on zarabia cztery reńskie na tydzień, to nie bagatela.

— Ha i mój miał tyle — rzekła matka z westchnieniem — ale go maszyna przytłukła.

Rumiana baba aż sykla — tak ją to przytłuczenie zabolalo.

— I nic jejmości nie dali za to? — spytała.

— Dalić mi ta zapomogę, ale to się w chorobie

rozlazło, teraz znowu dziecko chore — a cóż pani brakuje, bo jakoś, na psa urok, nie źle pani wygląda.
— A to oparzyłam się — o ! cała ręka.
— A cóżeście takiego robiła? — spytała przekupka, jedna ze zasobniejszych mieszczek Kleparskich.
— A to widzicie wyraźnie Bóg mnie skarał, bo mi się zachciało w niedzielę zagrzać wody na chusty. Jakem też garnek pociągnęła — tak cały war chlust na rękę.
— I już dawno tak? —
— A będzie druga niedziela — próbowałam cejco — nie pomogło. I Tomaszowej zubiarki smarowanie nie pomogło. Może pan doktor co poradzi, bo go to tak chwala.
Tak, — wtrącił kędzierzawy — jak już nic nie pomoże, to wtedy do brata — czy on to czarownik, żeby i chorobę leczył i waszą złą kuracją poprawiał ?
— Naści mały bulkę, zapchaj se gębę — i wepchnęła mu dwócentówkę do ręki.
— Jeszcze to od ziemi nie odrosło dobrze, a już takie łebskie. Niedarmo strączki na głowie, wtrąciła przekupka.

— Sprzedam wam strączki z grochem — dobrze, będziecie mieli dla gołębi — rzekł chłopiec ze śmiechem.
— Ej ty racolu — rzekła z udanym gniewem przekupka i usiłowała się dźwignąć, żeby ręką dostać malca usuwającego się.
— Matko, matko bez liwarka nie wstaniecie — zaczekajcie ja sam przyjdę — no! bijcie do woli.
I z miłym grymasem podsunął się pod ciężką rękę przekupki.
— Ej ty psotniku — rzekła baba i przytuliła go do siebie.
— Znać że zima idzie, bo matka Kasprowa dobrze rączki wywatowała — rzekł malec podnosząc tłustą jej rękę.
Kobiety chórem się rozśmiały.
— A bodajcie — rzekła Kasprowa, trzymając się pod boki i płacząc z serdecznego śmiechu.
— A cóż to ty dzisiaj nie w szkole? — spytała z niejaką powagą rumiana baba, która przez swoją siostrę maślarkę była spokrewnioną ze szkołami.
— A to wy nie wiecie, że ja już od tygodnia nie chodzę?

— Pewnie ci pan profesor skórę wytatarzył i wygnał — co? cóżeś zbreszył?
Chłopiec się poskrobał po czuprynie — spojrzał z pod czoła trochę na nieznanego, jakby się namyślał i wstydził, i ciszej rzekł smutnie:
— A to widzicie nie było w czym chodzić do szkoły — brat nie mógł nastarczyć ani butów, ani surduta porządnego, a to widzieć jest taki przepis w szkołach, że mieć trzeba to wszystko, jakby to nauka gwałtem surduta i butów potrzebowała.
— No, a ja cię posadziła.
— He, hej, — wyrwał się znowu chłopak wesoło — nie skłamaliście tam bardzo, była i skóra w robocie. Widzicie, mieliśmy profesora, co więcej by się zdał na garbarza, bo ma straszny pociąg do skóry — a nos miał jak flet, a tak lubił przez nos gadać, żeby mu mogli śmiało gębę zaszyć. Ja go nie lubił i on mnie — za lada głupstwo : „pisz karę" a

widzicie papier drogi a ta szelma nie miał litości nade mną, choć widział po dziurach, że człowiek nie elegant i nie bogacz. Kazał — taki ja zkąd wziąć, boć człowiecza skóra nie podłoga, żeby po niej raz wraz miotłą jeździć. Com zarobił od księdza proboszcza przy mszy św., to szło na papier dla pana profe

sora. Ale ostatni raz idę sobie po papier, a tu przed sklepem jakiś szewczyk rym jak długi z flaszeczką oliwy. Chłopiec się podniósł a z flaszeczki tylko mu ucho zostało — dalej w bek i wrzeszczy, że dostanie lanie od majstra. A czemu wasz majster lanie sprawia? — rzeknę do chłopca. — A kijem albo pocięglem — no, myślę sobie, co różga to nie pocięgiel — raz więcej raz mniej to mi nie zaszkodzi i dałem chłopcu grajcare.

— No widzicie, choć to zbereźnik a jakie to pocziwe — rzekła przekupka, całując chłopca w głowę.

— O matulu, żebyście wy tak chcieli brata mego całować za jego pocziwość, toby se nigdy głowy myć nie potrzebował, bo on to nie tylko grajcare, ale by buty oddał. No, ale też co prawda to prawda, że go za to nikt różgami nie ćwiczy.

— O, już to święta prawda, że anioł nie człowiek — odezwał się ów łysy staruszek zchorowany. — Patrzcie panie, ta czamarą, to jego. Przyszedłem do niego poradzić się, bo mnie zimnica trzęsła — on radzi do szpitala, ja mówię: byłem, nie przyjęli. — To choć cieplej się trzymaj — a ja mówię: nie mam panie doktorze. Więc on wziął tę czamarę.

— Aha — krzyknął Fedko, uderzając się

w głowę — to to ta, ja sobie też myślę, gdzie jaka czamarą, bo slyszalem, że ją dostał od krawca co mu żonę wyleczył — a on —

— Tak, tak, mnie dał. Wziąć nie chciałem, bo widziałem że on miał gorszą na sobie. A on jak wrzaśnie na mnie, z przeproszeniem pań: Ty ośle stary, to ty na swoje zdrowie nie masz uwagi, masz, bierz — a przyjdzie lato to mi oddasz ją. Więc tedy wziąłem — niech mu Bóg i Matka najświętsza, Królowa nieba i ziemi da wszystko, czego sobie tylko życzy.

— Tak, tak, to on już zawsze taki. No, ale słuchajcie, co się stało. Idę do klasy bez papieru — a profesor woła: „Popowicz kara.” — Nie przyniosłem panie profesorze. — „Czemu?” — Bo nie mam na papier, bo ja na chleb nie mam.

— Nie pomogła ekskuza. „Putiu, putiu, woła — „stań tu”. Postawił mnie koło muru, kazał język położyć na ścianie i stać tak.

— A to barbarzyniec — odezwały się baby z oburzeniem — a to skolczyć może język.

— Ja też nic głupi był na to czekać i język schowałem do budy — a bo mi to języka na raz tylko potrzeba”? On to zaraz zobaczył, bo miał zyza, to na obie strony widział na raz, i woła mnie do katedry i zaczął mi włosy skubać, jak

gęsie pierze, i mówi: „Powiedz mi ośle jeden... Nie czekałem dwa razy na rozkaz i powtórzyłem mu: ośle jeden. Baby znowu za boki sio chwyciły — nawet staruszek się rozśmiał serdecznie.

— Poczzerwieniał jak indyk i krzyknął: powiedz mi ośle jeden... czemu z ciebie taki urwisz. Ja nic na to — myślę sobie pogada, pogada i puści; ale nie tak się stało. Przyniesiono ławkę, moją dobrą znajomą. „Kładź się” — położyłem się; myślę sobie: bij, naciesz się. On wali, ja ani pisałem. „A to szelma zatwardziała, poczekaj krzykniesz ty tu” — i bił dalej. Ja, żeby sobie i jemu oszczędzić przykrości, krzyczę znowu w niebogłosy. A on znowu: „Ja ci tu dam krzyczeć”.

— A to lucyfer jakiś — wtrąciła Kasprowa, podnosząc pulchną pięść do góry.

— No, widzicie, mnie już trudno było wytrzymać — myślę sobie: posiecz mi skórę na kawałki, że nie będzie potem w czem kości nosić do klasy — więc krzyknąłem: na rany Boskie, dosyć panie profesorze! — A on znowu: „Nie będziesz wzywał imienia Pana Boga twego nadaremno i okłada co sił stanie. Tu już trudno było wstrzymać — jak się nie zerwę, jak nie lunę w papę mego profesora i hejże przez okno na ulicę.

— A toś się gracko spisał mój synu — rzekła Kasprowa, klasnąwszy w ręce z uciechy.

— Tak, gadajcie ino o tem przed moim bratem, to was zjeździ, że do drzwi nie traficie. Dostałby ja od niego uczciwie z powtórzeniem za to spisanie się, tylko mnie pan Leon wyprosił. Na dobitkę kazał mi wracać po czapkę, com zostawił w szkole. Tak mnie się łyzy sznurkiem puściły i mówię: Wasylku, to mnie choć pocałuj, bo jak pójdę, to już nie wrócę, oni mnie tam zatłuką.

A on: "Lepiej że cię zatłuką, niż żebyś miał wyrósć na nicponia". Kazał, taki ja poszedłem, ale on ma dobre serce choć złą minę — ze wschodów mnie zawołał nazad, nagadał, nagroził, ale zostać pozwolił.

Malec tak żywo, z takim zajęciem i naiwnością opowiadał, że baby się zapatrzyły na niego jak na najciekawszą szopkę, a przy ostatnich słowach, gdy żalonym głosem mówił: Wasylku, rozbeczały się i lamentowały: „biedne dziecko”.

— No, no matusiu nie płaczcie no, to nic ładnie wyglądacie, jak beczka, z której cieknie wino.

I cmokał babę po twarzy zwilżonej łzami i

śpiewał: oj wino, wino, wino, lepsze niż przedtem było i t. d.

Widzicie, teraz wszystko dobrze —• siedzą w domu, brat mnie uczy wieczorami, butów już niedrę, a nauczyłem się więcej za ten tydzień, niż u fleta za kwartał. A spotkałem go wczoraj i wołałem: panie flet, panie flet. — On się

obejrzał, a ja mu się kłaniam do ziemi i mówię: panie flet — czemu pan nie nosisz watomanej gęby, nie stłukłbym sobie tak ręki. On mi laską pogroził i poszedł w swoją stronę, a ja w swoją. A mam teraz czas chodzić — służę do mszy i tu, i tu — usługuję i jest teraz grosz częstszy.

— A do mnie to huncwocie nie możesz wpaść na bułkę z masłem co rano, he?

— Ej pani Kasprowa — rzekł Fedko skrobiąc się po głowie — wybyście mi więcej mogli dać, jak bułkę z masłem, żebyście tylko chcieli.

— No, cóż takiego?

— Widzicie, wasz chłopiec już będzie miał szósty rok — już w duce grywa pod bramą — gdybyście wy go chcieli dać uczyć, tobym ja wam chłopaka wyćwiczył w czytaniu i pisaniu za liche pieniądze. A widzicie, toby dla mnie była pomoc i nie naprzykrzałbym się bratu, bo

to i na niego ciężko, żeby na ranie pracował w tych latach.

— Mój bachor — patrzcie go, w tych latach, a wieleż ty mieć możesz?

— Dwanaście już, moja matko.

— I to śmierdziuch nazywa latami.

— A widzicie, mój brat jak był w tych latach, to grosika nie miał z domu i sam na siebie już i zapracował — to też mnie wstyd, tak być na jego łasce ze wszystkim.

— No, no, pogadam ja z moim — wpadnij do nas jutro rano na bułeczkę — to się dowiesz.

— Oj matko, matulu, jak mi to zrobicie — to was tak ścisnę, że z połowa z was wylezie.

I ścisnął i cmokał przekupkę głaszczącą go z miłym uśmiechem po kędziorach.

W tem drzwi zaskrzypiały — chłopak jak oparzony wyskoczył z rąk przekupki na bok myśląc, że brat nadchodzi; tymczasem wszedł węglarz Marcin. Wysoka, muszkularną postać, ręce żyłami jak postronkami oplecione, przypomniały Emilowi ranne zajście, i przekonaly go, że Wasyl nie na wiatr groził.

— A toście nas zwiedli Marcinie — rzekła kobieta z dzieckiem — myślałyśmy że już pan doktor idzie.

— Będzie on tu niedługo — przypadek go zatrzymał.

— No, a to jaki?

— Eh, jakiegoś dziada pijanego przejechał fiakier.

— O Chryste Jezu!

— Pan doktor go opatrzył naprędce i odwiózł do szpitala. Niedługo tu będzie. Zaczekam, bo mam interes.

I stanął pod ścianą, oparłszy się. Wyglądał jak Karyatyda dźwigająca ganek.

Emil przysłuchiwał się rozmowom bab, szczebiotaniu malca, z początku obojętnie, jak się słucha szumu wiatru za domem, potem ciekawość i zajęcie wzrastały, z szumu słów trywialnych wychylały się rzeczy cenne, nieznanne mu. Tak do portugalskich brzegów fale morskie przynosiły kwiaty i trawy nieznanne. — Kolumb domyślił się z nich nowej ziemi, Emil odkrył kraj piękniejszy, bogatszy, — serce ludzkie, z pod warstw szorstkości jak z pod ziemi, przeblyskiwało jak złoto. A co więcej jeszcze: widział dziecko rwiące się do pracy gwałtem, a on nigdy nie pomyślał o

tem. On używał przyjemności życia — tu pracowano na życie — tu poznał jego surową, poważną stronę. Tę naukę dało mu dziecko, niedo

rostek. Ono prawie nic jeszcze nie umie, a jest więcej potrzebne i użyteczne, niż on z całym zasobem nauki i pieniędzy. A jego brat, ten człowiek, do którego przyszedł z lekceważeniem, z pogardą — ten człowiek wszedł już w społeczeństwo, jak korzeń w ziemię, on już potrzebny wielu ludziom, i ciężko pracuje na chleb i na wdzięczność ludzką. Wyrwać go z tego koła — zostaną dziury, pustki, czuć będzie brak. Podczas, gdy on mógłby się usunąć, zniknąć, i niktby jeszcze nie czuł, że go nie ma. Wasyl, ten Wasyl odepchnięty od nich, zapomniany — tutaj kuje sobie przyszłość, wśród gromadki tych ludzi stoi jak ich przyjaciel, człowiek prawie obdarty jest dobroczyńcą biedniejszych od siebie. I on przyszedł żądać od tego człowieka rachunku z jego czynności! A coby się stało, gdyby tamten na odwrót o to go zapytał? — Emil uczył rumieniec wstydu, palący mu twarz. Postać Rusina rośla w jego duszy, czuł się jego wielkością zdeptany, upokorzony, radby był teraz cichaczem wynieść się ztąd, tak się bał spotkania z tym człowiekiem, temu, którego rano potrafiłby z pogardą, nie wiedział, czy będzie śmiał spojrzeć w oczy. Na schodach coś zastukotało.

— O, zdaje mi się, że pan doktor idzie — odezwała się niewiasta, trzymająca dziecko.

Emil zadrżał, słyszał pulsa tętniące mocno. Role się zmieniły — teraz on czekał jak winowajca na sędziego.

Drzwi się otwarły — wszedł Wasyl.

Widać się spieszył, bo był zgrzany, śniada twarz jego świeciła się od potu, jak twarz spiżowego posągu. Wszedłszy, nie poznał Emila, bo ten stał w oknie twarzą ku drzwiom tak, że, wchodzący pod światło, widział kontury człowieka, ale rysów nie poznawał. Wasyl przyłożył rękę do czoła, zbliżył się, spojrział — i cofnął się nieco, jak mózdzierz po wystrzale. Nie spodziewał się zastać u siebie tego człowieka. Emil spuścił oczy i czekał spokojnie. Wasyl prędko się upamiętaj pierwsze wzruszenie minęło, pohamował się, skinął głową i wydusił przez gardło:

— Witam.

Potem przeszedł koło ludzi i rzucił czapkę na łóżko.

— Długo czekacie?

— Oj, długo, długo panie doktorze.

— Spóźniłem się trochę — zaraz. Pan będzie łaskaw zatrzymać się — rzekł, obracając się do Emila — to ludzie pracy, u nich godziny zarób

kiem się liczą — dodał z umyślnym przyciskiem. Potem zajął się pacjentami — opatrywał, badał, zapisywał lekarstwa, cieszył, dowcipkował, jakby gawędę prowadził a nie leczył. Emilowi się zdawało, że inny człowiek mówił do niego, a inny do chorych. Tak różnem było obejście się i głos. Zauważył przy tem, że baba z oparzoną ręką po opatrzeniu wsunęła coś w papierku Wasylowi do ręki; ale że potem, kiedy Wasyl stanął przy chorym staruszku i rozpytywał go o stan zdrowia, papierek ten zabielił się znowu w rękach pacyenta. Staruszek przytrzymał rękę doktora i chciał ją ucałować.

— Nie bądź głupi stary — rzekł Wasyl z oburzeniem i odwrócił się od chorego dziadka — potem siadł i zapisywał lekarstwo.

— Po łyżeczce co godzina — rzekł, dając matce receptę.

Kobieta wahała się wziąć.

— A drogie to, proszę łaski pana doktora? — spytała nieśmiało.

Wasyl spojrzął na nią, potem dopisał coś na recepcie i rzekł:

— W aptecę „pod drzewkiem” dostaniecie to bez pieniędzy.

Baba zbliżyła się do nóg doktora. Zerwał się i poszedł ku pani Kasprowej, usiłującej się podnieść.

— A cóż to pani Kasprowej, czy nie suchoty — rzekł biorąc ją za puls.

— Eh, wolne żarty panie doktorze. Dziękować Bogu, zdrowie jest; ale ja tutaj przyszła skroś tego procesu z lokatorem, podobno trzeba gdzieś wyżej pisać.

— Jakto, czyście dostali wyrok?

— A jest panie — i podała mu — szelma pokręcił, pomachlował i wycygał się.

To nic, trzeba apelować — przyjdźcie jutro pani Kasprowa, będzie już gotowe.

— Ja tego nie będę chciała darmo, proszę pana. —

— Ja też wam nie daruję, nie bójcie się — wybierzemy to chlebem, potem się porachujemy. Rozumiecie? — Bo macie na to, co, prawda?

— Dziękować Bogu, jest niechwalący się.

— No, to niechże i biedniejsi od was mają. A nie odpędzajcie tak ludzi od stragana, jak wczoraj tego szlachetkę.

Baba w karmazyn się zmieniła.

— Kiedy to, proszę pana, chudzina bierze i bierze, a Bóg wie kiedy zapłaci.

— Już on wam zapłaci, jak wygra proces z niepoczciwymi dziećmi. Widzicie, oddał im wszystko i wypędzili go jak psa na staro lata. Nad takim trzeba mieć litość, choćby dla tego, żeby was Bóg tak nie dotknął. I wy macie chłopca.

— A dyćby ja psiajuchę na miejscu zatłukła, żeby on rodzicom kawałka chleba żałował.
— Jeżeliby wam się dał. No, no idźcie, a pamiętajcie o starym.
Kasprowa dźwignęła się i potoczyła ku drzwiom. Fedko cichaczem wymknął się za nią.. I inni wyszli, prócz węglarza.
— I cóż Marcinie?
— Źle, proszę łaski pana doktora. Kanonik na ulicy prośby przyjąć nic chciał, do domu lokaj nie puścił i kwita.
Wszystko na diabła się zdało — i centek poszedł i pana doktora fątyga na nic. A tu jeść nie ma co dać pędrakom — i gospodarz chce wyrzucić z mieszkania — a tu zima za pasem. Mnie już desperacja chwyta, mówił węglarz ponuro.
Dwie łzy zaszkliły białka jego oczów, stoczyły się i na osmolonej twarzy zostawiły dwie jaśniejsze smugi.
— Nie gadaj głupstwa, nie udało się raz,

spróbujemy drugi, nie tu, to gdzieindziej. Napiszę drugą prośbę — przyjdź po nią za godzinę.

— A może znowu trzeba centka na papier? odezwał się węglarz smutnie.

— Nie potrzeba.

Węglarz wyszedł. Wasyl i Emil zostali sami. Chwilę trwało milczenie, żaden z nich nie wiedział jak zacząć. Po chwili Wasyl przystąpił bliżej, złożył ręce na piersiach — spojrzał na Emila z góry i rzekł krótko, sucho:

— Słucham pana.

Emil uczuł się drażnionym, urażonym takim tonem. Przed chwilą byłby w stanie rzucić się Wasylowi na szyję, uznać się winnym — te słowa odepchnęły go. Jest to zresztą, zwyczajny rys w naturze człowieka. Uznać się winnym, uderzyć się w piersi i powiedzieć: zgrzeszyłem — jest łatwo, bo to potrzebą każdego mniej więcej uczciwego serca, zrzucić z siebie ten ciężar; w skrusze jest nadzieja przebaczenia. Ale nie przebaczymy, ten sam grzesznik hardo głowę podrzuci do góry, zaprze się skruchy, nie uzna winy. Czemu? — Bo mu za tę skruchę nie zapłacono natychmiast przebaczeniem. Czekać tak trudno — do tego trzeba chrześcijańskiej pokory — o tę właśnie trudno. — My chcemy gotówką wypłaty — za

miłość, miłość, za dobrodziejstwo, wdzięczność, za poświęcenie, pochwałę — i to się nazywa cnotą?

Widzisz na przykład żebraka i dajesz mu jałmużnę, przypuśćmy, że ją przyjął obojętnie, że nie podziękował — wątpić wtedy można, czy drugi raz sięgniesz tak skwapliwie po grosz dla niego. Czemu? Wszak żebrak nie przestał być nędzarzem potrzebującym. Więc nic samo ubóstwo jego namówiło cię do dania jałmużny, na dzień dobroczynności była odrobina samolubstwa, które obraził ten żebrak. Podobnie i tutaj się stało. Wasyl był ten sam, co przed chwilą: ofiarą potępienia, tylko Emil inszemi już oczami patrzył na niego. Jemu się zdawało, że Wasyl powinien do niego rękę wyciągnąć za to, że on uznał swą winę, że przyszedł do niego — czuł, że przewinił, ale nie chciał kary, dla tego zmienił się, shardział i zeszywniał.

— Przyszedłem porozumieć się względem rozprawy naszej. Niech to pana nie dziwi, że wbrew formom przyszedłem sam, bo...

— Bo żaden nie chciał, to rzecz naturalna, domyślać się nie trudno. Zresztą mniejsza o formy, nie idzie o komedya ale na seryo. Ja obieram pistolety, ale przyniesie je pan z sobą, bo ja

nie mam — jutro rano za Wolą będę czekał. Mój druch wstąpi po pana. Skończyłem.

Emil pragnął może dłuższej rozmowy, większego zbliżenia się, chciał przynajmniej powiedzieć Wasylowi, że czuje jak niesłusznie go potępiał, że poznawszy go bliżej szanuje go; ale Rusin obojętnością i surowością otoczył się jak murem, lakoniczną mową go zbył. Dłużej zostać niepodobna było — Emil wyszedł.

Po niedługiej chwili wszedł węglarz, twarz miał rozjaśnioną, w ruchach żywość.

— Niech panu doktorowi Pan Bóg zapłaci — rzekł całując go w rękę.

— Za co? — spytał Wasyl i dużymi oczami spojrzał na mówiącego.

— Jakto za co? dał mi i kwita — to musi być majątny pan.

I pokazał kilkanaście reńskich, ściśniętych w rękę.

— Kto ci to dał?

— No, ten pan, co teraz wyszedł.

— On ? — spytał Wasyl — ręką potarł czoło, przeszedł się po izbie zamyślony i jeszcze raz cicho jak dalekie echo wyszeptał: on!

VII. DZIWNY POJEDYNEK.

Emil wrócił do domu zmęczony, jakby z dalekiej podróży, bo też rzeczywiście duch jego zrobił dziś dużą drogę, przebył całą przestrzeń, jaka jest między marzeniem bez celu a czynem. Spojrzał na swoje życie przeszłe, pełne szumu, zabawy, przyjemności, i nie mógł z niego wycisnąć żadnej myśli większej, uczuł całą jego czczość, nudę, jałowość, było to piękne cacko, które bawiło go dawniej, ale dziś rzucił je na bok, znudzony, bo duch postarzał trochę — dojrzał. Jego mieszkanie wyklejone, obite dywanami, pełne świecideł, wygod, drobnostek, bez których zdawało mu się dawniej, że się obejść nie podobna, dziś wydało mu się jak szych na łachmanach. Nie miałby siły wyrzec się tego, a czuł już ich zbyteczność, nie umiałby wstąpić na inną drogę, brakłoby mu siły i chęci — a zbrzydził sobie tę, którą szedł dotąd. Takie przejścia są niesłychanie męczące, podobna kryzys bardzo niebezpieczna — jest to coś podobnego, jak kiedy człowiek chciałby się przebudzić ze snu męczącego, straszego — a nie może. W takich chwili

lach zamęt wielki myśli, planów, czuć, chaos starego i nowego porządku. Emil doświadczał dziś tego, czego doświadcza człowiek wracający rankiem z nocnej pohulanki, koło pracujących ludzi; — ten kontrast budzi w nim wyrzuty sumienia, zły na siebie, na życie jakie prowadzi, ale nie ma odwagi wyrwać się z tego koła, wyrzec się takiego życia — podziwia pracę, ale ciężkoby mu było wziąć się do niej.

W takim usposobieniu duszy jutrzejszy pojedynek wydawał mu się jak pożądana meta, jak zbawienie. Jutro kula wyrwie go może z tej duszącej atmosfery, z której inaczej dobyć się nie umiał. Miał odwagę umrzeć, brakło mu odwagi żyć na seryo — to pierwsze łatwiejsze.

Wstał z sofy, przejrzał pistolety i przygotował, potem siadł do stolika i pisał list z pożegnaniem do matki. Ktoby go był widział w tej chwili, uwierzyłby, że pisze względem jakiegoś drobnego interesu, coś mało ważnego, tak to czynił obojętnie, spokojnie. Lekceważył życie, bo też było lekkie i bez ceny. Raz tylko jeden przerwał pisanie, zakrył twarz w dłoń i przez palce przecisnęła mu się łza i spadła z szelestem na papier. Nie żał mu było życia, ale żał matki. Noc tę miał ciężką, niespokojną.

Nazajutrz jeszcze się nie ubrał, gdy do niego wszedł Leon. Był on milczący i poważny bardziej niż kiedy.

— Ah! zapóźniłem się — rzekł Emil i począł się spiesźnie ubierać.

— Będziesz pan na czas — rzekł Leon i usiadł i patrzył badawczo na niego.

Emil był trochę wzruszony, noc źle przespana powiększyła błądź jego twarzy, niektóre jego ruchy zdradzały niepokój. Chciał nakręcić zegarek, kluczyk skakał po kopercie złotej a nie mógł trafić na gwint. Nie można go było posądzić o brak odwagi, miał jej aż nadto aby umrzeć; to febryczne drżenie było więcej skutkiem rannego chłodu i zimna, jakie czuł wewnątrz; przecież zawstydził się tego — odwrócił się, niechcąc aby Leon to uważał, i próbował zawiązać obojętną rozmowę. Leon krótko odpowiadał i urywał. Emila drażnił ten spokój i ten wzrok, który czuł na sobie i krepował jego ruchy; by się od tego uwolnić, spieszył się z ubraniem. Nad łóżkiem na jednym obrazku wisiał czarny sznureczek ze złotym krzyżykiem — Emil chciał go włożyć na szyję.

— A to na co? — spytał Leon sucho.

— Jako na co? — To krzyżyk.

— Widzę to.

— Wszakże jestem katolik.

— Zostaw pan lepiej ten krzyż, na nim skonał męczennik, który wszystkim przebaczał, pan idziesz zabijać.

Emila przeszedł dreszcz dziwny od tych słów, zmieształ się, brakło mu odwagi podnieść rękę z krzyżykiem, wsunął go do kieszeni.

Zajechała dorożka przed dom.

— Jedźmy — rzekł Emil i postąpił ku drzwiom.

Przy drzwiach wisiała kropielniczka porcelanowa, Emil bowiem był religijny, matka takim go uczyniła. Wychodząc chciał się przeżegnać — wzrok Leona krępował mu rękę w kieszeni.

Wyjechali.

Ranek był mglisty, smutny — na błoniach pusto, niemiło, wrony machając ciężko skrzydłami przelatywały nisko nad ziemią kracząc. Obaj jadący milczeli. Tak dojechali do Woli — tu przed karczmą wysiedli, przeszli ogród, minęli pałac i weszli w topolową aleję. Potem skręcili na ścieżkę idącą między młodemi brzoźkami — ostatnie listeczki dygotały na długich, kołyszących się gałązkach i szemrały. Jest coś smutnego, przykrego w tym szmerze konających liści — śmierć wszędzie smutna, ponura. — Muzyk powinienby przychodzić do liściastego lasu późną jesienią brać

smętne melodie. Przykro było patrzeć na tych ludzi, idących między drzewami pod deszczem spadających liści, z których jeden może już nie będzie wracał tą drogą. Idący wąwozem w ten las, napotyka w pewnej odległości wielki odłam kamienia, leżący na drodze — od tego w prawo prowadzi poboczna ścieżka w górę. Tu orne pole wchodzi w las. Teraz i ściernisko się żółciło, po krawędziach było trochę murawy. Ten kawałek pola z jednej strony dotykał do kamiennego wzgórza — resztę boków zasłaniał las i zarośla wycięte pod kątem.

W tem ustronnem miejscu Wasyl czekał na swych kolegów — położył się na Wilgotnej trawie pod skałą, wsparł się ręką na ziemi i patrzył przed siebie. Jak powiedzieliśmy, rano było chmurno i posepnie, mgły wałęsały się między drzewami, wilgotny chłód był w powietrzu. Taki czas zwykle źle usposabia człowieka w zwyczajnym stanie, ale w chwili, w jakiej był Wasyl, może natura traci swój wpływ na nas. Wasyl się zadumał — o czym? Ciekawa to rzecz poznać myśli człowieka, który za chwilę nie będzie mógł myśleć — zajrzeć w głąb duszy na krótki czas przed skonem. Kto był kiedy w takich stanowczych chwilach

przypomni sobie, że właśnie wtedy myśli nasze nie mają żadnej prawie łączności z chwilą obecną, im silniejsze ich naprężenie, tym siła rzutu, odskoku większa.

Wasyl był na Rusi, pamięcią chodził po chatach rodzinnej wioski, po jarach lesistych, drapał się na dzwonnice cerkiewną, do sznurka od dzwonu, do okna, z którego taki duży świat widny, zatrzymywał się na lada drobnostce, na przykład przypomniło mu się to, że u Hrycia Namowicza brakowało kilka prętów w sztachetkach, że jego starsza siostra ma pieprzyk na lewym policzku, że raz w polu przy bydle długo bardzo czekał na śniadanie z domu. Dziwny to, ale prawdziwy stan duszy, w chwili tak poważnej odgrzebują się w człowieku najdziecinniejsze nieraz wspomnienia — na teatrze to inaczej, a choć i życie teatrem, to w takich chwilach człowiek wychodzi z roli, przestaje być komediantem, nie poznaje się, pamięć łączy jak dziecko i bawi się tak powoli, jakby zapomniiała, że śmierć na nią tak bliska czeka.

W wąwozie zachrząściły liście, Wasyl oprzytomniał, podniósł głowę i patrzył w stronę, z kąd wyjść mieli ci, na których czekał. Pokazał się

najprzód Leon, potem Emil. Wasyl wstał, Leona uściśnął za rękę, Emilowi kiwnął głową.
— Bawiliście się dość długo — przemówił.
— Tobie tak pilno? — spytał Leon i spojrzął mu w oczy tak poważnie, głęboko, że Rusin nie zniósł siły tego wzroku. Emil podał pistolety do nabicia. Leon niebiorąc ich patrzył na podającego.
— Oto są — czemuż ich pan nie bierzesz — to do pana należy.
— Nabijcie sami.
— To być nie może, to się sprzeciwia wszelkim prawom.
— Wszakże idzie o to, żeby jeden drugiego zabił? — odezwał się Leon; w głosie jego była jakaś cierpkość, oschłość, każde słowo co wyrzucił z siebie, paliło jak palący się lak, gdy kapnie, w piersiach, z których szły takie słowa, musiał być ogień — więc mniejsza o to, czy ten czy ów nabije. Każdy niech się stara dobrze nabicić.
— Leon nie marudź — rzekł Wasyl.
— Chcę być świadkiem a nie uczestnikiem morderstwa. — Twarz jego była surowa, groźna, gdy to mówił.
Emil się oburzył.
— To nie żadne morderstwo.

— A jakże to nazwać — wszak się zabijać będziecie?
— To w obronie honoru.
— Honoru! Czy wiecie zkąd wyszło to słowo? Z zaników rycerzy — rozbójników.
— Nie czas na prelekcje historii, nie po tom tutaj przyszedł — rzekł kwaśno Wasyl, i obracając się do Emila dodał:
— Mniejsza o formy — nabijaj pan. Podczas gdy ten nabijał, Leon zbliżył się do Wasyla, objął go wzrokiem jak magnetyzer i pytał łagodnie ale poważnie:
— Wasylu, komu poleciłeś twego brata?
— Nikomu, nie zginie w świecie — i ja byłem sam. Niech się uczy łamać z losem.
— A twoich chorych?
Wasyl namyślał się nad odpowiedzią, potem rzekł prędko:
— Znajdą innego Wasyla — i wzięły pistolet z ręki Emila.
Odgadł myśli Leona, wiedział, że ten człowiek potępia krok jego, sam czuł jakies wyrzuty — chciał więc prędko skończyć.
Stanęli naprzeciw siebie dość blisko i spojrzeli sobie w oczy. Obaj byli bladzi, ale w twarzy mieli spokój wielki.

Patrząc na tych dwóch ludzi, którzy z tak zimną krwią patrzają w ciemne otwory pistoletów, przychodzi mi na myśl pytanie, gdzie źródło tej odwagi, jaką się nieraz tak zaszczytnie odznaczyliśmy, czy w poczuciu słuszności sprawy, za którą walczymy, czy rozdrażnieniu miłości własnej ?

Wiadomo dobrze, że oprócz Francuzów, żaden naród nie jest tak pochopny do pojedynków, jak my. Na szable, szpady, pistolety Polacy biją się dobrze i w pojedynkach odznaczają się zimną krwią, przytomnością, odwagą. — Ciekawą jest rzeczą, dla czego nas ta odwaga opuszcza na polu bitwy, dla czego żaden naród nie liczy tylu „pół rycerzy żywych,” co nasz. Ostatnie powstania z r. i są aż nadto wystarczającym świadectwem tego. Większej części brakło odwagi wystąpić w pole — tym co wystąpili — dotrwać w polu. — W tych dwóch przemianach odwagi leży odpowiedź na powyższe pytanie.

W czasie kiedy piszę niniejszą powieść (a więc w r.) zdarzyło mi się nieraz rozmawiać z ludźmi, tak zwanymi statecznymi, którzy wyrażając się o ostatniem powstaniu, z ubolewaniem oburzali się zarazem na sprawców tegoż.

— Proszę ja pana — mówił nie jeden — czyż godziło się na taki hazard stawiać los tylu ludzi, tylu rodzin?

Wstrzymuję się tutaj ze swoim zdaniem, nie chcę ani przeczyć, ani potakiwać tym ludziom, ale położę mały dodatek. Tego obywatela, ojca dbającego o los i całość rodziny ktoś obraził, może nadepnął na nogę, potracił umyślnie, obgadał i t. p. I patrzcie: ten człowiek, który nie miał sumienia stawić losu swej rodziny na hazard tam, gdzie szło o kraj cały — poświęci ją, aby stanąć na strzał łada chłystkowi, znieważającemu jego samego. Nie pytam już gdzie tu loika, ale gdzie tu serce? Jest poczucie słuszności osobistej, a nie ma poczucia słuszności narodowej, jest brawura, a brak męztwa. Gdy już mieli wymierzyć do siebie, Emil przypomniał sobie o liście, wyjął go i oddał Leonowi.

— Co to?

— List do mojej matki.

— Więc masz matkę? — Odbierz go sobie pan — rzekł Leon nieco opryskliwie i odrzucił list.

— Czemu?

— Zostaw pan matce swojej tę ułudę, że pana

zamordowali; będzie jej znośniej, niż żeby się dowiedziała, żeś z rozmysłem zniweczył jej najpiękniejsze, może jedyne nadzieje.

Emilowi ręka wyciągnięta do strzału opadła na dół.

— Wasylu — mówił dalej Leon z gorzką ironią a twarz jego rozogniła się, choć słowa ciekły powoli — Wasylu zabij go, jego matka będzie cię błogosławić.

Wasył zacisnął zęby, aż kości szczęki przez skórę przebiły — rzucił pistolet na ziemię.

— Leonie — rzekł wzruszonym głosem — tyś się uwziął na moją hańbę. Niech ci Bóg tego nie pamięta.

Potem zwrócił się do Emila i rzekł głosem, w którym znać było straszne pasowanie się wewnętrzne.

— Idź pan już — możesz roztrąbić przed ludźmi, że Wasyl Popowicz stchórzył i bić się nie chciał.

— Wasylu! jam bardzo zawinił przeciw tobie, jeżeli możesz przebaczyć mi — zawołał Emil. Oczy miał pełne łez, ręce wyciągnięte, pochylił się naprzód, czekając na słowo Wasyla, by się rzucić w jego ramiona. Wasyl milczał ponuro i

patrzył w ziemię. Nie była to jednak zatwardziałość

Resztki żalu nie pozwoliły mu przemówić, było to ostatnie wezbranie, które poprzedza pęknięcie. Wyciągnął rękę. Piękna była ta scena pojednania.

— Oj Lachy, serdeczne a głupie — mówił Rusin ściskając dłoń Emila i połykając łzy, które mu głos tamowały — gdyby wy mieli zastanowienie, z was by był wielki i złoty naród. Widzisz, Rusin nie z kamienia — za jedno dobre słowo darował ci całą hańbę swoją — rozumiesz?

— Dziękuję ci bracie.

— Temu dziękuj — rzekł wskazując na Leona, spoglądającego na nich oczami pełnymi miłości i szczęścia. Sześć rąk ścisnęło się uściskiem braterskim — czemuż tylko tyle?

Czemu cały naród nie związany w taki łańcuch? — Taka potęga świat mogłaby wyzwalać do walki.

Młodzi ludzie już mieli się zabierać do powrotu, gdy Emil ich przytrzymał za ręce:

— Jeszcze jedno — rzekł do nich. Przypatrzyłem się waszemu życiu z blizką i muszę wam zazdrościć; wy pracujecie; w tej pracy jest cel i zasługa, domyślam się jak szczęśliwymi musi

was czynić takie życie. Porównałem się z wami i wstyd mnie, bo ja nic jeszcze nie zrobiłem. Na dnie moich zabaw nuda, czczość. Żyło się z dnia na dzień trochę w książkach, więcej w szukaniu przyjemności; gdy patrzę na siebie, gdy ścisnę to życie surowszą myślą, nie znajduję w niem nic, czembym mógł zaświadczyć, że żyłem. I nie przyszło mi nawet na myśl, że droga, którą idę, zła, — że jest inna; wszyscy, których znałem, żyli podobnie. Dopiero przy was uczułem różnicę.

— Ho, ho Laszku nie poetyzuj tak — niechwalno tak, bo to krztusi jak dym jałowcowy — wtrącił Wasyl. — A że wy też nie znacie miary, albo zdepcze człowieka jak żabę w błocie, albo go niesie jak świętego na obłoku.

— Nie przerywaj mi, zaraz skończę. Przypatrzysz się wam, uczułem wyrzut, uczułem, że powinienem coś zrobić, ale nie umiem się zabrać do tego. — Wyście mi przebaczyli, ale to nie dosyć dla mnie teraz, ja chciałbym żyć z wami, uczyć się od was żyć . . . Nie śmiem prosić was o przyjaźń, bo niczem na nią nie zasłużyłem, ale proszę: nie opuszczajcie mnie, jeżeli wam o to idzie, abym nie zmarniał.

— Emilu, my odtąd przyjaciele, będziemy

pracować razem, dobrze? — rzekł Leon i wszyscy trzej uścisnęli się.

— Leon, a wiesz ty, to nie zły Laszek — rzekł Wasyl trochę rozrzuwionym głosem — no, a kto by to był poznał po nim.

Tak więc w miejscu, które miało być świadkiem walki, zawiązał się piękny tryumwirat.

Trzej pojednani wrócili razem do miasta — Emil za powrotem do domu potargał list pisany wczoraj do matki a napisał inny, w którym donosząc o dzisiejszym zdarzeniu, wspominał wiele o Leonie.

VIII. PIERWSZE OBJAWY ŻYCIA.

Jedną z największych zawad, o które zaczepić się musiał i uwięzgnąć wszelki postęp i rozwój ducha — był język.

Od r. język niemiecki stał się nietylko językiem rządowym, ale i wykładowym. To przeobrażenie nietylko, że wielu ludzi uzdolnionych,

nieposiadających tego języka, usunęło ze stanowisk i uczyniło bezużytecznymi, a co więcej ciężarem społeczeństwa, ale nadto zatrzymało wszelkie życie w młodzieży. — Jeżeli przedtem było już dosyć przyczyn stagnacji, to teraz przybyła jeszcze jedna: — Łamanie się z trudnościami językowymi zużytkowało czas i siłę potrzebną do nabywania wiadomości, dla środków stracono cel. Później nawet, kiedy trudności te pokonano, język, nie idący z ducha ale z pamięci, nie mógł w ustach niewprawnych mieć odpowiedniej giętkości do wcielenia myśli, ścieśniał więc je, zamiast się wraz z nią rozprzestrzeniać i rozwijać. Myśl musiała się czepiać znajomych zwrotów, wyrażeń, ztąd odlewy z takich stereotypowych form były pozbawione różnorodności i indywidualności. Uczono po niemiecku i uczono się po niemiecku, a myślano po polsku. Język więc ten, to były lodowe okowy na rzece; rzeka stanąć musi, a choć spodem przeciągają wody, to ruch ten słaby i mało znaczący.

Rząd sam uznał wadliwość podobnego systemu, kiedy po niecałych siedmiu latach przywrócił język polski. Fakta dowiodły o ile z tą zmianą podniósł się stan nauk, liczba i zapal uczącej się młodzieży. Dość przejrzeć wykazy szkolne z osta

tnich lat, aby się o tem przekonać. — Od nas samych zależało skrócenie tego nienaturalnego położenia, w jakim kraj znajdował się lat kilka; ale do tego trzeba było mieć odwagę, wypowiedzieć głośno swoją skargę i domagać się zmiany.

Rzecz to bardzo naturalna, że nie doktor wzywa chorych, jeno chorzy doktora. Kto ma drzazgę za paznokciem, powinien sam prosić, by ją wyjęto, chyba że go nie boli.

Odwagi tej brakło nam, brakło poczucia się w swoim prawie. Przez pięć lat nikt nie przemówił, nikt się drogą legalną nie upomniał, a choć tu i owdzie odzywało się kilka głosów, to trudno je uważać za wyraz dążności i życzeń całego narodu, zwłaszcza jeżeli te pojedyncze lamenta błakając się jak po pustyni, nie skierowały się tam, z kąd skuteczne ukojenie wyjść mogło. A przecież to była kwestya najważniejsza, bo kwestya bytu przyszłego, wychowania pokolenia następnego, trudno więc zrozumieć obojętność i milczenie starszych. Zkąd, jeżeli nie od nich miała wyjść inicjatywa? Litować się potrzeba nad płytkością i fałszywością loiki, z jaką niektórzy tłumaczyli przed sobą własne lenistwo i brak energii. Nie jeden

ojciec, opiekun, stryj i t. p. uspokajał się w ten sposób:

— A co mi tam — mój syn, bratanek lub wychowanek i tak będzie musiał szukać losu w urzędzie, to język niemiecki będzie mu niezbędnie potrzebny, to lepiej, że się wyćwiczy w szkołach. Niech tam panowie upominają się o to dla swoich dzieci.

Owi znowu panowie przeciwnie rozumując dochodzili do tego samego rezultatu.

— A nam po co się narażać, — mówili a przynajmniej myśleli — a czy to nasze dzieci potrzebują żyć z nauki? One, dziękować Bogu, mają inny kawałek chleba. Niech się tam w szkołach odrobinę poduczy, a potem mospanie do roli — na gospodarza. Dobrze i to, że się i niemczyzny trochę poduczy, bo mu się to w życiu nieraz przyda, czy to z urzędnikiem, czy z żydem pogadać w interesie. Mnie tego nieuczono, to też mi nieraz źle z tem.

Nie można zaprzeczyć, że było wielu, którzy inaczej, głębiej rzeczy widzieli, więc ubolewali szczerze nad takim stanem i pragnęli zmiany; ale brakło im cywilnej odwagi, energii — jedni czekali na drugich.

Tłumaczy ich i po części uniewinnia ówczesny

stan rzeczy — powie mi nie jeden. Dobrze, przypuszczam i to; ale jakże ich usprawiedliwić wtedy, kiedy przy zmianie okoliczności nie starali się zaraz naprawić to złe i w ciągłym wyczekiwaniu milczeli? — Wyczekiwanie — to był ich znak herbowy, za który się chowali, jak żółw za swą tarczę.

Leon kilkakrotnie udawał się do starszych w tym względzie i ze skromnością właściwą młodemu wiekowi przedstawiał im, że czas by już poruszyć tę myśl. Zbyli go ni tem ni owem.

— Prawda, święta prawda, ale nie czas teraz na to — mówił jeden, a inni:

— Ja się narażać nie mogę, mnie chodzi o los, mam żonę i dzieci, — albo:

— Nec Hercules contra plures, mospanie dobrodzieju.

— Przyjdzie koza do woza.

— Cierpliwości, tylko cierpliwości.

Takimi ogólnikowemi, nic nieznaczącymi sentencjami zbywali niemiłą rozmowę, zasłaniając się przed wyrzutami własnego sumienia — te ogólniki — to była woda, w której Piłaci chcieli obmyć swoją winę.

Widząc próżność swych usiłowań na tej drodze, Leon zwrócić się musiał wyłącznie do mło

dzieży, wierząc, że tutaj jako przed piękną i pożyteczną myślą nie zamkną się drzwi, nie powiedzą jej jak natrętnemu zebzakowi: „Z Panem Bogiem!”

Powoli przygotowywał umysły, jednal zwolenników.

Wizyta ministra Grołuchowskiego w Galicyi, jego tu i owdzie rzucone słowa, dały tym dojrzewającym myślom silniejszy popęd. Młodzież postanowiła jawnie wystąpić i przedstawić ministrowi swoje życzenia, żądania czy prośby, jakby je tam komu nazwać się podobało. Chciała chociażby nawet bez nadziei pomyślnego skutku wypowiedzieć przynajmniej głośno, że obecny stan znosi z trudnością.

To był pierwszy, samodzielny krok młodzieży, krok trochę nienaturalny, bo wdzierający się w prawa starszych, odsuwający ich na bok, krok jednak konieczny, bo jak widzieliśmy, starsi nie chcieli wziąć inicjatywy w tem, co właściwie do nich należało.

Kiedy rząd zmienił potem swój system i przygotowywał konstytucya, już po ogłoszeniu patentu cesarskiego z dnia października, „Czas” krakowski w Nrze odzywa się: „Cóż może być legalniejszego, jak dopominać się u rządu

o prawa narodowe, oparte na traktatach i przyrzeczeniach monarchów, i to drogą jawną, śmiałą, otwartą?” — Zaprawdę Papkinowska to deklamacya po czasie — dla czegoż pierwej ani ten dziennik, ani obywatele (co jeszcze ważniejsza) nie użyli tej najlegalniejszej drogi, ale się pochowali i milczeli, zostawiając gorącemu sercu młodzieży inicjatywę.

Od tej chwili zaczyna się dziwny stosunek młodych do starych, przewrót społeczny: młodzi, niedoświadczeni, ale pełni poczciwych (chęci i zapału ludzie, chwytają ster wypadków i stają w pierwszym szeregu.

Starzy zostają w tyle, nie jak rezerwa, ale jakby podjazd nieprzyjacielski lub obojętnie odosobniają się, część zaś porwana wypadkami i siłą, jaką wywiera zapal, szli lubo niechętnie za młodymi. To nie żołnierze, którzy mnożą liczbę i siłę szeregów, ale zwyciężeni, których ciągnąć trzeba było. Tak trudne i kłopotliwe stanowisko, na jakim bezczynność starszych zostawiła młodsze pokolenie, mogło odurzyć i obalamucić młode umysły. Zarozumiałość drażniona ciąglą opozycją, błędy wynikające z braku doświadczenia — były nieuniknione.

Umyślnie zatrzymuję się nad tym punktem,

bo to punkt wyjścia późniejszych wypadków, a zarazem przyczyna nieporozumień, zawikłań, starć, które się zakończyły straszną katastrofą . roku. Chciałem u źródła samego zwrócić uwagę czytelników, aby pokazać istotną przyczynę skrzywienia dróg i błędów. Młodzież nie wydzierała steru z rąk starszych, bo ster leżał porzucony, zaniebany przez nich. Później będziemy słyszeć krzyki, jakie podniosą starsi na tę niby uzurpacyjną władzę, tu więc czas i miejsce zwrócić uwagę, że te krzyki tylko ich samych oskarżać mogą.

Młodzież więc rozpoczęła; ale powziąwszy myśl przedstawienia swych żądań ministrowi, nie miała jeszcze odwagi działać na własną rękę i brać całą odpowiedzialność za ten czyn, chciała i spodziewała się zachęty. W tym braku odwagi, w tem wachaniu się pokazała całą delikatność sumienia, całą względność dla starszych.

I jakaż była rada starszych? — Domyśleć się łatwo. Do wszystkich poprzednich przyczyn, jakie im nie dozwalały działać, żyć, przyłączyła się jeszcze jedna: wstyd; wstyd, że ich wyprzedziły niedorostki. Zapytanie młodszych było mimowoli ciężkim dla nich wyrzutem. Konsekwencya więc sama zmuszała ich odradzać.

— Jakiem prawem myślicie występować? — mówili oni. — Pośpiechem zgubicie kraj i siebie. Nie uprzedzajcie myśli i chęci ministra. Czekaście!

Oto była rada starszych, rozsądnych. Dziwić się potrzeba, jak z naszym usposobieniem może się zgodzić choroba tak zwanego zdrowego rozsądku, który u nas ma cel czysto destrukcyjny. Ludzie rozsądni to plaga nasza. Co gdzieindziej robią trzpioty, szaleńcy — u nas toż samo popełniają owi rozsądni ludzie. Ich zadaniem jest udowodniać niepodobieństwo każdej nowości, "rozczarowywać ze złudzeń," odciągać od przedsięwzięć, jednym słowem: psuć. Rozsądek jest u nich parawanem ich słabostek, braków. Ci ludzie wiedzą, że porządnemu człowiekowi należy być rozsądnym, tylko nie wiedzą kiedy i gdzie, i zwykle swój rozsądek zastosowują w najniezwyklejszy sposób tam, gdzie najmniej potrzeba. Jest to tak samo, jakby ktoś naczytawszy się o pożarach, o szkodliwości ognia, pędził do kuchni z sikawką i gasił ognie, przy którym się obiad gotuje. Gdyby świat chciał słuchać takich ludzi (jak my ich nie raz słuchamy), nie postąpiłby naprzód jak człowiek, który boi się ruszyć, by nie przewrócił lub nie uderzył. Tacy ludzie usiłowałiby Kopernikowi wytłómaczyć, że jego teorie nie są rozsądne, Ko

lumbowi pokazałoby liczebnie niemożność istnienia nowych światów, zgoła, nie przypuszczają na świecie nic nowego, nic co poprzednio nie istniało, co nie jest, co się w znane formułki ich rozumu, jak do pieca wsunąć nie da. U nas niestety tacy rozsądni ludzie używają często wielkiej powagi i popularności, dla tego stoimy, co większa nieraz cofamy się. Przykład rewolucji listopadowej tu wystarcza. Stworzył ją zapał a zgubił rozsądek. Tak i tutaj, młodzież upominająca się o niezbędną własność, o język — była szaloną, starsi, którzy odradzali ten krok — byli rozsądni. Projekt się rozchwiał — minister przejechał do Wiednia; o ile usprawiedliwił owe skrupuły starszych, którzy zamknęły usta młodzieży, by nie uprzedzała jego chęci — przyszłość pokazała. Czekało więc! Nie było to niecierpliwe oczekiwanie, liczące niespokojnie godziny i minuty, z jakimi wyglądamy powrotu czegoś drogiego, ale spokojne, poważne. Tak służący czeka na swego pana — „nie widać go, ha, to lepiej, zdrzemnę się tymczasem”.

Było więc już pierwsze zadrgnięcie, ale tak słabe, że ruch nie wyszedł po za brzegi pewnego kółka młodzieży, a nawet wśród nich mało czuć go było. Wielu się i tem zaspokoilo, przestali na

dobrych chęciach swoich. Nie dziw — spokój, a raczej spoczynek ma swoje ponęty, jest dowiedziona rzeczą, że im kto dłużej śpi, tem więcej ospały i zaspany.

Ale Leon nie zadowolnił się, był niekontent. Widział z boleścią, że pierwszy ruch młodzieży nie stał się w skutek siły rodzącej się w niej, ale chwilowego popchnięcia z zewnątrz, dla tego ruch ustał. W machinie nie było jeszcze ognia, który ożeniony z myślą stwarza ruch. Tego chciał, myśl adresu przewijała mu się po głowie. Czekał tylko sposobnej chwili — ta chwila wkrótce nadeszła.

Wskutek jakiejś okoliczności, podobno z powodu urodzin Emila było u niego większe zebranie młodzieży. Leon i Wasyl poszli tam także.

Emil, za radą i wpływem Leona, wyszedłszy z ciasnego kółka, w którym się dotąd poruszał, pozawiezywał stósunki z różnymi kolegami i żył z nimi; dla tego na tym wieczorze zgromadzili się u niego bogatsi i ubożsi, słuchacze różnych lat i różnych wydziałów. Z początku była to tylko mechaniczna mieszanka, każdy trzymał się osobno mierząc drugiego zdaleka niechętnem okiem, ale powoli oswoili się z sobą, poczęli się zbliżać, poznawać, sztywne miny stopniały i nastąpiło

złanie, rozmowa się ożywiła. Zbliżenie się fizyczne oddziało na stronę wewnętrzną duchową; jeżeli suknie ich stanowiły różnicę, to we wzajemnej rozmowie poznali, że wykształcenie ich równa. — W młodym wieku braterstwo nie jest rzeczą trudną, w starości niepodobną. Dziecko hrabskie grzebałoby chętnie w piasku z dzieckiem wyrobnika lub żebraka, — z wiekiem odsuwa się od niego — w starości nie zejdzie się już z nim — nawet w grobie nie, i na cmentarzach jest hierarchiczny porządek. — Młodość tylko jako ogień lubi się łączyć w jedno — ważna to chwila i grzech stawiać między temi płomieniami ściany uprzedzeń, różnic, bo gdy ogień nie ma siły ich przegryść — zgaśnie. Do zbliżenia się i zbratania kolegów, wiele przyczynił się przykład i postępowanie Emila — szczerść, uprzejmość i serdeczność gospodarza oddziaływała i udzielała się gościom jak ciepłik. Tylko Edmund i jego nieodstępny towarzysz, ładny, jak woskowa lalka w fryzyerskim sklepie, odsunęli się od towarzystwa. Edmund rzucił się na fotel, zarzucił nogę na nogę i puszczając gęste kłęby dymu poglądał po wszystkich z góry z miną człowieka, któremu coś nieprzyjemnie pod nosem

zapachniało. Przypatrzmy się bliżej temu człowiekowi.

Gdyby nie eleganckie ubranie, nie ogłada towarzyska i ułożenie, ten człowiek odstraszałby od siebie. Ubrany w łachmany, byłby obrzydliwym, odrażającym — formy światowe uczyniły go znośnym. Wysoki a chudy był, i to w osobliwy sposób, jakby szkielet z rybich ości się składał, tak kształty były ostre, szpilkowate. Głowa w stosunku do całości zbyt mała, włos rudawy mocno kędzierzawy, czoło wysokie po bokach mocno spłaszczone, nos nieco haczykowany a usta ostro wycięte przypominały satyrów uśmiechniętych. Ta część warg, które u innych ludzi bywają odchylone i karminowe, u niego wsunęły się wewnątrz i nie znać ich było prawie, tak szczelnie domknięte miał usta. Ale najwięcej szpecił tego człowieka brak brwi. Nie wiem co to u fizjonomistów oznacza, u niego wyrażało to pewną bezczelność i cynizm; z małych, wsuniętych pod czoło oczów, patrzała brudna, naga dusza, której nie miał czym zasłonić, choćby cieniem brwi. Właściwie źle się wyraziłem mówiąc: brak, bo to nie był brak, to była konieczność jego. Raz węglem poczercił sobie krawędzie czoła sklepionego nad oczami; z temi brwiami był jeszcze potworniejszy, więc

brwi były zbyt czyste dla niego — takie było piętno jego. — Do tego dodać trzeba, że był zjadliwie złośliwy i na zimno szydłoczy. Nie lubiano go powszechnie, lubo wielu z nim żyło może dla tego, by się zabezpieczyć od jego ostrego języka, zwłaszcza, że oprócz odrażającej powierzchowności nie splamił się żadnym brzydkim czynem, nie miano mu nic do zarzucenia. Był zdatnym do podłości, ale nie był podłym. Młodość, koleżeństwo nie pozwala rozwinąć się złym skłonnościom serca; nie znałem żadnego młodego człowieka na ławkach szkolnych, o którym mógłbym bezwzględnie powiedzieć: to zły człowiek. Występki rozwijają się dopiero po za murami szkolnymi, gdy człowiek zaczyna działać na własną rękę.

— Wiesz Modeście — cedził powoli Edmund, pokazując w brzydkim uśmiechu rzadkie zęby — nie poznają teraz Emila.

— I ja nie.

— W głowie mu się przewróciło, zdziwaczał kompletnie. Tylko że on to zawsze był tak ekscentryczny. Proszę cię co za sens ma dzisiejszy wieczór? Co ich się tu nazłaziło jak psów do tłustej kości; będą go obgryzać, a jak nic nie będzie odejść, O! patrz, jak tamten filozof żarłocznie polyka auszpick, taka nadziewka wystarczy

mu na kilka dni, tamten znowu z butelką usunął się pod okno, pewnie butelka zginie w jego kieszeni. Emil powinienby srebra pochować.

Modest schwycił się za złoty łańcuszek, jakby się obawiał o niego.

— Słyszysz, — powiedział dalej Edmund, — Emil posyła znowu po cygara, to się prędko uwinęli i rozdrapali; ręczę, że jutro będą odsprzedawać po mieście. — Emilu — rzekł do przechodzącego gospodarza — długo ta hołota będzie tu zawadzać?

Emil zagryzł wargi, spojrział ostro na mówiącego i rzekł:

— Nie rozumiem cię.

— No, przecież przede mną komedyi grać nie potrzebujesz, wiem, że idzie ci o popularność i dla tego ich cierpisz. Radzę ci, odbądź ich szybko i odpraw, a zatrzymaj naszych. Ot masz, jeszcze nowi się przywlekli.

Emil spojrział w otwierające się drzwi, zobaczył Leona i Wasyla i niezważając na Edmunda, pobiegł naprzeciw nim z radością.

— A, przecież! Już wątpiłem czy przyjdziecie, — i wprowadził ich w kłęby dymu, za którymi rysowały się niewyraźnie twarze kolegów.

— A, to już przechodzi wszelkie granice.

Modeście, czy ty widzisz, kogo on przyjmuje u siebie? tego Rusina, co go poszturczał na ulicy. Widocznie kułaki skutkowały, ale i Kato nie pogardził kolacyjką. Już to oni wszyscy tacy: srożą się, pletą o nocie, a każdego kupisz sobie lada jakim śniadankiem — gmin!

Przybycie Leona i Wasyla ożywiło i tak już gwarne towarzystwo. Wasyl wmięszał się między biedniejszych, swoją swobodą i wesołością ośmielił ich i rozruszał. Leon, lubo niedawno przybyły, umiał sobie już zjednać życzliwość i przychylność wielu kolegów; wszyscy go witali serdecznie. Leon chodził pomiędzy nimi z twarzą pogodnie uśmiechniętą — ten spokojny uśmiech miał zawsze na ustach, gdy stawał wśród kolegów, gdy był wesół. Wesołość nawet jego miała dziwną powagę.

Przechodząc od jednego do drugiego, znalazł się przypadkiem sam w drugim pokoju. Na kominku palił się ogień, dwa zielone stoliki stały rozłożone, na nich marki i karty.

— A co, może zagrasz? — spytał go Emil wchodząc za nim.

— Emilu, mam maleńką prośbę do ciebie — odezwał się Leon.

— Mów, ty mnie nie potrzebujesz prosić.

— Owszem, tutaj chcę tylko prosić.

— O cóż takiego?

— Schowaj te karty.

Emil nie spodziewał się prośby tego rodzaju.

— Ależ mój Leonku, to... tego... to konieczne dla zabicia czasu.

— Więc tak go wiele macie?

— No, ależ mój kochany, cóż będą robić?

— My o tylu rzeczach mamy mówić, tyle przygotować, czyż potrzeba ci jeszcze takich sposobów zajęcia?

— Zobaczysz, że się będą nudzić.

— Więc kilka kartek wynalezionych dla zabawki dzieciniałego idyoty więcej mogą zabawić niż wymiana myśli? Kto chce towarzystwo podzielić na kółka samolubów, niech im da karty.

To jedna z brzytw, którą los trzyma u naszych gardeł.

Emil z dziecinną powolnością zebrał karty ze stolików i rzucił je w pałacy się ogień.

— No Leonku, teraz jesteś kontent ze mnie?

— Dziękuję ci.

I pocałowali się. W rozmowie ich i w pocałunku była pieszczota kochanków — miłość prawie. Podobny stosunek wyradza się w zbliżeniu się charakteru męskiego silnego i słabszego, bier

nego. Emil miał trochę niewieściej natury. — Obadwaj trzymając się za ręce wrócili do towarzystwa.

— Modest, bawisz się? — spytał Edmund, ziewając szeroko.

— A ty?

— Jak widzisz. Trzebaby chyba w karty zagrać, bo cóż tu robić? Chodź!

I przeszli do pokoju, z którego przed chwilą wyszedł Leon z Emilem.

— A to co, kart nie ma. Emilu, Emilu! Emil wszedł, za nim weszło kilku innych kandydatów do zielonego stolika.

— A co takiego?

— Kart nie ma.

— A, prawda, zapomniałem zupełnie — rzekł Emil mieszając się i niewiedząc jak się wywinąć.

— Można będzie posłać.

Emil rzucając niespokojnie oczami spotkał się ze wzrokiem Leona, w tym wzroku był rozkaz i prośba, to go ośmieliło.

— Panowie — odezwał się — miałbym wam coś zaproponować. Czy nie lepiej, żebyśmy zmienili rodzaj zabawy? Jest fortepian, Władysław nam zagra, Ernest zaśpiewa — przytem rozmowa.

— I pacierze dla kompletu — wtrącił Edmund

a brzegi zaciśniętych warg ciemno sinym kolorem się powlekły.

Inni milczeli. Emil czuł, że mu gorąco, cofnąć się jednak nie chciał, opór i szydercze słowa obudziły w nim energią.

Panowie! — odezwał się powtórnie — zostawmy karty szulerom i ludziom bez zajęcia, my mamy insze, szlachetniejsze zabawy. Jakaż korzyść z wieczoru spędzonego u zielonego stolika, co na tem zyska duch?

— Słusznie, słusznie — odezwało się kilka głosów.

— Karty zużywają zapał, który możnaby na coś lepszego zwrócić.

— Karty, szampan i rozpustę zostawmy oficerom moskiewskim.

— Szalone gry ruinowały w ostatnich czasach najznakomitsze fortuny, to nas powinno odstraszać od kart.

— Ależ śmieszni jesteście — odezwał się Edmund sycząc — preferans nie hazard żaden.

— Ale strata czasu; chodźmy się zabawić, Emil dobrze radzi.

I wrócili hurmem do pierwszego pokoju. — Władek zagrał Chopinowskiego mazurka, jednego

z tych lekkich, powiewnych a smętnych, jak kołysanie się gałązek brzoźowych nad mogiłą.

— Wyraźnie powaryowali — rzekł Edmund — we łbach im się poprzewracało. To tego Katona Leona sprawka, odpłacę ja mu.

Lekceważąc opinią, kazał lokajowi przynieść talią i zasiadł do gry z Modestem; ale wnet im się znudziło, milczkiem wrócili do towarzystwa, otaczającego fortepian wieńcem, i poczęli półgłosem jakąś rozpustną pogadankę.

Władek był niewyczerpanym. W końcu rzekł:

— A teraz zawtóruję wam do chorału Kornela — i uderzył kilka silnych, poważnych akordów, jak głos organów — młodzi zaśpiewali chórem, ponad wszystkimi głosami unosił się wysoki dźwięczny głos Ernesta.

Tylko męskie piersi podolać mogą potędze i wystarczyć sile tej melodyi i słów. Twarze młodych poważniały wśród śpiewu, natchnienie paliło się w ich oczach. Hymn uderzył o serca i zrobił wyłom jak w murach Jerycho, i przez wyłom weszły myśli jakieś nieznane a wielkie i zwycięzko rozsiały się. Po skończeniu śpiewu było jakiś czas poważne milczenie, każdy słuchał jeszcze — czego? — siebie; czuli się innymi niż przed chwilą, powaga kościołów i grobów ich

owiała. Spojrzeli po sobie, jak ludzie oświeceni luną pożarów, różne były kolory ich sukien, ta luna dała im jedną wspólną barwę — pieśń ich zbratała. Dziwna rzecz, niejedyn nieraz śpiewał sobie tę, pieśń, a nie doznał tego wrażenia, a czemu? — Bo tutaj śpiewali razem. Tylko drobne piosneczki życia można śpiewać pojedynczo, wielką pieśń życia trzeba zawieść chórem, jeżeli chcemy, aby była potężną. Później ta sama pieśń szersze obejmuje grono, usłyszymy ją w kościołach i na rynkach śpiewaną przez tłumy. Tu się poczęła.

— No, a ty Erneście nic nam nie zaśpiewasz? — zapytał Władek po chwili, gdy wrażenie przeminęło jak zjawisko.

— Cóż chcecie?

— „Poranek dziewczyny” — podszepnął Władysław i wziął cichy akord.

Piosenka była prosta, ale cudnie piękna — podziękowano za nią oklaskami.

— Czyje to słowa? — spytało kilku.

— Nie poznajecie — rzekł Władek, — to język Brunona.

Wszyscy zwrócili oczy na młodego blondynka, stojącego pod oknem.

— Brunonie, zadeklamuj nam co swego — prosił Emil, — patrz, wszyscy proszą.

Brunon położył rękę na czole, chciał sobie coś przypomnieć.

— Nie, daliBóg nic nie pamiętam.

— Ale ja pamiętałem — rzekł jego kolega i wyciągnął manuskrypt z kieszeni — wyjąłem ci go dziś ze stolika, gniewasz się?

— Ludwiku, to kradzież — rzekł poeta z uśmiechem biorąc swój manuskrypt, odgarnął z czoła długie, jasne włosy i począł czytać wśród ogólnej, ciszy ostatni swój poemat: „Ruiny”.

Głos jego z początku był cichy, stłumiony, uczucie go tamowało — powoli potężniał, krew nabiegała do twarzy, natchnienie tryskało z oczów. Poemat był piękny. Gdy skończył czytać, wieszowano, ściskano.

Potem Władek, który był niezmordowany przy fortepianie, począł znowu coś wesołego. Młodzi się rozochocili i rozgadali. Leon zbliżył się do Brunona:

— Nie wiedziałem nic o twoim talencie — rzekł, siadając z nim na boku.

— Tak jak i ja nie wiem.

— Mówisz, jak ładna panna o swojej brzydocie.

— Czy rzeczywiście ci się ten poemat podoba?

— Chcesz szczerego zdania i nie obrazisz się?

— Proszę o to.

— Poemat piękny, tylko miałbym coś zarzucić myśli. Opisujesz tak pięknie ruiny, że możnaby się zakochać i zostać; w takiej tęsknocie nie ma przyszłości. — To wada dzisiaj wielu poetów — zanadto zapatrzyli się po za siebie, w takiej postawie trudno iść naprzód.

— Przeszłość nasza ma tyle wzniosłego.

— Znam tę wielkość i korzę się przed nią, ale w przeszłości nie ma wszystkiego, czego nam potrzeba. Nam nie Bardów potrzeba ale Tyrteuszów. I jeszcze co — poezja powinna podnosić na swój pedestał wielkie posągi naszej przeszłości, ale nie powinna rzucać szat natchnienia na to, co niewarto, co niegodne. Poeci nasi nadto apoteozują tę przeszłość, stawiają ją w obłokach, podczas gdy ona tylko stąpała po ziemi, choć wzniosłe stąpała.

— A jej poświęcenia się dla wielkiej idei, walka za całe chrześcijaństwo ?

— Wiedziałem, że wywołasz tę marę, którą stworzył nie naród, ale usta poetów, — rzekł Leon z lekkim uśmiechem.

— Więc chcesz przeczyć prawdzie historycznej ?

— Nie, owszem stoję przy niej. Patr! widzisz na tym krajobrazie wioskę rozkoszną nad rzeką —

i pokazał na obraz wiszący na ścianie. — Przypuśćmy, że w takiej wiosce pożar rozpoczął się od owej szopy stojącej opodal od krzyża. Gospodarz najbliższej chaty, widząc płomienie zagrażające mu, czując ich gorący oddech, wyteża

siły z całą rodziną, by pożar zniweczyć w zawiązku, by się nie szerzył. I udało mu się, ocalił siebie; gdyby pożar był się chwycił jego strzechy, możeby cała wioska zgorzała. Cobyś powiedział o tym wieśniaku, gdyby na drugi dzień zwołał gromadę i rzekł: poświęciłem się dla was, uderzcie czołem? — I Polska odpierając wschód, broniła tylko siebie, obroniła wprawdzie zarazem chrześcijaństwo, Europę, — ale do poświęceń daleko.

— A obrona Wiednia — to już nie własnych granic zasłonięcie?

— Prawda, to na pozór mogłoby zachwiać moje zdanie. Ale tylko na pozór. Nie wglądam za kulisy tego faktu, biorę go jak jest; jest wielki, ale w tej wielkości kryje się słabość nasza. Cobyś powiedział o owym gospodarzu, gdyby zostawił czerwonym, niszczącym płomieniom dom i rodzinę, i poszedł na drugi koniec wsi ratować sąsiada, u którego także powstał pożar? — Czy śmiałyś powiedzieć, ten człowiek się poświęca? —

Człowiek pojedynczy może wtedy bez grzechu własne dobro poświęcić, ale ojciec rodziny, ale król narodu nigdy. Nie uwłaczam wielkości czynu, ale bezużyteczność jego dla nas winna nam być nauką. W przeszłości naszej były grzechy, wrzody, któreśmy odziedziczyli — na co się zda zacierać je bielidłem pochwał — to jątrzy ranę, ale jej nie uzdrawia.

— Więc myślisz, że to poezji zadanie zdzieranie uroków, pokazywanie nagiej rzeczywistości?

— Pokazanie prawdy! — Prawda — to poezja; u naszych poetów często jej nie ma, czasem coś błyska jak szych, jak purpura — odsłonisz tam grzech. Geniusz Danta nie wzdygał się zstąpić do piekła, my ulatujemy w obłokach, jak ta dziewczeczka w „Dziadach” Adama, niedotknąwszy ziemi. Poeci kadzą nam jak półbogom, rozanielili naszą Polskę, nas chcą przemienić w aniołów, a nam potrzeba ludzi. Bóg nie przez omyłkę stworzył człowieka. Łatwiej być aniołem niż człowiekiem.

— Leonie, Leonie! — zawołał Wasyl siedzący przy drugim oknie — chodźno do nas, potrzeba cię tu.

Leon przerwał rozmowę z Brunonem i poszedł.

— Leon ratuj mnie, bo mnie tu zjeść gotowi

jak sperkę w kapuście. Usiadźno. Idzie rzecz o to: rozmawialiśmy o tem i o owem, rozmowa padła na historią; otóż pokazało się, że Lachy swoich dziejów nie wiele więcej zachwycili, co chińskich.

— Bo nas nieuczono — bronił się jeden — i książki podręcznej, obszerniejszej nie ma.

— Otóż ja im mówię: a od czego chęci i rozum? Trochę czasu za szkołą poświęcić i kwita — ten obrobi tę epokę, ów inną, zjeździecie się, przeczytacie, wreszcie odpiszeć sobie i będzie historia na papierze, w głowie i w sercu.

Rozumiesz? To ja im radził, no ale mnie ton zajechał argumentem i przybił jak ćwiekiem.

Tu pokazał na zaniebaną, nędznie ubraną figurę z twarzą zaschłą, z okularami i włosami bezładnie rozrzuconymi. Był to tak zwany filolog, młody starzec. Gdybyś się przypatrzył jego palcom, zobaczyłbyś na nich odgniotki od ustawicznego przewracania kartek słowników i gramatyk. Na tem zaczęła się, na tem skończyła jego umiejętność.

— No, powiedz ty sam — rzekł Wasyl do filologa, — bo ja nie chcę sam na siebie podawać brzytwę.

— Mówiłem — odezwał się sucho i monotownie

filolog — że czasu nie wystarcza nam na wywołanie przedmiotom szkolnym, a nie dopiero, żeby się jeszcze po za murami akademii zajmowało takimi rzeczami.

— No, widzisz Leonie, tak mnie zajechał, niby to ma słuszenie, a przecież ja czuję że nie, tylko nie umiem się wyjęzyczyć. Wyręczono mnie.

— Nie przekonacie mnie panowie. Mnie nauka, z której będę miał chleb, potrzebniejsza, jak tam historje. . . .

— Tak — rzekł Leon z przyciskiem — przedmiot fachowy trzeba umieć; ale znać dzieje własnego narodu jest powinnością.

— Otóż go zajechał, trafiła kosa na kamień. A niechże cię uściskam Leonku.

Filolog się skrzywił jak po kapuście.

Nie wiem co Leona spowodowało, że wróciwszy do Brunona, zamiast kończyć zaczęłą rozmowę, spytał go:

— Ty dobrze mówisz po niemiecku?

— Tak, — odrzekł zdziwiony poeta, wytrzeszczając oczy na mówiącego.

— Nie pamiętasz jakiego dłuższego ustępu którego z niemieckich poetów?

— Owszem, pamiętam.

— Proszę cię zadeklamuj głośno.

— Co to ma znaczyć?

— Dowiesz się później, wiele mi na tem zależy, myślę że i tobie.

— Dobrze więc.

I stanąwszy na środku pokoju począł podniesionym głosem deklamować wiersz Lenaua: „Miszka nad Cisą i nad Maroszem”.

Wszyscy osłupieli, spojrzeli na poetę, myśląc że drwi, ale twarz jego była poważna i całkiem bez cienia śmiechu.

Niektórzy przysłuchiwali się wierszom, mającym w sobie wiele piękności, inni poczęli szemrać. Niemieckie słowa nie odpowiadały tym uczuciom i myślom, jakie dzisiejszy wieczór w nich obudzał.

— Eh, dałbyś pokój z niemczyzną — odezwał się jeden i drugi — chcesz nam przyjemność sprawić, to deklamuj po polsku.

— Koledzy! — odezwał się Leon silnym głosem — przez kilka chwil przykro wam tutaj słuchać gwaru obcej mowy — a w murach wszechnicy Jagiełły słyszycie ją lat tyle i milczycie.

Słowa te przeszły jak grzmot po nad zgromadzeniem, wyrzut był słuszny, młodzi pospuszczali głowy.

— Dyplomata z Leona — pomyślał Bruno.

— Wszakżeż chcieliśmy niedawno temu upomnieć się, zamyślaliśmy — odezwało się kilka głosów.
— Między myślą i wykonaniem jest przepaść,
którą tylko silna wola zappełnić potrafi.
— To już późno.
— Właśnie czas. Zaniechaliśmy tej sposobności w Krakowie, teraz trzeba jej szukać w Wiedniu. Tam wysłać należy
wybranych z adresem.
— A jak odrzuca?
— To przynajmniej sumienie wyrzucać nam nie będzie, żeśmy nie czynili naszej powinności. Uniwersytet podniesie
się znowu w opinii publicznej.
— Co się mnie tyczy — odezwał się mrukliwym głosem filolog — to wcale bym sobie zmiany nie życzył. Tak
odwykliśmy od terminów polskich, żeby nam trzeba na nowo naukę zaczynać.
— Być może, że pan wolisz — odezwał się Leon nieco z oburzeniem, — ale choćby takich jak pan było i dwudziestu i
trzydziestu, to łatwiej, żeby ci wynieśli się dla swej dogodności na jaki niemiecki uniwersytet, niż żeby nasz miał
cierpieć przez nich. Nie bądźmy krótkowidzami, patrzmy w przyszłość.

Wachanie, namysł, widać było na wszystkich twarzach; kilku tylko stanęło za Leonem.

Leon miał się znowu odezwać, gdy przed niego wysunął się Edmund.

— Za pozwoleniem — rzekł sycząc prawie, założył szkiełko na oko, wsadził rękę do kieszeni pantalonów i mierząc
Leona szyderskim wzrokiem ciągnął dalej:

— Za pozwoleniem, słówek kilka. Nie wiem jakie pobudki skłaniają pana do tej agitacji, nie chcę się domyślać, bo
może mógłbym się domacać brudów —

Każde słowo przeciągał, uwydatniał, a oczami jak nożem wiercił w twarzy Leona. Wasyl zacisnął pięści i postąpił
naprzód, Leon wstrzymał go wzrokiem.

— Nie mam przyjemności znać pana — ciągnął dalej bezczelnie Edmund — i cieszę się z tego, domyślam się tylko z
tej żarliwości, z jaką pan nastajesz na całość i istnienie naszej wszechnicy, żeś obcy, gdy cię los jej tak mało obchodzi.
Bo wiedz pan, że rząd za ten krok może uniwersytet zamknąć, tak, tak, — ja to panu mówię jako prawnik.

— Jakto, za co? — że ta młodzież chce pracować, chce się rozwijać, a to jest niemożliwym

tylko w ojczystym języku — czyż rząd może naganiać podobny krok?

— Młodzież nie ma prawa podawania adresów, bo nie jest korporacją.

— Zanoszenie próśb do tronu nie może być nikomu wzbronionem.
— Nie widzę zaszczytu w dysputowaniu z panem, ludzi źleji woli nie przekonam, o tem wiem; ale chcę panu oświadczyć w imieniu kolegów moich —
— Nie upoważniamy cię wcale do tego — przerwało mu kilka głosów.
Nie zważał na to i cedził dalej słowa:
— Kolegów moich, jeżeli nie tych, którzy tu są, to tych, których tu nie ma, a takich jest większa liczba, że nie dozwolimy wicherzyć ludziom nieznanym i przybłędom.....
— Edmundzie! — zawołał uniesiony gniewem Emil — nie zapominaj się w moim domu, bo i ja się mogę zapomnąć.
— Nie obrażaj nikogo — pomrukiwali inni. Leon wstrzymał Emila za rękę. Słowa jak błoto padały mu na twarz, on nie uniósł się, nie zapomniał, posągowy spokój był w całej postawie i wielka godność. Ani się obrażał, ani urągał — patrzył w twarz Edmunda drgającą konwulsyjnymi

ruchami złości i jadu — i słuchał spokojnie, jak człowiek, co słucha obojętnej wieści. Potem zapytał :
— Czy pan potępiasz mnie, czy mój plan? Ten marmurowy spokój przygniół Edmunda jak gadzinę, zwinął się kurczowo i syknął z zapamiętałością resztką jadu:
— I ciebie, i twój plan i moskiewskie ruble, które mówią przez ciebie — łotrze!
Krzyk oburzenia powstał.
— Precz, precz, — wołali wszyscy, rzucili się ku niemu tłumem, powstał zamęt i wrzawa, wśród której rozległ się łoskot jakby człowieka spadającego ze schodów.
Modest cichutko i bez szwanku wyniósł swoją fryzurę i nowy kapelusz.
Koledzy wróciwszy do pokoju, otoczyli Leona z oznakami współczucia i przyjaźni.
— Dziękuję wam koledzy za waszą przychylność, lubo przykro mi, że jej objaw połączonym być musiał ze stratą jednego człowieka. Praca jeszcze nie rozpoczęta, a już ma wroga. Tem większą powinna być usilność nasza. Ten człowiek znieważać chciał mnie i mój plan, broniąc mnie, wypełniliście dopiero połowę, połowę mniejszą —

zostaje rzecz ważniejsza: myśl moja. Odrzucając ją, potępicie mnie.

— Nie, nie — wołali z zapalem.
— Więc zgadzacie się na adres ?
— Zgadzamy, zgadzamy!
— Ot, na co się tu bawić w przewlekaniu — odezwał się Wasyl — co z myśli to i z głowy. Ma być adres, niech będzie zaraz.
— Zgoda, zgoda!
Emil podał papier, Leon wypisał adres, przeczytał i wnet zapełniono stronicę podpisami. Leon był uszczęśliwiony — młodzi ludzie późno w noc rozeszli się, i każdy wracając do siebie rad był z przepędzonego wieczoru. Nazajutrz wieść o adresie rozeszła się w uniwersytecie, wielu z gorączkowym pośpiechem biegło do Emila, gdzie się adres znajdował, aby się także wpisać — zapal udzielał się.

Nad wieczorem Wasyl wszedł do Emila.

— Dużo się podpisało? — spytał.

— Dostyc, ale mam nadzieję, że bodzie nierównie więcej.

— Dobre to, co jest, nie pytaj o więcej, bo i to stracisz. Gdzie masz adres? Daj mi go.

— A tobie na co?

— Tuż ty się nie pytaj — potem sam powiesz:

Rusin taki mądry człowiek, dobrze przewidział. Ja was znam panowie Lachy, wy by w jednej chwili gardło dali za człowieka, a w drugiej toby nie chcieli i kropelki krwi z palca wypuścić. Bądź zdrów Emil.

IX. DALSZY CIĄG.

Wasyl dobrze przewidział.

Młodzież zadowolniona ze swego postępowania, pochwaliła się przed starszymi. Zamiast pochwały spodziewanej powstały krzyki, odradzania, groźby, lamenta: ludzie rozsądni rzucali klątwy i straszne proroctwa. Młodzież zgłupiała; czyn, który oni poczytali sobie za zasługę, nazwano zbrodnią. Tegoż samego wieczora po odejściu Wasyla, Emil miał następujące sceny:

Wszedł jeden i pokrywając niecierpliwość spokojnością, zapytał obojętnie niby:

— A cóż tam, podpisów przybyło?

— Dostyc.

— Tak?

— Drugie tyle.

— Ciekawym, kto też przybył — pokażno!

— Kiedy już nie ma u mnie adresu.

— Co? — wrzasnął ów obojętny i chwycił za czapkę. — Gdzie jest adres, kto ma adres? mów! —

— A tobie to na co, wszak już podpisałeś się?

— Niewyraźnie, chcę poprawić.

— Mniejsza o dokładność.

— Na Boga Emilu, powiedz gdzie jest adres?

— Nie wiem.

Obojętny przechodził do rozpaczki, przestraszony tamował mu głos.

— Adres, gdzie adres?

— Ależ nie wiem.

— Powiedz, nie pożałujesz tego — wymażemy się obydwaj. Widzisz, powiem ci pod sekretem, starsi źle to widzą, będą okropne skutki z tego Emilu. Emilu, Emilu! — okropne skutki. Zlituj się, pokaż adres.

— Ależ...
Nie dokończył odpowiedzi, wpadł drugi.
— Emilu, posiany już adres do Wiednia?
— Nie jeszcze.

— Chwała Bogu — rzekł ocierając pot z czoła i siadając zmęczony na krześle — biegłem co tchu, by was uwiadomić, że to krok zawczesny. Adres trzeba zniszczyć. Gdzie jest?
— Nie wiem.
Znowu ta sama scena, tylko tchórzostwo lepiej motywowane.
— Emilu, jeżeli już chcecie posyłać, posyłajcie, tylko mnie wymażcie. Znasz mego ojca, wiesz że nie żartuje, obiecał baty — rozumiesz, mnie akademikowi baty. Nikt mu tego nie wytłómaczy — utrzymuje, że dawniej tak bywało. Zmiłuj się, ratuj mnie Emilu!
Wpadł trzeci i prosił:
— Na miłość Boską, przez pięć ran Pana Jezusa Chrystusa, zgubicie mnie, zwichniecie mój los, moją przyszłość, dobijecie mnie. O rety, rety! —
Wkońcu wpadło jeszcze kilku, na ich czele młody chłopczyzna, wąty jak zaszuszone roślina, cienki jak patyczek, troszki szepleniący:
— Emilu — rzekł poważnie, co się całkiem z nim nie zgadzało — przychodzę z ważną wiadomością.
— No, cóż takiego?

— Adresu nie trzeba — wydeklamował patyczek.
— A to czemu?
— Moja ciocia pisała do mojego taty z Wiednia, że pan minister miał jakiemuś panu z Galicyi powiedzieć: „czekajcie!”
— rozumiesz? czekajcie. A to wiadomość pewna, bo moja ciocia jest w samym Wiedniu.
— A, no, widzisz Emilu — zaintonował chór — takie wiadomości.
— Emilu, Emilu!
— Emileczku, miej litość nademną.
— Na siedem boleści Matki Boskiej cię zaklinam — jeżeli Boga kochasz!
Dobrze, że Wasyl zabrał adres, bo te lamenta tak skruszyły, a wreszcie tak znudziły Emila, żeby się pewnie nie był oparł.
— Emilu, Emileczku, ty masz adres, pokaż, daj, zmienimy tylko.
— Wymażę się tylko.
— Ależ nie mam, jeżeli nie wierzycie, szukajcie.
Przetrząsnęli wszystko, zaglądali wszędzie, nowa rozpacz.
— Gdzie adres?
— Pewnie kursuje po mieście?

W jednej chwili jakby wymiół wszystkich z pokojów Emila; rozbiegli się po mieście szukać adresu, macali po kieszeniach przechodzących kolegów, zaglądali po sklepach, każdy arkusz papieru wydawał im się adresem. Śmieszne to, ale i bolesne zarazem — taka dezercja od pięknej myśli. Pocieszającym jest, że nie wyszła z młodzieży, ale szerzyła się wśród niej, jak epidemia. Z trudnością znaleziono dwóch, którzy podjęli się jechać do Wiednia, Leon nie chciał podstępem korzystać z chwilowego zapału, który już przeminął, chciał im zniszczyć adres. Wasyl silnie się oparł.

— Jeżeli nie skorzystasz z ich zapału, nic nie zrobisz nigdy.

Leon milczeniem zezwolił.

Kiedy po mieście szukano i uwijano się za adresem, adres już był w wagonie na drodze do swego przeznaczenia.

Wiadomo dobrze, jak niepomysłny skutek wzięła ta deputacja, zwicnięto ją, co nie byłoby się stało, gdyby starsi byli się przyłączyli, w takim bowiem razie wystąpionoby jako korporacja, której żądań wysłuchać należało; podczas gdy próby pojedynczych w imieniu wszystkich odrzucono, a raczej niedopuszczono.

Mimo to, cel został w połowie osiągnięty — młodzież krakowska podniosła się znowu w opinii publicznej, pisma zagraniczne pochwały ten krok. Gdy zaś przewidywane straszne skutki skończyły się na lekkim napomnieniu, młodzież rada była całemu obrotowi rzeczy; bez wielkiego narażenia się zyskiwała wiele, bo imię. Przyznała się do czynu. Ale ten czyn pociągnął za sobą odpowiednie obowiązki, stanąwszy raz na wysokości, wstydno było z niej schodzić, trzeba się było utrzymać — poczęto więc myśleć o potrzebie dalszej pracy na tej drodze. Leon znowu był czynnym. Ostatni jednak wieczór u Emila z bogacił go o jedno doświadczenie więcej, to jest: że podając jaką myśl, nie powinien sam występować, ale przez drugiego, raz dla tego, że obcy, a drugi raz, że wystąpienie miejscowego człowieka podchlebiało miłości własnej młodzieży, że mogła sobie powiedzieć: to z nas wyszło. Leon nie pracował dla siebie, nie szło mu więc o osobistą sławę i chętnie stawał za kulisami, byle tylko praca szła dalej.

A było jeszcze dużo do zrobienia.

Najprzód zauważył Leon, że w ostatnich latach kilku uczniów dla braku funduszy zmuszonych było opuścić uniwersytet. Senat akademicki

wiedział, że coś ubyło, ale powodu ubytku nie wiedział. Leon nie znał tych ludzi; między nimi mogła się znajdować jakaś większa zdolność, która w ten sposób zmarniała. Wprawdzie bezinteresowność profesorów, z jaką zrzekają się opłat szkolnych, zasługuje na uznanie i jest wielkim ulżeniem; ale zostaje jeszcze wiele innych potrzeb. Stypendya zbyt są małe w porównaniu do liczby ubogiej młodzieży, garnącej się do nauk, a i te nieraz dostają się najmniej potrzebnemu. Rozdawcy opierając się na piśmiennych świadectwach, często uwiedzeni być mogą; tylko młodzieży zdanie w tym względzie mogłoby być sumienne i prawdziwe — młodzież się nie omyli, zna między sobą prawdziwie ubogich. — Otóż potrzeba było, ażeby młodzież miała pod ręką fundusze, któremi by sama rozporządzać mogła. Fundusze te miały urósć z peryodycznych składek uczniów, z datków prywatnych osób i z dochodów z przedstawień teatralnych, koncertów dawanych na ten cel. Każdy, chociażby najuboższy, winien był przyczynić się choćby małą wkładką do powiększenia funduszu, bo w takim razie stawał się współwłaścicielem jego, i biorąc wsparcie, wiedział, że nie przyjmuje jałmużny; pożyczał tylko na czas nieograniczony — zwrot pożyczki

zostawiono sumiennosci i szlachetności każdego. W taki sposób człowiek wychodzący już po za mury uniwersytetu, w świat, związany był uczuciem wdzięczności z nim i ciążył jak do środka. Część kapitału, w razie zwiększenia się go, miała być obróconą na pożyczki dla tych, którzy nie byli biedni, ale chwilowo zapotrzebować mogli. Był to środek skuteczny wydarcia młodzieży z chciwych rąk lichwiarskich.

Taki był w ogólnych zarysach projekt Leona do założenia towarzystwa wzajemnej pomocy; projekt piękny i bogaty w następstwa; był bowiem podstawą jedności młodzieży; zbliżenia się i związku, jaki istnieje między dobroczyńcą a tym, co odbiera dobrodziejstwo — uczucie miłości braterskiej i wdzięczności koniecznie się splatały ze sobą. Myśl ta następnie podnosząc z jednej strony powagę opinii, z drugiej wpływała na podniesienie oświaty i moralności: biedni starać się musieli w oczach kolegów zasługiwać swoim życiem i postępowaniem na ich pomoc. Możliwi także musieli uszanować opinią, którą sądzili sprawy i życie uboższych. Dawniej, gdy były pojedyncze kółka, ludzie gardzący opinią kolegów, znajdowali w nich schronienie — gdyby nastąpiło zlanie, jedność, ludzi takich skazywałaby opinia

na publiczną pogardę i wykluczenie. Była to rzecz ważna.

Drugą, niemniej ważną potrzebą, było założenie czytelnicy. Dotąd młodzież, chcąc się trochę obeznać z tokiem wypadków, z kwestyami traktowanymi w politycznym świecie, z nowościami literackimi, zmuszona była przesiadywać po kawiarniach i restauracjach. Przy małej liczbie dzienników, a dużej mających chęć czytania, marnowanie czasu było wielkie. Niby to czekając na gazety niektórzy większą część dnia przesiadywali w miejscach publicznych. Potem wciągnęli się do tego życia. Bilard, karty i inne gry kusily czekających, przywyknęli do tego powoli i z czasem przychodzili tu głównie dla tego. Nauczyło się więc w ten sposób wielu czynnie i umiejętnie próżnować. Nic tak nie ścięra delikatnej barwy młodości z człowieka, jak to życie kawiarniane, knajpowe — miody

traci świeżość myśli, a nawet postawy, wyciera się jak pieniądz i leniwieje, traci hart i energią. Zgubności podobnych wpływów nie potrzebuję dowodzić.

Założenie czytelnicy miało wyrwać młodzież z tych okopconych lochów, przenieść w ustron prywatną, gdzie czytanie i rozmowa miały rozbudzić ducha, rozwinać pogląd na świat i stosunki

krajowe. Skromne składki wystarczyłyby na utrzymanie doborowych pism w obfitości. — Z czasem obok czytelnicy miała powstać biblioteka dzieł ważniejszych.

Taka czytelnicy byłaby także punktem zbornym, ogniskiem młodzieży. Koło niej, niby kolonie, mogły się grupować towarzystwa: gimnastyczne, śpiewaków i t. d.

Nakoniec obok innych pomniejszych, pozostawała jeszcze jedna ważniejsza praca, to jest: oświata braci rzemieślniczej i zbliżenie się do niej; więc wykłady popularne po warsztatach, wspólne zebrania przy sposobności. Myślę, że ważności takiej pracy nikomu dowodzić nie potrzebuję; kto chce wyrobić w sobie siłę, każdy członek, każdy muszkuł na ten cel wydoskonalic powinien — kto chce isc naprzód, nie może cząstki siebie samego zostawiać za sobą. W oświacie niższych warstw, leżą podwaliny ich lepszego bytu i moralności.

Istniało podobno jeszcze z r. pozwolenie rządu nauczania po warsztatach. Należało więc je odszukać i na niem opierając się rozpocząć naukę. Młodzież szkolna miała stać się nauczycielami młodzieży rękodzielniczej, wspierać ją

możności — i nie tylko słowem ale i życiem świecić i przewodniczyć.

Te były myśli Leona a później i całej młodzieży: braterstwo i praca. Trudno uwierzyć, żeby przeciw tak uczciwym i szlachetnym zamiarom podniosły się krzyki starszych, a jednak tak było!

Trzeba przyznać bezstronnie, że do tej pracy rzuciła się młodzież trochę z zarozumiałością i lekceważeniem starszych, ale usprawiedliwia ją po części wiek, a po części i beczynność starszych, którzy tak mało umieli zapracować sobie na uszanowanie, na uznanie.

Kto zwiedzał Kraków w tym czasie, przyznać musi, że poczęło się to miasto w owym czasie ruszać.

Młodzież Korony i Litwy, która dotąd po naukę jeździła do niemieckich i francuzkich uniwersytetów, teraz licznie do Krakowa zjeżdżać poczęła. Kraków począł żyć, nabierać kolorów. W całym tym ruchu tylko młodzież znać było.

X. HRABIANKA ZATORSKA.

Zapomnieliśmy a raczej nie mieliśmy sposobności wspomnieć w poprzednich rozdziałach, że Leon już od paru tygodni był nauczycielem hrabianki Zatorskiej. Stało się to tak nieprzewidzianie, niespodziewanie, powiedziałbym przypadkowo, gdybym wierzył w przypadek.

Leon wracał z rannych prelekcji do domu. Schodząc pospiesznie ze schodków, w Floryańskiej bramie, stąpnął tak nieszczęśliwie, że zwichnął nogę; wprawdzie nie niebezpiecznie, ale ból był o tyle dotkliwym, że go zmusił usiąść na najbliższej ławce kamiennej na plantacyach. Jeden z profesorów uniwersytetu, który o tej godzinie odbywał zwykły spacer w około miasta, usiadł także na tej ławce zmęczony. Znał on już nieco Leona, który swoją pilnością, godnością w obejściu zwracał na siebie uwagę i przyciągał sympatycznie. Zawiązała się więc między nauczycielem a uczniem rozmowa, z początku obojętna o pogodzie, jesieni i t. p. Potem w miarę jak przechodziła na pole kwestyj naukowych i poli

tycznych coraz gorętsza i żywsza. Niedługo profesor przekonał się, że jego sympatya i powzięte o Leonie zdanie nie omyliły go, że to młodzieniec myślący, odczytany, zamiłowany w nauce i obeznany z nią. W wielu punktach Leon nie zgadzał się na zdanie profesora, przeciw jego uwagom stawiał samodzielne i świeże pomysły, trafne dowody. Ta opozycja bez chępliwości i zrozumienia rozruszała staruszkę, rozpałała go. Stary zwyciężał głębokością i dokładnością wiedzy, młody świeżością i polotem oryginalnych pomysłów i nowością zapatrywań, pierwszy rozmiłowany był w księgach, w grobach, w przeszłości — młody znał przeszłość a kochał obecność i przyszłość; w księgach, w grobach, w przeszłości szukał iskier życia, myśli zdrowej i pożytecznej dla nowych pokoleń! Gdy się tak rozgadali, ktoś z przechodzących powitał głośno profesora.

— A, pan hrabia dobrodziej — rzekł profesor podając mu rękę.

Leon spojrział i zobaczył znajomą sobie twarz hrabiego Zatorskiego.

— Pan profesor nie łaskaw na mnie... Hrabia z profesorem znali się od dawna, stary profesor był jego nauczycielem.

— Owszem, owszem, wybieram się w tych dniach.

— A to, o com prosił"?

Profesor spojrział na mówiącego pytająco, zakłopotany, bo nie wiedział o co rzecz idzie.

— Profesor zapomniał pewnie, co? — A nie godziło się, nie godziło — moja córka dotąd nie ma nauczyciela.

— A! prawda, zapomniałem — rzekł stary — ale tu spojrzal na Leona — właśnie szczęśliwe zdarzenie — możeby pan, panie Stobierski. — Mam honor przedstawić panu hrabiemu jednego ze zdolniejszych słuchaczy moich, któryby ze wszech miar mógł —

Hrabia uprzejmie się skłonił Leonowi, któremu w tej chwili serce prędzej bić poczęło.

— Bardzoby mi było pożądanem — rzekł hrabia — jeżeli tylko ten pan zgadza się na to. Jestem Zatorski, oto mój adres, jeżeli więc pan będziesz mógł nieco czasu i pracy poświęcić mojej córce — to będę pana prosił do siebie, abyśmy się bliżej poznać i porozumieć w tym względzie mogli.

Leon wziął adres i skinął głową potakująco.

Tak więc mały, nic na pozór nieznaczący wypadek, ot złe stąpienie, zbliży Leona do hra

bianki. W takich drobnych zdarzeniach trzeba nam nieraz szukać przyczyny wielkich wypadków; takie zdarzenia są tem w życiu, czem ścięgna i nitki nerwowe w ciełe, czem spójnik w mowie. Jak mało brakowało, żeby Leona ominęła ta sposobność, żeby się nigdy nic zszedł z hrabianką; trzeba było tylko, aby profesor chwilkę pierwej przeszedł tę część plantacyj, gdzie usiadł Leon, aby hrabia inną drogą wracał do domu. Kto skierował drogi tych trzech ludzi tak, że się zeszły i zawęzły? Ta sama ręka, której prosimy codziennie: „i nie wódz nas w pokuszenie” — ta ręka rzuca nam pod nogi zawady lub nowe drogi otwiera; rzuca pokusy i święte natchnienia, nie, żeby człowieka doświadczać, bo go zna, ale żeby człowiek sam siebie doświadczał i poznał. Rozbierzmy anatomicznie, lub rozwiążmy cierpliwie, jak splątany jedwab, niejedną chwilę życia, a zobaczymy z podziwem, ile poprzednich przyczyn trzeba było, aby stworzyć to, nad czem my się nie zastanawiamy częstokroć, co nam się naturalnem wydaje, lub co się nam podobało nazwać przypadkiem. Najzdolniejszego dyplomaty głowa nie jest zdolna stworzyć taką misterną kombinację, taką tkaninę zdarzeń. — Gdyby można dzieje ludzkości położyć

jak trupa na anatomicznym stole, zedrzeć z nich tajemnice wiekowe jak skórę, śledzić każde zdarzenie w jego poprzednikach i następnikach, jak nerwy i żyły w rozgałęzieniu — zawstydziliby się nie jeden, że mógł przypuszczać pewne fakta bez związku z całością, że wierzył w przypadek; zobaczyłby zdumiony przyczyny każdego wrzodu, każdej nienaturalności na ciełe społecznem, każdej jego choroby.

Historyozofia zrobiła już pierwsze kroki na tej drodze, lubo zbyt słabe i niepewne. I nie dziw, bo historyozofia musi się czepiać odrobiny faktów znanych, ludzi, którzy wprawdzie stali na scenie, ale będąc aktorami, nie zawsze byli autorami wypadków. Autorowie i główne motywa często nieznani pozostają za kulisami. Ludzkość nietylko się rozwija i posuwa naprzód działaniem pojedynków, ale i pracą ogółu. Nie ma tak lichego człowieka, któryby do tego ogromu nie dorzucił swojej cząstki, nie oddziaływał swoim wpływem. Wpływ ten częstokroć tam był największy, gdzie go się najmniej domyślamy. Aby więc zrozumieć myśl Bożą w jej rozgałęzieniach w ludzkości, potrzeba wszechwiedzy, wszechwiedzy nadludzkiej, bo wszechwiedzy wszelkich skrytości. To nam tłumaczy, dlaczego historyozofia tylko ogólnie

domyślać się może celów i dróg ludzkości, ale nigdy dokładnie zrozumieć i odgadnąć.

Przepraszam czytelnika za to chwilowe zboczenie do uwag, jakie nam nastęczyło złe stąpienie Leona; przyczyniają się one poniekąd do wyjaśnienia głównej myśli powieści. Umyślnie nieraz, o ile akcja powieści pozwala, zatrzymuję się w opowiadaniu, wstępuję w głąb duszy, zatrzymuję się nad każdym znakiem pytania, stojącym nad niejasnymi zagadkami życia, i nie żałuję odpowiedzieć sobie na to, i jeżeli nie zadowolnię czytelnika odpowiedzią, przynajmniej poruszę myślenie, zwrócę uwagę, wskażę miejsce, gdzie mi się zdaje, że kopać warto dla metalu lub źródła. — Dziś, przy takiej powodzi powieści, pisarz biorący pióro do ręki, powinien pierw na seryo zapytać swego sumienia: jakież cel? na co? po co? — A jeżeli na to pytanie odpowiedzieć sobie nie umie, jeżeli myśl jego nie wybiega za prozę codziennego życia, jeżeli nie ma chęci lub odwagi być lekarzem lub kapłanem ludzkości, rozwiązać kilka ważniejszych zadań, zwalić choćby jeden przesąd, powiedzieć coś nowego — to lepiej niech rzuci pióro, to będzie jego zasługą. Jeżeli mu tylko idzie o nowe kombinacje miłosnych kłopotów i rozkoszy, o chwilowe zabawienie,

o nowe intrygi, zawikłania i komeraże — to na co tu powieści? Pierwsza lepsza pani aptekarzowa lub burmistrzowa małego miasteczka wybornie w tym względzie powieściarza zastąpićby mogła, posługując się tylko ruchliwym językiem bez niepotrzebnego zatrudniania prasy drukarskiej.

Wracam do Leona.

Wypadek ranny nie zmienił w niczem jego zwyczajnych zatrudnień, spokojnie i prawie obojętnie oczekiwał jutra; a przecież niepodobna przypuścić, żeby go to nie miało uderzyć, jak dziwnie złożyły się okoliczności, jak one stopniowo, powoli zbliżały go do tej panienki, jak ta twarzyczka z popielatą wualką, niby sen piękny powtarza się w jego życiu, coraz wyraziściej i jaśniej. Wśród tych myśli naszedł go jakiś niewytłómaczony lęk, który przyspieszał niewyraźne uderzenia jego serca, jakieś niejasne trwożne przecucia. Trwało to jednak krótko, przelotnie, tak, że zastanowić się nad tem nic miał czasu; inne myśli i zajęcia zagłuszyły ten cichy szept duszy. Wśród uderzeń kowalskich miotów rzeczywistości nie słyhać uderzeń serca, wśród pracy nie ma czasu i miejsca na marzenia.

Na drugi dzień w południe udał się Leon podług adresu do mieszkania hrabiego.

Hrabia Zatorski mieszkał. . . gdzie? — Jakże wam tu powiedzieć?...

Kłopotliwe bardzo jest położenie pisarza, przedstawiającego wypadki współczesne, gdy musi potknąć o geografiją, zwłaszcza, gdy osoby jego powieści poruszają się w takim miasteczku, jak Kraków. Gdzie tu umieścić osoby działające? W obłokach trudno, a na ziemi niepodobna, by nie dać powodu do tysięcznych domysłów. Publika chciwa skandałów i plotek w powieści nie szuka idei, tendencji, ale znajomych miejsc i twarzy — nie pyta: co? ale: kto? — Są ludzie, których tylko ta ciekawość pobudza do czytania powieści; przed takimi ludźmi żadna maska, żadna zasłona się nie ostoi, zdzierają wszystko, zaglądną niedyskretnie autorowi w oczy, chwytają go po ulicach, aby zapytać: "proszę łaskawego pana, kto jest ten pan R. w pańskiej powieści, bo moja kuzynka spokoju mi nie daje. No, kto to, powiedz pan, toż się nie od dzisiaj znamy, ja nie wydam. Prawda, że Radost, hę? Zgadłem, co? Muszę się panu przyznać że trafiony, tylko czemuś go pan zrobił brunetem, kiedy on ma najwyraźniej rude włosy." — I rozśmiej się ucieszony urojonem odkryciem i we wzroku autora szuka potwierdzenia swego domysłu. I cóż takiemu odpowiedzieć?

Zaprzeczysz, to się rozśmiej i nie uwierzy — nie uwierzy ci, żeś dla stworzenia jednej postaci mozolnie zbierał rysy z pojedynczych ludzi, żeś stworzył ten lub ów charakter.

Dla uspokojenia i szczęścia tych ludzi, potrzebaby na początku powieści przylepieć afisz i załączyć fotografie. Stwórz najbardziej idealną postać, znajdą w niej podobieństwo do K. F. S. lub P. — Niech twój bohater będzie wyższy o kilka łokci od zwyczajnych ludzi, bohaterka piękna jak najpiękniejsza fantazja, ci ludzie dotąd nie usną spokojnie, dopóki między znajomymi nie znajdą podobizn. Mała skazówka im wystarczy; dość im przeczytać, że Flora ma złote włosy, Andzia dwa dołeczki wdzięków, Klotylda małą nóżkę; dotąd będą latać, zaglądać pod kapelusze i wualki, do domów — domyślać się i kombinować, aż znajdą.

Jest to smutnem świadectwem niedojrzałości, brakiem artystycznego wykształcenia i smaku publiczności czytającej, lubo z drugiej strony część winy spada na tych pisarzy, którzy przyzwyczaili publiczność do takiego zapatrywania powieściami złożonemi z osób i zdarzeń żywcem, surowo z życia wziętemi, i tym bigosem plotek, nowinek, obrazków, karmili publikę i zadawalniali

własne namiętnostki. Powieści takie, to maskarady, na których słyszysz tysięckroć powtarzane: znam cię — bawią cię kolory, gra, śmiechy, ale nic więcej. A przecież zadanie powieści inne być powinno. Powieść wciska się tam, gdzie rozprawy uczone, dzieła ekonomiczne i historyczne nie zawsze się wcisną — i grunt serc, które chwytają te powieści, jest jak zorana ziemia — ważna to więc rzecz, jakie ziarno w nią wpadnie. Rozprawy idą na biurka uczonych i do bibliotek, powieści między ludzi — zadanie jej więc ważne. Gdyby na to zważano, możeby mniej pisano powieści, ale to pewna, że wtedy nie łapanoby autorów po ulicach, aby ich zapytać: kto jest ten lub ów w jego ostatniej powieści — nie odbieraliby oni pachnących bilecików, w których kobieca rączka bez wszelkiego względu na pisownię i gramatykę wypisuje swoje wyrzuty i skargi za opisanie jej w powieści. — Dziś pisarz wśród tak usposobionej publiczności, znajduje się w kłopotcie, z kądem brać rysy i farby?

Czy rzucić bohaterem płachtę na twarz, jak skandynawskim bogom? Któż wtedy pozna?

Dla powieściarzy powinna istnieć, jak na teraz, osobna geografija i osobny kalendarz.

Tych kilka uwag musiałem rzucić w początku

powieści, aby oszczędzić czytelnikom wszelkich niepotrzebnych domysłów. Dotykani w niej wypadków, które się stały przed naszymi oczami — ale nie portretowałem wcale ludzi biorących w nich udział; szło mi bowiem o rzecz, a nie o osoby; nie piszę pamiętnika ale powieść i starannie omijani to wszystko, cokolwiek mogłoby powieści mojej nadać charakter fotograficznej kamery. Dla tej przyczyny nie chcę szczegółów wymienić mieszkania hrabiego Zatorskiego, powiem tylko, że pałacyk, który podnajął dla siebie, był w bliskości miasta, a jednak w ustronnem miejscu, że był otoczony pięknym, dużym ogrodem, który dotykał do klasztornej muru; często więc przez otwarte okno dochodził do pokoju hrabianki głos organów i dzwonka mszalnego. Cisza i kościół — to dwa anioły, co strzegą serca człowieczego. Dla hrabianki były one jak dwie družki, które ją odprowadzały na owe drogi, od których się poczyna życie kobiety w świecie Zwierciadła i ludzie powiedzą jej, że piękna — cisza i kościół: czy dobra. To dwa zwierciadła dla jej duszy. W chwili, gdy Leon drżącą ręką chwycił za rękojeść dzwonka u bramy pałacowej, hrabianka Helena przywiewywała właśnie czarną wstążeczkę

do krzyżyka, który jej przywiozła ciotka z Częstochowy; gdy głos dzwonka rozległ się po sieni, krzyżyk zawisnął już na szyjce i znikł za gorse. — Byłaż to jaka przepowiednia? zobaczymy; a teraz przypatrzmy się bliżej hrabiance. Znamy ją już o tyle, o ile ją znał Leon i dla tego właśnie patrząc jego oczami, wstrzymywaliśmy się od szczegółowego opisu. On wiedział, że jest piękną, ale gdyby go się kto zapytał jakie ma włosy, oczy, jaką twarz i t. d., nie umiałby odpowiedzieć. On tego nie widział nigdy po szczególe, widział razem w harmonii. Nie pełzał po jej wdziękach wzrokiem, jak gąsienica, ale zobaczył ją jak ptak przelatujący nad pachnącym ogrodem. My jednak musimy dokładniejszym opisem dać czytelnikowi jakie takie wyobrażenie o hrabiance. Zajmą nas najprzód jej włosy jasne, popielate, miękkie a ważne, ujęte w siatkę i przepięte złotą szpilką. Te włosy nadawały całej twarzy jakiś wyraz dziwny, niezwyčajny, i włosy i twarz biała i lekki rumieniec, błakający się po niej, zdawały się jakby obrzucone lekką, mglistą zasłoną. Taki koloryt dają malarze zjawiskom przelatującym w powietrzu. Tylko na podłużnych, dużych, szafirowych oczach tej mglistej zasłony

nic było. Szafir tych oczów ciemniał czasem jak wody jeziora wieczorem i człowiek patrzący w te oczy musiał koniecznie pomyśleć: jakże tam głęboko, niemi mówiła dusza jej: jakże mi tęskno! Długie, czarne rzęsy nakrywały te oczy, a były tak długie i gęste, że się nieraz wikłały jak jedwab, a gdy wieczorem siedziała przy lampie, to aż po brzegi rumieńca padał cień tych rzęs. Co jeszcze charakteryzowało tę twarz, to lekki załom idący od skroni ku ustom, dwa lekkie cienie, w których krył się jakiś wyraz boleści doznanej lub też przeżywanej.

Taką była jej twarz, serce poznamy później.

W chwili, kiedy się pojawia w naszej powieści, wychodziła już z dziecinnych lat; serce budziło się ze snu, uczucia i myśli dziewczęce były jak kwiaty w porannym zmroku, które za chwilę ma oświecić słońce. Świeżość i czystość — to ich największy urok. Całe usposobienie hrabianki stało jeszcze na tem rozdrożu; czasem pustowała jak dziecko, czasem się zamyślała głęboko, sama niewiedząc czemu i o czem. Działo się to szczególnie przy fortepianie — wśród grania marzyła. Muzyka bez słów była obrazem jej duszy. Nieraz wśród tych marzeń i dumek zapomniała o grze, białe paluszki kładły się na klawiszach jak gołębie

zmęczone płasami w błękitach, ustka się rozchyłały i tak nieruchoma przesiadywała nieraz długie chwile.

Raz zszedł ją ojciec na takiej zadumie.

— Nie grasz Helenko? — spytał. Dziewczę wstrząsnęło się jak spłoszony ptak i spojrzało na ojca.

— Co ci Helenko, tyś płakała?

— Ja? — spytała zdziwiona, dotknęła paluszkami powiek, dwie łezki naciśnięte stoczyły się z pod palców.

— A, prawda — zawołała i dziwiła się tym łzom — a przecież ja o niczem smutnem nie myślałam tatku — owszem...

— A o czemże myślałaś?

— O czem? — zapytała sarna siebie i nie umiała sobie odpowiedzieć — nie pamiętała. Tak często człowiek o poranku budzi się pod wrażeniem snu pięknego, czuje błogość, ale snu już nie pamięta. Jej marzenia były takimi snami.

Pomimo chwilowych wybuchów wesołości i pustoty — Helenka była więcej poważną, smutną. Urodziła się na Ukrainie — matkę straciła wcześniej; było więc w niej coś z tęsknoty dum ukraińskich, coś z żalobnej piękności sieroty. Dziś nie wiem, czemu włożyła czarną sukienkę,

od której białość jej twarzy i kolor włosów pięknie odbijał. Czarna sukienka ubrana była bogato w szklące guziczki i powiewne koronki. Gdy prędko szła przez salon, koronki, co jej na ramionka spadały, chwiały się jak skrzydełka, zdawało się, że na nich podłeci do góry. A lubo ten złudny urok anielstwa miał początek na krawieckim warsztacie, przecież patrząc na nią, zapomniawszy o tem.

Obok czarnej sukienki hrabianki, dziwnie odbijał jasny strój jej ciotki. Kolory zgasły na jej twarzy, pożyczyły ich od sukien. Usiadła naprzeciw zwierciadła i próbowała siły swoich oczów, jak szermierz broni. Było to jej ulubione zatrudnienie. Była to kobieta już nie pierwszej, a nawet już nie drugiej młodości; twarz, oczy, usta, wszystko to miało

na sobie ślady gorącego życia, ta kobieta umiała żyć i musiała być piękną. — Dziś jeszcze jest ponętą, wzywającą. Czarne jej oczy z lekką, siną obwódką to wabią obietnicą rozkoszy, to rozkazują dumnie, lub zwężają się w szyderski, kłujący uśmiech — widocznie powtarzają sobie przeszłość jak lekcję. Włosy także czarne, kędzierzawe, suche, odrzucone w tył głowy od czoła, stanowiły ramy jej bladej twarzy. Nos rzymski — usta pięknie zakrojone, lubo nieco

za szerokie. Kiedyś owal twarzy musiał być czysto i wyraźnie odznaczony, dziś muszkuły, ściągnięte w chwilach namiętnej rozkoszy, zbezwładniały, omdlały i zwolniały, linie owalu pocięły się nieco. Przypominała twarze bizantyjskich niewiast, które dzieliły czas między rozpustną miłość i dworskie intrygi. Szyję i wierzchnią część piersi miała odkrytą. Każdą odrobiną pozostałych wdzięków umiała się pochwalić, umiała ją uczynić ponętą. Amor odleciał już od niej, zostały bachantki — serca nie poruszy już, ale krew jeszcze zburzyć może.

Zdziwi się może czytelnik, gdy dodam, że obok tego wszystkiego, obok wielkich zasobów kokieteryi i nieczystych zachceń, obok dumy, która się u niej przebijała w obcowaniu z niższymi, obok skłonności do intryg, pani Herminia była — nabożną, bardzo nabożną; jeżeli nabożeństwem nazwać można punktualne uczęszczanie na msze, kazania uprzywilejowanych księży, do uprzywilejowanych kościołów. Należało to do codziennych potrzeb jej życia — tak jak toaleta ranna i wieczorna, jak obiad i wizyty; od intryg do pacierzy przechód u niej był nadzwyczaj łatwy, powiem nawet, że czasem jedno z drugim płatało się. Nieraz w kościele, gdy usta męczyły

się nad pacierzem, myśl pracowała nad nie jedną kabałą, a oczy robiły złośliwe uwagi nad obecnymi. Ta kobieta złego ducha, jak kontrabandę, przyprowadzała z sobą do kościoła. Ksiądz Aureli był zadowolony z tej owieczki i nazywał ją pobożnie siostrą w Chrystusie.

Jakimże sposobem ta kobieta dostała się w dom hrabiego? —

Hrabia potrzebował dla swojej córki, mającej wejść niedługo w świat, opieki kobiecej. Pani Herminia przypominała mu się z pokrewieństwem (bogatym nigdy krewnych nie brakło), co hrabiemu było bardzo na rękę i przyjął przekwitającą awanturnicę w swój dom, idąc w tem za opinią towarzystwa (société), które lubo znało grzechy pani Herminii, ale że w te grzechy były wplątane najdystyngowniejsze osoby wielkiego świata, wszystkich stolic Europy, więc zamiast wstrętu, podziw tylko czuło a może i zazdrość dla kobiety tak świetnej przeszłości. Pani Herminia była dla nich kodeksem przyzwoitości, elegancyi i dobrego tonu — nazywano ją nieocenioną.

Siedziała teraz, jak powiedziałem, naprzeciw lustra: jedną ręką podgarnywała do góry w pięknym nieładzie rozrzucone włosy, a w drugiej

trzymała jakiś romans francuski. Helena poprawiała na szyi wstążeczkę, od krzyżyka. W takiej pozycji zastał je Leon, którego hrabia w tej chwili wprowadził do salonu.

— Pan Stobierski — moja kuzynka — moja córka — rzekł hrabia przedstawiając.

Ciotka spojrzała przez ramię i ledwie skinęła głową niechętnie, trochę pogardliwie. Na ulicy mogła go nie widzieć, nie znać — w salonie ten człowiek bez imienia robił na niej nieprzyjemne wrażenie. Helenka przywitała gościa uprzejmie i z miłym uśmiechem. Może się źle wyraziłem, nie był to uśmiech, ale jakieś piękne, łagodne rozpozgodzenie, które oświecało jej twarz, przed chwilą nieco zamgloną zamyśleniem.

— Helenko, pan Stobierski będzie łaskaw udzielać ci odtąd lekcyj literatury polskiej.

Helenka znowu się skłoniła z tym samym uśmiechem uprzejmym.

Uprzedzam czytelnika, że w tym uśmiechu czyli rozpozgodzeniu nie było nic więcej nad zwykłą grzeczną. Hrabianka nie poznała wcale Leona, witała go jako zupełnie obcego, równie jak jej ojciec. To dziwna, dla czego Leon mógł ich zapamiętać, a oni go sobie przypomnieć nie mogli? Dla czego w ogóle ludzie, tak zwanego

wyższego towarzystwa, mają tak złą pamięć nazwisk i twarzy osób niższych warstw? — Bo nie uważają na nich — do pamięci potrzeba uwagi. Urodzenie trzyma wzrok i pamięć tych ludzi w przyzwoitej wyżynie nad tłumem. Nawet hrabia, którego o dumę posądzać nie możemy, mimo wiedzy podlegał temu prawu.

U hrabianki był jeszcze jeden powód więcej niepamiętania twarzy Leona: skromność panińska, która nie pozwala przypatrywać się nieznajomemu przechodniowi, zwłaszcza że w wieku, w jakim była hrabianka, myśl rzadko bywa przytomną na ziemi. Patrzyła wprawdzie raz na niego, ale go nie widziała.

Od owego przedstawienia, Leon trzy razy na tydzień bywał w domu hrabiego — jako nauczyciel.

Dziwne jest położenie i dziwny stosunek młodego nauczyciela do młodej i pięknej elewki. Nie można być bliższym a zarazem bardziej oddalonym. Jest blizkim rzeczywiście, codzień ją widzi, rozmawia z nią, wczytuje się że tak powiem w jej piękność, poznaje wszystkie odcienia jej duszy, a jednak wielka, głęboka przepaść dzieli go od niej, jemu tutaj nie wolno być człowiekiem, nie wolno mieć oczów, serca, on naje

mnik. Obowiązek połączył go chwilowo z tą kobietą, jak dwie sosny z przeciwnych brzegów przepaści nagięte ku sobie i związane. Gdy się to wiązanie przerwie, odskoczą od siebie daleko, on będzie znów obcym dla niej jak dawniej, obcy dla tego domu i nie zostawi po sobie żadnego wspomnienia, nawet często i wdzięczności nie. Stosunek to dosyć przykry dla młodego człowieka, który ma sumienie a zarazem serce, stosunek męczący i niebezpieczny. — W średnich warstwach rzadko się to trafia, tam czują niebezpieczeństwo takiego stosunku, w wyższym świecie nie tyle zwracają na

to uwagi, nie przypuszczają niebezpieczeństwa, bo mierzą cyrklem urodzenie, które tego człowieka stawia bardzo daleko od nich, choć się chwilowo do nich zbliży. Nie ma tu obawy, jak nie ma obawy przyjąć do usług młodego lokaja, kucharza lub coś podobnego.

Może być, że hrabia nie rozumował tak, ale tak zrobił, idąc za opinią swego towarzystwa. Był on, jak go poznamy później, prawym i zacnym człowiekiem; ale miał wszystkie wady towarzystwa, do którego należał urodzeniem. Może też obok tego i poważny charakter Leona, który go czynił nieco starszym, skłonił hrabiego do tego wyboru.

Leon był rzeczywiście poważnym nad wiek. Może w przeszłości jego należałoby szukać przyczyn tej wczesnej dojrzałości, może w jego duszy myślącej, zastanawiającej się głęboko nad ważnymi pytaniami życia — może też obie przyczyny razem złożyły się na tę powagę. To pewna, że praca ducha na twarzy odbić się musi, że człowiek obciążony wiedzą, zatopiony w poważnym myśleniu, nie może ślizgać się lekko po wierzchu życia, że takie życie duchowe, które starca robi młodym, szpetnego miłym, młodego nieco poważnym uczynić musi. — Powaga, zamyślenie, a zarazem łagodność przebijająca się w spojrzeniu, w mowie — połączone z godnością postawy i ruchów nadawały mu wyraz klasyczny; twarzą przypominał Platona. Tej postaci brak było kolorytu, rumieniec, jakim miłość rozjaśnia twarz, nie powstał jeszcze na jego licach. Poprzednie bowiem jego życie tak się złożyło, że nigdy nie miał sposobności zbliżyć się do kobiet. Znał je tylko z utworów poetów i z widzenia — z ulicy, a różnica między tem, co czytał, a tem, co widział, była tak wielka, że nie mógł, nie umiał uwielbienia, jakie czuł dla kobiet stworzonych w fantazji poetów, przenieść na te, które widział codziennie, około których przechodził. Nie przy

patrywał im się bliżej, nie myślał o nich. Nawet do hrabianki zbliżał się z tą samą obojętnością, bez tego rozkosznego drżenia, ożywczego ciepła, jakie sprawia widok kobiety pięknej i wykształconej. Idąc do mieszkania hrabiego, nie tyle myślał o jego córce, ile o tem, w jaki sposób rozpocznie z nią naukę. Zapomniał zupełnie, że to ta sama kobieta, której głos kiedyś wstrząsnął nim całym; głos pamiętał i wrażenie pamiętał, ale o niej nie myślał wiele tak, jak słuchający muzyki nie uważa na fortepian, ale na melodyą. Wprawdzie przewijało mu się po głowie, w jak dziwny sposób los zbliżał go do niej; gdy się nad tem zastanawiał, zauważył, że wspomnienie chwil, w których ją widział, jest mu bardzo przyjemne, ale niezadługo zapominał o tem, a raczej nie myślał o tem; dymek uczucia ulatywał w powietrze i myśl ta lekka ginęła wśród lasu poważnych myśli.

Ale teraz, kiedy zbliżenie się nie było przemijającym, kiedy poznawał to serce, z którego kiedyś znał dwa słowa tylko, czuł, że się w nim coś zmieniło, że inaczej teraz jakoś na świat patrzy. Doznawał takiego uczucia, w jakim się znajduje człowiek, gdy mu się śni, że lata po powietrzu. To uczucie poczęło się pomieszaniem,

zakłopotaniem na pierwszej lekcji i nieśmiałością. Leon był zawsze wymowny, jak każdy umiejący i czujący rzecz, o której mówi — a jednak pod wpływem szafirowych oczów hrabianki podniesionych na niego, język mu się wikłał, głos trochę drżał i wykład był nie jasny. Później oswoił się z temi oczami.

Mimo to niewinna nieświadomość hrabianki była nieraz powodem wielkiego zakłopotania i drażliwego położenia. Helena, jak wspominaliśmy, straciła matkę wcześniej, chowała się pod okiem ojca i starej guwernantki, która ucząc ją języków i różnych przedmiotów, zapomniła nauczyć co jest przyzwoitem a co nieprzyzwoitem, co przystoi hrabiance a co nie, jak się zachować względem mężczyzn, bo w ich dworze na Ukrainie mało kto z mężczyzn bywał i to tylko starsi przyjaciele ojca. Helenka więc w obejściu się miała wiele prostoty i naiwności, małą znajomość form wielkiego świata, co bardzo raziło jej ciotkę. Zdarzyło się więc nieraz, że gdy Leon poprawiał jej wypracowanie, Helenka tak nachylali główkę do papieru, że czuł ciepły oddech jej ustek na swoim czole, że pachnięca koronka, zdobiąca jej sukienkę, opierała się na jego ustach i czuł dotknięcie jej ramienia. To go mięszalo.

Czuł cały urok i całą przykrość tej chwili, wiedział, że nie wypada tak dłużej zostać, a nie śmiał zwracać na to uwagi hrabianki, bał się spłoszyć jej niewinny nieświadomość. Ale ciotka, która była zawsze obecną przy lekcjach, zgorszyła się tem nie po matu i musiała Helence dać przestrożę i naukę w tym względzie, bo odtąd nigdy nie nachylała się ku Leonowi.

Ale stał się inny wypadek, którego nie przewidziała ciotka: stalowa oprawka od pióra stoczyła się ze stołu, Leon i hrabianka równocześnie schylili się po nią i hrabianka zamiast za oprawkę chwyciła za rękę Leona. Gdy podnieśli głowy, byli oboje mocno zarumienieni. Może z powodu schylenia się krew nabiegła im do twarzy, może też dotknięcie rąk podziało tak na ich twarze. Po tej lekcji pani Herminia długą naukę dawała swej kazynie o niestosowności jej znalezienia się, wytłomaczyła, że obowiązkiem nauczyciela jest podnosić pióra i być na usługi hrabianki, bo mu za to płacą, że będąc dla niego uprzejmą, ubliża sobie. — Odtąd, choć się nieraz zdarzyło, że spadło pióro lub książka na posadzkę, hrabianka się nie schyliła i czekała aż Leon sam podniesie; a że wtedy jej delikatna dusza cierpiała trochę i robiła jej wyrzuty niegrzeczności, więc dla

nabrania odwagi patrzyła na ciotkę, która oczami i skinieniem głowy pochwałała jej postępowanie.

Leon nie uważał tego; dusza jego stała na takiej wyżynie, z której nie było widać tych drobnostek.

Przez tłum poważnych myśli, które zapełniały jego duszę, nie mogło się przedrzeć owo sentymentalne uczucie, które anatomizuje każde słowo, każde spojrzenie kobiety i tworzy sobie idealne smutki lub urojone rozkosze. Leona

zadawałniało to, że ją widział, że dusza jej w jego oczach rozwijała się jak kwiat do słońca i odsłaniała uroki swoje, że w tę duszę głęboką i piękną rzucał myśli jak perły, i wiedział, że tam nie zginą, nie przepadną. Czuł przyjemność w lekcjach z hrabianką, godziny leciały mu tam nadzwyczaj szybko. — A gdy nie był przy niej, nieraz przez ciemny las jego myśli, kłopotów i przykrości przesuwiała się biała twarz hrabianki, jak księżycowe światło, i lubiał na tej jasności zatrzymywać swoje oczy i wtedy czuł dziwny spokój i błogość wielką. To był cichy, sielankowy ustęp w poważnym poemacie jego życia, tam odpoczywał, tam zmęczonemi piersiami zaczerpywał powietrza. Każdy człowiek musi znaleźć w życiu taki punkt odpocznienia dla duszy, taką zie-

loną ustron — kto jej nie znajdzie, skamienieje lub spali się.

Więc Leon kochał hrabiankę?

Nie odpowiem wam na to pytanie — musielibyśmy pierwiej porozumieć się i godzić na definicya miłości, co nie jest tak łatwą rzeczą. Jeżeli Leon kochał — to miłość ta nie zstąpiła jeszcze na ziemię, nie znała wyrazów: k o c h a m — m o j a, nie skryzalizowała się w słowa, nie pragnęła zbliżenia się. — Był to pierwszy objaw miłości — uwielbienie. Dusza jego podniosła się ku niej tęsknotą, westchnieniem, jak fale morskie ku gwiazdom w księżycowej nocy. Jakież przestrzenie dzielą fale morskie od tarczy księżyca, a jednak jest związek tajemniczy między nimi. Coś podobnego działo się z Leonem. Wpatrywał się, podziwiał i było mu wtedy dobrze, błogo. Nieraz gdy dyktował a ona pisała, wzrok jego zatrzymywał się na jej twarzy i zamyślał się wtedy. Taki wyraz ma Dante w obrazie Ary Szefera, gdy się zapatrywał na swą Beatrycę. On ją apoteozował.

Raz Helenka dostała mocnego bólu głowy, właśnie przed przyjściem Leona, a żal jej było opuścić lekcję. Ciotka doradzała przyłożyć cytrynę dla uśmierzenia bólu. Gdy Leon przyszedł.

Helenka weszła do pokoju, mając trzy okrągłe plasterki cytryny na czole i skroniach i była nieco zażenowaną tą ozdobą. Tej nocy przyśniła mu się; tylko trzy plasterki przemienił sen w trzy gwiazdki migające na jej czole. Odtąd nie mógł jej pomyśleć sobie bez tych gwiazd.

Te wszystkie przemiany i uczucia działały się, wstawały i opadały w głębiach jego duszy — na twarzy znać ich nie było. Im więcej wezbrała ta głęбина, tym surowsze i poważniejsze rysy kładł jak wędzidła na nie, udanym spokojem tamował ich wylew. — Raz nawet ostrzejszym nieco wzrokiem skarcił chwilową nieuwagę hrabianki. Złękła się go wtedy, oczy jej posłusznie zwróciły się znów ku niemu i ciche dwie łezki stoczyły się z nich z szelestem na papier, skarżąc się na niego. Te łzy ciężko spadały mu na serce, żałował ją, cierpiał, ale z twarzy nie zdjął powagi i zimnego spokoju. On nie chciał, nie mógł być czem więcej jak tylko jej nauczycielem.

A hrabianka?

Czy domyślała się, jakie uczucie zbudziła w piersiach człowieka, który się zbliżył do niej? Czy czuła sama coś podobnego? Czy blask jego duszy odbił się choć słabo na jej twarzy i w jej sercu ?

Trudno to odgadnąć. U dorastających pań uczucia tak się plączą ze sobą, że łatwo się pomylić. Można by czasem proste przywiązanie uczennicy wziąć za inne uczucie. Nie usiłujmy więc odgadnąć uprzednio, ale przyjrzyjmy się pilniej temu stosunkowi.

Ona słuchała go rada, dziwiła się, jak można tyle wiedzieć co Leon, zachwycał ją i porywał jego wykład, — w oczach, które wpatrywała w mówiącego, była głęboka uwaga; ale może nie czułaby tak wielkiej różnicy, gdyby zamiast siebie przysłał jej swoje pisma. Kochała się w jego wiedzy. Później przyłgnęła do jego głosu, który miał dziwną siłę i giętkość. Były chwile, w których Leon wymową porywał hrabiankę ze sobą, jak silny pęd wiatru, co unosi kwiaty — zapomniała wtedy o świecie, o ciotce, o jej morałach, oczami czepiała się jego rozpromienionej twarzy, usteczka rozchyłały się bezwładnie i całą postacią podana, pochylona naprzód, zapatrzyła się, jak człowiek nad uroczą przepaścią. Nieraz Leon skończył wykład, uklonił się i wyszedł — a ona jeszcze długo nieruchomo siedziała na miejscu i słuchała go. A gdy się opamiętała, gdy ciężkim westchnieniem wyrwała się z zaczarowanego koła zachwyty, spoglądała na miejsce gdzie siedział

Leon i dziwiło ją, że było puste, że Leon wyszedł niepożegnawszy się z nią.

— Jako? wyszedł? — spytała. Ciotkę rozśmieszyło to pytanie.

— Ładnie uważasz — rzekła — i zresztą nie było co słuchać — dodała obojętnie, czerniąc i zaokrąglając łuki brwi.

— A przecież ja słuchałam — szepnęła hrabianka do siebie, i splótszy paluszki opuściła rączki na kolana i zamyśliła się.

Leon nowe myśli, nowe pojęcia i poglądy rzucał w jej duszę, był dla niej zajmującą książką, gdzie na każdej karcie stało coś takiego, o czym przedtem nie wiedziała. Stara jej guwernantka karmiła ją suchymi nazwami pisarzy i książek (bo i ją tak uczono), do każdego nazwiska przyczepiwszy jak receptę kilka ogólnikowych pochwał lub delikatną naganę. Helena składała wiernie te wiadomości do pamięci, jak zaszuszone kwiaty do zielnika.

Leon dopiero zbudził te mumie do życia — słowami wskrzeszał umarłych ludzi i dawne czasy, ona widziała te postacie, widziała ich oblicza, słyszała uderzenia ich pulsu, odgadywała tajemnice ich duszy. Dawniej umiała na pamięć napisy literatury, dziś ją czuła i rozumiała. Leon nie

mówił jej: to piękne, to wzniosło — tamto liche, nie warte — tylko koło każdego dzieła stawał jak koło sarkofagu ze światłem i oświecał je z każdej strony. Było to światło, które Chrystus rozniecił nad ciemnościami wieków, w niem była piękność i prawda, po za niem ciemność i szkarada, przy tem oświeceniu sąd sam wychodził na wierzch, jak sympatyczne znaki. Z tem światłem zaglądał przez szczeliny słów w dusze autorów, poetów, i szukał na dnie ich tej prawdy i tego piękna, które były w ich słowach, szukał harmonii duszy i jej słów, pytał zagasłych serc poetów o uczucia narodowe i człowiecze. Nie jeden utwór, okrzyczany powszechnie za piękny i wzniosły, przy tem świetle tracił kolory i czerniał jak bielidło na twarzy pod chemicznym wpływem, piękne szaty słów opadały jak spalone łachmany i odkrywały nagie ubóstwo myśli, podłość lub kłamstwo. A znowu nieraz zapomniane, zapyłone, zarzucone szpargały zmartwychwstawały w anielskiej piękności. — Tą drogą prowadził Leon hrabiankę w kraj poezji i dziejów ojczystych. Zanim zachwycił się pięknnością form, badał pierwej treść, rozłamywał owoc, a jeżeli był wewnątrz zgniły, pokazywał jej i odrzucał precz wraz z ludzącą, powierzchowną ozdobą.

Przypuścić należy, że Helena wprowadzona w tajemnicze a nieznane sobie światy przeszłości, ożywione i odtworzone jego czarodziejskimi słowami, zbliżyć się musiała do niego, jak człowiek idący przez ciemne lasy, do ręki swego przewodnika; że w tej pielgrzymce dusze ich musiały się z sobą oswoić, poznać i zaprzyjaźnić, nie dziwilibyśmy się nawet, gdyby porzucona tak w pół drogi przez niego zataęskniła za nim.

Te dwie dusze już potrzebowały się wzajemnie. Ona go wprowadziła w błękitne kraje uczucia, on ją w ciemne labirynty pracy i wiedzy ludzkiej.

Hrabianka rzeczywiście przyłgnęła do niego; jego przyjście, jego widok cieszył ją, chciała mu to pokazać, chciała mu dać poznać, że ona za jego pracę chce mu zapłacić serdecznością; ale te objawy jej uczucia łamały się na jego powadze, jak wody na sterczącej skale i cofały wstecz. To ją martwiło.

— Jaki on nieprzystępny, zimny — mówiła sobie nieraz. — Ten człowiek umie wiele, ale czuć nie umie.

Ale znowu przychodziły jej na myśl jego wykłady — z pod tej lodowej piersi szły takie gorące słowa, głos jego tak drży dziwnie, gdy czyta

natchnione myśli poetów. Doprawdy — to dziwny człowiek! Dusza jego była dla niej zagadką, którą naprózno siliła się odgadnąć.

Są ludzie, których dusza przeświecła przez ciało jak lampa, na których twarzy znać wszystkie jej odcienia, przemiany i wrażenia; a są znowu inni, w których piersiach uczucia tworzą się jak kryształki w krzemieniu — trzeba pierś rozbić młotem, by je zobaczyć. Do tych ostatnich należał Leon. Hrabianki dusza mieniła się kolorami uczuć, jak lampa alabastrowa. — W jej błękitnych oczach Leon mógł wyczytać sympatya.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, w godzinie, w której Leon zwykł był przychodzić na lekcję, wszedł lokaj i oddał pani Herminii kartkę. Była od Leona. Usprawiedliwił się, że z powodu niespodziewanego wyjazdu do Galicyi, przerywa wykłady na parę tygodni. Hrabiance te parę tygodni wydały się niezmiernie długimi, zrobiło jej się w duszy jakoś pusto, smutnie, jak w ogrodzie w późnej jesieni, miała jakiś żal do Leona, że wyjechał. Westchnęła i sposepniała.

Byłaż to miłość? — Nie wiem.

XI. BAL.

Było to w przededniu jakiegoś balu; nie pamiętam już techników, czy jakiego innego.

Hrabianka na tym balu miała pierwszy raz wystąpić publicznie, wejść w świat. Oczekiwanie trochę rozkoszne, a trochę trwożne owładnęło ją jak człowieka przed zakrytym obrazem. Była tego dnia dziwnie wesołą i roztrzepaną.

— A pan będziesz na jutrzejszym balu? — spytała Leona, gdy po skończonej lekcji zabierał się już do odejścia.

Leon zmieszał się tem zapytaniem, choć było tak proste. On nigdy nie był na balu, przez tyle lat młodych nie pomyślał o tego rodzaju zabawie. Zastanowił się chwilę nad odpowiedzią, potem rzekł cicho:

— Nie.

— Nie? a to czemu? — O, bądź pan — zobaczysz mój pierwszy występ. Wszak nie zapomnisz pan na nim o swojej uczennicy?

Leon chciał jeszcze coś odpowiedzieć, nie zdobył się na to, zarumienił się lekko, bąknął coś niejasno, uklonił się i wyszedł.

— Może chciałabyś z nim tańczyć na jutrzejszym balu? — spytała drwiąco pani Herminia po odejściu Leona.

— A dla czegoż nie — ciociu?

— Dla czego? — Myślę, że ci tego tłómaczyć nie potrzeba. Na publicznych zebraniach takich ludzi się nie zna. Rumieniec na twarzy hrabianki wzmógł się, rozszerzył, nie wiem ze wstydu czy oburzenia.

— Cóż on ci zawinił ciociu? — spytała Helena, a w głosie jej, lubo drżącym znać było jakieś odważniejsze zerwanie się.

— Dość o tem. Na balu znajdziesz ludzi odpowiednich tobie, ludzi towarzystwa. On człowiek z gminu, z ulicy. Mam tyle przynajmniej wyobrażenia o jego rozsądku, że nie będzie chciał nas kompromitować swoją znajomością, a gdyby się do tego stopnia zapomniał, dam mu to uczuć w sposób nic bardzo dla niego miły.

— Ciocia nie zrobi tego — pochwyciła żywo hrabianka, a w drżącym jej głosie była i prośba, i boleść, i oburzenie. Ciotka utkwiała w nią oczy i surowo, badawczo patrzała. To zimne, ironiczne spojrzenie skutkowało jak lód na rozpaloną duszę hrabianki.

W tej chwili jakaś karetka zatrzymała się przed pałacem hrabiego Zatorskiego. Wszedł lokaj i zameldował księcia Ireneusza z synem.

— Prosić do salonu — rzekła z pośpiechem pani Herminia i poprawiwszy nieco ubioru, spieszyła witać tak dystyngowanych gości. Młody książę Adolf, wracający z zagranicy, był szczególniejszym przedmiotem jej ciekawości.

Helena została sama w pokoju. Białe czoło wsparła na zamarzłych szybach, paluszkami skubała mirt — i myślała o Leonie ze smutkiem.

— Biedny! czemu on nie hrabią? Czy to tak trudno? Wszak on tyle pracował, tyle umie — a ja niczem nie zapracowałam na ten tytuł, który noszę. Czemuż to tak? To niesprawiedliwie. Ciocia śmie o nim mówić tak dotkliwie, że aż przykro słuchać. A jutro? . . . Boże, jakby go tu przestrzedz, żeby się nie narażał? . . .

Z salonu dolatywały głosy rozmawiających i plątały się między myśli dziewczęcia. Rozpoznawała głos ojca, ciotki i jeszcze dwa inne nieznanome. Czyje? — to ją nie obchodziło wcale — myślała znowu o jutrzejszym balu, ale już nie z tak bijącym sercem jak przedtem, nie wróciła już do wesołości, bała się sięgnąć ręką po radość, bo kłujące słowa ciotki sterczały jak ciernie wokoło.

Na drugi dzień wieczorem przez ciche ulice Krakowa przelatywały pojazdy i doróżki z turkotem, wszystkie w stronę teatralnego gmachu, i zatrzymywały się przed wejściem rześisto oświetlonem. Każdy powóz jak pupka otwierając się wypuszczał z siebie motyle strojne, barwne i pachnące. A gdyby można głowy i serca tych ludzi otworzyć jak ich pojazdy — cóżby z nich wyleciało? — Ciekawe byłyby stroje tych myśli i uczuć, które wyprzedzając bieg powozu, lecą ku sali balowej. Próbujmy je szkicować.

Młoda panienska pierwszy raz jadąca na bal publiczny, między nieznanomych ludzi, jakże pięknie musi roić! Drży z trwogi i uciechy — za chwilę te dwa uczucia zwiędną pierwej niż kwiaty u jej piersi, a narodzi się uczucie rozkoszy. Teraz jednym uszkiem słucha rad matki i reguł przyzwoitego zachowania się, a drugim łowi ciekawie turkot powozów spieszących w tę samą stronę co i ona. Kto w tych powozach? — może znajome? A czy też będzie ten blondyn, którego spotykała codzień prawie w południe, wracając z pensyi? — O! pewno będzie — on także umie przeczuć, odgadnąć, gdzie ją spotkać może. Co powie jej? czy się też zbliży? — Tak roi młodziutka pensyonarka.

Inna, już więcej doświadczona, która swojo oczy wypróbowała już na niejednym balu, przegląda się w lusterku wachlarzyka, układa twarz do uśmiechu i pyta się swych wdzięków o nadzieję zwycięstwa, i patrzy z zajęciem na swój strój, i uśmiech zadowolenia i dumy przeleciał jej po twarzy. Malwina nie będzie miała takiego stroju — nie wyda się tak dobrze jak ona.

Starzejąca się wdówka wiezie na pastwę męzkim oczom resztkę swoich powabów, sprzymierzonych ściśle z tajemnicami toalety.

Tam znowu mama wiezie na pokaz trzy córki, którym od jakiegoś czasu przestała rachować lata. I mamie i córkom uwija się, po głowie uparcie jedna myśl: a może też... .

Kapitalista wiezie młodą żonę, uginającą się pod ciężarem brylantów — on rachuje — ona marzy, marzy o pochwalnych szeptach łaskoczących serce, o gorących spojrzeniach, lekkich uściskach w tańcu.

Młody człowiek, błyszczącymi lakierami lekko dotyka chodnika, spieszy i nucąc zapina rękawiczkę — w jego głowie już bal od dwóch dni, myśli się roztańczyły.

Wszystko leci, pędzi — bawić się. Spytajcie się każdego z tych ludzi: czym się chce bawić,

na czym zasadza swoją zabawę? każdy odpowie: chcę tańczyć lub patrzeć na tańczących — to mnie bawi.

Każdy z tych skłamał, niewiedząc nawet o tem.

Niechaj na przykład taka żona kapitalisty tańczy do upadłego całą noc — z mężem, niech nie usłyszy ani jednego komplementu, nie pochwyci ani jednego spojrzenia palącego — znudzi się i ziewać będzie.

Do jednej z trzech panien archeologicznych przyczepi się jakiś student młodziutki, którego od posady oddziela jeszcze kilkanaście lat — tańczy z nią, bawi ją — a jest przystojny i tancerz doskonały. A jednak mama drze chustkę z niecierpliwości, córka się dąsa. Ona radaby tańczyć z przyszłym mężem, z jakimś co już ma „swoje fl. rocznie”.

— Ah tatko! ja tańczyć lubię pasyami — woła młoda panienka, kusząc ojca na bal. Ale ojciec surowych obyczajów nie radby widzieć córkę swoją w ramionach obcego mężczyzny, więc się jechać wzbrania. Wtem niebo zsyła do domu zaufanego przyjaciela papy, kawalera statecznego, który pannę zamawia do wszystkich tańców.

I patrzcie, ta panna, co tak pasyami lubi tańczyć, już się nie napiera na bal.

Więc nie taniec wabi na bale. Próżność i namiętność, to dwie ważne przyprawy balowe. Każdy chce albo kochać, albo być kochanym, pochwalić się i być chwalonym. Trzeba być albo bardzo młodym, albo bardzo starym, żeby iść na bal ubawić się tańcem lub tańczącymi.

Tych, co w pośrodku stoją, to nie bawi. Bogacze pokazują tu swoje pierścienie, łańcuchy — kobiety swoje wdzięki — wino i muzyka sprzysięgły się na odurzenie tych ludzi, na rozpalenie ich krwi i rozwiązanie ust. — Ileż zakazanych szeptów i rozmów kryje się pod huczne dźwięki muzyki, ileż uścisków namiętnych przemyca się w płasach kadrylowych lub mazurowych hołubcach? Nietylko kwiaty więdną od balowego gorąca — i oczy, i słowa i krew palą tak myśli i uczucia ludzkie. Chwila szału w walcu silniej często uderza w piramidę czystych myśli, niż długie, wyrachowane pokusy. Jeżeli chcesz dobyć z kobiecych piersi słowo: „kocham” — rzuć jej pod nogi drgające tony walca, pod serce podłóż twe ramie — a wypowie. Muzyka, oświecenia, wszystko to odurza i upaja. Nie chce rozstrzygać, czy ta pijatyka na zdrowie ciała, duszy — ale

to pewna: że panny, panowie, nawet ciocie, mamy, papy pijane są tą atmosferą balu. Może mnie kto posądzi o przesadę. Zaraz się wytłomaczę przykładem.

Tatko panny n. p. Anieli wchodzi do salonu i zastaje w nim człowieka zupełnie obcego, którego i jego córka nawet ani zna, ani lubi, ani kocha, ani szanuje — i ten człowiek objął w pól jej wiotką kibić, a drugą ręką ściska jej rękę. — Odwołuję się do wszystkich właścicieli córek, czy podobny widok nie może rodzicielskiemu sercu zadać piorunowy cios, spowodzić atak apopleksyjny na głowę papy, a kije na plecy śmiałka. Ale czekajcie — znalazło się jeszcze kilku, kilkunastu takich śmiałków, którzy ośmielili się uwięzić w swych ramionach panięskie kształty; zapalono światło nad ich głowami — muzyka zagrała — patrzcie, ojciec panny Anieli nie upadł na ziemię z oburzenia, siedzi wesoły, uśmiechnięty obok swej połowicy i podziwia gazellowy skok swej córki. Zkąd ta zmiana? — To czar muzyki, tatko opił się tym narkotem. Muzyka czarownica pozwoliła obcemu człowiekowi zbliżyć się do obcej panny tak, jak ledwie mógłby sobie życzyć jej narzeczony w przededniu ślubu.

Na tych i kilku innych przykładach możnaby

osnuć szeroką rozprawę o zabawach i o przyzwoitości jak ją teraz rozumieją i gdzie znajduje zastosowanie, ale niechcąc być rozwlekłym i sucho dydaktycznym, opuszczam te uwagi i wracam do balu.

Bawiono się szalenie, zebranie było liczne, bo to był bal na cel dobroczynny; a ludzie lubią podszywać chęci zabawy pod takie pozory. Mam właśnie pod ręką kilka numerów „Krakusa” z roku; każdy z nich mieści jakąś wiadomość o balu, ale zawsze na cele dobroczynne. Piękny to pochop do dobroczynności, przyjemniej suwają się nogi po woskowej posadzce, kiedy się wie, że temi nogami ociera się łyzy nieszczęśliwym. I wilk syty i owca cała. Bogu i djabłu przy tej świeczce . widno. — Gdzie nie możesz wyprosić dla biednych kilka złotych, wymyśl jaką zabawę na ten cel — a osiągniesz skutek. Dziwne wyrachowanie pod tym względem i ciekawy rodzaj oszczędności. Proś o kilka złotych dla biednych — obywatel się skurczy i narzeka, że nie ma; wtem ogłaszają bal na cel dobroczynny. No, jakże tu nie iść? Więc idzie i on i żona i Ola i Fincia i Nimcia. I zesumowawszy co obywatel wydał na bilety, rękawiczki, ubranie na głowy swych córek, na suknie — wypadnie,

że na cel dobroczynny wydał do fl. — Ta chwalcieź go za to. Ja na teraz wstrzymuję się od tego.

Bal więc był liczny, coraz to inne powozy zajeżdżały. Tłum ludzi ciekawych zalegał ulicę Teatralną i przyglądał się jak wielki recenzent — ulicznik. — Oświecone okna redutowej sali trzęsły się od tonów muzycznych.

Leona nie było na balu. — Podczas kiedy jego koledzy w rzesisto oświetlonych salach, wśród gorąca, woni, muzycznych tonów, rozkoszowali i tonęli w tej fali kolorów, połyskujących ocz, pachnących włosów i kwiatów, złota i błyszczących kamieni — on w zimnej izdebce na poddaszu siedział przy ogarku świecy i czytał: dzieje porozbiorowe. Jest w kościele katolickim zwyczaj, że w ostatnie trzy dni karnawałowe, w czasie najszańszej zabawy, odbywa się czterdziestogodzinne nabożeństwo — niby dla zrównoważenia wesołych, skocznych tonów muzyki, odzywa się modlitwą, pobożnymi pieśniami i jękiem dzwonów na wieżach. Takim zrównoważeniem szału i wesołych uciech młodzieży było czytanie Leona. Uchwycił się myślą strasznej, poważnej księgi męczeństw jak krzyża, by młodego serca nie porwały szalone

wichry pokus. Wczytawszy się w te dzieje trudno myśleć o balu, niepodobna tańczyć.

— Ty w domu? — spytał Wasyl, wchodząc do pokoju powolnym krokiem — może ci przeszkadzam, no, ale co robić? Urwisz Fedko zatracił się gdzieś z kluczem od stancyi. A mówiłem błaznowi: nie zamykaj, przyjdzie złodziej to chyba zostawi nam co jeszcze, bo do wzięcia nic nie ma. A on taki swoje. Trzeba mu będzie rozkaz wypisać na skórze, to lepiej zrozumie i popamięta. Co ty czytasz Laszku, hę?

— Rok .

— Trzydziesty trzeci — powtórzył Wasyl i zamyślił się, i zapatrzył w twarz kolegi. — Trzydziesty trzeci — dziś? Właśnie dziś. A tam się bawią. Ty nie?

— Nie, ale i ty także nie?

— Ja co innego, mnie bieda nie pozwala ubrać się tak, żeby kandelabry balowe nie śmiały się ze mnie; ale ty?... hm, rok . Ja cię rozumiem. A słuchaj, gdyby tak iść i rzucić tę książkę w falę ludzi rozhulanych, możeby skutkowało takie widmo. . . .

— I po co? Jeżeli im pamięć tych lat nie ciąży ołowiem na sercu, na cóż się zda chwilowo zajmować ich oczy; oczami tylko pojną i zapomną.

Naprowadzałem wielu na te myśli, ale ich nie wypowiedziałem; one powinny same w nich zrodzić się, aby je całą miłością rodzicielską pokochać mogli i poświęcić im wszystko. Jedni nie zrozumieli, drudzy nie chcieli zrozumieć. Ale...

Nagle zatrzymał się Leon, na twarzy zbladł mocno, oczy stanęły sztywnie i coś pilnie nasłuchiwał.

— Leon, co tobie jest, tyś strasznie pobladł?

Leon nic nie odpowiedział — słuchał ciągle i pilnie — w izdebce zrobiła się cisza, wśród której słyhać było turkot powozu przelatującego cwałem po bruku. Myśl Leona była w tej chwili na stopniach tego powozu; tędy hrabianka Helena musiała przejeżdżać na bal.

Przecucie mówiło mu to, że ona w tej chwili przejeżdżała; zdawało mu się, że powóz przejeżdżał po sercu jego — i opanował go smutek dziwny, żal. Musiał mieć słuszne powody nie pójścia na bal, odmówił sobie tej uciechy z zasady,

dla idei — ale nie zapominajmy, że Leon był młodym, że młode lata i gorąca krew mają także swoje prawa, swoje zachcenia, których się nie pokonywa bez walki. Tę walkę czuł teraz Leon w swoich piersiach. Ostatnie słowa hrabianki, jej zaproszenie do

tańca stanęły przed nim w najpowabniejszej szacie i kusily. W tej chwili hrabianka Helena rozgląda się po sali, może go oczami szuka w tłumie, w tej chwili mógłby być najszczęśliwszym z ludzi być blisko niej, tańczyć z nią i rozmawiać.

To już nie było uczucie, co błądzi między gwiazdami i zadawalnia się marzeniem — miłość jego zstępowała na ziemię — pragnął już nadziei wzajemności. Uczucie miłości rozwija się jak roślina; drzemie tajemniczo w piersi, jak ziarno w ziemi, potem pod ciepłymi spojrzeniami kobiety kiełkuje w słowa, ma swoje kwiaty i owoce, jeżeli nie zniszczy w połowie rozwoju. Przejście więc, w jakim znajdował się obecnie Leon, było koniecznym w rozwoju jego miłości. Chodź, jeszcze czas — wołała pokusa, — zrób to dla niej, wszak prosiła.

— A gdybym poszedł — tylko zobaczyć ją, — pomyślał sobie Leon i wzdrygnął się i zawstydził się swej słabości, potem oczy spuścił na księgę męczeństw i czytał.

— Ależ tu zimno u ciebie — odezwał się Wasyl — chcesz, zapalę.

I kucnąwszy przy piecu począł łupać drzewo na cienkie patyczki.

— Ale, ale muszę ci też powiedzieć. Czy

wiesz, że ten węglarz, któregoś poznał w garkuchni, od wczoraj znikł bez śladu? Biedakowi szło twardo jak z kamienia, cały kącik, który podnajęli u jakiegoś robotnika od kolei, zamienił się w szpital, i żona i dzieci chore z niedostatku. To go dobić musiało. Wczoraj jak się zabrał tak poszedł i ani słyhu o nim. Boję się o niego. Ale ty nie słuchasz?

— Owszem, słucham — rzekł spieszenie Leon, ocknąwszy się z zamyślenia.

— Leonie, tobie coś jest, ty dziś nie taki jak zawsze. Ty od jakiegoś czasu dziwnie się zmienił ?

— Dla czego?

— Dla czego — o to nie mnie pytaj, ale siebie. Dawniej gdybym ci tak wspomniał o rodzinie, która z głodu umiera, poleciałbyś, niżbym ci dokończył o tem mówić. Dziś słuchasz tego, jakby powieści. A ja na tom ci gadał o nędzy węglarza, że wiem, iż im dopomódz możesz — ty teraz lepiej stoisz ode mnie — ja nie mam grosza, ja nie mogę dla nich nic zrobić.

Mówiąc to Wasyl, dmuchał w przygasający ogień i z ócz szły mu łzy, zapewne od dymu, co go krztusił.

Leon spuścił oczy ze wstydu. On przed chwilą

myślał o swoim szczęściu i myśl ta uczyniła go głuchym na nędzę innych — samolubem. Przeląkł się tego stanu, w jakim się znajdował. Uczucie które od jakiegoś czasu ogarniało go całego, zapanowało nad jego myślą i sercem, które on uważał za promień niebiański, co podnosi i uszlachetnia — to uczucie uczyniło go samolubnym. Zapatrzył się w blask słoneczny i oślepl na rzeczy będące około niego. W chwili gdy myślał, że się podnosi, on upadał: myśl o własnym szczęściu tłumiła i gniotła jego piękne ideały o poświęceniu się dla szczęścia drugich, poczucie surowych obowiązków, które wziął na swoje barki. — Więc nie wolnoż mu będzie zbudować sobie lepianki własnego szczęścia i żyć w niej? Apostołowie nie mogą żyć dla siebie. — Więc musi koniecznie odepchnąć od siebie to uczucie, co mu tak uśmiechnięte zagląda w serce? — Czuł, że powinien tak zrobić, ale nie miał siły, bo był tylko człowiekiem, bo był młodym.

Tak myślał. Wasyl wstał od pieca, patrzył badawczo na zamyślonego, potem zbliżywszy się do niego wziął go za rękę i głosem chropowatym ale z współczuciem odezwał się:

— Leon, tobie coś jest. Otwórz ty mi drzwi do twoich tajemnic, wejść, pogadamy. Dobrze, he?

Leon przesunął ręką po czole, ucisnął Wasyla, potem wstał i przechadzał się po izbie niemiaryowym chodem. Pasował się z sobą. Sięgnął już myślą do serca, by wynieść przed oczy przyjaciela to sanctissimum — i ręka mu zadrżała jak świętokradzcy, i cofnął się. Bał się śmiechu, bał rady, bał morałów i zamknął drzwi tajemnicy swojej. W końcu wymęczył z siebie tylko to pytanie:

— Wasylu, czyś ty kochał kiedy? — To słowu pierwszy raz stanęło na jego wargach.

— Kogo? — spytał Wasyl, zapuszczając sondę w serce Leona.

— Kobietę — wyszepnął Leon cicho po chwili wachania.

— Matkę?

— Nie.

— A! mówisz o miłości? Nie, nie kochałem.

Głos Wasyla, gdy mówił te słowa, był potężny, silny, jak stęp słońca, który łamie kwiaty i krzewy sobą. Słowa te gniotły serce Leona, Wasyl przydeptał go tem do ziemi.

— Widzisz Leon — ciągnął dalej Rusin zapalając fajeczkę — ja nie miałem czasu kochać się. W chwili, kiedy to uczucie poczyna się odzywać w człowieku, ja ciągnąłem mozolnie wózek

mego życia, jak zbiedzony koń żydowski, a nędza biła mnie bez litości, do krwi. Zapracowałem się i nie miałem czasu podnieść głowy do góry, chyba po to, żeby westchnąć trochę do Boga, i nie miałem odwagi popatrzeć kobietom w oczy i żadna nie miała chęci spojrzeć na moje łachmany. Trudno o kwiatek na gościńcu, trudno o miłość w sercu, po którym wciąż jeździ ciężki wóz pracy — choćby i był zarodek, to się zetrze. Na wzrost takiej roślinki trzeba odrobinę słońca i ustronia i spokoju. Ja go nie miałem. Rozumiesz? — A potem — potem kiedyś się już wygrzebał z biedy, pierwszy raz przypatrzyłem się bliżej kobiecie — na anatomicznym stole. Potem przypatrzyłem się bliżej i żywym, ale anatomiczny nóż krytyki miałem już wciąż w ręcei dziś lubię kobiety, ale ich nie kocham, nie oddaję się im cały. Rozumiesz? — Czuję nawet potrzebę ożenienia się, tylko sobie zdobędę jakie takie stanowisko w świecie. Dawniej myślałem o bogatym ożenieniu, na bogactwie opierałem wiele moich zamiarów, chciałem być bogaty, aby pomiatać tymi, którzy dziś z góry na mnie patrzą; ale dziś odmieniłem zdanie. Ja nie chcę być winien kobiecie mojego wyniesienia, mojego szczęścia. Dorobię się sam — rozumiesz, sam —

i wtedy wezmę jaką biedną a uczciwą, aby ją uszczęśliwić.

Tej przemowy Wasyla Leon słuchał ze spuszczoną głową, zamyślony, mało uważny. To co mówił Wasyl, tak dalekiem było od jego stanu duszy, tak różnem, jak różną jest tęcza od ziemi, poezya od prozy; on widział kobietę nad sobą i klękał przed nią, Wasyl widział ją niżej siebie i podawał jej rękę. Przy tak odmiennych zapatrywaniach się dysputa była niemożliwą, gdyby nawet Leon był do niej usposobiony, co w tej chwili było niepodobnem. On pragnął teraz być sam z sobą, sam ze sobą rozmawiać, przeczytać i twierdzić, przekonywać się. To też gdy Wasyl skończył, on powstał i zapytał:

— Gdzie mieszka rodzina węglarza?

— Za św. Floryanem, w uliczce prowadzącej do kolei — drugi domek. Łatwo trafisz, przed domem studnia.

— Idę więc — do widzenia.

I wyszedł prędko, tak mu w tej chwili ciężką była obecność człowieka.

Wasyl po jego wyjściu siadł bliżej pieca i wrzucając do gorącego popiołu ziemniaki, mruczał:

— Ot i skończył pracę Lach. Zakochał się, ta i po wszystkim. Mów mu teraz o poświęceniu,

o obowiązkach, o zasadach. Poświęci się, ale dla niej wypełni obowiązek, ale ten, który go nie oderwie od niej — a zamiast w swem sercu, w jej oczach będzie czytał pochwałę lub naganę swych zasad.

Oni wszyscy tacy: idą do wielkości, do prawdy z zapalem póki nie potkną się o kobietę lub o namiętność. A gdy to minie i młodość minie, czeka na nich drugi próg upadku, egoizm. — Może zmarnieć Laszek — szkoda mi go — to czysta dusza i szlachetna.

Kiedy tak Wasyl rozmyślał — Leon wszedł już w małą, ciasną uliczkę za św. Floryanem, między niskie i obdarte domki. Z jedne go dolatywało uszów jego głośne, bolesne łkanie, przerywane suchym, męczącym kaszlem i zmieszane z gwarem kilkorga ludzi rozmawiających. To bolesne łkanie było mu przewodnikiem i zaprowadziło go do izby słabo oświetlonej lampką migotliwą, stojącą na kominie, na którym wśród żarzących się węgli stało kilka garmków. W izbie

był gwar, zaduch i dym. Leon z trudnością mógł rozpoznawać ludzi poruszających się w dymie, a ludzi było kilkoro. Kto zna bliżej życie biedaków mieszczących się po zaułkach przedmieść,

domyśli się zaraz, że w tej izdebce nie jedna, ale kilka familij mieścić się musiało. Wszystko to wróciło teraz z dziennej pracy i krząta się koło jedzenia lub spania.

Gospodyni zagłada do garnków i dmucha na węgle — gospodarz (a jest nim robotnik z kolei) spokojnie pali fajkę i patrzy po swoich lokatorach. Jakaś stara jejmość, podobno podupadła szlachcianka, pół dziadówka, pół dewotka ściele sobie łóżko i półgłosem klepie pacierze; stróż nocny okręca się łachmanami od mocnego zimna i zabiera się do wyjścia i żegna swoją babę gderającą. Więcej Leon nie widział, ale słyszał łkanie.

— Czy tu mieszka żona Marcina węglarza? — spytał Leon.

— Tu, a cóż to? Marcinowa, Marcinowa — wołała gospodyni — jakiś pan pyta się o was, może wie coś o waszym.

— A zamykajże pan drzwi, bo zimno leci... i nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw — mruzczała dewotka.

Leon postąpił naprzód i ścierpnął cały. Przed nim w rogu izby leżała rodzina węglarza, straszna grupa, zaćmiona Rembrandtowskimi cieniami;

tylko niektóre części wynurzały się z tych cieniów: sucha ręka matki, obrzękła twarz dziecka, kawał kości białej ogryzanej przez najmłodsze dziecko, trochę zmierzwionej, przegniłej słomy, kawałek koszuli, co okrywał plecy śpiącej dziewczynki. Na tych pojedynczych częściach można było przesyłabizować wyraz: nędza. Wszystkie piękniejsze, eteryczniejsze myśli Leona poplątały się wśród tych łachmanów i upadły w nie z płaczem, zapomniał o balu, o hrabiance, o miłości — czuł tylko politowanie. Oczy, to wymowny protektor nieszczęśliwych: „czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal” mówi przysłowie głęboką prawdę. Gdyby ciągle przed oczami naszymi stała nędza i boleść ludzi, nieszczęścia i choroby — możeby mniej było śmiejących się, tańczących; ale też i mniej nieszczęśliwych. Umyślnie w rozdziale o balu mówię wam o nędzy, między tony muzyki wmieszałem jęk chorej i nieszczęśliwej kobiety, między kwiaty i gazy łachmany i barłóg, by się uwidatniła cała zniszczona równowaga stosunków społecznych, całe samolubstwa ludzi, cała pogańskość dzisiejszego świata. Rozhulane pary, panicze zalewający się szampanem, bogacze chorujący na niesprawność — spojrzycie na chwilę na ten barłóg,

a potem, jeżeli możecie, wróćcie do waszej zabawy.

Dziwny porządek w świecie! Młoda panna drży przed balem z niecierpliwości, że jej nie przynoszą na czas gazowej, pajęczej sukni, która spotęguje powab jej ciała — a w tej chwili ileż dzieci żebraczych drży od zimna? Wydatek na tę jedną suknię, która jutro już na nic się nie przyda, okryłyby te sieroty, te dzieci, tę matkę...

Młody człowiek ręką już niepewną rozlewa szampan po stole i po ziemi — a w tej chwili ileż ust chorych oschło od gorączki, poczerniało prawie i pragnie. Gdyby ten rozlany szampan można zamienić w trochę napoju, co by zwilżył usta nieszczęśliwych, gdyby resztki bankietu, porzucone przez biesiadujących, można poroznosić po domkach, gdzie mieszka nędza i porozdzielać głodnym? — Ale o to tak trudno, tak trudno!

W balowej sali kobiece piersi falują od zmęczenia, wachlarze kołyszą się nad rozplomienionymi twarzami, gorąco tanecznikom — a tyłu biednych drży z zimna w nieopalonych izdebkach.

Głupcy! czemu nie tańczą?

Oh, jakże dziwny, skrecony porządek w świecie

cie! I tym ludziom tańczącym ani przez myśl nie przejdzie, że są zbrodniarzami. Tę młodą kobietę nazywają aniołem, młodzieńca zacnym, innych pocziwymi, obok światłości, co ich otacza, nie widzą cieniów, nie patrzą w nie.

Ale po cóż to mówię? Niech tylko między wasze balowe stroje, uciechy i zbytki wsunie się proszalna ręka żebraka, wy się tak umiecie skruszyć, narzekać na złe czasy, na ubóstwo, że nędzarza ochota bierze poszukać w swojej torbie jałmużny dla was. Nie macę wam więc zabawy — bawcie się. Ja wracam do nieszczęśliwych! —

Na głos gospodyni, chora odwróciła głowę od ściany, oczy jej zaświeciły w ciemności. Podniosła się nieco i wtedy Leon zobaczył jej wyschlą twarz — wargi spieczone, obszarpane zębami i zaszle krwią, nos wyciągnięty, oczy zaczerwienione od płaczu.

— Gdzie jest mój Marcin panie? — zapytała chora głosem dziwnym.

— Nie wiem.

— Nie wiecie? O ja nieszczęśliwa, on już nie wróci, nie wróci! — I spleła palce — wy

rzuciła ręce po nad głowę jak sklepienie, rzuciła się na barłóg między dzieci i szlochała wcięż i wołała:

— O wy moje sierotki, o ja nieszczęśliwa! o ja nieszczęśliwa!

— A tobyście cicho była głupia — strofowała szlachcianka — dewotka — cóżto, płacz pomoże czy co? Czy to wy jedna straciłaście męża? I mój nie żyje, a nie płaczę. Taka była wola Jego przynajświętsza — rzekła pobożnie składając ręce.

Ta pociecha zwiększyła żal i płacz chorej.

— A to cicho bądźcie, bo ani pacierza uczciwie przez was zmówić nie można.

Marcinowa nie uważała ani na rady, ani na dąsy dewotki. Nie widziała, nie słyszała nic prócz tej jednej wieści: on nie wróci już. Boleść tej kobiety prostej miała w sobie coś rozdzierającego. Próżno Leon kilka razy zagadywał ją — niesłyszała go. Obrócił się więc ku gospodyni i wręczając jej parę złotych prosił, aby temi pieniędzmi zaopatrzyła tymczasowe potrzeby rodziny węglarza. Potem odszedł — ale długo jeszcze odchodzącego gonił lament Haremowej. Domyśleć się nie trudno, że Leona anioł miłości przeszedłszy przez to piekło nędzy, popalił

sobie skrzydła i szaty, że jego troski porównane z nieszczęściem tych ludzi, zmały, że z powietrznych szlaków, po których błakają się westchnienia kochanków, myśl jego zstąpiła na ziemię, rozglądała się w stosunkach towarzyskich i męczyła się nad sposobami zaradzenia złemu, znalezienia lekarstwa na to zło, które widział. Do jego prac organizacyjnych, przybyła jeszcze jedna: przekonał się, że to niedość oświecać lud, trzeba jeszcze znaleźć sposoby poprawienia jego losu. Jakże tu rzucać światło nauki na tych, których szarpanie się z losem, z nieszczęściami powaliło o ziemię, cóż tu oświecać? chyba smutne sceny boleści i konania. Jakaż to ironia, rzucać książki tam, gdzie brak chleba. A jednak wielu uważa to za ostateczny i jedyny kres prac swoich dla ludzkości i zaspakaja tem swoje lenistwo. Leon czuł, że to nie wystarcza, że trzeba pierwiej pomyśleć o materyalnej stronie tych ludzi, wynaleźć im sposoby zarobkowania, zabezpieczyć ich los. Pojedyncze dobrodziejstwa tu nie wystarczają — potrzeba radykalnego zaradzenia. Nad znalezieniem go rozmyślał Leon, i kiedy myśl jego pracowała — instynkt czy też uczucie schowane pod ciężar tych myśli, wiodło go mimo wiedzy — ku Teatralnej ulicy.

Jakże się zdziwił, gdy między jego myśli wplątały się tony muzyki, podniósł głowę i spojrzął w okna sali balowej. Mnóstwo cieniów przesunęło się po oświetlonych szybach — wśród tego mnóstwa przesunął się może także cień hrabianki Heleny. Leon myślał o tem, a jednak serce nie zatętniało żywiej w piersiach, myśl nie zrywała się do tego cienia, bo u nóg tej myśli ciężył łańcuch nędzy i dzwonił smutnie. Stał spokojnie, i raziły ucho jego skoczne tony muzyki, i hrabianka nie wydawała mu się tak piękną wśród tego balowego otoczenia; przykro mu było, że tańczy. Po za stojącym Leonem przechodził się ulicą jeszcze jeden młody człowiek, dość nędznie ubrany, długie włosy bezładnie spadały mu na ramiona, twarz bladą często podnosił ku oświeconym oknom i czasami otwierał usta jak do westchnienia. Był to Teofil, syn Jana szewca, którego poznaliśmy w izdebce Wasyla. Czytelnicy przypomną sobie, jak wtedy stary ojciec, stęskniony za głosem ludzkim, uciekał z pustej izdebki swojej na gawędkę do pana doktora, jak użalał się nieznacznie, że nie ma pociechy z dzieci, że syna mało widuje. Stary nie pytał o przyczynę, wierzył, że syn jego pracuje na przyszłość swoją

i jego; ale my przyjrzyjmy się głębiej i uważnie temu człowiekowi. Jest to jedna z figur tak często pojawiających się wśród młodzieży, określimy ją jednym wyrazem: marzyciel.

Trudno sobie wystawić coś bardziej chorobliwego w społeczeństwie, szczególnie w społeczeństwie dorastającego pokolenia, jak marzyciela; to roślina, co rośnie z zarodem robactwa w piersiach i zawczasie ma na czole wypisane zmarnienie. Tylko bolesne operacje nieszczęścia mogą uratować takiego człowieka. — Trzeba nam tu ściśle odróżnić marzenie od poezji.

Poezja jest czynną, twórczą, ruchliwą — marzenie jest lenistwem duszy, duchowem przeżywaniem; poezja myśli — marzenie przypomina sobie tylko, a raczej gapi się na panoramę przesuwających się obrazów; poezja czuje miłość — marzenie ma tylko czułość, tkliwość sentymentalną; poezja ma chwile szału, namiętności gwałtownych, rozpaczy — marzenie lamentuje, narzeka i upadki jego nieszlachetne. Teofil był marzycielem. Przyjrzyjmy się gdzie źródło tej choroby jego, choroby szerzącej się w pewnych epokach między młodymi jak zaraźliwa epidemia, a wtedy i lek się na nie znajdzie.

Teofil w dzieciństwie pokazywał wielkie niby zdolności do nauki, a raczej wielką chęć do czytania. Na tej kruchej podstawie ojciec budował wszystkie piękne plany jego przyszłości i cieszyło go, że syn jego kiedyś będzie panem, że nie będzie potrzebował ciężko pracować. Pan i próżnowanie to był pierwszy katechizm Teofila; nieszczęśliwy ojciec dał mu pierwsze dozy trucizny, które zaczerpnął z fałszywego pojęcia o szczęściu. Stary nie mógł darować rodzicom swoim, że zubożeli i jego na twardą pracę skazali.

— Teosiu, my biedni, ale my ze szlachty pochodzimy, moi rodzice mieli wieś.

Teoś więc marzył o pięknych pokojach, o służbie wygalonowanej, karetach z herbem na drzwiczkach i z obrzydzeniem patrzył na szewski warsztat swego ojca; towarzystwo ojca nudziło goi wstydził się ojca szewca. Kto go tego nauczył?

— Sam ojciec. O dziwne zaślepienie miłości rodzicielskiej! Zostawiony od pierwszych lat własnemu talentowi i pilności, Teorii rzucił się namiętnie do czytania książek bez wyboru. Składy francuzkich romansów u antykwyaryuszów ze Szpitalnej ulicy ciągnęły go i nęciły do siebie: czytał a raczej

połykał wszystko, płatanina zdarzeń, zawilość, tajemniczość drażniły młodą wyobraźnię i zarazem rozmarzały jego umysł. Mało czasu i chęci zostawało mu na pracę naukową, zdolności tępiały, marniały; pamięć zmaląa, zato wyobraźnia napęczniała. Pisywał niezłe wypracowania, koledzy podziwiali, profesorowie chwalili; — to jeszcze go bardziej odwiiodło od surowej pracy — od romansów przeszedł do czytania poetów, a od czytania do pisania wierszy — został poetą. Ktoby uważniej przejrzał te chwalone wypracowania, te podziwiane wiersze, dostrzegłby łatwo, że tam

nie było ani jednej zdrowej, samodzielnej myśli, ale same mdłe reminisceney z przeczytanych książek, perły poetów, roztworzone w homeopatyczny rozczynek. On nie czuł poezji; jemu trzeba było powiedzieć, opisać, że coś piękne, aby się uniósł nad tem. Nieraz przebiegał po marmurowej posadzce katedry Wawelskiej i nie drżały jego nogi w wrażeniu, że stąpają po grobach wielkości — mijał obojętnie posągi i dzieła sztuki, dzwon Zygmunta nic nie mówił do jego duszy, piękna okolica i ciepły piec jednako go zadowalniały. Dopiero kiedy przeczytał „Katedrę na Wawelu”, kiedy się znalazł w świątyni poezji trzech wielkich koryfeuszów, kiedy wziął szkło ich fan

tazy na swoje oczy — przejrzał i począł się dziwować, unosić, wielbić i na ten temat pisał. Tacy ludzie przeszliby najobojętniej koło Sykstyńskiej madonny — odrzuciliby Boską komedię, jako rzecz nudną, ziewaliby i usnęli przy muzyce Mendelssohna, gdyby ich sąd świata nie uprzedził, że to piękne i wzniosłe. Wiedząc o tej piękności, umięją o niej szeroko się rozpisywać.

I miłość weszła do serca Teofila przez głowę. Naczytał się wiele o tej miłości, więc począł marzyć o niej i wreszcie te swoje marzenia przyczepił do jednej panny, którą raz zobaczył w kościele oświeconą i obsłoniętą strunami złotych promieni, padających na nią przez gotyckie okna, upozowaną w guście Ary Szefera, modlącą się gorąco, jak Kornelia w Irydionie. To mu aż nadto wystarczało, aby się zakochał. Któż była ta panna? — Nie wiedział, nie chciał wiedzieć; jemu dość było nazwać ją: „piękną nieznaną”, — nie myślał ani zbliżyć się do niej, ani poznać ją, a tym mniej ożenić. Gdzież który poemat romantyczny ślubem się kończy? Poetyczny kodeks zabrania tego. On tylko chciał patrzeć w nią — patrzeć długo, bez końca i kochać wiecznie. — Chciał być wciąż zdala od niej, jak gwiazda od gwiazdy, którých miliony lat nie zbliżą do siebie,

a wciąż milczący, a sięgający ją wzrokiem jak Gustaw — upiór. To tak ładnie! Więc włóczył się za nią wszędzie, długie godziny trawił przed jej oknami? mając czoło młode ubrane w boleści i "sponiewierane cierpieniem" — a gdy cień jej zobaczył na oświetlonych szybach, odchodził pocieszony i szczęśliwy na całą noc. — Nie wiadomo czy ten cel jego wzdychań, ta uwielbiona znała go, podobno że nie; ale pierzasta imaginacja Teofila inaczej sobie tę rzecz wystawiała. Jemu się zdawało, że ona go zna dobrze, że ich dusze gdzieś w zaświatach ożenione ze sobą tutaj się szukają, dopełniają, z jej spojrzeń, o których się bogini ani śniło, wróżył sobie szczęście lub znajdował w nich cierpienie. I tę marę, to nic wydmuchane wyobraźnię nazywał miłością, tą miłością jaką pałał Petrarca do swojej Laury, i miłość ta dawała mu urojone cierpienia, sztuczne chwile zachwyty i pióro w rękę do pisania wierszy. Wobec tej miłości wstydział się swego ojca, brzydził pracę, stawiał zamki na lodzie — marniał.

Cóż go ocalić może? — Rzeczywiste nieszczęście, twarda praca i prawdziwa miłość, jeżeli zdoła się precyzyjnie do jego serca przez chwasty chorobliwej sentymentalności.

W jednej z sióstr Emila poznamy dalsze ce

chy tej choroby serca, która się rozwinęła ze źle zrozumianego romantyzmu. Nasz kraj w ostatnich porozbiorowych chwilach stał się siedliskiem tej choroby, która przywędrowała do nas z Niemiec — tam jej gniazdo. Dziś Teofil stanął przed teatrem, bo tam w tłumie tańczących płaśa jego Laura. Nędzny ubiór i brak pieniędzy, czyli jak on mówi „zawistny los,” nie pozwoliły mu znajdować się obok niej — chodzi więc i patrzy i słucha. Namietne, rozkoszne tony walca są mu tłem, na którym maluje swoje fantazyjne obrazy; czeka na tę chwilę, w której ona ze schodów teatru wstąpi na stopnie fiakra, na tę chwilę zbiera płomienie do swoich oczów, temi płomieniami rzuci na nią, zobaczy ją i..... zniknie w ciemnościach. Dla tej jednej chwili przestoi noc całą. Leon spostrzegł romantyka sunącego się koło muru i przywitał go:
— Co tu robisz Teofil?
— Czekam! — rzekł zapytany i odział twarz swoją wyrazem głębokiej tajemniczości.
— Nie byłeś od trzech dni w domu.
— Nie mogłem.....miałem powody — rzekł z tą samą miną.

— Twój ojciec chory — czy wiesz o tem?
— Słyszałem o tem, jutro go odwiedzę.
— Jutro — powtórzył sobie Leon cierpko i odszedł. Odchodząc pytał siebie:
— Dotrzyma tego młodego człowieka tutaj, gdy wie, że ojciec jego chory? Jakież uczucie rozkrzewiło się w jego sercu tak, że zagłuszyło i zgmiotło inne, nawet uczucie synowskie?
I odpowiedziało mu coś w piersiach:
— Miłość — on pewnie kocha — coś słyszał o tem między kolegami.
Leon pokiwał głową, zachmurzył się i począł nienawidzić miłość. — Obraz hrabianki utonął w tej chwili w nim, jak kamień w morzu — odetchnął.
Zdawało mu się, że się zbudził ze snu, który był cudownie piękny, ale który odejmował mu siłę i energią do pracy, rozmarzał. Teofil stanął przed nim jak drogoszka pokazujący, gdzie może zaprowadzić go to uczucie, które się w nim rozwijać poczęło — i zadrzał i potargał tęczową matnię miłości, by zobaczyć ziemię, obowiązki, pracę.
W tej chwili ktoś szybko przeleciał koło niego — Leon poznał żyda Izaaka, swego kolegę. Światło latarni oświeciło w tej chwili twarz jego.

Była to jedna z tych twarzy, z jakimi spotykamy się na obrazach biblijnych, w cieniu palm, na tle zaczerwienionego nieba wschodniego; tylko słabe słońce północy nie zdołało przepalić tej twarzy i zostawiło jej białość, białość taką, jaką mają miesięczne róże, stojące wiecznie w cieniu, białość nieco chorobliwą, która dziwnie odbijała od czarnych, pokręconych włosów i dużych, ciemnych ocz. — W tej chwili piękne i regularne rysy tej twarzy złamały się w straszny wyraz bólu deptanego robaka i w szyderski uśmiech.

Miał na sobie strój balowy, ale pomięty — w całej postaci i w ruchach była gwałtowność, lecąc rozmawiał głośno sam z sobą.

Leon zatrzymał go.

— Izaak, co się tobie stało?

Żyd przystanął, odwrócił się i spojrzał na wołającego.

— A, to ty? adwokat żydowskiej sprawy — (kilka dni temu Leon na jednym zebraniu koleżeńskim podniósł kwestyą żydowską i bronił jej z zapałem) — przegraliśmy sprawę. Idź tam — powiedz im kazanie o braterstwie, mój tolerancie. A może nie chcesz? he? — Na balu człowiek innymi oczami patrzy na świat. Wy tylko mówić

umiecie pięknie — aj waj, tak cudnie, że głupiego żyda czasem zbiera ochota wierzyć wam.

Tfu! —

Splunął, ślina ta musiała go palić w ustach, tyle w słowach było mściwego jadu, szyderstwa i nienawiści. Słowa te były ostre, gryzące jak czosnek, którym się karmił żyd.

Izaak, Izaak — odezwał się z łagodnym wyrzutem Leon — mówmy bez ironii, bo to kaleczy a nie goi. Cóż ci się stało?

— Co mi się stało? To, co od wieku dzieje się całemu memu ludowi od was — pogarda i upokorzenie od was, którzy kiwacie się przed Bogiem miłości, którzy dobijacie się wolności dla swawoli i ucisku drugich, którzy krzyczycie: „postęp!” i idziecie do niego jak rak. Ha! podle gojmy — niedawno ściskali mnie za ręce, ledwie nie zdusili, jak małpa swe dziecko, i mówili parchowi „brat” — a dziś brata za drzwi wyrzucili jak psa. Ha, ha, ha! No śmieje się ty — czemuż się nie śmiejesz jak tamci? To zabawne, to do komedii dobre.

— Kto śmiał ci to zrobić?

— Jaki ty dziwny, ja ich miał wszystkich rachować, kiedy czasu na to nie dali. Kto? wiem ja? — może trzystu, może pięćset — wszyscy!

— Jakież powód?

— No, bo ja żyd — czy to nie wystarcza? — Żydowi zachciało się skakać po sali z hrabianką: jakiś hrabia czy księżę (a kto go zna, na czole nie miał tytułu) kazał żydowi odejść i sam poprowadził hrabiankę w taniec. No i cóż miał robić odepchnięty żyd? — he? — Robak deptany kąsa i rzuca się, a żyd miał odejść spokojnie? — Nie! — Skoczyłem za

tym, co mnie odepchnął, i uszczypnąłem go w policzek tak serdecznie, że paznokcie utonęły w książęcym ciecie i zostały mu na twarzy sine plamy jak znaczek herbowy na czerwonym polu. Idź, zobacz, jak żyd umie znaczyć!

— I cóż?

— No, cóż być miało? Książę z parchem strzelać się nie będzie, pocałować gotów go gdzie w kącie, jak mu pieniędzy potrzeba, ale strzelać się to nie honor. Kazał wyrzucić żyda. Zaprotestowałem, odwołałem się do tych, co mnie niedawno ściskali i rzekłem:

— Panowie! ten pan we mnie obraził was wszystkich akademików.

— Precz, precz! — zawołali — jedni odprowadzili żyda do drzwi, drudzy się śmiali. No, i koniec. Prawda, że śmieszne, he?

Żyd drwił sam z siebie, by z niego nie drwiono; ale na twarzy jego wystąpiły wszystkie uczucia duszy, jak plamy na sukni — gniew, wstyd, upokorzenie, szyderstwo i nienawiść. — Wiatr rozburzonych namiętności szamotał nim i rzucał. — Leon słuchał go, spokojny, poważny, jak krzyż na rozdrożu wśród burzy. — Po chwili żyd dodał już rzewniejszym głosem:

— To nic, ja schowałem się w ciemności jak nietoperz i lepiej mi; ale te żydówki, co tam zastały i muszą słuchać śmiechu, co urąga mnie i im, i muszą się rumienić upokorzeniem mojem, i wystrojone, wygorsowane nie mają czem zakryć twarzy rozpalonych od wstydu — i światła balowe zaglądają im drwiąco w oczy — o! to szkaradnie! I to się dla nich musi nazywać balem, zabawą! — Jakie my głupcy. Uczymy się waszego języka, aby lepiej zrozumieć wszystkie odcienia waszej pogardy i urągawiska, — odrzucamy nasze przesady, jak stare, zdarte szaty, aby być niewolnikami waszych; wciskamy się w wasze towarzystwa po upokorzenie. I jakichże korzyści chcemy od was? Co wy macie? Nic! Wszystkoście stracili, łączyć się z wami, jest to być prześladowanym, cierpieć. Głupcy my żydy, takie spekulanty, a taki zły interes zrobić chcieli. Za

jeden uścisk waszych rąk, za jedno słowo dobre my chcieli być obywatelami tej ziemi, w którą nas zaniósł wichry nieszczęść i prześladowań — bo i my nie mamy ojczyzny. Myśleliśmy, że uszanujecie los narodu naszego, choćby dla tego, że jego dzieje tak podobne waszym. Wy nas odpychacie. Prześladowaniem nas, usprawiedliwiacie aż nadto waszych prześladowców. Ale tak dalej nie będzie. Odtąd cała praca moja na to, aby rozszerzyć tę przepaść, co nas dzielić powinna. Odrzucacie miłość, damy nienawiść, — wasi wrogowie będą naszymi sprzymierzeńcami, wasz upadek — to nasz tryumf. Żyd nie daruje, zemści się. — I jakież cel tej zemsty — Izaaku?

— A jakież cel waszej nienawiści ku nam?

— Zemsta niszczy, pożera a nic nie buduje.

— A co ma budować? Czego chcecie od nas? Budowaliśmy piramidy Faraonom egipskim, Mojżesz wyzwolił nas z tej pracy i drugi raz żydów nikt nie zaprzęgnie do niej, dziś żydy budują tylko sobie. — I wybudowali sobie cielca złotego, przed którym się kiwacie nabożnie.

— I długoż tego będzie?

— Jak długo? Dopóki się nie ziszczą słowa

jeden uścisk waszych rąk, za jedno słowo dobre my chcieli być obywatelami tej ziemi, w którą nas zanosły wichry nieszczęść i prześladowań — bo i my nie mamy ojczyzny. Myśleliśmy, że uszanujecie los narodu naszego, choćby dla tego, że jego dzieje tak podobne waszym. Wy nas odpychacie. Prześladowaniem nas, usprawiedliwicie aż nadto waszych prześladowców. Ale tak dalej nie będzie. Odtąd cała praca moja na to, aby rozszerzyć tę przepaść, co nas dzielić powinna. Odrzucacie miłość, damy nienawiść, — wasi wrogowie będą naszymi sprzymierzeńcami, wasz upadek — to nasz tryumf. Żyd nie daruje, zemści się. — I jakiż cel tej zemsty — Izaaku?

— A jakiż cel waszej nienawiści ku nam?

— Zemsta niszczy, pożera a nic nie buduje.

— A co ma budować? Czego chcecie od nas? Budowaliśmy piramidy Faraonom egipskim, Mojżesz wyzwolił nas z tej pracy i drugi raz żydów nikt nie zaprzęgnie do niej, dziś żydy budują tylko sobie. — I wybudowali sobie cielca złotego, przed którym się kiwacie nabożnie.

— I długoż tego będzie?

— Jak długo? Dopóki się nie ziszczą słowa

Rabbi Salomona Jarchi: „dopóki plemię Esau nie będzie wytępione”.

— I ty wierzysz, że się to stanie Izaaku? Żyd milczał i patrzył w ziemię.

— My mamy inne słowa — ciągnął Leon — i powiedział je wielki nasz Rabbi: Chrystus. On nie kazał nam wytępić wszystkich, ale kochać wszystkich i na miłości zbudować jego królestwo.

— Albo ja ślepy, albo ty kłamiesz.

— ten sam Rabbi powiedział, że niebo i ziemia przeminają, ale słowa jego nie przeminają.

— Wy odwołujecie te słowa.

— Nie! Dużo chwastu jest jeszcze na tej drodze, po której ludzkość idzie do postępu, jeszcze nie dość ujeżdżony ten gościniec, ale coraz więcej pielgrzymów nim przechodzi. Świat idzie naprzód — to fakt, i próżne są krzyki i tęsknoty do przeszłości, w której lepiej być miało. Były wielkie cnoty, tym jaśniej z tamtąd świecą, im ich mniej, im ciemniej w koło nich; ale obok nich były wielkie zbrodnie. Dziś zepsucie może szerszeni płynnie korytem, ale za to wiele straciło na swoich głębiach — rozlewa się a nie nurtuje, więc jest nadzieja, że słońce oświaty wysuszy je i stanie się urodzaj cnoty na ziemi. Oświata zbliża

i łączy ludzi, jak znowu przesady ciemności rozdzielają ich. ... A przyznasz mi Izaakowi, że lud wasz jak kamień w pleśni porósł zabobonami; średniowieczni kabaliści przetkali pismo święte brudnymi łachmanami zagorzałych mrzonek, do słów proroków domieszali żółć i nienawiść z głupotą swoją. Czas już odciąć te niezdrowe narośle wieków.

— Mówisz o przesadach, oczyśćcie pierwaj waszą wiarę. Papieże zapługawili ją wam swojemi wymysłami, na których sfalszowali podpis Boga. Dziś wasz Chrystus to tylko firma, pod którą chowają się namiętności ludzkie, Chrystus na ich łasce, słowa Jego przekęcili, naciągnęli do widoków politycznych, materyalnych. Łatwiej nam wrócić do Mojżesza, niż wam do Chrystusa. Patrz, wielu z naszych odrzuciło przesady, mimo sarkania ludu, wzięło się do nauki i oświaty i czyż to pogodziło nas z wami, czyż skłoniło was do odstąpienia waszych przesądów, czyż to starło piętno hańby, jakiem naznaczyliście nas? — Ty nie wiesz, przez jakie trudności dobywaliśmy się, by stanąć bliżej was, trzeba było deptać nieraz, po sercach naszych rodziców, zrywać najściślejsze węzły. Ja sam, kiedy wstecz patrzę, czuję, że nie miałbym siły powtórzyć drugi raz tej próby.

Trzeba było mieć taką wiarę w was, w naukę, taką chęć dobycia się na wierzch, jaką my mieli, by to wszystko przetrzymać, przecierpieć. Znosiłem biedę, zimno, nieraz głodny taplałem się w błocie i w roztopach wiosennych, by się dowlec na czas do szkoły, gdzie mnie czekały szydercze słowa i kułaki kolegów. A po drodze ileż to razy nie było się gdzie schronić przed kamieniami, któremi ulicznicy rzucali na nas? Ale to niedość na tem. Nietylko za domem było źle, i w domu własnym nie miałem spokoju, a może i w piersiach własnych nie. Rozporządzenia szkolne nakazywały, aby każdy z uczęszczających do szkół publicznych zmienił strój. Zmieniłem więc, ale dziad mój hasyd przekląłby mnie bez wachania, gdyby się o tem dowiedział. Trzeba więc było oszukiwać starego: wracającemu ze szkoły siostra wynosiła żydowską jupicę do sieni i tak przebrany chodziłem dopiero ucałować rękę dziada. Potem ociemniał, nie trzeba mi więc było przebierać sukien, ale za to musiałem przebierać inaczej myśli moje, bo starzec głęboko, bystro patrzył w duszę i poznawał we mnie odmianę, jaką daje nauka nie z talmudu czerpana. Nieraz mnie pyta: Izaak, czy się ty wdajesz z gojmami? — Prawda, ty nie dotykasz nigdy rąk nieczystych

minem? Tobieby to ubliżało, tobie, co idziesz z pięknego pokolenia Aarona ubliżałoby gdybyś ty wdawał się z bałwochwalcami, których dusza i ciało świńskie są. — Ha! coby powiedział ten ślepy staruszek, gdyby się dowiedział,

że potomka Aarona bałwochwalcy za drzwi wyrzucili. Nie uwierzyłyby, lub może pierwaj nimby zaczął myśleć czy wierzyć czy nie wierzyć skonałby z oburzenia. — Więc widzisz, przez jakie ciernie przechodzić musimy do was, do oświaty i te usiłowania nie mają najmniejszej zasługi w oczach waszych; dla was żyd zabłocony, wołający po ulicach: handele, i żyd siedzący z wami na ławkach szkolnych, to jedno — obydwóch zarówno odpychacie, niechcąc nas uważać za ogniwo, o które zaczepić się potrzeba, by spojść łańcuch.

— Wynika to mój kochany Izaaku z pogmatwania i nieporządku, jaki panuje w świecie moralnym; ta rzecz jednak ułożyć się musi, oświata musi ogarnąć rozum i serce, aby była prawdziwa aby przyszło na ziemi królestwo Boże.

— Jaki ty głupi — przerwał żyd niecierpliwie — ty myślisz, że my będziemy czekać, że my możemy i umiemy czekać? — Czekaliśmy ośmnaście wieków napróżno.

— I my.

— Nie łącz nas z wami — to rzecz inna, tu nie ma porównania. Wy czekacie w spokoju, my w błocie, opluci pogardą waszą, odepchnięci od wszystkiego, poniewierani — nasze dni czekania inaczej liczyć się muszą.

— Więc cóż myślicie robić? Rzucić oświatę, naukę i zsunąć się znowu w ciemności talmudu? — O nie! nie! Tylko tej oświaty użyjemy jako broni przeciw wam, jako jeden stopień, który nas podniesie do góry. Przypatrz się, co dzisiaj żydów zapelnia wasze szkoły — czy myślisz, że oni dla tego cierpią wasze obelgi i prześladowania, znoszą wyrzuty swoich krewnych zagorzałych hasydów, pracują, męczą się, by wam potem oddać owoc swej pracy, jak miodowe plastry? — Nie! Ich praca, to walka z wami. Przemyślałem, szacherstwem, lichwą żydzi się wzbogacili, wyciągnęli wam z rąk większą część złota, która w waszych rękach bezużytecznie marniała. Bogactwem przewyższyli was — na tem polu zwyciężyli. Zostaje teraz pole nauki, umiejętności — i na tem polu szukają zwycięstwa i zwyciężą, bo mają wytrwałość, o jakiej wam się nie śniło, bo mając chęć do pracy, jak nienasycone pragnienie, mają rozum. Te parchy pogardzone przez was wszystko to mają — wam tego brak. A wiesz

czemu? — Bo wam tak długo było dobrze, a my przez dziewiętnaście wieków cierpieli, wasze prześladowania hartowały nas i dziś każdy żyd, jak najgiętsza stal nagnie się do wszystkiego, ale podnieść się musi. Z tej stali będzie broń przeciw wam.

— Nie! — rzekł Leon głosem tak poważnym jak głębokie tony organów. Żyd aż się zmięszał i spojrział na mówiącego.

— Nie wierzysz temu co mówię? — spytał.

— Nie mój Izaaku. Jakikolwiek cel gna was do szkół, cel ten zwichnąć się musi, jeżeli nie ma innej w sobie myśli, prócz zemsty i zawiści. Ponad szamotaniem się ludzkiej woli stoi Opatrzność Boża, która kępuje wolę występującą z łożyska przeznaczeń. Miłość zwyciężyć musi — to przeznaczenie ludzkości. Który naród, który człowiek więcej i pierwaj ukocha wszystkich — ten będzie zwycięzcą. Mówisz, że szybkim czerpaniem światła, nauki i umiejętności, gotujecie się do zwycięstwa nad nami, a nie widzisz tego, jak zetknięcie się z tą nauką, z nami, ściiera z was piętno starożytnego ludu, jak zasady nasze, język nasz, obyczaje wciskają się wszędzie w wasze stósunki, zbliżają was do nas. To Ignicie waszę do nas nie wynikło w skutek waszej

woli, chęci — ale w skutek atrakcji do środkowego ciężenia. Tym punktem środkowym Chrystusa nauka. Dziś twarda skorupa ziemi ze wszystkimi brudami swemi zasłania nam ten punkt, ale on działa nie widomie na ludzi i w tym punkcie jest ogień ogromnej miłości, który te cząstki stopi w jedno. — Wy, mimo waszych planów, służycie tej wielkiej myśli, zbliżenie się wasze do oświaty, jest zarazem zbliżeniem się do Chrystusa.

Żyd odskoczył na te słowa, jakby go wąż ukąsił, aż syknął:

— Nieprawda! — Mówisz tak, bo nie znasz naszych ksiąg, które nam proroczą zwycięstwo.

— Izaak! nie w księgi patrz, ale na ludzi, na ich prace.

Izaak był roznamiętniony dysputą, gniewny, przygryzł wargi i poprawiając włosy, szarpał niemi.

— I cóż Izaak! jakżeż, przekonałem cię?

— Nie, nie, nie! Choćby wszyscy moi byli z wami, ja przeciw wam — ja was nie cierpię, nienawidzę, gardzę wami.

Tylko w rozdzieleniu się z wami widzę pewność naszego istnienia, zwycięstwa — o którym mówią nam księgi. —

Inaczej utonęlibyśmy w was z naszą myślą odrodzenia. — Bądź zdrów, drogi nasze rozchodzą się. — Odprowadzę cię do domu — rzekł łagodnie Leon i wzięwszy pod rękę żyda szedł z nim w stronę Kazimierza.

XII. NAD PRZEPAŚCIĄ.

Noc była zimna, ani jasna, ani ciemna, jak dusza człowieka wążąca się między cnotą a występkiem — przez chmury znać było trochę księżycowego światła, jak sumienie przez zbrodnicze myśli. Stare, obdarte kamienice żydowskiego targowiska w białe płachty śniegu odziane odprawiały sabbat razem z mieszkańcami, mroźny wiatr szumiał w zaułkach domów — na ulicach było pusto, nawet stróż nocny gdzieś zasnął z piszczałką swoją — stary ratusz odbił pierwszą. Po chwili chmury popękały na niebie, jak lody na rzece, kry popłynęły i przez szczeliny przegładnęło granatowe niebo z gwiazdami, w końcu z za osrebrzonego obłoku wystąpił błyszczący

księżyc i oświecił facyatę starej synagogi; na długich a wązkich jej oknach zmieszały się dwa światła niebieskawe księżycy i czerwone świateł palących się w bożnicy. Gwar modlitw dochodził z głębi. — Obok synagogi, w cieniu błyszczą światła w jakiejś szynkowni przez zamrażalną, małą szybki. Jakiś cień przesunął się i zasłonił na chwilę światło, potem para buchnęła na dwór — ktoś widać drzwi otworzył i wszedł.

Do szynkowni schodziło się po kilku schodkach jak do lochu na dół — mdły kaganek oświecał jej brudne sklepienie i twarze kilku ludzi siedzących przy stole. Rozzochrana, trędownata kobieta w zabłoconym, watomowanym szlafroku drzemała za szynkfasem. Obok tej izby była ciemna komórka po jednej stronie, a po drugiej alkierzyk, w którym teraz żyd stary kiwał się nad księgą pod świecznikiem z trzema ramionami.

Kiedy skrzyknęły drzwi szynkowni, siedzący obrócili się w tę stronę — człowiek, który wszedł, miał nogi obwinięte szmatami, bez łoskotu więc, cicho jak kot zbliżył się do nich i rzekł: — Pojechał. W domu została tylko jego krewna i stara służąca.

— Więc chodźmy — rzekli drudzy.

— Czekajcie, zagrać się muszę, diabło mi zimno — i poszedł ku szynkfasowi.

— Kostka, daj żytniówki.

Kobieta zerwała się przebudzona nagle i naczyniła okowitę w półkwaterek — przybyły połknął jednym haustem i splunął. W oczach mu się zaświeciło, policzki zarumieniły się — otarł zmarzłe wąsy ze szronu i ochrypłym głosem rzekł:

— Daj drugi.

— I nam — rzekli siedzący przy stole.

— No, pijcie Marcinie! — odezwał się jeden — cóż tak medytujecie — pójdziemy szewrować, już czas.

Człowiek, do którego mówiono, podniósł głowę, światło kaganka prześlizgnęło się po jego zacernionej twarzy, to była znajoma nam już twarz Marcina węglarza. Ci ludzie, którzy siedzą koło niego — to złodzieje.

W jaki sposób dostał się tutaj?

Nędza i występek zepchnięte są w ostatnie męty społeczeństwa, na dno, w błoto. Cóż dziwnego, że w tak blizkiem sąsiedztwie pokumają się z sobą. Wczoraj wieczór węglarz był jeszcze nędzarzem — dziś poszedł krok dalej. — A stało się tak :

Wczoraj zerwał się zrozpaczony i uciekł z domu, by nie widzieć i nie słyszeć swojej nędzy, w którą z każdym dniem grzęznął coraz bardziej jak w błoto. Straszne myśli przewijały mu się po głowie, głód i nędza robią z człowieka zwierzę. Zaciśnął zęby, zaciśnął pięści przeciw tym wszystkim, co nie byli tak nędzni jak on, a nawet przeciw sobie, że jest taki nędzny. Wiedział dobrze, że chwilowe datki nie wygrzebią go z nędzy — jego przyszłość stała przed nim jak czarna noc na cmentarzu. Potrzeba mu było większej zapomogi, aby mógł stanąć na nogach, aby mógł bez drżenia patrzeć w tę przyszłość, a tej zapomogi nie mógł dostać, nie widział sposobu wyjścia z nędzy. Myśl samobójstwa poczęła go kusić, ale odeгнаła ją wspomnienie dzieci i żony. Natomiast przyszedł mu znowu na myśl kanonik. Życie

tęgo księdza wygodne, bez kłopotów i bez pracy, stawało ciągle w głowie węglarza jako straszny kontrast jego położenia, ta nierównowaga szczęścia i pracy drażniła go, rozwściekała.

— On musi, on powinien nam pomóc. Nie puszczą mnie do niego, to się gwałtem dostanę — i musi mnie wysłuchać i poszedł do mieszkania kanonika.

W sieni zastał już kilka dewotek czekających

w pobożnych a skromnych minach na księdza dobrodzieja.

Któż nie zna dewotek? W naszym mieście mnożą się jak chwasty na utorze. Stara kapotka, która kiedyś hrabską może okrywała głowę, pelerynka, torbeczka ściągana na sznurek z nabożnymi książkami, okularami i chustką niezbyt czystą, czarny szlafroczek, nos zatabaczony, czasem czerwony, czasem fioletowy — mina pobożna, pożyczona z któregoś świętego obrazu, słodka mowa dla dobrodziejów. Te wszystkie cechy miały dewotki zgromadzone w sieni księdza dobrodzieja.

Między nimi była i pielgrzymka w bernardyńskim habicie, obładowana świętościami z Rzymu, któremi za wynagrodzeniem obdarzała swoich bliźnich.

Gdy węglarz wszedł między nie z twarzą pocernioną, oczami zdziczałymi od rozpacz i nędzy — wszystkie z religijnym oburzeniem i wstrętem odsunęły się od niego. Nie uważał na to, zdjął czapkę i czekał zapatrzony w ziemię.

— Dewotki mruczały na tego, po którego odzieży domyślały się, że chce rywalizować z nimi o jałmużnę.

Zaturkotał powóz przed bramą — dewotki poruszyły się, ponaciągały twarze do świętych min,

i gdy zasapany kanonik wszedł do sieni, rzuciły się, jak szczenięta do matki, do ucałowania pulchnej rączki szanownego księdza dobrodzieja.

— Jak się macie! — jak się macie — mówił dobrotliwie pasterz, gładząc owieczki po starych kapeluszach i burnusach. Herkulesowa postać węglarza przecisnęła się także przez dewotki do ręki kanonika.

— A czego to? — spytał ksiądz, a dewotki wbiły w Marcina oczy, jak żądła pszczelne w trutnia.

— Wielmożny księżę dobrodzieju, straszna nęda u mnie, proszę o poratowanie.

— Pracować, pracować, jesteś chłop zdrowy i silny.

— Praca moja nie wystarcza, żona i dzieci cho....

Niepotrzebował kończyć, ksiądz kanonik znikł już w przedpokojach, a za nim wtoczyły się dewotki. Węglarza lokaj nie wpuścił do pokoju, kazał mu poczekać i po jakimś czasie wyniósł mu kraj carów.

Węglarz popatrzył na pieniądze i zaklął:

— Bodaj ty doznał tego, co ja — pomyślał. — Ale gdzie tam jemu co będzie. Mój Boże, i on już do samej śmierci nie będzie głodny, nie

będzie się trząsał od zimna, nie spracuje się. A umrze, to mu jeszcze będą kadzić i śpiewać.

Ta myśl, że ktoś może być szczęśliwym i spokojnym aż do śmierci, że może pewnym okiem patrzeć na przyszłe dni swoje, rozwścieklała węglarza. Zacisnął pięści:

— Bodaj go choroba tłukła! — rzekł głośno.

— Tak, tak, tacy to ci panowie bogacze — odezwał się za nim jakiś niemiły, ochrypły głos. Jakiś człowiek w łachmanach, widocznie dziad, stał w kącie sieni. — Tak to na tym świecie, jednemu zanadto dobrze, a drugiemu całe życie bieda. Niema sprawiedliwości na świecie. — Ale jacy wy silni być musicie — wtrącił, patrząc na silne ramiona węglarza.

— I co mi z tej siły? Nikt więcej nie kupi nad kosz węgla, a to lada baba uniesie. Prędzejbym się zdał na zbója, niż węglarza.

— A tak, tak. I niedziwotaby była, gdybyście się do tego posunęli. Kto nie chce dać biednemu po dobroci, to mu trzeba wzięść, bo to ludzka praca — dodał ciszej.

— Ba, wzięść, niby to tak łatwo.

— Gdybyście chcieli, moglibyście więcej zarobić, niż przy węglach — mówił człowiek w łach

manach, a w ospowatej twarzy jego był brzydki wyraz chytrłości i strachu. — Jak?

— Chodźcie ze mną.

Człowiek w łachmanach był jednym z bandy złodziejskiej, rezydującej na Kazimierzu. Szkatuła księdza kanonika oddawna była przedmiotem zabiegów tej bandy. Zabiegi te jednak rozbiły się o czujność służby i siłę zamków. Człowiek ten w tej chwili rozpatrywał położenie mieszkań; wśród tych obserwacji spodobała mu się bardzo postać węglarza, jego siłę możnaby użytkować bardzo korzystnie — jego nędza dawała rękojmią, że nie pogardzi korzystnym rzemiosłem. Wprowadził go więc do złodziejskiej nory, do owego szynczku za bożnicą. Węglarz w pierwszej chwili zadrżał i zawahał się — nie nacierano, zostawiono mu czas do namysłu, wolny wybór. Węglarz chciał uciekać z tego miejsca. Ale gdzie? Do domu, gdzie choroba głód i nędza straszą go, wrócić tam z krajcami, gdy można z pełnym workiem pieniędzy? Został się więc i spytał:

— A dużo mi się dostanie?

— Podzielimy się uczciwie. To się rozumie.

— Tak? — rzekł przeciągle węglarz i zamyślił się. Wszak to nic złego — myślał sobie —

wziąć temu, co ma nadto, a dać temu, co nic nie ma. Kradzież grzech, ale raz jeden, jeden raz tylko dla żony i dzieci.

— Odwrócił się, do złodziei:

— Słuchajcie! ale potem będę mógł iść od was i nie kraść więcej?

— Jak ci się będzie podobać. Będiesz chciał potem charować jak wół — to charuj.

— No — to... zgoda, — wymęczył z siłą te słowa. — Ale jak się dostaniemy?

— Wyłamiemy drzwi — kanonik jutro wyjeżdża, służbie zatka się gębę.

— Więc przyjdę jutro.

— Zostań lepiej, tu dobrze. Ułożymy się jak robić. Zabawimy się w kompanii przyjemnie.

Węglarzowi nie spieszyło się do domu, do nędzy — został więc w złodziejskiej norze i pił. Oblewano nowicyusza i uczono go, jak się ma zachować przy wyprawie. Układano zbrodnię z takim spokojem, jakby szło o czystą sprawę. Sumienie tych ludzi zamarzło, nie trudziło się na perswazyje. Tylko węglarz miał długą naradę ze swoim sumieniem — ono najwymowniejsze w ostatniej chwili przed spełnieniem złego, a najstraszniejsze w pierwszej chwili po wykonaniu. To też nie dziw, że węglarz wsparłszy głowę na

dłoniach, dumął. Porównywał siebie, jakim jest dzisiaj z tym, jakim będzie jutro, i cieszył się i drżał ze wstrętu.

— No, napijmy się na drogę i chodźmy w imię Boskie — rzekł ten, co doniósł o wyjeździe kanonika. — Cicho! słyhać kroki na ulicy — może patrol.

Odgłos kroków przycichnął i znowu odezwał się po chwili. Widocznie ktoś szedł i zatrzymywał się czasami.

— To nie patrol. Ale zawsze lepiej zgasić światło.

Złodzieje zgasili światło migotające nad śpiącą szynkarką i zabierali się do wyjścia.

Właśnie wtedy Izaak i Leon zbliżali się ku tej stronie i ich to kroków odgłos cichość panującą na ulicy. — Rozmowa ich była żywa i w szybkim przelocie dotykała po drodze wszystkich stosunków żydów i chrześcian. Żyd był w dyspacie sofistyczny, gorzki, uszczypliwy, smak Hajnowskich poezyj wykrzywił mu usta do szyderczego śmiechu — Leon był łagodny, serdeczny, poważny. Żyd czuł jak ta serdeczność obejmuje go, tłoczy i zwycięża — chciał się kilka razy wydrzeć z tych siდეł miłości, ale nie mógł. Czuł, że kiedyś ta miłość rozmnożona na miliony dusz

ogarnie tak cały jego naród, jak jego teraz ogarnia, i Izrael wraz z księgami, co mu proroczą wielkość, utonie w morzu tej miłości. Zadrżał na tę myśl, bo on marzył od dziecka o narodzie Izraelskim, o jego politycznym życiu — dla niego kwestya żydowska nie ograniczała się na polu wyłącznie religijnem. — Wprawdzie dawniej, a nawet niezbyt tak dawno, bo kilka dni temu, on myślał i mówił wiele o jedności z chrześcianami, ale jedność tę nie rozumiał wcale jako zlanie się, a raczej poddanie — ale jako związek dwóch narodów z autonomią zupełną i zachowaniem praw swoich. Myśl, że naród jego tyle wieków trwający przepaść może na wieki w tem zlaniu się — przestraszała go. Nie chciał o tem mówić więcej; kilka razy chciał urwać rozmowę i pożegnać Leona, ale ten nie opuszczał go, uczeplił się go, jak dobra myśl w chwilach pokusy i szedł z nim i przekonywał — a potem pytał:

- Izaak, ty nasz?
- Nigdy, nigdy — odpowiadał żyd pospiesznie.
- Za winy jednego lub kilku mająż cierpieć wszyscy?
- Najprzód ucierpią ci właśnie, co zawinili. Ale nie mówmy o tem. Tobie zimno, ubrany

jesteś dość lekko. Chodź do mnie, zagrzejesz się, mieszkam niedaleko. Ot tam w kąciuku, w tym szynku, w którym widać światło.

— Zgasło właśnie.

Kilku ludzi wyszło ze szynku i chyłkiem przesunęło się ku miastu.

— Co to za ludzie Izaak?

— To... to złodzieje — odrzekł żyd, zmieszany nieco zapytaniem.

— I ci ludzie u was mają schronienie, pomoc, jednym słowem zachęte? Powiedz sam Izaak, czy to nie usprawiedliwia po trochu naszego postępowania ?

— Pogardzą starliście nam tak wstyd z czoła, że dziś żyda nie hańbi dotknąć się wyrzutków społeczeństwa, zbrodniarzy. W synagodze gwar modlących się wzmógł.

— Jakże piękny wasz lud, nakryty płachtami, śpiewający psalmy, a jak inny od tego, co zaszargany lata za zyskiem. Dziwne to życie wasze, wytarty pieniądz: na jednej stronie jest twarz Jehowy i słowa modlitwy, a na drugiej fałszywe wagi i reguły szachrajstwa.

Gdy to mówił Leon, postąpił bliżej ku murom i na wązkim przesmyku, przez który przechodziło księżycowe światło, zszedł się z jednym

z ludzi, idących w pewnych odstępach od siebie. Obydwaj spojrzawszy poznali się.

— Marcin!

— To panicz — zawołał węglarz i chwyciwszy z radością rękę Leona całował ją z takim zapałem, jak człowiek, co w dalekiej i nieznannej ziemi swego dobroczyńcę i ziomka znajdzie. Rzeczywiście węglarz wchodził w nieznaną ziemię wystętku, zjawienie się Leona było mu jak krzyż przy drodze w północnej godzinie duchów, chwytając tę rękę zdawało mu się że trzyma całą przeszłość swoją nędzną, ale nieskalaną.

— Marcinie, gdzie ty idziesz? — pytał Leon patrząc mu głęboko w oczy.

Węglarz nie mógł bezczelnie wytrzymać tego wzroku; spuścił oczy i otarł pot z czoła. Tak pracował nad odpowiedzią i nie śmiał jej wydusić z siebie.

— Twoja żona rozpacza, nie wie gdzieś się podział.

— Wróć jutro do nich i nie z próżnemi rękami.

— Marcinie! Marcinie!

— Co paniczu? — spytał węglarz nie śmiejąc podnieść oczów.

— Dziś ja ściskam twoją czarną, spracowaną dłoń, a jutro może już nie będę mógł uczynić tego. —

Węglarz chwilę milczał — potem głośny serdeczny płacz zatrzęsł nim.

— Paniczu, to z biedy.

— I myślisz, że zbrodnią wygnasz nędzę z domu? Nie, ty ją tylko uczynisz straszniejszą. Czy myślisz, że skradziony pieniądz przyniesie ci błogosławieństwo i pociechę? Pan Bóg sprawiedliwy.

Z za rogu ulicy odezwał się gwizd, podobny do głosu puszczyka w ruinach.

— To sygnał złodziejski — wołają mnie, ale nie pójdę. Pan Bóg was zesłał paniczu na mój ratunek. Gdyby nie wy, jabym jutro obudził się zbrodniarzem.

— Jesteś nim jeszcze po trochu. Wiesz o kradzieży mającej się dokonać, winienes o tem uprzedzić tych, których to nieszczęście ma spotkać. Nie ustawaj w połowie drogi — czyn dobry doprowadź do końca.

— A jabym był o tem nie pomyślał — prawda — pójdę. Ale potem?

— Użyjemy wszystkich możebnych sposobów, aby twoją rodzinę ratować.

— A gdy się nie uda, to co wtedy zostanie? — spytał smutnie węglarz.

— Bóg.

Gwizd się powtórzył — węglarz pobiegł, ale w inną uliczkę, z kądem spiesznym krokiem dążył do mieszkania kanonika, aby uprzedzić o zamysłach złodziejskich.

Leon wrócił do Izaaka i weszli razem do szynkowni. Leon potrzebował tego, bo był zziębnięty i zeszywniały od zimna.

— Siadaj tu — odezwał się Izaak, prowadząc go za sobą po schodkach na dół do izby szynkowej — zaraz znajdę zapalki i zapalę świecę.

Leon usiadł — zaduch i odor, jakim pachną łachmany, zmieszany z niemiłym zapachem wódki i wilgoci, napelniał izbę — chrapanie śpiącej szynkarki i mruczenie modlących się żydów w alkierzyku słycać było.

— Patrz, byłbym przestąpił przykazanie, nam dziś nie wolno robić światła.

— Izaaku, Izaaku, dziwaczajesz.

— Nie, staję się żydem zupełnym — zachowuję święto. My do posług używamy chrześcian. Ty słuchaj — wołał na śpiącą — zapal świecę.

— Drwisz?

— Nu, co ja winien, że chrześcianina łatwo

skusi pieniędzmi do żydowskiej posługi. Mówicie : żyd chciwy — dajcie mu złote góry, niech wam w swoje święto obsługuje. No widzisz. Rząd i księża jakiś czas zakazywali służby po żydach — to znaczyło tyle, że powiększyli zapłatę tym, co nam posługiwali, bo się bardziej drożyli. I ja miałem mamkę chrześciankę, od której wyuczyłem się waszej mowy. Opowiadano mi, że kiedy matka moja leżała po położu w ciężkiej niemocy, wpadła straż policyjna i porwała mamkę i matkę chorą wyciągnąć z łóżka chciała przed komisarza. A matka była strasznie chora, a ja wąty lada chwila mogłem skończyć bez mamki, bo matka karmić nie mogła. No i cóż się stało? Wziął ojciec trochę pieniędzy i poszedł — a za godzinę mamka wróciła. I dziwże się tu, że żyd pragnie jak najwięcej pieniędzy. — No, ty szynkarka, czemu nie świecisz?

Szynkarka znowu się poruszyła na stołku. Tym razem żyd nie dał jej zasnąć powtórnie. Namacała zapalki i potarła o ścianę.

W tej chwili Leon wydał krzyk okropny.

Izaak obrócił się i zląkł się. Twarz Leona wyrażała przestrich, oczy, jak drżące światło świeczki, latały po ścianach szynkowni, to znów nieruchome stawały słupem.

— Co ci jest Leonie?

Z alkierzyka żydówka wychyliła żółtą twarz, zdziwiona krzykiem wśród nocy. Leon utkwiał w nią oczy — poznał: to była żydówka, którą widział w wagonie jadąc do Krakowa. Chwycił się za czoło, jakby tam pamięcią łapał jakieś wspomnienie.

— Ona — szepnął cichym, ledwie dosłyszonym głosem.

Żydówka niewidząc nic nadzwyczajnego w szynkowni wsunęła się napowrót do alkierza.

— Izaak, kto jest ta żydówka?

— To moja matka.

— Matka — mówił ciągle jakby we śnie' nieprzytomny Leon i wpatrzył się w młodego żyda bystro, głęboko.

— Tu — rzekł pokazując na ciemną kómkę — jest mieszkanie? prawda?

— Tak.

— W podłodze otwór do piwnicy, przysypany ziemią ?

— Zkąd wiesz o tem?

— Okno okratowane, ale pręty krat łatwo

wyjąć można i uciec.

— Ty znasz tę kómkę?

— Więc to tutaj — wyszepnął boleśnie Leon i zmęczony upadł raczej niż siadł na stołku. Długi czas siedział jak przybity do miejsca, sztywne oczy wbił w podłogę. Próżno Izaak zagadywał go kilka razy — nie słyszał. Straszno coś musiało się dziać w piersiach i w głowie Leona — twarz jego zwykle taka spokojna i poważna, teraz pokurczyła się boleśnie, wargi nagle poczerniały od gorączki, wszystkie pulsa tentniły w nim głośno. Burza wielka musiała być w nim, bo nic nie słyszał, nie widział naokoło. Tak było czas jakiś, potem opamiętał się, smutna rezygnacja otoczyła mu czoło. Westchnął głęboko, wstał już spokojniejszy — przesunął oczami jeszcze raz powoli po ścianach i kątach szynkowni — potem spytał zmuszając się do zapytania :

— Izaaku! czy tu mieszka jeszcze Żelazny ze swoją żoną?

— To ty znasz tego złodzieja?

Leon pobladł i zadrżał, rysy twarzy jego konwulsyjnie drgnęły.

— Żelazny siedzi w fortecy, skazany na lat. Już sobie rady z nim dać nie mogli, ostatnie jego aresztowanie było jedynaste z kolei. A szkoda

go — od niego moi rodzice wiele kupowali i targowali.

— A żona jego?

— Gdzieś na włóczęgę poszła. Ale czemuś ty taki blady?

— Duszno mi tu czegoś, gorąco. Wyjdę na świeże powietrze. Bądź zdrow Izaaku.

I śpiesznie wyszedł na dwór, zostawiając żyda zdziwionego, tonącego w domysłach.

Jeszcze kilka słów o węglarzu w tym rozdziale.

Podług rady Leona udał się na ulicę Kanonną, by uprzedzić o wyprawie złodziejskiej. Długo stał pod kamienicą i trząsał silnie dzwonkiem. Nikt się nie odezwał, nikt nie wyjrzał — może spali mocno, może ostrożność zalecana przez księdza kanonika i poparta cytatami z pisma świętego nie dozwalała domu otwierać. Węglarz się niecierpliwił, bał się nadejścia złodziei, coraz więcej silniej targał za dzwonek aż urwał. Wtem na ulicy dały się słyszeć kroki.

— Wszystko przepadło, — pomyślał węglarz i chciał, zakryty cieniem kamienic, usunąć się z przed oczów zbliżających się.

— Stój!

— To patrol — mruknął węglarz, chwała Bogu.

Żołnierze zbliżyli się i z podejrzliwością poczęli zaglądać w oczy zasmolonemu człowiekowi.

— Co wy za jeden?

— Ja panie węglarz — mieszkam w uliczce św. Floryana.

— A coś tu robił?

— Chciałem przestrzedz tych co tu mieszkają, że tej nocy złodzieje chcą się włamać tutaj.

Żołnierze spojrzeli po sobie, potem na węglarza z niedowierzaniem i znowu na siebie, jakby się naradzali. Węglarz temi niezrozumiałymi spojrzeciami zmięszał się. Biedak równie z drzeniem widzi policyanta jak złodziej.

— A z kądem wiesz o złodziejach? — spytał policyant.

Węglarz nie wiedział co odpowiedzieć, język począł mu się plątać — niezrozumiałe słowa wyrzucił przez pobladłe wargi.

— A, widzisz bratku, jak się złapałeś. Chciałeś nas oszukać. Chodź z nami.

— Panowie! ja niewinny — zaryczał silnie węglarz. Kryminał, żona, dzieci, nędza, złodzieje, słowa Leona — wszystko to w jednej chwili zakołowało w jego głowie, przeraziło, pomięszało, rozwściekliło.

On ma być więziony za dobry uczynek a zło

dzieje ujdą bezkarnie — a żona, a dzieci — Bóg wie co się z niemi stanie. Gdzie tu sprawiedliwość? Rozpacz ogarniała go — rzucił się do nóg żołnierzy i wołał:

— Panowie! na Chrystusa ukrzyżowanego — ja niewinny.

— To się pokaże — chodź, chodź!

I wlekli za sobą po bruku szamoczącego się i o litość wołającego węglarza.

XIII. PRZESZŁOŚĆ LEONA.

Zadziwiło zapewne czytelnika w poprzednim rozdziale przerażenie Leona w chwili, gdy łożowa świeczka oświeciła brudne i obdarte ściany szynkowni; niejednen mógł spytać: jaki związek mogła mieć ta nora i złodziejska kryjówka z życiem naszego bohatera? Mógłbym ciekawość tę wyteżyć i rozdrażnić, zachowując sobie wytłomaczenie. na koniec powieści, ale nie ubiegam się za tajemniczością i nie w ten urok chciałem odziać mego bohatera. Tylko mali ludzie i małe lub złe

czyny lubią się odziewać w romantyczno płaszcze tajemnic i sztukować się ich cieniami, prawdziwa wielkość odrzuca maskę i śmiało stawa na widoku. Dla zrozumienia więc niektórych niejasnych chwil trzeba nam poznać przeszłość Leona, jego dziecinne lata — wrócimy się więc o lat kilkanaście wstecz.

Rzecz dzieje się w tej samej szynkowni, w brudnych zaułkach za starą synagogą. Nie wiem, czyś był kiedy czytelniku w takich zaułkach, w których brud i błoto są symbolem nędzy i podłości. W nocy takie miejsca wyglądają przerażająco, w dzień obrzydliwie; oświecone słońcem te ścieki moralnych nieczystości czynią wrażenie obrzydliwego gadu i robactwa rozłazącego się po atlasowej poduszce, boisz się dotknąć tego plugastwa, by cię nie oblażyło.

Mieszkańcy, goście i miejscowość harmoniują ze sobą, nie wstydzą się za siebie. Wśród ciasnej uliczki obdarte domy, zaszargane żydostwo; przed małymi szynkami jakieś figury podejrzane, dygoczące od zimna w resztkach letniego ubrania, z twarzą nabrzmiałą i podsinią, patrzące niepewnie koło siebie; kobiety niby młode a z piętnem starości na czole, lichy odziane, bezczelne, wytarte — jakieś żebractwo w łachmanach zataczające się, o trędownych

twarzach i cynicznych spojrzeniach i ruchach — wszystko to roi się, mięsza w wspólnej kałuży. W sabat i święta część tej mieszaniny ubywa, chowa się po synagogach i domach, zmienia strój, przypomina sobie, że ma duszę, że ją czeka grób, przyszłość, nieśmiertelność — ta część to żydostwo; druga część: złodzieje, włóczęgi, pijaki, których tu nazywają jedną nazwą: „Chrześcian,” nie ma takiej chwili oczyszczenia, ona wciąż jednak, jak gnijące bagnisko, które nigdy nie wyschnie, nie pokaże dna słońcu. — Okropnie jest pomyśleć, że są ludzie, którzy nie znają wygodniejszego mieszkania od ławy szynkowej, którzy nie znają ciepłego ubrania, czystej bielizny, świeżego powietrza, których czucia, chęci, myśli zezwierzęcały. A jednak tak jest.

Wam, którzy po czystych ulicach przechodzicie z domu do domu, takie obrazy wydadzą się wyjątkiem z jakich francuzkich powieści, nie naturalnie przyczepionych do naszego miasta — a przecież tak mała przestrzeń dzieli was od tych obrazów, że dość zboczyć z codziennych dróg, by je zobaczyć. I nasze miasto ma takie wrzodowate narośla, zgangrenowane miejsca, a choć zakryte w zakątkach, przecież niepodobna, by ich szkodliwego wpływu nie czuć było w organizmie.

W takie miejsca wprowadzę czytelników, pokażę odwrotną, kosmatą stronę tej szaty, której wy gładką znacie. Było to w lipcowy, gorący dzień nad wieczorem. Złote promienie zachodzącego słońca zaglądały w ciemny i brudny zaułek za synagogą i odbijały się na zanieczyszczonych szybach znanej nam szynkowni. I przed kilkunastu latami ta szynkownia wyglądała równie staro, obdarto, — zdaje się, że nigdy nie była młodą, nową. Nad drzwiami odpadł tynk i odkrył wytarte cegły, wyszczerbione kamienie, czarne szczeliny. W jedną taką szczelinę wbito kawałek żerdki, na której kołysała się uschnięta wiecha. Po zabłoconych i wydeptanych schodkach wchodziło się do izby ciemnej, nieczystej i smrodliwej; okopcone sklepienie nadawało jej postać piwnicy. Światło padające przez małe szybki od drzwi, dozwala nam zobaczyć szynkfás, kiedyś na zielono malowany, z kilkoma flaszkami wódki i kieliszkami odwróconymi do góry denkami na blaszanej podstawie. Na patyku przyczepionym do szynkfásu kilka obwarzanków, na brudnym talerzu kilka jaj i kawałki śledzia, którego zapach dominował nad innymi wyziewami. — Po drugiej stronie pod ścianą stał długi stół z dwoma ławami. Jakiś

wyrobnik spał na ławie, obok niego drugi krajał chleb kozikiem i kąsał kawałek śledzia — a oczy nieruchomo, głupkowato utkwił we drzwi. Tak wyglądają odzuwające bydłeta na pastwiskach.

Za szynkfasem siedziała rozczochrana i nieschludna żydówka, młoda jeszcze ale schorowana, wyschła, wymokła, zwiędła — u piersi trzymała dziecko, podobno dziewczynkę, i także zapatrzyła się w szyby, ale inaczej jak ów jedzący wyrobnik — przez szkło ócz przeglądały myśli. A myśli musiały być równie nieczyste, jak drzwiczki szynkfasu, zapisane koszlawemi hebrajskimi znakami, jak jej ubiór, jak cała ta nora — znać je było na twarzy jak chorobliwe plamy. Szachrajstwo, przebiegłość, chciwość zysku i brzydki lęk, jaki wlecze się u nóg złego sumienia, wszystko to można było wyczytać na niej. Wyraz na twarzy żydówki utworzony z tych znaków, czynił ją szpetną. Nie było w niej znać matki karmiącej dziecie, kobiety młodej — była tylko żydówka, co z łachmanów żebraka, włóczęgi i złodzieja umie wyssać zysk dla siebie, żyć sokami ludzi gnijących.

Takiem jest całe jej pokolenie — straszne jest mrowisko jego tajemnic, one tłomczą nam po części ową zacieklą nienawiść ludu naszego, lubo

Jej nie usprawiedliwiają zupełnie. Jest w człowieku dziwna pasya pastwienia się nad szkodliwym robakiem — ale to nieszlachetna zacieklność; dość jest uczynić go nieszkodliwym.

Żydówka siedząc tak zamyślona, czegoś oczekiwała i nasłuchiwała. Z poblizkiej komórki dochodziły ciche szepty, przeplatane czasem głośniejszym, ochrypłym głosem; — te szepty chwytała uchem żydówka i chciała z nich złożyć sobie jakąś nowinę. Po chwili z komórki wyszedł żyd wysoki, chudy i żółty — teraz wargi miał trochę zbielełe, w ruchliwych oczach była brzydka radość. Żydówka zajrzała mu w te oczy pytająco, — żyd skinął głową i zbliżywszy się do niej szepnął:

— Pójdą — dziś! —

Wziął wódkę ze szafki drżącymi rękami i wrócił znowu do komórki.

W komórcie tej był już zmrok — małe, okratowane okienko, słabe rzucało światło na siedzących. Przy okienku na murku siedziała jakaś kobieta, niby żebraczka, niby ulicznica, włóczęga w rozdartej koszuli, przez którą przeglądało jej opalone ciało; naprawiała jakieś męzkie ubranie, kładąc łatkę na tysiące innych łatek, rozlatujących.

się. Szyjąc nucila coś przez zęby, czasem urywała i słuchała rozmowy.

Na ziemi z fajką w ustach siedział mężczyzna także w łachmanach, łokciem wsparł się na jakimś pniaku od rąbania drzewa i głęboko nad czemś medytował, coś układał. Dwaj inni ludzie siedzący przy nim, czekali widać na rezultat jego namysłu. Medytujący człowiek był jednym z bandy złodziejskiej, mających kryjówkę w tych okolicach Kazimierza — mieszkał w tej komórcie wraz z żoną i dzieckiem u żyda, z którym miał interesa, to jest, któremu dawał w przechówek kradzione rzeczy lub mu je sprzedawał. Był on najsprytniejszym złodziejem w całej bandzie — jego towarzysze mieli szacunek dla tego talentu i zazdrościli mu — żyd Daniel, u którego on miał przytulisko, bogacił się przemysłem lokatora — a lokator wiecznie był w nędzy, wiecznie zadłużony wisiał na szynkfasowych drzwiczkach. Kradziony pieniądź nigdy nie zrobi złodzieja bogatym ani porządnym — to rzecz dowiedziona. Przekleństwo, co

przysycha do tych pieniędzy, robi je szkodliwymi, ludzka krzywda mnoży nędzę złodzieja. Lokator Daniela nie pamiętał czasu, w którymby nie był nędznym — nie pamiętał czasu, w którym nie był złodziejem. Dziś rozmyśla

nad nową wyprawą, do której go Daniel namówił. — Układa ją — dwaj inni czekają na plan skończony, gotowi do wykonania. — Przypatrzmy się temu człowiekowi.

Twarz jego, mimo tego, że była płaska i ospowata, nie miała w sobie nic strasznego ani odrażającego, owszem, wyraz jej był na pierwszy rzut oka pobożny i pokorny. Dopiero bliższe, uważniejsze przypatrzenie się przekonywało, że to tylko dziwny skład kości policzkowych nadawał twarzy ten wyraz stereotypowy, niby maskę nieruchomą na myśli, za to w oczach malowała się cała szkarada duszy. Te oczy mieniły się biorąc na siebie różne odcienia humoru i usposobienia, to się rozszerzały w cyniczny, obrzydliwy uśmiech, to się iskrzyły przebiegłością i sprytem. — Nad oczami podnosiło się wypukłe czoło, koło którego sterczały włosy jasne, nierówno strzyżone. Z dołków dziubów wychodzące włosy tworzyły rzadki zarost. — Dla ciemnosinego kolorytu jego twarzy i dla niezmordowanej wytrwałości, zwano go w złodziejskiej gromadzie Żelaznym.

— Żelazny, no i cóż? — spytał niecierpliwie jeden z siedzących przy nim — u kroć djabłów cóż wam dziś tak tępo idzie?

— Czekaj — rzekł ochryplym głosem Żelazny i splunawszy wstał wyciągając rękę do Daniela, który wracał do komory z wódką.

— No, — spytał żyd ciekawie — a dużo was pójdzie?

— Nie potrzeba wielu — dwóch wystarczy. Żyd i złodzieje spojrzeli na mówiącego z niedowierzaniem.

— Ale Żelazny pomiarkujcie tylko — drzwi okute, zaparte od środka, na to trzeba siły.

— Milczcie do stu djabłów! — powiedziałem dwóch i kwita. Kaśka, gdzie chłopak? — spytał kobiety.

— A djabli go wiedzą, gdzie się włóczy. Niedawno byli pod oknem z Ickiem — może pognali ku cmentarzowi.

Żelazny wychylił półkwaterek wódki, splunął i wyszedł z izby na pole, ku żydowskiemu cmentarzowi.

Pomimo zieloności, pomimo zboża kołyszącego się i wierzb stojących nad wodą, miejsce to ma w sobie coś zgniłego i nieczystego. Sąsiedztwo brudów i nieczystości zakaziło to miejsce. Woda stojąca, błotnista i zgniła w ciepły wieczór cuchnęła jak gorączka z ust chorego — stary cmen

tarz żydowski — w dali dom kata, robiły tę ustroń smutną i niemiłą.

Na cmentarzu stoją grobowce, niby żydzi w śmiertelnych koszulach, gęsto jeden obok drugiego, z wytartymi już napisami, niektóre rozwalone nurzają się w trawie. Nad tą mnogością sterczących kamieni, kilka drzew się kołysze i ruszające się po kamieniach cienie, trwożą siadających ptaków. — Na tym cmentarzu, obok świeżo wykopanego grobu, w gęstej trawie bawiło się dwoje dzieci, dwóch chłopców. Jeden z nich był twarzy lilijowobiałej, która dziwnie odbijała od czarnych, kędzierzawych włosów; drugiego twarz smagłąwą rozjaśniały duże niebieskie oczy. — Chłopcy robili łańcuch z łądzynek żabichoczek. A Vnet ich ta zabawka znudziła, nie dokończyli i potargali.

— Nu ty, bawmy się w co innego — zagadał żydziak mały.

— A w co ?

— W co? — spytał namyślając się i rozglądał się po cmentarzu — zatrzymał się oczami na wykopanym grobie — no, w grabarzy.

— Jaktó?

— Wleziesz w grób a ja cię zagrzebię.

W oczach żydziaka była uciecha z tej myśli.

Nienawiść pokoleń bezwiednie wypisała się na jego twarzy.

Chłopiec spojrział w grób z przestachem.

— Nie, nie chcę — odrzekł — ty się połóż.

— Ty musisz.

— A to czemu?

— Bo twój ojciec u mojego służy.

— Nieprawda — twój ojciec z mojego żyje. Poczęła się kłótnia, którą zakończył żydziak słowami:

— No, dobrze — ja się położę, ale co mi dasz za to?

Chłopiec z jasnymi oczami poskrobał się w głowę i zafrasował.

— Ja nic nie mam ci dać.

— A widzisz. A ja ci dam obwarzanka.

Ta obietnica skłoniła chłopca. Położył się na wilgotnej glinie spokojnie, niebieskimi oczkami rozpatrywał się po czystym, błękitnym niebie, a żydek patykami przegarnywał na niego ziemię. Na wieżycy kościoła Bożego Ciała odezwał się dzwonek na Anioł Pański.

— Ale mnie potem odgrzebiesz Izaaku, prawda? — pytało chrześcijańskie dziecko, mając oczy ciągle utkwione w niebo i jakąś smętność w twarzy.

Żydziak nic nie odpowiedział — z zajęciem i ochotą pracował nad pogrzebem. Ziemia już ugniatała piersi młodego, że z trudnością mógł oddychać — prawą ręką już nie mógł władać.

W tej chwili, na wyłomie cmentarnego muru pokazała się sina twarz Żelaznego.

— Chłopak! — zachrypał głos.

Żydziak zadrzał z przelęknienia i obrócił się ku murowi. Przygrzebany chciał się ruszyć, obrócić głową, ale nie mógł — glina już mu po szyję; sięgała. Wysokość trawy zasłaniała ich. Żelazny niewidząc syna zabierał się do odejścia — odchodząc, krzyknął jeszcze raz zły:

— Gdzie się ten bęben zapodział? Chłopak! Żydek zerwał się i uciekł. Szelest poruszonych krzaków zwrócił uwagę złodzieja, zbliżył się do grobu.

— A to co u sto djabłów, — co ty szelmo wyrabiasz, kto cię tak zasypał?

Chłopiec nie mógł już odpowiedzieć — twarzyczkę miał bladą, oddech krótki.

Żelazny rozkopał ziemię i dobył z niej chłopca wpół nieżywego. Ocucił go groźbą i przekleństwem, wyniósł z cmentarza i posadził na wyłomie muru.

— Gadasz, kto ci to zrobił, bo ci łeb rozwałę.

— Izaak — szepnął drżący chłopiec.

— A to szelma parch — nauczę ja go.

— Obiecał obwarzanek.

— Dam ja mu obwarzanek i tobie urwisie — i trząś chłopcem i targał go za włosy.

— Mnie się jeść chciało.

Złodziej zmarszczył się i przestał go bić.

— Jeść? Będziesz miał co jeść, ale sobie zapracujesz, tak jak przedwczoraj, rozumiesz? — Słuchaj mnie uważnie.

I począł chłopcu coś tłumaczyć.

Izaak skryty za grobowiec patrzył na to — w twarzy jego było trochę śmiechu i trochę strachu. Patrzył i widział jak Żelazny gładząc syna po włosach coś mu mówił długo, a młody chłopiec patrzył mu w oczy i słuchał uważnie i posłusznie, jak pies pana, który go do sztuczek układa.

Tego samego dnia, późnym wieczorem w. dom księcia Ireneusza, w chwili, gdy już ostatnie pojazdy odjechały z gośćmi, wsunęło się cicho do sieni jakieś dziecko, otulone w łachmany i wcisnąwszy się w kąt przycupnęło. Odźwierny za

mykający bramę nie spostrzegł tego wcale i spokojnie wracał do siebie dzwoniąc kluczami, gdy przypadkiem żona jego wychodząc w tej chwili z izby otworzyła drzwi tak szeroko, że światło padając na przeciwległą ścianę, oświetliło coś czarnego w kącie. Kobieta się złękła.

— Chryste Jezu, Walenty, patrzajno, co to tam? — i wskazała ręką.

Walenty spojrział.

— A cóżby ? kupa śmieci, którą stróżowi widać wymieść się nie chciało. Pokaże się jutro rządzczy.
— Walenty, popatrzno, bo mi się zdaje, że ta kupa się rusza.
— Może myszy się pod nią wsunęły — rzekł odźwierny, ale dla uspokojenia żony zbliżył się i kopnął nogą. Mmniemana kupa śmieci stęknęła.
— Co to? kto tu? — dajno świecę żono! Walentowa wyniosła świecę i przybliżyła ją do kąta, oświecając blade i dygoczące od zimna czy od strachu małe dziecko. To dziecko miała twarz smagłąwą i piękne niebieskie oczy — znamy już to dziecko.
— Co tu robisz? — spytał odźwierny surowo.
Dziecko kłapiąc zębami, wsunęło głowę w łań

many i patrzyło na ludzi prosząco, litościwie temi pięknymi oczami.

— Nie mam noclegu — wybełkotało. — A cóż to nie masz rodziców? — spytała Walentowa.

— Nie mam.

— Ani ojca, ani matki? co?

— Ani ojca, ani matki.

— Biedne dziecko — mruknęła litościwa kobiecina — a gdzież ty mieszkasz?

— Nigdzie.

Dziecko jak wiemy kłamało, ale kłamiąc patrzyło ludziom w oczy tak śmiało, bez zakłopotania, że niepodobna było nie wierzyć. To dziecko nie znało co to rumienić się za kłamstwo. Nikt mu nie powiedział, że to złe.

Odźwierny mimo tego otworzył już bramę i chwytając w garść łańchmany dziecka, chciał je z niem razem wynieść na ulicę. Dziecko skuliło się jak pies i nie opierało się, ale Walentowa wzięła żal.

— Daj pokój stary — i gdzież to dziecko, po nocy się podzieje. Noc dość zimna — deszcz się puścił duży.

— A mnie co do tego. Nadejdzie patrol, to

je zabierze do magistratu — tam już będą wiedzieć, co z niem zrobić.

— A jak nie nadejdzie? — To doczeka rana — czy mu to pierwsze tak noc przespać?

— Ej stary, zostawmy je na noc — pewnie głodne.

— Jeszcze czego, żeby w moim domu była gospoda dla włóczęgów.

Chłopiec wśród tej rozmowy małżonków skulony pod ręką odźwiernego, rzucił oczami to na jedno, to na drugie, a w oczach tych wtedy widać było spryt nad wiek, spryt, który był może więcej instynktowy, zwierzęcy, ale niemniej nienaturalny w sześcioletnim dziecku. Małżonkowie chwilę jeszcze się spierali, wreszcie żona przemogła i odźwierny zatrasnął bramę.

— Wy baby zawsze macie jakieś zachcianki, — rzekł ustępując. Bierz was licho, rób co chcesz, byleby z tego potem kłopotu nie było.

Walentowa wniosła dziecko do izby, posadziła pod piecem, nakarmiła, obmyła z brudu. Niemając własnych dzieci z nieopisaną radością patrzyła na znajcę.

— Stary, patrzajno jakie to ładne dziecko.

Gdybym wiedziała, że to sierotka — tobym to i chowała u siebie.

— Nie pleć głupia, chodź spać a to, bo już późno.

Babina ułożyła dziecko, przykryła i sama udała się na spoczynek.

Nim zgasiła świecę, chłopiec z pod nakrycia ciekawie rzucał oczami po izbie a szczególnie ku drzwiom. Spojrzenia były przebiegłe, kocie, ruchliwe.....

Walentowa zgasiła świece, — przez okratowane okno, wychodzące na ulicę, słabe światło rzucała odległa latarnia.

Chłopiec wyteżył wzrok w to okno, jakiś cień przesunął się między latarnią i oknem, chłopiec się podniósł i rozpatrując się w ciemnościach izdebki nasłuchiwał pilnie. Niedługo małżonkowie głośnie chrapaniem dali świadectwo o swoim śnie głębokim i czystym sumieniu.

Chłopiec zsunął się cicho z ławy, zrzucił okrycie na ziemię, potem podlaźł pod ławę i podnosząc ją w górę na grzbiecie z dość wielkim natężeniem, okręcał jej nogi w szmaty, które miał za koszulę. Skończywszy tę operację, znowu przycichnął, rzucił w ciemności oczami w stronę śpiących i nasłuchiwał. Nie był to już ów spokojny chłopczyzna na cmentarzu żydowskim,

rozpatrujący się niebieskimi oczami po błękitach — napół w grobie przysypany, tragiczna, smętna dziecina, zabłocona nędzą, jak kwiatek nurzający się w kałuży — to było teraz jakieś zwierzątko chytre a złośliwe, skradające się do zdobyczy, czysty wychowanek bandy złodziejskiej, przyszły zbrodniarz.

Słyszac spokojny, równy oddech śpiących gospodarzy, przysiadł znowu na ziemi, objął drobnymi rączkami nogę od ławki i ciągnął ją ku drzwiom. — Róg ławki uderzył o drzwi — chłopiec wzdrygnął się — przysiadł i czekał — pewny że ten stuk obudził gospodarzy. — Ale nie. Wylaźł więc na ławkę, sięgnął po klucze od bramy, wiszące na kołku — nie mógł dostać. Pomyślał chwilę — wrócił znowu pod piec, zwinął w kilkoro okrycie, które mu dała odżwierna, zaniósł na ławkę, stanął na tem i lekko zdjął klucze. Potem wyjął z pomiędzy łachmanów jakąś flaszeczką i narzędzie, przysunął się z tym do zamku i zawias. Po niedługiej chwili drzwi bez skrzypienia puściły. Odwrócił się wtedy ku oknu ucieszony — światło latarni oświeciło mu twarz — była odrażającą ta twarz małego złodzieja, drobne jej rysy ściągnęły się kurczowo i zeszytywniały z ostrożności i strachu, ząbkami

przygryzł dolną wargę i dech zapierał w sobie. Straszny był kontrast małego zbrodniarza, pracującego i ruszającego się w ciemności, obok cichego spoczynku ludzi starych, pocziwych.

Po chwili chłopiec wysunął się do sieni ku bramie. Z kocią zręcznością wspiął się po listwach i sztabach do drąga, zapierającego drzwi pod kątem, podważył go i wyjąwszy z zasuw spuścił lekko na ścianę — a potem uczepiwszy się zamku, począł go także napuszczać tłuściością z flaszeczki. Pod bramą na kamiennym chodniku coś się ruszyło, malec zajrzał dziurką od klucza i zobaczył cień ojca, czekającego i oglądającego się uważnie na wszystkie strony — włożył cicho klucz do zaniku. Stary pochwycił uchem ten szmer i zbliżył się pod bramę.

— Chłopak! — szepnął cicho, ale z naciskiem — czy już? ...

— Jaż — ale ...

— Ale co?

— Nie mogę otworzyć.

Malec męczył się nad przekręceniem w zaniku dużego klucza — ale nie mógł podolać.

— Włóż witych w ucho od klucza i zakręć — odezwał się ten sam chrapliwy głos i równocześnie za bramą dał się słyszeć szept dwóch innych.

— No i cóż?

— Nie mogę.

— Bodaj cię choroba tłukła — mruknął niecierpliwie Żelazny.

— Wnet będzie świtać — szepnął drugi złodziej.

— Trzeba wybić okno od sieni — podasz mi klucz przez kratę.

Mały złodziej spuścił się na ziemię i chciał iść ku okna, gdy w tej chwili przez uchylone drzwi mieszkania odźwiernego błysnęło światło.

Jak wiemy, noc była trochę chłodna i wilgotna — zimno przez otwarte drzwi zawiało na rozgrzaną snem twarz odźwiernego. To go zbudziło.

— Któż drzwi otworzył? — spytał napół śpiący, a niesłyszając odpowiedzi od nikogo i tknięty jakimś przecuciem, wstał i zaświecił. — Zdziwił go nieporządek w izbie, — ława pod drzwiami. Wczorajsze podejrzenie obudziło się w nim na nowo. Rozglądał się po izbie w około — wólcęgi nie było. Niespokojny zbudził żonę.

— Cóż się stało? — spytała przerażona kobieta.

— Nic, nic, bądź cicho, odziej się i chodź za mną — rzekł, usiłując ukryć pomieszanie.

Oboje wyszli ku bramie — klucz sterczał w zamku, osmarowanym tłuszczem, mały złodziej skulił się w kącie i drżał ze strachu. Odźwierny z żoną stanęli nad nim, patrząc na siebie zdziwieni i osłupiali. Ta zbrodnia malca przeraziła poczciwców, patrzeli na niego z obrzydzeniem i strachem jak na małego skorpiona, gdy się z prochu wygrzebuje.

— Nie mówiłem — odezwał się odźwierny, przyszedłszy nieco do opamiętania.

— Chryste Jezu! takie dziecko i już złodziej — mówiła żona, załamując ręce.

— Chwała Bogu, że się dość wcześnie spostrzegliśmy. Widocznie złodzieje wysłali go tutaj, by im ułatwić wejście.

— A może już byli — a tam w kredensie właśnie srebra dziś nie pochowano.

Odźwierny próbował klamki.

— Nie jeszcze, klucz nie przekrecony. Zbliżył się ze świecą do malca, który twarz zagrzebał w łachmanach, podniósł go za włosy i potrząsał nim oburzony.

— Kto cię tu posłał — co?

— Stary nie pastwój się nad nim. To rodzice szelmy, co go tego uczą — o! ciężko odpowiedzą

Bogu za to, — mówiła kobiecina, która mimo wstępu do zbrodni, czuła litość dla dziecka.

— On nie ma przecie rodziców? — prawda?

co? — Masz ty rodziców, ty mały urwisie?

Malec zacisnął zęby i milczał upornie. Tak go nauczono. Niepróżno na żydowskim, cmentarzu Żelazny głąskał i pieścił swojego syna.

— Żono, dajno postronka, trzeba go związać.

— Toć nie ucieknie z zamkniętej kamienicy.

— A kto go wie — onby gotów i podpalić nas a potem uciec — nie trzeba dowierzać.

Kobieta z boleścią potrząsnęła głową nad małym zbrodniarzem i wykonała rozkaz męża. Związano chłopca. Nie bronił się, nie krzyczał — w twarzy jego nie było ani żalu, ani już strachu nawet tylko oczy niespokojnie latały dołem, szując sposobów ucieczki. Istne zwierzątko — padalec przydeptany.

— I cóż z nim jutro zrobimy? — spytała Walentowa.

— Odda się go do kryminału — tam może wycisną mu zeznanie o bandzie, która go wysłała.

XIV. DOM POPRAWY I KARY.

Zapewne się czytelnicy już domyślili, kto był tym małym zbrodniarzem. Tak, w upodleniu i nędzy zaczęło się życie bohatera tej powieści — Leona. Poszedłem w tej mierze drogą odmienną od innych powieściopisarzy, którzy wprowadzając w powieść ludzi pełnych zdolności, przymiotów, cnót, każą czytelnikowi patrzeć na moralną ruinę tych ludzi, na ich upadek, po długim pasowaniu się z ludźmi, z losem. — Mój bohater z ostatnich mętów społeczeństwa idzie ku słonecznym blaskom, postać urobiona, z błota przekuwa się potem w marmurowy posąg apostoła. Ten impet do góry zdał mi się właściwszą drogą w powieści, powiedziałbym nawet konieczną.

Ciekawą będzie rzeczą poznać tę moralną przemianę, przypatrzeć w jaki sposób to dziecko wychowane w złodziejskiej norze, niemające pojęcia o uczciwości, poszanowaniu własności, o prawdzie, cnotcie — stało potem na tej moralnej wyżynie, na jakiej je spotykamy w początkach naszej powieści; kto i kądędy przeprowadził je

przez tę zawrotną i poszarpaną przepaść, jaka rozdziela cnotę od zbrodni? kto wypalił zgniliznę co już zaraziła jego duszę?

Wprzód jednak trzeba nam jeszcze wejść w stary, ponury gmach, przy wązkiej i ciemnej uliczce św. Michała. Nad wielką, mocno okutą bramą jest napis: „Dom poprawy i kary.” Tą bramą wprowadzili jednego dnia dozorczy policyjni małe, obszarpane dziecko. Pędzone przez dziedziniec, rzucało niespokojnie oczami na grube kraty, z za których wyglądały znędźniałe twarze złoczyńców, na łyskające bagnety szyldwachów, chodzących przed oknami, i w długie, ciemne korytarze, na których słychać było jednostajne brzęki kajdan. W twarzy jego było więcej dziecinnej ciekawości niż strachu, a jeżeli drżał i kulił się, to więcej z zimna, bo dzień był pochmurny, słotny.

— Patrzcie, patrzcie, — syn Żelaznego — rzekł ktoś za kratą złodziejskim językiem, niezrozumiałym dla dozorców. Chłopiec znał ten język, rozjaśnił twarz, jakby spotkał dobrego znajomego i przystanął patrząc ciekawie w okno, z kąd głos dał się słyszeć.

— Prędzej mały — mruknął ponuro dozorca i popchnął dziecko kułakiem naprzód.

Ani stęknęło, ani się poskarżyło, ani zmarszczyło gniewnie za to uderzenie — ono tak przywykło do tych szturchańców, do poniewierki, jak koń żydowski do bata — uderzenie wydawało mu się bardzo naturalnym przypomnieniem. Zawinęło się znowu w łachmany i pobiegło przed strażnikiem w ciemne korytarze kryminału. Po kilku godzinach widzimy je już w ciemnym, sklepionym lochu, w towarzystwie kilku złodziei, ubranego w aresztańską siermięgę i kłusającego z chciwością kawał czarnego, gliniastego chleba.

Wązkie, małe okienko, głęboko w mur wsunięte i opatrzone kratą, słabo oświetla to posępne miejsce pokuty za występki. Na zasmolonych siennikach siedzi i leży kilku złodziei: jeden usnął twardo, drugi wsunął głowę między podniesione kolana, jakby między dwie sztachetki, zapatrzył się w ziemię — od czasu do czasu coś mruknie, ręką ruszy, widocznie układając wykrętą odpowiedź dla sędziego śledczego. Inny wyspinał się na framugę okna i przy odrobinie światła dziennego ogarnuje się z robactwa, nucąc przez zęby jakąś monotonną, niemłą melodią. Dwóch innych, obróciwszy się plecami do drzwi, gra w zasmolone karty, ukradkiem przed wzrokiem straży, zaglądającej otworem w drzwiach. —

Twarze i zajęcie tych ludzi urągają napisowi na bramie — ani śladu na nich żalu, wstydu, smutku poprawy — nie ma nawet owego dzikiego zasepienia, jakim sztuka piętnuje czoła zbrodniarzy. Gdyby nie bezczelność ich śmiałych spojrzeń, gdyby nie czoła wytarte ze wstydu i obrzydliwy cynizm w mowie, możnaby ich wziąć za robotników odpoczywających po pracy. Bo też rzeczywiście nie uważają tego miejsca za nic więcej, jak za chwilowe odpocznienia, przygotowanie się do nowych pomysłów kradzieży — zbrodnia stała się u nich rzemiosłem.

Co ich zrobiło takimi? Co wytarło w ich duszy delikatniejsze uczucia — stepiło sumienie?

Zdziwicie się może, gdy wam odpowiem, że właśnie to miejsce, na którym wykuto napis, że jest domem poprawy i kary.

Nie jeden, a może każdy wchodzący pierwszy raz w te posępne mury, uczuł lęk, tęsknotę za spokojnym życiem w rodzinie, żal i skrucę; ale wpuszczony między starszych złoczyńców, oswoił się z widokiem zbrodni tak, że nie raziło jego oczów i sumienia, nasłuchiwał się w tem towarzystwie tyle złego, że przywyknął do niego choćby z przyzwyczajenia, wśród wyuzdanych rozmów nie słyszał resztek cnotliwych myśli, co go

przedtem niepokoiły i stał się podobny innym. Zdarza się, nawet dość często, że taki człowiek potem niemając dostatecznego wyżywienia, ciepłego mieszkania, umyślnie szuka sposobów dostania się na czas jakiś do kryminału, gdzie jest pewny, że znajdzie to wszystko. — Jest to konieczne następstwo pobytu wśród złoczyńców — ludzie, których chwilowe namiętności przywiodły do upadku, w tej szkole stają się złoczyńcami z rzemiosła — ciężkie kajdany, co ich pętają, nie są dla nich karą, ale nieszczęśliwym przypadkiem, który ich uczy większej ostrożności na przyszłość. — W taki więc sposób kryminał nie odpowiada wcale swemu przeznaczeniu — usuwa tylko chwilowo szkodliwych ludzi ze społeczeństwa, by ich potem oddać nierównie szkodliwszych. Akta kryminalne wykazują prawdę tego, co tu mówię — poprawa złoczyńców liczy się do wyjątków. A przecież o to głównie chodzić powinno. W tym względzie zgodziłbym się zupełnie na system odosobnienia, praktykowany w więzieniach amerykańskich. Zbrodniarz, skazany na ciągłą samotność, musi koniecznie ztęsknić się za pracą i wejść w siebie. To niezbędne, gorączkowe prawie pragnienie pracy, jako jedyne lekarstwo na nudy samotności —

i rozmowa z samym sobą, są to jedyne drogi, któremi złoczyńca może wrócić do społeczeństwa poprawiony, przemieniony. W chwilach samotnego rozmyślenia, sumienie odzywa się w człowieku jak wymowny kaznodzieja, każdy grzech odszuka, i rzuci w twarz człowiekowi, i każe się rumienić i żałować. Kapelan więzienny może i powinien pomagać w pracy temu sumieniowi i osamotnionemu przestępcy dawać na posiłek duszy słowa, po którychby jak po wschodach szedł w górę. — Tylko zakamieniały zbrodniarz nie skruszy się w takim piekle samotności i milczenia.

Prawda, że w takim ciągłym odosobnieniu nierzadko zdarzają się przypadki obłąkania i śmierci, i tem szermują przeciwnicy amerykańskich więzień, ale czyż nie lepiej poświęcić wielu złych, ażeby resztę uczynić dobrą? Czyż to tak wielka strata dla społeczeństwa, gdy mu kilku zbrodniarzy ubędzie?

Nie dość na tem.

Czułość rządu nie powinna strzedz zbrodniarza tylko w obrębie murów więziennych, powinna dalej rozszerzyć swe działanie i wypuszczając go poprawionego, ułatwić mu wstęp między ludzi, wynaleść środki zarobkowania, bo wszakże nie kara, ale poprawa jest ostatecznym celem. Jest to

w interesie całej społeczności, aby się ci ludzie przyjęli w niej, weszli znowu w te tryby, z których ich występki wysadził.

Dopóki tego nie będzie, dotąd więzienia będą tylko szkołą złoczyńców.

Do takiego więzienia dostał się chłopiec schwyty w pałacu księcia Ireneusza. Pomimo tego, że pierwszy raz dostał się tutaj, miejsce to nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia, nie zatrwożyło — czuł się tu zupełnie jak w domu, i tu i tam był między złodziejami. Wnet się oswoił ze swoim położeniem, ulokował się w najdogodniejszym miejscu, chwycił czyjś kawałek chleba, leżący na tapczanie, i zajądając rozglądał się po brudnych sklepieniach i ścianach, ozdobionych gdzieindziej niezgrabnymi rysunkami i podpisami. Potem zwrócił oczy na swoich towarzyszy, a szczególnie zajął jego uwagę jeden starzec, skuty w ciężkie kajdany i do tego jeszcze przymocowany do żelaznego kółka w murze. Był to człowiek niski, krępy, barczysty, jak pień uciętego drzewa — twarz jego czerwona, trędowata, niegolona, zarosła szpecinowatym, twardym włosom, robiła go podobnym do zwierza więzionego. W oczach zaciemnionych dwiema krzaczystymi brwiami, ruchliwych i świecących, była wyuzdana bezczelność,

wzrok sam tego człowieka był już zbrodnią. Tak zmysły plugawieją na usługach podłych namiętności i dostają piętno zepsutej duszy. Owego starca nazywano: „Ojcem”; siedział tu już Bóg wie który raz — z początku rachował, później stracił liczbę; łatwiejby mu było policzyć te chwile, w których był wolnym. Kryminał był jego stałą siedzibą, tu założył sobie rodzaj akademii złodziejskiej; każdy przybywający nowicusz garnął się pod jego protekcją, słuchał nabożnie jego wykładów, uczył się wykrętów, kształcił w sztuczkach złodziejskich. Za pewnem wynagrodzeniem udzielał im tajemnic o zamożnych domach, o rozkładzie mieszkań i sposobach dostania się do nich. Przytem przez praktykę doszedł do wielkiej znajomości prawa, każdemu przychodzącemu po wysłuchaniu jego sprawy, po obliczeniu możebnych wykrętów, przepowiadał z największą dokładnością treść wyroku i wielkość kary.

Tym razem dostał się do kryminału za grubą kradzież połączoną z gwałtem — skazano go na dziesięć lat więzienia. Taki przeciąg czasu nie przypadł do smaku złoczyńcy, przyzwyczajonemu do zatrudnienia; to też usiłował kilka razy wydobyć się na wolność; raz przepiłował kratę, innym razem zsunął się do kanału, to znowu rzucił

się na strażnika i chciał go zdusić, aby mógł swobodnie rozkuć się i przez mur uciec, ale wszystkie te usiłowania nieszczęśliwie mu się powiodły; zarządca kryminału wcześniej spostrzegł przerżnięte kraty, kanały były zapchane i ciasne tak że niemi przejść niepodobna było, dozorczy nadbiegli z pomocą kilku żołnierzy i rezultat jego usiłowań był ten tylko, że mu cięższe kajdany nałożono na nogi, że go przykuto do muru. To go jednak nie przekonało wcale o niemożności ucieczki, nie upadł wcale na duchu, jak przygnieciony nogą skorpion, który nie przestaje usiłowań dobycia się na wierzch. W tej chwili ojciec majstrował znowu coś koło kajdan u nogi.

Widok tego człowieka, na którego rysach była wyraźnie wypisana przewrotność duszy, uderzył małego złodzieja — ta potęga zbrodni budziła w nim cześć i uszanowanie — porównał tego starca z tymi, których znał, i zobaczył całą wyższość jego, znał tylko ludzi — złodziei, dla niego więc ideałem człowieka był najtęższy złodziej — taki wydawał mu się bohaterem i wdychał do tego, by mu się stać podobnym. To uwielbienie zbrodni pociągało go do starca. Ale jeżeli Leon czuł pociąg do ojca złodziei —

to ten niemniej przywiązał się do malca, (jeżeli tu może być mowa o przywiązaniu) przywiązał się do niego przez to piekielne uczucie radością jakiej doświadcza zły człowiek, widząc mnożące się koło siebie zastępy ludzi podobnych jemu. Nieszczęście i zbrodnia mają to wspólne, że lubią mieć towarzyszków. Stary zbrodniarz patrzył na dziecko, jak na surowy materyał, z którego będzie można zrobić majstersztuk złodziejski i wziął się z zamiłowaniem do tej ponętnej pracy niszczenia. Zaczął od tego, że go uczył sposobów tłumaczenia się przed sędzią, wykręcenia się ze zbrodni, na której go pochwycono. Wieczorami rozповідаł jemu i innym towarzyszom więzienia o dziwnych przygodach i wyprawach swoich, a chłopiec słuchał tych opowiadań z ciekawością, z zamiłowaniem, jak się słucha powiastek piastunki, i w duszy jego powoli rodziła się chęć i tęsknota do zbrodni, — być dobrym złodziejem, stało się jego najmilszym marzeniem. I tą drogą polecałby malec szybko w przepaść złego, bez wiadomości nawet, że to złe, gdyby nie jeden człowiek, o którym dotąd nie mówiliśmy jeszcze. Na tapczanie pod piecem był jeszcze jeden człowiek — policzony także między zbrodniarzy, a przecież przypatrzysz się mu bliżej, trudna

było powiedzieć: i to zbrodniarz. W twarzy jego pięknej i białej była powaga i godność niezwykła, zasepiona smutnym zadumaniem. Rzadko kiedy odzywał się — nieraz dnie całe przesiedziały milczący, zamyślony, czasami ugniatał z czarnego chleba jakieś potworne postacie, przypatrywał się im z ponurą ironią i znowu zgniatał w pięści w nieforemną

bryłkę — tworząc co innego, to twarz jaką niewieścią, to znowu wizerunek Chrystusa, a wtedy twarz jego cierpiąca i zrozpaczona brała na siebie wyraz spokojnej rezygnacji.

Pomimo miejscowego zbliżenia się do złodziei, pomimo ustawicznego z nimi towarzystwa, znać było jakiś niewidomy, moralny przedział, który go od nich oddzielał — nie mieszał się do ich zabaw, żadne złe lub brzydkie słowo nie wyszło z ust jego. Złodzieje nie lubili go, jako żywioł obcy, psujący im szyk życia, wobec tego człowieka nie czuli się swobodni, ale go szanować musieli, bo całym zachowaniem swoim szanować się kazał — nie było w nim iskielki dumy, co trzyma czoła wyżej ludzi, którymi pogardza, nie było pogardy, — owszem, ile razy mówił do nich to z dziwną łagodnością ale i powagą zarazem, każde jego słowo prosiło i nauczało. Duch

tego człowieka trzymał na uwięzi bezecne mowy złodziei i pętał je swoją dobrocią i szlachetnością.

Ten człowiek zobaczywszy w jaskini zbrodniarzy małe dziecko, rozciągnął nad niem swoją opiekę, starał się przyciągnąć je ku sobie. Praca ta szła bardzo trudno i z oporem, dziecko urodzone i wychowane wśród złodziei, lgnęło do nich, a z trwogą i nieufnością patrzyło na człowieka, który nie miał miny złodziejskiej, który ani razu nie pochwalił się z jaką sprytną wycieczką i tylko milczał i modlił się. Słowa i towarzystwo tego człowieka męczyły go i nudziły. Trzeba więc było różnymi sposobami wabić do siebie chłopca, to kawałkiem chleba, to ciekawą figurką ulepioną, to jakąś powiastką, i powoli zdzierać z jego duszy twardą łupinę złego, przez którą żaden promień niebieski przedrzeć się nie mógł. Trzeba było umiejętnie i roztropnie to czynić, nie spieszyć się zanadto z oderwaniem tych strupów, by nie bolało, by nie odstraszyć dziecka, nie zwrócić uwagi złoczyńców, nie obudzić przeciwdziałania. Tą drogą powolną, wymagającą wielkiej cierpliwości, siedł ów człowiek, niszcząc w duszy dziecka to, co posiała zbrodnia. Spytacie się, z kąd człowiek taki mógł się dostać między zgraję złodziei? Jak można pogo

dzić tę godność twarzy, to namaszczenie słów z miejscem, przeznaczonem na pokutę zbrodni? — Gdyby potrzeba było usprawiedliwić tego człowieka, mógłbym wam powiedzieć, że są w życiu chwile strasznych pokus, w których najzaciejsi ludzie upadają, że czasem kolizje obowiązków, najwznioślejsze uczucia pchają człowieka do występku, ale tutaj nie było tego. Ów człowiek dostał się do kryminału w skutek nieszczęśliwego zbiegu pozorów, w skutek fałszywego posądzenia. Prawo nie zna głębin serca, nie powoduje się uczuciem, zna paragrafy i sądzi z czynów, a więzi dla pozorów. Pozory mówiły, że ten człowiek może być złoczyńcą. Akta sądowe nie jedną taką ofiarę wykazać mogą, które przesiedziawszy długi czas w śledztwie, zostają potem wypuszczone bądź dla braku dowodów, bądź całkiem uniewinnione. Uniewinnione w obliczu prawa, ale nie w obliczu ludzi, którzy podejrzliwie patrzą na taką niewinność, i człowiekowi, co przecierpiał męki pod ciężarem niesprawiedliwego losu, nie mogą zapomnieć, że siedział wśród zbrodniarzy, i człowiek taki nigdy już nie będzie umiał ludziom śmiało spojrzeć w oczy. Takie położenie, to straszne pokusy dla duszy, człowiek z początku cierpi, użala się, potem bluźni, przeklina, niena

widzi a w końcu pluje pogardliwie na wszystko i staje się w rzeczywistości tym, czym go już opinia dawniej zrobiła — zbrodniarzem. Komu trudno uwierzyć w to, com powiedział, tego znowu odsyłam do aktów sądowych, do ksiąg wpisowych, tam statystycznie obliczyć może wielu ludzi, których pozory wtrąciły do kryminału, a wrócili potem do niego zbrodniarzami; jedni dla tego, że się zarazili złem, a drugich pogarda strąciła napowrót w przepaść, z której wygrzebać się chcieli. Wypuszczenie na wolność, uznanie za niewinnego — to strasznie małe zadosyćuczynienie za chwilowe posądzenie; prawodawcy winni pomyśleć o innym, jeżeli im idzie o pomnożenie zastępu dobrych ludzi, o rzeczywistą rehabilitację. W walce z niesprawiedliwością losu i ludzi, wypadki są zbyt częste, aby na nie można narażać ludzi — mało kto w takiej walce staluje się i czyści. Z ludzi takich tworzą się złoczyńcy lub bohaterowie. Do takich ludzi należał ów człowiek w więzieniu. Nieszczęścia i zawieruchy polityczne pozbawiły go stanowiska, jakie sobie zdobył nauką, wytrąciły go z drogi, którą sobie obrał, zgięły go ku ziemi, ale nie złamały; pracował dalej, tylko w mniejszym zakresie, jak drzewo, co przywalone

upadła skałą i pod jej naciskiem żyje, rozwija liście i owoce niesie. — Z różnych zatrudnień, które mu się nadarzały, obrał guwernerkę po zamożniejszych domach. Takie poświęcenie swojej niezawisłości, zetknięcie się z ludźmi zasad całkiem sprzecznych z jego sposobem myślenia, było dla niego męczącą rzeczą, a jednak wprzął się do tej pracy, bo z drugiej strony wabiła do niej ta myśl, że właśnie w starych obozach konserwatyzmu będzie mógł zatknąć swoją chorągiew, szczepiąc swoje a raczej swojego wieku idee w duszach dorastających młodzików, którzy kiedyś mają stanąć w społeczeństwie wyżej od innych ludzi. — Jego głęboka i gruntowna nauka, łagodność w obejściu się, a przytem powaga nakazująca uszanowanie, zjednały mu wzięcie i zalecały go wszędzie. Temu był winien wstęp do domu księcia Ireneusza.

Książę był pan dumny, ogniskiem jego dumy był syn jedynak, którego chciał postawić wyżej wszystkich. Na to nie wystarczała świetność rodu i majątek (wcale nie książęcy), — trzeba jeszcze było mieć naukę, którąby można zaimponować inteligencji, i to naukę gruntowną, głęboką. Książę w tym względzie był postępowym, chciał wyposażyć jedynaka we wszystkie duchowe zdo

bycze wieku — ale nie dla pożytku kraju, nie dla własnej przyjemności, jeno z tej głębokiej pogardy, jaką miał dla ludzi nieherbowych, chciał syna swego widzieć stojącego wyżej od nich. Nauka miała być dla młodego księcia jednym stopniem więcej do tej wyżyny, z której miał deptać niższych i pogardliwe rzucać im spojrzenia. Książę chciał na synie swoim pokazać, jakie to arcydzieło da się zrobić z rasowego człowieka, niepodobnego wcale do tych wyrabianych z plebejskich kłoców.

Dla tego słysząc wiele o uzdolnieniu owego guwernera, wezwał go do siebie i powierzył mu edukacją syna, nie bez pewnego wstrętu, bo ten człowiek nie podobał się księciu. Kark miał za sztywny do ukłonów winnych księciu, z zimną bezczelnością wytrzymywał siłę książęcego wzroku i nie mięszał się, rozmawiał z księciem jak z równym sobie, co wszystko niesłuchanie księcia pana irytowało; z trudnością znosił tę twarz bladą, spokojną, pełną godności i siły — ale dla syna musiał cierpieć tego człowieka w swoim domu.

Po roku pobytu pana Zygmunta (takie było imię guwernera) zdarzyło się, że raz znajdował się tenże w kancelaryi księcia, żywą z nim prowadząc dysputę względem dalszej edukacji syna.

Pan Zygmunt utrzymywał konieczność odesłania młodego księcia do szkół publicznych; książę sprzeciwiał się temu mocno i po swojemu argumentował. Podczas rozmowy mimowiednie miał w ręku dwa banknoty tysiącreńskowe. Po długiej rozmowie stanęło na zdaniu Zygmunta, książę ustąpić musiał przed jego silnymi i tratnymi argumentami. Nie pierwszy to raz w ten sposób zwyciężony został, tak na polu pedagogiki jak i umiejętności. To upokorzenie od człowieka z ulicy, z motłochu, męczyło go, ale tym bardziej zachęcało do coraz większego kształcenia jedynaka, chciał mieć jeden oręż więcej przeciw ludziom nowym, dzisiejszym.

Po skończonej rozmowie, gdy pan Zygmunt wyszedł, książę zabierał się także do wyjścia i chciał zabrać ze sobą banknoty, ale ich nie było. Poprzewracał papiery na biurku, zajrzał w pugilares — nie ma. A przecież pamiętał, że przed przyjściem Zygmunta leżały na biurku; któż inny, jeżeli nie nauczyciel mógł je porwać? Po ludziach z gminu książę wszystkiego się spodziewał. Zadzwoił więc i kazał wołać do siebie Zygmunta.

— Panie Zygmunt — odezwał się, mierząc przenikliwym wzrokiem wchodzącego — proszę darować, że go trudzę, ale nie umiem sobie wy

tłomaczyć nagiego zniknięcia z mojej kancelaryi paru banknotów tysiącreńskowych.

Zygmunt nie spodziewał się wcale takiego zwrotu rozmowy, poczerwieniał cały z gniewu i oburzenia. Książę inaczej sobie to zarumienienie wytłomaczył.

— Mości książę . . . syknął Zygmunt, któremu gniew zapał oddech.

— Nie masz pan potrzeby unosić się — mam słuszne powody pytać się pana o to, bo oprócz niego, nikogo w tym pokoju nie było. — Proszę o zwrot.

Zygmunt już przyszedł do siebie, wstydził się chwilowego uniesienia, twarz jego znowu przybrała wyraz pewności i spokoju — cios niespodziewany uniósł go nieco, teraz zapanował nad namiętnością, złożył ręce i patrzył na księcia jak na psa, co szczeka za nami.

— Książę — rzekł kiwając głową — i takąż mi monetą płacisz za pracę moją? Takąż wiarę masz w człowieka, któremu powierzyłeś wychowanie swego dziecka?

— Opuśćmy deklamacje, wytłomacz mi pan zniknięcie banknotów, bo w przeciwnym razie musiałbym udać się o sprawiedliwość do

— Nie kończ książę, tybys tego nie uczynił.

— Czemu nie? Jeżeli pan na to liczysz, to się mocno zawiodłeś. W tej chwili posyłam po pachółków sądowych — to mówiąc brał za rękojeść dzwonka.

— Na Boga, książę co czynisz? — zawołał Zygmunt głosem pełnym rozpacz, i namiętnym ruchem zbliżywszy się do stołu, uchwycił księcia za rękę — Książę, zastanów się dobrze, co czynisz — czy wiesz; że jedno twoje niebaczne słowo może mnie potępić w opinii ludzi? — szanuj moje dobre imię, zatrzymaj się, przekonaj, poszukaj dowodów. Mówił te słowa bezładnie, gorączkowo, nieprzytomnie. — Nie dziw, bo tu szło o jego dobre imię, na które pracował całe życie, a które miała skalać jedna chwila, jedno słowo księcia wyrzeczone w obec ludzi.

Książę za całą odpowiedź sięgnął znowu ręką do dzwonka Pomieszanie i gorączka Zygmunta utwierdzały go w podejrzeniu.

— Jeszcze chwilę książę — gdzie miałeś banknoty?

— Tu, w tym pokoju.

— Kiedy?

— Przed pańskim przybyciem.

— I nikt prócz mnie nie był w tym pokoju?

— Nikt.

— W takim razie jestem spokojny, możemy szukać, jeżeli były to i są.

— Spodziewałem się tego — mruknął książę, patrząc podejrzliwie na ręce gubernera — teraz mam nadzieję, że się znajdą.

— Co mają znaczyć twoje słowa książę?.

— Eh, nic — szukajmy,

I usiadł w krześle, patrząc z ironicznym uśmiechem na Zygmunta szukającego skwapliwie w biurku i między papierami. To upokorzenie człowieka, którego niczem złamać ani nagiąć nie można było, napawało go radością — on już począł wierzyć w wielkość duszy tego plebeusza i ta myśl go gnioła, teraz z radością widział, że ten człowiek na łeb zleciał z wyżyny, na której się posuwał i rad był temu upadkowi i deptał pogardą tego, którego cnoty się obawiał. Obrzydliwe jest robactwo grzechów, co się lęgną pod cieniem dumy.

Pod palącym ogniem spojrzeń księcia, Zygmunt szukał, przewracał, ale napróżno. — Wstyd, gniew, upokorzenie rozpały mu krew w żyłach, przyspieszyły pulsu — chwila ta wyczekiwania była straszną dla posądzonego. — Książę milczał uparcie i czekał, ani jednym słowem nie osłodził,

nie złagodził ostrych słów, któremi ukłół Zygmunta. — Zygmunt skończył i zaczynał pracę na nowo — wzruszenie i krzatanie się zmęczyły go, osłabły upadł na krzesło i szepnął ponuro:

— Niema.

— To źle — odrzekł książę sucho.

Te dwa słowa jak ostrogi skaleczyły duszę Zygmunta; zerwał się i rzekł z dumą:

— Książę, umiej uszanować ludzi, nie chciej, bym ci za niesłuszne podejrzenie odpłacił także podejrzeniem.

— Słucham. Jakież pan masz podejrzenie?

— Że te banknoty nigdy nie istniały, a przynajmniej że się nie znajdowały w rękach księcia, że książę zmyślasz — wyrzucił z siebie, zapalając się Zygmunt.

Książę górował nad nim zimną krwią, nic zapalał się, ani unosił, ale się pastwił powoli nad człowiekiem, którego musiał tyle czasy szanować. Na ostatnie jego słowa rozśmiał się ironicznie, chłodno i rzekł:

— Tem się pan nie wywiniesz — ja przysięgnę.

— Książę, to będzie krzywoprzysięstwo. Książę pociągnął silnie za dzwonek. Zygmunt rzucił się do nóg jego z rozpaczą i prosił:

— Książę, ulituj się — nie gub mnie. Przysięgam ci na zbawienie duszy, że jestem niewinny.

— To się pokaże — odrzekł magnat chłodno i odsunął się od proszącego.

W parę godzin potem, Zygmunta zapisano u bramy kryminału w księgę zbrodniarzy.

Trudno opisać co się działo w duszy Zygmunta w pierwszych chwilach uwięzienia, całe piekło udręczeń i katuszy było w nim — znał swoją niewinność a nie mógł przekonać nikogo, że niewinny, czuł wstręt do zbrodni a musiał się jej dotykać, żyć w jej atmosferze; uwięzienie swoje uważał za gwałt straszny, za niesprawiedliwość, a nie miał sposobu odeprzeć gwałtu siłą, wydostać się z pod ugniatającej jego piersi niesprawiedliwości. To go wprawiało w rozpacz, w wściekłość — rzucał się jak zwierz zamknięty. Po kilku dniach takiego szamotania upadł bezsilny, niemoc ciała i otrętwienie ducha — objęły go po bezskutecznym pasowaniu się z losem. Nareszcie rezygnacya i męczeński spokój rozjaśniły jego czoło. Zygmunt był potrochu fatalistą, wierzył więc, że to jego uwięzienie stać się musiało wskutek nieodgadnionych zarządzeń Opatrzności, niewidzialnej siły, snującej przędzę dziejów ludzkich,

ze snąć tak było potrzeba, kiedy się tak stało, a potrzeba było może dla niego samego, by doświadczył siły swego ducha, by się w szkole cierpień zahartował — a może też jego obecność potrzebną tu jest dla innych, może Bóg go wybrał na apostoła cnoty i prawdy w przybytku złego. — Wprawdzie zakamieniałe w występku dusze zbrodniarzy, złą były glebą do uprawy — ale przecież towarzystwo z Zygmuntem, jego słowa i czyny nie mogły zostać bez wpływu. Kontrast światła i ciemności był zbyt rażący i zbrodnia nie umiała pojąć a tym mniej nauczyć się cnoty, ale musiała patrzeć się na cnotę. — W końcu doczekał się Zygmunt na małego chłopczykę, którego miał wynieść z przepaści złego. Dziwnie Opatrzność prowadzi ludzi przez życie, rozum się mięsza, chcący zaglądnąć i odgadnąć tę misterną płataninę dróg ludzkich. Jakiegoż zbiegu wypadków było potrzeba, aby uratować dziecko złodziejskie — z jak odmiennych sfer sprowadził Bóg tych ludzi na to miejsce, by drogi ich życia połączyły się. Czyż można to nazwać przypadkiem? Nie, to dzieło nieśmiertelnej mądrości.

Strasznie bezsilną jest ta mądrość — powie mi ktoś — kiedy takich zachodów używać musi

do wyratowania od zguby jednego dziecka, kiedy dla niego poświęcać musi innego człowieka i niewinnie go więzi. Jest to czysty a zbyt blachy zarzut — wychodząc z niego, trzeba by żądać od tej mądrości, by wierzyły rodziły gruszki, by rzeki płynęły pod górę, Judzie chodzili na głowach i t. p. — wszystkie te żądania możnaby oprzeć na wszechmocy siły najwyższej. — A jednak głębiej się nad tem zastanowiwszy, musimy w żądaniach podobnych dopatrzeć płytkość rozumowań i brak zastanowienia. Kto stworzył świat, ten określić także musiał prawa jego rozwoju — gdyby je zmieniał, uznałby ich niedostateczność, a więc przeczyłby mądrości swojej. Tak w świecie fizycznym jak i moralnym wszystko ma swoje przyczyny i skutki. — Karłowatość drzewa, występki, mają swoje przyczyny w poprzednich zboczeniach. Cuda są tu niemożliwe — kuglarskie popisy z nadzwyczajnościami nie potrzebne. Cnoty i zbrodnie mają swoje następstwa, wikłają się one w oczach naszych w węzły nierozwiązalne rozumem ludzkim, a wierzyć nam trzeba, że nie bez celu.

Opatrzność kieruje wszystko do tego ostatecznego celu. Gdyby ta Opatrzność była jedynym czynnikiem w dziejach ludzkości, szłaby do celu

linią prostą, bez żadnych zboczeń. Pomyślmy sobie na chwilę takie życie odmierzone cyrklem woli Bożej, monotonne jak ruch zegarowych kółek — bez czynnego udziału ludzi — a strach nas zdejmując przed takim życiem. Sen i grób byłyby jedynymi lekarstwami na te śmiertelny nudy. Opatrzność tego nie chciała, ona chciała, by człowiek wraz z nią pracował w dziejach, by odrobiną swojej woli dobijał się zasług. To uczyniło w świecie różnorodność. — Wybryki i szamotania się woli ludzkiej szarpia przędzę dziejową, wikłają ją, zmieniają jej kierunek, lub ją snują naprzód. Ponieważ ludzie biorą udział w zasłudze, więc muszą brać i w odpowiedzialności za rzeczy dokonane.

Odpowiedzialność ta jest cząstkowa, bo nie zapominajmy znowu, że nie sama wola człowiecza snuje przędzę

wypadków; człowiek bierze odpowiedzialność na siebie o tyle za zły czyn o ile było w jego woli zmienić go lub cofnąć się. W ustępie o wolnej woli powiemy o tem obszerniej, tu tylko wspomnieliśmy o tem dla tego, aby pokazać czytelnikowi, że zboczenia dzieją się w skutek złej woli ludzkiej, namiętności, że zboczenia mają swoje skutki i następstwa, które my nazywamy przeznaczeniem, bo przeznaczają

przyszłą drogę ludzkości lub pojedynczych ludzi, tak jak kamień przyciskający drzewo, przeznacza mu inny kierunek, że nad wola ludzką czuwa wola Boża, i ile razy wola ludzka obłąka się na bezdroża, wola Boża niepozornemi często zdarzeniami, zmienia jej kierunek, na zbrodni posiewa cnotę, naprawia złe — jednym słowem nawraca zbłąkaną ludzkość na drogę przeznaczeń. Nakoniec, że te sposobności, jakie Opatrzność podaje ludziom w bezdrożach, niby kotwicę — nie można nazwać przypadkiem.

Ile razy ludzkość lub pojedynczy człowiek zabłąka się na bezdrożach, odejdzie zbyt daleko od celu, tyle razy niewidzialna ręka przeznaczeń rzuca mu jakieś błyski rozświecające ciemności, podaje mu nic do wyjścia z labiryntu. — Taką nitką dla małego złoczyńcy był Zygmunt.

Przeczuł to swoje posłannictwo i gorliwie zajął się losem chłopca. Praca ta, jak powiedziałem, szła leniwo, w miejscu zarażonem oddechem zbrodni, z chłopcem niemającym pojęcia o duszy, Bogu, o zacności. — Ta praca zajmowała go, ożywiała, zapominał wtedy o sobie.

A jednak nieraz w nocy, kiedy spać nie mógł, różne przykre myśli napływały mu do głowy i zapytywał siebie: dokąd tak cierpieć będzie,

kiedy i w jaki sposób wyświeci się jego niewinność — napróżno chciał wytłomaczyć sobie owe zniknięcie banknotów, podejrywał nawet księcia o mściwą złośliwość. — On wszystko przypuszczał.

Czy miał słuszność? — Nie.

Bo i książę nie mógł sobie inaczej tego zniknięcia wytłomaczyć, jak posądzając człowieka którego poprzednie postępowanie było ze wszechmiar zacne. Gdyby książę miał więcej względności dla ludzi ubogich a prawych, nie byłby się nigdy odważył na posądzenie Zygmunta, ale on z trudnością mógł uwierzyć w charakter tego który nie miał herbu, przeszłości, kolligacyi dla tego lada pozór wystarczył, aby dobre mnie manie o plebeuszu zatrzeć w jego duszy. I on, jak drudzy — i nie mogło być inaczej — pomyślał sobie magnat, i bez skrupułów sumienia oddał guwenera w ręce sprawiedliwości. Potem już nie troszczył się o to, nie myślał o tem — o takiej bagateli łatwo mu było zapomnieć. W jakiś czas potem, zdarzyło się, że książę siedząc między gośćmi przy czarnej kawie, wśród rozmowy przypadkiem zatknął prawą rękę w kieszonce kamizelki i natrafił na jakiś papier; wydobył go i spojrzawszy nań poblądł i zmięszał się

To trwało chwilę tylko — potem wsunął napowrót papier i rozmawiał dalej, ale uważano, że był bardzo roztargniony. Po odejściu gości poszedł spieszenie do swojej kancelaryi, tam dobył ów papier, który go tak zmieszał i rozwinął. Były to owe banknoty, o których skradzenie posądził Zygmunta. — Bawiąc się nimi, mimowiednie, podczas rozmowy z guwernerem, składał w coraz mniejsze skrętki, aż nakoniec podczas jakiegoś żywszego ruchu, wsunął do kamizelki, niewiedząc o tem. — Szukając potem, nie pomyślał nawet o przejrzaniu swoich kieszeni, podejrzenie, jakie w pierwszej chwili powziął względem guwenera, nie pozwoliło mu być dokładnym w poszukiwaniu. Teraz przypomniał sobie szczegóły zniknięcia banknotów. Stał długo nieruchomy i wpatrywał się w papier. W duszy jego odbywała się walka. Postać plebeusza na nowo wyszlachetniała w jego oczach, ten człowiek był niewinnym, jest niewinnym a cierpi, i w obliczu prawa i ludzi jest podejrzanym. Pierwszą myślą jego było iść do sędziego i rzecz całą wyświecić, ale wnet przyszło mu na myśl, że przyznając niewinność Zygmunta, będzie narażony na proces o fałszywe posądzenie, a choćby i to nie nastąpiło, to wypuszczony na wolność Zygmunt,

będzie sobie rościł całe życie pretensje do niego, że będzie zuchwałym i wymaganiom jego nie będzie końca i miary. Taka zależność od człowieka gminnego przestraszała księcia, uznając jego niewinność postawiłby siebie na stanowisku winnego i musiałby prosić o przebaczenie. Takie poniżenie nie zgadzałyby się z zasadami księcia, zdawało mu się stosowniej, aby w tej sprawie ucierpiał człowiek bez imienia i znaczenia, niż żeby sam się miał poniżyć. Przypuszczamy, że książę miał sumienie, że to sumienie kładło małą protestacją przeciw mądrym rozumowaniom księcia, i tą walką tłumaczmy sobie roztargnienie jego, niepokój. Książę to wstał, to siadał, to chodził dużymi krokami po pokoju — wpatrywał się w papier i znowu go odkładał od siebie. Potem usiadł, zapalił cygaro i rozumował dalej: I cóż na tem straci? Miesiąc dłużej lub krócej posiedzieć, to dla niego teraz nic nie znaczy. Potem go wypuszczą dla braku dowodów i będzie człowiekiem jak dawniej — a wreszcie, aby mu pomódz mogę odstąpić od procesu, wstawić się za nim, by przyspieszyć jego uwolnienie. Więcej nic dla niego zrobić nie mogę. Tak postanowiwszy, książę wsunął banknoty

do szkatułki i uspokoił się. W tej chwili książę był zbrodniarzem i kryminał był najodpowiedniejszym dla niego mieszkaniem.

XV. MISTRZ I UCZEŃ.

W doniesieniach rządowych z dnia . grudnia . r. stało między innymi:

„Zygmunt P....., nauczyciel prywatny, poszlakowany o skradzenie listu zastawnego, w domu Jaśnie Oświeconego, księcia B.—, uwolniony z braku dowodów.”

Z takim zaświadczeniem wrócił Zygmunt między ludzi. Powrót ten był nadzwyczaj przykry i bolesny — uczył się wszędzie sam, odepchnięty, — znajomi unikali go, odwracali od niego twarz przechodząc. Tam za kratą wśród złodziei czuł się podniesionym w poczuciu swej niewinności, teraz na wolności widział się zepchniętym na dół pogardą ludzi, widział się wytraconym ze społeczeństwa. Kraków jest tak małym a tak ciekawym miastem, że żadna nawet domowa

mnica przed nim się nie zatai — sprawę więc Zygmunta znali wszyscy i dla tego tak trudno mu było zacząć się gdzie, znaleźć jakie zatrudnienie. Szczęściem, że uzbierane w poprzednich latach fundusze, zabezpieczyły mu los i czyniły niezależnym. Usunął się więc od ludzi, podnajął stancyjkę w jednym z domków na Zwierzyńcu, schowanym wśród drzew, i tam modlił się i pracował. Lecz i w tem ustroniu nie mógł się schować przed podejrzliwością i pogardą ludzi. Gospodyni, u której podnajął mieszkanie, kobieta ciekawa, w pierwszych dniach zaraz wsunęła się do jego stancyjki z kartką meldunkową. Można sobie wyobrazić jej przerażenie, kiedy pobiegłszy potem z tą kartką do sąsiadki umiejącej czytać z pisanego, dowiedziała się, że jej bohater wprowadził się do niej — z kryminału. O więźniach politycznych niesłyszano jeszcze wtedy w Krakowie, kto więc wyszedł z kryminału o tym niewątpiono, że albo złodziej, albo zbój, albo oszust. Gospodyni załamała ręce, byłaby coprędzej kazała wynosić się Zygmunтови z swego domu, gdyby nie była już wydała pieniędzy, które od niego wzięła z góry na kwartał. Wiadomość o kryminaliście, mieszkającym w jej domu, szybko rozeszła się po Zwierzyńcu;

wszyscy pogardliwym wzrokiem kłóli Zygmunta, przechodzącego na rosą do klasztoru — nieraz słyshał za sobą szepty, złośliwe ucinki, czasem niejeden zwierzyniecki pauper zaśpiewał przechodzącemu jaki dwówiersz o kryminale. Zygmunt znosił to wszystko z dziwną cierpliwością i łagodnością, wśród śmiechów, drwinek, szepców, pogardy, szedł jak przez różgi, nieskarżąc się, nieprzeklinając, owszem, on cieszył się z tego, że ci ludzie mają taki wstręt do zbrodni, do złego, choć sam był niewinną ofiarą tego wstrętu.

Nie nienawidził ludzi, ale unikał ich, bo każde zbliżenie się do nich zbyt raniło jego duszę, dla tego polubił ustronne przechadzki, wglądanie w piękności i tajemnice natury stało się najmilszą jego zabawą, tam rozkosz i spokój, jakiego nie było dla niego między ludźmi. Oddał się z zamiłowaniem naukom przyrodzonym, zakupił kilka nowszych książek francuzkich traktujących o tem, sprowadził nieco narzędzi i robił wycieczki w okolice Krakowa, czyniąc poszukiwania zoologiczne, botaniczne i historyczne — notując swoje spostrzeżenia i wiadomości, mając nadzieję, że kiedyś ktoś użytkuje je, że mu się przydadzą na coś. Człowiek ten odepchnięty od ludzi, myślał jeszcze o nich, pracował dla nich.

Jego częste wycieczki obudziły podejrzenia sąsiadów; szpiegowano go, ale to wszystko co widzieli, nie mogło zaspokoić ich ciekawości. Widziano go, jak nieraz całymi godzinami stał na jakim wzgórku i patrzył przed siebie i rozglądał się po okolicy. Czegóż on mógł szukać? To znowu przechodzący spotykali go trzymającego w ręku jakiś kwiatek lub robaka i przypatrującego się temu przez szkła. Takich zajęć dziwacznych nie umieli sobie pogodzić mieszkańcy Zwierzyńca z pojęciem kryminalisty, jedynie mogli domyślać się w tem jakich praktyk czarnoksięskich i możeby posądzili kryminalistę o nieczyste stosunki z duchami, gdyby niektóre spostrzeżenia nie stały temu na przeszkodzie. A najprzód religijność jego, a przytem dobroczynność. Zauważano, że nie minął żadnego żebraka, szczególnie kaleki i starca, żeby go nie opatrzył jałmużną; widziano go nieraz idącego i obciążonego brzemięczkiem, które wziął na siebie, aby ulżyć jakiej staruszce, dla której taki ciężar był nad siły. Nieraz siadywał wśród gromadki pastuchów w polu, mówił im o Bogu i o nocie, opowiadał moralne powiastki i podarkami zachęcał do uwagi. Każde "jego słowo i zachowanie się nacechowane były szlachetnością i miłością; tam zmuszał ludzi by go sz

nowali, ale nie mógł zniweczyć wstępu, jaki w pierwszej chwili powzięli do niego. Ten zagadkowy człowiek przestraszał ich, bali się go, bo go zrozumieć nie mogli.

Takie życie wyrzutka, taka pustelnia wśród ludzi, nie bardzo musiały zadawałniać człowieka, który chciał przecież zdać się na co w świecie; przecież nie opuszczał Krakowa, może dla tego, że przyłgnał do jego starych murów, do jego cudnych okolic; a może też był i inny powód. Regularnie z końcem każdego tygodnia, w sobotę przed wieczorem, zamiast na zwykłą przechadzkę, chodził do miasta. Minawszy plantacye wchodził w ulicę Poselską i niedochodząc do Grodzkiej zwracał się koło opustoszałego kościoła świętego Michała ku bramie kryminalnej, i tam wystawał nieraz godzinami, czekając na wychodzących dozorców więziennych. Ciekawy musiał być stan duszy tego człowieka, stojącego pod starymi murami i gęsto okratowanymi oknami gmachu, w którym opiętnowano go hańbą na całe życie. Takie miejsca są jak straszdyła dla duszy. Może i on doświadczał tego, może godziny czekania w tem miejscu liczyły się na lata i męczyły go, poznać to nawet można było po bolesnem załamaniu je

go czoła, po wstydliwem schyleniu głowy, a jednak coś go wiązało do tego miejsca.

Kiedy dozorczy wychodzili z bramy, jeden z nich czarno zarosły z czerwoną twarzą wchodził w uliczkę i witał się z Zygmuntem.

— No i cóż? — pytał się tenże.

— Jeszcze siedzi.

— I nie przyznał się?

— Podobno że nie.

— Kiedyż więc można się spodziewać, że wyjdzie?

— Któż to wie, to zależy od sędziego. Może za miesiąc, może wcześniej.

— A gdy go wypuszczą, co z nim zrobią?

— Może do ochronki dadzą.

— Donieście mi, gdyby to się stało — mówił Zygmunt i wsuwał wtedy parę dziesiątek w ręce dozorczy.

To się powtarzało, jak powiedziałem, co tydzień, aż jednego razu Zygmunt wrócił na Zwierzyniec nie sam; przyprowadził ze sobą młodego chłopczykę, porządnie ubranego, ale z twarzą ogorzałą i bardzo wynędzniałą. — Mieszkańcy Zwierzynca mieli znowu zajęcie, nie brakło na domysłach. Tym jednak razem nie mieli tyle kłopotu, co z odgadnięciem samego Zygmunta; zgodzono

się na to, że ów chłopiec musi być nieprawem dzieckiem kryminalisty, chowanem gdzieś w odosobnieniu — poprzestano więc na tem i chłopca nazwano synem kryminalisty.

Czytelnicy domyślają się zapewne, kto był owym chłopcem; tak jest, był to ów mały złodziej — Leon; Zygmunt nie zapomniał o nim tymbardziej, że wychowanie tego chłopca, uczynienie z niego człowieka, było jedynym jaśniejszym promieniem w życiu odludka. Ten chłopiec stał się jedynym celem jego życia, przez niego chciał należeć do społeczeństwa, chciał się z niem powiązać na nowo.

Wychowanie jednak chłopca, nie tylko niemającego żadnych podstaw, ale zepsutego, było rzeczą wcale nie łatwą.

Zygmunt zabrał się do tej moralnej pracy z miłością i cierpliwością. Nie będziemy krok w krok śledzili mistrza i ucznia na tej drodze, ani będziemy szczegółowo przypatrywać się, w jaki sposób zdołał Zygmunt złe nałogi chłopca powrywać z jego duszy, niby chwasty — i zamiast tego posiać tam chrześcijańskie pojęcia o Jogu i cnotce. Były to rzeczy, których Leonek pojąć nie mógł. Do tego nieśmiałość i nieufność jaką miał dla swego opiekuna, brak chęci do zrozumienia jego nauk, opóźniły

rozwój moralny. To życie ciche, porządne i pracowite było straszną męką i nudą dla chłopca, przywykłego żyć na ulicy i wśród gwaru szynkowni, słuchać o wyprawach złodziejskich, być świadkiem ich uciech, obaw i kłopotów. Napróżno Zygmunt łagodnością, podarunkami starał się przyciągnąć go do siebie, zyskać jego przywiązanie — chłopiec jak małe kocie wyrывał się z rąk jego, zbliżał się po podarek, chwycił i uciekł. — Na nim mógł się Zygmunt najdokładniej przekonać, że owe idee wrodzone są mrzonkami wymyślonymi w głowach filozofów, że dopiero krew, klimat, wychowanie i zasoby fizyczne, tworzą indywidualność człowieka.

W końcu przecież wytrwała praca i cierpliwa miłość zwyciężyły złą naturę chłopca, duch mistrza, jako silniejszy naturalnem prawem, musiał po krótkim pasowaniu się, przyciągnąć młodziutką duszę małego złoczyńcy. Dziwiło go to najprzód niepomału, dla czego opiekun jego nie karał go nigdy za żadne wykroczenie, tylko łagodnie upominał i przedstawiał złe skutki tego — on był dawniej przyzwyczajony do chłosty za każde nieposłuszeństwo. Zdawało mu się więc, że jeżeli opiekun go nie karze, to może dla tego,

że nie jest tak silnym jak tamci, co go dawniej bili. Ta myśl ośmieliła chłopca do zuchwalstwa. Aż razu jednego, kiedy wracali z przechadzki, z okien domku głęboko już zapadłego w ziemię doleciał ich krzyk kobiecy i łoskot ciała upadającego. Zygmunt wszedł przez małą sionkę, napchaną ciekawymi, zobaczył w izbie dwoje ludzi szamoczących się. Kobieta niemłoda, leżąc na ziemi zasłaniała się rękami i krzykiem przed uderzeniami młodego mężczyzny, z którego ubioru można było poznać, że to murarz.

— Co się tu stało? — spytał Zygmunt najbliżej stojącej kobiety.

— Ano bije ją, o! rany Boskie ta on ją zatłucze.

— I czemuż nikt jej nie broni?

— A któż poradzi takiemu zbójowi — ta onby skruszył każdego w rękach.

Leonek, który z ciekawości wcisnął się za opiekunem, słyszał te słowa i z podziwem patrzył na silnego murarza wywijającego pięściami.

— Gdzieś szelmo podziała pieniądze? — wołał murarz rozwścieklony, ponawiając uderzenia — gdzieś je przepiła?

— Ratujcie, bo zabije — wołała kobieta szamocząc się po ziemi.

Ludzie w sieni stojący lamentowali, słowami łagodzili, prosili, ale żaden zbliżyć się nie chciał.

— Kto jest ta kobieta? — spytał Zygmunt.

— Ano matka jego.

Zygmunt ściągnął brwi z oburzenia, rozepchnął ludzi, wszedł do izby i położywszy rękę na ramieniu murarza rzekł:

— Człowieku zastanów się, to twoja matka. Murarz nieprzywykły do tego, aby mu ktoś w drogę wchodził, odwrócił się wściekły.

— Co? ty za pijaczką będziesz obstawał?

— To twoja matka.

— Idź do stu djabłów, bo cię zatłukę — wrzasnął silnie i chwycił Zygmunta za barki.

W tej chwili dziwna rzecz się stała. Zygmunt taki zawsze spokojny, błady, rozpromienił się, zatrząsł jak jesiotr, gdy piersią o mieliznę uderzył, w swoje chude, kościste dłonie chwycił muszkularne ręce murarza, jak w żelazne kleszcze i nagiął ku ziemi z taką siłą, że aż kości zachrzęstniały w stawach. Wszyscy w niemem podziwieniu przypatrywali się tej scenie. Nie było tu nawet walki ale pokonanie. Murarz w rękach Zygmunta skulił się z bólu jak małe dziecko.

Tymczasem matka podniosła się z ziemi, pięści syna i obecna scena

oprzytomniły ją zupełnie, uczucie matki odezwało się w piersiach pijaczki.

— Co mi tu pan będzie bił moje dziecko, pracowałeś pan na nie? — zawołała przyskakując, by uwolnić syna z żelaznych rąk Zygmunta.

— Zygmunt spojrzał na nią, potem odwracając się do syna rzekł:

— Słyszysz? I ty tę matkę biłeś. Uderz ją teraz, jeżeli możesz. — I puścił go wolno.

Murasz stał jeszcze nieruchomo, jakby skrepowany. Już nie materyalna siła go krepowała; stał zawstydzony, ponury. Zygmunt pogroził mu i wyszedł.

To zdarzenie przekonało młodego, że mylił się, posądzając swego opiekuna o brak siły, to pokonanie murarza zaimponowało chłopcu, który jeszcze nie umiał szanować innej siły. Kiedy wrócili do domu, chłopiec drżał z bojaźni, usiadł przy nogach swego dobroczyńcy i całował je; rozrzewniało go to i dziwiło, czemu on mając taką siłę nie bije, nie karze go. — Za tem uczuciem bojaźni nastąpiła cześć. Odtąd był dziwnie posłusznym, przywiązał się do swego opiekuna i skorzystał wiele na tej przemianie — w takim zbliżeniu rozwój jego moralny i umysłowy postępował szybko. Zygmunt nie opuszczał żadnej sposobności,

aby pokazać mu co dobre, szlachetne i piękne. Wśród codziennych spacerów uczył go tego, czego inne dzieci uczą się w szkole przez lat kilka. W świątyniach krakowskich uczył go historii jego narodu, na wycieczkach po lasach i polach tłumaczył mu tajemnice przyrody, wykladał zasady piękna, czytywał mu dzieła badaczy, mędrców i poetów. W domu douczał go reszty.

Po kilku latach takiej nauki i takiego pożycia mistrza i ucznia nikt nie poznałby był w Leonie owego chłopczyny, splugawionego obcowaniem ze złoczyńcami. Duch nauczyciela wstąpił w niego i rozpromienił się w nim. Stał się z niego chłopiec myślący, szlachetny i poważny. Ta przemiana wewnętrzna odzwierciedliła się w twarzy, niebieskie jego oczy wypiękniały, zyskały na wyrazie i głębokości, rysy twarzy nabrały spokoju greckich posągów i łagodności wielkiej.

Chłopczyk ten zadziwił swoją powierzchownością niezgodną nieco z jego wiekiem; ciągle przestawanie z człowiekiem starszym, brak rówieśników, uczyniły go takim, a potem nie trzeba nam zapominać, że chłopczyna co przeszedł przepaścistą drogę od występku do cnoty, nie mógł uśmiechać się i bawić, jak inne dzieci w jego wieku, że ślady tego pochodzenia napiętnowały go

wczesnem starszeństwem. Wyglądał z tą powagą jak tajemnicza smętna zagadka.

Rzadko kiedy opuszczał swego mistrza, przywiązał się do niego i pokochał go całą miłością swej duszy. Ci dwaj ludzie tak się dopełniali wzajemnie, tak zbliżyli ku sobie, że każda myśl, każde uczucie obu dusze elektryzowało i wzruszało. Były to dwa odpowiadające sobie tony, tylko oktawy lat dzieliły ich od siebie. Czasem tylko zachodził Leon między bawiące się dzieci, nie tyle dla tego, żeby uczestniczyć ich zabawkom, jak raczej żeby się im przypatrywać, co go bawiło. Raz, kiedy siedząc na okopie otaczającym piękną łąkę klasztorną, przypatrywał się chłopcom bawiącym się w piłkę, zobaczył jak nagle dzieci te, porzuciwszy zabawę, zbiegli się gromadką w jedno miejsce; usłyszał głośne śmiechy i krzyki. Zbliżył się tam i zobaczył w pośrodku jakiegoś obłąkanego żyda, plotącego różne rzeczy, które rozśmieszały chłopców. Skubano nieszczęśliwego i przedrwiwano. To zabolalo duszę Leona i oburzyło, — przedarł się do środka, wziął obłąkanego za rękę i pociągnął za sobą.

To sprawiło, że zarty i ucinki chłopców i jego dosięgły — leciano za nimi gwizdząc, śmiejąc się i słyszał jak wołano:

— Patrzcie, jaki mi ta pan, syn kryminalisty!

Pierwszy raz w życiu usłyszał to nazwisko; przed kilku latami byłby się rozśmiał, dziś zapłonął się ze wstydu, nie śmiał spojrzeć na chłopców, puścił rękę waryata i uciekł do domu.

Tam dopiero odetchnął nieco, usiadł przy oknie i począł głośno płakać. Dziecięce lata, o których zapomniał już, stanęły mu teraz żywo przed oczami brudne, ohydne, straszne. Zakrył oczy przed temi widmami pamięci. Widział siebie rozdwojonym wewnątrz — terazniejszy Leon patrzył na Leona złodzieja, siedzącego gdzieś w norze w szynku i brzydził się nim i rumienił się za niego. — Jak tu pokazać się teraz ludziom, zdawało mu się, że niepodobna mu teraz wyjść na ulicę.

W takich myślach zastał go opiekun. Był on świadkiem sceny na łące, słyszał to słowo, przed którym uciekł Leon, i to słowo jak kamień uderzyło także w jego serce. Nie wspominał jednak nic o tem, tylko podwoił dobroć dla swego wychowanka. Usiadł przy nim i niepytając wcale o przyczynę łez, całował w głowę i tulił w swych rękach.

— Leonku — rzekł po chwili — poskładaj twoje książki i włóż je do kuferka.

Chłopiec spojrział pytająco w oczy swemu opiekunowi.

— Przeniesiemy się gdzieindziej, to mieszkanie jest nam niedogodne.

Leon nie domyślił się powodu przeniesienia, ale rad był niezmiernie temu — jemu w tej okolicy zrobiło się nagle duszno, źle; to słowo: kryminalista, brzmiało mu wciąż w uszach, słyszał je wszędzie na około siebie i drżał z obawy.

Nie dosłyszał, że go nazywano synem kryminalisty, on po swoim opiekunie nie przypuszczał tego, słowo: kryminalista, ogłuszyło go, prócz tego nic nie słyszał. Trzeba bowiem zwrócić na to uwagę czytelnika, że Leon w swoim opiekunie

nie poznał wcale towarzysza więziennego; ubiór i zarost zmieniły go do niepoznania, przytem Zygmunt nigdy z nim o tem nie mówił.

To nam tłumaczy, dla czego Leon tak łatwo zapomniał o tem wszystkim, co się tyczyło jego brudnej przeszłości, a choć czasem wspomnienia z tamtych lat przeciągały w pamięci jego jak niewyraźne, zamglone obrazy, jak sny niespokojne, — to jednak nie zatrzymywał się nad tem uważnie i ślady zacierają się. Dziś jedno potrącenie

ruszyło te zapleśniałe pamiątki — a z nimi ruszyło się sumienie i wyrzucało mu, że opiekun jego nic z tego nie wiedział, że wychowując, nie wiedział komu łaskę świadczy. Ta myśl odjęła mu spokój, i po przeprowadzeniu się na Kleparz, myślał wciąż, nad tem, w jaki sposób zabrać się do odkrycia sekretów swego dzieciństwa, chciał to uczynić a bał się tej chwili i odsuwał ją z dnia na dzień, bał się, gdy pomyślał, że jedno słowo jego wyznania może pozbawić go miłości opiekuna. Aż jednego dnia odważył się przeciw na ten krok stanowczy — właśnie w tym dniu Zygmunt był nadzwyczaj dobrym dla niego, Leon patrzył na tę dobroć, jak na zachodzące słońce, które może już później nie wejdzie dla niego; ta myśl czyniła go smętnym i dziwnie rzewnym, — mimowoli rozplakał się.

— Co ci to Leonku? — spytał go opiekun dobrotliwie.

— Nic, nic mój ojczy, przypomniało mi się tylko jakby to okropnie było, gdybyś ty nie mógł być już dla mnie tak dobrym jak teraz.

— I czemuż to miałbym się zmienić?

— Czemu? — spytał Leon i ciężko odetchnął. — Ty nie wiesz jeszcze wszystkiego mój ojczy, ja ci mam wyznać straszną tajemnicę.

— Tajemnicę? Jakaż to?

— Ty nie wiesz, kogoś ty chował w swoim domu, może myślałeś że sieroto, a to małe dziecko, któremuś ty dał przytułek, już było zbrodniarzem.

— Wiedziałem o tem mój synu.

— Wiedziałeś? — chłopiec zrobił duże oczy i z zadziwieniem zwrócił je na mówiącego, jeden rys szlachetny więcej odszukał w duszy swego opiekuna i wielbił go i szanował za to.

Ten człowiek wiedział o jego przeszłym życiu i przez tyle lat ani jednym słowem nie dał mu tego uczuć, w najdrażliwszych chwilach nie zadrasnął go pogardliwym wyrazem.

Taka delikatność potęgowała niesłychanie w sercu wychowanka miłość i wdzięczność dla swego dobroczyńcy.

— Więc ty ojczy wiedziałeś o tem, że ja byłem zbrodniarzem?

— Że byłeś wśród zbrodniarzy, bo zbrodniarzem nie byłeś. Na zły czyn trzeba rozmysłu i przyczynienia się woli — a ty tych obu warunków nie miałeś. Na tej glebie, na której rósłeś, mógł z ciebie stać się wielki zbrodniarz, ale Bóg nie chciał tego.

Tak skończyła się ta chwila, której Leon tak

się obawiał, odtąd stósunek mistrza i ucznia stał się jeszcze bliższy i gorętszy. Zygmunt czuł się odrodzonym w Leonie, w nim ukochał wszystkich ludzi i przez niego pracował dla nich. Leon znowu wiedział, że wszystko był winien opiekunowi, ten opiekun stał się dla niego wszystkim, i im bardziej bał się zbliżenia do ludzi, tym więcej zbliżał się do niego. Wszędzie prawie spotykano ich razem; mieszkali w jednym z domków naprzeciw św. Floryana — nikt ich tam nie znał, nikt nie podejrzewał, mogli więc bezpiecznie i niezakłócenie używać szczęścia. — Na Kleparzu Zygmunt uchodził za kapitalistę, a Leon za jego syna chodzącego do szkół.

Jednego dnia, kiedy Leon sam siedział w domu nad książką, ktoś wszedł do izby — był pewny, że to jego opiekun i zwrócił się ku niemu. Jednak zamiast opiekuna, zobaczył jakiegoś obcego człowieka, obdartego, z głową spuszczoną ku ziemi, a oczami bystro rozglądającego się po izbie. Trwożne, nieprzyjemne uczucie ogarnęło Leona na widok tego człowieka, jego ciekawe, rozpatrywanie się przerażało go; trudno mu było dobyć głosu z piersi, wreszcie zapytał:

— Czegóż to chcecie?

— Czego? — odmruknął przybyły ponuro,

wahająco, niepewnie, i zbliżając się nieznacznie do siedzącego chłopca, nagle rzucił się na niego, chwycił silnie, założył chustkę na szyję i pięścią grożąc nakazywał milczenie.

Leon wił się i wyprężał w silnych ramionach obcego człowieka, usiłował krzyknąć, nie mógł, twarz coraz stawała się czarniejszą, złoczyńca w strasznym milczeniu i spokoju oczekiwał śmierci ofiary. Leon spojrzął mu w twarz i drgnął cały, a przez ściśnięte gardło przedarł się z natężeniem głos a raczej syczenie:

— Żelazny.

Złoczyńca przypatrzył się uważnie konającemu i popuścił chustkę — poznał swojego syna.

— A to ty Leon, djabeł że się tego spodziewał. Żebyś był wiedział, nie byłbym na tę operacją niepotrzebnie czasu tracił, bo przecież nie chciałbyś własnemu ojcu przeszkadzać w interesie. Więc ty tutaj? A myśleli, że cię już dawno djabli wzięli, ledwie cię poznał, tak z pańska wyglądasz. Musi ci tu być nieźle, co? Ten twój dobroczyńca, czy tam pan, podobno ma grosiwo? Musisz go uczciwie skubać?

Leon nic nie odpowiadał, puszczonego upadł bezsilny na krzesło; długie pasowanie się i ściśnięcie szyi uczyniły go na pół omdlałym i nie

przytomnym. Słowa ojca, który mu się pokazał w tak okropny sposób, przypomnienie złodziejskiej nory, kołowały w jego głowie, jak ciężkie, męczące sny.

— No, ale czasu szkoda, może kto nadejść. Słuchajno Leonku, ty wiesz przecie, gdzie on chowa pieniądze, może masz klucze, to daj kochanku — i głąskał go po twarzy. — No, nie bój się, zabierzemy i pójdziemy, bo przecież tu nie zostaniesz? Tu ci się śmiertelnie nudzić musi, wrócisz do nas.

Leon ścisnął brwi, ponuro spojrzął na ojca i chciał coś powiedzieć, ale omdlał znowu, powieki zsunęły się na zbladłe oczy, głowa bezwładnie opadała na poręcz krzesła.

— Mazgaj — mruknął niecierpliwie Żelazny i porzuciwszy syna począł czynić poszukiwania z widrychem. Otwierał jeden zamek po drugim, nigdzie nie znalazł tego, czego szukał, tkał w kieszeń napotkane kosztowności, ale nie po to przyszedł, nie dla tej bagateli zarzucał chłopcu chustkę na szyję; jego tu przywabiła wieść o majątku kapitalisty, tego majątku szukał. Wreszcie w jednej szufladce biurka znalazł ruloniki dukatów, chwycił je skwapliwie, a lubo wcale innej, lepszej spodziewał się zdobyć, przecież nie pogardzi

i tem co znalazł, i zabrawszy ruloniki w chustkę, niedbając już o syna, zmierzał ku drzwiom.

W tej chwili Leon ocknął się, jeden rzut oka po pokoju, przekonał go o dokonaniu ohydnej zbrodni — gorliwość o mienie opiekuna dodała mu sił — rzucił się ku drzwiom i pochwyił silnie za węzełek, rękami jak kleszczami wpił się w niego i wołał:

— Oddaj, oddaj — ratunku, ratunku, złodziej ! —

Żelazny zbladł, potem nasrożył się:

— Leonku nie bądź głupi, jeżeli chcesz się podzielić, to chodź ze mną; podzielimy się sumiennie.

Chłopiec nie przestawał krzyżeć. Żelazny przygryzł wargi, spojrzął na syna strasznym wzrokiem, w którym jakiś namysł okropny widać było, i rozwścieklony chwycił go za ramię.

— Leon milcz, milcz przez Boga, bo.....

chciał znowu dobyć coś, nie wiem chustkę czy nóż, ale się wstrzymał i zmienił sposób obejścia, zlagodniał i rzekł:

— I miałbyś ty sumienie własnego ojca oddawać do kryminału na długie lata?

Leon ucichnął, okropna walka szarpała mu piersi, z jednej strony obowiązki względem opie

kuna nakazywały mu bronić jego mienia, przytrzymać złodzieja, ale z drugiej strony znowu ten złodziej — to jego ojciec, oddając go w ręce sprawiedliwości, stanie się okrutnym dzieckiem, a do tego połowa hańby spadnie na niego. Przypomniał sobie ponure kaźnie kryminału, dozorców, surowe twarze sędziów, przed którymi musiałby teraz stawać, i zamilkł, spuściwszy głowę na piersi.

— No widzisz, z ciebie dobro dziecko, no puść mnie, puść.

Leon patrzył przed siebie sztywnym, osłupiałym wzrokiem, namyslał się, ale trzymał wciąż silnie w ręku zawiniątko z dukatami.

— To jego cały majątek, zostaw, — on taki dobry — prosił ojca.

Stary złodziej zaśmiał się na to obrzydliwym, cynicznym śmiechem, i korzystając z chwili, silnym uderzeniem pięści odtrącił Leona, wybiegł z pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą.

Gdy Leon podniósł się z ziemi, pierwszą jego myślą było lecieć za złodziejem, ale wstrzymał się. Stał nad otwartym biurkiem i załamał ręce. Twarz jego wyrażała straszną rozpacz i boleść ; nie mógł sobie wytłomaczyć, czy w tej chwili był cnotliwym, czy zbrodniarzem, myśl jego

zaplątała się w bezdroża i nie mogła trafić do prawdy.

W takim zamyśleniu zastał go Zygmunt. Jego przybycie przywróciło Leona do przytomności, przypomniał sobie co przed chwilą zaszło, zbladł i zadrżał.

— Co to jest Leonku, taki nieporządek, co to znaczy? — pytał powoli, spokojnie opiekun, niedomyślając się żadnego nieszczęścia, i zbliżył się do biurka, ale jeden rzut oka na schówkę z dukatami powiedział mu wszystko — zdumiał się i pytające oczy obrócił na Leona.

— Co się stało? gdzie pieniądze?

Leon rzucił się do nóg jego i prosił łkając:

— Ukarz mnie, ukarz mnie strasznie. Zygmunt z rodzajem odrazy odsunął się od niego, podejrzenie opanowało go. Uwierzył na chwilę, że tyle lat nie zdołały przetranszować zupełnie duszy Leona, że w nim zostały zarody złego, które ktoś umiał rozdmuchać, że Leon znosił się tajemnie z dawnymi znajomymi i z ich pomocą dokonał zbrodni.

— Kto tu był? — spytał surowo.

Ton zapytania ukłół mocno Leona, pomimo, że się tego spodziewał, że się na to przygotował,

ukłół go, bo jego mistrz nigdy jeszcze tym tonem nie przemówił do niego.

— Leonie, kto wziął te pieniądze?

Leon milczał, nie mógł wymówić tego słowa: ojciec.

— Gdzie pieniądze? Czy tyś je wziął? Leon zaryczał aże, tak go te słowa zabolaly.

— Och, to okropnie!

W głosie znać było niewinność jego i mękę posądzonej duszy; Zygmunt poznał się na tem, zmienił więc obejście i łagodnie odezwał się:

— Leonie, czemu masz tajemnicę, przedemną? Milczenie twoje naprowadza mnie na straszne, brzydkie podejrzenia. Ktoś wziął pieniądze, ale kto ? Czemuś nie zatrzymał go, czemuś nie wołał o pomoc?

— Bo..... bo to był mój ojciec — wyjąknął Leon i schował ze wstydu twarz w fałdy sukni.

— Twój ojciec — teraz rozumiem wszystko. Leonku, teraz ja czuję się winnym.

To mówiąc, wziął chłopca za rękę i pociągnawszy ku sobie przytulił jego głowę do piersi.

— Leonku, cieszę się z ciebie, tyś uszanował ojca, choć nie zasłużył sobie na to. Ale dzieci nie mogą sędzić postępków rodziców, bo wtedy

rozpręłyby się wszystkie węzły familijnego życia. Można nie iść za radą i przykładem rodziców, jeżeli się te sprzeciwiają naszym zasadom, naszemu sumieniowi, ale potępiać rodziców nie wolno. W przykazaniach stoi: "Czcij ojca i matkę swoją" — obok tego nie ma żadnego zastrzeżenia, żadnego wyjątku. Nie mówiłem ci nigdy o twoich rodzicach, nie pytałem o nich, ale bolało mnie, że przez tyle lat tyś nie wspomniał o nich, choćby litując się nad nimi. Dziś pocieszyłeś mnie. Syn nie mógł nazwać ojca zbrodniarzem i chwycić go, ja to rozumiem, do kogo innego należy sąd i wyrok. W tych kradzionych pieniądzech jest już kara, bo czy myślisz, że to uczyni go bogatym, że go zabezpieczy od nędzy? Pokaż mi zamożnego złodzieja. Ale nie mówmy już o tem. Stało się. — Muszę ci jednak powiedzieć smutną prawdę, że ta kradzież pozbawiła mnie wszystkich moich zasobów, jesteśmy biedni. W Krakowie utrzymania znaleźć nam nie podobna, trzeba nam wyjechać do Warszawy i to jak najspieszniej, aby nam wystarczyły te pieniądze, które mam przy sobie. Jutro więc wyjeżdżamy.

XVI. W WARSZAWIE.

Kraków nie tylko objętością i liczbą mieszkańców stoi o wiele w tyle za Warszawą, bardziej jeszcze brakiem ruchu i życia. Czy to tkniemy literatury, czy handlu, czy przemysłu, czy urzędzeń — wszędzie napotykamy mierność i stagnację, wszystko rozwija się na skromne rozmiary, nieproporcjonalne nawet do dosyć szczupłej ludności; krócej powiedziawszy, Kraków nie umie wszystkim swoim mieszkańcom dać odpowiedniego zarobkowania, ztąd taki wzrost proletaryatu, ztąd konieczna emigracja pewnej części ludności do innych miast za zarobkiem. Tak było dawniej tak jest i teraz. Jednym z takich azylów, chroniących przed nędzą, była Warszawa. Ludzie, których Kraków nie umiał zatrudnić, zużytkować, którzy tu łamali się z biedą i kłopotami życia — w Warszawie znajdowali pomieszczenie, odpowiednie swym zdolnościom i usposobieniom. Mnóstwo nazwisk, nawet głośniejszych i znanych, mógłbym: przytoczyć na poparcie tego co powiedziałem, wstrzymuję się jednak od dowodzenia tego, co nie potrzebuje dowodzenia.

Podobnie stało się i z naszymi znajomymi: Leonem i Zygmuntem; podczas gdy w Krakowie tylko zaoszczędzone fundusze utrzymywały ich, w Warszawie po kilku tygodniach znaleźli dostatnie utrzymanie i zabezpieczenie. Leon dostał się za instruktora do domu jakiegoś radcy. Zygmunt pracował przy jednym z pism warszawskich. Dwie rzeczy tylko zakłócały ich szczęście, to jest: tęsknota za starym Krakowem i rozdzielenie. Przyzwyczaili się tak do siebie, że z początku rozdział był im bardzo bolesny i z upragnieniem oczekiwali tej chwili, w której uwolniwszy się od obowiązków, mogli się schodzić razem. Kraków był ulubionym przedmiotem ich pogadanek; to miasto ciągnęło ich do siebie, nie doświadczyli w nim nic, prócz przykrości i zmartwień, nie nęciła ich tam przyjaźń i dobroć ludzi — ale urok starych murów i pamiątek, ale ona ziemia krakowska, taka wdzięczna i piękna w każdym zakątku. Kto raz rozpieści duszę temi ślicznościami, rozpiętymi wśród trzech mogił, kto się wraz z poetą nasłucha gwaru drzew nadwiślańskich, szmeru wody i szumu lasów, kto wezwycza oko do tych połamanych linii pagórków zielonych, na których czepią się wioski i białe dworki, do sinego tła tatrzańskich gór, kto się rozmiłował w śpiewach

pastuszych, pod chłodnemi cieniami olch karłowatych — temu trudno będzie zapomnieć tego wszystkiego, odwyknąć od tego, przyzwyczać się do obszernych ulic wielkiego miasta, do jego ruchu.

Nasi tułacze nie mogli rozstać się z tą myślą, że kiedyś wrócą do Krakowa, ta myśl cieszyła ich; ale kiedy to miało nastąpić, nad tem nie myśleli nigdy, bo głos serca ciszyli obowiązkiem życia. Tam byłoby im dobrze, ale tutaj są potrzebni, są użyteczni. Ta surowa, poważna strona życia, nakazywała im poświęcać własne zachcenia. Stało się jednakże, że jeden z nich pierwiej, niż sądził, wrócił, a to wskutek następującego zdarzenia:

Na imieninach radcy, w którego domu był Leon, zebrało się wiele gości. Pomiędzy zaproszonymi znajdował się także Zygmunt. Podczas herbaty rozglądając się po towarzystwie, którego większą połowę nie znał, spotkał się z wzrokiem jakiegoś jegomościa, który mu się pilnie przypatrywał. Jegomość ten siedział obok gospodarza domu. Zygmunt nie zważał na to wiele, ale gdy po chwili spojrział znowu w tamtą stronę i zobaczył ten sam wzrok wlepiony w niego, zdziwił się i zaniepokoił. Korzystając z chwili, w której

ów obserwujący go jegomość nachylił się do radcy i szeptał mu coś do ucha, Zygmunt przypatrzył mu się lepiej i pobladał — w owym nieznanym jegomościu poznał sędziego śledczego z Krakowa. Co mówił w tej chwili do radcy, łatwo się można było domyśleć po zmieszaniu tego ostatniego i po spojrzeniu, jakie rzucił na swego gościa. Zygmunt silił się na spokój, wytrzymywał pogardliwe spojrzenia tych dwóch ludzi — ale nie mógł ukryć pomieszania, spojrzenia tych dwóch ludzi płomieniami paliły mu twarz. Po herbacie wstał spiesźnie, wmieszał się między tłum gości i wyszedł, uciekając spiesźnie do domu. Nie za zbrodnię, się wstydził, bo jej nie popełnił, ale bolała go podejrzliwość ludzi, ale rumienił się przed samą nazwą złooczyńcy.

Całą noc przepędził bezsennie, rozmyślając nad smutnem przeznaczeniem, które go i tutaj dosięgło. Tyle mil odgraniczało go od miejsca, w którym zaciężyły na nim pozory zbrodni, uciekł ztamtąd a jednak one przywlekły się za nim, prześladowając go i nie dając spokojnie pracować między ludźmi. To go drażniło — zerwał się i chodził szybkim krokiem po pokoju. Gdy się jednak nieco uspokoił, począł z większą rozwagą zastanawiać się nad dzisiejszym wypadkiem.

Zygmunt nie wierzył w przypadek, — w każdym przypadku szukał poprzednich danych, które go spowodowały, i następstw, dla których ten wypadek się stał. Tak i tutaj uczynił — począł rozmyślać, jakie znaczenie, jaką przestrogę mieści w jego życiu ten wypadek? — Jakie następstwa mieć może dla niego? I odpowiedział sobie: złe. Potwarz i obmowa szerzą się jak zaraza, kto wie, ilu ludzi potępia go już w tej chwili. Gdyby był sam, pogardzałby opinią; ale los jego był ściśle związany z losem Leona, a Leon wchodził w świat, w życie, w stósunki z ludźmi — miałże młodemu poczynającemu zawód chłopcu, dać część tej hańby, miałże uczynić go współnikiem swoim?

— Nie, trzeba się nam rozłączyć — powiedział sobie, ale w tej chwili zachwiał się w postanowieniu — na myśl o rozłączeniu się z Leonem, uczuł próżnią koło siebie; oprócz tego chłopca, w którego wlał całą duszę swoją, całą miłość, on nie miał nikogo, całkiem nikogo. Porzucić go, znaczyło dla niego tyle, co nie żyć. Ta myśl była dla niego okropną. Czuł, że dla dobra Leona, to rozłączenie stać się powinno, a nie mógł zgodzić się na to; bał się myśleć o tej chwili, co miała rozdzielić ich drogi.

Wschodzące słońce zastało Zygmunta w krześle

drzemiącego — nad ranem dopiero usnął ze znużenia, na bladej jego twarzy zasnął z nim wyraz cierpienia i męki. — Turkot zajeżdżającego przed dom powozu obudził go. Przetarł oczy i zbliżył się ku oknu. Jakże się zdziwił, gdy zobaczył Leona wysiadającego z doróżki a za nim służącego niosącego kuferek. Ten widok ukłół go czegoś, niemiłe przecucie owładnęło go. Leon wszedł do pokoju trochę zakłopotany, przywitał się z opiekunem, niepatrząc mu w oczy.

— Leonie, co się to ma znaczyć? — spytał go Zygmunt, gdy zostali sami.

— Nie jestem już więcej u państwa radzców.

— Czemu?

— Sam nie wiem. Dziś rano radzca wszedł do mego pokoju, zaczął chwalić mój talent, moje sprawowanie, mówił, że z mojej nauki jest kontent, ale że synowie jego, w skutek rady lekarskiej, potrzebują spiesznie wyjeżdżać na wieś, może dziś jeszcze. Ze jeżeli chcę, mogę jeszcze kilka dni zabawić u nich, dopóki sobie innego miejsca nie wyszukam — na co ja się nie zgodziłem, bo i pocóż mam ten czas bez zajęcia przepędzać w domu radzcy, kiedy go mogę przy tobie drogi ojczy przepędzić.

Zygmunt sposepniał i zamyślił się.

— I nie domyślasz się wcale, dla czego radzca. tak nagle pozbył się ciebie?

— Wcale nie — uważałem tylko w jego obejściu się ze mną jakąś nienaturalności, i nie wiem czemu, ale mimo grzecznych słów jego, czułem się tą odprawą upokorzony, zawstydzony, nawet ta myśl, że jadę do ciebie, nie rozjaśniła mnie, nie cieszyła tyle co zawsze. Nad tą radością wisiała chmura niewytłomaczonego smutku.

— Ja ci wytłomaczę. Siądź obok mnie i słuchaj. — Przypominasz sobie ową kaźnię kryminalną z małym okienkiem, wsuniętem w głąb muru?

— Po co mi to przypominasz? — zapytał Leon z bolesnym wyrzutem.

— Czy pamiętasz wszystkich twoich towarzyszków z tej kaźni?

— Jak przez sen.

— A jednak mnieś nie zapamiętał. Chłopiec podniósł się na stołku z podziwu i spojrzął na mistrza. To wyznanie uderzyło w niego tak niespodziewanie, że nie mógł przyjść do słowa. Jakżeż on mógł uwierzyć, żeby ten człowiek, w którym on cienia złego nie odkrył, którego całe życie było takie czyste, szlachetne, tak pełne poświęcenia i ofiar — żeby ten człowiek mógł

być zbrodniarzem? — W to uwierzyć było za trudne.

— Tak, i ja tam byłem — ciągnął smutnym tonem Zygmunt. — Pozory wtrąciły mnie niewinnie między złoczyńców — tam poznałem ciebie. Nie żałuję tego; bo to dało mi sposobność do zrobienia pięknego czynu, twoje życie będzie nagrodą za moje niezasażone cierpienie. Ale ażeby to życie twoje poszło dobrze — potrzeba aby było wolne od podejrzeń, czyste — aby opinia ludzi nie rzucała ci zawad pod nogi. — Dla tego musimy się rozłączyć.

— O nie czyni tego! — zawołał Leon — ja nie chcę życia, ludzi, nie dbam o opinię, bylebym był z tobą — to mówiąc rzucił mu się do nóg i całował i prosił.

Twarc Zygmunta w tej chwili miała na sobie ślady strasznej walki wewnętrznej. To, co go czyniło szczęśliwym, prosiło się u nóg jego, by je nie odpychał — a głos wewnętrzny kazał mu pożegnać się z tem szczęściem.

— Ja nie chcę wielkości, nie chcę nic, tylko ciebie.

— Ale ja chcę Leonie — rzekł Zygmunt poważnie, poskramiając wzruszenie — nie twojej wielkości chcę, ale chcę żebyś był użytecznym

w społeczeństwie. Ja teraz zawadzałbym ci tylko, pozory, które mnie potępiają, mogłyby i twoją dosięgnąć głowę. Tobo mi zatrulo resztę dni. Patrz, wczoraj poznał mnie u radzcy sędzia śledzczy, dziś z tego powodu oddalono ciebie. — Na tobie ciążyą pozory, a na mnie rzeczywistość zbrodni.

— Nie, o dziecku takim jak ty byłeś, bez imienia, nie wiedzą akta kryminalne, zapomnieli sędziowie, nie uważali na ciebie ludzie. Ze mną rzecz się ma inaczej. Ślady twej przeszłości zatarły się za tobą, a na mnie ciąży. Pamiętasz ową scenę wśród dzieci na łące — tam nie wołano na ciebie: kryminalista, jeno syn kryminalisty — tam już byłeś dziedzicem mojej hańby. Mamże pozwolić, by tak było zawsze?

— Więc wyjedźmy ztąd gdzieindziej.

— I tak wciąż tułać się? Nie, nie chcę. My się rozstać musimy. Ja już tobie nie potrzebny — wszystko com umiał, co czułem, przelałem w ciebie, dziś mogę już umrzeć dla świata.

— Ja na to nie pozwolę, ja się przyczepię do nóg twoich, pójdę wszędzie za tobą.

Zygmunta głos słabiał, ta prośba była powtórzeniem najgorętszych życzeń jego serca, a jednak oprzeć się jej musiał.

— Leonie, mówiłem ci, że chcę umrzeć dla świata, nie opieraj się więc woli umierającego, ale ją uszanuj. Ja wracam do miasta, któreśmy oba tak ukochali, w murach Bielańskiego klasztoru spędzę resztę dni. Ztamtąd duch mój będzie czuwał nad tobą, tam radować się będę, słysząc, żeś szczęśliwy, a nadewszystko, żeś poczciwy i zacny.

Mówił te słowa z taką powagą, że Leon nie śmiał, nic umiał odezwać się przeciw tym słowom, zdawało mu się rzeczywiście, że słyszy ostatnią wolę człowieka, co umrze za chwilę. Słuchał więc i płakał pocichu. Potem Zygmunt zwrócił rozmowę na inny przedmiot.

Leon miał nadzieję, że wyjazd nie tak prędko nastąpi, że to, co mówił jego opiekun, mówił pod pierwszym wrażeniem wczorajszego zajścia, że później to wrażenie się zatrze i on pozostanie w Warszawie.

Tą nadzieją rozweselił się.

Tego samego dnia w nocy, gdy Leon już dobrze spał, w drugim pokoiku świeciła się lampa, Zygmunt pisał listy i pieczętował. W twarzy jego był ponury, niepoczieszony smutek. Gdy skończył pisanie, wziął listy i lampę i otworzywszy cicho drzwi, wsunął się do pokoju, w którym spał

Leon. Położył listy i jakiś pakiecik na stoliku i usiadłszy przy łóżku przypatrywał się śpiącemu. Wzrok jego był łzawy, rzewny, tęskny — usta drgały, a ręce miał złożone. Może modlił się. Potem złożył lekki pocałunek na czole śpiącego, przeżegnał go i wybiegł prędko z pokoju.

Na drugi dzień, gdy Leon się przebudził, uderzył jego oczy list i pakiet na stole. Myśląc, że to przyniesiono z poczty dla jego opiekuna, wziął list i pakiet ciężki, zapewne z pieniędzmi, i zaniósł do drugiego pokoju.

Pokój był pusty — z listu dowiedział się Leon o wyjeździe swego opiekuna.

Zygmunt wstąpił do klasztoru i przyjął święcenie pod imieniem: ojca Adryana.

XVII. NOWA PUTYFARA.

Po tym epizodzie z przeszłości Leona, wracam znowu do dalszego ciągu powieści.

Na drugi dzień po balu hrabianka Helena była smutna — ciotka Herminia kwaśna i niezadowolniona. Przyczynę niezadowolnienia starze

jącej się kokietki nietrudno odszukać; skazana na rekreację w cichym pałacu hrabiego, pani Herminia obiecywała sobie bardzo wiele po tegorocznym karnawale; jadąc na wczorajszy bal, wystawiła całą baterię swoich wdzięków, chciała i spodziewała się choćby małego zwycięstwa nad kilkoma młodymi ludźmi. Tymczasem bal był tak liczny, świat wyższy reprezentowany na nim przez piękności tak odznaczające się, że złotej młodzieży brakło oczów i chęci na podziwianie pięknego niegdyś, a dziś już przekwitającego kwiatu elegantki. Do tego jeszcze towarzystwo jej kuzynki stawiało ją zupełnie w cieniu; kilku z młodzieży, którzy zbliżyli się do niej, rozmawiali z nią dla tego tylko, aby mogli być przez nią przedstawieni pięknej hrabiance, patrzeć na nią i zbliżyć się do niej. — To wszystko drażniło panią Herminia, gniewało ją, że w tłumie młodzieży nie spostrzegła ani jednego wzroku utkwionego w nią, nie usłyszała ani jednego komplementu; wcześniej więc opuściła salę balową, w czym się jej kuzynka wcale nie sprzeciwiała, bo i ona była niezadowolniona. Bal, który sobie wymarzyła, a ten, który widziała, były tak niepodobne do siebie, jak niepodobnym jest każde marzenie do rzeczywistości. Zdawało się hrabiance, że bal ją upoi,

zachwyci, uniesie — że to będzie chwila pięknego szału — a zobaczyła rzecz zwyczajną: ludzi poruszających się podług muzycznego taktu, bez zapału, uczenie — słyszała rozmowy puste, czerze; jałowe, nawet zimne. Chłodna konwencjonalność trzymała w karchach uciechę, zamiast zabawy ujrzała popis, wystawę, wzajemny przegląd, jałowy śmiech. Komplementa młodych ludzi otaczających ją, znudziły ją prędko i męczyły. Nie wymagała od nich uczonych rozpraw na balu, ale chciała choć w jednej twarzy wyczytać głębszą myśl, dopatrzeć jakieś znamię duchowej siły, coś, coby ją zajęło, coby jej zaimponowało; nic mogła znaleźć tego. Potakiwano jej zdaniu, unoszono się nad jej dowcipem i nic więcej. Wszyscy byli grzeczni, ułożeni, modni, nawet piękni, jak figurki z saskiej porcelany, zdobiące jej biurko, a ona szukała człowieka. Figurkami bawiła się, ale żadna ją nie zajęła. — Czasem oczy jej wybiegły po za kółko młodzieży brzęczącej pochlebstwa miiodowe i oklepane frazesy — w tłumie przesuującym się i rojącym po sali szukała kogoś — może Leona. Być może, że radaby go była widzieć w tej chwili, choćby dla porównania go z innymi. Szukała go napróżno.

Przy takim usposobieniu nie można się dziwić, że opuściła salę balową bez smutku. Młodzież ściagała ją grzecznosciami i spojrzeciami aż do drzwi. Gdy wyszła, osądzono: że hrabianka Zatorska jest cudownie piękną, że jest bardzo dobrą ale zbyt poważną i zimną. — Ten chłód powagi nie szkodził jej wcale w opinii młodzieży, obok milionowego jej majątku stał się jednym urokiem więcej i nie jednemu w pobalowym śnie przesunęła się gwiazda nadziei, mająca twarz podobną do milionowej hrabianki. Inaczej wcale marzyła Helena, opuściła salę balową bez owego rozkosznego drżenia, jakiego doświadcza kobieta młoda, gdy ją owionie atmosfera balowa, gdy tony muzyczne dotkną się namiętnie śpiących uczuć dziewiczego serca, zbudzą je i wprawią w chaotyczny ruch, mieszają je i płaczą jak rozchukane pary. Dusza jej zamyślona przepłynęła po nad tą falą ułud, nie zmaczawszy w niej skrzydeł, nie porwana przez nią. Przebudzenie jej na drugi dzień po balu było spokojne, bez rozkosznego zamyślenia się, przypomnień, westchnień; pierwsza myśl, która się jej przewinęła po głowie, była:

— Ale czemu Leona nie było wczoraj na balu?

A potem myślała sobie:

— Dziś przyjdzie.

Znając jaż nieco duszę Heleny, nie dziwimy się, bardzo, że tą myślą przywitała dzień, ale to nas zadziwi niepomalu, że i pani Herminia, w chwili ocknięcia się ze snu, myślała także o Leonie. Wczoraj spodziewała się go na balu, przekonana była, że zbliży się do nich i przygotowała mu już zimne, pogardliwe spojrzenie, które go miało trzymać w przyzwoitej od nich odległości, a do tego kilka słów na odczepne. Nie sama duma pańska skłaniała ją do takiego postępowania; panią Horminią gniewała niesłychanie obojętność Leona, jego ton lekceważący w obejściu się z nią. Jej się zdawało, że człowiek taki jak Leon, z jakimś dziwnym nazwiskiem, powinien wchodzić do salonu ze drżeniem, każdy wyraz łaskawszy przyjmować z głębokim ukłonem; a tymczasem Leon znajdował się podczas lekcji tak, jak gdyby salon był jego mieszkaniem, a herbowi ludzie równi jemu. Co więcej gniewało ją to to, że ile razy chciała sztywną miną i pogardliwym wzrokiem dać mu uczuć to, Leon zdawał się nie zważać na to, nie widział tego. — Bywały także chwile lepszego humoru pani Herminii, chwile, w których raczyła łaskawym wzro-

kiem spocząć na pięknej, męskiej twarzy nauczyciela, przemówić do niego kilka słów. Na tę łaskawość Leon odpowiadał kilkoma krótkimi słowami, urywał wnet rozmowę i wracał do dalszego wykładu. Tego nie mogła mu przebaczyć kokietka, która lubiła podboje na różnych polach, — duma i miłość własna czuły się rozdrażnione postępowaniem plebeusza. Na balu postanowiła odplacić mu to. Tymczasem Leon nie pokazał się wcale przy nich. Ten takt w postępowaniu jego zdziwił ją.

To krótkie zajęcie się Leonem, było maleńkim intermezzo w myślach elegantki, zatrzymała się chwilowo nad tem, jak się zatrzymuje wzrok czasami na arabeskach pokoju, na deseniku jakiegoś haftu; przeszło ono niepostrzeżenie i schowało się w balowym tłumie innych myśli i zajęć. Ale w nocy sen czarodziej odszukał tę drobnostkę, odział ją całą pięknoscia złudzenia i rzucił dla rozkoszy salonowej lwicy.

Leon śnił się jej.

Tylko senna wyobraźnia rozkosznicy przemieniła jego charakter i pod twardą, kamienną powłoką jego spokoju i powagi rozpalila ogień namiętności. Gdzieś na jakiejś uczcie ściagał ją swoim wzrokiem, w którym była wypisana żądza — jej

nerwy łaskotał ten wzrok i roznamiętniał ją. W tem nagle w domu, w którym odbywała się uczta, wszczął się pożar; palący się sufit oświecił przestraszone twarze biesiadników, zamieszanie stało się wielkie. Wtedy Leon przecisnął się przez tłum, chwycił ją omdlałą w pól, przyciskał silnie do piersi i uniósł spieszenie za dom, w las, w ciemność. Uścisk jego był silny, rozkoszny, oddech krótki, gorący, gorętszy od tego ognia, co palił dom. Pani Herminia zemdlala po raz drugi; już nie z przestachu, ale z rozkoszy. . . .

Ranek przerwał dalszy wątek tego snu — Herminia, już nie śpiąc długo, jeszcze miała przymknięto powieki i powtarzała sobie uludę. Wspomnienie balu ją gniewało, wspomnienie snu wprawilo w miłą zadumę. ...
Zkądże sen taki?

Złożył się z pojedynczych myśli, przelatujących niekiedy po głowie pani Herminii. Była dumną, ale przy tem i namiętną. Duma kazała jej deptać po człowieku takim, jak Leon, nie uważać na niego, namiętność pokazywała jej palcem jego urodę i młodość. Nieraz podczas lekcji wzrok jej spoczywał na pięknej twarzy Leona, wzrok lubieżny i wyzywający, ale jakeśmy to wyżej powiedzieli, Leon nie zważał na to, nie widział tego. To ją

drażniło. Rzuciła więc precz od siebie tę zabawkę, jak jedwab, którego rozmotać nie można póki miłość własna nie kazała jej znowu powtórzyć usiłowań, które znowu były bezskuteczne. Tak z nienawiści ku Leonowi przechodziła do łaskawości i na odwrót. Potrzeba było jednak wielkiego znawcy, by poznać namiętność palącą się pod lodowatym nakryciem dumy, by z obejścia się jej trochę sztywnego, rzadko łaskawego lub grzecznego, można było poznać jej zachcenia. Całkiem kortyny podnosić nie chciała, a może nie umiała. Jedno uczucie nie chciało uczynić ustępstwa dla drugiego; chciałyby bez zachodu, bez kłopotu mieć Leona powolnego swym chęciom, jak służbę na zawołanie, której każdego czasu można rozkazać: odejdz! — Leon nie rozumiał tego, a ona jasno powiedzieć nie chciała, by nie ubliżyć sobie.

Te więc podejmowane i znowu porzucane przez nią zabawki i myśli — a z drugiej strony nieobecność Leona na balu, która ją tak zadziwiła, złożyły się na ten rozkoszny sen, który w tej chwili, jak piękna pokusa, stoi przed jej oczami. Pod wrażeniem tego snu, oczekiwała dziś Leona niecierpliwie, również jak i hrabianka Helena. Obydwie nie mówiły nic o nim. Pierwsza

postanowiła być dziś dla niego łaskawszą niż kiedy, druga gotowała mu burę za wczorajszą niebytności na balu. Wreszcie wszedł oczekiwany.

Hrabianka z udaniem rozdaśaniem odwróciła się, niby niepatrząc na niego, czekając aż się przybliży. Tem postanowiła go najprzód ukarać. Nie mogła jednak długo wytrzymać w tej pozycji, zwróciła ku niemu oczy i zmieszała się, oniemiała, zobaczywszy twarz Leona. Leon był nadzwyczaj zmieniony, jakby z ciężkiej wstał choroby — oczy w głąb zapadły, i zwykle takie łagodne, teraz trochę ponuro patrzyły.

Wiemy już przyczynę tej przemiany — wczorajszego wieczora Leon przeszedł całe piekło udrczeń; nie dość, że się zrzekł uczucia, które rozświecało mu życie — jeszcze cała przeszłość jego, co jak odłamane skały, wisiała w jego pamięci, zwała się teraz na niego i przygniotła go. Więc znowu czuł się w tej dusznej atmosferze zbrodni, od której go tyle lat dzieliło, był w tej norze szynkowej, gdzie spędził dziecinne lata sromotnie — ów mściwy Izaak, to był ten sam żydek, który go na cmentarzu chciał żywcem zagrzebać. Pierwsze uczucie, jakie go ogarnęło, gdy poznał te miejsca, był przestrach nieopisany,

chciał zerwać się i uciec, jak najdalej ztąd, ale zastąpiły mu drogę słowa ojca Adryana : „W przykazaniach stoi: Czcij ojca i matkę swoją; obok tego nie ma żadnego zastrzeżenia, żadnego wyjątku.” Został więc, i wtedy to zapytał się Izaaka: "Czy tu mieszka jeszcze Żelazny ze swoją żoną?"

— Odpowiedź żyda zgniotła go do reszty; on w głębi duszy miał choć słabą nadzieję, że niepodobna, aby ojciec jego do tego czasu nie zbrzydził sobie haniebnego rzemiosła, że wreszcie wiek, osłabienie, odejmą mu możność i chęć do tego. Dowiedział się, że ojciec skazany za nową kradzież na długie więzienie, a matka gdzieś na włóczędzie.

Ta chwila zbrudziła mu życie wybielone, czyste ; oszpeciła je jak gad, co wypelza na bieliznę. Okropną była ta noc dla niego, okropnie się męczył, jak człowiek na torturach; w tej nocy przecierpiał za kilka lat. Siady wewnętrznej zgryzoty wypisały się na jego twarzy — hrabianka je spostrzegła i wzdrygnęła się.

— Co panu jest? — spytała ze drżeniem.

— Dla czego się pani o to pyta?

— Boś pan tak zmieniony. . . .

— Może na wczorajszym balu zostawiłeś pan swoją świeżość i troszkę zdrowia. Panowie w tym

względnie nie umiecie być oszczędnyimi — odezwała się pani Herrninia, topiąc w nim oczy, połyskujące dziwnym ogniem.

— Nie pani, nie byłem na balu.

Pani Herminia chciała znowu coś powiedzieć przerwał jej lokaj, który wszedłszy, zameldował panią S.

— Proś ją tutaj.

Weszła druga lwica, tylko nieco młodsza, blondyna, o pięknych, krągłych ramionach, i poczęła się między przyjaciółkami żywa, prędka rozmowa, rozumie się po francuzku. Słowa tłoczyły się na słowa niosąc z sobą ploteczki, krytyki, wiadomości przed i pobalowe.

Pod osłoną tych głośnych baterij, Leon swobodnie i bez kontroli mógł rozmawiać z hrabianką.

— Czemuż pan nie był na balu? — Czy wolno wiedzieć? — spytała Helena cicho, nieśmiało.

— Czemu? Dla pani ten powód wyda się może błahą drobnostką, może rozśmiejesz się pani, gdy powiem.

— Mów pan, proszę.

— Jeżeli świat chce od Polski, aby się bawiła, powinien zmienić porządek kalendarza. Karnawał jest dla nas przypomnieniem najboleśniej

szych chwil; szczególnie w ostatnich czasach najdotkliwsze ciosy uderzały w nas w tym czasie właśnie. Więc trudno skakać i weselić się w rocznicę krwawych chwil. Dość wspomnieć rok .

Hrabianka zarumieniła się i zakryła twarz rączkami, przez palce przecisnęły się łzy; odwróciła się ku oknu przed wzrokiem ciotki.

— W tym roku ja straciłam matkę moją. Byliśmy wtedy w jej majątku w Rzeszowskiem, i ja tańczyłam — Boże! —

— Oprócz pani, wiele innych osób okrył ten rok żałobą, dziś zrzucono żałobne szaty, zakryto groby kwiatami i bawią się ludzie, a przecież Bogiem a prawdą nie mamy tak bardzo z czego się cieszyć. Nie ma większego miasta, koło którego nie świeciłyby szubienice męczenników naszych, więzienia pełne, od sybirskich pustyń wieje ponura, beznadziejna tęsknota do naszej ziemi, emigracja rozproszona tuła się i marnieje. Powiedz teraz pani, czy naród, który ma takie wspomnienia, takie obrazy wokoło siebie, może się bawić, czy powinien się bawić?

— Och! a ja nigdy nie pomyślałam o tem — szepnęła hrabianka. — I pan widząc mnie gotującą się na bal, nie powiedziałeś mi nic. Dość

było kilka słów, by mnie wstrzymać, ochronić od tego grzechu, który mi teraz tak ciąży.

— Mówiłaś pani: „Pierwszy raz będę na balu” — nie miałem więc odwagi odrywać pani od tej uciechy, której smaku nie znałaś jeszcze.

— Wtedy przezwyciężenie byłoby większą zasługą, ale pan wątpiłeś we mnie — prawda?

I rzuciła na niego bystre, pytające spojrzenie.

Leon zarumienił się.

— Niedobry pan jesteś, panie Leonie.

— Przyznaję się do winy. Sądziłem, że pani niechętnie przyjmiesz moje uwagi, że będziesz uważać za dziwaka człowieka, który przed drzwiami balowej sali chciałby ci stawiać widma wszystkich boleści naszego porzobiorowego życia.

— Może i miałeś pan słuszność, tak myśląc o nas. Nas od dziecka uczył tylko bawić się i weselić — rzekła poważnie hrabianka, opierając główkę na zgiętych paluszkach prawej ręki.

— Weselić się — to nie grzech; nie chciej mnie pani uważać w tym względzie za radykalistę. Wiem to dobrze, że człowiek nie może zostawać wiecznie pod wpływem jednego uczucia, i boleść i radość ciągle trwające zarówno unużyć go mogą, bo różnorodność leży w naszej naturze;

ale główny ton, który tak silnie odzywa się w pewnych latach naszych cierpień, powinien stanowić akord innych naszych myśli i uczuć; śmiech i chwilowa wesołość pojedynczych nie ubliża narodowi w kajdanach — ale uwłaczają mu i urągają publiczne bale i zabawy.

— I czemuż nikt dotąd nie mówił mi o tem? — odezwała się skarżąco Helena. — Teraz wydaje mi się to tak naturalnem, że dziwię się, iż mi to nie przyszło na myśl. A jednak nie przyszło ani mnie i wielu innym. I czemuż to tak? —

— Aby mózdz smucić się, potrzeba cierpieć.

— Pan musiałeś wiele cierpieć, panie Leonie? — spytała go z wielkiem współczuciem.

Leon ominął odpowiedź, udął że nie słyszy pytania, wyjął z kieszeni Anhellego i rozpoczął lekcję.

Lwice tymczasem trzepały swoje. Nagadawszy się do woli, przybyła blondyna przyłożyła lornetkę do oczów i poczęła się przyglądać nauczycielowi i uczniom siedzącym w przeciwnej stronie pokoju.

— To wcale piękny chłopiec — szepnęła do pani Herminii. — Ma coś interesującego w twarzy i w ruchach. Założyłabym się, że jest twoim

wielbicielem domowym. Co? — zgadłam? — Jaka szkoda, że ja nie mam dzieci!

Pani Herminia nie zaprzeczała domysłom swej przyjaciółki. Jej zajęcie się młodym nauczycielem rozbudziło śpiące zachcenia; Leon wydawał się jej dziś podwójnie pięknym. Domysł, który jak wiemy, był nie prawdziwym, obraził jej miłość własną. Pierwszy raz sama siebie z zadziwieniem zapytała, czemu Leona dotąd nie usidliła swojemi wdziękami? On musi, on powinien, on będzie ją kochał — pomyślała sobie i ta myśl ożywiła ją, zajęła.

Odchodzącego Leona pożegnała uprzejmie i słodko jak nigdy. Oczami kokietującemi odprowadziła go aż do drzwi. — Leon jednak nie widział tego, nie podziękował za to. Był takim przez niewiadomość, przez dziewiczość swego serca. Herminia tego nie przypuszczała.

— Jaki dumny — droży się, nie chce być zwyciężonym — pomyślała sobie.

I ten upór zachęcał ją do zwycięstwa.

Na drugi dzień zabawiała się przy toalecie dłużej niż zwykle, przez co się stało, że Leon przyszedłszy do salonu, zastał samą tylko Helenę. Hrabianka była cała w żalobie, od której precudnie odbijała białość jej twarzy i jasne włosy.

Jakaś uroczysta powaga, dziwna smętność otaczała ją.

— Pani w żałobie? — spytał Leon zaniepokojony.

— Po tem, coś mi pan wczoraj mówił, czyż przystoi mi strój inny? Nie chcę się weselić, dopóki... ..

Słowa te proste, a wielkie treścią, ogarnęły duszę Leona niewymownem rozrzewnieniem, chciał rzucić się przed nią na kolana, ale się nie ośmielił na ten krok, duszą nagiął się przed nią.

— Nie będziesz się teraz mną gorszył panie Leonie, prawda? — O! mów mi wiele, wiele podobnych rzeczy, będę ci wdzięczną.

I podała mu swoją drobną rączkę. Leon w tej chwili nie mógł nie kochać tej kobiety, ona była nie taką jak inne; utopił w nią oczy z uwielbieniem, łzy błyszczały w ich oczach — oboje drżeli, a drzenie ich było podobne do drzenia harf, gdy po nich święta pieśń płynie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się głos za nimi.

Wzdrygnęli się oboje jak kwiaty, gdy pod nimi wąż się przesuwa. Leon z odrazą spojrzął na księdza wchodzącego we drzwi, wydawał mu

się szkaradnym, choć świętą miał minę i świętymi witał słowami.

— Na wieki wieków — odezwała się pani Herminia, wychodząc ze swego pokoju i rzuciła się skwapliwie do ucałowania rączek księdza Aurelego. Lwica zmieniła się w owieczkę. Ksiądz spuścił oczy wstydliwie, stanął i wystawił naprzód piękne, białe ręce swoje do pocałowania.

Każdego pocałunku mlask słyhać było w pokoju — pani Herminia smakowała. — Ksiądz złożył pocałunek na kruczych, pachnących włosach grzesznicy.

Ksiądz Aureli był spowiednikiem pani Herminii, sekretarzem jej grzechów, rozwiązywaczem jej wątpliwości religijnych. Był to jeden z tych pasterzy, których moda podnosi do szczytu świętości, a przynajmniej błogosławienności. Zewnętrzność jego odpowiadała głosowi opinii.

Był cichy, czego już to samo dowodzi, że niesłyszany przez nikogo, wszedł, a raczej wsunął się do salonu. Główka jego mała, ogolona, żółtawa, zawsze na bok się przechylała; wystające jak daszek czoło i sterczące kości policzkowe sprawiły, że oczy wsunęły się mocno w głąb, na podobieństwo ludzi co się czają. Usta miał mięsiste, grube, nieco obwisłe. Na czarnem tle sutanny

bieliły się dwie piękne, pulchne, prawie kobiece ręce, skrzyżowane na piersiach, w sposobie św. Franciszka Serafickiego. W twarzy i postawie przebiegłego księdza przebijała się chytrłość i podłość. — Chód jego był ostrożny, cichy, koci.

Przybycie jego i ciotki skalalo chwilę zachwyty dusz czystych, lecących w niebo. Przeszyci spojrzzeniami świętoszka i kokietki, upadli na ziemię, jak ptak, którego pod obłokami strzał strzelca dogoni.

Niedługo potem Leon wyszedł, unosząc z sobą uczucie wielkie, święte, które odżyło w nim pod promieniami kilku słów Heleny. On kochał znowu. Miłość, którą wczoraj wygnał, przed którą zamknął drzwi swojego serca, wróciła znowu uszlachetniona, odziana w narodowe kolory; anielska, piękna, więc otworzył jej znowu drzwi i ukląkł przed nią. On nie mógł jej nie kochać, bo w niej dopatrywał się tego uczucia, które stało się celem jego życia, uczucie patriotyzmu — to uczucie złączyło ich duszę, podnosiło hrabiankę nad inne kobiety, które znał. Ta, która z miłości dla kraju, umie poświęcić próżność kobiecą, wyrzec się słabostek swej płci, będzie umiała wyrzec się wiele, prze

cierpieć wiele i uczynić wiele. Tak myślał i kochał ją za to.

Ale tak jak dawniej ta miłość nie wystąpiła za granicę jego serca, świat o niej nie wiedział, ani hrabianka nie wiedziała. Mogła się domyślać tego, bo Leon nie zawsze umiał być panem wzruszeń, ale pewną nie była. Obowiązek nauczycielski stał zawsze na straży tych tajonych uczuć. Leon uważał za niegodne siebie, żeby pod maską nauczyciela wślizgnął się do tego domu wielbiciel hrabianki; podług jego wyobrażenia było to podstępne i niegodziwe, byłoby to zdradzeniem zaufania, jakie w nim położono.

Nikt, nawet hrabianka sama nie domyślała jak męczące walki i pasowania się odbywały ze sobą ten na pozór zimny człowiek, jak drogo i ciężko opłacał spokój i powagę w obec niej.

Kto był pod wpływem uczucia miłości i musiał się z niem tajić, ten pojmie mękę Leona.

Ale obok tej świętej miłości, pchała się do drzwi kościelnych jego serca, inna miłość ziemska, brudna, choć ubrana w piękne szaty pokusy, coś jak ulicznica, która wchodzi do kościoła bez pokuty Magdaleny, z grzeszną myślą rozpusty. Taką miłością rozpałała się ku Leonowi pani Herminia. Był to chwilowy kaprys kobiety, przy

zwyczajonej dawniej do tryumfów bez pracy. Leon był wprawdzie dla niej mizerną zdobyczą, ale w miarę jego obojętności rosła jej niecierpliwosc i chęć postawienia na swoim gnała ją naprzód. Gniewało ją to niesłychanie, że człowiek z gminu, na którego ona patrzeć nie powinna, że ten człowiek nie rzucił się jej do nóg, nie oszalał z radości, gdy mu łaskawe rzuciła słowo lub spojrzenie. Na drodze jej despotycznych zachceń zawadzał ten chłodny człowiek jak kamień, można go było pominąć, nie dotknąć, nie uważać — tak jej radziła duma, ale piękność Leona i jej miłość własna radziły pierwzej zwyciężyć a potem pominąć, pogardliwie odrzucić nogą. Za nieposzanowanie, za obojętność dla resztki jej wdzięków chciała się zemścić. Zdwoiła więc uprzejmość dla Leona, czarnemi oczami, jak pajęczą siatką, otaczała go ze wszystkich stron. Dotąd zawsze z daleka, obojętnie, siadywała podczas lekcji, teraz słuchała z dziwnym zajęciem wykładu Leona, głęboko, przenikliwie wpatrywała się w niego, udając uwagę najpilniejszej uczennicy, zachwycała się i rozrzewniała, według potrzeby.

Leona uderzyła i zadziwiła ta nagła zmiana, ale nie mógł domyśleć się jej przyczyn; hrabianka

zaś uwierzyła, że wyższość moralna, potęga duchowa, przez którą Leon zapanował w jej sercu, zwyciężyła także i serce ciotki — to ją cieszyło bardzo. Tak więc nieświadomość była dla tych młodych ludzi tarczą, od której się odbijały bezskutecznie pociski roznamiętnionej kobiety.

To ją niecierpliwiło. Powolne u mozolne zdobywanie tu, gdzie się łatwego mimochodem spodziewała zwycięstwa, gniewało ją; postanowiła więc bez długich zachodów dojść do celu. Nie ryzykowała nic, bo najprzód pewną była powodzenia, a powtórę, w razie zawiedzionych nadziei, gardziła opinią takiego człowieka jak Leon. Co ją to obchodzić mogło, co o niej pomyśli?

To człowiek bez imienia, bez herbu, człowiek z ulicy, przed takim można być bezczelną.

Tak rozumowała pani Herminia, tak może rozumują wszystkie kobiety „towarzystwa.”

Panna, która wpada w pomieszanie, kłopot, której blade policzki farbują karminowy rumieniec wstydu, gdy w obec hrabiowskiej pałki odwinie się jej kołnierzyk, lub wiatr suknią troszkę swawolniej się pobawi — nie wstydzi się w najzupełniejszym neglizżu pokazać przed lokajem, służącym. Wstydlivość i skromność taka, zależna od miejsca, czasu, osób i okoliczności, może się

nazywać zgrabną komedią skromności, ale nigdy skromnością, wstydlivością. Kobieta skromna sama przed sobą, przed swym zwierciadłem wstydzi się i płonie. Pani Herminia nie zgodziłaby" się na to; wiek i towarzystwo, wśród którego wzrosła, uniewinniają po trochu jej ryzykowność, jej postępowanie. A postąpiła tak:

Jednego dnia hrabia Zatorski zaproponował jej przy śniadaniu wycieczkę do Wieliczki. Córka zrobiła uwagę, że dziś przypada lekcya literatury.

— To nic, moje dziecko, uwiadomimy pana Stobierskiego i przeprosimy.

To mówiąc, wyjął bilet i napisał na nim kilka słów do Leona.

— Pani z nami? — spytał pani Herminii.

— Nie, jestem trochę cierpiącą. — Mówiąc te słowa myślała o Leonie.

Hrabia chciał zadzwonić. Ciotka go wstrzymała za rękę.

— Nie potrzeba, sama prześlę później, teraz lokaj będzie mi potrzebny.

Hrabia w tem postąpieniu nie widział nic niestosownego — nie domyślał się, że w tej krótkiej chwili, w której pani Herminia wstrzymywała

jego rękę, dojrzał plan jej intrygi, że on był mimowiednie pomocnikiem.

W godzinę potem wyjechał z pałacu. Pani Herminia przeczytała bilet, podarła w kawałki i zadzwoniła. Weszła jej garderobiana.

— Jak przyjdzie ten . . . ten . . . jakże on się tam nazywa, ten nauczyciel panny Heleny — prosić go do mego pokoju. Odeszła. — Po drodze wzięła ze stolika Helenki notatki Leona. Wszedłszy do siebie, przeglądnęła się w lustrze, poprawiła toalety i rzuciła się niedbale na sofę. Usta i oczy układała do miękkiej czułości, lwica próbowała zamienić się w gołąbka, komedyantka przejmowała się rolą. Czasami niecierpliwie rzucała oczami na zegarek stojący na kominku, godziny wlekły się powoli, nudnie. — Nareszcie otworzyły się drzwi — we drzwiach stanął Leon. Zapomnieliśmy powiedzieć, że zielone story spuszczone, zaciemniały pokój. — Leona zmieszało to półświatło, chciał się cofnąć.

— Panie Leonie, proszę — odezwał się głos pani Herminii; głos ten w tej chwili nie miał w sobie nic a nic despotycznej siły. Był miękki, pieszczony, mat, jak strzyżony aksamit.

Leon wrócił, ale czuł się odurzony, nieswój,

jak człowiek struty narkotem. Ten pokój pełen

wygód, zbytku, eleganckich drobiazgów, oświecony magicznym, zielonawym odblaskiem storów, majaczał mu w oczach, niby sen piękny a męczący, jak powabna zmora, co dusiła jego surowe zasady i pojęcia życia cnoty i obowiązków. Dusza jego chwilowo zaplątała się w tej jedwabnej płataninie rozkoszy.

— Niech pan siada, tu ... bliżej mnie. Muszę cię najprzód przeprosić panie Leonie, dopuściłam się względem ciebie małej niegrzeczności.

— Słucham z zadziwieniem.

— Hrabia wyjechał dziś z Helenką do Wieliczki.

Leon poruszył się niespokojnie na stołku.

— Wyjeżdżając, polecił mi uwiadomić pana o tem i przeprosić. Wstrzymałam się jednak z tem, bo w takim razie nie byłabym miała sposobności widzenia pana, aż po jutrze, po długich dwóch dniach — a od tak dawna pragnęłam pogadać z panem.

Mówiąc te słowa, rzuciła na niego powłóczyście, tęskne spojrzenie. Leon skłonił się nieśmiało i niezgrabnie — było mu duszno, radby był wydostać się z tego położenia — każda chwila wydawała mu się strasznie długą. Leon

w tej chwili był piękniejszym niż zwykle. Dziewiczy wstyd, zażenowanie się obok siły męskiej, rumieniec na sniadej twarzy, niebieskie oczy zciemnione w szafir, włosy nieco rozrzucone w nieładzie — dodawały tej posągowej twarzy życia i ognia. Pani Herminia z lubością rozglądała się po tej silnej, męskiej postaci, coraz więcej odkrywała piękności i zalet; była znawczynią w tym względzie.

— Czytam już po raz trzeci pańskie notatki — odezwała się po chwili, pokazując papiery — i naczytać się ich nie mogę. Ileż pan na tych kilku kartkach streściłeś wiedzy, uczucia i fantazyi. Któżby się mógł domyśleć, że tyle skarbów się ukrywa pod tą kamienną powłoką.

Leon nie wiedział co odpowiedzieć.

— Pan musiałeś być mocno zawiedzionym, prawda? zgadłam?

I patrzała mu w oczy z współczuciem. Leon nie poznawał w tej kobiecie pani Herminii.

— Po czym pani tak sądzisz?

— Po tem szczekiem zamknięciu serca przed ludźmi, nawet przed ludźmi, którzyby chętnie chcieli współcierpieć z panem. O, ja znam także

bolesne zawody, które zamrozą serce na długo — i ja dawniej byłam inną.....

Leona zaczęło rozrzewniać wyznanie.

— Nie myślałem nigdy, że pani —

— Że ja cierpię? Nie mogłeś się pan domyśleć, że uśmiechnięte usta zasłaniają pęknięte serce? (Wyrażenie to wyczytała i spamiętała z jednego ze starszych romansów.) O! ty nie znasz serca kobiety, a szczególnie kobiety naszego świata.

To mówiąc, położyła swoją gorącą rękę na rękach Leona. Leon z współczuciem uściśnął ją.

— I przed nikim się pożalić, nikomu poskarżyć, od nikogo pociechy — to okropnie.

W tej chwili głowa pani Herminii przechyliła się i spoczęła na piersiach Leona, zapach kruczych włosów odurzył go.

Zapomniał się, współczucie i ślepa wiara w zmyślane cierpienia kokietki obalamuciły go. Pani Herminia przytknęła oczy i chwilę tak została w rozkosznym zamyśleniu.

W tym krótkim przestanku, wśród tej chwilowej ciszy, postać hrabianki Heleny w żalobie, z rączkami złożonemi w krzyż na piersiach, z oczami łagodnie i po anielsku wpatrzonemi w niego, przesunęła się w jego myślach i oczy

ściła atmosferę jego serca. Porównał te dwie kobiety i zobaczył światło i cienie, i przecucie odepchnęło go od kokietki.

Odsunął się nieco.

Pani Herminia nie spodziewała się tego — skrzywiła się nieznacznie, przygryzła wargi. Trwało to chwilę tylko — wróciła znowu do dawnej roli, tylko była już mniej sentymentalną. Sentymentalność nie była w jej usposobieniu.

— Nie dziw się pan mojej szczerości, ty masz coś, co ludzi ciągnie do ciebie; masz oczy, które umieją rozkazywać, ja sama czuję, że nie umiałabym się oprzeć, nawet najzuchwalszym żądaniom twoim. My kobiety tak słabe... .

I zsunęła się znowu na jego piersi całym ciężarem, Leon uczył gorący jej oddech na swojej twarzy, w tym oddechu była namiętność i żądza, — to mu otworzyło oczy, odgadnął komedię; dusza kokietki odsłoniła się przed nim brudna i naga. To go oburzyło, zerwał się z kanapy i wziął za kapelusz.

Jak podrażniona lwica rzuciła się za nim i przytrzymała za rękaw.

— Pan idziesz? — Leonie, ty masz siłę odejścia w tej chwili, zostawić mnie? to niepodobna. Ty zostaniesz.

— Nie mogę, nie powinienem — żegnam panią.

Muszkuly jej twarzy drgały namiętnie, oczy się roziskrzyły, twarz rozpalila, rozchylone usta pragnęły rozkoszy, a piersi szybkim, gwałtownym oddechem falowały.

— Leonie, nie odchodź jeszcze — szepnęła z naciskiem.

— Ja pani nie rozumiem. Czego pani chcesz ode mnie?— spytał Leon poważnie, surowo, pogardliwie.

— Czego ja chcę? Ha! jaki ty dziwny. Czem tylko kobieta może dać poznać mężczyźnie, że go kocha, to wszystko mogłeś wyczytać we mnie — i pytasz się jeszcze? Leonie, ty nie musisz mieć serca!

Leonowi mieszało się w głowie.

— Ja nie mógłbym odpłacić się pani niczem za to uczucie — odezwał się z siłą, chcąc raz skończyć.

— I mówisz mi to w oczy — och! pan jesteś strasznie, okropnie szczery.

— Nie umiem kłamać — i posunął się ku drzwiom.

Chwyliła go znowu za rękę; namiętność zrobiła

ją szaloną, herbowniczka rzuciła się do nóg plebeusza i prosiła:

— Zostań, Kochaj mnie.

W miarę jej natręctwa wzdarda jego rosła. Próbował uwolnić się z rąk tej kobiety.

Herminia stawała się wściekłą.

— Leonie, nie drażnij mnie, bo pożałujesz tego — syknęła.

Leon zrobił znowu ruch ku drzwiom. Zatrzymała go.

— Słuchaj, jeszcze coś powiem — mówiła zadyszana, zmęczona — ty Kochasz hrabiankę Helenę, nie marszcz tak twego pięknego czoła, ja wiem o wszystkim, wszystkiego się domyślam — ty ją Kochasz. Leonie ja zrobię to, o czym ty w najzuchwalszych marzeniach pomyśleć nie mogłeś, ja cię zrobię mężem hrabianki — rozumiesz ty, co ja chcę zrobić? — Podeptam zwyczaj naszego świata, własne przekonanie — i to wszystko za jedno twoję wyznanie. Leonie, i cóż? —

Leonowi wydawała się w tej chwili pani Herminia odrażającą — zdemaskowała się do reszty, zobaczył intrygantkę i rozpustnicę. Zamiast odpowiedzi, odtrącił ją silnie od siebie, wydarł się z jej rąk i wybiegł z pokoju. — W zaciśniętych

silnie rękach lwicy, został kawał oddartego rękawa.

Stała tak chwilę nieruchoma, twarz jej była teraz straszną, — wszystkie brudy duszy wypełzały, jak robactwo, i zeszpeciły jej rysy. Upokorzenie, gniew, niezaspokojona namiętność, myśl zemsty, duma — wszystko to miało osobne zmarszczki i załomy na jej twarzy.

Spojrzała potem na rękaw i rzuciła go z oburzeniem od siebie:

— Pfe ! jak to czuć brudem i ulicą. Zmarszczyła brwi.

— I ja się tak zapomniałam! — o! nie daruję.

Na drugi dzień hrabia Zatorski otrzymał liścik, w którym Leon przeproszał go, że z powodu spieszego odjazdu do Galicyi na czas dłuższy, widzi się zmuszonym przeprosić za zawód i zrzec się lekcyi.

XVIII. COŚ, NIBY MIŁOŚĆ.

W pierwszych dniach maja, wieczorem, jakiś mężczyzna otulony płaszczem przechodził się po Grodzkiej ulicy, zatrzymując się od czasu do czasu przed szklannymi drzwiami magazynu i zaglądając weń niecierpliwie. Przy gazowym oświetleniu widać było kilka modniarek, wśród mnóstwa kwiatów i atłasowych wstążek różnych kolorów. — Młody człowiek niecierpliwił się, może nie był przywykły czekać, może zimno mu dokuczało ; czas bowiem był słotny, niemiły. Deszcz padał gęsty, na ulicy było błoto, powstałe z wiosennych roztopów, — wilgotny wiatr przeciągał czasami.

Maryacka wieża odbiła ósmą — w magazynie zrobił się ruch i zamieszanie — dziewczęta poczęły się z pośpiechem ubierać i wychodzić na ulicę. Młody człowiek usunął się nieco na środek ulicy i ztamtąd obserwował wychodzące modniarki, a potem poszedł za dwiema w stronę Maryackiego kościoła. Zawsze jednak trzymał się w pewnym oddaleniu; dopiero gdy na rogu ulicy

Floryańskiej rozeszły się i jedna z nich przyspieszywszy kroku, poszła ku bramie, młody człowiek pobiegł za nią i zrównał się z nią.

— Dobry wieczór pani — rzekł, dotykając z lekka kapelusza.

Panienka nie odezwała się ani słowa, tylko podwoiła krok.

— A to grzecznie — odezwał się młody człowiek. — Czy pani zrobiłaś sobie ślub, niemówienia nic a nic ? — Ach, jakże pani się okrutnie spieszy, tchu mi braknie!

To mówiąc, przytrzymał ją delikatnie za płaszczyk.

— Panie, co to jest — odezwała się panienka z gniewem — ja pana nie znam.

— Jaki ? Wszakże już trzeci wieczór biegam za panią po deszczu i słońcu, i panienka mnie jeszcze nie zna. A to ładnie. Zresztą, jeżeli o to idzie, możemy się poznać. Jestem książe Adolf.

Panienka spojrzała niedowierzająco. Młodzieniec nie kłamał, był to rzeczywiście syn księcia Ireneusza — a panienka, którą zaczepił — to Tekla, którą sobie zapewne przypomną czytelnicy — o niej Wasyl mówił Leonowi: "Szkoda, żeby to zmarnieć miało."

Książę nie uważał nawet za konieczne zacho

wać incognito, owszem, książęcego tytułu użył jako ponęty na serce dziewczyny. Dziwne przeznaczenie herbów i starych imion! Kiedyś, kiedyś takie imiona i takie herby słychać było wśród wrzawy bojowej, kiedyś one zdobywały twierdze, dziś polują po zaułkach miasta na niewinność ubogich dziewcząt. Smutne to odznaczenie się. Ha, wszystko się zużywa i przechodzi w śmieszność. Dość o tem, wróćmy do powieści. Minęli pospiesznie Floryańską bramę, na przedmieściu było ciemno, jedna latarka migotała się słabo gdzieś koło kościoła św. Floryana.

— Ach, jakże tu ciemno, jakie błoto — niech pani poda mi rękę, we dwoje będzie nam śmieiej.

I zbliżył się do niej.

Tekla odsunęła się, niezwalniając kroku.

— Pani jesteś nieubłagana — ach! ależ tu można utonąć w tem błocie. Gdyby pani chciała się wrócić, wzięlibyśmy fiakra.

Po chwili, gdy nie odbierał żadnej odpowiedzi, od spieszącej się i zdyszanej modniarki, odezwał się znowu:

— Przynajmniej przyjmij pani te kolczyki, które od dwóch dni noszę przy sobie. Ręczę, że ci będzie w nich do twarzy, twoje koleżanki

będą ci zazdrościć. Pani nie chcesz? Ależ pani jesteś dziecinną, wszak przyjęcie tej bagateli nie zobowiązuje pani do niczego. No?

Dziewczyna, zamiast odpowiedzi, pobiegła szybko kilka kroków, uszczęśliwiona dopadła drzwi domu, otworzyła je z gorączkową prędkością i zatrzasnęła silnie za sobą. Książę został pod drzwiami z kwaśną miną i z kolczykami.

— A to uparta dziewczyna — mruknął sobie — nie myślałem, że tak twardo pójdzie. Ale ładna.

Ten maleńki, pobieżnie naszkicowany obrazek rzuciłem wam jako prolog do następnej sceny. Rzecz dzieje się przy ulicy Stolarskiej, w mieszkaniu kobiety młodej i pięknej.

Smagłą brunetka, prawie dziewczynka jeszcze latami, a już dojrzała życiem, w rannym negliżu stoi u drzwi i żegna jakiegoś starego, siwego jegomościa. Starzec lubieżnym wzrokiem patrzył na nią, żegnał a nie odchodził.

— No, pocałuj mnie jeszcze raz moja lubko, ty, ty, ty..... dzierlatko. — I uszczypnął ją w ramię.

Rzuciła się na szyję starca, dyszącego niezaspokojoną namiętnością i nie szczędziła pocałunków.

— No, idź pan już.

— Iść? A może ty się spodziewasz kogo? — odezwał się starzec, i przenikliwym, zazdrośnym okiem przeszył dziewczynę.

— Śmieszysz mnie pan tą podejrzliwością. Któż tu wie o mnie? Ale idzie o to, żeby pana nikt nie widział wychodzącego z kamienicy, toby mnie skompromitować mogło. Już się jasno zrobiło, a przy tem ja taka śpiąca.

— Z młodym nie byłabyś taką, co?

— Ach, jaki pan nudny, wiecznie to samo.

— No, no, idę już, idę, ale jeszcze buzi, dobrze?

I przyczepił się drżącymi ustami do rumianej twarzy brunetki, jak chuda pijawka, i ssał jej słodycze.

Gdy wyszedł, twarz dziewczyny przybrała wyraz znużenia, niesmaku — obtarła z obrzydzeniem twarz, którą starzec dotykał ustami, i wstrząsnęła się. Potem wyjęła z włosów grzebień koralowy, bujne włosy rozsypały się szeroko — ona rzuciła się na łóżko i założywszy ręce nad głową przytknęła oczy. Spała, czy też zamysliła się.

W kilka godzin później zadzwieczał dzwonek

u drzwi i służąca wpuściła do pokoju młodą modniarkę — była nią Tekla.

Pokój, do którego weszła, był umeblowany z przepychem; dywany, zwierciadła, meble obite aksamitem, kwiaty w dużych wazonach, zasłony, kosztowne drobiazgi — wszystko to uderzyło i zajęło wzrok dziewczyny, przyzwyczajonej do skromnej i prawie pustej izdebki na Kleparzu.

Z obserwacji pokoju przeszła do mieszkanki, na której wezwanie stawiała się dziś po jakąś robotę. Spojrzała i zmieszała się, nie dowierzała sama sobie, przetarła oczy, jakby się chciała przekonać o rzeczywistości. W śpiącej bowiem brunetce, w mieszkance tego rozkosznego ustronia, poznała swoją dawną koleżankę z magazynu — Józję.

Zkądże ten przepych, to bogactwo? Józia była biedną dziewczyną, jak ona, nawet biedniejszą, podobno córką jakiegoś węglarza czy wyrobnika. Zkądże ta zmiana? Nie mogła sobie tego wytłomaczyć, w głowie jej stał się zamęt.

Służąca zbudziła śpiącą.

— Proszę pani, panna z magazynu czeka.

Józia przetarła klejące się powieki i podniosła się, wsparta na jednym ramieniu. Tekla nie mogła się powstrzymać z podziwem:

— Józia! — rzekła głośno. Brunetka przypatrzyła się jej uważnie.
— A, to ty Teklusi, z kądżeś się tu wzięła?
— Wszak przysłałaś do naszego magazynu, kazałaś sobie przynieść ostatnie mody.
— A, tak, przypominam sobie.
— Ale z kądżeś ty Józiu przysłała do takich bogactw i kosztowności? Tu żyć a nie umierać.
— Z kąd przysłała? Dziwna jesteś. — I zaśmiała się Józia, ale śmiechem niesmacznym, jałowym, wymuszonym. Tym śmiechem chciała zakryć hańbę swoją. Pokazała jej fotograf starca wiszący na ścianie. — Ten kocha się we mnie i daje mi wszystko.
— A ty go kochasz?
— Wszak widzisz, że stary i brzydki. Umarłabym tu z nudów, gdybym nie miała pocieszyciela. Dla niego żyję, dla niego się stroję, dla niego chciałabym być zawsze piękną. — Pokaż mi mody.
To mówiąc, wzięła z wdziękiem żurnal i przeglądała deseny strojów.
Tekla przypatrywała się jej z uwagą i zamyśleniem. Nie mogła wyjść z podziwu, że ta kobieta zgrabna, ubrana z takim wdziękiem i elegancją, spoczywająca na aksamitach, jest tą

samą Józia, którą знаła w perkalikowej sukience, w kamlotowym, kusym płaszczku, z którą razem wychodziła z magazynu. Dziś jakaż różnica między niemi! Jedna panią, druga biedną modniarką, jedna przegląda żurnale, druga pracuje nad niemi. Szatan zazdrości rozpałał smutkiem serce dziewczyny, odebrał jej spokój. Przepych i wygody życia kusiły ją, grzeszne myśli podszeptując. Dotychczasowe jej życie pociemniało w obec tych świecideł, napelniających pokój koleżanki, smuciła ją praca, wstydziło ubóstwo, czuła się upokorzoną swoim obecnym położeniem. W tej chwili książę Adolf i złote kolczyki przesunęły się w jej myślach. Tego wieczora pierwszy raz odezwała się do księcia. Biedna Tekla!

Zobaczymy się z nią później, teraz trzeba nam się zatrzymać jeszcze do wieczora w mieszkaniu Józi.

Już zmrok zapadał — Józia starannie i gustownie ubrana, oczekiwała kogoś niecierpliwie. Dla skrócenia czasu chciała się czemś zająć, brała robótkę, album z fotografiami, karty pasyansowe, ale wnet zniescierpliwiona, rzuciła, wszystko i znowu zbliżała się do okna.

— Nie ma i nie ma, a wszak pisał, że dziś, — szepnęła rozdąsana, gniewna i smutna zarazem,

a smutek przemieniał się w niepokój i trwożne przeczucia o nieszczęściu, opuszczeniu. W takich myślach rzuciła się na sofie. Wreszcie posłyszła chód na schodach, zerwała się, skoczyła ku drzwiom i rzuciła się w ramiona wchodzącego mężczyzny — był nim Emil.

Przycisnął ją, pocałował w głowę, ale w oczach jego nie było radości z powitania, w twarzy była prawie obojętność.

— Jak się masz Józiu?!

— O! niedobry, zostawiać mnie tak długo samą. Nie daruję tego, będę się gniewać, tak, tak, będę się bardzo gniewać

— mówiła, tłukąc pięsteczką o dłoń, i rozdąsana odbiegła od niego i siadłszy na sofie odwróciła twarz w inną stronę.

Emil przyjął to dość obojętnie, chciał coś mówić, chciał być wesół, trzpiotowatym jak dawniej, śmiać się, ale mu nie szło. Jakaś mgła wisiała nad jego myślami, coś ciężyło w nim. Nie zbliżył się do zadąsanej, nie próbował jej nawet rozweselić, usiadł na krześle pod oknem i zakładając nogę na nogę zapytał:

— Więc na prawdę gniewasz się na mnie? Nie odpowiedziała mu, tylko kapryśnie ruszyła głową,

— I długoż tak będzie? — Szkoda czasu.

— Och, sprawdzają się moje przeczucia — wybuchnęła dziewczyna z głośnym płaczem — ty mnie już nie kochasz, ja ci się sprzykrzyłam, opatrzyłam.

I zaniósła się od gwałtownego płaczu, boleść jej wezbrała nagle, jak burze gorącego lata.

— Ależ dziecko jesteś Józiu. . . .

— O, nie, nie — ty mnie nie oszukasz, ja to przeczuwałam od dawna. Tyś się w innej zakochał — o, ja nieszczęśliwa! Emil drgnął lekko, dotknęła go w drażliwy nerw; odgadła, Emil rzeczywiście kochał, była to jednak inna miłość niż ją rozumiała zmysłowa dziewczyna, bo nie było to miłośćka, ale miłość święta, czysta, nieznany gość w sercu Emila. Na balu zobaczył hrabiankę Helenę — ta kobieta dziwne na nim uczyniła wrażenie, nie rozmawiał z nią, nie śmiał zbliżyć się do niej, ale cały czas miał w nią oczy utkwione i myślał, o czym myślał sam nie wiedział, ale to wiedział, że wszystkie szlachetniejsze popędy jego duszy zbiegły się, koło rodzącego się uczucia, a męty i nieczystości upadły gdzieś daleko, w dół. Widok tej kobiety podnosił go i zawstydział zarazem. Gdy odeszła, zrobiło mu się jak temu, któremu w ciemności wiatr świecę zadmuchnie.

— Och, gdyby ta kobieta kochać mnie mogła, pomyślał sobie, wychodząc z sali balowej, i coś odpowiedziało mu w duszy: tyś jej niegodny. Westchnął głęboko.

Pod wrażeniem tego uczucia zostawał długo, z wesolego stał się posepnym, zamyślonym, z dandysa nieśmiałym. Biała twarz hrabianki Zatorskiej stała mu przed oczyma. Z tem uroczem widmem nie chciał się rozstawać i nie mógł z niem wchodzić do mieszkania swej dawnej kochanki, której nawet dla porównania nie śmiał stawić obok tamtej.

Wydawałoby mu się to świętokradztwem. Dla tego zaraz po balu wyjechał do Warszawy — tym wyjazdem chciał zerwać z Józia. Ale Józia szalenie przywiązana do niego, dowiedziała się o miejscu pobytu i częstymi listami zaklinała do powrotu. Emil zwlekał, aż prośby, zakłęcia i miłość Józki zwyciężyły — jej przywiązanie oddziało na niego. Był to człowiek słabej woli, uczucie ku hrabiance nie żywione wzajemnością, przygasnąć musiało, z nawyknięcia zateśknął z Józia i wrócił. — Ale trudno mu było być dla niej takim jak dawniej, wydawała mu się strasznie prozaiczną, jej słowa raziły jego uszy, bo były nie w harmonii z jego duszą. To

niezadowolnienie znać było na jego twarzy — dziewczyna odczytała je, dorozumiała się reszty.

— Prawda, że ty kochasz inną? O, ja przeczuwałam to, ja to wiem. Ale ona nie będzie cię tak kochać, ona nie może cię tak kochać, jak ja cię Kocham, ja za moje przywiązanie do ciebie nie chcę nic, nawet obrączki ślubnej — tylko widzieć ciebie, tylko być przy tobie, choćby służącą.

To mówiąc rzuciła się do nóg jego i całowała zanosząc się od płaczu. Emil z trudnością oderwał ją od nóg i podniósł.

Ta miłość gwałtowna, szalona zwyciężyła, porwała go ze sobą — zapomniał o hrabiance. Słowa Józii: „Ona nie będzie, ona nie może cię tak kochać, jak ja cię Kocham” — wydawały mu się straszną satyrą jego miłości, bo kobieta, którą tak ukochał, nie tylko go nie kochała tyle, ile ta dziewczyna, ale go wcale nie kochała i nie znała.

Taki platonizm wydawał mu się w tej chwili śmiesznością — wstydził się tej miłości. Podniósł Józję z ziemi, całował, cieszył i pieścił. Był znowu jej, jak niegdyś. Dziewczyna zarzuciła mu drobne ręce na szyję, przez oczy łez pełne błysnął uśmiech radości, patrzyła mu w oczy ucieszona i szeptała miłośniczo:

— Emilu, Emilu ty nie pojmujesz, jaka ja teraz szczęśliwa!

Wśród pieścizot noc ich zaskoczyła — kochankom godziny mijały szybko w upojeniu i miłosnych szeptach. Emil był wesół jak nigdy, wpadł w szalony humor, z każdym całusem coraz więcej przywiewywał się do dawnej kochanki, coraz wydawała mu się piękniejszą, rozkoszniejszą. Upił się wdziękami i rozkoszą.

Wtem u drzwi zabrzączał dzwonek, pociągnięcie rękójści musiało być gwałtowne. Oboje wzdrygnęli się i zerwali.

— Co to jest o tej porze? — rzekła napół do siebie Józia z przestachem.

— Pewnie ktoś się pomylił — rzekł Emil i przyciągnął Józję za rękę do siebie, niekontent, że ktoś przerywa mu i kradnie chwile szczęścia, tak mu było wszystko mało.

Dzwonienie się powtórzyło.

Józii przyszły na myśl podejrzenia zazdrosnego starca i pilnie nasłuchiwała. Weszła służąca ze światłem. Twarze Emila i Józii były rozpalone pocałunkami, ubiór w nieładzie, światło raziło ich oczy, wezwyczajone do ciemności. Emil przed światłem usunął się w głąb pokoju.

— Kto to dzwoni? — spytała Józia wchodzącej służącej.

— Lokaj pana Emila. Emil się zdziwił i obrócił.

— Mój? A czego on tu chce?

— Przyniósł jakiś papier.

Podala mu zapieczętowany telegram.

Emil obojętnie, bez pośpiechu oderwał pieczęć.

— Pewnie od Julka.

Nagle zbieleł jak ściana, z piersi dobył się cichy jęk — podobny głos wydaje szkło, gdy pęka w zimnie — rysy twarzy zmieniły się w okropny wyraz bóleści. — Straszny był ten nagły przechód z szału rozkoszy do szału rozpacz.

— Co się stało? — spytała Józia, biorąc go za rękę.

Odepchnął ją nieprzytomny, chwycił za kapelusz i wybiegł z pokoju.

Józia podniosła rzucony przez niego papier i przeczytała:

„Matka umiera — przyjeżdżaj” — podpisano

„Marya.”

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

I. RUINA.

Jesteśmy w ogrodzie wspaniałym ale zdziczałym, otaczającym stary pałac. Połowa pałacu leżała już w gruzach, drugi pawilon był jeszcze cały i zamieszkały, ale sąsiedztwo gruzów, jak oddech zarazy, czuć było na nim. Całość robiła wrażenie starca, któremu kula działowa pół ciała urwała. Noc była cicha, jasna, ciepła — po ciemnej, błękitnej szybie nieba posuwał się księżyc powoli i oświecał ruiny. W ogrodzie poschły rezedy i jaśminy. Ścieżka koło stawu chodził jakiś człowiek, długi cień rzucając na lekko poruszono zwierciadło wody. Był to Leon, przyjechał tutaj z Emilem na pogrzeb jego matki. W pałacowych oknach narożnych widać przez czarny kir pałace się świece, przez drzwi szklane, otwarte na balkon, pokazuje się katafalk, na nim trumna

aksamitna, w której trup biały, jakby z kości słoniowej rzeźbiony, z ciemnymi załomami, w których śmierć się rozsiała. Dziad drzemie przy trupie, albo świece objaśnia, albo pacierz zamruczy.

Emila i jego siostr nie było; boleść i bezsenne noce, spędzone przy konającej matce, zmożyły ich i uśpiły. Leon niemogąc usnąć wyszedł do ogrodu i wałęsał się koło zaniedbanych gazonów, to ginął w ciemnych, lipowych aleach; potem poszedł wązką drożyną, oddzielającą ogród od sadu.

Psy zaszczeły i rzucały się ku niemu — i odezwała się trąba nocnego stróża.

— Kto idzie? — zapytał głos.

— Witajcie Macieju!

— A, to panicz i przywołał do nogi białych, rosnących brytanów — panicz znowu do nas zawitał ?

— Tym razem w smutnej potrzebie. Maciej westchnął — a po chwili milczenia spytał:

— Z przeproszeniem łaski pana, dziedziczka podobno ciężki zgon miała?
— Nie, usnęła dość spokojnie, tylko przed

śmiercią opanował ją strach i żal o sieroty. — — A czemuż tak myślicie?

Maciej się zawahał, poskrobał po głowie, aż w końcu zdobył się na słowa:

— Ot, bo widzicie paniczu, u nas tu ludziska po wsi różnie mówią o hrabinie.

— Wszak była dobrą, litościwą.

— Jużcić by ta człek zgrzeszył, żeby inaczej mówił; owszem, wielu ludziom dobrze robiła, ale....

— Cóż ale?

— Jakżeby wam tu powiedzieć? — mówił zakłopotany chłop, szukając napróżno palcami po głowie słów — oto widzicie, choć nieboszczka czyniła dobrze, nikogo nie pokrzywdziła, to przecie o dobre słowo i łaskawe oko było u niej trudno, i kiedy dawała jakąś zapomogę lub jałmużnę, to tak jakoś nieżyczliwie, tak bez dobroci, nieprzymierzając jak psu, kiedy go się zbyć chcemy, że człowiekowi taki datek strasznie był nie miły i na pożytek iść nie mógł. Leon znał dobrze nieboszczkę z tej strony, niesłychana duma czyniła ją nieprzystępną i zimną, — ludzi niskiego urodzenia ledwie znosiła w towarzystwie, ale ich nie cierpiała.

Dość powiedzieć, że Emil, chcąc matkę przy

chylniejszą uczynić względem swego przyjaciela, wyszukał dla niego jakiś herb w Niesieckim Leon po pierwszej bytności tutaj, zrażony chłodem i próżną dumą, chciał copędzej uciekać z dusznej atmosfery; ale przyjrzenie się zblizka rodzinie Emila, odkryło mu to, czego się Emil, ani rodzina nie domyślała, że pod pokrywą pańskiej świetności dyszy blizkie ubóstwo, że im grozi ruina. Ten pałac pękający w szczeliny, które bluszcze i jerychońska róża zasłaniały przed okiem widza, był obrazem ich położenia. Emil uchodził w opinii kolegów za bardzo zamożnego, sam się miał za takiego i stosownie do tego wydawał wiele. Pośpiech, z jakim otrzymywał żądane pieniądze, tymbardziej odsuwał od niego wszelkie podejrzenia w tym względzie, gdyby mu się kiedy nasunęły. Matka jego niemieszając się wcale do gospodarstwa odsyłała wszystko do rządzcy, nie chciała wiedzieć o niczem, brała z kasy pieniądze na wydatki, ogromne w porównaniu do lichej wioski, już z dawna obdłużonej. — Gdy pieniędzy brakło i rządzca ją o tem uwiadomił, kazała pożyczać, podpisywała bez namysłu weksle, aby ani na chwilę nie zaznała niedostatku, boby tego nie przeżyła. Pożyczka, którą zaciągała, wydawała jej się drobnostką w porównaniu do majątku, o którym

miała potworne wyobrażenie. Nie umiała rachować i była w ułudzie, równie jak jej dzieci, i z zamkniętymi oczami zbliżali się do przepaści. Ten brak uwagi na jutro, robił ich dziećmi w obec trzeźwego rozsądku Leona — nie miał odwagi krzyknąć na tych lunatyków, że idą brzegiem przepaści — ale siedł obok nich i czuwał nad nimi, nie uważając wcale na miny i pańskie grymasy matki Emila. Postanowił zbadać bliżej właściwy stan rzeczy, szukać sposobów zaradzenia, a gdyby ich nie było, przygotować Emila powoli i oswoić go z losem co go czekał. Śmierć matki przyspieszyła tę chwilę, której się obawiał. Oprócz ruiny majątkowej, dostrzegł jeszcze Leon jakąś tajemnicę w pożyciu tej rodziny, tajemnicę, od której smutny cień padał na nich. Emila badać nie chciał przez delikatność, a przecież chodziło mu o poznanie tajemnicy, która zburzyła szczęście tej rodziny, w której może leży przyczyna majątkowej ruiny. Co go szczególnie uderzyło, że ile razy zapytywał Emila o ojca, odbierał zawsze niejasną i krótką odpowiedź. Emil skręcał zwykle wtedy rozmowę na inny przedmiot. Cóż było powodem tego? Domyślał się jakiegoś brudu, może nawet zbrodni, i dla tego badać nie chciał. Dziwiło go także

przywiązanie nieboszczki do zniszczonego pustkowia. Cóż ją tara wiązało, czy duma, co się czepia upadających ruin dawnej wielkości i pożyczła sobie ich powagi, czy może jakie drogie wspomnienia? Kto wie, jakie tara serce biło pod tą zastygłą piersią, jakie uczucia drzemały za zamkniętymi dumnie ustami? Z posłyszanych rozmów oficjalistów domyślał się jakiegoś mezaliansu. Nieboszczka była podobno księżniczką, pierwsze jej zamężcie stało się podług woli matki, była nieszczęśliwą, to też po śmierci pierwszego męża rozszalała się w jakimś parweniuszu, i wbrew woli rodziny poszła za niego. Gdy szął minął, poczęła żałować swego postępu, mąż jej zawadzał, przychodziło do scen; mąż księżniczki miał być człowiek zacny, ale zapaleniec, gorączka; tysiące pomysłów latało mu po głowie, wiesznie coś nowego wynajdywał i rzucał, i znowu nowych planów się chwycił, jakby się bał, że mu życia nie wystarczy na spełnienie tego wszystkiego, co chciał. — Pożycie z tym człowiekiem męczyło ją, jak jazda na dzikim koniu. Z niesłychaną szybkością latał od planu do planu, równie prędko przechodził z gniewu i oburzenia do anielskiej dobroci. Z tych połapanych wiadomostek, nie umiał Leon złożyć całości. Dziwiło go, jak mógł człowiek

szlachetny chwycić sposobność zrobienia losu i korzystać z chwilowego szału księżniczki, jedynie miłość mogłaby go usprawiedliwić; ale z drugiej strony jak wytłomaczyć sobie jego nagłe zniknięcie z pałacu, co się z nim stało?

Te wszystkie nierozwiązane zagadki zbiegły się znowu w myśli Leona, potrącone słowami Macieja. Zamyślił się głęboko o tem wszystkim, a na konkluzję swoich myśli powiedział półgłosem :

— Tak, ona była taką.

— I wyście się na niej poznali?

Leon teraz dopiero przypomniał sobie, że rozmawiał z Maciejem, dla zawiązania więc przerwanej rozmowy, odezwał się:

— Więc dla tego ją obwiniecie?

— Nie tylko panie — niechby ta zresztą była taką dla ludzi, ale dziedzica nam żal.

— A cóż się z nim stało? — zagadnął Leon, spodziewając się czegoś dowiedzieć.

— Niby to pan nie wie od naszego panicza?

— Nic a nic.

Maciej popatrzył mu w oczy.

— Nic wam nie mówił? To i ten wdał się w matkę.

— A wy co wiecie o dziedzicu?

— A tyle co i drudzy, że się zabrał i poszedł jak kamień w wodę. Będzie temu lat ze dwanaście.

— I cóż go zmusiło do opuszczenia żony i dzieci?

— A któżby, jak nie dziedziczka?

— Więc źle żyli ze sobą?

— Z początku żyli jak one dwa gołąbeczki. Służyłem wtedy za fornała we dworze, kiedy dziedziczka, przywieźli sobie z miasta tego urodziwego męża. Kazała zwołać gromadę i powiedziała: „To wasz pan teraz” — i my się mu skłonili do kolan, czego zwyczaj. A śliczny to był pan, rosły a udatny, włosy gęste a miękkie jak len, a oczy takie niebiesciuteńkie, a tak dobrotliwie patrzące, jak na ten przykład nieprzymierzając u panny Maryni, że i najgorszego człeka rozbroiłby niemi i położył do nóg jak baranka. A on temi oczami raz wraz na dziedziczkę poglądał. — I tak było lat kilka, potem dziedzicze widać było już dosyć tych oczów, poczęła się krzywić. Gryzło ją i martwiło, że rodzina z nią żyć nie chciała; poczęła więc szukać rozrywki, bo w domu jej było źle. Często wyjeżdżała do miasta, trudno ich było upatrzeć razem, a jeżeli się zesłi, to chyba przy gościach, dla

oka ludzkiego. Bywało, że się zesłi nieraz sam na sam, służba wtedy dziwnych rzeczy podsłuchiwała. Pani wtedy najczęściej milczała, tylko pan gadał, o coś prosił, czasem nawet płakał, a wszystko jak do muru. Nieraz znowu walił pięściami w stół, aż strach przejmował, lub zabrał się i poszedł i nie było go dni kilka, potem się znowu zjawił. — Ale ostatni raz jak poszedł, tak i nie wrócił. — Wtedy dopiero poznaliśmy cośmy stracili, bo dziedzic był dobry dla nas i znać go było we wsi. Popytajcie się ludzi, to wam powiedzą: kto Pawłową postawił na nogi, kto wymurował szpital, co dziś pustką stoi, kto sprowadził profesora do szkółki? — wszystko on. — Wam pewnie musiało paniczu wpaść w oczy, jak teraz przed każdą prawie chałupą, ogrodzenie i kwiatek jaki taki, choć tyle, aby obraz ubrać, albo dziewczynie wpiąć do warkocza — i dziwić was pewnie musiało, jakie to okazałe chałupy: Bartka kołodzieja, albo szewca Kaspra, albo starego Wojciecha, z kominem i szklanami, dużymi wyglądami — a to wszystko jego robota, bo to przedtem wioska strasznie była licha, dopiero jak zaczął ludzi napędzać dobrem słowem do porządku, pracy, jak wziął nauczać, pomagać, kogo stać nie było, tak się i odmieniło. — A to wszystko czynił

tak wdzięcznie jakoś, że gdy dawał, to się zdawało, że to jemu się dobrodziejstwo robi, że się bierze. I nie miał sobie tego za hańbę pogadać z człkiem o kłopotach gospodarskich, nieprzymierzając jakby kum z kumem, a to wszystko za nic, tylko tyle, że go cieszyło ludzkie szczęście i rad był widzieć wszystkich w dobrym bycie. — W niedzielę dziedziczka powozem, czterema końmi wali do kościoła, a nasz pan sobie piechotą przez łąki idzie, a po drodze to do tego, to do owego zagada, rozpyta się o chudobę, o dzieci, narozpowiada różności o świecie, dzieci pogłásnie po głowie, i namawia do nauki i uczciwego żywota. A niechnoby go który ze starszych w rękę pocałował, lub do nóg mu się skłonił, to go naswarzył: „A wstyďte się gospodarzu, Pan Bóg wam pozwolił doczekać siwych włosów, a nie umiecie ich uszanować i poniżacie się przed tym, któremu moglibyście być ojcem. A cóż ja lepszego od was? — Wy rolnik i ja rolnik, i z jednej gliny nas Bóg ulepił, więc tylko kochać i wspomagać się powinniśmy, jak sąsiedzi.” Opowiadanie Macieja zawiadło Leona w głębokie zamyślenie — w opowiadaniu życia owego dobroczyńcy ujrzał, jak w zwierciadle, swoje własne plany i marzenia, których spełnienia pra

gnął. Te plany i marzenia zdawały mu się czerni nowem, czemś, co nowsze pokolenie przyniosło z sobą i spełnić miało; tymczasem przekonał się, że na tem polu uprzedzili ich pracownicy, tylko nie tradycyi ich usiłowań urwała się. Więc i przed nami byli tu żeglarze, — pomyślał sobie — którzy sztandar postępu i Chrystusowej miłości zatykali na tych brzegach.

I cóż się z nimi stało, gdzie są? — Ślady tylko ich usiłowań zostały, ale bezowocne; po lasach znowu bieleją odnowione posągi starych bożyszczów, które oni z takim mozołem walili, egoizm zburzył świątynię prawdy, obryzgał błotem i zbezczeszczył imiona apostołów i wrócił naród do pogańskiej przeszłości. Czem się to stało? Czy apostołom brakło odwagi, czy cierpliwości, lub może idee ich męczyły wzrok ludu, nawykłego do ciemności?

— I cóż ludzie na to? — spytał Macieja.

— Ot zwyczajnie ludzie, z początku połapać się nie mogli, tak im to wszystko wydało się dziwnem, i z niedowierzaniem, podejrzliwie patrzeli na tę dobroć pańską i mówili między sobą, że to jakaś zdrada, że dziedzic nie bez przyczyny tak się ludziom łasi, wyraźnie czegoś chce od nich i na coś mu potrzebni. I nie dziwić się

ludziom miły panie; trudno człękowi prostemu było temu wyrozumieć, kiedy przez tyle lat nietylko pan, ale nawet ekonom nie dał uczciwego słowa, i stał z batogiem, jak nad bydłkiem, od rana do nocy — a tu nagle taki pan brat za brat z chłopem, i prawi mu takie rzeczy, że się od nich aż w głowie mąci. To też różnie gadali o tej pańskiej dobroci, i choć było z nią bardzo dobrze, przecież czuliśmy się w niej jakoś nieswojsko, jak w cudzym kozuchu. Dopiero teraz, kiedy go nam brakło, poznaliśmy cośmy stracili.

— A to co? — spytał Leon, przerywając Maciejowi opowiadanie. Od strony stawu rozległ się silny, przeraźliwy świst — trochę smutny, przeciągły, jakby nie z człecznej piersi, ale z żelaznej lokomotywy pochodził — kto tak gwizdże okropnie ?

— To głupi Błażek lata koło stawu i gwizdże jak maszyna, bo trzeba panu wiedzieć, że kiedy pan zniknął, to i Błażek, co się do niego jak pies przywiązał, znikł także, i dopiero w kilka niedziel później wrócił obdarty, zbiedzony, a gdy się go pytali: gdzie pan — to począł gwizdać jak teraz, machnął ręką i mówił: pojechał. — Nic więcej nie można było z głupca wydobyć.

Kiedy to mówił Maciej, zaszeleściło w krza

kach. Leon się obejrzał i ujrzał najprzód dwie żylaste ręce, rozchylające liście bżowego krzaku, a potem w tym otworze pojawiła się twarz śniada, wyrażająca przestrah i głupotę, dziecinna a stara; blask księżycy, padając na tę twarz, dawał jej kolor maski z trupa. — Był to Błażek, wyskoczył cały z krzaku, nizki, karłowaty prawie, zbliżył się do Macieja, nadał policzki i gwizdnął przeraźliwie.

— Pójdiesz mi ty spać — rzekł Maciej podnosząc kij.

Błażek zląkł się i wsunął w krzak — po chwili wylazł znowu i skradając się do Macieja, szepnął mu w ucho tajemniczo:

— Wiecie? — pojechał!

Leon przypatrywał się z politowaniem tej istocie, co miała więcej podobieństwa do zmyślnego zwierzęcia, niż do rozumnego stworzenia, z której twarzy pokurczonej uśmiechem i dziwnem! grymasami, trudno było odczytać wiek, a czoło niskie, brwi półkoliste i wysoko podniesione, oczy błędne i lękliwe, palce wciąż rozpięte nadawały wyraz dzikości.

— Pójdiesz ty mi spać zaraz — powtórzył Maciej surowo.

— A jakże pójde spać, kiedy mnie wygnali, hi, hi, hi — po dziedzica mnie wygnali.

Spostrzegłszy Leona, przysunął się do Macieja z trwogą i wskazując nań, spytał:

— Któż to ten?

— A tobie na co wiedzieć?

— Bo ja wam miałem coś powiedzieć.

— To mów.

Błażek się przysunął jeszcze bliżej niego i począł szeptać:

— Wiecie, ja wczoraj był u Magdalanki czarownicy, hi, hi, hi.

— No i cóż? — spytał Maciej, aby się zbyć natrętnego głupca.

— I powiedziała mi, że pan wróci, hi, hi, hi. Stróż widać spodziewał się tej odpowiedzi, bo pokiwał tylko głową — dobrze, dobrze, rzekł i odsunął go na bok ręką. Usiadł pod bramą głupi Błazek i z psami bawić się począł.

— To tak co wieczór panie przyleci, co dzień jedno gada — rzekł Maciej. Odjazd pana tak uczeplił się jego głupiej głowy, że zapomnieć o tem nie może; dawniej mawiał tak o swej spalonej chacie, przyczem rozum stracił. — Musiał mu pan, aby go się pozbyć, obiecać, że wróci, bo wciąż powtarza, jakby to miał zlecone od niego.

Leona coraz więcej interesowała niewyraźna postać ojca Emilowego, dopełniał ją sobie w duszy; dorozumiewał się wiele i zdziwiło go, że ten człowiek, który sobie tak zjednać umiał serca nieufnego z natury ludu, w pałacu, w sercach własnych dzieci taką jakąś złą pamięć zostawił. Wszystko mówiło za tem, że to nie musiał być zły człowiek, a czemuż tak starannie unikano wspominku o nim? Kto tu winny? on, dzieci, czy matka? I przypomniało mu się ciche westchnienie umierającej za jakimś Edwardem, byłaby to skrucha i tęsknota za mężem? — To wszystko plątało się i wikłało w głowie Leona.

— Czy nieboszczka z rodziną się nie pojednała już potem? — spytał Leon.

— Nie panie, i to właśnie co ją najbardziej markociło i gryzło. Wszystko, co pan zrobił, było jej złe, nie w smak jej było to życie, jakie wiódł, krzywiła się, że ją i siebie tem hańbi, że lud psuje i buntuje, i inne wymysły miała na niego. I tak to piękne państwo pokwasiło sobie swoje szczęście — nieraz pono i do zwady przychodziło, bo pan przy swojej dobroci był gorączką i lada czem się zapalił, choć ta ten jego gniew tak jak płomień z wiechetka słomy, prędko się zajął ale i rychło gasnął. — Inaczej pani, ta

była jak mur, rozbij głowę, a nie przebijesz go.

O co im chodziło, nikt nie wiedział, ale każdy to łatwo zauważył, że pani zawsze przy swoim. się utrzymała. Potem pan wyniósł się od niej

i mieszkał ot tam, w narożnych oknach, gdzie teraz kupa gruzu. Podobno wtedy na zmartwienie pić zaczął, bo często widywano go w dziwnym humorze, jak się to zdarza człowiekowi, kiedy miarki przebierze. Do pałacu rzadko przychodził, i to tylko przy gościach, a zresztą wciąż tylko u siebie lub na wsi. — Wiecznie coś pisał i słał na pocztę, nieraz długo w noc paliło się światło w jego oknach. Czasem jacyś nieznajomi ludzie przybywali do niego Bóg wie zkad, pobyli kilka dni i odchodzili, a potem ich ludzkie oko nie widziało. Aż jednego razu i sam się gdzieś wyniósł. — Rum się zrobił wielki we wsi, gdy to polowy rozpowiedział. Niektórzy nic uwierzyli temu i poszli do dziedziczki dowiedzieć się prawdy. Dziedziczka za bramę wygnać ich kazała, ztąd się też ludzie domyślają, że to ona krzywa temu zniknięciu dziedzica. — Gadali, gadali, aż przestali i wszystko ucichło.

Ale we dworze dziwnie się zmieniło od tego czasu, wszystko się jakoś nie wiodło, marniało, niszczało, bo zabrakło oka czujnego i rozumnej

pańskiej głowy. Dziedziczka pochmurniała, zmizerniała a nawet prędko się postarzała. — Nie poskarżyła się ona tam nikomu, bo ona tego nigdy nie umiała, ale odrazu dojrzeć można było, że ją coś na wewnątrz gryzie i niepokoi; odtąd mało i wyjeżdżała z domu, niedługo potem i pałac zgorzał do połowy i zrobiło się istne pustkowie. — Służba niepłatna powoli do innych dworów się wyniosła. Ale dziedziczka, zwyczajnie jak wielka pani, choć pałac się walił, nie chciała wyjść z niego, bo nowego postawić nie mogła, a w lada dworku mieszkać taka pani by nie mogła. — Dopiero teraz, kiedy na piękne zachorowała, chodził od niej posłaniec z listem do brata. Gdy skończył Maciej opowiadanie, podniósł się i coś nasłuchiwał. Gdzieś daleko za wsią słychać było turkot powozu po kamiennej szosie.

— Ktoś jedzie — rzekł — i to widocznie do nas, bo zjechał z bitego gościńca — i znowu nasłuchiwał.

Tymczasem turkot coraz się przybliżał, już można było rozeznąć chrapanie i rzenie koni. Nie długo powóz wjechał na most.

— Otworzyć, hej, jest tam kto?

Błązek zerwał się jak opętany i uciekł w głąb

ogrodu. — Stróż otworzył bramę. Z powozu wychylił się jakiś człowiek.

— A co? — spytał — pani umarła już? — Leona przeszedł mróz od chłodu tych słów —

— Jutro ją grzebać będą — odrzekł stróż.

— W samą porę — szepnął podróżny rzucając się w kąt powozu. Przybyłym był brat zmarłej — książe Ireneusz.

II. FOTOGRAFIA KSIĘCIA.

Nieraz już wspominaliśmy o księciu Ireneuszu, imię jego od czasu do czasu przewija się wśród naszej powieści, trzeba go więc bliżej poznać. —

Książe Ireneusz był wysoki na sześć stóp, jednak dumne zadarcie głowy do góry czyniło go nieco wyższym; miał więc razem, licząc i owe nawyknięcie, sześć stóp i półtora cala, twarz dość przystojną i pełną a przynajmniej nadętą, zbudowany był dobrze, rasowo, jak się niektórzy lubią wyrażać, na co się i ja zgodzę, lubo przyznam się, że byłbym w kłopotcie, gdyby mi kto

kazał oznaczyć cechy charakterystyczne książęcej rasy; pod tym względem wielka jest niejednorodność, straszny brak owych cech wspólnych, jak to widzimy w rasach proboszczów, organistów, profesorów i t. p. Tu jeden typ charakteryzuje cały stan — w rasie książęcej jest pod tym względem wielka chwiejność i nieoznaczoność. — Jednym może takim wspólnym znamieniem byłaby duma, pewność siebie w postawie, chodzie i ułożeniu, i pogardliwa mina dla ludzi nowych. Przynajmniej takie cechy miał książę Ireneusz. Idąc przebierał nogami tak z wysoka, jakby chciał podeptać wszystko, co było poniżej niego. Dla niego człowiek zaczynał się dopiero od barona, a przynajmniej od zapleśniałego szlachcica — co było poniżej tego, nieznął, używał to do swoich usług, potrzeb i interesów jak się używa konia, psa lub inne zwierzę. Z tych wszystkich użytecznych stworzeń najbardziej lubiał żydów, bo od nich najwięcej można skorzystać a najmniej mają pretensji do szacunku, jakichś względów. Książę spekulant uczył się od nich wiele korzystnych rzeczy, jak od mrówek uczymy się pracowitości, od pajaków przemyślności.

I cóż go uczyniło takim?

Może książę był wielkim wodzem, sławnym

uczonym, zasłużonym obywatelem, opiekunem ubogich, dobrym ojcem, mężem?

Nie, nie, nie —

Więc czemu wyrósł po nad ludzi, co mu dało prawo być zarozumiałym, dumnym, pogardzać pracą i zasługą, co mu zjednało wpływ i znaczenie — co go uczyniło wyższym od drugich ? —

Rzeczy na pozór małe, w istocie śmieszne, a jednak mające wielki wpływ na ludzi. Są to talizmany, którym zabobon przypisał moc cudowną. Znaczek herbowy róg, jeleni, kopyto końskie lub [coś podobnego przykryte czapką książęcą, jak łaska indyjskiego magika zgina do ukłonu służalczego twarde karki, poważne usta rozszerza do pochlebnego uśmiechu i grzeczności. Widziałem grona poważnych literatów, w których łaskawe słowo księcia jak iskra elektryczna budziło humor i dowcip — a cóż mówić o lokajach stemplowanych po wszystkich miejscach herbem książęcego domu, którzy z niewolniczą uległością dogadzają kaprysom dorastającego dziecka, o trzodzie nauczycieli skarbiącej sobie łaski przyszłego magnata pobłażaniem i uległością. Nauczyciele nie wstydzili się nosić futro młodzieńczego księcia, gdy mu na spacerze zaciężyło na

barkach. I czyż człowiek, który od kołyski giboczącej się na błyszczącej posadzce salonu, przywykł do czołobitności, mógł nie uwierzyć, że jest czymś innym od reszty ludzi, czymś wyższym? Wszak zdołano wmówić w cesarzów rzymskich że są bogami, tak samo można wmówić w człowieka, że jest osłem, uczonym, księciem i t. p. Ludzie słoneczniki obracający się za łaską książęcą wmówią w niego, że jest słońcem.

Czyż taki hołd nie wystarcza, aby z człowieka uczynić pęcherz nadęty, dobywający się na wierzch społecznych toni jedynie swoją . . . lekkością?

Od czasu pracowitych gilotyn francuzkich, ileż pięści zacisnęło się z gniewu przeciw tej dumie bez zasługi, używaniu bez pracy! Ileż ust spienionych miało przekleństwa na tych, co pogardzają niższymi, co lekceważą ludzi bez przeszłości i imienia, ileż groźnych spojrzeń zwróconych przeciw tym ludziom jak sztylety, jaka zamieć postępowych broszur w twarz im rzucona — a przecież ci ludzie stoją wciąż w górze społeczeństwa jak na balkonach ubranych w dywany i kwiaty, i z zimnym ironicznym uśmiechem słuchają wrzasków ulicznych, obojętnie, pogardliwie patrzą na te tłumy czarne, spraco

wane rojące się pod nimi, szargające się w błocie ulicznym za zarobkiem.

I czemuż tak aż dotąd? Czyją siłą lub winą stoją oni? Co ich trzyma?

Namiętność, głupstwo, zwyczaj i brak godności przeciwników. —

Duma to ma do siebie, że musi być żywiona czołobitnością i uwagą drugich jak bawełna tłuszczem, inaczej nie wyda światła jeno tli się smrodliwie mszcząc sama siebie. Więc na co bezrozumny krzyk, na co gniewnie zaciśnięte pięście, po co ciskacie spojrzenia na te balkony? — patrzcie raczej na siebie, uszanujcie w sobie siłę i godność i ukoronujcie ją nie pałkami hrabiowskimi, ale osobistą zasługą i cnotliwym życiem — zostawcie na boku tych, co na pochwałę swoją nie mają nic prócz starości rodu, co się wyspinali na trumny zacnych przodków, rozsiedli się na ich zasłudze i wołają: jacy my wielcy — zostawmy ich w pogardzie milczenia, a gdy zostaną sami bez widzów i słuchaczy, zejda po cichu na ziemię i rozbiera się z pożyczanej wielkości jak Grabiec z królewskiej szaty.

Jeżeli więc książę Ireneusz był takim, jakim go opisałem — to nie tyle z własnej winy, ile społeczeństwa, które pozwala i sprzyja rozwinie

ciu się takiej nienaturalnej rośliny. Zdarzyło mi się nieraz widzieć, jak ci sami ludzie, którzy pod drukarskie czernidło kładli swoje piękne rozprawy o postępie, osobistej zasłudze i t. p., którzy w oczach publiki kruszyli piórem stare przesady — w prywatnych kółkach modlili się po pogańsku do starych bałwanów i nieśli im swoją godność człowieczeńską na ofiarę i pożarcie. Czy to podłość, czy to nałóg? Chcę przypuszczać, że prędzej to drugie. Do herbów a raczej do adoracji herbów, bigoteryi, można tak przywyknąć jak profesor do tabaki, żyd do cebuli. U emerytów widzimy, że rozprawiając na spacerach lubią postawać i drugich zatrzymywać.

Bywają znowu zajęcia, po których człowiek za siebie obracać się zwykł. Nie mamy nic przeciw temu, ale niechże tego zatrzymywania się, tego obglądania się wstecz nie nazywa nikt postępowym, życiem, żywotnością, niechże literacilokaje mają odwagę pokazać się w liberyi, a nie przebijają się w mundury postępowych dowódców; niech fala luda niezatrzymuje swego wzroku i pochodu na tych emerytach, niech się nie obgląda za nimi z przyzwyczajenia. Ten owczy pęd do czołobitności przed rodami, których całą zasługą starość, które na ołtarz oby

watelski nic więcej dać nie mogą prócz herbarzy, jest naszym obrzydliwym nałogiem, naszą wadą, naszym wrzodem, i gdyby mnie kiedy napadła ochota rozpisać się o tej rzeczy, nad którą już tyle piór się zepsuło — to papierowe moje gromy nie rzucałbym na nadętych herbowników, ale na tę gawieź hołdowników.

Księcia Ireneusza oprócz dumy charakteryzował jeszcze chłód piwniczny, który był dzieckiem tejże dumy, chłód modny na twarzy magnata, który strzegł go przed nietaktownymi popędami serca. Twarz jego była maską dla jego myśli, maską podobną nieco do twarzy satyra, w ustach bowiem nieco skrzywionych drgał ciągle uśmiech pogardliwy, ironiczny, pełen obrzydliwego cynizmu, uśmiech taki, którym można ukłóć i skalać. Ten uśmiech nie pochodził już w spadku po ś. p. przodkach księcia, ale był własnoręcznym jego wyrobem i nabytkiem. Na taki uśmiech długo pracować trzeba i płaci się zań wszystkimi skarbami serca a lubo skarbiec książęcego ;serca był ubogi jak torba dziada przed odpustem, to przecież i tą odrobiną zapłacić musiał. Aby mózdz wydrwić każdy sercowy objaw, plunąć na każdą cnotę, wyśmiać każde poświęcenie — trzeba mieć

własną duszę wykarczowaną z cnót i jałową jak pole zasypane kamieniami.

Po takim opisanu zalet i przymiotów księcia, dziwnem wyda się może czytelnikowi jego zjawienie się tutaj. Był wprawdzie jak wiemy bratem umarłej, ale jej mezalians i ubóstwo usprawiedliwiało całkiem jego obojętność i zapomnienia.

Wzgląd na opinią byłby słabym bodźcem w tym względzie — musiały więc być inne silniejsze powody, które go tu sprowadziły i kazały zająć się losem nieznanym sobie sierót. W ciągu powieści może nam się ta rzecz wyjaśni. Jakiegokolwiek to były powody postawiły one jednak księcia w bardzo niewygodnej pozycji. Dla człowieka, który znał tylko herb i interes, opieka nad dziećmi jakiegoś tam parweniusza przy zaszarganej fortunie była nieznośnie męcząca. Myślał, że małą sumką zdoła zaspokoić część długów, że resztę wpisze na hipotekę i urządziwszy jako tako stósunki zostawi sieroty w ich majątku i spokojny odjedzie do domu. Tymczasem po rozmowie z rządcą przekonał się, że suma długów dochodzi wartości wioski, że w razie licytacji nie pokryje się nawet tych długów. Trzeba więc było albo spłacić wierzycieli, ulepszyć budynki i gospodarstwo — albo sprzedać

wioskę i dzieci wziąć do siebie. Pierwszemu sprzeciwiała się kieszeń księcia, drugiemu duma. Gdzież i w jakim charakterze umieścić u siebie dzieci jakiegoś tam Płoniewskiego? — Cóż z nimi zrobić? — A znowu płacić takie sumy długów, które nieboszczce podobało się zaciągnąć — toby było szaleństwem nie do darowania. Wybierając więc z

dwojga złego obrał to, co tańsze, i postanowił na jakiś czas przechować sieroty u siebie. Panienci może się da namówić do klasztoru, to bardzo pewne schronienie — dla panien nieposażnych Pan Jezus jest wcale odpowiednim i najpewniejszym oblubieńcem — moja żona pomoże mi w tej religijnej misji. A Emil powinien sobie nauką zdobyć jakiś los, jakiś urzędnik. Tak rozumował książe i kontent był z tego rozumowania, widać to było po skrzywieniu się jego twarzy. Skrzywił się tak, że fałdy czoła i zadartego nosa końce zbiegły się ku sobie, przez co oczy się zamknęły a usta otwały i ta magnacka twarz miała w tej chwili błęgiego zadowolenia wielkie podobieństwo do niedoperza. Nie mówię tego, aby ubliżać familijnym rysom księcia, broń mnie Boże, ale aby czytelnikowi uzmysłowić ten grymas, jakim książe zwykł był wyrażać swoje zadowolenie.

III. JAK SIĘ MOŻNA ZMIENIĆ PRZEZ LAT DWANAŚCIE.

Na drugi dzień odbył się pogrzeb zmarłej. Drogą idącą wśród sadów obsypanych białym kwiatem, wśród niskich pokrzywionych chałup i ludu gapiącego się ciekawie na widowisko pogrzebu postępował kondukt żałobny. Kilku księży z okolicy śpiewało za odpowiednem wynagrodzeniem smutne psalmy nosowym głosem, za księżmi konie nakryte czarnymi płachtami machały głowami niechętnie żałobie, koło trumny dymiące się pochodnie kąpią tłustością na stare, wyszarzane fraki lokai ustrojonych w krepy i herby. Za żałobnym wozem idą sieroty — w powozie za nimi jedzie książe, dalej orszak pogrzebowy, szlachta okoliczna, służba dworska. Wszyscy mają urzędowe smutne miny, rozmawiają po cichu o tegorocznych zasiewach, o jarmarku, o cnotach nieboszczki, kobiety podają sobie ustępy z jej życia do ucha i przewracają przytem pobocznie oczami i wciągają w siebie duże hausty powietrza na westchnienia. Na dzwonnicy chłopcy z całych sił ciągną za sznury, na cmen

tarzu grób murowany, otwarty czeka. — Koło niego gromadka ludzi ciekawych, zaglądających na to zbyt kowne posłanie z kamieni dla trupa. Nadciągnął kondukt — ksiądz proboszcz powiedział mowę rzewną za dwadzieścia reńskich, mówił o równości w obliczu grobu, choć aksamit trumny, liberyą, pochodnie i cała pompa pogrzebowa zadawały mu kłam. Śmierć jest demokratką, chciałyby trupów podobnemi uczynić, ale ludzie wdzierają się w jej prawa, w chłodnych podziemiach grobu tworzą różnicę, hierarchii i robactwu nawet radziby nakazać uszanowanie dla znakomitego trupa. Nad grobem bogacza kilkudziesięciu księży grubym i cienkim głosem wyśpiewuje psalmy i nie psalmy, a ciało nędzarza często bez trumny w snopek słomy obwiniete pada do grobu nie przeżegnane, niepokropione.

— Czemu?

Jeżeli modlitwa i błogosławieństwo jest rzecz sprzedajna jak pieprz, zboże, książki — to przestaje być świętą, a więc jest bezużyteczną; a jeżeli znowu jest koniecznością, aby ciało zmarłego zgodnie z przepisami religii było chowane do grobu — to obowiązkiem kapłana jest spełnić tę powinność dla wszystkich bezwzględnie. Kto naucza z ambony o równości w obliczu Boga,

ten nie może, niepowinien znać różnic stanu, urodzenia, majątku — kto mówi ludowi o zaparciu się i poświęceniu, niepowinien być spekulantem i handlarzem rzeczy duchownych.

Tek rozmyślał Leon stojący z założonymi rękami na jakimś starym grobie i patrząc na lud rojący się koło grobu dziedziczki. — Trumnę spuszczone do grobu, słychać było wśród płaczu dzieci i śpiewu księży łoskot krawędzi uderzających o kamienie. Marynia wsparta na Emilu stała nad grobem jak posąg boleści wykuty z białego marmuru, niebieskie duże oczy zalane łzami utkwiała w ciemne przepaście grobu. Zosia szalała z rozpacz, z krzykiem wyrwała się ludziom i chciała się rzucić z trumną matki do grobu. Strasznie przykro było patrzeć na tę gwałtowną boleść dziewczęcia, zdawało się, że ją to zniszczy, strawi i potarga jak kawałek delikatnego papieru. Szczęściem, że przy pogrzebach są ludzie, którzy uważają sobie za powinność wchodzić w zapasy z boleścią osieroconej rodziny i bądź co bądź stłumić ją. Tacy ludzie są na pogrzebach potrzebni jak tancerze na balu, jak drużba na wesela. Są to tak zwani przyjaciele domu, pocieszyciele z urzędu, którzy prowadzą za trumną rodzinę . zmarłego, szczególnie kobiety, po kieszeniach

mają trzeźwiące krople i bogaty zasób sentencji w głowie o marności tego świata, o niezawodnym r e n d e z v o u s za grobowcem, o występności niechrześcijańskiej rozpacz, o potrzebie zachowania swego życia dla innych, drogich istot, pozostałych na tym padole i t. d. — Takimi sentencjami, jak wodą, gaszą żar boleści i rozpacz, jak amoniakiem trzeźwią duszę, omdlewającą. Do grobu rodzinie zmarłego pod żadnym pozorem zbliżyć się nie pozwalają, trumną otwierać surowo zabraniają, a ledwie ksiądz pokropi zwłoki i zanuci: „Salve regina” — ci pocieszyciele jak szatani, porywają wtedy płaczącą i lamentującą rodzinę, ciągną przez groby, krzaki, trawę i pakują coprędzej do powozu wpół nieżywe od boleści i zmęczenia ofiary, i każą je co prędzej odwieźć do domu. Potem ocierając spocone czoło, patrzą za znikającym powozem, z miną ludzi, którzy się zasłużyli, którzy spełnili swój obowiązek. — Takich pocieszycieli i tu nie brakło, zapakowali do powozu gwałtowną rozpacz Zosi i niemą boleść Maryni wraz z Emilem i wyekspedowali do dworu.

Tu wypada mi wsunąć mały epizod.

W chwili, gdy kondukt żałobny opuścił pałac, z drugiej strony drogą od gościńca szedł między

topolami jakiś dziad obdarty, zakurzony, krokiem niepewnym, pijanym. W ręku miał gruby kij sękaty, którym z fantazyja wywijał, mrużąc jakąś piosnkę pod nosem, lub prowadząc ze sobą rozmowę. Na lewą nogę utykał nieco. Gdyby Wasyl spotkał tego dziada, poznałby go pewnie, bo to był ten sam, którego on opatrzył i odwiózł do szpitala, gdy koło fiakra zgmiotło mu nogę. Ślad tego wypadku został w jego chodzie.

Twarz żebraka nie była zwyczajną i gminną, było w niej coś szlachetnego i coś namiętnego, rzewność i dzikość, coś z miny hetmanów zaporozkich, albo się lepiej wyrażę, gdy powiem, że był jak zbiedzony koń żydowski, co kiedyś rycerzy unosił wśród dymu bitew. Namiętnie rozdęte nozdrza, broda krótko strzyżona, kędzierzawa, wierzchem siwa, spodem szpakowata, piękno czoło, pod którego sklepieniem błyszczały dwoje niebieskich ocz — to były ślady lepszej, piękniejszej przeszłości żebraka, które się zacierały po szynkowniach, oszpeciły piętmem, jakim nędza i łachmany znaczą swoich ulubieńców.

Wszedł do ogrodu, zataczając się na gazony i klomby kwiatów, policzki poczerwieniały mu od zbytniego pociągnięcia wódki. Doszedłszy do bramy pałacowej, stanął, nogi mocno wbił w zie

mię i głupkowato zapatrzył się we drzwi, z kąd spodziewał się jałmużny.

— Łaskawi, litościwi państwo, obdarzcie biednego człowieka — począł skomleć żebraczym zwyczajem — i czekał. Zaparte drzwi pałacu nie otworzyły się, nikt nie wyszedł, żadna twarz w oknie się nie pokazała. Żebrak nieśmiało wszedł na balkon pod okna i powtórzył prośby głośniejsz; a gdy i teraz nikt się nie pokazał, zbliżył się do okien i zajrzał w głąb. Wszędzie było pusto, nigdzie żywej duszy. Tylko w jednym pokoju zobaczył katafalk, koło niego poprzewracane lichtarze i czarne kiry na ścianach.

— Tfu, czy czary — rzekł, splunął i przetaił oczy, usiłował zebrać myśli, rozlatujące się w nieładzie po pijanej głowie. W tej chwili, tuż za nim, rozległ się przeraźliwy gwizd. Dziad się wzdrygnął i obejrzał. Przed nim stał głupi Błażek, z rozczapirzonemi rękami i nadętą twarzą do nowego gwizdu. Zobaczywszy obcego, począł mu się przypatrywać, i dziad patrząc na niego, usiłował sobie coś przypomnieć. Pijak i wariat usiłowali myśleć. Wreszcie Błażek począł łązić koło dziada i wachać go, jak pies, gdy się łąsi, i zachichotał:

— Hi, hi, hi. A Magdalanka mówiła, że wróci — i znowu stanął przed przybyłym i gapił się na niego.

Ten uśmiech rozstrojony, dziki, przypomniął coś dziadowi.

— Błażek — mruknął sobie osłupiały — z kąd ta szelma tu się bierze?

Śmiech waryata otrzeźwił go, począł zbierać myśli, obejrzał się do koła siebie, coś mu się przypomnielo, wstrząsnął się cały przerażony i począł uciekać przez klomby, sztachety, za ogród do karczmy, co stała na drodze, wiodącej do kościoła. Za nim leciał Błażek; zwierzęcy instynkt gnał go za dziadem.

Dziad dopadł karczmy zdyszany, usiadł na ławie i stłumionym głosem zawołał:

— Wódki, spirytusu, ognia, zimno mi. Rzeczywiście trzął się cały, jak w febrze,

choć dzień był skwarny. Chwyił dygotającą ręką półkwaterek i wlał w siebie. Spirytus był mocny, aż mu zachrypiało w gardle, ale nie rozgrzał go.

— Jeszcze — wycharczał cicho i powtórzył:
— Słaby, nalej więcej.
Żyd z przestrachem patrzył na nienasyconego pijaka i zląkł się.
— Daj żydzie.

— Zapłaćcie pierwej.
Dziad poszukał w torbie i rzucił kilka krajcarów na stół.
— No, to za to, coście wypili, a chcecie pić jeszcze, to dajcie więcej.
Dziad drżącymi rękami szukał skwapliwie i pilnie w torbie — Błazek stał we drzwiach oparty rękami o futryny i chichotał podług zwyczaju.
— Nie mam — mruknął dziad — dam później.
— Obiecanka cacanka hi, hi, hi.
Żyd z oburzającą obojętnością zatkał flaszkę i schował w szafie.
— Wódki żydzie! — zawołał dziad gwałtownie, chwyciwszy go za piersi, bo chciał, bo potrzebował się upić w tej chwili, a nie mógł. — Spirytus dławił go i palił w gardle, a nie szedł do głowy, nie rozpalał krwi. Chciał zamroczyć w pamięci widmo pałacu, które mu stało przed oczyma — katafalk, świeczniki porozrzucane po podłodze, a nie miał czem.
— Nu, co to jest, rozbój ? — zakrzyczał żyd, trzęsiony jak drzewo silnymi rękami dziada.
Wtem na drodze Zaturkotał powóz, dziad puścił żyda.

— Czekaj, będą krajcary.
Wybiegł z karczmy i z wyciągniętą ręką leciał naprzeciw zbliżającemu się powozowi.
W powozie siedział Emil, Marynia i Zosia, już uspokojona nieco, ale jeszcze od czasu do czasu spazmatyczne łkanie rwało jej piersi. Burza boleści uciszyła się w niej.
— Litości dobrzy państwo, wspomóżcie biednego kalekę, — skomlał żebrak.
— Stań! — rzekła Marynia do woźnicy, powóz zatrzymał się, ona szukała drobnych w woreczku. Żebrak z wyciągniętą ręką stał przed powozem, i ta chwila czekania na jałmużnę wydawała mu się strasznie długą. Wreszcie pieniądze uczył na dłoni, spojrzął na dobrodziejkę i zmieszał się czegoś, jakieś niewytłomaczone uczucie go ogarnęło. Są oczy, których spojrzenie ma w sobie tajemniczą siłę, przed takim wzrokiem tygrys cofnie się z ponurym mrukiem, zbrodniarz zdrzy, występny się zawstydzi. Takie oczy świadczą o istnieniu duszy — takie oczy głębokie, mowne i pełne potęgi miała Marynia. Wzrok ten ugniatał piersi żebraka jakąś niewytłomaczoną tęsknotą za czemś, czuł rzewność i upokorzenie.
Powóz odjechał — żebrak stał nieruchomy, zamyślony.

Dałby wiele za to, żeby ten powóz jeszcze raz przejeżdżał koło karczmy, żeby raz jeszcze mógł zobaczyć tę panią z dziwnymi oczami, ale żeby sam mógł nie mieć na sobie łachmanów. Drugi raz możeby nie wyciągnął do tej pani ręki po jałmużnę. — Czemu? — Sam nie wiedział. On już dawno przestał wstydzić się żebrać, a jednak w tej chwili czuł się strasznie upokorzonym tem, że żebrał. Ściskając pieniąż w dłoni, wrócił powolnym krokiem do karczmy, głęboko zamyślony.

— Nu, macie pieniądze? — spytał żyd ciekawie.

— Mam — odrzekł dziad machinalnie.

— Nu, dać wam wódki?

— Nie — odrzekł tym samym tonem co pierwej, i w głębokie wpadając zamyślenie, wsparł głowę na ręce. — Po chwili, jakby ze snu obudzony, podniósł oczy i spytał żyda:

— Nie znacie wy tej pani w pojeździe?

— Jak nie mam znać? — to córki nieboszczki dziedziczki, panny Płoniewskie.

Dziad wlepił w żyda oczy sztywne, osłupiałe, niby się chciał coś pytać, niby coś kombinował — kolory z twarzy ustępowały i bez ducha zsunął się z ławy na ziemię, jak suknia zrzucona.

— Nu, co to wam jest? — wołał przestraszony żyd trzęsąc żebrakiem zeszywniałym.

A Błazek oparty o drzwi gapił się i chichotając mówił:

— Magdalanka powiedziała mi, że wróci.

IV. ROZSTAJNE DROGI.

Ścieszka przez łąki wracali do dworu Leon i rządzca. Ten ostatni był to człowiek prosty ale prawy, przytem młody, przystojny blondyn, krępy, zgrabny. Dobry gospodarz, dobry człowiek — to były jego zalety, w poczciwości zatwardziały jak granitowa skała, nie ukruszy, nie ułamie jej łatwo. Każdą rzecz robił powoli ale gruntownie, mówił mało, to też słowa jego były ważne jak kamień i nie ustąpił od tego, co powiedział. Nie oddawna począł zarządzać majątkiem nieboszczki, dla tego mimo pracy i usiłowań w przeciągu tak krótkiego czasu niemógł nic pomódz. Miał nadzieję, że po kilku a może dopiero kilkunastu latach przy oszczędności

i dobrem gospodarstwie będzie można majątek oczyścić z długów. Śmierć dziedziczki przerwała jego plany.

— Więc pan mówisz — odezwał się rządcza do Leona prowadząc z nim dalej zaczęłą rozmowę — że książę się panu niepodoba? — I ja go takim poznałem po krótkiej z nim rozmowie. Smutnym będzie los sierót. —

— I bardzo smutny. Podobno długi przenoszą wartość majątku? —

— Tak — rzekł smutno rządcza.

— Więc nie ma żadnego ratunku? Rządcza milczał — po chwili się odezwał:

— Może jest jeden, jedyny. Gdyby się znalazł ktoś, coby wzięwszy wioskę w kilkunastoletnią dzierżawę spłacił z góry wierzycieli, zajął się szczerze poprawą gospodarstwa, postawił budynki, w takim razie po kilkunastu latach majątek nie obdłużony wróciłby do sierót i zapewnił im los choć w części. Przez ten czas mogłyby mieszkać na folwarku przy starej ochmistrzyni. To by ich uwolniło od opieki księcia.

— Ale któż weźmie tak ciężką dzierżawę, nieprzynoszącą prócz trudów prawie żadnych korzyści? — Na to potrzeba się poświęcić —

a książę do tego nie zdalny i jestem pewny, że nie przystałby na to. —

— Tak, nie przystał — mówiłem z nim już o tem. To dla niego za długi kłopot, o ile mogłem zmiarkować z jego mowy chciałby prędko i tanim kosztem wykręcić się z narzuconej opieki.

— Więc zbawienna myśl pańska upada.

— Nie tracę nadziei. —

— Czy masz pan dzierżawcę?

— Mam — odrzekł rządcza tępo.

— Kogo?

— Siebie. —

Leon spojrział na mówiącego, który przed tym wzrokiem spuścił oczy i zmieształ się. Aby to pokryć mówił dalej:

— Idzie jeszcze o kilka tysięcy — których mi brak do potrzebnej sumy; wysłałem więc posłańca z listem do mego szwagra i liczę na jego pomoc.

Leon z podziwem słuchał tych słów tak prostych, a tak pełnych uczucia, tak napiętnowanych poświęceniem. —

— Więc pan cały swój majątek stawiasz na kartę, a jeżeli się przerachujesz, jeżeli gospodarstwo cię zawiedzie — w takim razie zrujnujesz się, stracisz cały owoc twej pracy.

— Jestem sam jeden a ich troje. Gdy się cofnę, majątek będzie licytowany i sprzedadzą go niżej wartości, w takim razie sieroty pozostaną wciąż dłużnikami, bo książę pewnie nie zapłaci.

Leon wziął rządczę za rękę i przytrzymując w chodzie rzekł głęboko wzruszony:

— Bóg ci zapłać za to. Zaprzęgasz się pan do ciężkiego jarzma, by wyorać dla sierót szczęście. Ty musisz je bardzo kochać? Jesteś szlachetny — panie Janie.

Zagadnięty w ten sposób rządzca nie umiał pokryć pomieszania. Leon zapuszczał mimo wiedzy sondę w jego duszę, nie umiał kryć myśli, swoich więc odrzekł prędko:

— Nie chwał mnie panie Leonie — może nie umiałbym się zdobyć na to, gdyby nie pewne osobiste pobudki, które mnie ciągną do tego. — Ja kocham pannę Zofią. —

Przy tych słowach poczerwieniał jak żak. —

— I ona wie o twoich uczuciach? — spytał go Leon nie zdziwiony wcale wyznaniem.

— Może się domyśla, ja jej tego nigdy nie mówiłem i nie wiem, czy będę mógł kiedy powiedzieć, bo wątpię, czy ona spowinowacona, z książętami.

— Nie ubliżaj sobie panie Janie. Ty na twoje pocziwe imię i mienie pracowałeś ciężko, a książęcy tytuł dostaje się bez pracy, darmo. Zofia na tej kruchej, zbutwiałej podstawie nie oprze się pewnie, a gdyby tak było, w takim razie nie byłaby godną nazywać się twoją żoną i pewnieby cię nie uszczęśliwiła. — Zresztą wybadam ją.

— Na miłość Bożką nie dziś, nie teraz. —

— Nie obawiaj się pan, będę z nią mówił tylko o tem, co w obecnej chwili uważam za potrzebne.

Te słowa mówił Leon już w bramie pałacu.

— Gdzie pan Emil? — spytał lokaja.

— U siebie. —

— Do widzenia więc — rzekł do Jana i uściśnął dłoń jego serdecznie; potem poszedł na górę do Emila. Zastał go pogrążonego w myślach, z głową opartą na ręce — skrzyp drzwi otwieranych zbudził go z zadumy, podniósł oczy na wchodzącego Leona.

— A! jesteś — rzekł z utęsknieniem — tak mi cię tu brak było. Być sam na sam z tak głębokim smutkiem — to straszno. —

To mówiąc położył głowę na jego piersiach. —

— O jak to źle nie mieć nikogo — dodał z westchnieniem.

Leon nie próbował go pocieszać, ale chciał myśli jego, co się smutnie do płaczu układały, poruszyć i zająć. Szło mu o pośpiech w przeprowadzeniu projektu Jana.

— I cóż zamýślasz teraz ze sobą uczynić? — spytał go.

— Niewiem. Pogadam w tym względzie z wujem. —

— Czy znasz dobrze księcia Ireneusza?

— Z opowiadań matki; ale jakikolwiek on jest, opuścić nas nie może.

— Mówisz o siostrach? —

— O siostrach i o sobie.

— O sobie? — zapytał Leon głosem wyrażającym zadziwienie — Emilu, więc i ty potrzebujesz jego opieki? Nie mówię kobiety słabe, ale ty mężczyzna. W dwudziestym pierwszym roku potrzebujesz łaski ludzi?

Jeżeli głos Leona wyrażał zdziwienie, to nie mniej zdziwił się Emil tem jego przemówieniem, nie zrozumiał o jakiej pomocy, łasce mówił. Mówiliśmy bowiem poprzednio, że jakkolwiek wcale nie świetny był stan majątkowy jego matki, to Emil nigdy nie uczył niedostatku, nie mógł go się nawet domyślać. Otoczony zawsze wygodami & nawet zbytkiem wyrósł nieznając co to brak,

potrzeba — nie przypuszczając, że będzie kiedyś zmuszony myśleć o sobie, pracować na siebie. — Przekonany był, że śmierć matki o tyle tylko zmieniła jego położenie, że teraz wuj wydzielać mu będzie fundusze z jego majątku, nie spodziewał się ruiny. Dla tego słowa Leona zdziwiły go i dotknęły nawet, poczytał je za patetyczne frazesy.

— Nie rozumie cię Leonie — mamże się wyrzec opieki? Przecież kamieni po gościńcach tłuc nie będę.

— I ja ich nietłukłem — odezwał się Leon poważnie i spokojnie — a jednak od dziecka pracowałem na siebie i pracuję.

— Co innego ty — wtrącił nieśmiało, półgłosem Emil.

— Jakto? A w czymżeś ty gorszy odemnie? Tak samo Bóg cię stworzył zdrowym, silnym, obdarzył zdolnościami. — Emil zaczerwienił się i zawstydził. On temi słowami, które mu się niebacznie wyrwały, co innego chciał powiedzieć, chciał dać uczuć Leonowi różnicę ich urodzenia i stanowiska. Leon udaniem czy prawdziwym niezrozumieniem tego zmieształ go.

— Widzisz — mówił Emil — ty zawcześnie

pewnie przywykłeś do trudów, niewygód, niedostatku, podczas gdy ja

— A ciebie czy zwyczajają kto żyć z łaski, a przecież rzucasz się w to życie Emilu. Nie spodziewałem się tych słów po tobie, nie myślałem, iż cię przestraszy ta myśl, że będziesz musiał pracować na chleb. Bardziej cię nęcą wyżebrane łakocie.

— Leonie obrażasz mnie — odezwał się z lekkim wyrzutem Emil — nie rozumie, co mówisz o żebraniu. Ja nigdy nie żebrałem i żebrać nie będę, my mamy własny majątek.

— Którym nie będziecie mogli spłacić wszystkich długów. —

Emil pobladł, słowo: długi, jak przepaść rozwarła się przed nim, spojrział przerażony w głębie tego słowa, nogi pod nim osłabły i zatrzęśły się. —

— Leonie — szepnęła cicho osłupiała — coś ty powiedział?

— Prawdę.

— Boże, i cóż tu począć? — — Pracować.

— A siostry? —

— Dla nich jest ratunek.

Tu rozpowiedział szczegółowo Emilowi projekt Jana a zakończył słowami:

— Ten człowiek będzie waszym zbawcą.
— Niewielu, czy książę zgodzi się na to — czy pozwoli siostronom tulać się po folwarkach.
Leon gorzko się uśmiechnął.
— Emilu, jakie z ciebie dziecko.
— Więc myślisz, że chciałby się nas pozbyć?
— zapytał Emil usiłując odgadnąć myśl i uśmiech Leona— zamyślił się ponuro, po chwili namysłu rzekł:
— Ha, więc dobrze, pomówię o tem z siostrami, przedstawię im o ile będzie można rzeczywisty stan naszych interesów; zobaczę, co powiedzą, bo sam mi przyznasz, że bez ich woli nic o ich losie stanowić nie mogę. —
— A ze sobą co myślisz zrobić? — spytał Leon powtórnie i wyczekiwał odpowiedzi.
— Ze sobą? — odrzekł Emil wahająco —
Zostaw mi jakiś czas do namysłu, muszę pierwiej oswoić się z tem położeniem, w którym się tak niespodziewanie znalazłem; spróbuję przypatrzeć się tej drodze, którą mi wskazujesz.
— Więc się boisz jej? Przestrasza cię walka?
— Daj mi walkę godną mnie, walkę piękną, wzniosłą, a zobaczysz, że się nie cofnę. Ale bić się z losem o codzienne potrzeby życia, kłopotać się o drobnostki, wleźć w to wszystko, jak w gry

zące mrowisko — och, tego się boję, takie pasowanie tylko zdeptać, spodlić i po odrobinie strawić może.
— Mylisz się, taka walka hartuje, w takich trudach się dojrzewa. Gdy przeciwnie, tam w pieluchach wygod wyżebranych, zleniwiejesz i zatrzesz w sobie samodzielność i godność własną. Ale nie nalegam na ciebie — owszem, idź tą drogą, którą uznałeś za lepszą, dla tego, że łatwiejsza. Czas cię z niej zepchnie, jestem tego pewny, bo cię znam. Z tem się rozeszli.
Drugiego dnia rano, Leon przebudziwszy się, usłyszał niezwykley ruch przed oknami, wyrzwał i zobaczył fury naładowane rzeczami i Jana wydającego rozkazy.
— A to co? — spytał.
— Wysyłamy rzeczy do Krakowa — odpowiedział Jan.
— Kto kazał?
— Książę.
Leon, który się całkiem nie spodziewał czegoś podobnego po wczorajszej rozmowie z Emilem, zebrał się pędkiem i poszedł do niego. Spotkał go na schodach.
— Cóż się to stało?

- Wyjeżdżamy do wuja. Marynia przystała na twój projekt, ale Zosia słyszeć o nim nie chciała.
- Czyś jej powiedział wszystko?
- O ile mogłem to uczynić; za całą odpowiedź dała mi wolę matki.
- Czy można widzieć się z panną Zofią?
- W tej chwili jest na nabożeństwie i ja tam idę.
- Chodźmy.

I poszli łąkami ku kościołowi. W kościele, oprócz dwóch sierót, było kilkoro ludzi, katafalk z trumną stał jakby wśród pustki, co nabożeństwu nadawało postać ponurą. Wśród ciszy słychać było basowe mruczenie księdza i pryskanie palących się świec. W ławkach, obok wielkiego ołtarza siedziały obie siostry w grubej żałobie. Zosia swoją piękne, fiołkowe oczy wywróciła do góry w ten sposób, jak nam niektórzy malarze wystawiają modlące się święte, piersi co chwila wznosiły się do głębokich westchnień, a wargi poruszały się szybko przy modlitwie. W całej jej postawie, mimo wielkiego smutku, widać była egzaltacja, poetyczne rozczulenie, Sentymentalność. Inną była Marynia. Pochylona nad książką,

cała była zatopiona w modlitwie. Nie podnosiła oczów ku zakurczonym sklepieniom kościoła, by przez nie wyszukać sobie drogę, do nieba, do Boga — ona tego Boga czuła w sobie, myśl na chwilę pożegnała świat tutejszy i wstąpiła w głębokość duszy, na świętą rozmowę z Bogiem. Obok cierpienia, na jej twarzy był spokój i rezygnacja. Tylko ludzie bez serca, lub ogromnej siły moralnej, mogą zdobyć się na taki spokój. — Marynia była dziś dziwnie piękną. Śnieżną białością jej twarzy, przypominającej regularnością swoją antyki greckie, potęgował strój żałobny, z pod czarnego kapelusika wysunęło się kilka kosmyków jasnych, złocistych włosów, opadając na ramiona — w całej postawie była królewska powaga.

Jeżeli piękność i usposobienie Maryni porównaliśmy do marmurowych posągów, to dla Zosi musimy szukać porównania w obrazach włoskich mistrzów; jeżeli tam podziwialiśmy rysunek, to tutaj przedewszystkiem uderzy nas kolor, blask. Żeby wyszedł artysta, któryby, nie będąc mistrzem w kolorystyce, chciał malować tę twarz pełną życia, ruchu i wdzięku, rozjaśnioną rumieńcem, i to nie takim, któremu możnaby granice nakreślić, oznaczyć, rumieniec ten promieniał w twarzy

jakby blask od jakiejś purpury, drżący, przemieniony, a piękny jak kolory kołyszących się róż bengalskich. Usta miała karminowe, pięknie wykrojone, lekko rozchylono o tyle tylko, aby można dojrzeć białe, równiutkie ząbki; ale

najbardziej zajmowały jej oczy, wyraźnie fioletowe, wilgotne, patrząc na te oczy, można było uwierzyć, że pachną. — Taką bywała Zosia w chwilach wesela i szczęścia, istna okolica cudowna, pełna zieleni, kwiatów, błękitnych wód a oświecona złotem słońcem. Ale niechno to słońce wesela znikło, okolica posepnieje, barwy bledną, szarzeją — tak i twarz jej wrażliwa zmieniała się nagle, wdzięk z niej schodził, a wstawała posepność i bezbarwność dnia chmurnego. Po skończonem nabożeństwie, młodzi ludzie zbliżyli się do pań i przywitawszy, wracali razem z kościoła przez łąki do domu. Leon szedł naprzód z Zosią i zawiązał z nią rozmowę, podczas gdy Marynia smutna i milcząca postępowała obok brata.

— Panie podobno chcą wyjeżdżać ztąd? — zapyta! Leon.

— Taka jest wola księcia wuja.

— I panie tak prędko, tak niespodziewanie się zdecydowały?

— Cóż robić? Gdyby to od naszej woli zależało, tobyśmy nigdy nie rozłączały się z temi miejscami, które są pełne najdroższych i najsmutniejszych wspomnień; ale my teraz nie rozrządzamy sobą, przypadł nam w udziale los straszny i smutny.

— Więc i pani masz przecucie, że w domu księcia los wasz będzie smutny.

— I tam i wszędzie, sierota nie zazna szczęścia! —

— A jednak gdyby tylko troszkę chęci, panie mogłyby los ten uczynić znośniejszym. Chodzi tylko o to, ażeby się wyrzec trochę blasku, co razi, aby znaleźć trochę szczęścia, co grzeje.

Twarz Zofii ułożona do patetycznego smutku i rozczulenia, zmieniła się nagle, zmarzła jak łza w zimie, podniosła się dumnie i odrzekła, zmrużając oczy:

— Jeżeli mamy cierpieć, to z godnością i tam, gdzie nam przystało.

— Więc pani domyślasz się o czem chciałem mówić ?

— Mówił mi brat o tem wczoraj i dziwię się, że od pana wyszedł ten projekt, że pan mogłeś przypuścić coś podobnego.

— Nietylko przypuszczałem, ale wierzyłem,

że panie przeniosą skromne, ale niezależne schronienie nad....

— Zależność jest udziałem kobiet od kotylski do trumny, zresztą taka jest wola matki, tę wolę uszanować musimy. — Me możemy bez obrażenia pamięci umarłej (tu Zofia przyłożyła chustkę do oczów), ustępować z towarzystwa, do którego ona urodzeniem należała, byłoby to jej i nas niegodnem. Tam, gdzie ekonomiczne córki znalazłyby szczęście, dla nas go nie ma.

Leon nie spodziewał się tak nagłego przechodu z sentymentalności, w jaką się Zofia przed chwilą posuwała, do tej dumy tchnącej zimnem i szyderstwem. Zofia rzeczywiście miała w sobie te dwie sprzeczne natury, połączenie ich w jedno, było więcej mechaniczne niż chemiczne. Dumy uczyła ją matka całym swoim życiem, a sentymentalności, pasowań się na heroinę smutnych wypadków, jej guwernantka panna Żaneta, która bolesne chwile staropanieństwa swego umiała zapępniać łzami nieutulonego żalu, wykrzyknikami na srogię nieba, i w braku rzeczywistych wielbicieli,

stwarzała sobie mglistych bohaterów, cudownie pięknych i walecznych. Takimi niezdrowymi i niepożywnymi marzeniami, karmiła swoją elewkę; przekonała ją: że najpiękniejszy z uroczych uro

ków kobiety — to urok smutku i cierpienia wypisanego na twarzy bladej. Taka kaligrafia bóleści łatwo się udawała, na podeszłej w lata i podteranej twarzy panny Żanety, ale trudną i nieczytelną na rumieńcu Zosinym — mimo to, panna Żaneta usiłowała zrobić ją zawziętą nieprzyjaciółką własnego rumieńca, otwierała razem z nią w nocy okno, by wzdychać do okrągłego księżycy, deklamowały razem najrzewniejsze sonety, najposepniejsze ballady, i nieraz mokre od łez, któremi zlewały cierpienia romansowych bohaterów, upadały znużone w objęcia snu, nie wiele troszcząc się o los biednych, rzeczywiście cierpiących. Zosia z zajęciem słuchała tych sentymentalnych prelekcji, przejęła się maksymami butwiejącej heroiny, ale mimo to nie zmieniła poprzedniej swojej natury; dodała tylko jedno do drugiego.

— Leona zgorszyła ta natura.

— Szczęście jest wszędzie pani, gdy je człowiek wniesie, czy do folwarku, czy do chłopskiej chaty.

— A jeżeli go w nas nie ma?

— To go pani nie odszukasz na książęcych salonach; a szczególnie takiego księcia jak.....

— Pan zapominasz, że mówisz do jego kuzynki — rzekła Zosia napominając. — Zresztą

opieka księcia nie ubliża nam, nie czyni nam żadnej łaski.....

— Więc Emil nie powiedział pani?

— Co?

— Że po sprzedaniu wioski, spłaceniu wierzycieli, panie będziecie musiały zostać na łasce księcia.

— Pan chcesz mnie upokorzyć.

— Nie pani, tylko przestrziedz.

— Wszak po sprzedaniu majątku zostanie coś na zabezpieczenie losu.....

— Chwilowe — a potem co?

Zosia milczała — przygryzła wargi i nie wiedziała co odpowiedzieć, ona nigdy myślała tak daleko nic zabiegła, w jej fantastycznych marzeniach pełnych marmurowych pałaców, alabastrowych lamp, złota, książąt, nigdy przyszłość nie pokazała się tak czarną. Zadrżała przed tem widmem i czuła się upokorzona, a to tym bardziej, że o tej smutnej przyszłości mówił jej człowiek, który się jej wydawał tak ubogi, a który przecież w tej chwili stał wyżej od niej, bo nie potrzebował zakrywać oczów przed przyszłością swoją.

— Nie miej mi pani za złe — mówił dalej Leon — że odsłaniam przed panią całą prawdę, nietając nic, sama zmusiłaś mnie do tego. Nie

raniłbym pani, gdybym nie miał lekarstwa. — Dzierżawa wioski może ocalić was — warunki dzierżawy tak trudne, że tu nie ma mowy o interesie, ale o poświęceniu się dzierżawcy.

— Brat mi mówił, że się podobno ktoś znalazł.

— Tak, Jan.

Zofia się skrzywiła — rządcza ich dobroczyńcą, to ją dotknęło.

— O! pojmuję całą wielkość jego poświęcenia i podziwiam, ale nie mogę sobie wytłumaczyć co pana Jana skłania do takiego poświęcenia.

— Poświęcenie zysku nie szuka. Zresztą, jeżeli tu chodzi o pobudki, to możeby się i znalazły.

— Jakież?

— Czy pani się nie domyślasz? Czy nie wyczytałaś w oczach Jana

Zofia nagle ściągnęła gniewnie brwi, nad fioletkami oczów piorun przeleciał.

— Dostyc panie, proszę nie kończyć. Nie pojmuję śmiałości pana Jana.

— A ja gniewu pani.

— Zrozumiałbyś go pan, gdybyś pomyślał, że córka księżniczki.....

— Nie kończ pani, zrozumiałem — rzeki Leon — Jan niepowinien nigdy nazwać pani żoną swoją. —

Po tych słowach skierował rozmowę na rzeczy obojętne. Zofia wytłumaczyła sobie całkiem po swojemu jego ostatnie słowa, to jest, iż przekonał się o śmieszności i bezczelności żądań Jana i ustąpił. Wróciła więc znowu do sentymentalnej pory i znowu mowa jej była tak smętną jak śpiew niemieckiej harfistki. — Leon był w sobie wzburzony, rozdrażniony. Jego plany skrzyżowała duma jednej dziewczyny, duma na zdeptanie, której i wyśmianie miał tysiące argumentów, ale ich nie użył wiedząc dobrze o tem, że kobiecych urojeń i najdobitniejszymi dowodami nie przekona i nie zniszczy.

Weszli w ogród pałacowy, Emil z siostrami wszedł do pokojów — do Leona zbliżył się Jan.

— Wszystko idzie doskonale — odezwał się — posłaniec wrócił z pomyślną odpowiedzią. Chodźmy do księcia, nie ma co zwlekać.

— Jeszcze jedno — rzekł Leon — panie Janie, ty robisz poświęcenie przez zyczliwość dla sierót ale głównie dla tego, że kochasz Zofię. —

Jan spuścił oczy nieśmiało, i skinął potwierdzając.

— A gdyby Zofia nie podzielała twoich uczuć?

Jan nie zastanawiał się nigdy nad tem, te słowa uderzyły w niego nagle, zbladł w pierwszej chwili i zafrasował się, potem rozpogodził się i odezwał:

— Eh, nie — panna Zofia ma dobre serce —

— A jednak gdyby ? ...

— Gdyby? — Panie Leonie bój się Boga ty coś wiesz? — zapytał biedny Jan blednąc — ty mówiłeś z nią dzisiaj ...?

— A gdyby tak było? —

Jana wzrok zeszywniał i zatrzymał się na twarzy Leona, dech zaparła mu trwoga. Poczciwe serce jego w tej chwili strasznie cierpieć musiało; długo tak stał. Potem westchnął głęboko, wsparł się na Leonie i zapłakał jak dziecko. — Leon patrzył na niego z głębokiem współczuciem —

— Musiałem ci to powiedzieć póki czas jeszcze panie Janie, póki mogłeś się cofnąć. —

— Nie panie Leonie, ja się nie cofnę. Wprawdzie powziąłem tę myśl wierząc w panny Zofii przychyłność, ale dziś ta myśl nie mniej mi się dobrą wydaje. Dobry uczynek dla sierót to

także wielka pociecha i radość człowiekowi. Chodźmy do księcia. —

Nie będę nudził czytelników całą sceną układów między księciem i Janem, samolubstwo stanęło do walki z poświęceniem. Książe rad był projektowi dzierżawy, który mu ujmował wiele kłopotów i zabezpieczał dalszy los sierót, ale z drugiej strony straszyla go odległość lat, przez które sieroty będą musiały zostawać u niego, a powtórę kłóło go w oczy to poświęcenie się człowieka obcego, na które on się zdobyć nie umiał, nie chciał. Dla tego podawał Janowi dość uciążliwe warunki, które ten jednak bez małej zmiany przyjmował, szły one bowiem na korzyść sierót. — W kilka godzin kontrakt został podpisany — a tymczasem powozy zajęchały przed ganek.

Za chwilę pierwszy powóz ruszył z miejsca, był w nim książe i Zosia. Oboje obojętny ukłon rzucili stojącym na balkonie. — Pojechali. —

Nadjechał drugi powóz. Marynia wyszła z pokoju mając twarz zasłoniętą czarną wualką, chciała coś zakryć przed ludźmi — może łzy, może wzruszenie ? Kto wie —

— Bądź pan zdrow panie Janie — rzekła z dobrocią — pamiętaj tu o naszych pamiątkach.

— Od pań zależało nie rozłączać się z niemi — rzekł Jan nieśmiało. —

— Zosia inaczej chciała — rozłączać się nie mogłyśmy. Wszak nas tylko dwie na świecie i dla siebie żyć musimy. — Panie Leonie, bądź. pan zdrow i nie zapominaj o nas.

Leon podał jej rękę wstępującej na stopień powozu. Zdawało mu się, że ręka jej drżała. —

Kiedy Emil w ubraniu podróżnem zbliżył się do powozu, Leon zapytał go cicho:

— Więc jedziesz?

Emil nie umiał i nie mógł w prost odpowiedzieć na to pytanie, unikając wzroku przyjaciela i omijając odpowiedź rzekł:

— Ty nie jedziesz z nami do Krakowa? —

— Nie, drogi nasze się rozchodzą. Bądź zdrów.

— Do widzenia. —

I powóz ruszył. Jan i Leon stojąc na balkonie odprowadzili go oczami ku bramie i dalej.

Z mostku jeszcze skinął Emil ręką, mignęła czarna wualka Maryni i zniknęło wszystko za obłokiem wznoszącej się kurzawy.

— Więc pojechali — odezwał się smutnie Jan. — Czemu tak kiwasz głową panie Leonie, czy przeczuwasz co złego?

— Litość mnie bierze i żal nad tymi, co wolą

pańską jałmużnę niż własny skromny kącik umajony szczęściem. Widziałeś znak herbowy na książęcej karecie? —

— Więc cóż? —

— To był wąż co ich wygnał z raj. Nie wrócą do niego chyba przez męczeństwo.

Tu zamyślił się Leon głęboko — jakby ściagał myślą losy sierót. —

— Ha stało się — rzekł otrząsając się z zadumy. — A teraz panie Janie do pracy.

V. ROBACTWO KOŁO KRZYŻA.

Namiętne, burzliwe chwile czynu stwarzają wielkich ludzi i wielkie myśli, — a gdy walka zmęczy i zużyje geniuszów, reakcja podnosi głowę nad ich trupami i z Papkinowska odwagą zagląda im w oczy. Szakal despotyzm sroży się wśród grobów, a reakcja i bigoterya jak robactwo pomaga mu w dziele niszczenia. Despotyzm ubezwładnia ciało, bigoterya gnębi i zabija ducha, dla tego despotyzm zawsze protegował bigoteryą czyli fałszywą, nienaturalną pobożność. Narody

konające lub zbezsilnione wytwarzają zwykle bigotów i niedowiarków. Obie te ostateczności są bliżej siebie niżby kto myślał, bigot i ateusz są zarówno bluźniercami Chrystusa z tą tylko różnicą, że bigot ślini mu twarz judaszowskim pocałunkiem i zdradzając mówi mu: mistrzu! —

Ponieważ bigoci jak gąsienice pod liście kryją się pod osłonę Kościoła i radziby uczynić Kościół uczestnikiem swych win i pogardy, i kościelnymi klątwami chcieliby zwalczać swych prześladowców, przeto muszą na samym wstępie zrobić czytelników uważnymi, że to, co się tu powie o nabożeństwie, nie tyczy się wcale, nabożeństwa, ani prawdziwej pobożności; bigoteryą bowiem uważam tylko jako sektę wściekłych katolików, która się wyrodziła z Kościoła, ale nie jest Kościołem. Chrześcianizm jest zdrowiem, życiem, uczuciem — bigoteryą gorączką trawiącą, zgnilizną, afektem; prawdziwa pobożność skupia człowieka duchowo, bigoteryą rozdrabnia go i rozstrzela na zewnątrz; pierwsza utrwała krzyż, druga go podkopuje, pierwsza nawet i z teatru uczyni kościół dla ducha, druga z kościoła czyni obrzydliwą maskaradę; pierwsza zasadza się na cnocie, druga przestaje na pozorach cnoty.

Pozór, Zewnętrzność, ceremonia — to istota

bigoteryi, wydawać się pobożnymi — to cel życia bigotów. Dla jednych jest to . sposobem zarobkowania, dla drugich rodzajem popisu. Do pierwszych należą spekulanci, do drugich ludzie próżni lub uwiedzeni.

Na czymże się zasadza pobożność tych ludzi? — Pobożność ich to wielkie cyfry pacierzy oklepanych, modlitewek, litanij, godzinek, prymaryj, wotyw, sum, mszy, kazań, niesporów, spowiedzią komunij, postów i nabożeństw majowych, czterdziesto godzinnych, passyj, i innych tym podobnych drobiazgowych praktyk religijnych wymyślonych dla uprzywilejowanych klas bez zajęcia t. j. dla magnatów i dziadów. Dziwna rzecz, że bigoci w swoich propagatorskich usiłowaniach nie wpadli na myśl powiększenia swego pobożnego zastępu przez maryonetki, których mechanizm czyniłby zdolnemi do wykonywania wszystkich tych praktyk religijnych, do których ani serca ani ducha nie potrzeba.

Dobroczynność bigotów ogranicza się na jałmużnie udzielanej uprzywilejowanym dewotkom, włączającym się po kościołach i polującym pacierzami i udaną pobożnością na łaskawe oczy dobrodziejek. Bigoci lubią także towarzystwa dobroczynne, koncerty, bale na biednych, kwesty,

w tych wszystkich bowiem razach cudzemi pieniędzmi można sobie zapracować bez trudu na nazwę dobrodziejki.

Wreszcie tak zwane pańskie dziady w tem źródle czerpią swoją wsparcie i utrzymanie. —

Cóż ukochali ci ludzie? W co wierzą?

Ukochali siebie i fałsz, wierzą w lupinę wiary beztreściwą. Aby zjednać sobie miłość tych ludzi trzeba być albo herbownikiem, albo modnym kapłanem lub zaciekłym reakiem. Co po za tem kółkiem — to bigot nie nawidzi a przynajmniej nie zna. —

Z jakichże ludzi rekrutuje się ten święty zastęp? —

Z przeżytych i zużytych cyników i ateistów, z przestarzałych elegantek i awanturnic, z ludzi zarobkujących na tej pobożnej spekulacyi jako to: księgarzy dzieł katolickich, modnych kapelanów, honorowych żebraków i z niewielkiej garstki ludzi uwiedzionych, ludzi, których niezadowolnił czysty chrześcjanizm, jeno szukają przysmaczków, i korzennych zapraw w ekstrawagancyach katolickich.

Trzeba nam będzie poznać bliżej ten zastęp, to mrowisko.

Przyznam się, że ze wstrętem zapuszczam

w nie oczy, chętnie bym je ominął, gdyby bigotyzm ograniczał się na praktykach religijnych, gdyby nie był czynny i zaraźliwy, ale gdy ci ludzie pod pokrywą najzbawienniejszych instytucyj jak np. świętego Wincentego, śgo. Józefa i innych wściskają się w domowe i polityczne życie, na słabostkach ludzkich budują swoją potęgę i wpływ, gdy ambon, konfesyonałów, stowarzyszeń i zakładów dobroczynnych używają głównie do propagowania swoich zasad, szerzenia swego wpływu — milczeniem to pominąć byłoby grzechem; przynajmniej godzi się i należy palcem pokazać to robactwo i nazwać je po imieniu, bo życie tych ludzi i wiara tych ludzi — to bezczelne urągawisko z wielkiego mistrza z Nazaretu. Herbownicy. ludzie z czołami napiętnowanymi nieopisaną dumą klękają u stóp Chrystusa, który uczył pokory i ubóstwa; wielbiciele świętej a raczej przekłętej inkwizycji, prześladowcy i nieprzyjaciele żydów i heretyków wyciągają ręce do Boga miłości bezmiernej i mówią: „i odpuść nam jak i my” — w obec strasznej ofiary Krzyża, w obec Zbawiciela, którego całe życie było poświęceniem i zaparciem się, stawają obłudni egoiści, którzy najmniejszej słabostki nie umieją poświęcić dla szczęścia drugih. Jakże oburza

taka hipokryzja, jak strasznie ci ludzie urągają Chrystusowi!

W czasach, w których dzieje się nasza powieść, rozmnożyło się znowu to robactwo u nas i zaczynało być dokuczliwym. Kraków jako miasto pozbawione długi czas wszelkiego ruchu i życia było sprzyjającą glebą do, rozmnożenia się tego paskudztwa — bigoterya bujnie się krzewiła w dusznej atmosferze miasta grobów i wyciągała zeń resztę pożywnych soków. Szczęściem, że budzące się wtedy życie w młodzieży stawilo chwilową zawadę w tych zgubnych dążnościach. Młodzi instynktem umieli odróżnić prawdę od fałszu, sektę od religii, bigoterya od pobożności i przeculi zgniliznę, co się rozwijała pod zasłoną świętości. — I na tem więc polu rozpoczęła się walka postępu z wstecznością, prawdy z fałszem, zapału z samolubstwem — i tu zobaczymy jak wiele siły zużytkować musiała młodzież, aby przełamać tę zaporę, jak roznamiętniała ją ta walka, o ile opóźniła drogę do postępu. Bigoci paraliżowali i podkopywali skrycie czynności młodzieży, występowali przeciw wszelkiemu ruchowi, z każdym dniem stawiali się wsteczniejsi, im więcej cały . naród chciał iść naprzód, tym więcej cofali się i usiłowali cofać wszystko; zaciekłość ich do tęga

stopnia doszła, że jeden z tej sekty w kościele św. Anny publicznie wyklinał z ambony nauki, jako niepotrzebne i heretyckie. Średniowieczna więc ciemnota była ich ideałem, zapanowanie nad ludźmi przez religią ich celem. Był to więc wznowiony jezuityzm tylko bez nazwiska, jak bękart, do którego rodzice przyznać się wstydzą.

Dom księżnej Ireneuszowej był ogniskiem bigoteryi. Wejdzmy tam. —

W salonie, którego wysokie okno zasłonięto storami, na kanapie i krzesłach krytych adamaszkim amarantowym, około stolika zapelnionego nabożnymi książkami, siedzi księżna. Rysy jej twarzy ostre, jak rzeźby gotyckie, wyraz ponury, wiecznie zasepiony. Mimo starości włosy równie gęste, pomierzwione; brwi miała czarne, co zamiast odmładzać ją czyniło tylko więcej odrażającą; ten kontrast zmarszczek i włosów nietkniętych starością budziły w patrzącym uczucie niemiłe, trwożliwe; podobne uczucie zdołałby w nas wzniecić trup z oczami otwartymi, statua

poruszająca się. Coś nie naturalnego, demonicznego było w tej czarnej brwi na zgrzybiałej twarzy — żaden uśmiech dobrotliwy, pogodny nie rozjaśniał na niej cieniów — wszystkie rysy były sztywne, zimne; na hieroglifach zmarszczek

nie można było odczytać, że w atlasowych sukniach tej mumii kryje się serce. Jeżeli to jest pewną rzeczą, że piękna dusza przebić się musi przez najpotworniejsze rysy i uszlachetnić je, a znowu szkarada wewnętrzna oszpeci i napiętnuje najpiękniejszą twarz, to z powierzchowności księżnej zle byśmy nabyli wyobrażenie o jej duszy. Nie posadzamy księżnę o żadną zbrodnię, broń Boże; ale są dusze, w których drzemią zarody najobrzydliwszych zbrodni, a przecież ci ludzie umierają cnotliwymi w opinii ludzi, bo brakło im sposobności, by zarody złych skłonności rozwinęły się. Czarniejsze są występki myśli niż czynów — każdy to wie najlepiej z siebie. Twarz więc księżnej może nie odpowiadała jej życiu, ale kto nam zaręczy, że nie była zwierciadłem jej duszy? Jak wiemy dom jej był ogniskiem bigotów, sama uchodziła za wielce pobożną niewiastę; pobożność jej jednak była straszną jak umartwienia ascetów, jak obrzędy średniowieczne — posępną jak te mnichy, co prowadziły na stos ofiary inkwizycyi. Katolicyzm księżnej wyglądał jak straszdyło nocne, nic w nim pogody, nic jasności słonecznej; patrząc na pobożność jej można było zniechęcić pobożność. Nieraz w kościele, gdy oczy podniosła od książki i spojrzała się na około, wzrok jej

wyrażał pogardliwą dumę i mówił obecnym: patrzcie, żaden z was tak żarliwie modlić się nie umie jak ja, księżna Ireneuszowa, choć księżna. — Rzeczywiście księżna obok dumy magnackiej miała dumę dewotki, ową dumę, która nie tylko mówi: „Panie Boże dziękuję Ci, że nie jestem jako ci” — ale jeszcze dodaje: „Panie dziękuję Ci, że ci nie są tacy jako ja” to znaczy, że ta reszta tłumu ośmielającego się współzawodniczyć z nią w umizgach do Pana Boga, nie ma takich prerogatyw, jak ona. A miała: najprzód błogosławieństwo Ojca świętego z własnoręcznym podpisem Jego świętobliwości, tudzież odpust zupełny dla siebie i swego potomstwa aż do siódmego pokolenia; wolno jej było słuchać mszy św. we własnym mieszkaniu, przyjmować codziennie komunię bez spowiedzi, czego wszystkiego nie miała reszta bliźnich. To wyróżnienie od reszty czyniło ją dumną i szczęśliwą: w hierarchii kościoła czuła się dygnitarką. Za te przywileje odpłacała się Ojcu świętemu pantoflami, kościołowi haftami, kwiatami robionymi, hojnemi datkami na msze, postami, kwestą i otwarciem domu swego dla religijnych zagorzalców. Nie wiem, czy temi kilkoma rysami dałem czytelnikom dokładne wyobrażenie typu dewotek

— magnatek, ale niedostatki opisu każdy sobie będzie mógł łatwo wypełnić rysami znajomych żyjących figur. Typ to bowiem u nas zwyczajny; trudniej w Krakowie o czystą ulicę niż o dewotkę. Znajdziesz je po kościołach w godzinach przedobiadowych trawiące czas na pobożnem wzdychaniu, wywracaniu oczów i wychodzące potem z kościoła niełżejsze ani o jeden grzech, nie bogatsze o żadną cnotę, nie pokorniejsze ani o jeden stopień, choć schylały czoło ku ziemi i całowały nogi wielkiego Męczennika, Mistrza pokory i ubóstwa.

Któż z nas nie znał takie maszynki do klepania pacierzy, aspirantki do szczęśliwości wiekuiestej po najszcześniejszym życiu na ziemi? — Księżna Ireneuszowa na włos się od innych nie różniła.

Obok księżnej siedział mężczyzna już nie młody z miną lisa na pokucie, z oczami w ziemię spuszczone, słodkim uśmiechem i uniżonością, układny jak piesek pokojowy. W całej postaci jego przebijała się uniżoność, służbistość, każdy ruch jego, każde słowo łąsiło się, a choć najwyraźniej widać było, że siedzi na stołku, zdawało się z jego miny, że on leży u nóg zgrzybiałej magnatki jak dywanik. Są tacy ludzie, takie fizyonomię z których wnioskować można,

że nie umieją, nie mogą być w życiu czem innem jak podnóżkiem. Zewnętrzność pana Hilarego miała to piętno.

Któż był ten pan Hilary?

Rzeczywiście jestem w kłopotcie, co na to odpowiedzieć. Było to coś pośredniego między przyjacielem domu a lokajem, między faktorem a dziadem. Nie było żadnego zatrudnienia, którego by się nie podjął; wyjąwszy uczciwej pracy, nie wymawiał się od żadnych usług. Księżnie nosił modlitewne książki do kościoła, księciu ułatwiał lokowanie kapitałów na lichwę, a synowi jego wyszukiwał ładne buziaki do brzydkich roskoszy. Ta giętokość charakteru i dwoistość natury objawiała się nie tylko w jego życiu, ale nawet w powierzchowności. Włosy i zarost miał podwójnej barwy: wierzchem siwe, spodem jeszcze czarne — głos z piszczącego dyszkantu przechodził często w basowy, twarz miał bladą, bez życia, jak maska świeżo zdjęta z trupa, a w małych ruchliwych przebiegłych oczach było pełno ruchu i życia; był otyły a przecież mizerny. Jedni znali go zapalonym demagogiem, drudzy przysięgali, że jest na wskroś reakcyjny, ateści powtarzali sobie z uśmiechem i upodobaniem jego cyniczne, obrzydliwe żarty z najświętszych rzeczy,

bigoci widywali go na nabożeństwach majowych, śpiewającego dyskantem litanię do Matki Boskiej. Mienił się jak kameleon wśród różnych ludzi i w różnych czasach, a zmiana ta, ma się rozumieć, była tylko zewnętrzną, bo wewnątrz był zawsze sobą, był tylko spekulantem i wedle zyskowości przybierał barwę. Za czasów Kmitów byłby lutrem, za Stanisławowskich lat niedowiarkiem i rozpustnikiem, dziś, gdy to wyszło z mody, stosując się do dobrego tonu i do atmosfery, w której i z której żył, został bigotem.

Oprócz tych dwóch osób widzimy jeszcze w salonie księcia Ireneusza, rozrzuconego niedbale na kanapie z gazetą w ręku.

Pan Hilary siedział na samym brzegu stołka, przyczajony, z nogami zwiniętymi pod siebie, z rękami złożonymi jakby do modlitwy, z uszami zwróconymi w stronę księżnej, która trzepiąc palcami w złotą, małą tabakierkę, mówiła:
— Doprawdy panie Hilary, to jest nie do darowania, mocno na ciebie gniewać się muszę.
— Księżna pani żartuje, tak świętobliwa niewiasta gniewaćby się uie umiała, zwłaszcza o taką bagatelę.
— Co? bagatela? — A wstydz się panie Hilary, to bezbożnie — kazanie księdza Aurelego.

uważać za bagatelę, powinienbyś za to suszyć przez trzy piątki; lepiej się nie tłómacz, bo herezyą trącą takie słowa. Czy wiesz, że dopiero pierwszy raz opuściłam kazanie tego świętobliwego kapłana, i to przez ciebie? Na długo zakłóciłeś spokój mojego sumienia.

— Bóg moim świadkiem, że nie wiedziałem o kazaniu — odezwał się świętoszek, ściągając uniewinniająco ramiona.

— Miał je mieć ksiądz Ksawery.

— A pfe, pfe, nie mów mi przez miłość Boską o tym heretyku, nie cierpię go, jest w nim coś rewolucyjnego, coś Garybaldistowskiego — o!

Mówiąc to, rzuciła się gniewnie w krzesło i zasłoniła oczy ze wstrętem.

— Byłam raz na jego kazaniu i usłyszałam herezyę, powiadani ci panie Hilary niesłychaną herezyę — utrzymywał: że Chrystus był demokratą. Ścierpnęłam ze zgorzenia.

— Dla tego właśnie nie uważałem za stosowne uwiadomić księżnę — tymczasem nie wiem w jaki sposób stała się przemiana.

— O cóż spór taki żwawy? — spytał książe złożywszy gazetę — o jakiej przemianie mówisz Hilary?

— Na ambonie u św. Piotra wczoraj, zamiast

spodziewanego księdza Ksawerego, pokazał się z wielką radością wiernych ksiądz Aureli.

— To może cudowne przemienienie — rzekł książe, śmiejąc się ironicznie. — Znamy już ten śmiech.

— Mój Renio, bardzo proszę, bez tych żartów. Jest z ciebie niepoprawny bezbożnik.

— Chyba przy tobie moja kochana, z tobą współzawodnictwo w pobożności niepodobne. —

Księżnę to pochlebne podkadzenie udobruchało.

— I ty Hilary nie mogłeś wywąchać istotną przyczynę tego przemienienia?

— Wcale nie.

— Ksiądz Aureli święty człowiek — odezwała się księżna — poświęcił osobiste urazy, jakie ma względem tego.....tego demagoga i zastąpił go pewnie.

— Tym razem twój święty dyplomatycznie postąpił — opisał księdza Ksawerego w konsystorzu tak, że go suspendowali od ambony i konfesonału.

— Chwała Bogu! — rzekła księżna z widoczną radością; jutro na tę intencje zakupię mszę świętą. Ów bezbożnik nie będzie już gorszył ludzi.

— Za to ksiądz Aureli będzie komedię wyprawiał. —

Księżna aż podskoczyła na krześle, zatkała uszy obiema rękami.

— Kenio, przez pięć ran Pana Jezusa, coś ty powiedział? I ja słysząc to żyję jeszcze?

— Ależ moja kochana jakże to nazwać, jeżeli nie komedią, owo rzucanie się, łamanie, skakanie na ambonie. Tą drogą ksiądz Aureli dogodzi może swoim pasynom, ale sprawie nie pomoże, owszem kompromituje ją. Na przykład owe kazanie u śvy. Anny, czyż miało odrobinę sensu? — Pfe, to było tak bez taktu, dał się unieść pasyi i wystawił nas i siebie na śmieszność. Nieprzyjaciele tryumfują, pochwycili to głupstwo na języki i roznoszą po mieście i mówią: oto program tych, co obstają przy świeckiej władzy papieża, przy przywilejach — ciemnota to ich ideał. —

Przez cały czas, w którym ksiądz mówił, księżna mając wciąż zatkałe uszy, zajadle ruszała wargami, odmawiając pacierze, jakby na odpędzenie złego ducha.

— Otóż to jest nie pościć, nie spowiadać się często — rzekła — szatan rad wchodzi w takie zaniedbane dusze, szatan przez ciebie mówi.

— Jakże nazwiesz tego ducha, który mówi

przez księdza Aurelego, który mu zrywa piersi i o chrypkę przyprawia?

— Biedny męczennik!

— Księżno, tu nie idzie o męczeństwo, ale o zwycięstwo — wtrącił nie śmiało, ale z naciskiem pan Hilary. — Przy tych słowach, trupia twarz jego załamała się w brzydkie zmarszczki radości. Rad był sposobności, przy której mógł nadepnąć na zasługi ulubieńca dewotek. Powodzenie tego kapłana między magnatkami, hołdy jakie mu oddawano, pochwały rzymskiego konsystorza, wszystko to gniewało pana Hilarego, który w tym względzie z nim współzawodniczył; budziło w nim zazdrość, która go paliła. Zwalić bożyszcze salonów z piedestału, na jakim go stawiała opinia, a samemu wygrzebać się na to miejsce, było marzeniem jego. Gdyby tu szło tylko o usługi dla kościoła, o skuteczność prac w tym względzie, pan Hilary niezawodnie wkrótce by tryumfował, bo ksiądz Aureli gwałtownością, brakiem taktu, więcej szkody niż pożytku przynosił. Pomimo, że usiłował być cichym, podstępny, przyczajonym, że udaną pokorą przygniatał ambitnego, namiętnego ducha — ten duch, ta natura gwałtowna, jak zachcenie despoty, zrywała nieraz z siebie pożyczane maski i stawała

w całej brzydocie i nagości; z cichego, pokornego kapłana stawał się wtedy wściekły, zapieniony kłótnik, który mógł tylko rozśmieszyć, oburzyć, ale nie przekonać. — Nieraz na ambonie, gdy z sofistyczną zręcznością, z jezuicką obłudą udawał prawdę najprzewrotniejszych, najwaleczniejszych zasad, gdy słowa Chrystusa i ewangelii naginał do najdziwniejszych praktyk religijnych, gdy usiłował pokazać się więcej katolickim niż sam papież — nagle jedna jaka twarz ironicznie skrzywiona, jeden wzrok urągający mu i sztywnie utkwiony w niego, rozdrażniał go; tracił wtedy spokój, odstępował od przedmiotu, z poważnego kapłana pozującego na owieczkę pokory i miłości, stawał się tygrys rozjuszony, wściekły, co się rzuca i szamota w żelaznej klatce. Zwracał zaraz mowę przeciw bezbożnikom, heretykom, filozofom, młodzieży; pienił się, rzucał, groził pięściami, i tem szamotaniem, niegodnym chrześcijańskiego kapłana, odsłaniał złego ducha, co stał za kurtyną jego myśli, gorszył pobożnych a niezaślepionych: nie uznawano w nim kapłana jeno sekciarza.

To była słaba strona na apostołstwie księdza Aurelego; z tego punktu niezawodnie udałby się panu Hilaremu atak na wziętość młodego księdza,

gdyby wziętość jego opierała się rzeczywiście na zasługach w sprawie bigotyzmu. Ale ksiądz Aureli nietylko tą drogą dostał się do łask kobiecych, miał on inne zalety, na które pan Hilary nie mógł z nim współzawodniczyć: ksiądz Aureli by od niego o trzydzieści lat młodszy, co nam także poniekąd tłumaczy pociąg dewotek do swego ulubieńca. Bigoci są namiętni nietylko w modlitwie.....

Pan Hilary widocznie prześlepił ten punkt, bo pewno nie byłby się silił bezpotrzebnie przekonywać księżnej o szkodliwości księdza Aurelego, nie byłby czynił próżnych zabiegów względem obalenia jego wziętości, która tak głęboko zapuściła korzeń między dewotkami, że jej takie podmuchy szkodzić nie mogły. Zazdrość zaślepiła starego intryganta, wygę i mówił dalej:

— Ksiądz Aureli jest rzeczywiście za gwałtowny.

— Ale czegoż wy chcecie od tej zacnej duszy?

— Żeby szedł z nami na nieprzyjaciela i nie wyrwał się niepotrzebnie z szeregu — rzekł ksiądz z rodzajem nieukontentowania. — To jego izolowanie się na własną rękę, osłanianie tajemnicą swoich czynności pokazuje, że więcej służy sobie niż sprawie.

— Pokora, to wielka cnota? ale trudna —

rzekł Hilary; spuszczać skromnie oczy, jakby zażenowany swoją cnotą pokory.

— O, ksiądz jest ambitny a przytem zaciekły. Wszak słyszałeś sam Hilary, jak u pułkownika przy obiedzie wyrwał się, że jeżeli papież w sprawie świeckich posiadłości zrobi ustępstwo, to go z ambony obwoła za heretyka. Potrzebne było takie wyrwanie się? Wierzę w to, że jedna nasza nadzieja w nienaruszalności praw Kościoła, jakiegokolwiek one były, bo ustępstwo w jednym zrobiłoby straszny wyłom i otworzyło pole do coraz nowszych wymagań liberałów; ale z

drugiej strony trzeba nam jak mur stać przy nieomyślności papieża, bo tylko na tej podstawie możemy utrzymać status quo.

— A jeżeli Ojciec św. pokaże się rzeczywiście słabym i zrobi ustępstwo? — spytała księżna, stając ciągle w obronie swego ulubieńca.

— Są koło niego tacy, którzy nie dadzą mu upaść, a gdyby i tak się stać miało, to w takim razie znajdzie się inny sposób — rzekł Hilary — Ojciec św. jest podobno słaby ... może umrze ... a wtedy następca jego silniej stać będzie w obronie zagrożonych praw Kościoła.

Pan Hilary, gdy mówił te słowa, miał minę dusiciela, skradającego się do ofiary.

Księżę, pomimo całego cynizmu, nie mógł bez obrzydzenia spojrzeć na tego człowieka.

— Wszystko można zrobić tylko bez próżnego krzyku, bez hałasu — ciągnął dalej intrygant, zmierzając znowu cios przeciw księdzu Aurelemu. — Gedeon cichaczem podstał pod obóz nieprzyjaciół i zwyciężył. Przedwczesny krzyk, niepotrzebne drażnienie, budzi czujność i energią, wywołuje walkę, która jest zawsze niebezpieczną, a wypadek jej często wątpliwy. Nieprzyjaciele nasi mają dzienniki, którymi zasypują świat cały, w nich szerzą najprzewrotniejsze zdania, najpaskudniejsze kalumnie na Ojca św. i na Kościół.

— Kościół ma ambonę — rzeknie księżna.

— To prawda, ale w Kościele trudno o tych, przeciw którym walczyć trzeba. Kościół bywa zwykle napelniony wiernymi, których przekonywać nie trzeba, którzy o gorszących zdaniach kacerzy, dowiadują się dopiero z ambony. Grzmiące słowa księdza Aurelego rozlegają się wśród najwierniejszych córek kościoła i wyciskają im łzy z oczów, ręce jego rzucające przekleństwa na kacerzy, niedowiarków i filozofów drgają nad głowami tych, którym się raczej błogosławieństwo należy — kacerze tego nie słyszą. Cel więc chybiony.

— Ależ egzagerujesz niebezpieczeństwo panie Hilary — odezwała się znowu księżna — dzięki Najwyższemu, miasto nasze może się liczyć do szczęśliwszych pod względem ducha religijności i świętobliwości.

— Księżna pani sądzi po sobie — podkadził intrygant pochlebnie — zatopiona w modlitwie, oddana Bogu, nie znasz miasta naszego, jakim jest teraz. Heretycy mnożą się jak kąkole, wymyślają coraz nowe bożyszcza postępu i równości i skłaniają ludzi do bałwochwalstwa — zaraza się szerzy.

— Ulica tylko gmin nią zaraża.

— Zepsuta atmosfera ulicy i w salonach da się uczuć. Kto tu chce swobodnie oddychać, powinien oczyścić ulicę — zwłaszcza, że bezbożność i nowatorstwo ogarnęło najniebezpieczniejszy żywioł — młodzież. Bo któż dziś występuje przeciw nam, jeżeli nie ona, wyłącznie ona? Kto rzuca się na stare tradycje, na stare powagi, na religię? — Starym niedowiarkom brakło energii, chęci — na każdym kroku spotykamy tylko młodzież, młodzież wzburzoną przeciw nam nowatorskimi podżeganiem, roznamiętnioną, śmiałą brakiem doświadczenia, silną zapalem. Takiego nieprzyjaciela ignorować nie można. Młodzież

zapełnia pamfletami dzienniki, rwie stary porządek i spokój, wykrada młodzież z naszego obozu, szerzy zgubne zasady i stara się dla nich o prawa obywatelskie, lży kapłanów i wiernie sługi Kościoła. Księżna pani zapewne musiała słyszeć o nieszczęśliwej przygodzie księdza Aurelego, o znieważeniu go przez młodych ludzi, gdy wracał wieczorem od hrabiny W.?

— Ach, słyszałam z oburzeniem o tem zuchwalstwie. Jak tu wobec takich bezceństw nie żałować czasów św. inkwizycyi, która pasy darła z takich ludzi.

— Dopóki ta młodzież była rozdrobnioną na pojedyncze kółka, dopóki ubiór, urodzenie, fakultety i stopnie dzieliły ją — nie było jej znać. Dziś jakieś wyidealizowane braterstwo złączyło ją i stała się niebezpieczną. Rzuca się na wszystko, we wszystkim bierze inicjatywę, teroryzuje starszych i rządzi opinią.

— Masz rację Hilary, ta młodzież poczyna mnie już irytować — rzekł książę — wszędzie się wciska ta hołota, wszystko podsłuchuje, podpatruje i z bezczelną śmiałością patrzy w oczy, z miną sędziego. Nie cierpię tych młokosów.

— Tak — młokosy opanowali wszystko, chcą, aby wszystko działo się tylko przez nich. To też

się staje podług ich woli, bo któż chciałby sprostac ich szalonemu biegowi? Dokąd ten ruch zaprowadzi, nie trudno przewidziec; wietrzę na jego końcu katastrofę; ale zanim ta oswobodzi nas od bezbożnych nowatorów i zażąda ofiary z rozumów naszych, potrzeba nam stworzyć reakcyę — dopóki nas samych ten ruch nie owładnie, nie pochłonie.

— Więc i w to wierzysz Hilary? — spytał książę, zapadając w coraz posepniejsze, poważniejsze myśli.

— Massy w ruchu mają siłę rwiących strumieni. Nowość bawi i pociąga, zwłaszcza, gdy ma wszystkie pozory prawdy, życia, cnoty. Agitatorowie pod pozorem pracy, nauki, braterstwa, patryotyzmu, chowają inne cele, których nam się obawiać należy. Na dnie ich prac i usiłowań leży straszny wyraz: rewolucya! —

Książę zmarszczył brwi — rzucił w kąc cygaro i niespokojnie poczał chodzic po salonie. Widmo rewolucya pędziło go jak Eumenida. Księżna słuchała uważnie, nie mieszając się do rozmowy. Pan Hilary mówił dalej:

— Prąd ruchu idzie przeciw nam, przeciw kościołowi, tradycyi i przywilejom. Młodzież potrzebowala się wyszumiec, i podano jej ten kie

runek; burzliwa krew rzuciła ją w ręce agitatorów, którzy przemówili do niej w imię patriotyzmu, narodowości; ale owej narodowości bez tradycji, wyległej na bruku warszawskim w roku dziewięćdziesiątym czwartym. Tego ruchu katechizmem rewolucya francuzka, a bożyszczem Mieroslawski.

— Przerażasz mnie panie Hilary — rzekła księżna.

— Takiej burzy — ciągnął dalej pan Hilary — nie zażegna namiętne słowo księdza Aurelego; tu trzeba milczeć a działać.

— Ale cóż robić i jak robić? — spytał książę, chodząc niespokojnie po pokoju.

— Co? Rozdzielić co się łączy; tylko w połączeniu usiłowania młodzieży są przestraszające. Potrzeba najprzód młodzież naszą, salonową, odciągnąć od tej szajki demokratycznej, obudzić w niej dumę rodową, zamiłowanie tradycji i herbu; wystawić niestosowność i śmieszność łączenia się z ludźmi, którzy im usługiwać tylko powinni, którzy jeżeli chcą braterstwa, to dla tego, żeby siebie przez to podnieść z błota i coś zyskać; przedstawić im w końcu, że w tym tłumie zginą bez śladu.

— Masz rację — wybuchnęła księżna — o! to przedewszystkiem; potrzeba najprzód nasze

dzieci ochronić od zaraźliwego wpływu ulicy. I mój Adolf poczyna już ulegać temu wpływowi. Kiedyś zobaczyłam go w kościele w towarzystwie jakichś ludzi nieznanym, o gminnych twarzach, widocznie synów jakichś szewców lub krawców. Możesz sobie wyobrazić, co się działo w sercu matki na ten widok, byłam bliską omdlenia lub spazmów. Tego samego dnia zapytałam go o powód tej znajomości, o imiona tych ludzi. Wyliczył mi kilka nazwisk obrzydliwych, których nie podobna spałmętać, i wyobraź sobie, śmiał nawet utrzymywać, że to są ludzie godni, że ich szanować musi, bo zasługują na to; że musi brać z nich wzór. On, książę, ma się modelować na wzór szewskich synów — to okropnie!

— Zaraza się szerzy — rzekł półgłosem pan Hilary.

— Zagroziłam mu gniewem matki.

— To źle księżno. Zakaz obudzą upór. W obliczu młodych ludzi nie trzeba nam brać tej rzeczy na serio, owszem traktować ją trzeba jako rzecz błahą, nawiasowo. Należy wyśmiać ironicznie, pogardliwie, to pokumanie się z mieszcuchami o dziurawem obówiu, o wytartych surdutach, niezgrabnych a surowego obejścia. Śmiech, ironja, to najskuteczniejsza broń na drażliwe młode

umysły; przeciw argumentom znajdują tysiączne przeciw dowody — zawstydenie zaś mimochodem więcej tu zrobi niż najsurowszy zakaz. W taki sposób ochronimy najszlachetniejszą część naszej młodzieży od zepsucia, a to już będzie wielkie zwycięstwo.

— Ale nie zupełnie — wtrącił książę.

— Jest rada i na resztę. Agitatorowie są ludzie obcy, przybysze, których przeszłości nikt nie zna; dość więc będzie zwrócić na to uwagę młodzieży tutejszej, obudzić w niej podejrzliwość i polaskotać miłość własną, która powinna się uczuć obrażoną, że nie od niej wyszła inicjatywa ruchu.

— Gienialnym jesteś Hilary — rzekł książę stając przy nim i klepiąc go po ramieniu.

— Boskie w tem natchnienie a nie moja mądrość — odrzekł skromnie pan Hilary. Katolicko pokorne te słowa były adresowane wprost do księżnej.

— Więc powiadasz, że to jakieś przybłędy burzą młodzież? — zaczął znowu książę.

— Tak, ludzie obcy, Bóg wie z których stron. —

— Aczy nie lepiejby było tego . . . ten . . . jak się nazywa . . . — reszta wyrazów utknęła w książęcym gardle; nie chciał ich wymówić, wolałby aby Hilary domyślił się; ten jednak był na teraz

dziwnie niedomyślnym i pytająco patrzył księciu w oczy, oczekując dokończenia.

— No, tego . . . ten . . . choćby dać znać o tem, zwrócić uwagę tego . . . no . . . policyi.

— Zrobiłem to, ale policya wymagała dowodów namacalnych, a tych dać nie mogłem. —

— Jakto? Ty sam? —

— Sprawa zbyt święta i ważna, aby mnie jakieś tam drobne skrupuły wstrzymywać miały. Pilnie śledziłem wszystko, ale ostrożność burzycieli udaremnia moje zabiegi; wszystko co czynią, czynią nie przez siebie, ale przez całą młodzież

— widać ruch, ale ręki, co pcha do ruchu namacać trudno. Może później się uda, nie tracę nadziei; ale na to ociągać się nie można, trzeba zacząć przeciwdziałanie. I panie — dodał zwracając mowę do księżnej z uległością i uszanowaniem

— mogłybyście wiele pomódz nam w tym względzie.

— Mów panie Hilary. Gdzie idzie o sprawę kościoła, tam żadna z nas się nie cofnie, chociażby przed największym poświęceniem.

— Znam tę gotowość i rachowałem na nią wielce.

— A więc się pokazuje, żeś kompletnie ob

myślił kampanję przeciw liberałom? — rzekł książę, wracając do zwykłego humoru. —

— Nieraz myślałem nad sposobami zaradzenia złemu. —

— Więc jakąż pracę nam pan wyznaczasz? — spytała księżna niecierpliwa, sięgająca już myślą po palmę zasługi.

— Zaraz powiem. Nowy ruch rozpoczął się, ma się rozumieć, bez Boga, a przynajmniej bez kościoła; w ten wyłom więc uderzać nam potrzeba, uderzać na bezbożność i egzorcyzmować liberałów jak szatanów. Któż jeżeli nie panie spełnić może tę pobożną missyę? Jako matki i żony macie wielkie posłannictwo nawracania, podwajania pobożności, pomnożenia zastępu wiernych synów kościoła. Trzeba nam przedewszystkiem wrócić do starej wiary ojców naszych, wznowić praktyki religijne, pomnożyć nabożeństwa i postami i umartwieniami wzmocnić ducha do walki z nieprzyjaciółmi kościoła.

— Nie wiem jak wam ta missyja pójdzie z młodzieżą — odezwał się książę.

— Młodzi pójdą tam, gdzie będzie płęć piękna — odparł Hilary niezmięszany. — Księżna w niewinności swojej nie zrozumiała tego nabożnego kuplerstwa. —

— Trzeba — ciągnął dalej wnioskodawca — pokazać ludziom palcem niebo, aby stracili z oczów ziemię; zgoła całkiem kontrować socyalistom. Oni mówią o jakimś postępie, nam trzeba się sunąć w surowe, średniowieczne czasy, gdy kościół trzymał ducha ludzkiego jak zwierzę na uwięzi. Żadnych ustępstw dla ducha czasu, dla postępowców — wyjęcie jednej cegiełki zagraża ruiną całości, jedno ustępstwo pociąga szereg innych.

— A, wiesz 'co Hilary, że się przegalopowałeś. Gdzież dzisiejsze czasy można pogodzić z średniowiekami?

— Arystokracja francuzka umiała pogodzić umiejętności z ultramontaniem, tym łatwiej u nas.

— Wołałabym — rzekła księżna — widzieć Adolfa mniej uczonym, a więcej katolikiem. W dzisiejszych umiejętnościach waszych czuć herezyę.

— Jestem za zdaniem księżnej: pobożność niech krępuje rozum i swawolę. Tą drogą przed trzema wiekami zacnej pamięci zakon Lojoli zadał stanowczy cios protestantyzmowi. Da Bóg, że i my tą drogą zwalczymy złe. —

— Amen — rzekła księżna, pobożnie uchylając głowę — panie Hilary, oby pan Bóg pobło

gosławił twoje usiłowania. Możesz być pewnym, że Ojciec święty będzie o nich wiedział. Ksiądz Aureli jadąc do Rzymu, nie zapomni przedstawić Mu prace i zasługi twoje około sprawy kościoła.. Pogadam z nim o tem dziś jeszcze.

—
Pan Hilary zrobił ruch uklętej gadziny. I znowu on, znowu ksiądz Aureli. Zdawało mu się, że przekonał już księżnę dostatecznie o bezużyteczności a nawet szkodliwości tego współzawodnika, że umiał uczynić się ważnym i potrzebnym, a tu tymczasem nie udało mu się ani na włos zmienić. zdania a raczej upodobania księżnej i z całym, swoim machiawelskim planem został podporządkowany pod protekcję i wolę księdza Aurelego.

Ksiądz Aureli był od niego młodszy o lat trzydzieści. —

W chwili gdy księżna kończyła rozmowę z panem Hilarym, przed jej pałac zajechało kilka powozów ozdobionych herbami. Wysiadło kilka starych pań, zgrzybiałe pruchna w koronkach i atłasach. Były to panie kwestujące — zjechały się do księżnej na sesję.

Gdy wysiadały z powozów, jakaś kobieta z dziećmi stojąca przed bramą pałacową zbliżyła się do nich nieśmiało, trwożliwie. Kobieta była wynędzniała okropnie; chuda jej postać chwiała

się jak uschnięty patyk, widocznie brakowało jej sił, by się na nogach długo utrzymać. Była to żona węglarza. Od dozorczy więziennego dowiedziała się o losie męża. Jakkolwiek los ten był nieszczególny, nowina straszna, to przecież mniej straszna od tego, czego się bała. Pewność, że mąż żyje uspokoiła ją, a z drugiej strony wierząc w jego niewinność oczekiwała bez trwogi ukończenia śledztwa. — Ale tymczasem trzeba było żywić dzieci i siebie, pracować nie pozwalało jej małe dziecko u piersi i wyniszczenie po chorobie; jedyny jej dobroczyńca Leon, od paru tygodni się nie pokazał) jak wiemy Leona czas jakiś nie było w Krakowie). W nocy wśród sennego jęczenia głodnych dzieci, przy kurczach głodowych, zrodziło się w głowie chorej matki straszne postanowienie iść jutro i żebrać. Straszna to chwila w życiu, porównałbym ją do przepaści, w którą człowiek bez zasłonięcia oczów rzucić się nie może. Żebrać, to znaczy pokumać się na wieki z łachmanami, z brudem, z proszalnym skowyczeniem, kryć się przed ludzkim okiem z każdą odrobiną radości, smutku, bo to nie budzi litości — żebrać, znaczy stać pod pręgierzem oczów ludzkich i zależeć od tych, którzy dają na przemiany morały,

jałmużnę, złorzeczenie, lub kije; jest to lękać się wiecznie psów, co nie cierpią łachmanów i szczekają na nie; dozorców policyjnych, którzy z chodników sprzątają żebractwo, jak śmieci i nieczystości. Zgoła, żebrać, jest to zetrzeć z czoła najpiękniejsze znamię człowieczeństwa — wstyd. Żebak musi być bezczelnym, musi zabić w sobie godność człowieczą, i wtedy staje się żebrakiem z profesyi. — Tylko początek najtrudniejszy — pierwsza chwila, w której człowiek musi sobie powiedzieć ustami zbielełymi od głodu: „pójdę żebrać” jest epoką okropną. Marcinowa czuła w tej chwili cały ciężar takiego położenia. — Chciała prosić o jałmużnę, nie mogła dobyć głosu z zaschniętego gardła, chciała podnieść rękę, ręka ścieżała jak ołów i opadła — zdobyła się tylko na jakieś niewyraźne bełkotanie. — Co to? Walenty, czego ona chce? — spytała jedna hrabina, niesiona pod pachy przez dwóch lokajów, bo sama dla zbytnej tuszy poruszać się nie mogła. Węglarka tem zapytaniem do reszty się zmieszała. Na jej twarzy i łachmanach była nędza tak wypisana, że pytanie stawało się szyderstwem. Nie zdobyła się na odpowiedź, rozsunęła tylko

skręty chustki, w którą była odziana i pokazała magnatce dziecko w brudnych pieluszkach, wynędzniałe, chore, zielonawe prawie i wyszeptane: głodne.

Hrabina odwróciła się z obrzydzeniem od tego widoku, straszną rzeczywistość nędzy wzięła za zwykłą komedję żebraczek.

— Jutro po sesyi trzeba się zgłosić do komitetu, dziś nie ma czasu. A po ulicach nie żebrać, to brzydko, fe! — Filuś! gdzie Filuś? — zawołała nagle, pełna troskliwości i przestachu, obglądając się na około. Kosmaty, małeńki mops wyskoczył z powozu, lokaj podał go hrabinie, która całusami i pieszczotami obsypywała swego ulubieńca.

Taką była pierwsza jałmużna nędzarki. Lokaje odsunęli ją na bok, by nie zawadzała jasnej pani, którą ponieśli na górę. Węglarka potoczyła się w tył i oparła plecami o mur kamienicy; potrzeba jej było tej podpory, by nie upadła z osłabienia. Cierpiała okropnie. Gdybyście uwierzyć mogli, że pod łachmanami kryje się nieraz rumieniec wstydu, tobym wam powiedział, że w tej chwili bladą twarz nędzarki palił rumieniec wstydu.

VI. SIEROTY WIELKIEGO ŚWIATA.

Nad salonem księżnej Ireneuszowej, na drugim piętrze tego samego dnia wieczorem, młoda kobieta klęcząc modliła się. Była to Zofia, siostra Emila. Po kilku miesiącach spotykamy ją na klęczniku, z koronką w rękach. Po szybkim ruchu warg, po czystym przesuwaniu koralików, domyślać się trzeba pośpiechu w modlitwie; rzeczywiście Zosia przez to kilka dni, w skutek różnych zajęć, zaniedbała się w modlitwie, została winną Panu Bogu około trzystu paciery: dzisiejszy więc wieczór poświęciła na spłacenie długu, na uspokojenie sumienia. Zosia bowiem od jakiegoś czasu stała się okropnie nabożną. Było to dzieło księdza Aurelego. Egzaltację Zosi spropagowano na rzecz bigotyizmu, a inicjatywa do tego wyszła od księstwa. Jak wiemy, było ich zamiarem, pozbyć się jak najprędzej opieki nad sierotami: klasztor wydawał im się najprędszym środkiem do tego. O Maryni gotowości nie wątpili, szło tylko o Zosię, w której przenikliwe oko księżnej dostrzegło już jakąś skłonność do jej syna. Zlecono więc tę

misyę księdzu Aurelemu; on miał rozbudzić w dziewczynie chorobliwą tęsknotę do nieba, wytłomaczyć jej marność rzeczy ziemskich, zbrzydzić jej każdą uciechę, każdą radość potwornym jej wystawieniem — zgoła strasząc młode serce grzechami i pokusami światowemi, wpędzić je do klasztoru, jako jedyne bezpieczne schronienie. Ksiądz Aureli spełniał gorliwie swoje posłannictwo. Rozumie się, że pokazując młodej, pięknej, nawróconej, drogę do Chrystusa, nie omieszkiał zatrzymywać jej myśli przy sobie na popasie; nieraz przy katechizmie zdarzało się, że rączki pobożnej duszki, ni ztąd ni z owad, znalazły się w pulchnych, spoconych rękach kapłana, który je, w nieumiarkowanym zapale kaznodziejskim, gniótł niemiłosiernie — a przy odejściu, kiedy z błogosławieństwem kładł pocałunek na jej czoło, Zosia dziwiła się, czemu usta księdza Aurelego tak pieką, jak rozpalone żelazo. Być może, że przez długoletnią praktykę ksiądz Aureli tę metodę uważał za najstosowniejszą do nawracania dusz niewieścich: nie mamy mu tego za złe, owszem, każdy nauczyciel ma swoją metodę, my jednak z obowiązku powieściarskiego, musimy notować te drobnostki, jako dotyczące osób bliżej nas obchodzących. — Nie wiem, czy metoda ka

plana, czy usposobienie Zosi tak działało, ale to pewna, że pobożność jej uczyniła zadziwiające postępy, pochwały księdza Aurelego zachęcały ją jak poklask konia do biegu; doszła do tej perfekcji, że zdolną była ośm godzin wytrwać na klęczkach, po całych tygodniach obywać się bez ryb i mięsa, odmówić dziennie trzysta sześćdziesiąt pacierzy i piętnaście litanij, nie licząc w to antyfon, godzinek, psalmów i innych tym podobnych modlitw — zgoła brakowało tylko dyscyplin, umartwień i trochę pieniędzy, a mogła mieć wielkie nadzieje kanonizacji pośmiertnej. Księżna była z niej zadowolniona. Nie cieszyłaby się tyle, gdyby wiedziała, że ksiądz Aureli nie zdołał ascetyzmem wyegzorcyzmować z jej serca grzesznej miłości do jej syna. Zofia umiała jedno z drugim pogodzić, tak dalece, że pobożność swoją uważała jako jedną ponętę więcej dla uchwycenia serca księcia Adolfa, jako jeden wdzięk więcej, który ją miał uczynić piękniejszą w jego oczach. Nie musiały to być tak bardzo skuteczne czary, jak sobie obiecywała panna Zofia, bo książe Adolf ledwie zwyczajną grzecznością odwzajemniał się za tęskne spojrzenia fiołkowych oczów i rzewne uśmiechy. Nie zajmowało go to, więc tego nie widział. Była to rzecz bardzo naturalna,

w którą jednak Zofia uwierzyć nie mogła. Obojętność księcia czyniła ją podwójnie rozkochaną, potrójnie nabożną. Pana Boga i całą plejadę Świętych męczyła prośbami o rozmiękczenie kamiennego serca księcia Adolfa, i choć nie ośmieliłem się nigdy podsłuchiwać jej modlitw, jestem pewny, że każdy jej pacierz kończył się mniej więcej w ten sposób: „a za męża raczże mi dać Panie Boże, za przyczyną wszystkich Świętych, syna księstwa Ireneuszów, młodego księcia Adolfa”. Może i w tej chwili wśród owych trzystu pacierzy, którymi jak rotowym ogniem szturmowała niebiosą, imię księcia Adolfa nieraz obijało się o uszy Świętych.

Żarliwe modły młodej bigotki przerwał łoskot otwieranych drzwi. Do pokoju wszedł Emil. Od czasu, kiedy go ostatni raz widzieliśmy, zmężniał wiele, spoważniał, czy też sposepniał, nad jasnymi oczami jego było coś jak chmura.

— Ty tutaj ? — spytał siostry,

— A gdzież być miałam?

— Dziś u księstwa wieczór.

— Dziś?

— Tobie ciotka nie mówiła o tem?

— Nie. —

Po tych słowach zamilkli oboje i odwrócili

twarze od siebie, by nie przeczytali na nich wzajem upokorzenia. W milczeniu zrozumieli doskonale stan swej duszy i swego położenia, zrozumieli że księstwo, do którego domu z taką chęcią się garnęli, znoszą ich tylko, że żyją z ich łaski. Nieraz dotkliwie dano im to uczuć, nieraz chleb książęcy dławił ich — a jednak nie mieli odwagi i siły wyrzec się tej jałmużny, bo książęce salony nęciły ich do siebie, lechtały ich próżność i nagradzały po trochu męki moralne. Dziś nawet i tego im odmówiono, zamknięto drzwi przed nimi; księstwo nie życzyło sobie widzieć ich na wieczorze, kiedy im nic o tem nie wspomnieli. Dotknięto ich w najdrażliwszą, najłabszą stronę, to też zabolalo mocno. Słowa Leona jak echo odezwały się w nich; ale fałszywy wstyd nie pozwalał im przyznać się do tego, wypowiadać przed sobą; oboje grali komedję obojętności, zaprzestali mówić o wieczorze i zwrócili rozmowę na inny przedmiot.

— Gdzie jest Marynia? — spytał Emil niby obojętnie, siadając na kanapie.

— W swoim pokoju, jak zawsze.

— I trwa wciąż w zamiarze pójścia do klasztoru ?

— Teraz więcej niż dawniej.

— Zdaje się, że to wpływ księdza Aurelego.

— Wątpię, bo go nawet nie lubi i unika. Dziwna ta Marynia, ja jej nie rozumiem.

— Może szczęśliwsza od nas — rzekł półgłosem Emil. Te słowa mimowoli wyrwały mu się z piersi, w nich streściła się cała bolesć i przykrość tajona, cała gorycz jego życia.

Zosia westchnęła — i znowu zamilkli oboje.

Wśród ciszy słyhać było turkot powozów po bruku, ten turkot szarpał nerwy sierot; w duszy mieli jeszcze nadzieję, że księstwo sobie o nich przypomną, oczekiwanie rozgorączkowało ich, ale nadzieja coraz słabła i nikła. Emil spojrzął na zegarek — była już jedenasta.

Już się mieli rozejść, gdy wszedł lokał od księżnej, z zaproszeniem panny Zofii do salonu. To późne zaproszenie było tak niespodziewane, że Zosia nie umiała wobec służącego pokryć radości swojej, poczęła się krzątać koło toalety, zadzwoniła kilka razy na pokojową, odchodzącego Emila pożegnała roztargniona. Przed chwilą wspólność doli ich łączyła, teraz wesołość Zosi stargała tę sympatyczną nić; Emil uczuł się podwójnie dotkniętym, osamotnionym, radość siostry drażniła go — wyszedł zgryziony, nie poszedł do siebie, chciał wyjść trochę na miasto, ochłodzić

się, uciec z sąsiedztwa tej atmosfery, w której mu żyć niepozwolono. Przeszedł szybko koło drzwi salonu, z kądem go doleciał gwar rozmawiających, i już był w połowie schodów pierwszego piętra, gdy usłyszał turkot powozu, który ustał przed pałacem księstwa. Zawahał się, czy ma wrócić, cofnąć się, by się nie spotkać z nikim, czy iść naprzód, gdy na jasno oświetlone wschody weszły dwie kobiety, w towarzystwie niemłodego mężczyzny. Emil dojrzał twarz jednej z nich i zmieszał się, tak mu się nagle zamąciło w głowie i w oczach, że się zachwiał, jakby mu kto ziemię z pod nóg usuwał. To była hrabianka Zatorska. Poznał ją jednym rzutem oka, choć była nieco zmienioną i bladą.

Od czasu, jak ją pierwszy raz zobaczył na balu, nieraz jej zamglona twarz, imponująca smutnym spokojem, stawała w jego myślach, nieraz napróżno szukał sposobności zejścia się z nią gdzie w towarzystwie; nie dziw więc, że zjawienie się jej w pałacu księstwa zelektrykowało go; w jednej chwili zachwył i smutek zatrzęsły jego duszą. Długo oczekiwana

sposobność nadarzała się, a korzystać z niej nie mógł; hrabianka wchodziła do salonu jego wuja, a przecież widzieć jej nie może, ani rozmawiać, bo drzwi tego salonu

zaparto przed nim — ta myśl zaboląa go okropnie. Człowiek taki jak Emil, słaby i trochę próżny, podniósł to swoje nieszczęście do tragicznej wyżyny; uczuł się najniezszczęśliwszym człowiekiem, dusza jego wrażliwa szamotała się, jak okręt na wzburzonym morzu, a nie miał w sobie żadnej silnej myśli, coby jak latarnia morska przyświecała mu w tej burzy, nie umiał się uspokoić; potrzebował koniecznie kogoś, coby słowami zażegnał i uspił burzę jego myśli. W tej chwili przypomniał sobie Leona, zatęsknił za nim, potrzebował go, więc poszedł w stronę Kleparza. Dziwnego doświadczał uczucia, wdrapując się po ciemnych schodkach do izdebki Leona, przypomniał sobie kiedy pierwszy raz tu wchodził; wtedy to ubóstwo wydawało mu się tak okropnym, wstrętnym, ci koledzy, mieszkający na brudnym, smrodliwym poddaszu, tacy nieszczęśliwi — a dziś on im potrochu zazdrościł, bo to byli ludzie niezależni. Ci ludzie w wytartych surdutach, z kawałkiem czerstwego chleba w ręku, imponowali mu swoją swobodą; oni nie potrzebowali nikogo o nic prosić, ani nikomu dziękować — podczas gdy jego jałmużna książeąca nieraz dławiła. Dziś zgodziłby się chętnie na takie poddasze, na to ubóstwo, ale do tego potrzebował choć skromnych

funduszów, na to trzeba było zapracować, a on tego nie umiał. Wśród tych myśli wszedł do Leona — zastał go nad książką, przy pracy. Leon naprawdę ucieszył się jego widokiem.

— Przecież — rzekł wstając na powitanie. W tem słowie był i wyrzut i radość.

— Chciałem już dawniej cię odwiedzić, ale podobno nie było cię w Krakowie?

— Tak, wyjechałem na czas jakiś do Jana. Serdeczmem przyłgnął do tego człowieka.

— Byłeś więc tam? Ach, jakbym rad tam pojechał. — Kilka miesięcy dopiero, jak rozstałem się z tamtymi stronami, a już mi bardzo tęskno, bardzo źle bez nich.

— Dawniej nie tęskniłeś tak.

— Bo dawniej było mi lepiej.

— Więc ci źle teraz? — spytał Leon z współczuciem i patrzył głąboko w twarz Emila.

— Me mówmy o tem — odparł Emil z niechęcią.

— A ja myślałem, że właśnie przyszedłeś pomówić ze mną o tem, że zbrzydły ci książeące łaski i chcesz pracować.

— I jakąż pracą zarobię sobie na utrzymanie? — Mnie od dziecka nie uczono tego.

— Poszukam dla ciebie jakich lekcyj.

— Nie chcę, nie chcę — przerwał Emil rozdrażniony — ja do tego nie miałbym cierpliwości. Zostaw mnie Leonie jak jestem. Źle mi tam, to prawda, laska ludzi zimnych okropną jest dla sierot, ale muszę jeszcze tak przemęczyć ten rok. Po skończeniu prawa wystaram się o jakiś urzędzik, jakieś zatrudnienie, które mi zapewni jakie takie utrzymanie, wtedy będziemy razem, wy mnie nauczycie żyć po waszemu.

— Czyż nie lepiej wcześniej wziąć się do pracy — przywyknąć do niej? możeby się znalazło jakie miejsce u adwokata?

— Byłem u kilku — nie ma.

— Iść do innych.

— Nie chcę, nie chcę, trzeba by prosić, a ja prosić nie umiem i nie chcę. — Proszę cię Leonie, nie mówmy o tem, to mnie irytuje.

— Jak chcesz — rzekł Leon trochę z żalem i umilknął, patrząc z politowaniem i smutkiem na człowieka pięknego serca a słabej woli.

Emil tymczasem przeglądał książki leżące na stoliku.

— Ty musisz wiele pracować Leonie ?

— Dlaczego?

— Domyślam się tego z książek, które nagromadziłeś i z twarzy twojej. Pomizerniałeś bardzo.

— To pewnie nie z pracy, umysłowa praca mnie ożywia i krzepi. W zmartwieniach to jedyne lekarstwo.

— Więc i ty masz zmartwienia?

— Któż bez nich?

— Szczęśliwyś, że w takich chwilach pracować możesz. Mnie każde zmartwienie tak rozstroi, tak wzburzy, że myśli zebrać niepodobna; nie dosiedziałbym wtedy przy książce.

— I mnie to zbyt łatwo nie przychodzi — to lekarstwo przykre, jak każde lekarstwo; trzeba się do niego przymusić koniecznie, trzeba myśleć jak rozszalałego konia okiełzać wolą i zmusić do posłuszeństwa. W takich chwilach biorę najczęściej historię do ręki i to dziwnie mnie uspokaja. Wobec okropnych cierpień i szamotań milionów ludzi, moja boleść maleje niesłychanie; wśród krwawych dramatów i jęku konających narodów nie słyhać moich westchnień, i nieszczęście moje porównane do tego ogromu nieszczęść, przez jakie przechodziła ludzkość, dziwnie błahem mi się wydaje.

— Zazdroszczę ci takiego usposobienia, ale bym naśladować nie umiał. W takiej chwili przykrej, ja na kartkach historii odczytywałbym tylko

własne cierpienia. A takich przykrych chwil mam wiele.

— Przypatrz się wtedy tym, co nieszczęśliwi od ciebie, a mniej ich mieć będziesz. Idź wtedy do szpitalów, do więzień, do domu obłąkanych; przypatrz się kalekom, nędzarzom, a uczujesz się w porównaniu do nich bardzo szczęśliwym.

— Być może, gdyby nieszczęście było chwilowe; ale jeżeli największym, z moich zmartwień jest troska o przyszłość, która jak czarna noc stoi przede mną i straszy mnie widmami — jeżeli ja potrzebuję losu, stanowiska, a nie ma go.

— Stanowisko zdobyć sobie trzeba. — A jeżeli je zdobędę zapóźno?

— Nie rozumiem cię. —

Emil chwilę milczał, potem zapytał:

— Ty znasz hrabiankę Zatorską?

Leon zmieszał się i pobladł — nie spodziewał się tego pytania, nie wiedział, czy Emil się zwierza, czy bada.

— Uczyłem ją czas jakiś — rzekł głosem słumionym.

— Leonie, ja kocham tę kobietę.

Leon drgnął, jak drzewo przed uderzeniem siekiery; uderzenie szło w samo serce, wsparł się na oknie i nie wiedział co powiedzieć. Emil nie

uważał tego wzruszenia przyjaciela, bo zanadto zajęty był sobą.

— Ty nie uwierzysz — mówił dalej — jak ta kobieta wpłynęła na mnie, jak mnie zmieniła moralnie. Znasz życie naszej młodzieży, wiesz jak brudnym rokoszom poświęca większą jej część najpiękniejsze drgania młodego serca, jak ściera z siebie delikatne barwy skromności i wstydu, traci zdrowie i pieniądze; ja nie byłem wyjątkiem, szedłem za drugimi i smakowałem w takim życiu. Dziś to życie mi zbrzydło, zeszkara radniało w moich oczach, wstyd mnie i żal, a to dla niej i przez nią. Myśl o niej oczyściła brudną atmosferę, w której żyłem, postawiła mnie na moralnej wyżynie. Czuje, że ta kobieta mogłaby ze mnie zrobić wiele, bo dla niej zrobiłbym wszystko. I powiedz, czy ja mogę zapomnieć o niej, czy ja jestem w stanie nie kochać jej?...

Leon podczas tego, gdy Emil mówił, poszedł ku drzwiom, chciał podnieść dzban z wodą do ust i nie mógł, tak mu czegoś zbezwładniały ręce, ukląkł więc, napił się nieco wody. Usta miał spieczone, gorące — a czoło zimne jak marmur i wilgotne. Coś nieopisanego działo się w jego duszy. Wspomnienie hrabianki on siłą woli zamroził w swoich piersiach, gorące słowa Emila

rozgrzały te lody, popękały i stała się straszna powódź uczuć w jego duszy i nie umiał zapanować nad nią. Wstawszy od dzbana, wrócił do stołu i usiadłszy słuchał na pozór spokojnie wyznania przyjaciela. Każde miłosne słowo Emila, było jakby z jego duszy wyjęte, a jednak nie należało do niego. — Gdy Emil skończył, Leon cicho zapytał:

— A ona?

— Ona może mnie i nie zna. Nie miałem sposobności zbliżyć się do niej, a raczej brak mi śmiałości. Dawniej zdawałoby mi się to łatwym, teraz niepodobnym. Ruina majątkowa odepchnęła mnie daleko od niej — jestem dziadem.

—

Ostatnie słowa powiedział z głębokim westchnieniem i spuścił głowę na piersi. Leon nic umiał go pocieszyć, bo i sam potrzebował tego.

— I ty nic na to? — spytał Emil gorączkowo, biorąc rękę swego przyjaciela. — Och, jaki ty zimny, u ciebie miłość to tak mała drobnostka, że o niej myśleć nie warto. —

Leon uśmiechnął się gorzko, boleśnie.

— Ale dla mnie — mówił dalej Emil gwałtownie — to kwestya życia. Na Boga, radź co, mów co, pociesz, bo mi tego bardzo potrzeba.

— I czemże cię pocieszę, cóż ci doradzę drogi Emilu? Kochaj i ufaj przeznaczeniu!

— Tyś fatalistą, nigdy nie myślałem, że w to wierzysz.

— A w cóż wierzyć?

— W siłę woli.

— Zmusz tą wolą kobiece serce, by cię kochało — czy to podobna? Nie przeczę wolnej woli, działa ona w historii i w życiu prywatnem, przez nią człowiek zdobywa sobie zasługę i winę; ale zakres tej woli jakże szczupły? „Człowiek ma woli tyle, ile ptak w klatce” powiada Moleschot: jest w tem wiele prawdy. Po za szczupłemi granicami człowieczej woli, jest przeznaczenie, opatrność.

— Więc się spuścić na jego łaskę?

— Nie, działać wraz z niem.

— I czekać wciąż?

— Czyż ta miłość rozświetlona ciągłą nadzieją nie uszczęśliwia ciebie? Taka nadzieja, to jak światełko w lesie zbłąkanemu — idź za niem.

— A jeżeli zgaśnie?

— Tak wątpiąc uprzednio, nie dojdiesz nigdy do celu; zabraknie ci siły, chęci i odwagi.

— Więc będę chciał wierzyć — rzekł Emil — a gdy wiara osłabnie i zachwieje się we mnie?

wtedy przyjdę do ciebie po siłę i pociechę. Dobrze? —

To mówiąc, wziął Leona za rękę.

— Jakie twoje ręce zimne Leonie, jakby ci kto krew w żyłach zamroził. Co tobie jest — spytał zaniepokojony, patrząc w oczy przyjaciela, pałające dziwnym gorączkowym blaskiem. Gorączka była w piersiach nie w ciele.

Na bladej twarzy Leona zapalił się lekki rumieniec pomieszania.

— Nic mi kochany Emilu, byłem dziś trochę nie zdrow, coś jak febra; ale teraz mi lepiej —

i mówiąc to, zmusił smutną twarz do uśmiechu. Dziwny to był uśmiech, jak konającego męczennika. W tej chwili konało w jego piersiach piękne marzenie o szczęściu, a cios szedł z ręki przyjaciela.

W tem na schodach dał się słyszeć gruby, szorstki głos Wasyla:

Bijut w dzwony, bijut w dzwony Budemy hrebaty — dwa cary korola.

Po chwili wszedł do izby Rusin, w twarzy rozognionej miał coś dzikiego, ognistego.

— A szto Lachy, hę — szto bude? — zapytał stanąwszy we drzwiach i znowu zaczął:

Budemy hrebaty hłuboko, hiuboko — Wysypiem mohim wysoko, wysoko — Wysypiem mohiłu, jest z czoho sypati, Nanosim nedolu z każdej w Polsce chaty.

— I cóż patrzycie na mnie, jak na waryata, hę ? No, taki podpiłem sobie trochę na zmartwienie, ale ja nie pijany, ani waryat. Macie, czytajcie.

I rzucił im na stół gazetę: oni czytali, on mówił:

— W październiku zjazd w Warszawie — dwa cary. Ej, coś będzie w świecie, kiedy święte przymierze się trwoży i do siebie tuli. Ha, gdyby to burza, ale taka burza, coby zawyła i przeszła całą Europę i zatrzęsała tronami — człowiek by odżył jakoś. Bo teraz to tak duszno, jakby kto ołowiu na piersiach położył.

I znowu począł:

Bijut w dzwony, bijut w dzwony Budemy hrebaty.....

Emil i Leon patrzeli na niego, jak ludzie ze snu przebudzeni podmuchem zimnego wiatru. Słowa Rusina otrzeźwiły ich, przerzuciły nagle ich myśli z cichego ustronia, pełnego smętnych melodyj słowicznych i sercowych bólów, na pole,

gdzie się odzywa muzyka armat, w gwar życia politycznego.

— Ej gdybyś ty widział Leon teraz moich węglarzy i innych zasmolonych przyjaciół, jak to wszystko spragnione wojny, o rewolucję modli się jak o zbawienie.

— Dziwna rzecz — odezwał się Leon — zkąd u tych ludzi wzięła się taka żądza krwi?

— Zkąd? Popytaj o tę tajemnicę paryzkich bruków. Zkąd? z nędzy. Ci ludzie nie mają nic do stracenia, a zyskać mogą.

— I czyż nie ma innego środka zaradzenia temu, tylko rewolucya? Pocóż krwawą operacją przyspieszać wyzdrowienie ludzkości, które samo z siebie przyjść musi.

— W jaki sposób?

— Przez oświatę i moralność.

— I ty wierzysz Leon, że tą drogą zajdzie ludzkość do szczęścia?

— Wierzę — rzekł Leon z siłą i namaszczeniem.

— Kiedy?

— Nie wiem.

— Może po tysiącach lat? I te lata przeczekać z kajdanami u nóg, przecierpieć w ucisku?

— Na tej drodze Chrystus obiecał zwycięstwo prawdy.

— Znowu Messyanizm.

— Zawsze Messyanizm.

— Nie przekonasz mnie. W ludzkości jak w przyrodzie — gdy się zanieczyści atmosfera, ziemia pęka od spiekoty słonecznej, rzeki wysychają a kwiaty więdną — i duszno jest i parno, wtedy burza staje się koniecznością. Niszczy wiele, ale i tworzy wiele, prostuje drogi pańskie. —

— Jeżeli to złe jest koniecznością, to dość wyczekiwać je, po co sprowadzać, po co przygotowywać to, co przyjść musi?

— Aby, gdy przyjdzie chwila czynu, zastała materiały palne nagromadzone, aby nie był fajerwerk, tylko eksplozja — rozumiesz co? — A u was Lachy potrzeba takiego zorganizowania materiałów palnych na jedną chwilę. Kto wasze chwilowe uniesienia będzie umiał streścić i z użytkować, ten będzie wielki i wielką rzecz zrobi. Wasze najpiękniejsze dzieje składają się z takich chwil uniesień; wytrwałością nic nie przeprowadzicie, bo wytrwałości nie macie.

— Może za ostro sądzisz Wasylu.

— Rusin nie mówi na wiatr; pokażę ci jak

na dłoni. U was uczucie na godziny się liczy. Coście na chwilę podnieśli ku niebu, rzucacie potem w poniewierkę i zapomnienie. — Kiedy ze świętej Rusi jechałem do was, to ja sobie Bóg wie co dumał. Myślę sobie: Kraków, stara Polska stolica, toż to cudnie tam żyć muszą wśród tych zgrzybiałych murów, co tyle widziały. Bohdanowo pieśni o Krakowie szumiały mi w uszach i zdawało mi się, że tu każdy człowiek jak księga, co opowiada dzieje, że tu w każdym uderzeniu pulsu tętnią wielkie narodowe wspomnienia. Lepiej mi było zostać w tej ułudzie i wrócić z nią na Ruś; byłbym was więcej szanował. Przyjechałem do Krakowa, pamiętam, Października i na drugi dzień wypadła rocznica śmierci wielkiego bohatera — wyszedłem na rynek wieczorem, księżyc oświecał zębate mury sukiennic, ratuszna wieża rzucała cień długi niby żałobę na to miejsce, gdzie wódz w sukmance przed laty przemówił: „Boże, pozwól raz jeszcze bić się za ojczyznę.” Zdawało mi się, że tłumy ludu snuć się będą koło tego miejsca, co słyszało takie piękne słowa, że na twarzach ich wyczytam boleści ich porozbiorowego życia. Gdzie tam — rynek był pusty. Spotkałem jednego człowieka, z którym się poznałem w drodze do Krakowa i zagadałem:

No a co? Jaki to dzień jutro? Piątek — odpowiedział. No, ale pamiątka jaka? — Wytrzeszczył na mnie oczy. — Toż zapomnieliście o śmierci Kościuszki, wszak jutro rocznica. — Tak? — rzekł, pokiwał głową i poszedł — a ja splunąłem za nim. Na drugi dzień ludzie pracowali jak zwykle, jedli, ziewali — a o Kościuszcze nikt ani wspomniał. Czekał, nie przerywaj mi, nie skończyłem jeszcze. W kilka dni potem u antykwarzy mały kupiłem ale cenny zbiorek poezji Wasilewskiego. — Bożeż mój, jak tam cudnie opisał to swoje rodzinne miasto, jak mi ta ziemia wydała się piękniejszą, gdym spojrział na nią oczami poety. Poszedłem szukać domku poety w nadwiślu — nie umiano mi go

pokazać; spytałem kolegów o grobowiec jego, wzruszyli ramionami. A bodaj was Lachy za takie poszanowanie świętości. Naród, co zabył swoich bohaterów i wieszczów, nie godzien nazywać się narodem i istnieć.

— Trafiłeś nieszczęśliwie, bo są ludzie, którzy przechowują u siebie tradycje przeszłości.

— To wyjątki, a bohaterowie i poeci do całego narodu należą, cały więc naród ma pisać powinność znać ich, szanować i pamiętać.

— Wszystko się robi powoli. Grobowiec poety już odszukany, zbierają składkę na pomnik

dla niego. A co się tyczy narodowych świąt i pamiątek, to trzeba je przypominać narodowi i tą drogą rozbudzać w nim ducha.

— Wiec pokażesz mu całą chwałę i wielkość przeszłości, okropne męczeństwa ostatnich lat, rozbudzisz w nim godność i boleść, a potem co? Potem każesz mu milczeć i cierpieć i żółwym krukiem iść do celu? — Tyran z ciebie Leonie.

Leon chwycił się oburącz za głowę i wsparł rękami na stole: rewolucja i messyanizm toczyły walkę w jego myślach.

— Więc roznamiętnisz ducha i okujesz go potem? — spytał znowu Wasyl.

— Na Boga! przestań Wasylu, zostaw mi trochę czasu na pogodzenie tych sprzeczności; dziś nie umiem ci na to odpowiedzieć — straszną wątpliwość rzuciłeś w moje piersi. —

Wasyl zamiast co powiedzieć, zbliżył się do stołu, przy którym siedział Leon, przewrócił kartę gazety i pokazując palcem jedno miejsce rzekł:

— To niech ci wątpliwość rozwiąże. W Neapolu krzyczą: Viva l'unione Italiana. A wy Lachy kiedy tak krzykniecie, hę? — Gwarna Polsceza ucichła — to nie cisza przyrody, pod którą życie tętni i wszystko się rozwija, ale cisza trupa co gnije.

— Wasylu, z kąd ciebie dziś takie myśli opadły.

— Z kąd? Od ludzi rozumnych, którzy mi dowiedli, że nam cicho siedzieć potrzeba, że nam dobrze. A tu krzyk: viva l'unione Italiana wciąż dzwoni w uszach i łaskocze nerwy. Oj źle. —

Rozmowa przerzucona na pole polityki tworzyła się długo tą koleją — trzech młodzi ludzie późno w noc siedzieli, żywo rozprawiając i coś układając. — Musimy ich zostawić, a zajrzeć jeszcze do salonu księstwa Ireneuszów choćby dla tego, aby się dowiedzieć jakie powody skłoniły księżną panią to tak późnego zaproszenia Zosi.

W salonie księstwa było już wiele gości, gwarno; towarzystwo podzieliło się na kółka. Nie brakło księdza Aurelego, pana Hilarego — było kilku z młodzieży, kilka starych pań, kilka młodych. Przechodzącego przez salon księcia Ireneusza zatrzymał za rękę stary baron P. i z lubieżnym uśmiechem, obrzydliwie odbijającym od zgrzybiałej twarzy, spytał go:

— A gdzież są moje śliczności, moja Zosia? Może jaka słabość, hę?

— Nie wiem.

— A — szkoda. —

Książę spojrział na starca, jak rachmistrz na tablicę, coś pokombinował, potem rzekł:

— Spytałem się żony.

— Proszę, bardzo proszę. —

Książę opuścił starego barona i zagadawszy tu i owdzie do gości, zbliżył się potem do żony siedzącej obok księdza Aurelego. —

— Powiem ci nowinę — rzekł cicho.

— Cóż takiego?

— Baron na seryo zajęty Zosią. — Uważałam to.

— Panna Płoniewska może jeszcze zrobić los, o jakim marzyć nigdy nie mogła. I to wszystko nam zawdzięczać będzie.

— Czy baron pytał się o nią?

— Z zajęciem. Możeby posłać po nią? — Księżna obejrzała się po gościach.

— Jakże ją tu tak przypuszczać dziś do towarzystwa, przy tylu gościach.

— Któż będzie na nią uważał. Zrobimy to dla barona.

— To każ Jakubowi ją zawołać. Tylko niech wejdzie drzwiami od ganku. —

To pozwolenie kosztowało ją wiele; wysiliła się na nie, to też westchnęła głęboko i rzekła pół do siebie, pół do męża:

— Człowiek całe życie dla drugich tylko żyje i poświęca się.

— To też powinna nam być wdzięczną. — Po tych słowach książę odszedł i dał rozkaz

Jakubowi zawołania panny Zofii.

Wiemy więc właściwą przyczynę zaproszenia, które Zosię tak niezmiernie ucieszyło; wiemy, że się to stało nie w skutek opiekuńczej dobroci księstwa, jeno w skutek prośby Barona.

Któż on był?

Stary, milionowy skąpiec. Tego człowieka już raz widzieliśmy w porannym zmroku, żegnającego we drzwiach młodą brunetkę; widzieliśmy jakim przepychem skąpiec otaczał swoją pokątną miłość. Ta namiętność przeważała u niego nad żądzą pieniędzy. Lubieżnik pokonał skąpca. Te dwie namiętności to były jedyne sprężyny, które poruszały zwiędłego starca; gdy te działać przestawały, zapadał w stan bezwładności, która czyniła go podobnym do świeżego trupa. W taki stan zapadł po odejściu księcia, usiadł we framudze okna i siedział nieruchomy. Przypatrzmy mu się. Był to starzec niski, łysy, uwiędły i odarty ze wszelkiego uroku, z godności wieku; taki starzec nie umiałby nauczać ani błogosławić, i usza

nować takiego starca nie można było. Przed oczami, teraz zamkniętymi, świeciły się okulary w złotej oprawie. Twarz była żółta, jak stary pergamin, w niektórych miejscach plamisto czerwona — głębokimi zmarszczkami porzeźbiona. Wyglądała jak popękany cyferblat zegaru, o którym tyle tylko można powiedzieć, że stary, że już wielu ludziom odbił godziny, ale ani współcierpiał, ani zapłakał nad nimi. Rzeczywiście baron nie pojmował, jak można smucić się o kogoś, litować się nad kimś; jedyną osobą, do której w życiu przyłgnał, którą się zajmował, był on sam; za granicami jego brudnych żądz, nic go nie obchodziło; do ludzi przywiązywał się jak komar do ciała, dla nasycenia swych namiętności. Był skąpym, ale nie dla siebie, na przyjemności nie żałował sobie. — Z krótkotrwałego małżeństwa miał syna Edmunda, owego młodego człowieka bez brwi, którego poznaliśmy na wieczorku u Emila. Ojciec i syn byli siebie wari, tylko że w synu, jako w młodszym, wady ojca stawały się obrzydliwszymi — samolubstwo, cynizm w ustach młodego, miały coś potwornego. Po wczesnej śmierci matki, zostawał pod wyłącznym wpływem ojca. Ten starzec niewierzący w nic, śmiejący się szydersko z każdego uczucia, mający w pier

siach zamiast serca tabliczkę rachunkową, był wzorem, na którym się kształcił dorastający chłopiec. Starzec swoim życiem ścierał z duszy syna wszelkie szlachetniejsze popędy, delikatniejsze uczucia, nie przeczuwając, że kręci bicz na siebie samego, że syn praktykę samolubstwa i bezsumienności może zacząć od niego. Stosunek między ojcem i synem był chłodny i wyrachowany, bez iskiarki uczucia: bo syn tego nie umiał, a ojciec nie potrzebował uczucia, ani wierzył w nie. Widywali się w pewnych godzinach, rozmawiali o najobojętniejszych rzeczach: ani ojciec synowi, ani syn ojcu nie widzieli potrzeby zwierzać się ze swymi tajemnicami. Baron regularnie wypłacał synowi miesięczną pensję, która była zbyt małą, aby mogła pokryć wszystkie jego wydatki. Naprózno Edmund nieraz proponował ojcu podwyższenie — skąpy baron nie dał się do tego namówić. — Proś Boga, żebym wcześniej umarł, nie będziesz wtedy potrzebował prosić się, będziesz panem. A może ja ciebie przeżyję? he? To by było zabawne — mówił nieraz stary skąpiec, gdy był w wesołym humorze. Edmund w przeżycie nie wierzył, ale drażniła go i chwilowo niepokoiła mowa starca, gniewała

go i niecierpliwiło, że ojciec tak ociąga się ze śmiercią i czekał na tę śmierć ojca; dla Edmunda zdawało się to bardzo naturalnym, wszystkie plany i rachunki jego miały za podstawę grób ojca. Ale nie przeczuwał, że między grobem a rachunkami może stać jakiś przedmiot zaciemniający, że się może coś stać, co mu szyki pomiesza. O czymś podobnym marzył baron.

Bywając często u księżstwa poznał Zofię — rozwinięte wdzięki kuzynki księżstwa, podrażniły nerwy starego lubieżnika; z każdym dniem coraz więcej lubował w tych wdziękach, coraz poządliwszem okiem patrzył na nią, a lubo Zosia nie

zwracała na niego uwagi i była dla niego całkiem chłodną, jednak starzec nie tracił nadziei posiadania jej; do ostatniego szturmego miał przygotowany akt ślubny i zapis majątku.

Był to krok ryzykowny, dla tego długo się namyślał i wahał się skąpiec — księstwo uważali to, domyślali się i wyczekiwali — im to było na rękę, że mogli się pozbyć sieroty, dając jej milionowego męża. Opinia ludzi i wdzięczność kuzynki miały im za to zapłacić. — W skutek choroby barona, nadzieja ich upadła, i ksiądz Aureli znowu począł nakłaniać Zosię do klasztoru.

Dziś zjawienie się barona w salonie i jego troskliwe dopytywanie się o Zosię, przypomniało znowu księstwu jego zamiary. Dla barona więc postano po nią.

Egzaltowana dziewczyna inaczej sobie wytłómaczyła to zaproszenie, z gorączkową niecierpliwością ubrała się i weszła do salonu. Towarzystwo zastała ożywione i rozgadane; nikt wchodzącej nie uważał, ani księżna nie przedstawiła jej nikomu. Zosię zarumieniło to upokorzenie — nie wiedziała co z sobą zrobić, gdzie usiąść, gdy książę Ireneusz spostrzegłszy jej zakłopotanie, wskazał jej ręką swoje krzesło obok barona, a sam poszedł na powitanie wchodzącego hrabiego Zatorskiego.

Baron, gdy go dotknęła muślinowa, różowa sukienka Zosi, gdy mu zapachnęły jej włosy, drgnął i ocknął się — zobaczywszy swoje śliczności, rozszerzył sine usta do uśmiechu i wyszczerzył dwa żółte zęby na pół spruchniałe. Zaczął rozmowę od komplementów, Zosia odpowiadała mu półsłówkami, obojętnie — oczy jej i myśli utonęły w przeciwnej stronie salonu, gdzie siedziała hrabianka Zatorska, otoczona młodzieżą. Hrabianka była bladą i milczącą — po salonie chodziły szeptem pochwalne o jej piękności i do

mysły o jej smutku. Księżna Ireneuszowa skinęła na syna, który zamyślony siedział pod lustrem.

— Co ci jest?

— Nic, mamó.

— Wstyd mnie za ciebie, prędzej możnaby cię wziąć za braciszka klasztornego, niż za człowieka z paryzkich salonów. Nie podobasz mi się od jakiegoś czasu. — Czemu nie rozmawiasz z hrabianką Zatorską?

Adolf spojrzął w tę stronę.

— Jest dosyć młodych przy niej.

— Ustąpią przed tobą. Hrabianka jest partyą nie do pogardzenia — radzę mieć rozum. —

Łuki czarnych brwi młodego księcia złamały się na te słowa, oznaka niechęci, czy przykrości, mignęła chwilowo na twarzy; poszedł jednak w stronę, gdzie siedziała hrabianka, szedł leniwo, machinalnie — również chłodno i bezdusznie rozmawiał z nią. — Był nadzwyczaj roztargniony i co chwila rzucał na drzwi spojrzenia. — W tej chwili oczy Zosi tkwiły w jego twarzy — książę Adolf nie długo zabawił przy hrabiance, rozglądając się po salonie, i ujrawszy Zosię, wstał i szybko zbliżył się do niej. Zosi serce w piersiach rozrastało się od szczęścia, zapłonieniem, wdzięcznym uśmiechem, pomieszaniem witała księcia.

— Nie uważałem kuzynki — rzekł, ciągle roztargniony. —
Zosia chciała coś odpowiedzieć, książę nie dał jej przyjść do słowa.
— A Marynia? — spytał.
— Jest u siebie.
— I nie będzie na wieczorze?
— Nie.
— Nie? — spytał książę nieco silniej, widać nie spodziewał się tej odpowiedzi. Zosia spojrzała na niego zdziwiona, nie zrozumiała pytania i wykrzyku. Młody książę był czegoś wzburzony gwałtownie. Pogadał jeszcze coś z Zosią, potem zakręcił się po salonie i zniknął — Zosia zauważyła, że wyszedł drzwiami od ganku.
W pokoju Maryni było jeszcze światło, przy lampie siedziała nad robotą, twarz miała smutną ale spokojną, jak zawsze — w pokoju była cisza. Nagle z łoskotem drzwi się otworzyły i przed zdumioną Marynią stanął książę Adolf.
Marynia podniosła się z uczuciem obrażonej godności:
— Co to ma znaczyć? — spytała. Książę stanął, zawahał się i zmieszał.
— Przyszedłem prosić kuzynki do salonu — rzekł nieśmiało.

— Próżność się pan fatygował.
— Jakto? kuzynka nie pójdzie?
— Nie. — Odrzekła spokojnie, ale z pewnością.
— I czemu?
— Zostaw mi pan wolność w tym względzie. Może i słuszne mam powody.
— Bez kuzynki źle mi w salonie — rzekł książę trochę niecierpliwie. —
Marynia nic nie rzekła.
— Ja proszę, zrób to kuzynka dla mnie.
— Zostaw mnie pan w spokoju.
— Kuzynko, ja proszę, bardzo proszę — nie odmawiaj mi tego. — Głos był rzewny, miękki, ale pod tym czuć było wzbierającą gwałtowność, pod czulą prośbą gotowała się, wrzała już niecierpliwłość, bo nieprzyzwyczajony był do próśb, szczególnie do próśb niewysłuchanych.
Marynia za całą odpowiedź rzekła:
— Dobra noc.
— Ty musisz iść — wybuchnął gwałtownie książę i chwycił ją za rękę.
Marynia ani krzyknęła, ani się wyrwała, jeno spojrzała na niego swymi wymownymi oczami; dziwne było spojrzenie tych oczów, była w nich siła, co dzikie zwierzęta poskramia. Książę spuścił

oczy przed tym wzrokiem, puścił jej rękę i cofnął się zawstydzony.

Książę Adolf był z usposobienia dziki, gwałtowny— ale serca uczciwego i tkliwego; wychowaniem salonowiec, szedł bez namysłu za zwyczajami i przesadami swej kasty. To połączenie serca, dzikości i towarzyskiej oglady, wcale pięknie wyglądało u księcia, i przy jego nadobnej powierzchowności, czyniło go nader zajmującym. — Widzieliśmy go już raz w słotny wieczór, szargającego się po kleparskim błocie, za Teklusią blondynką; książę bowiem nie umiał, sobie niczego odmawiać i szedł za pędem swych namiętności, jak koń dziki bez cugli.

Przybycie w dom ich panien Płoniewskich, z początku nie zwróciło nawet jego uwagi, później jednak piękność Maryni, a co większa, jej spokój i dziwna obojętność, poczęły go zajmować i drażnić po trochu. Usiłował zwrócić na siebie jej uwagę, zając ją, ale napróżno. Marynia była grzeczną, ale zimną — to go irytowało. Złamać tę posagową dumę, zmusić te zamknięte usta do wyszeptania cichego słowa miłości, było postanowieniem księcia. Chciał działać jak strategik, ale się przerachował, bo uczucie, które chciał rozdmuchać w sercu dziewczyny, pierwaj jego serce

rozpaliło; z udanej czułości wyrodziła się gwałtowna miłość; ten co chciał zapanować nad sercem kobiety, nagiął się z uległością przed jej niewzruszoną duszą; chłód i obojętność Maryni potęgowały to uczucie. Teraz zrozumiemy, co znaczyło roztargnienie księcia w salonie: nieobecność Maryni niepokoiła go, jemu teraz każda chwila bez niej smutną była. Prawda, że obok tęsknoty była także despotyczna chęć dogodzenia sobie, on chciał żeby ona była, bo mu z tem byłoby dobrze. Kochał ją dla siebie. Dla tego pobiegł na górę. Oczy Maryni pokonały dzikie chęci księcia, nie pierwszy to raz tak rozkazywała mu temi oczami. Dziwny wpływ na niego wywierała ta młoda kobieta bez serca (jak ją nazywał), wobec niej stawał się nieśmiałym i pokornym.

Jak powiedzieliśmy, puścił Marynię i cofnął się ze wstydem.

— Proszę wyjść — rzekła Marynia głosem suchym, bezdźwięcznym.

— Kuzynko, jak ty nie masz litości nademną — rzekł młody książę głosem rzewnym, pod którym łyzy czuć było. — Ja wiem, że zasłużył na to, bo cię obraziłem, ale ja, ja....

Nie mógł dokończyć, łyzy dławily go. Marynia z kamiennym spokojem patrzyła na te łyzy, tak

przynajmniej księciu się zdawało; ani drgnęła jej twarz współczuciem, ani złagodniał surowy jej wyraz.

— Kuzynko, ty jeszcze gniewasz się na mnie? — spytał łagodnie, pokornie jak baranek — powiedz, czem przebłagać cię mogę?

— Zostaw mnie pan samą.

— Odchodzę więc — i tak mnie żegnasz? Marynia podała mu rękę.

— Dobra noc — szepnęła i lekko uściśnęła go. Książę wyszedł z pokoju — odchodzącego odprowadziła wzrokiem, i gdy się drzwi za nim zawarły, siła, która dotąd dziewczę utrzymywała, opuściła ją — Marynia upadła zmęczona na stół, głowa jej utonęła w dłoniach, a z pod rąk słychać było szlochanie dziewczęcia i słowa:

— Boże, Boże, zmiłuj się nademną! —

VII. CZŁOWIEK STRZELA, PAN BÓG KULE NOSI.

Kiedy hrabia Zatorski powiedział córce, że Leon więcej nie przyjdzie, Helena przyjęła tę wiadomość w pierwszej chwili tak obojętnie, że nawet bystre oko ciotki, nie dostrzegło na jej

twarzy żadnego pomieszania ani cierpienia. Nie pochodziła ta obojętność ani z braku uczucia, ani była wyrobem siły umiejacej panować nad wzruszeniem, jeno poprostu hrabianka słysząc słowa nie mogła uwierzyć ich treści, nie mogła przypuścić, że Leon więcej nie wróci — nie pojmowała tego, jak się nie pojmuje często śmierci osób, z którymi się dłuższy czas żyło. Tylko w piersiach uczuła ból jakiś i ściśnienie, a serce lekliwie bić zaczęło. Ale z każdą chwilą smutek jej potęgował się — im głębiej wchodziła myślą w przepaście tych słów, tym okropniej tym ciemniej jej było; w chwilach samotności to słowo: „nigdy” przeróżne brało postacie i trapiło jej dusze. Gdyby przynajmniej się pożegnał, przygotował ją do tego; ale tak nagle, tak niespodziewanie porzucić — to nie ludzko. —

— Przecież on nie dobry — szepnęła raz tuląc w dłonie smutną główkę. To była jedyna skarga, jedyny wyrzut jaki wyszedł z jej ust przeciw niemu. Odtąd już nigdy nie wspomniała o nim — widocznie chciała zapomnieć o tym człowieku, który tak nie umiał uszanować jej uczuć, tak odrzucił je od siebie i pogardził niemi. Ten człowiek nie ma serca — powtórzyła sobie znowu i silila się być spokojną, wesołą. Trudno

to jednak smutnej duszy powiedzieć „wesel się” — można się zdobyć na chwilowe porywy wesołości, dusza się szamocze wtedy, trzepocze wśród śmiechu, rozmów, jak poraniony ptak wśród krzaków róży, ale ta wesołość nie bawi, jeno umęczy i dusza zemdlona, osłabiona zapada znowu w smutek. A trudniej jeszcze myślom rozkazać, albo z ich płataniny wyrwać i wyrzucić jedną myśl. — Z wiankiem uwitym to zrobić można; poszarpie się go, niekiedy i popsuje, ale można zeń wyrzucić kwiatek, na który patrzeć nie chcemy — ale z myślami nie tak. Ileż razy Helenie Leon na myśl przychodził! wszystko go jej przypomniało: stółek, na którym siadywał, jego podpis na kajecie, czasem słowo jakieś z jego wykładu. To wspomnienie opętało ją. Nie zdradziła się jednak przed nikim, nie poskarżyła nikomu, nawet własnemu ojcu; nie z braku zaufania, tylko dla tego, że się zdobyć na to nie mogła. Bolała rana, zamknięta przed okiem ludzkim, niszczyła ją wewnątrz, trawiła ją — przez kilka tygodni pomizerniała bardzo i pobladła, zamyślała się często, a zamyślenie to przechodziło w stan jakiegoś ośłupienia czy letargu, z którego nie podobna jej było wyrwać się podług woli.

Raz zdarzyło się, że ojciec jej wróciwszy pro

żno wieczorem do domu, a zobaczywszy światło w pokoju córki wstąpił do niej. W pokoju nie było nikogo, lampa nakryta porcelanową białą ombrelką oświecała rozłożone na stole notatki literatury — drzwi do salonu były otwarte, w ciemności przy fortepianie siedziała Helena pochylona; światło lampy zlekka tylko dotykało ogólnych rysów jej postaci. Hrabia wszedł do salonu i stanął przy niej; nie spostrzegła go, tak utonęła w myślach, czuła, że ktoś wszedł, a trudno jej było wyrwać się z zadumy, jak człowiekowi, co z snu ciężkiego przebudzić się nie może. Ojciec zamyślenie wziął za sen, położył zlekka rękę na jej włosach i spytał:

— Usnęłaś Helenko? —

Po tych słowach oprzytomniła, westchnęła ciężko, spojrzała na ojca i pochyliła głowę na jego rękę.

— Co ci jest moje dziecko, czyś nie słaba? —

— Nie ojcze. —

Hrabia uczuł na dłoni ciepłe łzy.

— Helenko, co tobie? — zapytał zatrwożony. —

— Ja sama nie wiem mój ojcze — odrzekła znękany, rozpaczonym głosem — tu, tu mi coś źle — nie dokończyła i wysunęła się z rąk jego

i upadła na podłogę. Hrabia dotknął się jej twarzy: była zimną. Zerwał się przelęknięty i zadzwonił. Otrzeźwiono Helenę, zaniesiono na łóżko i posłano po doktora. Doktor osądził, że to początki melancholii, że trzeba hrabiance rozrywki, wyjazdu za granicę.

— Masz słuszność doktorze, jej matka także na coś podobnego cierpiała. —

— A więc to familijne.

— I sądzisz, że podróż ją rozerwie, że jej pomoże?

— Ja tak radzę..

— Za miesiąc wyjedziemy. —

Tem postanowieniem i zapewnieniem doktora uspokoił hrabia obawę o zdrowie córki, nie dodomyślał się niczego. — Za to ciotka Herminia rozumiała dobrze chorobę i smutek dziewczyny, wiedziała dobrze gdzie jej źródło. Rozumie się, że ksiądz Aureli, jako spowiednik jej, był także przypuszczonym do tajemnicy. Oboje ułożyli zużytkować smutek hrabianki na rzecz Kościoła; ksiądz Aureli zamyślał spropagować ją do klasztoru PP. Norbertanek i posagiem jej wzbogacić klasztor. Domyślać się musimy, że w tej gorliwości o pomnożenie doczesnych marności świętobliwego zakonu, ksiądz Aureli musiał mieć także

swoje planiki; nie była bez nich i ciotka Herminia; obojgu nie brakowało sprytu w przeprowadzeniu zamysłu, który krzyżował zamiary księżnej Ireneuszowej. Księżna, jak widzieliśmy, milionową hrabiankę uważała za dość odpowiednią partyę dla swego syna, i w tym celu czyniła małe zabiegi, nawet księdza Aurelego użyła do tego; ale ksiądz, czy przez większą sympatya dla duchownych siostr w Chrystusie, czy z obrachowania korzyści, nakłaniał hrabiankę, do klasztoru; przygotowywał ją do tego ćwiczeniami religijnymi, szczególniej starał się zrobić z niej dewotkę, przez rozbudzenie skłonności do postów i jałmużny. Umartwienia ciała i miłosierdzia dla bliźnich, dwóch pięknych zalet. Chrześcijaństwa użyli jako przedniej straży do osiągnięcia celów. — Do miłosierdzia nie trzeba było zbyt namawiać hrabianki, była bardzo litościwą; teraz tymbardziej chwyciła się tego z gorączkowym prawie zapalem; w niesieniu pomocy drugim zapomniła o sobie, czuła pewną ulgę. Ksiądz Aureli dostarczał jej wszelkich możebnych sposobności rozwinięcia miłosierdzia, sprowadzał chorych, biednych pod drzwi pałacu. Plan był dobrze obmyślany, ale wola Boża pomieszała go, bo nie był poczęty z woli Bożej.

Jednego dnia, kiedy hrabianka, która niedawno była po chorobie, siadła przy otwartem oknie, zobaczyła idącą przez ulicę dziewczynkę młodą, ale brudną i bardzo zbiedzoną, obdartą. Dziewczyna miała na plecach kosz z węglem, ciężar jego musiał przechodzić siły dziewczyny, bo się pod nim zgięła aż do ziemi, tak, że się zdawało prawie, że na czworakach się czołga. Hrabianka aż ścierpła na ten widok; litość wzięła ją nad tem dziewczęciem przygniecionem do ziemi, zadzwoniła na lokaja i kazała małą węglarkę zawołać z ulicy do przedpokoju.

— Ciociu — odezwała się hrabianka do wchodzącej pani Herminii — patrz, co ta dziewczyna dźwiga.

Pani Herminia spojrzała przez lornetkę.

— Zdaje mi się, że węgle.

— Ale jaki ciężar — to dziecko upada pod nim prawie.

— A, prawda, że też to policya pozwala na coś podobnego.

— A jeżeli ona musi.

— Prawda, może i musi — rzekła ciotka, potakując Helenie, ale nie wiedząc do czego ta rozmowa prowadzi. Pani Herminia od pewnego czasu stała się dla kuzynki dziwnie uprzejmą i powolną.

W tej chwili lokaj dał znać, że węglarka jest już w przedpokoju — Helena wyszła do niej, ciotka stanęła we drzwiach. Dziewczyna postawiwszy kosz z węglami, skłoniła się hrabiance.

— Czy pani kupi węgli? — spytała. —

— Więc to na sprzedaż?
— A tak.
— Ale to za ciężkie na ciebie ?
— A ciężkie proszę pani.
— I czemuż sama dźwigasz?
— Nosila matka, ale teraz chora.
— A ojca to nie masz?
— Jest, ale siedzi w kryminale. — Pani Herminia się wstrząsnęła.
— Każ jej odejść — odezwała się po francuzku do Heleny — to jakaś złodziejka.
— Ale jest biedna i pracuje — odpowiedziała jej Helena — może tylko ojciec zły taki. Trzebaby się przekonać o tem.
— Słusznie Helenko, może dziewczyna kłamie. Helena zwróciła się znowu do węglarki, która patrzyła to na jedną, to na drugą, pragnąc z oczów ich wyczytać, o czem mówiły w niezrozumiałej dla niej mowie, chciała odgadnąć, czy te panie kupią węgle, czy nie kupią.
— A masz co braci, sióstr?

— O, jest tego dość, ale wszystko jeszcze pędraki i chore.
— Gdzież wy mieszkacie?
— Za św. Floryanem. —
Hrabianka namyśliła się chwilę i potem rzekła:
— Przyjdź tu jutro, to nas zaprowadzisz do matki.
— Kiedy my, proszę panienki, nie mamy węgla na składzie — a panienka możeby chciała kupić więcej?
— Nie, nie, chciałabym tylko zobaczyć twoją rodzinę. Przyjdź jutro. —
To rzekłszy, zabierała się do odejścia.
— To panienka węgla nie kupi? — spytała smutno węglarka, zawiedziona w swojej nadziei.
— Węgla ? A prawda — wysyp je u stróża na dole, a tu masz — i wsunęła jej w rękę reńskowy papierek.
Dziewczyna przyglądała się papierkowi, a widząc, że hrabianka odchodzi, rzekła:
— A pieniądze dobrodziejko! —
— Przecież ci dałam.
— To obrazek, a ja chcę pieniędzy, bo ja za obrazek chleba nie dostanę. Ja chcę trzy szóstki,

bo tyle się za węgle należy, nikt dobrodziejce taniej nie sprzeda. —
Hrabianka rozśmiała się smętnie z naiwności dziewczęcia, przemieniła jej reńskiego na szóstaki i poleciła przyjść jutro.
Ciotka Herminia nie widziała w tem zachceniu jej nic przeciwnego swym planom, a ksiądz Aureli zużytkował tę sposobność na rzecz klasztoru.

— Hrabianko — mówił jej tego wieczora — twoja dusza pełna cnót chrześcijańskich, miłosierdzia i dobroci, nie dla świata stworzona, świat to wszystko zepsuć tylko może. Święte niewiasty, dawnych wieków, z takimi zasobami duszy, w klasztorne zacisza uciekały.

— Do klasztoru? — spytała hrabianka — i cóż tam robić? Tam nie ma nieszczęśliwych, którym pomoc nieść można.

— Ale jest Bóg, któremu poświęcić się można.

— Ojczy, mnie uczono w katechizmie, że Bóg jest za każdym miejscu. —

Ksiądz się zmieszał, gołębia niewinność i prostota hrabianki pokonywała wykrety teologiczne.

— Tak moja duszo, Bóg jest — tego ten, wszędzie, ale ten tego pokusy światowe, złości i szkaradzeństwa świata tego, zasłaniają go przed oczami śmiertelników.

— Mój ojczy, czy rzeczywiście świat ten jest taki zły? — spytała hrabianka trochę boleśnie.

— O, świat, to stary zbrodniarz, to wróg duszy, czychający na jej zgubę.

— O, to okropnie — szepnęła hrabianka i zadumała się smutnie, nie słuchając dalszych rozpraw księdza Aurelego o złości tego świata.

Na drugi dzień po mszy, obie z ciotką poszły, prowadzone przez małą węglarkę do mieszkania jej matki. Ciotka skacząc drobną nóżką po nierównych kamieniach, wystających z błota, narzekała, krzywiła się, wzdychała, ale dla kuzynki robiła to straszne poświęcenie.

— Nie, nazad nie podobna tak wracać, trzeba posłać po powóz — rzekła i zawoławszy jakiegoś wyrobnika, wysłała go z tem do pałacu.

Gdy wchodziły do sionki, ciotka chustką zatkała nos.

— Ależ tu okropny zaduch, cóż dopiero będzie dalej; tam wejść niepodobna. Ty mała, każ twojej matce wyjść tu do sieni.

— Chyba ją wyniosę, bo sama się nie ruszy. Helenka nie czekała aż się ciotka namyśli, i weszła sama. Z współlokatorów nie było żadnego, tylko stróż nocny, który spał.

Znamy już wnętrze tego mieszkania. Leona

przeraziła ta nędza, choć żył tak blisko niej, cóż mówić o hrabiance, która pierwszy raz wchodziła do mieszkania nędzarki. Boleść i odrazę uczuła, ale przemogła się i przystąpiła do barłogu (kobiety w takich przypadkach umieją zdobyć się na dziwną siłę), i poczęła rozpytywać się węglarki o zdrowie, o jej położenie. Chora kobieta od dawna nie słyszała takiego głosu litości i dobroci, to też się rozserdeczniła, rozgadała o swoim mężu, o jego niewinnem uwięzieniu, o swojej pierwszej żebraniu, po której znowu choroba położyła ją na barłogu.

— I któż żywił wasze dzieci przez ten czas? — pytała hrabianka, klęcząc przy chorej i słuchając z współczuciem jej opowiadania.

— Chodził tu jeden poczciwy pan, mój Marcin wie jak się nazywa, ja nie pamiętam — i on co mógł to dawał. Ale i on nie bogacz, i on nie mógł nastarczyć. Ostatni raz przyszedł do nas smutny, dzieci zerwały się ku niemu, bo według

zwyczaju zawsze coś im przynosił i mnie zapomogę dawał — ale wnet wróciły na barłóg i pokładły się przy mnie. On patrzył na to i rzekł:

— Moje dzieci, dziś nic nie mam.

— Spojrzałam na niego i widziałam łzy w jego oczach. Och panienko, on nakarmił mnie temi

łzami, tyle w nich było serca. Odtąd nie był, to już dwa dni temu; biedaczysko pewnie sam nie ma co jeść teraz. — Powieść o nieznanym, ubogim dobroczyńcy, mocno zajęła hrabiankę; jakże ona małą była wobec niego, wspomagała biednych, dawała im odrobinę ledwie tego co miała, a ten człowiek oddał wszystko. Miała szacunek wielki dla tego staruszka. Nie wiedzieć czemu starym go sobie wyobrażała. A może i on potrzebny?

— I nie wiecie, jak się nazywa ten człowiek?

— Nie wiem panienko, my go nazywamy: „naszym panem”. —

— A gdzie mieszka?

— Mój Marcin wiedzieć musi, ale ja nie wiem.

— Helenko, na miłość Boską, chodźmy ztąd, bo ja zemdleję, już zajechał — utyskiwała ciotka z progu.

Hrabianka podniosła się, wsunęła chorej kilkanaście reńskich.

— Ależ tu wam źle i ciasno mieszkać — rzekła rozglądając się po izbie. —

— My nauczeni tego panienko.

— Nie, nie — jak trochę przyjdziecie do zdrowia, trzeba się będzie przenieść. Dziś jeszcze

przyślę doktora i jedzenia dla was, a jutro znowu was odwiedzę. Bądźcie zdrowi. —

Chora wyciągnęła chudą rękę i chwyciła nią białą dłoń hrabianki, przytuliła do spiekłych ust i całowała i puścić nie chciała. Inaczej nie umiała dziękować z radości.

— Chodź już — odezwała się znowu po francuzku (francuzkiego języka widocznie się uczyła dla węglarki i jej podobnych) — chodź już Heleno, bo to nudzi — jutro przez lokaja jej co pošlesz, to wygodniej.

— Nie — rzekła hrabianka z silnym postanowieniem — ja sama zajmę się tą kobietą.

— Niech panienka jeszcze nie odchodzi — prosiła chora, nie puszczając ręki.

W sieni słyszeć się dały kroki — pani Herminia ustąpiła się komuś z progu.

— Nasz pan — zawołały dzieci i zerwały się z barłogu.

Helena obejrzała się i krzyknęła przeraźliwie:

— Leon! —

Zapomniała się, chciała się rzucić ku niemu i upadła z silnym łoskotem zemdlona na podłogę. Leon wzruszony poskoczył ku niej, ujął w pól i chciał zanieść na łóżko.

— Precz — rzekła pani Herminia, odtrącając

go i chwytając hrabiankę w swoje objęcia. Skrzyżowali się spojrzeniami. Leon spojrzął na nią z oburzeniem i wzdargą — pani Herminia z urąganiem i tryumfem. Otrzeźwiono hrabiankę, wszedł lokaj i zaniesiono ją do powozu.

Leon upadł na stołek zgnębiony, osłabły. Węglarza rodzina patrzyła zdziwiona na tę całą scenę, nie rozumiejąc jej. To wszystko stało się tak prędko, że nie mogliśmy nawet powiedzieć, iż z Leonem wszedł do izby węglarz, uwolniony za jego staraniem. Ten stał teraz przy barłogu i witał żonę.

— Wysiedziałeś się — rzekła cicho kobieta, patrząc z uczuciem na wynędzniałego męża.

— A wy tu mrzecie z głodu? —

— Nie — rzekła i pokazała mu banknoty.

— A to z kąd?

— Od tej paniątki, co zemdląca. — Twarz węglarza rozpogodziła się, zdjął kapelusz z głowy i westchnął. Z tem westchnieniem uleciała z jego duszy wątpliwość w miłosierdzie Boże. Zbliżył się do Leona, który wciąż siedział nieruchomy z oczami wbitemi w ziemię i pocałował go w rękę.

— Co to? co to? — spytał Leon, zerwawszy się nieprzytomny.

— Niech panu Pan Bóg zapłaci.

— Za co?

— Pamięta pan tę noc na Kazimierzu, kiedyś mnie uratował od złego, i mówiłeś: Marcinie nie rób tego. A ja powiedziałem: kto mi pomoże — a pan powiedział: Bóg. Ja potem nieraz tam w kryminale przeklinał i pana i bluźnił Panu Bogu i zwątpił w opatrność, a przecież ona czuwała nad memi dziećmi. O, jest Bóg nad nami — rzekł ze łzami w oczach węglarz skruszony.

— Teraz ja ci dziękuję Marcinie, żeś mi przypomniał te słowa. Tak, nad wszystkim jest Bóg — rzekł Leon i zamyślił się znowu głęboko.

VIII. HRABIA NA PODDASZU — CZŁOWIEK Z ULICY W SALONIE.

Hrabiankę przywieziono do domu nieprzytomną, stan zdrowia pogorszył się, posiano więc po kilku doktorów — i dopiero po długich staraniach i środkach, zdołano ją ocucić ; ale nie poznawała nikogo, nie przemówiła do nikogo; leżała

z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając. Raz tylko ruszyła wargami i zaszeptala cicho :

— Więc on był w Krakowie. —

Ojciec słyszał te słowa, ale ich nie rozumiał; patrzył w zmienioną twarz córki z wyrazem głębokiego cierpienia.

— O kim ona mówi ? Z czego zasłabła? mów pani — rzekł do ciotki.

Pani Herminia uważała za stosowne powiedzieć teraz hrabiemu wszystko; nie szczędziła ciemnych kolorów na odmalowanie postępowania Leona. Hrabia nie przerwał jej ani jednym słowem, nie okazał żadnego znaku gniewu lub oburzenia, słuchał uważnie. Gdy pani Herminia opowiedziała wszystko, aż do ostatniego spotkania się młodych w izbie węglarza, które to spotkanie umiała przedstawić, jako zręczną kombinację Leona, hrabia wstał zgryziony, zgnębiony — i rzekł półgłosem: podły.

Na drugi dzień zebrała się znowu rada lekarska: pukano, nasłuchiowano, debatowano i nie zgodzono się na nic pewnego; jedni szukali przyczyny choroby w mózgu, drudzy w sercu, byli i tacy, którzy utrzymywali, że to kurcze żołądkowe. Podczas narady, chora cicho wymówiła słowo: Leon.

Po odejściu lekarzy, został jeden z nich, przenikliwe oczy, błyskające pod sklepieniem szerokiego czoła jakimś demonicznym blaskiem, utopił w bladej twarzy chorej — hrabia stojąc za nim, oczekiwał co powie.

— Co to za jeden ten Leon ? — spytał nagle obracając się do hrabiego. —

Hrabia zmieszał się.

— Nie wiem, nie znam takiego człowieka — rzeki z niechęcią.

— W takim razie omyliłem się.

— Jakto? —

— Zdawało mi się, że powód tej słabości w duszy.

— A gdyby tak było — odezwał się hrabia cichym głosem. —

Doktor spojrział na niego przenikliwie.

— Gdyby, pan mówisz? — W takim razie lekarstwa ani lekarze nic nie pomogą. Zaraz to panu wytłumaczę.

Przypuścimy, że jakieś uczucie przykre, jakieś wspomnienie było przyczyną słabości i oddziało na organizm, w takim razie z przyjściem hrabianki do przytomności, skoro władze myślenia funkcyonować zaczną, wtedy ta przykra myśl, podniesiona na organizm, działać pocznie. Będzie to coś podobnego do ciągłych

uderzeń młota w jedno miejsce. Pojąłeś mnie hrabio?

— Aż nadto, po takich ciągłych uderzeniach domyślam się straszego słowa.

— Nie straszę cię hrabio, ale przy słabej kompleksji twej córki o jej życie obawiać się należy. —

W twarzy hrabiego te słowa odzwierciedliły się przerażeniem i nieopisaną boleścią.

— Cóż więc robić? Na Boga radź doktorze!

— Jest jeden, jedyny środek Ale pan nie znasz tego człowieka, którego imię w gorączce wymówiła twoja córka?
— Znam — rzekł hrabia, spuszczać oczy.
— Pan go znasz? — lekarz spojrział na hrabiego i badał go — domyślam się, to pewnie jakiś konkurent, którego pan sobie nie życzyłeś widzieć w swoim domu?
— Podlec, który obalamucił młode, niedoświadczone serce.
— To źle, podły człowiek nie może nam być pomocnym. Tu trzeba z dziwną łagodnością i słodyczą działać uspokajająco na chorą; prawdziwą a cichą miłością goić miłość wzburzoną, rozdrażnioną. A człowiek podły tego nie będzie umiał,

rozogni jeszcze bardziej, rozkrwawi to, co trzeba goić i zużytkuje na swoją korzyść.

— Więc innego ratunku nie ma? — spytał hrabia ponuro, z naciskiem.

— Inaczej córka uwiędnie ci w oczach.

— Spróbuję — jęknął z ciężkością — tu idzie o moje dziecko.

— A jeżeli to zły człowiek?

— Ojciec go będzie prosił o to, może uprosi. Spróbujemy więc, pojutrze przyjdę dowiedzieć się o skutku. Żegnam. — Po odejściu doktora, hrabia długo siedział przy córce, trzymając w nią oczy nieruchomo wlepione. Straszna walka odbywała się w duszy herbownika; miał iść do człowieka bez imienia, człowieka, który z ulicznego błota wygrzebał się do jego salonu, uwiódł mu córkę, i temu człowiekowi miał powiedzieć: chodź, ratuj moje dziecko. To dla niego było okropne, nie mógł spojrzeć prosto w twarz tej myśli, zerwał się i wybiegł do salonu. W salonie kilka portretów starych, wyobrażających kasztelanów i senatorów, patrzyło malowanymi oczami na wachanie się i rozpacz potomka i nadętymi od dumy twarzami radziły mu: „poświęć dziecko, a nie uwłaczaj pamięci naszej”. W duszy jego był rozłam straszny: uczucie ojca

i duma magnacka szarpały się ze sobą o zwyczajstwo; hrabia cierpiał okropnie, rzucił się w krzesło, to znowu się zrywał i chodził po salonie gwałtownym krokiem.

Może nie jednemu dziwną się wyda ta walka, ten rozstrój w hrabi, który nie był wcale dumny, który w obejściu się z Leonem okazywał nawet wiele uprzejmości. To prawda, hrabia był grzecznym przez wrodzoną dobroć serca, uprzejmym z łaski; wiedział dobrze, że zniżając się do miłego obejścia się z ludźmi takimi jak Leon, czynił im łaskę, dobrodziejstwo. Ale teraz on tego człowieka miał prosić o łaskę; człowieka, którego, teraz dowiedziawszy się od ciotki wszystkiego, kazałby bez namysłu za drzwi wyrzucić — tego człowieka miał prosić, tu już nie duma hrabiego, ale duma człowieka cierpiałaby bardzo. Cóż mówić teraz o owej trwodze przed opinią wyższego świata? Hrabia drżał na samą myśl, że się to rozniesie po świecie; zjadliwe uwagi i dowcipy towarzystwa kłóły jego serce, szarpały nerwy. Cóż począć?

Hrabia ociągał się, zdawało mu się, że zwłoką uzdrowi córkę.

— Zaczekam — rzekł do siebie, a dla uspokojenia dodał: — po kilku dniach zobaczymy.

I usiadł, przymknął oczu i zamyślił się; myśl wolno puszczona snuła dalej nadzieje hrabiego — marzenie było tak silne, że go przeniosło o kilka dni naprzód, i zdawało mu się, że córka już przychodzi do zdrowia; hrabia odetchnął, że obeszło się bez przykrej ostateczności, uspokoił się i sen począł powoli rozwalniać członki jego, gdy nagle uczuł na swojej dłoni gorące dotknięcie. Zerwał się jak sparzony i spojrzął.

Helena z rozpuszczonymi włosami, w koszulce, boso, stała przed nim, gorączkowy rumieniec rozpalil jej bladą twarz, oczy świecące wystąpiły z jam na wierzch i przerażająco patrzyły, wargi miała spalone.

— Czy to prawda, że dziś będzie lekcya? — spytała zmienionym głosem.

Hrabia przebudził się z marzeń w bolesny sposób, wziął córkę wpół i usiłował odprowadzić ją do łóżka. Oparła się, zeszywniała jak drzewo w uporze.

— Chodź Helenko, połóż się — prosił ojciec ze łzami, zrozpaczony.

— Nie mogę, doprawdy nie mogę — szeptała nieprzytomna — on wnet przyjdzie, gniewałby się, zmarszczyłby swoją czoło, ot tak... —

I siliła się naśladować zmarszczki i surowy wyraz jego twarzy.

— Ale usiądę sobie — tu tak zimno czegoś — i chwyciła rękawki koszuli, chcąc się w nie jak w szal obwinąć.

Rzeczywiście, wiatr chłodny zawiał przez otwarte okno do salonu — chora zadrżała i skuliła się, kolory gorączkowe gasły na twarzy i zsunęła się w ramiona ojca. Stary zaniósł ją z wysileniem na łóżko i zadzwonił na służbę. Ciotka Herminia wpół już rozebrana weszła spieszenie do pokoju.

— Cóż się stało? — spytała.

— Czuwajcie nad nią, ja iść muszę.

— Po co?

— Po ostatni ratunek dla niej. — Chwycił za kapelusz i wybiegł z pokoju. Ojciec zwyciężył hrabiego.

Są ludzie, którzy nie mogą znieść widoku chorych, którzy patrząc na człowieka rannego lub spazmującego, mdleją lub uciekają. Przypuśćmy teraz, że tacy ludzie zmuszeni wejść do szpitalów publicznych, że im powinność każe w dusznej atmosferze szpitalnej wśród jęczenia chorych, majaczeń i dziwactw gorączkowych, przepędzać dnie i noce, patrzeć na chorych i

umierających, łatwo sobie wyobrazić, co się dzieć musi w duszy takich ludzi: żyją wtedy życiem gorączkowym, ścierpnięci, rozdrażnieni, radziby uciec, a stoją lub idą naprzód z zaciśniętymi zębami, z zamkniętymi oczami, przymuszają się do odwagi, usiłują patrzeć nie myśleć, nie czuć.

W podobnym stanie znajdował się hrabia idący do mieszkania Leona; szedł z odrazą, jakby stąpał po kłębach jadowitych węży, a cofnąć się nie mógł, bo wspomnienie córki pchało go naprzód.

O mieszkaniu Leona dowiedział się raz przypadkiem, podczas rozmowy z nim, a lubo nie pamiętał dokładnie, przecież pytać się nie chciał. Może nawet życzył sobie w duszy, żeby nie trafił, miałby się wtedy za wytłomaczonego przed własnym sumieniem. Ale stało się inaczej, idąc na oślep prawie — trafił.

Leon siedział na łóżku przy stoliku i czytał dzieje rewolucji francuskiej, badał przyczyny i skutki tego wstrząśnienia społecznego, bo mu prędko trzeba było rozwiązać wątpliwość, która jak czarny znak zapytania, wciąż mu stała na oczach, od czasu ostatniej rozmowy z Wasylem. Świeca słabo oświetlała izdebkę; najsilniejsze światło padało na ścianę nad łóżkiem, gdzie

wisiał czarny, żelazny krucyfiks. W izdebce było tak cicho, że słycać było trzepotanie się ćmy nocnej po ścianach i szybach. Gdy hrabia wszedł ten spokój dziwnie podziałał na jego duszę wzburzoną, zdawało mu się, że Leon tym spokojem urągał z jego boleści: to go jeszcze więcej dotknęło. Leon zdziwiony i zaniepokojony wizytą hrabiego i to o tej porze, postąpił naprzeciw niemu. Hrabia nie dotknął podanej ręki, ani spojrział na niego, usiadł bez pytania, jakby u siebie; w twarzy miał surową powagę, trochę lekceważenia i wstrętu. Leon patrzył na niego, czekał i milczał.

— Pan zapewne domyślasz się, dla czego tutaj przyszedłem? — spytał wreszcie hrabia, mierząc Leona oczami.

— Nie — odrzekł Leon krótko, z pewnością i spokojem.

— To dziwna — odezwał się znowu hrabia z ironicznym, przykrym uśmiechem; nagle odrzucił śmiech i zmarszczywszy groźnie czoło, wstał, przystąpił blisko Leona i zapytał surowo:

— Jaki pan miałeś cel, bałamucząc moją córkę? —

Leon poczerwieniał trochę z oburzenia, trochę z pomieszania.

— Powiedz mi pan — ciągnął dalej hrabia — jaki miałeś cel, wiele spodziewałeś się zarobić na tym interesie? Możeś myślał, że uwiedziona dziewczyna odda ci się w ręce wraz z majątkiem, że podepta dla ciebie zacność rodu i wolę ojca?

— Panie — odrzekł Leon, siłąc się na spokój — kto ci o tem mówił, ten kłamał. —

Mówiąc to, miał na myśli ciotkę Herminię.

— Kłamał! — zawołał hrabia oburzony. — Więc moje dziecko skłamało chorobę, skłamało straszne cierpienia.

Sądziś z siebie o drugich, gdy chcesz wmówić w ojca, że córka konając oszukuje go. —

Leon usiadł na łóżku, głowę wsparł na poręczu i szeptał nieprzytomny:

— Boże, Boże, co się ze mną dzieje.

— I czy wiesz, co ją rzuciło na śmiertelne łóżko? — mówił dalej hrabia drżący cały, rozgniony — kto zabójcą mojego jedyne go dziecka, jedynej pociechy? — Czy pan obrachowałeś oprócz swoich korzyści, wszystkie okropne następstwa, gdyś uwodził słodkimi słowami moją córkę, gdyś jej krzywoprzysięgał miłość?

— Panie — rzekł Leon uroczyście, z godnością — ja jej tego nigdy nie powiedziałem.

— A któż jej mówił za ciebie? — spytał hrabia z ironią.

— Nie szydź pan — odrzekł Leon łagodnie — to uwłacza twojej boleści.

— Więc jej nie kochałeś nigdy? — spytał znowu hrabia, chwytając się tych wyrazów, jak jedynej deski ratunku.

Leon milczał.

— Cofasz twoje słowa?

— Mówiłem, że nigdy pani Helenie nie mówiłem o tem.

— Kto mnie przekona o tem?

— Panie, krzywdzisz mnie strasznie, boleść ojca tylko wytłumaczy tę obelgę —

Słowa te powiedział Leon z tak bolesnym naciskiem, a zarazem z taką godnością, że hrabia zastanowił się, spojrział na mówiącego z większym uszanowaniem, jakby mu chciał uwierzyć, ale wahanie znać było w nim jeszcze.

— Czy przysięgłbyś pan na to? — spytał.

— Dziwny pan jesteś — rzekł Leon z litośnym uśmiechem — nie wierzysz słowom, a chcesz wierzyć przysiędze, wszak i to słowa. Kto umie kłamać, ten może i krzywoprzysięgać. —

Hrabia nie spodziewał się takich słów od człowieka, którego przyszedł potępiać, w twarzy

jego nie widział pomieszania i niepewności, ale spokój i godność, wobec której czuł się upokorzonym.

— Więc wierzę panu — rzekł — ale zarazem spodziewam się po zacności pana, że nie będziesz chciał zużytkować na swoją korzyść tego, o co teraz prosić cię będę. Córka moja zachorowała wskutek tej nieszczęśliwej miłości; doktorzy utrzymują, że jedynie ten, który wzbudził to uczucie, może uzdrowić ją swoją obecnością. —

Tu hrabia przerwał, nie wiedząc jak powiedzieć to, co chciał powiedzieć — Leon czekał w milczeniu.

— Ale obecność pana — ciągnął hrabia — może, uzdrawiając córkę, zabić ojca.

— Więc czegoż pan chcesz? —

— Pan się nie domyślasz? Chciałbym, byś uzdrawiając dziecko moje swoją obecnością, powoli przygotowywał ją do tego, że wam się rozłączyć trzeba, że ty jej nie kochasz.

— Czy pan jesteś pewny, że miłość jest powodem choroby?

— Lekarze mnie zapewniają. —

— A innego ratunku nie ma? — spytał Leon ciężko, ponuro.

— Nie ma. —

— Jutro rano przyjdę — rzekł Leon z rezygnacją.
— Nie pożałujesz pan tego — rzekł hrabia — ja będę umiał być wdzięcznym. Jesteś biednym, dopomogę, wysłę za granicę..
— Jak się pan umiesz pastwić — rzekł Leon z goryczą, przerywając hrabiemu.
— Nie rozumiem pana — rzekł hrabia zdziwiony.
— To źle, że mnie, że nas nie rozumiecie. Wy tylko pieniędzmi płacić umiecie.
— Jeżeli obraziłem, to.....
— Nie obraziłeś mnie pan, ale dotknąłeś mocno.
— Do widzenia — rzekł, chcąc skończyć przykrą rozmowę. Hrabia zrozumiał, że mu dłużej zostać nie wypadało, wyszedł więc, ale wyszedł wcale inszy, niż przyszedł, bo upokorzony nieco i zawstydzony. Milionowy hrabia czuł, że w tej chwili biedny student łaskę mu wyświadczył, że pokazał się szlachetniejszym od niego; zrzekał się dobrowolnie i bez namysłu wszystkich korzyści, jakie mógł ciągnąć z miłości hrabianki i nie żądał nic i nie chciał przyjąć nic. Hrabia poczynął dziwić się i szanować tego człowieka, choć

z drugiej strony duma i wspaniałomyślność jego czuły się dotknięte, pokonane.
Na drugi dzień Leon jak obiecał stawił się w pałacu; hrabia przywitał go w sali, wziął za rękę i w milczeniu poprowadził do pokoju córki. — Chora jeszcze spała, gorączkowy rumieniec zasłaniał niszczące ślady choroby i czynił ją cudownie piękną. Leon patrzył na nią zachwycony, drżąc, wstrzymując dech — straszna błądź jego twarzy czyniła go podobnym do zapatrzonego posągu. Hrabia z pod brwi uważnie śledził wyraz jego twarzy. — Patrz pan — rzekł hrabia — tak jest od trzech dni, nic nie je, nikogo nie poznaje, nic nie mówi, czasami powtarza twoje imię, jak kanarek piosnkę, której go nauczono. —
Tu dotknął się lekko ustami jej rozumionego czoła i rzekł cicho: Helenko.
— Może przebudzenie zaszkodzi.
— O nie, taki sen ją tylko niszczy, ona teraz podwójnie usnęła. Helenko! —
Drgnęła, ale się nie przebudziła.
— Helenko — powtórzył ojciec — pan Leon przyszedł.
— Leon — powtórzyła chora i otworzywszy oczy popatrzyła w koło siebie, ale nikogo nie poznawała. — Leon? przyszedł?

— Tak jest pani, to ja — odezwał się Leon głosem drżącym ale silnym.

Chora znowu drgnęła, w członkach jej i w muskularach twarzy począł się ruch taki, jaki widzimy u ludzi budzących się ze snu magnetycznego, zamrożona dusza odtajała pod promieniami tych słów, Helena najprzód westchnęła ciężko, potem przecierała oczy, nareszcie spojrzała. Zobaczywszy Leona, zdziwiła się i zażenowała (ojca nie spostrzegła, bo ten stał w głowach łóżka, oparty o poręcz) spojrzała w około jakby przypominając sobie:

— Co to jest? gdzie ja jestem? — spytała się, pociągając koldrę pod szyję i rzucając na około pytające spojrzenia.

— Pani byłaś trochę słabą — rzekł Leon łagodnie, przypominając jej.

— Ja? zaraz . . . zaraz — zatrzymała oczy nieruchomo na suficie — a prawda, teraz sobie przypominam, przed chwilą byłam tam — w izbie węglarza i zrobiło mi się słabo. I pan przyszedłeś tu za mną — dodała słodko patrząc na niego — jaki pan jesteś dobry panie Leonie, a ja pana posądziłam o brak serca. Omyliłam się, prawda?

— Leon nie wiedział co odpowiedzieć: hrabia i Helena mieli w niego utkwione oczy, czekając

co powie. Ogień i lód czuł na swojej twarzy, a w sercu męczarnie straszne. W obec tej, co umierała z miłości dla niego miał być zimnym i nieczułym jak kamień — o to go prosił hrabia, tak mu nakazywało sumienie.

— To było moim obowiązkiem — rzekł nie patrząc na nią.

— Obowiązkiem — powtórzyła chora cierpko, boleśnie i zacisnęła usta. Teraz dopiero, gdy gorączkowy rumieniec zszedł z jej twarzy, Leon zobaczył z przerażeniem sine cienie zapadniętych policzków, których ponurość potęgowała w tej chwili wyraz moralnego cierpienia.

— A jednak — mówiła dalej Helena jakby do siebie — węglarka inaczej mi o panu mówiła. Trzeba widać być bardzo, bardzo nieszczęśliwym, aby można zyskać prawo do twojej litości, panie Leonie. Ja nie mam łachmanów, nie umieram z głodu, ale jestem także nieszczęśliwa. —

Łzy zaszkliły jej szafirowe oczy, gdy to mówiła. Leon zmuszony był nie rozumieć i zmienił rozmowę:

— Czy pani czuje się teraz lepiej?

— O, znacznie lepiej, choć jestem mocno osłabiona, tak mi powieki ciężą, tak mi senno. —

Chciała podnieść ręce do oczów i przetrzeć

je i odpędzić sen, ale ręka spadła na poduszkę — chora znowu usypiała.

Leon wstał — łoskot poruszonego krzeselka obudził ją, rozstwarła z wyteżeniem powieki.

— Pan już odchodzi?

— Przyjdę jutro znowu.

— O dobrze, dobrze, ja będę... nie dokończyła i z uśmiechem radości usnęła.

Hrabia odprowadził Leona do drzwi salonu i tam żegnając go, ścisnął za rękę mówiąc:

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję. Jutro oczekuję pana. —

Leon nic nie odpowiedział, był spokojny, zimny i milczący — hrabia używał go jako lekarstwa dla córki, to też nie chciał być niczem więcej w jego oczach.

Tego dnia węglarz Marcin widział Leona w kościele panny Maryi modlącego się przed ołtarzem Jezusa ukrzyżowanego.

Na drugi dzień hrabianka Zatorska niespokojnie oczekiwała przybycia Leona mimo to, że zmęczone ciało potrzebowało spokoju i odpoczynku; ta myśl dodawała jej siły i krzepiła ją. — Kazała się przyczesać i włożyć atlasowy biały kaftanik.

Drzwi się otworzyły, zamiast spodziewanego Leona wszedł hrabia.

— No, jakże ci dzisiaj Helenko? — spytał całując ją w czoło.

— Tu mi już lepiej — rzekła pokazując na głowę — już nie boli tak, tylko tak osłabłam, że czuję jak trudno byłoby mi podnieść się.

— To też jakiś czas będziesz musiała zostać w łóżku.

— Ale ... tu zawahała się i pytająco spojrzała w oczy ojcu.

— Cóż kochanko ? —

— Czy on

— Przyjdzie, przyjdzie.

— Ty pozwalasz ojczu? O, jakiś ty dobry! — i wyciągnęła do niego rękę — o, ty go będziesz także musiał kochać, gdy go poznasz, tyś go znał tak mało. Ja nie mogę sobie pomyśleć życia, szczęścia bez niego, bo mi wtedy wszystko tak wydaje się ciemnym, próżnym. —

Hrabia ścierpnął od tych słów, bo kochał córkę, a widział niepodobieństwo zgodzenia się na jej marzenia. Jak się to wszystko skończy nie wiedział, ale to wiedział, że nie może się tak skończyć jak myślała jego córka.

— Ale ojczu — zagadnęła Helena — powiedz mi dla czego on tak nagle nasz dom porzucił ? —

Hrabiego zastanowiło to pytanie. Prawda, pomyślał sobie — jeżeli Leon rzeczywiście miał zamiar korzystać z przychylności Heleny, dla czego tak nagle przestał dawać lekcje — ta zagadka wydała mu się dość zawiłą.

— O, on musiał mieć powód, ważny powód — mówiła Helena jakby do siebie — on nic nie robi bez powodu. Jaka to szlachetna dusza! Czy wiesz ojczu, że on taki biedny, był dobroczyńcą jednej rodziny i przestał nim być dopiero wtedy, gdy jemu samemu zabrakło chleba. I to wszystko tak skromnie i cicho spełnia, nikt o tem nie wie, a kto wie ile tam takich dobrych uczynków w ukryciu przed światem czyni! To zupełnie inaczej jak ksiądz Aureli. . . Ale ... ach byłabym zapomniała, mój ojczu poślej zapomogę rodzinie węglarza; mieszkają w małym domku za św. Floryanem, przed domem studnia, on nazywa się Marcin. —

— Dobrze dziecko moje, zrobię jak chcesz. W drugim pokoju słyszeć się dały kroki, twarz Heleny ożywiła się, zarumieniła lekko, serce zaczęło bić pośpiesznie. I tą razą przeczucie zawiodło — zamiast Leona wszedł ów doktor w zło

tych okularach. Badał stan chorej, wypytywał o szczegóły, a potem odszedł z hrabią do osobnego pokoju. —

— No i jakże znajdujesz ją doktorze?

— Wcale nie źle, wprawdzie jeszcze gorączki jest trochę i osłabienie organizmu mocne, ale to ustąpi z czasem. I odkądże tak polepszyło się chorej?

— Od wczoraj rana. Użyłem środka ratunku, jaki mi radziłeś doktorze.

— I nie zawiódł pana.

— To prawda, a jednak zdaje mi się, że i bez użycia tego środka wróciłaby może do przytomności i zdrowia. —

Młodość uzdrowiłaby ją.

— Nie przeczę — rzekł lekarz — owszem nawet pewny jestem tego; ale zważ pan, że córka pańska wróciwszy do przytomności, przypominając sobie ciągle wieczne rozłączenie z tym człowiekiem, do którego przyłgnęła — nie mogłaby znaleźć potrzebnego spokoju do odzyskania zupełnego zdrowia. Ciągła tęsknota, która zdrowych osłabia, chorego zabić może. To by ją niszczyło, trawiło — suchoty byłyby koniecznym następstwem. — Zresztą, jeżeli panu idzie o eksperyment, możemy spróbować — dodał doktor zimno, aż hrabięgo mróz przeszedł.

— Ale doktorze, jeżeli obecność ciągła tego człowieka spotęguje jeszcze miłość?

— To już doktora nie obchodzi panie hrabio. Nie wchodzę w rachuby twoje, idzie mi tylko o zdrowie pacjentki. —

Na tem skończyła się narada hrabięgo z doktorem — rozeszli się. Gdy hrabia wrócił do pokoju córki zastał już tam Leona. Po rozmowie z doktorem widok tego człowieka był mu niemiłym, drażnił go i irytował. Był kwaśny i nie w humorze; za to Helena anielską dobrocią i uprzejmością nagradzała niegrzeczne trochę obejście się ojca z Leonem. Przez cały czas nie oderwała od jego twarzy szafirowych oczów, a spojrzenie ich było tak pełne miłości, że Leon musiał patrzeć w ziemię, by nie paść na kolana z podziękowaniami. — Gdy miał odchodzić, hrabia jak wczoraj odprowadził go do salonu, tak samo jak wczoraj wziął go za rękę, tylko był sztywniejszy i bardziej ponury.

— Dziękuję panu, że byłeś łaskaw trudzić się dla ocalenia mego dziecka, ale zdaje mi się, że teraz już jest tak dobrze, iż dalszą rekonwalescencyę możemy powierzyć jej młodym siłom.

Hrabia uczuł, że gdy to mówił ręką, Leona drgnęła mocno w jego rękę.

— Żegnam więc — rzekł Leon niewyraźnie i wyszedł, a hrabia długo jeszcze stał przy drzwiach i w głębokim zamyśleniu patrzył na mosiężną klamkę, wreszcie szepnął:

— Ha, nie może być inaczej — i wrócił do córki.

Następne dwa dni przeszły dość spokojnie. Helena pewną była, że Leonowi jakiś nadzwyczajny przypadek przeszkodził przyjść, nie przypuszczała, że całkiem nie przyjdzie; była więc dość wesołą i spokojną, hrabia był kontent, że się operacją udało. — Ale trzeciego dnia, gdy rano ojciec wszedł do niej i podług zwyczaju chciał złożyć pocałunek na jej czole, zatrzymała go i patrząc mu w oczy trwożliwie spytała:

— Ojczy, co się stało z Leonem? — Hrabia się zmieształ przed wzrokiem i zapytaniem i odpowiedział wachająco:

— Nie wiem.

— O nie, ty wiesz coś na Boga, ojczy mów, co się z nim stało — prosiła składając ręce, a twarz jej to bladła to płonęła naprzemiennie.

— Ależ nic mu, jak cię kocham. — A czemu nie przyszedł?

— Może nie ma czasu, może nie chce — ja nie wiem. —

Helena trzymała wciąż oczy utkwione nieruchomo, sztywnie w jego twarzy; z jego pomięszania, wachania się, wątpliwych odpowiedzi, z przypomnień wczorajszego obejścia się z Leonem, domyśliła się wszystkiego.

— Taj nie wiesz — jęknęła boleśnie i opuściła głowę na poduszki, załamała rozpacznie ręce, aż zatrzęszczały stawy palców i splecione ręce zarzuciła po nad głowę jak sklepienie. To była jedyna jej skarga, jedyny wyrzut — odtąd nie pytała o nic, nie narzekała, a jednak z twarzy jej widno było, że cierpi. Zapadała w jakiś rodzaj apaty, z której ani łzy ojca, ani jego pieśczoły wyrwać ją nie zdołały; tęsknota trawiła ją i niszczyła; codzien była wątleszą, codzien twarz jej głębsze cienie rzeźbiły. Hrabia gryzł się i martwił; przywiązanie rodzicielskie przykuwało go do łóżka córki, a wyrzuty sumienia jak Erynie odpychały go; nie mógł patrzeć na męczarnie, których sam był sprawcą, nie wiedział co począć i trapiiony ciężkimi zgryzotami chodził jak widmo po pałacu. I znowu wracał do pokoju córki niespokojny o nią, stawał przy łóżku i godzinami wpatrywał się w jej twarz bledziutką, na jej oczy zapadłe, utkwione nieruchomo w suficie.

— Co ci jest dziecko moje? — spytał raz ze Izami. —

Chora nie ruszając głowy, zwróciła oczy na niego.

— Mnie? — spytała zmienionym głosem — mnie nic nie jest. —

Głos był suchy, bezdźwięczny, nie dusza go wydała, ale usta same.

— Ty cierpisz? —

— Nie — odrzekła i skrzywiła się boleśnie, cierpko, jak ten co gorycz w ustach uczuje, kilka nitek zmarszczek rozbiegło się w poprzek czoła od środka brwi.

Hrabia zakrył twarz rękami i szlochał, rozpacz go brała, że nie mógł z bladych ust chorej dobyć serdeczniejszego wyznania; skarga, wyrzut byłyby mu znośniejsze nad to milczenie; a lubo był przekonany, że nieobecność Leona tak zgubnie wpłynęła na zdrowie córki, jednak chciał to z jej ust usłyszeć, bo chciał uwierzyć, że może się myli.

— Heleno i nic więcej nie powiesz twemu ojcu?

— Mnie nic — odrzekła znowu tym samym głosem.

— Ty chcesz, żeby Leon wrócił — prawda, co?

Helena uśmiechnęła się gorzko, jak człowiek co wątpi.

— O, ona go musi zobaczyć — rzekł do siebie hrabia i wyszedł z pokoju. Drżącą od wzruszenia ręką napisał jakiś bilecik, zadzwonił i kazał lokajowi odnieść go do mieszkania Leona. Sam nie miał już czoła iść powtórnie prosić tego człowieka, z którym się tak obszedł przed kilku dniami.

W pół godziny potem Leon stawiał się w pałacu: hrabia nie spodziewał się takiego pośpiechu, dla tego z prawdziwą radością wyszedł naprzeciw wchodzącemu i wyciągając do niego rękę rzekł: — Dziękuję panu, bardzo dziękuję. — Leon nie przyjął podanej ręki, usunął się i rzekł z godnością, a bez nadętości:

— Nie masz pan za co dziękować, nie dla pana tutaj wróciłem. —

Hrabia w milczeniu zniósł obrazę i poprowadził go do pokoju córki.

Tym razem Helena tak była osłabioną, że nie miała siły okazać swej radości z przybycia Leona; uśmiechnęła się tylko do niego, a uśmiech potęgował bolesny wyraz jej twarzy.

Widzieliście może kiedy promień słoneczny co przez uchylone kiry wsunie się do ciemnego pokoju i spocznie na twarzy trupa? Podobne

wrażenie robił ten uśmiech. Leon nie mógł patrzeć bez wzruszenia na ten zwiędły kwiat, odwrócił się ku oknu i otarł łzy rękawem. Chora wyciągnęła ku niemu wychudłą rączkę i trzymała dłoń jego przez cały czas, a gdy miał odchodzić uścisnęła go lekko. Na więcej zdobyć się nie mogła. Tak było przez kilka dni; powoli jednak obecność Leona, pomoc lekarska, a wreszcie i młodość wpłynęły korzystnie na zdrowie Heleny i choć bardzo powoli, ale przychodziła do sił, stawała się mowniejszą.

— Ojczy — rzekła raz po odejściu Leona — ale ty mu nie będziesz już więcej zabraniał przychodzić?

— Nie, mój aniołku. —

Wzięła jego rękę, podniosła do ust i pocałowała serdecznie.

Od tego dnia we dwa tygodnie czuły, się tak dobrze, że mogła już wstać z łóżka i ubrać się. Ale w miarę jak hrabianka przychodziła do sił i zdrowia, Leon stawał się coraz chłodniejszy, obojętniejszy. Był dla niej dziwnie łagodny i delikatny, ale nigdy serdeczny, szczery. I w jego uśmiechu i w wesołości była połowiczność, brak swobody jak u ptaka, co ma związane skrzydła i kamień u nogi. My, którzy znamy Leona, wiemy, że to była obojętność udana, że z pod tą

zimną skorupą spokoju wrzały wszystkie męki i rozpacz miłości tłumionej, że dawał dowód wielkiego hartu duszy i panowania nad sobą, nie zdradziwszy się ani jednym słowem, nie zgiąwszy się anielską dobrocią i miłością hrabianki. Ale ona nie dorozumiała się tego, widziała tylko człowieka, który nie chciał zrozumieć jej uczuć, choć mógł je wyczytać z jej twarzy, z jej słów; i to ją martwiło. Bywały jednak chwile, w których jej się zdawało, że oczy Leona patrzyły na nią rzewniej i czulej niż zwykle i były wymowniejsze od jego ust; przypomiała sobie wtedy jego zachowanie się w czasie, gdy była bardzo słabą i poczynała znowu marzyć, spodziewać się, dopóki marzenia i nadzieje nie rozbiły się o posagową postać Leona.

— Boże, Boże, czemu ja zdołam pozyskać sobie serce tego człowieka — mówiła raz ze łzami po jego odejściu. Ale co dziwniejsza że chłodne obejście Leona nawet hrabiego poczęło zastanawiać i boleć. Wprawdzie on sam wymagał tego od Leona, a jednak duma rodzicielska czuła się po trochu dotkniętą tą obojętnością względem córki, która z całą siłą pierwszego uczucia przyłgnęła do tego człowieka. Obojętność wydawała mu się lekce

ważeniem i miał to za złe Leonowi. A znowu z drugiej strony ciągłe obcowanie z nim, rozmowy, odsłoniły przed oczami hrabiego jego szlachetność i głęboką wiedzę; z każdym dniem hrabia coraz więcej go szanował, a nawet przyłgnął do niego. Po czcnych i jałowych rozmowach w salonie, z przyjemnością szedł do pokoju córki rozgrzać duszę przy jej sercu i przy jego rozumie. Nie raz dziwić się musiał z kąd człowiek taki młody jak Leon, mógł nabrać tak zdrowego i głębokiego poglądu na świat, na stosunki społeczne, tyle nowych pomysłów o przemianie stosunków. Nieraz odchodząc od Heleny, wstępował Leon do hrabiego i do późnej nocy z nim rozmawiał. Rozmowa toczyła się zwykle o najważniejszych kwestjach; hrabia bronił starego porządku, Leon rozwijał teorie i pojęcia nowe, postępowe i umiał przekonywać hrabiego. I nie dziw, każdego człowieka prawego i sumiennego, który samolubstwa nie zasłania maską idei, a pragnie prawdy, zasady takie zwyciężyć muszą. Nie są to bowiem żadne nowe teorie, żadne wymysły ludzkie, ale stara odwieczna prawda, którą Bóg zapisał w sercu ludzkim; a gdy złość i namiętność ludzka ten napis zatarła, Chrystus przyszedł i przypomniał ją ludziom. Czegóż chciała rewo

lucya francuska? Co zrobiła? Zburzyła stary porządek, a raczej stary nieład średniowieczny. To, czego reformacja dokonała na polu religijnym, to rewolucja zrobiła w stosunkach społecznych. Zniesienie poddaństwa, przywilejów, zaszczytów bez zasługi, ogółem wszystkich skarlłowaciałości i zbrodni, jakie w średnich wiekach potworzyła przemoc — a przywrócenie praw człowieka i nadanie mu wolności, zrównoważenie pracy i nagrody — to były główne zdobycze rewolucji. Musiała potrzebę ich wcielenia uczuć cała ludzkość, kiedy tak zatrzęsa Europą: a lubo bigotyzm i despotyzm na chwilę przydusiły te wzburzone fale, armjami zatamowały ruch, jednak go zniszczyć nie mogły; każdy dziesiątek lat nowe daje zwycięstwa Chrystusowej idei, a stary porządek i stara polityka pęka i rozłazi się jak suknia na cieple dorastającego. Prawda jest, że chwila powtórnych narodzin tych idei w ludzkości była straszną, krwawą, bo była rewolucja; ale czyż dla tego mamy je sami odpychać, gdy w nich jest pierwiastek zapładniający i dający w późniejszym czasie owoce? Idee, które wrzały pod skorupą starego porządku, jak podziemne wulkany, które dojrzewały świadome sobie w duszach pojedynczych myślicieli, a nieświadomie

w całej ludzkości — rozsadzić musiały z czasem skorupę. Wybuch był strasznym, zdawał się być ojcem samych płomieni i gruzów: a jednak ten wybuch wydał na słońce prawa Boże, postawił je wśród świata jako sztandar, pod którym stanęły ludy do spokojniejszej już, a jednak ciągłej, uporczywej walki z resztkami starego porządku. W ten sposób tłumaczył Leon hrabiemu tęsknotę młodego pokolenia do nowych rzeczy.

— Czy pan myślisz — mówił jednego razu — że ten ruch naprzód idzie z ich woli? Usiłowania ich rozbiłyby się o skamieniałe przesady i zastarzałe grzechy starego porządku, gdyby w ich dążeniach nie było woli Bożej. Ona nie przynosi nic nowego, ale wypowiada jasno to, co bezwiednie drzemie w duszach wszystkich.

— Więc plunąć na przeszłość i odwrócić się od niej z pogardą?

— Nie. Uszanować to co było, ale nie tęsknić, bo tęsknota osłabia ducha i czyni go niezdatnym do czynu — a my długo siedzieli wraz z wieszczami naszymi na grobie jak płaczki, zamiast pracować na obecne dobro, stworzyć młodą Polskę.

— Więc stwarzanie tej nowej Polski zaczynacie od tego, że odsuwacie od udziału w pracy ludzi, których przodkowie zasłużyli się i stwo

rzyli wam tę starą Polskę, którą tak pogardliwym okiem mierzycie; lećcie naprzód sami, roznamiętnieni, odsuwając radę starszych?

— Żleś się pan wyraził; nie odsuwamy, ale wy sami się odsuwacie. Mówicie: Kochamy przyszłość i chcemy jej. A jakąż drogą idziecie do tego? — Oto odsunęliście się od narodu i zamknęli w ciasnych kółkach kastowości — z starych cnót nie zostało w was nic, jak duma i zbutwiała religijność, w którą sami nie wierzycie. Czyż to mają być fundamenta przeszłości, do której tęsknicie? Pokażcie mi, coście przez tyle lat zrobili, aby odbudować to, co padło waszą swawolą i złością?

— Pan myślisz o walce? —

— Nie, ja myślę o pracy. Gdzież pokażesz mi pan jej ślady, po czym was poznać, że wy pierwsi w narodzie? Ojcowie wasi przodkowali mu w bojach, w senacie — a wy w czym? Dziś wyrobnik, szewc więcej zasługuje się krajowi, niż magnaci, butwiejący w dumie po miastach. —

Hrabia spuścił oczy przed pałającym wzrokiem mówiącego i rzekł:

— Inne były czasy.

— A więc pan przyznaje, że dziś są inne; to też i inne mają potrzeby, idee, a wy zaprzeczycy

liście temu, zostaliście w tyle i wołacie żeście pierwsi. I oburza was, że młodzież zaczyna się krzątać koło pracy, gdy wy usnęli.

— Ależ na miłość Boską, panie Leonie, cóż robić? Mówicie wciąż o tej pracy, a pokazać jej nie umiecie. Książę S. i hrabia P. i inni wzięli się do pracy, do fabryk; okrzyczeliście ich za spekulantów.

— Bo wzięli się do pracy nie dla dobra kraju, ale dla własnych zysków, dla zrobienia majątku.

— Więc to grzechem?

— Grzechem jak każda praca, która sobie zakresła czysto materialne cele; ale grzech ten przez połowę byłby mniejszym, gdyby swoich spekulacyi nie kładli na karb zasługi. Od was, co macie tradycyjne dobroczynności i wspaniałomyślności, czego innego naród żąda. Żąda pomocy. Pojedyncze jałmużny nie zapobiegają ubóstwu, owszem, mnożą proletaryat — do was, co macie większe fundusze do rozporządzenia, należy stanowczo zaradzić złemu. Nie dość zakładać szpitale i ochrony — potrzeba jeszcze pomyśleć o zaradzeniu nędzy kryjącej się w zaułkach przedmieść, nie śmiejącej wyciągnąć ręki po jałmużnę, nie chcącej porzucać swoich kryjówek nędzy dla sal, w których jako dziady wygodne mają po

mieszkanie. Takim ludziom dać sposób zarobkowania, wyrwać ich z lichwiarskich rąk żydów, którzy jak pijawki ssają resztę ich mierna — byłoby wielkiem dobrodziejstwem, a na to żaden z was zdobyć się nie chce. A wiecie czemu? Bo nie myślicie nad tem, bo zadaniem waszego życia jest zabawa, z której wam nudy, a narodowi nic. Bardzo mało znam pańskie życie, ale nie zazdroszczę, bo takie życie bez zajęcia wydaje mi się okropnem. O, wieleżby to życie nabrało uroku i różnaitości, gdybyś pan ukochał taką jedną myśl, poświęcił jej część majątku i duszy, stałbyś się prawdziwym dobroczyńcą. Bank miłosierdzia nie odpowiada w zupełności potrzebom proletaryatu; jak pięknie by to było, gdybyś pan dopełnił myśli Skargi. Po takich czynach poznanoby was, że przodujecie narodowi. — Daruj mi pan, że ci to mówię, młodość moja nie usprawiedliwia mnie do tego, ale mamże milczeć, gdy jaśniej widzę wasze drogi, niż wy sami? Ubóstwo postawiło mnie bliżej tych, których los od was zależy — dla tego mówię. —

Hrabia uściśnął Leona za rękę. Tego wieczora długo widać było światło w pokoju hrabiego; hrabia siedział w krześle zamyślony i patrzył w pałacą się świecę. Może myślał nad tem, co mu

plebeusz mówił dzisiaj. — To pewna, że od czasu zetknięcia się z Leonem, hrabia innymi oczami zaczął patrzeć na świat i na ludzi. Mierzył wszystkich ich zasługą, pracą i cnotą — i wiele rzeczy co były dotąd wielkimi, skarłały w jego oczach, a małe się podniosły i stanęły na wyżynie.

Hrabia zaczął myśleć: myślenie poprowadziło go w zakrętny ścieżki stosunków ludzkich, zaczął się im przyglądać z bliska; zdziwił się, że tyle rzeczy zakrytych było dotąd przed jego oczami. Patrzył dotąd na ludzkość, jak się patrzy z daleka na góry — teraz wszedł w nią i zobaczył rozpadliny, wąwozy, doliny, potoki — i to, co z daleka wydawało się oczom jego jako wygodna ścieżka, prowadząca w górę, pokazało się rozpadliną, nasypną gruzami. Hrabia, jak geometra, zaczął plantować gościniec postępu, po tych nierównościach i urwiskach stosunków społecznych; jakieś pomysły zaczęły krystalizować się w jego duszy, to go orzeźwiło, wlało w niego nowe życie — hrabia zaczął być młodym.

Ubliżalibyśmy mu, gdybyśmy powiedzieli, że Leon zrobił go takim; hrabia miał to w sobie, jak zarzucone skarby, czytywał nieraz wiele w tym przedmiocie, ale nie wziął tego do serca, nie myślał o tem. Leon potrafił słowami te stojące wody

i wprawił je w ruch. Hrabia rozumiał to dobrze — wiedział, że młody człowiek cząstkę swego ducha, swego młodego zapału wlał w niego. To go bardziej jeszcze przyciągnęło do Leona; zaczął się nim zajmować, rozpytywał się znajomych o jego stosunki i znajomości, i zdziwił się: że człowiek, który mówił mu o poświęceniu się dla ogółu, sam był biednym; że ciężko pracował na utrzymanie swoje, a jednak odepchnął pomoc hrabiego, dumą pełną godności zasłonił się przed jego łaskami, a pokazał mu innych biednych i powiedział: dla tych czyn dobrze. — To było szlachetnie, hrabia rozumiał się na tem, bo sam był szlachetny i Leon urósł ogromnie w jego oczach.

A jednak, gdy pomyślał o córce, o jej miłości dla tego człowieka, przykre uczucie owładło go, bo serce jego zbyt jeszcze nurzało się w starych przesądach, jak stary mebel w pajęczynie i kurzu — rozum i myśl jego wyrwały się już z tej płataniny, serce lgnęło do przeszłości, bo serce zarówno przyłgnie do błędu jak do cnoty, i ukochać może zarówno fałsz jak prawdę — i jedno i drugie miało w historii swoich apostołów i męczenników.

Taki był stan duszy hrabiego, zmienić poło

żenie nie było w jego mocy, dogodnego wyjścia i zakończenia szczęśliwego nie widział; zamknął więc oczy, nie patrzył w przyszłość, w której ciemnościach nic wyczytać nie mógł, i żył obecnością, chwilą.

Ale tak dłużej zostać nie mogło, jak nie może kula zatrzymać się w połowie gładkiej pochyłości. — W którymś z poprzednich rozdziałów porównaliśmy miłość do rośliny; miłość więc jak roślina albo się rozwijać, albo więdnąć musi, zatrzymać się trudno, wrócić wstecz niepodobna. O, co by dał niejeden za to, żeby mógł wrócić do onych rokosznych chwil, kiedy miłość nie zstąpiła jeszcze na usta, ale się błąkała po tęskniących, nieśmiałych spojrzeniach kochanków; kiedy przypadkowe dotknięcie koronki jej sukni rokoszniejsze sprawiło drżenie, niż potem uścisk jej ręki; kiedy batystową chusteczkę, co upadła mimo jej wiedzy na ziemię, przyciskało się do ust i do piersi. Drugi raz takie czary nie powtórzą się w dziejach jednej miłości; siła ciężkości ciągnie człowieka na dół z tych błękitów, rozdziera mgły, za którymi dotąd niejasno majaczyła kraina miłości, i wstępuje na nią, a choć to raj miłości, przecież ten raj już na ziemi i serce pragnie usłyszeć słowo: Kocham.

Taką drogą przeszło serce Heleny — potem jego obecność dawała jej zupełne szczęście, dziś pragnęła więcej, chciała wiedzieć: czy Leon ją kocha? — Nieraz brała w ręce kwiatek lub gałązkę mirtu i pytała obskubanych listeczków o tajemnicę jego serca: czy kocha, czy lubi, czy szanuje, albo może nie chce i nie dba. A gdy listeczki coraz to inne, bałamutne dawały jej odpowiedzi, porzucała je rozdasana, smutna, i z twarzy Leona chciała wyczytać to, czego jej kwiatki powiedzieć nie umiały. I twarz jego dawała różne odpowiedzi; czasami, gdy z zamyślenia nagle podniosła główkę i rzuciła na niego oczami, widziała w tej twarzy jakieś wzruszenie, jakieś uczucie, które jej serce w rokoszne wprawiało drżenie; ale wnet to wzruszenie stygło, twarz wracała do spokojnej powagi i wzrok posepniał, i już ani serdeczne, rzewne jej spojrzenia nie mogły zmienić, roztopić tej lodowatej powagi jego słów i ruchów, jak nie może gorące, tropikowe słońce roztopić śniegów Chimborassa.

— Czy wiesz pan, panie Leonie, że mnie chcą namówić do klasztoru? —

Leon posepniał.

— Nie wiedziałem o tem.

— I jakże pan mi radzisz?

— Tu wola decyduje.

— Ale rada nią pokierować może, a ja polegałabym na pańskiej radzie.

— Klasztor jest schronieniem ludzi złamanym losem, zmęczonym cierpieniami.

— Więc to jedyny powód, dla którego mi pan nie radzisz iść do klasztoru? — spytała hrabianka drżącym głosem, pod którym łzy czuć było. —

Spuściła główkę smutnie i milczała. Leon patrzył na nią z współczuciem i boleścią, ale pocieszać nie umiał, nie mógł, nie powinien był.

— Panie Leonie — odezwała się znowu Helena, nie patrząc mu w oczy — czy znasz arabską legendę o brzoskwini, której dwie połowy Bóg rzucił w świat, i źle im i tęskno im — i tak będzie wiecznie, jeżeli się nie zjedną razem. To musi być okropna taka męka szukania przez całe życie tęsknoty wiecznej, nie uspokojonej nigdy.

— Ja znam gorszą mękę.

— Pan? —

Leona pytanie hrabianki otrzeźwiło, uczył, że się zapomniał, więc umilknął.

— O mów pan, mów pan — prosiła Helena — ja tak lubię słuchać pana mówiącego, a od

jakiegoś czasu jesteś pan bardzo oszczędny w słowach. No proszę, bardzo proszę. — Coś pan chciał mówić?

— Nic pani, powiedziałem coś na wiatr, jak się często mówi.

— Mogłabym się obrazić o te słowa, gdybym wierzyła w ich prawdę, ale pan tego bez myśli nie powiedział. Jaką pan znasz mękę, gorszą od wiecznego błakania się dusz szukających się po świecie, by złożyć całość? — Co? — Proszę pana przez tę odrobinę przychylności, jaką pan może ma do mnie, powiedz mi pan?

— Powiem — szepnął Leon z rezygnacją bolesną. — Widziałas pani kiedy dwie gwiazdy, stanowiące tylne koła wozu niebieskiego? Pomyśl pani, że te gwiazdy miliony mil dzieli, że one miliony lat patrzą na siebie i za miliony lat może nie zbliżą się do siebie.

— Ach, wyszukałeś pan porównanie, od którego mącą się myśli w głowie — rzekła hrabianka zasłaniając oczy dłońmi — strach bierze patrzeć na tę tęsknotę i rozdział bez końca. Więc nigdy?

— Chyba wtedy, gdy Bóg nogą złamie wóz i postrąca gwiazdy; lecąc w otchłań ciemną, może spotkają się z sobą.

— Ludzi taka tęsknota strawiłaby prędko. Prawda? —

Leon nie odpowiadał.

— Panie Leonie, jakie myśli prowadziły pana do tego porównania? — Czy pan znasz taką tęsknotę? —

W tej chwili wszedł hrabia. Leon odetchnął, bo czuł się w tej chwili tak słabym, tak rozrzuwionym, że nie umiałby może nie odpowiedzieć na pytanie Heleny, a kłamać nie chciał. — Pobył jeszcze chwilkę, był roztargniony, pomieszany; żegnając się z Heleną nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy.

Ten dzień przekonał go, że i on ma chwile słabości, zapomnienia, że czar słów i spojrzeń hrabianki silniejszym bywa czasem, niż jego dusza, zahartowana w szkole nieszczęść i przykrych doświadczeń. Ciągłe silenie się na chłód, na obojętność, męczyło go moralnie i fizycznie; widział że tak dłużej zostać nie może, że z każdym dniem bardziej przywiewywał się do Heleny; że z każdym dniem rozstanie się będzie okropniejszem, że hart jego woli słabnie. A tu widmo słowa danego hrabiemu stało przed nim i groziło i odpychało od niego nawet nadzieję nadziei. Bądź co bądź, postanowił raz skończyć to, przerwać sam

tę nić, o której przerwanie co chwila drżał i bał się. Jednego więc dnia, gdy się żegnał z Heleną, odchodząc, poprosił hrabiego z sobą do salonu.

— Czy jestem jeszcze potrzebny? — spytał. Hrabia tak niespodziewanie zagadnięty, nie wiedział co powiedzieć.

— Jakto? Pan byś nas chciał porzucić?

— Córka pana już zdrowa. —

Głos Leona w tej chwili był jak głos dzwonu rozbitego, co z Zwierzenieckiej wieży modli się za utopionych.

Hrabia zafrasował się.

— Zostaw mi pan przynajmniej kilka dni czasu — rzekł — muszę Helenę do tego przygotować.

— Dobrze. —

Hrabia podał mu rękę i serdecznie uściśnął.

Po jego odejściu popadł w zadumanie. Słowa Leona zmuszały go do stanowczej decyzji, której się zawsze obawiał, którą odkładał z dnia na dzień.

Człowiek młody zrobił mu z całą delikatnością, a zarazem powagą tę uwagę, że tak dłużej zostać nie może — hrabia tego się nie spodziewał. Jemu się zdawało, że Leon zwyciężony, porwany miłością jego córki, upadnie mu którego

dnia do nóg z wyznaniem. On wtedy możeby się oburzył, możeby się dał ubłagać, możeby kładł jakie warunki — sam jeszcze nie wiedział jakby zrobił w takiej chwili, ale tego się nie spodziewał. Tymczasem ów człowiek nie prosił o nic, nie żądał niczego; przyczynił się do uzdrowienia jego córki, wytrzymał z dziwną obojętnością wszystkie pokusy miłości i chce odchodzić bez żalu, bez żądań, nieugięty. Hrabia w tem postępowaniu widział wielką szlachetność; cenił w Leonie to zaparcie się siebie, odepchnięcie wszelkich korzyści, jakie mu się same nasuwały; ale obok tego radby był wiedzieć, czy ten człowiek szlachetny ma serce. Zadumane myśli hrabiego szły bezładnie po jego głowie, płynęły jak kwiaty i chwasty porzucane w pianę mętnej rzeki, aż uderzyły o słowo: cóż więc zrobić? — i stanęły.

— Cóż robić? — pytał hrabia siebie po tysiąc razy.

— A gdyby..... pomyślał i nie dokończył,

brał tę myśl i odrzucał od siebie.

Z tem słówkiem „gdyby” jakaś myśl nowa jakieś niezwykle postanowienie weszło w niego i tłukło się w nim. Może to słowo miało stanowić o szczęściu jego córki, może miało jak miecz uderzyć w jej serce. Hrabia podniósł zmęczone

oczy na ściany pokoju, spotkał się z wejrzeniem zczerniałych portretów i znowu je spuścił. Wrok jego padał na pierścień, na którym był ryty znak herbowy, hrabia zmarszczył brwi, zdjął pierścień z palca i rzucił między papiery na biurko. Wstał i chodził po sali, był zmieniony i drżący trochę, ruchy jego były nerwowe, konwulsyjne. Była to ważna chwila w jego życiu, w tej chwili rozstrzygała się w jego duszy walka starego i nowego porządku; dla szczęścia jedynaczki miał zrobić postanowienie, które miało go jak przepaść oddzielić od dawnych jego zasad i wyobrażeń. To, co rewolucja francuzka krwawo długimi latami niszczyła i zniszczyć nie mogła w ludzkości, on miał teraz zniszczyć w sobie. Czuł całą zbutwiałość i zgniłość tego, czego żałował, co miał zniszczyć, a słabość przywiązywała go do tego. Nie dziwmy się hrabiemu — nie jeden z nas długo wahał się zburzyć stary dworek rodziców, choć spruchniał i walił się na naszą głowę. Niejednemu brakło odwagi wyciąć uschnięte drzewo, co tyle lat ocieniało go. Takie uderzenie zawsze kosztuje nas wiele, i łoskot jego odbija się w naszym sercu. Hrabiego straszyla ta chwila,

jak ostrze gilotyny; nie mógł się odważyć być katem.

Długie chwile przeszły, a hrabia nie zdobył się jeszcze na żadne postanowienie; wreszcie zebrał się i poszedł do pokoju córki. Helena była bardzo wesoła, straszny kontrast jego myśli; siedziała nad krosnami uśmiechnięta i nuciła pocichu jakąś piosnkę. Zobaczywszy ojca, wstała i pobięła naprzeciw niemu. Wzięła go za rękę i poprowadziła ku oknu.

— Patrz ojcze, jaką niespodziankę robię dla pana Leona — i pokazała mu naciągniętą na krosnach robotę z jedwabiu.'

Robotą była niedawno zaczęta, miała wyobrazić białego orła, wydobywającego się z wysileniem z trumny. — A co Ojczaszku, będzie to ładne, spodoba mu się?

— Ale to nieprędko skończysz. — — Na jego imieniny.

— To jeszcze dość daleko. A jeżeli on wyjedzie lub coś podobnego?—

Helena w jednej chwili zmieniła się na twarzy, spojrzała na ojca trwożliwie, z przestraszeniem, i ledwie mogła dobyć z siebie ciche zapytanie.

— Jako? —

— No, jeżeli przestanie bywać?

— Ojcze, com ja ci zawiniła, że mnie tak dręczysz! — zawołała Helena z bolesnym wyrzutem i zaniósła się od płaczu.

— Więc ty go kochasz? — spytał hrabia smutnie, ale z współczuciem.

— O kocham, kocham — mówiła i rzuciła mu się do nóg, całując.

— A jeżeli on cię nie kocha? — Wstrząsnęła się.

— Boże, to by było okropnie — szepnęła i ukryła twarz w dłoniach.

— Uspokój się moje dziecko, dla twojego szczęścia gotów jestem zrobić to, czego nie przypuszczałem nigdy, że zrobię. —

Uściskał ją i pocałował w czoło i wyszedł. Walka duszy rozstrzegła się.

Na drugi dzień lokaj otwierając Leonowi bramę pałacu, poprosił go do kancelaryi hrabiego. Hrabia czekał na niego w krześle zadumany, poważny — wchodzącego powitał skinieniem ręki i wskazał mu krzesło. Obaj milczeli, hrabia namyślał się od czego zacząć.

— Panie Leonie — odezwał się po chwili — powiedz mi szczerze, bez ogródek, czy ty kochasz moją córkę?

— Dla czego pan stawiasz mi to pytanie ? — rzekł Leon zmienionym głosem.

— Bom sobie nie umiał na nie odpowiedzieć. Twoje postępowanie z nią było takie . . .

— Wszak sobie tego pan życzyłeś.

— Tak, to prawda, i jeżeli tylko to uczyniło cię takim, jeżeli spokój i chłód był udanym, wymuszonym, wtedy musiałbym się korzyć przed wielkością twego poświęcenia. Ale jeżeli ci to przyszło z łatwością, jeżeli ty jej nie kochasz, wtedy...

— Cóż wtedy?

— Wtedy moje dziecko będzie bardzo nieszczęśliwe.

— A jeżeli ją kocham —• to nas dwoje będzie nieszczęśliwych. —

Hrabiego twarz rozjaśniła się. Wstał i wziął za rękę Leona.

— Więc ty ją kochasz? kochałeś i milczałeś? zacnym jesteś panie Leonie. Twoja dusza to najpiękniejszy herb, jaki znałem kiedy. Córka moja będzie szczęśliwą. —

Helena była świadkiem tej sceny. Po dzwonieniu poznała, że Leon przyjść musiał, oczekiwała go niecierpliwie, a gdy się nie pokazał, zaniepokojona poszła do pokoju ojca; zobaczywszy

Leona, stanęła we drzwiach i słyszała jego wyznanie. Po słowach ojca rzuciła się ku niemu. —

— O będzie, będzie szczęśliwą! — zawołała, całując jego ręce.

Leon nie dziękował — stał nieporuszony. Hrabia chciał błogosławić, Leon wstrzymał jego rękę; Helena spojrzała przerażona.

— Jeszcze słowo — odezwał się Leon. — Pamiętasz pan, gdy wszedłszy do mego mieszkania mówiłeś: „Możesz myślał, że uwiedziona dziewczyna odda ci się w ręce wraz z majątkiem, że dla ciebie podepta zacność rodu.”

— Me znałem cię wtedy — nie przypominaj mi tej przykrej chwili. —

— I pytałeś się pan znowu — ciągnął dalej Leon — wiele spodziewałem się zarobić na tym interesie. Osądź więc sam, czybym nie utwierdzał cię w owym podejrzeniu, przyjmując teraz wszystko?— Zostaw mi pan tę odrobinę godności człowieczej i nie chciej mnie upokarzać. — Domyślałem się, z jakim trudem zdobyłeś się pan na to postanowienie, umiem cenić tę ofiarę z przesądu, ale jej przyjąć nie mogę.

Leon mówił z wysileniem, każde słowo kosztowało go, bo niem zabijał swoje szczęście; to

też zmęczył się i umilkł. Wśród ciszy słyhać było płacz Heleny, tulącej się do ojca.

— Ojcie — prosiła — odbierz mi wszystko, pozwól mi być ubogą, może mnie nie odepchnie wtedy. —
Te słowa nacechowane silnem uczuciem złamały Leona; ukłękł przed hrabianką i szepnął z uwielbieniem:

— O moja święta!

— A to co? — krzyknęła we drzwiach ciotka Herminia, wchodząc.

— Narzeczeni — rzekł hrabia z siłą i powagą.

— Ha, ha, ha — rozśmiała się szalonym, szatańskim śmiechem — była w nim złość, wściekłość, szyderstwo i zawiść.

IX. ELEGANT — ZBRODNIARZ.

W pokoju, w którym bezład i nieporządek mieszał się z elegancją, leżał Edmund, syn barona P., palił cygaro i od czasu do czasu zaglą

dał w książkę, którą trzymał w ręku. Widzieliśmy go już u Emila, wtedy modne ubranie ujmowało mu trochę szkarady; teraz w negliżu wydawał się potwornym, obrzydliwym — ta twarz chuda, koścista, bez brwi i zarostu, oczy małe, ruchliwe i fałszywe, długa szyja, rude włosy — wszystko to na tle brudnej poduszki wyglądało jak kościotrup, szyderczo uśmiechnięty.

Przy drzwiach stał żyd i obracał w rękach kapelusz zatłuszczony, poprawiał krymki na głowie i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— No, jakże będzie wielmożny panie? — Niby z czem?

— Niech wielmożny pan nie żartuje, tu żartów nie ma — reńskich, to nie bagatela.

— Więc cóż?

— No, jakto cóż? — Czy wielmożny pan odda? —

— Nie.

— Czemu nie ?

— Bo nie mam.

— Co mnie do tego? —

Edmund nie słuchał go, obojętnie podniósł książkę i czytał. Była to jakaś lichota francuzka, któremi księgarze karmią czytelników. Wśród nudnych frazesów, nienaturalnych awantur, Ed

mund musiał znaleźć ciekawsze miejsce, bo się uśmiechnął i zamyślił.

— A to doskonale — mruknął do siebie — zamaskowani synowie, skąpy ojciec, wyjmujący dla nich pieniądze z kufereków i drżący z obawy przed papierowymi sztyletami — a to wyborne. Mała rzecz maska, noc — i okazali tem tyle, ile prośbami dokazać nie byłiby nigdy w stanie. Hm, maska. —

Przymknął książkę, położył głowę na poduszce i wpatrzywszy się w sufit, zamyślił się.

— Ny, długo ja tu tak stać będę, wielmożny panie? —

— Jak ci się nudzi, to idź do djabła.

— Jakto do djabła, a moje pieniądze?

— Przyjdiesz po nie inną razą.

— Chodzę po nie od pół roku. —

— Więc czekaj — i znowu wziął się do czytania.

Żyd powstał chwilę, pomyślał i znowu się odezwał:

— No, niech wielmożny pan nie żartuje, bo ja mam weksle.

— Chcesz mnie wsadzić do kozy, widocznie chcesz mnie mieć na utrzymaniu, bo ojciec pewnie nie zapłaci.

— Aj waj, a bo ja go nie znam? Ja poszedł do niego i powiedział mu: jaśnie wielmożny panie baron, pański syn mnie winien reńskich, jak ja moich pieniędzy nie odbiorę, to pańskiego syna podam do gazetów.—

Edmund zbladł, jakby mu kto brudnej kredy na twarz nasypał, ale strach pokrył śmiechem, co wiecznie krążył, jak zły duch, koło jego sinych, wąskich warg.

— No, i cóż stary? Wypchnął cię za drzwi?

— Co miał wypchać? on mi powiedział: jak go ogłosisz w gazetach, to ci jeszcze połowę kosztów zwrócę, bo i mnie idzie o to, zęby jemu nikt nie pożyczał.

— Ha, ha, ha, a to zadrwił z ciebie — no, to ci już pewnie odeszła chęćka umieszczenia mnie w gazetach?

— Dla czego miała odejść?

— Jakto, ty śmiałyś? — spytał Edmund, zerwawszy się niespokojnie.

Żyd zauważył ten ruch, i był z niego zadowolniony.

— Dla czego mam nie śmieć? mnie tu już jeden akademik napisał, jak to podać. Będzie wstyd dla jaśnie wielmożnego pana.....

— Ależ Jankiel ty tego nie zrobisz — mówił

Edmund, zmieniając ton i obejście — prawda?

Siadajno tu bliżej mnie, masz, zapal sobie cygaro.

Żyd pogłaskał brodę, usiadł i zapalił cygaro.

— Proszę cię, i cóż na tem zyskasz, robiąc mi wstyd? — Nic, bo ja teraz nic nie mam, nawet na moje potrzeby mi brak.
— Tak co mnie do tego ?
— Poczekaj jeszcze z pół roku, stary co dzień słabszy, może kiwnie.
— I cóż mnie z tego że kiwnie, kiedy pierwej się, ożeni i majątek zapisze tej młodziutkiej panience, co się tak zakochała w jego pieniądzech.
— Jakto, ty wiesz o tem ?
— My wszystko wiemy, nam to do interesu potrzebne. —
Rzeczywiście żyd dobrze wiedział — panna Zofia zgodziła się iść za zgrzybiałego starca; nadzieja milionów i prędkiego wdowieństwa skłoniła ją do tej sprzedaży swych wdzięków na pastwę starego lubieżnika, zwłaszcza, gdy się przekonała, że książę Adolf wcale o niej nie myśli. Chciała ukarać go za obojętność; myślą sięgała naprzód, gdy jako milionowa wdówka będzie mogła drożyć się ze swoją ręką i odpłacić się mu wzajemnie. To była istotna przyczyna, że poszła za radą

księstwa, ale przed ludźmi, a nawet sama przed sobą egzaltowana panna grała komedię rozpacz, konieczności. Uważała się za nieszczęśliwą heroinę — sierotę, którą wola opiekunów pcha do przymuszonych więzów, że ją powłoką do ołtarza jak ofiarę. Były chwile, w których, powtarzając sobie podobne zdania, zanosila się od płaczu; płacz ten jednak szedł z głowy a nie z serca, dumiała smutnie, płakała, ale nie cierpiała. Znałem panny, które zanosily się od płaczu nad czułym romansem, a z suchem okiem siedziały u łóżka konającej babki swojej; u takich istot myślenie a nie czucie działa na nerwy, i urojone cierpienia większą zadają im boleść, niż rzeczywiste; takie istoty są dziwnie eteryczne i poetyczne w słowach, ale często bardzo prozaiczne i praktyczne w życiu. Taką była Zosia. Oddanie ręki baronowi aż nadto znamionowało tę praktyczność sentymentalnej panny, a jednak tę nagą, brzydką praktyczność sama przed sobą osłaniała w poetyczne łachmany patetycznych frazesów, i co dziwniejsza, sama sobie wierzyła. Zaręczyny się odbyły, wyznaczono już dzień ślubu: baron większą połowę majątku zapisywał przyszłej żonie. Ta wiadomość pomyliła rachunki Edmunda, przemazała wiele cyfer. Z początku

usiłował obudzić w Zofii sympatyę dla siebie, udawał rozkochanego, chciał odciągnąć Zofię od ojca, a w starcu wzbudzić zazdrość; ale gdy mu się to nie udało, gdy spostrzegł, że Zofia woli majątek człowieka, co jej długo już nie będzie zawadzało, niż takiego, co ma wszelkie warunki długiego życia — zmienił postępowanie i począł przemyśliwać nad innymi sposobami pozbycia się przyszłej macochy, a raczej przyszłej współspadkobierczynie. Znając charakter Edmunda, możemy przypuszczać, że nie było środka, którego by się nie chwycił: sumienie dawało mu pozwolenie na najgorsze. — Miał jednak jeszcze czas, ślub miał się odbyć w styczniu następnego roku; ale niemniej potrzeba pieniędzy czuć się dawała, czego najlepszym dowodem obecność Jankiela. Ogłoszenie w gazetach, podziało na dość wytarte jego czoło; bał się śmiechu opinii, dla tego zafrasował się na prawdę.
— Cóż więc robić, Jankiel ? radź przecie, ty byłeś zawsze taki genialny w pomysłach.
— Ny, wiem ja co robić? Ja robię swoje. —

Edmund znowu otworzył książkę od niechcenia. Nagle trójkątne oczy jego zaświeciły się jakąś wesołą myślą, usta rozciągnęły się do śmiechu;

od nosa ku ustom duże zmarszczki wyrzeźbiły się w twarzy.

— Czekaj Jankiel, mam myśl jedną, jeżeli mi się uda, to za parę dni dług zapłacę.

— No, niech wielmożny pan da tymczasem coś procentu.

— Zkądże ci durniu wezmę, kiedy sam goły.

— No, choć co z starych rzeczy. — Edmund wyjął dwie sztuki ubrania, które leżały pomięte w szafeczce przy łóżku, i rzucił żydowi, aby go się pozbyć.

Po jego odejściu wstał, i niezupełnie ubrany usiadł przy komodzie, otworzył szufladę i przerzucał rupiecie, które ją zapełniały. Były tam rękawiczki, stare krawatki, wstążeczki, różne kosmetyki toaletowe, peruki z maskarady, wąsy, lornetki i różne drobiazgi. Edmund coś szukał między temi drobiazgami, niektóre odkładał na stolik, a inne rzucał napowrót do szuflady. Wśród tej roboty, oczy jego zwężone miały w sobie coś przerażającego i chytrego, coś z wyrazu trucicielów.

Tego dnia, wieczorem stary baron stroił się przed zwierciadłem na wieczór do księcia Irene

usza, gdzie go czekało słodkie spojrzenie młodej narzeczonej.

Stary lubieżnik uśmiechał się do siebie, oglądał się od stóp do głowy i był zadowolony.

— A co Mateuszu, odmłodniałem, prawda? — Stary, wychudły a długi lokaj, z krótko przyciętymi wąsami, długą szyją, krótko ostrzyżoną głową i odstającymi uszami, stojący za nim — uśmiechnął się na te słowa, jak automat, i rzekł:

— Odmłodniał wielmożny pan. —

— Przejdź mi po świeże rękawiczki — rzekł baron, dobywając z pugilaresu pieniędzy — tylko się targuj. —

Służący wyszedł — baron usiadł przed zwierciadłem. Nie wiedzieć czemu przeląkł się, gdy w zwierciadle, na ciemnym tle pokoju, zobaczył swoją twarz, oświetloną od świec, stojących na stoliku obok lustra. Jakieś przykre, trwożne uczucie go owładnęło, samotność przestraszała go, choć nie wierzył w strachy, w nieśmiertelność, w Boga. — Zimny dreszcz go przeszedł, odwrócił się od zwierciadła, bał się drugi raz zobaczyć twarz swoją; w pokoju wydawało mu się za ciemno, i cienie, jakie meble rzucały na posadzkę, nieprzyjemne mu były. Wstał więc, zapalił jeszcze parę świec, otulił się w płaszcz czarny akxa

mitny i usiadł w krześle. Uspokoił się nieco, zamyślił się i wśród myśli zdrzemnął się.

Nagle obudził go ze snu łoskot otwieranych drzwi; był pewny że Mateusz, wyciągnął więc rękę po rękawiczki i otworzył oczy — spojrzał, wstrząsnął się cały.

Przed nim stał jakiś obcy człowiek, ruchy jego niespokojne, wzrok trwożliwy, zdradzały złe zamiary, zielone okulary, czarne brwi i gęsty zarost zasłaniały resztę twarzy i czyniły go straszny. Baron zerwał się na nogi.

— Co to? co to?

— List do pana barona od księcia Ireneusza. To barona uspokoilo nieco, wziął list i poszedł ku świecy. Oderwał pieczętkę, na której nie było żadnego znaku, rozwinął kartkę pomiętą i i przeczytał te słowa:

„Jestem potrzebujący, rozpacz zrobiła mnie zbrodniarzem — jeżeli nie dostanę natychmiast reńskich, będę zmuszony cię zabić.”

Równocześnie, gdy czytał baron tę kartkę, usłyszał zgrzyt klucza w zamku, odwrócił się, zobaczył czarną lufę pistoletu, wymierzoną przeciw sobie. Zbrodniarz stał spokojny, pewny pomyselnego skutku.

Tu stała się rzecz niespodziewana; zawiędy

i bezsilny starzec, skąpiec, w tej chwili trwogi o swoje pieniądze i o swoje życie zdobył się na szaloną, rozpaczną odwagę i siłę; w jednej chwili skoczył jak pantera na napastnika, chwycił za gardło i wytrącił mu z rąk pistolet.

Zbrodniarz nie spodziewał się tego, schwycony tak nagle, stracił równowagę i upadł — starzec trzymał jego gardło w kościstych swych rękach i dusił, napastnik nie krzyczał, tylko wił się, wypręzał ręce i nogi, i usiłował wydostać się na wierzch. Twarz odwracał od światła w ciemną stronę pokoju; stary baron chciał wołać o pomoc, ale głos zasechł mu w gardle, walka więc odbywała się bez hałasu: w pokoju słychać było łoskot ciał szamoczących się po podłodze i ciche, syczące charczenia. Wśród pasowania się, nieznajomemu spadły okulary i przyprawna broda, baron chwycił go za włosy — zbrodniarz przypadkowo, wśród pasowania zwrócił twarz w stronę światła.

— Edm reszty słów już nie mógł dokończyć starzec, krew uderzyła mu na mózg; puścił zbrodniarza i stoczył się z niego sztywny na ziemię. Okropność zbrodni synowskiej go zabiła.

Edmund podniósł się z ziemi poszarpany, zakurzony, odrapany — spojrzał na ojca charczącego, wyraz jego twarzy był okropny. Spieszny

ratunek mógł jeszcze może ocalić barona; Edmund się nie spieszył, jemu chodziło teraz o to, by zatrzeć ślad swego postępu — poprawił więc na sobie ubranie, schował do kieszeni pistolet, wąsy i perukę i rozglądał się po pokoju, czy nie zostawił jeszcze czego, coby go zdradzić mogło. Nie było już nic, tylko ciało ojca z twarzą podobną do stygnącego

żelaza. Edmund poprawił i na nim ubranie, ręce mu dygotały, wargi drżały konwulsyjnie, a twarz miał przerażająco bladą. Na schodach słyszeć się dał stępn. Edmund się zerwał, poskoczył do drzwi, odemknął je cicho i z krzykiem wybiegł do sieni.

— Co się stało? — spytał wracający Mateusz. —

Edmund nie miał bezczelności spojrzeć słudze w oczy.

— Idź Mateuszu, ratuj, mój ojciec zachorował, spieszę po doktora. —

I wybiegł, a raczej uciekł. Mateusz wszedł do pokoju z białymi rękawiczkami, uklęknął i dotknął się ciała, było już zziębłe, popatrzył na twarz trupa i zamyślił się — podejrzenie poczęło mu się jakieś nasuwać. — W ręce zaciśniętej coś się zabieliło — służący rozwarł skośniałe palce

i wyjął garść rudych włosów i kartkę — na kartce było napisane:

„Jestem potrzebujący, rozpacz zrobiła mnie zbrodniarzem — jeżeli nie dostanę natychmiast reńskich, będę zmuszony cię zabić.”

Na drugi dzień wiadomość o nagłej śmierci barona, szybko rozeszła się po mieście; najboleśniej uczyła ją Zofia, którą zawczesna śmierć narzeczonego pozbawiała pół miliona; równocześnie dowiedziała się od Maryni o niebezpiecznej chorobie brata. Emil bowiem wyjechał był na czas jakiś do Jana; stęsknił za stronami, które mu lepszą przeszłość przypominały, nieznośnie mu było w pałacu, gdzie co dzień chłodniejsze i bardziej skwaszone widział twarze — postanowił więc przed zimą jeszcze odwiedzić dom rodzinny i grób matki. Drugiego tygodnia po przybyciu tamże, gdy raz wieczorem siedzieli z Janem przy kominku i bawili się gawędką, wszedł służący i przyniósł listy z poczty. Jeden był do Emila od Zosi. Zosia donosiła mu o swoich zaręczynach z baronem; w końcu listu był dopisek:

„Ale, ale, zapomniałabym ci być donieść to, o czym cały świat wyższy teraz z indygnacją mówi; wyobraź sobie, że ten twój znajomy, któregoś czasem przywoził do nas na wakacje, ten

Leon, nazwiska nie pamiętam — zostaje mężem hrabianki Zatorskiej. Wszyscy są zgorszeni.”

Emilowi zakreśliło się w głowie, wzrok zdziczał i zeszytniał, znać było w nich, że usiłował coś myśleć.

— Co panu jest, panie Emilu? — zawołał Jan przerażony.

— Podły, podły — rzekł zmienionym głosem, chwycił się za czoło i upadł. Jan pochwycił go upadającego, trząśniętym nim silnie, zawołał służących, trzeźwiono wodą, octem, tarto szczotkami, puszczone krew — wszystko było na próżno; dopiero po dwóch godzinach chory dał znak życia. Tymczasem nadjechał doktor; po zbadaniu chorego zdecydował, że to był silny atak na mózg, że choremu potrzebny jest jak największy spokój i spoczynek, że przez kilka tygodni z łóżka nie powinien się ruszyć. Pocziwy Jan otaczał go takim staraniem, na jakie ledwie matka zdobyć by się mogła: bezsenne noce trawił przy jego łóżku, dopóki niebezpieczeństwo nie minęło. Na jego żądanie napisał do sióstr, uwiadamiając je o chorobie i wzywając je. Marynia po odebraniu listu natychmiast wybrała się w drogę; Zosia, lubo obawiała się przykrego spotkania z Janem i bytności w jego domu, jednak dotknięta śmiercią

barona, która tak zmieniła jej położenie, postanowiła także z nią wyjechać. Gdy już miały siadać na bryczkę, młody książę Adolf przybiegł pożegnać się z nimi. Patrzył na Marynię wzrokiem, w którym się malował nieudany, głęboki smutek.

— Co ja tu będę robił bez kuzynki? — szepnął cicho, podając jej rękę.

— Pracuj pan dla kraju, dla ludzi; to piękne zadanie, dotąd bawiłeś się tylko. —

Spojrzeniem pełnym dobroci i prośby poparła swoje słowa, uściśniła jego rękę i odjechała.

X. . LISTOPAD.

O jakiej pracy mówiła Marynia? To pytanie stało wciąż przed oczami księcia Adolfa; wiedział że z tej piersi kobiecej, zamkniętej jak furty klasztorne, rzadko kiedy wychodzi słowo, ale to, które wyjdzie, nie wyjdzie bez celu. O jakiejże więc pracy mówiła? „Dotąd ba

wiłeś się tylko.” — Czuł, że zasłużył na ten wyrzut. Człowieka z takim sercem i z tak namiętą duszą nie mogło zadawać życie salonowe, pełne form, frazesów, a w istocie ciche i bez celu; ale musiał tak żyć, bo nie widział innej drogi, żył więc z dnia na dzień krępowany, w ciasnej atmosferze kasty. To życie jego było trochę podobne do życia konia arabskiego w cyrku. Miłość ku Maryni ożywiła go, przerwała jednostajność. Kto wie, jakie były pierwsze symptomata i pobudki tej miłości? Może dziś książę Adolf, nie śmiałyby ich przed sobą samym powtórzyć; były to szumowiny jego uczuć, któremi rzucił na czystą dziewicę: spłynęły z niej jak woda z białych pierzy łabędzia, nie dotknęły, nie skalały — ona pierwsza nauczyła go uszanować kobietę, dobywał więc z duszy coraz czystszych, coraz głębszych uczuć i kładł jej na ofiarę. Czy przyjęła tę ofiarę? On sam nie wiedział, nie mógł z niej dobyć żadnego słowa, coby utwierdziło jego nadzieje. Nieraz wybuchał gwałtownie, robił jej sceny — ona przetrzymała tę burzę z dziwnym spokojem i anielską dobrocią, a kiedy on znowu błagał i prosił — ona pytała:

— I czegoż pan chcesz ode mnie?

— Miłości. —

— I takimi szalonemi wybuchami dobijasz się o to? — pytała z bolesnym uśmiechem.

— Maryniu, ty będziesz moja, ty musisz być moja — prosił, czołgając się za nią na kolanach.

— Niczyją. —

To była zawsze ostatnia jej odpowiedź, co go do rozpaczki przywodziła. A jednak on czuł, że ona nie jest bez serca, że mu sprzyja; domyślał się, że Marynia widząc niepodobieństwo ich związku, przeczuwając zakaz jego rodziców, sili się na obojętność i to stawiało ją wyżej jeszcze w jego oczach; podziwiał siłę duszy tej kobiety i korzył się przed nią. Ona rządziła nim, jak pokonywacz zwierząt ruchami tygrysa: jej słowa i spojrzenia kładły cugle na jego dziką duszę, cenili wagę tych słów.

To też i teraz, gdy oddalenie i tęsknota uczyniły mu ją droższą, i słowa, które mu zostawiła odjeżdżając, nabrały ceny; począł myśleć nad nimi, rozważać je i pytać siebie: o jakiej pracy dla kraju myślała Marynia? Życie beczynne poczęło mu ciężać, nudzić go; wziął więc do ręki historię, kroniki, wczytywał się w dzieje przodków swoich, i ożyły w piersiach jego wielkie chwile przeszłości. Przypomniało mu się, że kiedy był młodym chłopięciem, jakiś człowiek, jego nauczyciel

ciel mówił mu wiele o tej przeszłości; że on wtedy słuchając drżał i płakał, że go wtedy ogarniało uczucie dumy i nieopisanego smutku; że nieraz wieszał się na szyi tego człowieka i pytał go i prosił, czy te czasy wrócą, a on mu odpowiadał: to od was zależy. Teraz to wszystko ożyło w nim na nowo, słowa tego człowieka i słowa Maryni miały jakieś pokrewieństwo ze sobą, obojgu był wdzięczny. Gdzież ten człowiek się podział? Co się z nim stało? Twarz jego zatarła się w pamięci Adolfa, przypomniał sobie tylko, że miał białą twarz, czarne, duże oczy, i mówiono mu: Zygmunt. Kiedy odszedł, przyjęto mu za nauczyciela Francuza, który nigdy nie mówił mu o rodzinnych dziejach. Wiedział, że jest księciem, że z matki i z ojca liczy długi poczet karmazynów, że to byli ludzie pierwsi w kraju; ale czem pierwsi, co zrobili, o tem mu nie mówiono. — On sam teraz odkopywał w księgach ich pamięć, przyglądał się zbrojom, co nieraz przez całe życie ugniatały ich barki; widział żywot ich pełen trudu, bitew i zasługi, dwory ich przepelnione ubogą szlachtą, która żyła i dorabiała się ich hojnością; widział kobiety dzielące czas między kościoł i pracę klasztorną, świętą ciszę w ich mieszkaniach, sejmikowy gwar i szczepek

szabel w życiu publicznym. I zrobiło mu się tęskno za przeszłością i zdziwiło go, dla czego ojciec jego i tylu jemu podobnych nie pragnie odbudować tej przeszłości, w której byli tak znakomitymi; że wolą beczynne życie, odsunięci od wszelkiego udziału w sprawach kraju. Może o tej pracy myślała Marynia? Tak na czele hufców, czuł, że mógłby zrobić wiele, tradycją do tego go zachęcała i zobowiązywała — czaple pióro i buława uśmiechały się do niego w niejasnych marzeniach.

Nieraz, gdy ojciec robił mu uwagę, że mało żyje w świecie, że się odosabnia, on mówił:

— Ojczy, dla czego my nazywamy się pierwszymi w narodzie?

— Bo nimi jesteśmy urodzeniem, majątkiem, pozycją.

— Byliśmy, ale dziś nie jesteśmy. Lada urzędniczek więcej ma wpływu na losy kraju niż my.
— Dziwny jesteś, żyjemy pod najazdem. — I nie robimy nic.
— Mamyż bawić się w niepodobieństwa?
— I tak wciąż ma być? — Oh, to okropnie żyć tak bez jutra, bez celu! —
Ojciec wtedy ruszał ramionami i odchodził

pewny, że słowa syna są oznaką splenu; czasem, dla rozerwania proponował mu wizytę lub partyę wista. Adolf jednak nie szedł za radą ojca, rozbudzona myśl niepokoiła go wciąż, chodził, rozmyślał, pytał innych w swoim kółku: ale wszyscy odpowiadali mu tak jak ojciec, nie rozumieli go, niektórzy nazywali postrzelonym, narwanym, dlatego, że miał duszę i zapal. Uciekał więc od tego towarzystwa, sam jak błędny ogień palił się myślami bezużytecznie; najmilszym jego zajęciem było oglądać pomniki, odczytywać dzieje; zamek krakowski był bogatą skarbnicą dla jego ducha, godziny całe trawił tam, wpatrując się w kamienne posągi królów i bohaterów. Jednego dnia po nabożeństwie wstąpił jeszcze do kaplicy Batorego; jest to jedna z najpiękniejszych, a zarazem najposępniejszych kaplic zamkowych: czarne, marmurowe ściany i stalle, hebanowy ołtarz z srebrnymi ozdobami, obok ołtarza pomnik króla, odpoczywającego po trudach życia, wspaniale występuje z ciemnego tła; w górze marmurowy krużganek, którym królowie przechodzili do swoich mieszkań — wszystko to posępne, tajemnicze, wspaniałe, pełne wspomnień, od których można być dumnym i bolesnym. Do

tego nie duże, okratowane okna, mało przepuszczając światła, potęgują wrażenie. Fundatorowie, dając jej tak posępne barwy, bezwiednie przeczuwali przyszłość. Książę Adolf najbardziej lubił tę ponurą ustron — zdawało mu się, że ta kaplica z żałoby po przeszłości tak się ubrała w czarne marmury, heban i srebro; że tu wiecznie dzień zaduszny, i marmurowych kirów nikt nie zdejmuje na uroczyste „Te deum” — bo zwycięstw nie ma, a mógł przybywa. Tego dnia książę zastał w kaplicy przy balustradzie, otaczającej ołtarz, jakiegoś człowieka modlącego się; twarzy jego nie mógł widzieć, ale ze złożonych rąk, z podniesionej głowy i nieruchomości mógł się domyśleć, że ten człowiek w tej chwili nie był duszą na ziemi, że modlitwa jego nie liczyła się na pacierze, ale była zachwytem, wniebowzięciem. Znał takie chwile, ale ich nie miał już dawno; to też ze smutną zazdrością patrzył na nieznanego. Ten człowiek albo cierpi wiele, albo ukochał wiele — pomyślał sobie. Chciał zobaczyć twarz tego człowieka, chciał widzieć ludzi natchnionych, którzy z modlitwą uciekają w ciemny zakątek. Ale minęło pół godziny a nie mógł się doczekać: człowiek ów był jak jeden posąg więcej w tej żałobnej kaplicy. Adolf

wyszedł na kościół, oparł się o marmurowe odrzwia i czekał znowu; coś go przykuwało do miejsca, nie pozwalało odejść bez zobaczenia tego człowieka. Patrzył na czarny krucyfiks na tle srebrnej blachy, okryty czarną gazą i mówił pacierz.

W kaplicy słyszeć się dały kroki, widać człowiek ów wychodził; książę Adolf obejrzał się i poznał Leona. Był mizerny i smutny, ale w oczach jego był dziwny blask, jakieś jakby prorocze natchnienie — taki wyraz musiał mieć w oczach Mojżesz, gdy zstępował z Synaju na ziemię.

Adolf znał przedtem Leona przez Emila; czasem Marynia wspomniała o nim, za jej zdaniem idąc, szacował go; ale wiadomość o zaręczynach z hrabianką Zatorską, zniżyła Leona w jego oczach do rzędu zręcznych spekulantów i ludzi obrotnych. Tak pojmowali Leona wszyscy, szczególnie księstwo, którym tym krokiem popsuł plany na milionowy majątek hrabianki.

W tej chwili jednak Adolf nie mógł pogodzić tego, co świat mówił, z twarzą Leona; człowiek mający duszę odgadł ją w drugim, natchniona twarz Leona powiedziała mu, że się pomylił, posądzając go o tak brzydkie zamiary; przypomniały

mu się znowu słowa Maryni, postąpił naprzód i podał rękę Leonowi.

Długo chodzili razem po prawie już pustym kościele; łoskot ich kroków po marmurach budził ciszę i powtarzał się echem po ścianach; stawali przy posągach i grobowcach, przypominali sobie ważniejsze chwile, odczytywali napisy i rozmawiali.

— Wszystko przeszło, minęło — odezwał się książę z westchnieniem.

— To konieczne następstwo.

— Czy wrócą dla nas kiedy te czasy?

— Żądasz pan niepodobieństwa; co się przeżyło, nie wraca.

— Pan pomiatasz tą przeszłością naszą tak świetną?

— Szanuję ją, ale nie tęsknie za nią, świat idzie naprzód.

— Więc dla nas zamknięta już księga dziejowa? Więc przeszłość nie wróci?

— Przeszłość nie wróci, ale dzieje nasze nieskończone, bo naród istnieje, a ten naród stworzy sobie historię. Duch narodu to nie duch człowieka, co ma chwile młode, męskie i zgrzybiałości. Konający naród czasem jedna myśl odmłodzi — na bruku warszawskim poczęła się Nowa

Polska. Szlachecka Polska skołała, Targowica pisała jej testament — zostały jeszcze dwie klasy, które tak długo odtrącano od udziału w sprawach publicznych: mieszczaństwo i lud. Kiliński rozpoczął tę epokę, będzie taki z mieszczaństwa co jej testament napisze — i wyjdzie znowu lud. —

Książę się rozśmiała ironicznie.

— Czy byłeś pan kiedy na wsi?

— Byłem.

— Znasz pan ten lud, któremu oddajesz w ręce przyszłość naszą?

— Znam — odrzekł Leon z pewnością siebie.

— Więc przyszłość narodu oddajesz pan w ręce zbójcom, złodziejom, nieokrzesanym, upartym i nieczułym?

— Co lud takim zrobiło? Niewola, ucisk i ciemnota — za te winy ojców odpokutowała nasze pokolenie, czyn był straszny, ale kara zasłużona. Czy znasz pan pieśni ludu?

— Trochę.

— Jak innym jest on w pieśni! — Mordował i palił, a w pieśni brzydzi się zbrodnią; łązy matki kamieniami upadają na głowę niedobrego syna, płacze jak kukułka nad sierotą, a jednak

pastwił się po zwierzęcemu i nie przebaczał ani matkom, ani dzieciom.

Jakież powód tej nieharmonii pieśni z ich życiem? Lud nie afektuje się, nie tworzy pieśni, którychby nie czuł, nie ma płatnych poetów ani trzody naśladowców. Nie w sercu więc ludu źródło jego zbrodni? Co zacisnęło muszkuły jego pięści, że tak silnie dzierżyły kosy i widły i nie zbezwładniały wśród jęku kobiet i dzieci? To tradycją ucisku, to nienawiści tajona tak ich roznamiętniła. Trzeba nam przedrzeć się przez tę zawieruchę ognia, krzyków, krwi, dymu, jęków i wściekłości, i spojrzeć bezstronnem okiem, a wtedy nie będziemy śpiewać o Ablach i Kainach — wyda nam się to więcej podobne do wojny Epigonów. Wieki cierpią za winy wieków, pokolenia za pokolenia; żaden zły czyn nie może zawieruszyć się w dziejach, każdy musi znaleźć ekspiacycę. Lud ma przyszłość wielką, bo ma liczbę, siłę, będzie miał oświatę, i ma to, czego wy nie mieliście nigdy, to jest: poszanowanie władzy. A to wielka rzecz.

— To wasza zwykła piosenka, okrzyczeliście tyranami przodków naszych, szczęściem, że dzieje inaczej świadczą; ci ludzie bili się za wolność, to byli Chryścianie.

— Za czyją wolność się bili? — Za swoją; czyż to zasługa? Pokaz mi pan najdziksze zwierzę, któreby nie chciało być wolnem? — Uznać i uszanować prawa drugich, to jest znamieniem człowieka, Chryścianina. Nie mówię, że ci ludzie robili to przez złość serca, owszem, to byli ludzie przeważnie serdeczni, ale przez brak myślenia. Człowiek uczy się myśleć w ciężkiej szkole doświadczeń i cierpień — nie mieliśmy na to czasu, bo nam było dobrze, teraz mamy czas; nieszczęścia jak gromy biją w piersi nasze i uczą nas i zmuszają zastanawiać się.

— Cierpimy jak żaden naród, cierpimy za wszystkich.

— Chorobliwa krasnieszczynna mówi przez pana — ukochaliście poetę, co wam tak kadził, co was tak wysoko postawił i śmiała porównać pokutę waszą z męczeństwem Golgoty. Straszny obłąd — i gdzież tu porównanie? Tam umierał niewinny i bez zmayı za winy ludzi, a tu naród kona za swoje grzechy. Bieda narodowi, gdy mu leżącemu w gorące

poeci takimi kadzidłami głowę tumanią. Nam trzeba uderzyć się w piersi ze skrucą, mieć odwagę przyznać się do winy ojców naszych, pokutować i pracować na przyszłość.

— O jakiej pracy pan mówisz?

— Pan jej nie widzisz? Praca nas czeka ciężka, bo z wpływem wrogów, którzy niszczą ducha narodowego i z wpływem odstępców lub fałszywych proroków, którzy go wprowadzają w obłąd i usypiają w beczynie. Ta praca, ta walka czeka nas na każdym miejscu — arena jej obejmuje lud ciemny, mieszczaństwo nieświadome celu i szlachtę uwiedzioną.

— Reszty pan nie liczysz?

— Me; magnaci n nas się przeżyli, Targowica rzuciła przepaść między nimi i narodem, oni należą do Europy a nie do Polski. Requiescant in pace!

— Dla tego, że nie chcą uznać tej nowej Polski, wymarzonej w waszych głowach.

— Dla tego, że nie chcą żadnej.

— A jeżeli oni odbudują, to co runęło?

— Kto odbuduje przeszłość? Czy ci, którzy dają jedyne znaki życia przy zielonych stolikach lub za kulisami zagranicznych teatrów, czy książęta spekulanci, współzawodniczący z żydami o zysk, czy przeżyta trzoda leniwców i bigotów? Pokaż mi pan cel ich życia, pokaż choć jeden znak ich życia, ich pracy.

— Towarzystwo ogniowe, towarzystwo rolni

cze — bąknął książę, nie umiejąc nic więcej przytoczyć.

— Dla narodu co nie ma bytu politycznego, to za mało. Każda praca, która nie ma za podstawę przywrócenie tego bytu, jest daremną i bezowocną. Jest to coś podobnego, jakby żydzi podczas swego tułactwa po pustyni, myśleli o uprawie ziemi i założeniu miasta na gorących piaskach Arabii. Krótkowidze zadawalniają się takim celem bez jutra.

— A jeżeli ci ludzie mają odleglejsze cele?

— Mówisz pan nie wierząc w to, co mówisz, bo znasz lepiej odemnie tych ludzi. —

Adolf umilkł. Schodzili właśnie z Wawelskiej góry, na dole Leon chciał pożegnać księcia.

— Odprowadzę pana trochę ; jakże przyjemnie byłoby mi częściej widzieć pana, taka wymiana myśli nie bez korzyści byłaby może dla nas obu, bo obaj patrzymy może nadto jednostronnie.

— Dawałem panu dowody na poparcie moich zapatrywań.

— Ja swoje zachowuję na później, muszę je zebrać i uporządkować, dotąd mało zastanawiałem się nad temi kwestyami. Gdzie pan mieszkasz ? —

Leon powiedział mu adres. Byli w Grodzkiej ulicy.

W tej chwili tuż obok Leona słyszeć się dał chichotliwy, szyderczy śmiech — odwrócił się i zobaczył Izaaka, idącego pod rękę z jakimś oficerem. Żyd spostrzegłszy w takiej zgodzie idącego księcia, który go tak pogardliwie odepchnął na balu i Leona, którego uważał za swego obrońcę, zawrzał cały nienawiścią i oburzeniem; to połączenie tych dwóch ludzi urągało mu i zadrwiło z jego chwilowej wiary w Leona.

— Grüssst dich Gott — odparł Izaak kpiąco, głośno.

— Wer sind diese zwei? — spytał oficer.

— Zwei Polaken — rzekł żyd głośno i splunął. Leon słyszał te pogardliwe słowa.

— Czy pan znasz tego żyda, co się nam tak bezczelnie przypatrywał? — spytał książę, gdy uszli kawałek.

— Pan go nie poznajesz? — Nie, zkadże?

— To ten sam, z którym pan na balu tak źle się obszedłeś.

— Nie pamiętam.

— Ale on pamięta, uczyniłeś pan jednego wroga więcej.

— Mniejsza o takich.

— Pomódz jest trudno, ale zaszkodzić łatwo;

pamiętaj pan o tem — i robaki jad mają. Ten żyd mnie przestrasza. —

Na drugi dzień wypadła rocznica śmierci Mickiewicza. Nabożeństwo odbyło się u świętej Anny. Wiadomo dobrze, jak dotkliwie odpłacono się inspektorowi szkół Czerkaskiemu, za wstrzymanie uczniów od wzięcia udziału w tem nabożeństwie. Fedko był czynnym przy tej operacji; dla tego spóźnił się z powrotem do domu. Widział co go za to czeka, wracał więc potulny, drżący. Wasyl chodził po izbie; gdy drzwi skrzypnęły obejrzał się i surowo spojrzął na wsuwającego się pocichu Fedka.

— Gdzie ty się bisurmanił, hę?

— Wasylu, Wasyleńku ja..... ja miałem

robotę — mówił chłopiec, stojąc przed bratem jak delikwent i mnąc czapkę.

— Jaką robotę? —

Chłopiec poskrobał się w kędzierzawą głowę.

— E! kiedy mnie ty może oćwiczysz za to?

— A co ty robił ?

— Także ćwiczył. Bo widzisz, ten szelma Czerkaski nie pozwolił studentom iść modlić się dzisiaj za wielkiego człowieka, co Polakom ładne dumki układał pono; no tak mnie złość wzięła, a jeszcze bardziej, kiedym się dowiedział, że to

Rusin. No, myślę sobie, to musi być urwisz Rusin , kiedy dumkarza nie uczci, taki poleciałem z innymi i przylepiłem mu kijem podziękowanie na plecach. —

Wasył odwrócił się ku oknu; nie chciał żeby Fedko wyczytywał w jego oczach, że się nie bardzo gniewa o to.

— A złapali kogo?

— Taki złapali, ale tylko jego, bo się ruszać nie mógł. —

Wasył lekko się uśmiechnął. Chłopak ucieszony, że mu się tak upiekło, poskoczył ku niemu i pocałował go w rękę.

Wasył przeszedł się po izbie, potem usiadł i zakładając nogę na nogę spytał:

— Fedko, wiesz ty, co to za dzień jutro?

— Wiem Wasyleńku, . Listopad, u Lachów święto.

— I na Rusi święto, i św. Michał szeleścił na chorągwiach wtedy. —

Fedko otworzył szufladę u stolika i wyjął pęczek groszowych świeczek.

— A to co?

— Będzie illuminacja Wasyleńku, musi być tak jasno, żeby Niemcy aż poślepli od blasku.

— Nie trafiliby do siebie.

— Jabym ich się wszystkich podjął wyprowadzić.

— Pójdźno tu Fedko. —

Chłopiec się zestrząsał, myślał, że coś złego powiedział; bał się o swoje uszy, o swoje włosy i o swoje plecy — nieśmiało więc i powoli zbliżał się do brata.

— No pędzej. —

Dosięgnął go ręką, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło. Chłopcu z radości czarne oczy łzami się zaszkliły.

— Dużoś ty wydał na świeczki?

— Dlaczego?

— Bo ci wrócę, ty masz mało horoszy. — Ja ne chcuzu Wasyleńku, ja chcę za moje świecić. Toż to będzie jutro jasno w Krakowie!

— Nie wszędzie, nie wszędzie, Lachy stchórzą lub zapomną.

— Będziemy im przypominać kamieniami po oknach, zmówiło nas się na to kilkunastu. Ty mi pozwolisz Wasył?

— Nie o tem chciałem mówić — odrzekł Wasył, omijając odpowiedź. — Słuchaj mnie Fedko, jutro u nas bankiet; pójdziesz ze dzbanem na Sławkowską ulicę przyniesiesz miodu — rozumiesz ? Miód to nasz trunek, i święta Ruś i Pol

szcza go piła. Dokupisz kielbasy i placków szewskich — uraczymy się, sprosimy dobrych ludzi taki dzień oblać trzeba. — Idę na miasto, a ty siedź kamieniem, rozumiesz? — Wyszedłszy Wasyl wstał do Leona. — Ty czytasz? Co czytasz?

— Powstanie Mochnackiego.

— Ja idę po naszych na jutro.

— Powiedz im, że rano będzie nabożeństwo o Itej.

— Któż zakupił?

— Złożyło się.

— Ano to przecie. Zdrast — i wyszedł. Drugiego dnia wieczorem, w izdebkach na poddaszu było gwarno i ciasno, wśród dymu tytoniowego poruszali się ludzie różnego stanu. Był tam i węglarz Marcin i kilku jego zasmolonych kolegów; szewc Jan rozprawiał w kąciku z jakimś akademikiem o biedzie; kilku młodych oglądało przy stoliku ubiory wojska polskiego; Wasyl przysiadłszy się do kominiarzy, coś im tłumaczył i wykladał. Odsunięto świeczki od okna, by nie zwracać uwagi policyjnych agentów. Od czasu do czasu jeszcze ktoś przybył; Leon zajmował się gośćmi, witał i zapoznawał.

— A co, czy wszyscy już? — spytał Wasyl wstając.

Spojrzano po sobie.

— Mnie się zdaje, że wszyscy już jesteśmy — odrzekło kilka głosów.

— A Fedko jest na wschodach? — spytał Leon.

— Me wiem, kazałem mu stać i donieść jakby zobaczył mundury.

— Pójdę do ciebie, upewnię się czy wyszedł. — Po odejściu Leona, w kilka minut drzwi się otworzyły, jakiś człowiek, którego nikt nie znał, wszedł — wszyscy z zadziwieniem i obawą spojrzeli na przybyłego, który również był pomieszany tem przyjęciem. Na szczęście wszedł Leon, poznał w przybyłym księcia Adolfa i przedstawił go głośno obecnym:

— Pan Adolf J. mój dobry znajomy. — Książę Adolf pierwszy raz może słyszał swoje nazwisko tak goło, bez tytułów wypowiedziane; nie w smak mu to było, a bardziej jeszcze skrzywił się, gdy się rozpatrzył w towarzystwie; czuł się tu obcym, mieszkanie Leona porównywał w myśli do szynkowni, koło których nieraz przechodził.

— Niech pana nie dziwi to zebranie, obchodzimy dziś święto — odezwał się Leon.

— Jakie święto? —

— Dziś rocznica listopadowego powstania. Pan nie byłeś na nabożeństwie? —

Książę Adolf zawstydział się — on zapomniał o tym dniu, nie przyszło mu to na myśl.

— Nie byłem — odpowiedział nieśmiało.

— I towarzystwo rolnicze nie było, rozprawiało wtedy o gnoju; a przecież godzi się uszanować takie święto.

Podobnych chwil ledwo dwie mieliśmy w ostatnim stuleciu: powstanie Kościuszki i . Listopad. Ale to już przybłycki

odradzającej się z popiołów młodej Polski; takiej ci panowie znać nie chcą, oni wzdychają do dalszej przeszłości: do bezecnego zepsucia stanisławowskiego dworu, lub pijanych czasów Augusta. —

Leon mówił te słowa trochę rozdrażniony, rozgorączkowany; urwał rozmowę i obracając się do wszystkich, odezwał się podniesionym głosem :

— Bracia! trzydzieści lat temu, o tej samej porze, kilkunastu Belwederczyków zbliżyło się do pałacu tyrana — w kilka godzin potem Warszawa wolną była od najazdu. Była to piękna chwila radości, cudowne drgnienie wolności — ale niestety tylko chwila! tyle krwi i tyle poświę

ceń nie mogło zmienić strasznego przeznaczenia. Za dużo jeszcze grzechów ciążyło na narodzie mało odpokutował za przeszłość — to też nie mógł powstać, nie nadeszła jeszcze jego godzina upadł. Było to przedwczesne zerwanie się chorego, zanim przyszedł do zdrowia; to też upadł bezsilny. Przedewszystkiem więc trzeba się starać o to zdrowie moralne, o rozbudzenie ducha narodowego. Skoro cały naród, jak jeden człowiek zateśkni za wolnością, musi być wolnym; siła jego ducha zwycięży zwierzęcą, siłę dział i bagnetów. Dotąd pojedynki tylko miały taką tęsknotę, usiłowania ich ginęły prawie bez śladu, jak potoki w pustyni. Aby tak nie było, trzeba łącznie wziąć się do pracy organicznej, zorganizować propagandę narodową we wszystkich warstwach; każdy niech działa w swym zakresie, w sobie i koło siebie, niech walczy z wpływem wrogów, z egoizmem i gnuśnością ludzi, niech rozgrzewa i budzi — a praca taka nie będzie daremną. Przez pamięć męczeństw naszych tyloletnich, ślubujemy sobie, że podstawą każdej naszej pracy będzie myśl o Ojczyźnie i miłości bliźniego. Wśród cierpień i prześladowań, stwórzmy Kościół Chrystusowy, jak niegdyś pierwsi chrześcijanie w katakombach Romy. Ten nurtujący potok cnoty

podkopał fundamenta starego świata i rozsypał go w gruzy. I nas na tej drodze czeka zwycięztwo, tylko miejmy namaszczenie do pracy. Nie zobowiązuję was do tego przysięgą, bo przysięgę złamać można; ale rzucam wam na sumienie łzy tylu żon i matek, co padały koło szubienic i krat więziennych, rzucam wam krew męczenników naszych, niedolę uciśnionego ludu — to niech was zobowiąże. Dozwolicież, aby to wszystko miało upaść bez śladu? — Na was ciąży odpowiedzialność za ziarna, które oni między naród rzucili. Potrzeba więc miłością i jednością zespolić się i zacząć pracę. Czy zgadzacie się na to?

— Zgadzamy — odrzekli wzruszeni słuchacze.

— Ja proszę o hołos — odezwał się Wasyl, występując na środek.

Rozsunęli się, robiąc mu miejsce.

— Pracować trzeba razem, kochać się — na to zgoda. Ale Leon coś mglisto mówił o celu tej pracy. Gdzieś, kiedyś, coś..... takie obietniczki nie nakarmią. Siłą ducha nie złamiesz bagnetu, przeciw sile siła, i to siła spotęgowana słusnością sprawy, zapalem. Rewolucya, powstanie — to cel pracy i kwita. Innego celu nie rozumiem. A wy bracia ?

— I my, i my — wołali młodzi wyrobnicy,

którym słowa Wasyla zrozumiałej i gorącej przemówiły do duszy.

— Kiedy to powstanie będzie, kiedy na rewolucya czas przyjdzie, kto to wie? Ale nam gotowymi być trzeba. Trzeba więc ćwiczyć się w broni, w jeździe, wyrabiać siłę fizyczną. Skupować broń za składkowe pieniądze, zbierać fundusze z kąd się da na przyszłe powstanie; zgoła oswoić się z tą myślą, że jesteśmy w marszu, że stan, w jakim jesteśmy, jest chwilowy i czekać na hasło. A kto odradza, wstrzymuje, odosobnia się — to zdrajca i opiętnować takiego. Albo z nami, albo przeciw nam.

— Wasylu, Wasylu, dokądże cię zapał unosi — rzekł łagodnie Leon, ale z bolesnym wyrzutem.

— Bóg mi świadkiem, że nie do ciebie w tej chwili mówiłem, ale do tych, którzy słów twoich użyją na zamaskowanie swego samolubstwa, lenistwa; którzy lada odrobiną, wiechetkiem słomy wykręcą się od odpowiedzialności i powiedzą: pracujemy dla kraju; bo w ciszy i stagnacyi łatwo udać ruch — małe drgnienie wystarczy, ale w zawierusze rewolucyjnej, trzeba się naprawdę ruszać i stanowczo zdecydować: z nami lub przeciw nam. — Nie mówię tu za siebie — spytaj

tych wszystkich, a powiedzą ci to samo. Patrz, ilu tu naszych kolegów, wszyscy nauką, pracą dobijają się losu; czy myślisz, że wszyscy zdobędą sobie stanowisko? gdzieżby się Niemcy podzieli? Ustąpić im więc muszą. I jakież będzie ich wpływ, jaka może być praca ludzi bez stanowiska, a może i bez chleba. A cóż mówić o ludzkiej; chcesz go podnieść oświatą i rozbudzić w nim uczucia patryotyczne — to praca wieków. Chłop słucha tylko władzy, miej więc władzę a poprowadzisz ten lud jak będziesz chciał. tak wszystko.. Cały stan naszego kraju potrzebuje rewolucyi, wybuchu. Im bardziej uczucie patryotyczne się obudzi i wzmoże, tym chwila powstania bliższa. To mój dogmat, w to wierzę. I ty uwierzysz Leonie, a może już wierzysz, ale błysk sztyletu, ale huk strzelby nie nadaje się do twego katechizmu: ja cię znam. Tybyś rad jak apostoł chodzić po świecie z ewangelią, ale dziś inny świat i innego mu lekarstwa potrzeba. Dawniej na rany Samarytanin kładł balsam, dziś medycyna wypala je piekielnym kamieniem. Rozumiesz, co? — Leon słuchał mowy Wasyla spokojnie, uważnie; gdy skończył, zapytał go:

— Wasylu, więc insurrekcyja twój cel ostatni?

— A wasz? — rzekł obracając się do reszty. Spoglądali po sobie, nieśmieli powiedzieć; jednak widocznie zgadzali się na zdanie Wasyla.

— Patrz, wszyscy za mną, to przemawia za słusnością mego zdania.

— Nie Wasylu, to świadczy o gorączkowej niecierpliwości, której ganić im trudno. Ale jeżeli powstanie upadnie, to co będzie?

— To będzie drugie, dziesiąte.

— A każde wyniszczy kraj, zbezsilni ciało i trzeba będzie pracę, zaczynać wciąż na nowo, jak przędę Penelopy.

— Kiedyś udać się musi.

— Czyń podług sumienia, czas pokaże kto z nas miał słusność. Ja będę pracował nad moją myślą, ale w chwili wybuchu zejdziemy się razem na polu walki. Ja wtedy powinienem być z wami. —

Na tem skończyła się dysputa; rozprawiano jeszcze w pojedynczych kółkach nad szczegółami pracy; jednym Wasyl, drugim Leon dawali instrukcje. Późno w noc się rozeszli, został tylko Leon i książę Adolf.

Książę był odurzony tem wszystkim, co widział i słyszał; widział ludzi z gminu i z intelli

gencji ściskających się za ręce i mówiących sobie: bracie; słyszał mowy mające rozstrzygać o bycie kraju — i nie wierzył swoim uszom. Jemu się zdawało, że inicjatywa każdego ruchu musi wyjść z góry, od herbovníków, że od nich zależy byt kraju. Tymczasem zobaczył ze zdumieniem, że ludzie bez imienia, nieznani, dają początek ruchowi bez opowiedzenia się komukolwiek, że sami biorą na siebie odpowiedzialność za ten czyn. To go przestraszyło, jak człowieka, gdy stanie wśród wezbranej fali. Ale obok tego książę Adolf miał szlachetną duszę; cel pracy przemówił do niego, lubo nie zgadzał się ze wszystkim na środku.

— A pan bierzesz na siebie część naszej pracy? — spytał go Leon.

— Z ochotą. Ja z wami. — Odrzekł książę ożywiony i wyszedł.

Gdy po ciemnych schodkach zeszedł na dół i nie wiedział, w którą stronę obrócić się, by trafić do zamkniętej bramy, zobaczył od strony podwórka światło padające na śień. Młoda jasnowłosa dziewczyna z rozpuszczonemi już w nieładzie włosami szła, trzymając kawałek świecy i chroniąc go ręką od wiatru; przez co jej paluszki osłaniające światło prześwieślały różowo, jak ma

towa latarka — w drugiej ręce trzymała dzbanek z wodą. Twarz jej była blada i zadumana; przypomniła trochę Magdalenę idącą do grobu Chrystusa. Gdy się zbliżyła — książę zdrętwiał, w bladej dziewczynie poznał Teklę. Na ciemnym tle sieni, przy drżącym świetle wyglądała jak widmo zjawiające się przed sumieniem zbrodniarza. Uwodziciel zadrzał i usunął się na bok, w ciemności. Dziwny był ten kontrast światła i ciemności, spokoju dziewczyny i przerażenia uwodziciela. Przeszła nie spostrzegłszy go i szła prosto na schody, książę pobiegł ku bramie; błędy przeszłości stały przed nim i robiły mu wyrzuty, chciał co prędzej uciec przed nimi. Zaspany stróż powoli szukał kluczem dziury w zamku, książę się niecierpliwił; aż mu się lżej zrobiło, gdy wybiegł za bramę — noc była chłodna, ale jasna. Obejrzał się za siebie i wtedy poznał czego przedtem nie uważał, że to ten sam dom, przed który odprowadzał Teklę.

— Więc to tutaj? — szepnął, spiesząc ku miastu.

Odtąd już nie miał odwagi pokazać się w mieszkaniu Leona, bał się spotkać z grzechem swoim.—

XI. MASKARADA.

Nie chcąc przerywać wątku powieściowego, nie wspomnieliśmy nic dotąd o manifeście cesarskim z d. Października — teraz się chwilę, nad nim zatrzymamy. Manifest ten był w istocie małoważny, jak wszystkie niby zmiany w Austrii. — Polityka austriacka jest wiecznie ta sama; „obiecać trochę, z tej trochy zrobić nie wicie, a źrebieństwo samo zwlekać dopóki można, dopóki wypadki nie zagną do zrobienia”.

I nie może być inaczej; Austrija rozumie dobrze swoje położenie i rady autonomistów nie oszukują jej; w rozdaniu władzy widzi upadek swój. Może być pewna o Tyrol północny, o swoje dziedziczne posiadłości, może nawet i o Węgry, ale któż jej zagwarantuje posiadanie reszty? Weźmy na przykład Galicyę, przypuśćmy w niej namiestnika Polaka, rady powiatowe i urzędników obieralnych — cóż się wtedy stanie? Austrija zyskuje sobie wprawdzie większą część

obywatelstwa ziemskiego, która obawia się ruchu, a której skrupuły patryotyczne uspokoiłaby konstytucja i koncesja; ale obok tego przy większej wolności, Galicyą stałaby się zbiegowiskiem malkontentów innych zaborów Polski, emigracyi, słowem zbiorowiskiem najruchliwszych i najzapaleńszych ludzi, których lada czem nie zaspokoi. I ona więc i dwa inne najazdy byłyby z tego punktu zaniepokojone.

— Cicho, nie mów tego, bo zdradzasz nasze zamiary przed wrogiem — powie mi który z wielkich naszych dyplomatów z tajemniczą miną.

Jak się tu wstrzymać od litościwego śmiechu; ci ludzie gwałtem chcą uważać za głupców tych, co ich przez tyle lat za łeb trzymać umieli — i zdaje im się, że ich oszukać zdołają. Na to i trzeba być grubo naiwnym. Nie dla wiadomości tronów spisałem powyższe uwagi; zostawiam to Czasowi krakowskiemu, który z wysokości małego miasteczka rzuca monarchom rady, przestrogi, groźby i odezwy — spisałem je, aby wystawić śmieszność tych, którzy na oktrojowanych koncesyjkach najazdu budują przyszłość narodu.

Najniepozorniejsza praca poczęta za granicami koncesyi najazdu, ma w sobie przyszłość; każda wolniejsza nawet

ustawa nadana przez ten rząd ma w sobie zarody śmierci i nic nie wyda na pożytek nasz. Tak było zawsze, tak było i z manifestem cesarskim.

Manifest warował: równość w obliczu prawa, wolność religijną, wspólność obowiązków, władzę ustawodawczą i język.

Rzecz na wzór olśniewająca oczy, w istocie nic; czas pokazał, o ile manifest urzeczywistnił i usprawiedliwił nadzieje nasze. Nad wolnością religijną ciążył konkordat, wolność osobista zależała od samowoli policyi. W Krakowie już po ogłoszeniu konstytucji, Paüman, dyrektor policyi, uganiał się z policyantami po mieście; kazał gwałtem odrywać drzwi sklepów, które kupcy pozamykali z powodu nabożeństwa; własnoręcznie aresztował za włosy i oddawał w ręce policyantów; strzelano po ulicach do ludzi na postrach; język wykładowy w szkołach zyskał troszkę więcej wolności, ale był zawsze tylko na usługach niemieckiego — sejm krajowy utworzono na to tylko, aby zrobić wybory do rady państwa. — Na tem skończyła się farsa; koniec jej był przewidziany, odrobina rozsądku i zastanowienia wystarczyła nam, a jednak u wielu o to było trudno.

Na odrobinie obietnic poczęto się ruszać i krzątać z animuszem i butą pożyczaną z lepszych czasów, wszystkich cieszyło święto niewolników. Starzy byli zadowoleni i dumni z tego że się mogą ruszać za pozwoleniem rządu. Czas Krakowski w Nrze pisał: „Cóż może być legalniejszego jak dopominać się u rządu o prawa narodowe, oparte na traktatach i przyrzeczeniach monarszych i to drogą jawną, śmiałą i otwartą?” — To dziwna rzecz, że Czas o tej legalności, o tych traktatach dopiero teraz sobie przypomniał, że mu dawniej ani przez myśl nie przeszło nakłanianie narodu do deputacji. Wszak nic legalniejszego nad to ? — Ale może odwagi brakło; teraz na odwagę wszystkim pozwolono; ruszono się więc, przywdziewano staropolskie kontusze z karabelami ojców i przodków, uchwalano deputację do Wiednia. Przybycie deputowanych ze Lwowa ożywiło Kraków; obywatelstwo patrząc na kontusze i karabele rozserdeczniło się; przed knajpami i sklepikami całowano się i ściskano, winszując sobie powrotu lepszych czasów i wciągano się na buteleczkę portera, na lampkę wina, na kieliszeczek wódki. Czem kto mógł oblewał nową epokę, zapijał sprawę — bezpotrzebnie, bo i tak wszyscy byli pijani — ułudą.

Na każdego człowieka myślącego i trzeźwa patrzącego na rzeczy, ruch ówczesny musiał czynić przykre i smutne wrażenie. Było to coś podobnego do ruchu i spaceru więźniów po podwórku fortecy, lub obłąkanych udających wodzów, senatorów, królów, urągających dumnie dozorcóm, od których przecież zależało wpędzić ich napowrót do celki, zamknąć i nakazać cicho siedzieć. Widok był tym przykrzejszy, że aktorami byli ludzie poważni, naukowci. Cóż ich tak obłąkało? — Legalizm, parlamentaryzm. Na zachodzie, w krajach czysto konstytucyjnych ci ludzie byłiby na swem miejscu; w kraju podbitym, zależnym od nadzoru policyjnego, mężowie staną się śmiesznością. Każdego z nich

lada policyant mógł wiaść za kark i wsadzić do kozy (nie brakło takich przykładów), poruszali się za pozwoleniem policyi. Co było dane, mogło być wzięte, co było pozwolone, mogło być zabronione. Wielu z członków maskarady wiedziało o tem, ale tłumaczyło się przed sobą, że trzeba to robić dla Europy, przypomnieć się jej, aby wiedziała że żyjemy. To znaczy tyle, jakby który z krewnych bogatego człowieka wydawał ostatki swej skromnej fortuny na jego przyjęcie, tał się ze łzami i smutkiem, jakim bieda ubrała twarz jego,

a to wszystko w nadziei sukcesyi. Temu krewnemu darowalibyśmy może, bo nie znał serca bogacza; ale my znamy Europę, od tylu lat; nie pierwszy raz jej obojętność zadziwiła nas. Jakże więc nazwać tę upartą wiarę, te popisy przed Europą? — Jak nazwać maskradę niewolników? —

Nie wszyscy jednak tak smutnie a trzeźwo myśleli; byli ludzie, dla których ta odrobina swobody obstawiona i strzeżona przez policyantów, była wątkiem do snucia najroskoszniejszych marzeń, najświetniejszych nadziei. Do takich ludzi należał młody książę Adolf. Ten ruch szlachecki, te kontusze brząkające po kamieniach, karabele, sobolowe kołpaki, czaple pióra, gwarne narady, zebrania — były obrazem, żywcem wyjętym z jego marzeń; zdawało mu się, że stare czasy i starzy ludzie wstają z grobu; widział tylko poważną stronę tam, gdzie była przeważnie próżność. Nie dziwiło go naprzykład to, że ci reprezentanci starych czasów, poparadowawszy po mieście i na obradach, umęczeni, zasapani wracali do domu uwolnić się co tchu z ubiorów ojców swoich, odpasać ciężką karabelę przodków i dopiero wtedy czuli się swobodni, po swojemu, gdy kontusz zastąpili frakiem. Była to istna

maskarada, którą się naród bawił i na którą się gapił i to nie tylko maskarada ubiorów, ale i maskarada myśli. Ci ludzie z równą radością zdejmowali z siebie poważne myśli o kraju, i po chwilowych obradach szukali odetchnienia przy stoliku zielonym, przy smacznym obiedzie, w wesołej zabawie. Nie mówię tego o wszystkich, ale o przeważnej liczbie. I myśli i ubiory były za ciężkie na ich barki i na ich mózgi.

Książę Adolf nie widział tego; jego cieszyło, że ruch przeszedł we właściwe ręce, do ludzi imion, znaczenia, do starych. Widzieliśmy go w mieszkaniu Leona jak zebranie i mowy robiły na niego przykre i podniosłe zarazem wrażenie, bo mówiono o czynie, za którym on tęsknił, a mówili ludzie, których on nie uważał za powagi. Dziś osoby się zmieniły; to też książę Adolf z całym zapalem rzucił się w wir życia politycznego. Ojciec jego także tam gdzie inni, ale wolno, chłodno, z wiecznie ironicznym uśmiechem na ustach, szedł, jak się idzie na pogrzeb dalekiej krewnej z obowiązku, z musu. Co jego to mogło obchodzić czy tak czy owak, czy ci czy owi rządzić będą; jemu zawsze będzie jednak; żaden rząd nie wejdzie do jego salonu, nie przeszkodzi mu zjeść znacznego obiadu, zagrać w karty, spać,

chodzić, drwić i pogardzać, a to była treść jego życia, program jego zatrudnień. Gniewało go tylko, że musiał wchodzić teraz w towarzystwo ludzi o jakichś nieznajomych nazwiskach; że ci ludzie brząkali mu koło uszów pałaszami, a choć ich ignorował, przecież niepodobna było ich nie widzieć.

— Mieszczuchy do łokcia i do kwarty, a nie do szabli urosli — mawiał nieraz i drwił po swojemu.

— Proszę cię — mówił jednego razu do hrabiego P. — kto to ten z wąsami, co jak dwie rude miotły sterczą mu od twarzy.

— To Smolka.

— Smolka, smołka, smoła — to mi jeszcze nie dosyć.

— Adwokat ze Lwowa.

— I dlaczegoż taki długi piórnik nosi — mówił książę szydlerczo, pokazując na pałasz.

— To człowiek historyczny — ma piękną przeszłość za sobą.

— Pewnie zasługi jego datują się od czasu ruchawek — tej historii nie znam. —

Jaże wielkie musiało być zdziwienie księcia kiedy się dowiedział, że temu bohaterowi ruchawek wyprawiono Fazelzug (z umysłu nie uży

wam polskiego nazwiska na ten nie polski koncept); to go oburzyło. Ludzie nowi i nieznani stawali na świeczniku, rzucając cień na stare imiona — książę czuł się tem dotknięty, odsunięty — odsunął się więc sam i nie mieszał się do polityki.

Któż wyprawił fazelzug?

Młodzież i mieszczenie. Ich cieszył ruch starszych, cieszyło, że człowiek bez herbu błyszczy się na czele tego ruchu; chcieli jeszcze więcej podnieść tego człowieka, wypowiedzieć mu swoje sympatyę, złożyć hołd. Starzy z lekceważeniem patrzeli na ten współdział młodzieży, która kiedyś miała ich zastąpić na arenie życia; mieszczaństwo pełne zapału i serdeczności nazwali pogardliwie Ulicą, a mieli za złe temu, do którego ta sympatya Ulicy się kierowała, że zważa na nią, że na niej chce budować swoją wielkość. Może i ów człowiek w tej chwili wstydził się tej sympatyi. Starzy więc nie chcieli przypuścić młodych nawet do skromnego udziału w ich radości; chcieli aby wszystko działo się między nimi, bez zapału, z rozsądkiem. Na ich czynnościach, na ich minach i twarzach napisane było: M y. Dziwnie się może komu wyda, że mówiąc

o tych mężach stanu, używam wyrazu: starzy gdy wśród nich znajdowali się ludzie młodzi, jak książę Adolf i inni; nawet Edmund (także w kontuszu), który po śmierci ojca stał się panem milionowej fortuny. Starość nie zawsze jest

wynikiem wieku, szczególnie tam, gdzie się patrzy na ducha, a my mówimy o starości ducha. Dwa są znamiona starości: nie lubi zbytniego ruchu i chwali to co było; brak zapału, za wiele rozsądku, to przyprawy starzejącego się ducha. U nas tak zwani starzy zawsze chcieli tego, co było dobre, ale przed kilkudziesięciu latami; co wtedy uchodziło za nowe i było przez młodych popierane. Młodymi byli członkowie czteroletniego sejmku, starzy: Targowica; młodzi zrobili rewolucję w trzydziestym roku, starzy ją zwichnęli! — Kiedy Polska jeszcze istniała, kiedy uszanowanie władzy było koniecznością do utrzymania rozpadającej się Polski i młodzi chcieli podniesienia władzy królewskiej i dynastji, starzy sprzeciwili się temu, — W Polsce porobiorowej kto pierwszy, jeżeli nie starzy stali się legalnemi, trzymali się prawa, które było bezprawiem? — Temi kilkoma słowami, sądzę że się dostatecznie wytłomaczyłem, co rozumiem pod nazwą:

młodzi i starzy i jakie są zasady jednych i drugich. Wracam do dalszego ciągu.

Deputacja opuściła Kraków; ludzie kraju zubożałego podatkami, ludzie idący prosić, ruszyli szumno dwornie ku Wiedniowi. O Żydach zapomniano. Przypomnieli się sami i pogonili za nimi — pogoń składała się z ludzi inteligentnych, postępowych.

Dopieroż to w Wiedniu rozserdecznili się kontuszowi tym dowodem przywiązania starego zakonu; ściskano i śliniono pocałunkami gęby zapomnianych braci, mówiono mowy i mówki; byli i tacy, którzy się na to krzywili i pokątnie spluwali, ale to pokątnie. Za serdeczne przyjęcie podziękował Dr. Oetinger, ale z słowami dziękczynnemi rzucał im w twarz gorzki wyrzut. Członek narodu tyle lat deptanego i pogardzonego nie mógł mówić inaczej, chyba wtedy gdyby chciał podane dłonie ścisnąć obłudnie; w mowie dziękującej za przychylność dał im uczuć pod jakimi warunkami Żydzi ją przyjąć mogą. Oto treść jego mowy:

„Podaną nam dzisiaj dłoń bratnia. Ściskam z uczuciem serdecznej miłości, z niezachwianą ufnością w szczerą życzliwość ziomków, co w szkole ciężkich cierpień i doświadczeń nati

czyli się cenić wysoko swobodę własną, a nie zaprzeczać jej bliźnim; co domagając się drogich praw osobistych i narodowych, pragną ich zarówno dla wszystkich warstw społeczeństwa bez różnicy stanu, rodu i wyznania.

„Krok ten dobrowolnego zbliżenia się ku nam drogich Chrześcijan jest słodkim balsamem na nasze rany, co krwawią jeszcze od świeży cłu ciosów, jakie niedawno w kraju naszym niemiłosierna, niesprawiedliwa, bo ślepa, a z duchem szczerem i staropolskim niezgodna zawiesz na nas wymierzyła. Zaprawdę nie bolał krzywdzący zarzut, oparty na przesądzie i uprzedzeniu, nie bolała złośliwa zniewaga, ani złośliwe szyderstwo, bośmy przywykli do męczeństwa, bo prześladowanie to nasz chleb powszedni; ale bolał i ranił głęboko w serce brak miłości, zapalczywość i niechęć dostrzegana w niektórych rodakach naszych — lży nam ciekły, że w całej Galicyi nie odezwał się z nikąd publicznie ze strony Chrześcijan żaden głos obrony. Z Poznania dopiero zabrzmiało pierwsze polskie słowo krzepiącej pociechy — a drugie o mił przeszło z Brukselli, z sędziwych ust męża Polaka, którego skronie zdobi nieprzekwitły wieniec wielorakich zasług naukowych i obywatelskich, któ

rego jeden wyraz mądrej rozważliwej i sprawiedliwej wyrozumiałości zdolen jest zaiste jeżeli nie zgłuszyć, to zapewne unieważnić i pokonać tysiące wrzaskliwych krzyków rozkielzanej i pieniającej się wściekle namiętności.

„Darujcie mi przezacni obywatele przykre a nam bolesne wspomnienia. Wydarły się one z piersi moich dla tego jedynie, iżby wynurzywszy je otwarcie w obec was — po raz pierwszy i ostatni — pochować je na wieki w grobie niepamięci.” —

Mowa Żyda była gryzącą satyrą dla słuchających ; urągała im, wymawiając im że się domagają, że chcą tego, o czym oni nie myśleli wcale. Dziękując, przebacząc mścił się, bo to był Żyd, przebaczać nie umiał. — Jeżeli deputowani składali się z samej szlachty (to jest ludzi szlachetnych), to w tej chwili musieli wszyscy być karmazynami, przynajmniej na twarzach. — Zagłuszono wstyd poklaskami dla mowy; nastąpiły serdeczne uściski i zbratanie. Czy szczere? Mogę wątpić. —

Może Chrześcianie mieli także swoje powody, które niszczyły ich sympatyę dla Żydów, może w zbrataniu się z niemi widzieli swoją szkodę — nie mam im tego wcale za złe, ale to potępić

trzeba, że czując wstręt, nie mieli odwagi wypowiedzieć tego. Obłuda jest zawsze zbrodnią. Przysięgano sobie braterstwo w którego trwałość wielu wątpiło. Była to także maskarada.

Powiedzieliśmy, że deputacja żydowska składała się z światlejszych i postępowych, wyjechała więcej z własnej chęci i własnego natchnienia niż z woli wszystkich. Kazimierz nie brał w tem udziału, ale wiedział o wszystkim. Haszydzi oburzali się.

W dniu, w którym Deputacja żydowska miała wyjeżdżać, koło starej synagogi był ruch niezwykły; w mieszkaniu Daniela za szynkownią zeszło się kilku haszydów i żywo, wrzaskliwie rozmawiali; mowa ożywiona była gestami ruchliwymi i namiętnymi — wschodnia gorąca krew nieoziębła w ich żyłach, przebijała się w ich mowie i ruchach. — Pojadą, nie pojadą — to była oś ich rozmów. —

Izaak mówił mało, ale wszystkie muszkuły jego twarzy mówiły za niego; wątpliwość i oczekiwanie wprawiały je w drganie febryczne.

— Nic pojadą, mają rozum — szeptał wraz jakby do siebie.

W szynkowni zabręczały drzwi.

— Kohen (kapłan) idzie — odezwał się jeden. Otworzył się drzwi od alkierza, niski stary żyd wszedł, dotknął ręką talizmanu wprawionego w odrzwia (meziże) i rzekł:

— Szulem a laichem.

— Laichem szulem — odpowiedziano. Izaak nie mógł doczekać, poskoczył ku przybyłemu i spytał gorączkowo:

— I cóż?

— Pojechali. —

Żyd odskoczył jakby go wąż ukąsił, splunął na ziemię i zaklął. W alkierzu poczał się gwar, krzyk, lament jak w sądny dzień w bóznicy; tylko a zaciśniętych pięści rzucanych w górę można się było domyśleć, że nie modlą się, ale klną.

— Zapomniano o nich, jak o starych gałganach na śmieciisku, a oni poszli; tfu, bodaj się zapadli w ziemię jak rodzina Korrah, bodaj ich zaraza pożarła, bodaj poschnęli jak trzaski, bodaj ich dzieci i dzieci ich dzieci nie zaznały szczęścia!

— kłął Żyd w zaciekłości i oburzeniu. Straszny był Izaak w tej chwili, miotający przekleństwa jak piorunowe węże — oczy łyskały gniewem, usta miał pełne jadu i żółci.

Gdy się zmęczył wściekłością, usiadł między swoimi i mówił już powolniej:

— Goimy przywdziały stroje, w których ojcowie ich straszili naszych ojców; te pstrokato kontusze, patrzyły na ucisk Izraela, na bezprawia jakie im się działy — a oni poszli całować te szaty, co pachną naszą niedolą. Przekleństwo im.

— A nam niedola, gdy Goimom wrócą dawne czasy. —

Izaak się rozśmiał szydlerczo, zjadliwie.

— I ty wierzysz w to Dawid? — Nie bój się, rząd pozwolił im się pobawić, roztoczyć pawie pióra, ale w duszy śmieje się z ich radości — bo ma inny program. Wiem to od urzędników policyjnych, z którymi żyję. Są ostatki dla tego karnawału szlacheckiego, a wtedy będziemy drwić z naszych odstępców, którym spekulacją ta się nie uda i stracą na niej. —

Daniel słuchał z zajęciem i uwagą mowy syna, która w żydowskim języku wydawała się o wiele jaskrawszą i silniejszą; patrzył na niego z podziwem i cieszyło go, że syn taki mądry i że jest takim dobrym, prawowitym Żydem; kręcił pejsy z uciechy i przebierał nogami. Żona przerwała mu uciechę, zawoławszy go do szynkowni. Żyd niechętnie podniósł się i poszedł.

— Ny, a co?

— Dobry wieczór panie Danielu — odezwał się głos z ciemnego kąta szynkowni i ku szynkfasowi zbliżył się jakiś staruszek w niebieskim, mocno wytartym i łatanym surducie. To był stary szewc, Jan z Kleparza. Starość i zimno zrobiło go o wiele mniejszym; skurczony drżał od zimna.

— A to wy? a czego? — rzekł żyd z lekceważeniem.

— Może jaka robota będzie?

— Nie ma żadnej — i zabierał się do powrotu do alkierza.

Staruszek zdjął z siwej głowy czapkę i miał ją w rękach.

— Ale bo widzicie panie Danielu, mnie pieniędzy potrzeba; ja bym wam potem odrobił, a może i oddał, bo , i najniezawodniej wyjdą teraz na lwowskiej. —

Żyd się rozśmiał.

— Jak Boga kocham tak wyjdą, najwyraźniej śniła mi się dziś woda, pies i zielone drzewa, to akurat to liczby.

Zmiłujcie się panie Danielu, ja wam za pół darmo odrobię te pieniądze.

Żyd z żoną porozumiał się po hebrajsku, z narady wypadło, że pożyczyć nie można, bo szewca nie ma na czym patrzeć, a stary jest i cherlawy,

to lada chwila klapnąć może, więc nawet na odrodek liczyć nie można. Po tej naradzie Żyd wracał do alkierza.

— Panie Danielu, przez miłość Boską, nie rób mi tego.

— Nie, nie dam nic. Dajcie jaki zastaw, to co innego.

— I cóż ja dam? ja nic nie mam, tylko to co na mnie.

—• Ano widzicie — no idźcie, idźcie. — Staruszkowi oczy zaszyły łzami, rozpacz go brała; , i , numera, które trzymał już od roku, i na które się sterał, kołowały mu po głowie, widział je już w myślach wystawione na tablicy, jako wygrywające.

— Panie Danielu, choć dwa złote, oddam wam cztery za dni kilka.

— Zkąd?

— Wygram. —

Żyd się rozśmiał i rzekł do żony: „To głupi Goim.”

— Odrobię.

— Nie chcę, nie chcę bez zastawu — i odchodził.

— Czekajcie jeszcze — rzekł z rozpaczą Jan i chwycił go za poję — prośba i upór Żyda zmę

czyły go, osłabł z wysilenia, pot wystąpił mu na czoło, usiadł na brzegu ławki i błędne oczy utkwiał w ziemię; szukał w głowie sposobu dostania pieniędzy, ubłagania Żyda; muszkuły jego pomarszczonej twarzy drgały.

— Ny, czego mnie trzymacie?

— Czekajcie — prosił zadyszany staruszek — zaraz, zaraz, może co wymyślę, nie odchodźcie jeszcze. A! —

Puścił żyda, rozpiął surdut, zdjął go, potem zrzucił z siebie kamizelkę aksamitną ale wytartą, i spytał:

— Wiele dacie na nią?

— Ny, co to wart? wytarte do nici.

— Więc nic nie dacie?

— Kupię ją za krajcarów.

— Bodaj was Pan Bóg skarał za taką mowę rzekł stary ze łzami.

— Idźcie gdzie indziej, może wam dadzą więcej — odparł Żyd z flegmą.

Rozpoczął się targ. Daniel postąpił za radą żony do krajcarów. To wszystko było zamało dla Jana, zdjął więc brudną koszulę z siebie, dołożył zatabaczoną chustkę od nosa i ledwie za to wszystko wyżebrał półtora złotego, na , i . Żyd liczył mu krajcarami pieniądze na szyn

kwasię; on tymczasem wdziewał na gołe ciało łatany surdut i zapiął się pod szyję. Zapięcie szło z trudnością, bo mu ręce trzęsły się, może ze starości, może z wzruszenia, może z zimna.

— Nu macie, ale ośmiu krajcarów mi brak, nie mam drobnych, to jakże zrobić?

— Poszukajcie, poszukajcie.

— Nie mam, to może wódki się napijecie za te pieniądze?

— Eh, nie.

— To czekajcie, może kto przyjdzie z drobnymi. —

Jan czekał niecierpliwie, nikt się nie zjawiał; żyd odszedł do alkierza, żydówka robiła pończochę, nie uważając na niego. Janowi się spieszyło.

— No, to już dajcie wódki, dokądże będę czekał. —

Żydówka wstała powoli i nałała. Wypił dwa półkwatki, aż go zakrzusilo, odchrząknął, splunął i wybiegł do kantoru loteryi.

XII. TRAGEDYA BEZ AKTÓW.

Było już w wieczór, w izdebce szewca, przy dopalającej się świecy siedziała Tekla schylona nad białym szyciem — oprócz niej nie było w izbie nikogo, niewiele przesądę, gdy powiem, że nic nie było; ledwie najniezbędniejsze sprzęty zostały, tak wszystko nędza zjadła. Część rzeczy sprzedano, część zastawiono. Okropną była ta pustka, na którą czasami padały błyski migotającej się świecy.

Tekla szyła, ale robota szła jej niesporo; czasami ręce z robotą bezwładnie na dół opadały, a ona zapatrzwszy się w płomień świecy, zamyślała się smutnie. Dziś była u swej koleżanki z magazynu, dziewczyny młodziutkiej i niewinnej, która za kilka tygodni miała iść za mąż za cukiernika, z woli rodziców; cieszyła się naprzód swoim szczęściem, klaskała w dłonie, że będzie gospodynią i spowiadała się przed nią z oburzeniem, że jej narzeczony pocałował ją w szyję.

Rozmowa z tą dziewczyną była dla Tekli bolesną; pożegnała ją coperdziej i uciekła do domu

plakać i schować się przed oczami ludzkimi z hańbą swoją. Ale nie uciekła przed smutnymi myślami; przywlekły się za nią i trapiły ją. Patrzała w płomień od świecy i kiwała smutnie głową nad swoją niedolą. — Coś zaszukotało na schodach, wzięła świecę i poszła poświecić ojcu. Staruszek był trochę rozmarzony półwaterkami Danielowskimi, a może i czym więcej, stawał nogi niepewnie.

— Nie śpisz, pracujesz, moje dziecko — rzekł głaszcząc ją po twarzy — biedaczka, oczy poczerwieniały jak królikowi. Nie martw się Tekluniu, niedługo tego będzie, my będziemy bogaci, bardzo bogaci, odpoczniesz sobie wtedy.

— Dlaczego bogaci ojciec? — spytała dziewczyna, zdziwiona mową ojca, ale wcale bez radości.

— Dlaczego? o, patrzaj! —

Wyjął z surduta białą, wąską kartkę.

— O! , , , widzisz, te numera niezawodnie wyjdą, doradziła mi je lokajka od pani W., która już nieraz trafiła; wziąłem ją za to na szklaneczkę miodu, bo to dobre numera. Miałem ja inne: , , ; ale te lepsze, o wiele lepsze. Jeszcze trzy dni biedy, a potem uciecha Teklusi. Ty i Teos.....a nie Teofil, nie! on o nas

zapomniał, on nas nie zna — stary zasepił się przy tych słowach — nie, nie, Teofilowi nic, tylko tobie. —

I pocałował ją w głowę. Potem obejrzał się po pustej izbie jakby czegoś szukał.

— Ale ty tu może masz co do jedzenia, zjadłbym, bom jakoś czczy.

— Nie ma — odrzekła córka ze smutkiem.

— Nic nie ma? Może chleba kawałek.

— Nic, ale pójde do szynku, może skredytują.

— Nie, nie, nie Teklusi, nie potrzeba, możeby nie dali, my i tak winni dosyć. Ja się obejdę, ot tak tylko chciałem przetrącić, ale wolę iść spać, położę się — coś tu jakoś zimno. —

Poszedł do łóżka, odchylił kołdrę przykrywającą brudny wążki siennik i chciał się rozpinać — nagle sobie coś przypomniał, spojrzał na córkę czy tego nie uważa i położył się w ubraniu. Z liczb, co mu wciąż chodziły po głowie ułożył się sen ciężki, duszący jak zmora. Śniło mu się że , , , i były dziećmi jego, że nie wiedział, które ukochać, że gdy jedno odrzucał, to drugie płakały, krzyczały; więc brał i odrzucał naprzemiany i nie mógł się zgodzić na żadne.

— I trzy następne noce spał równie niespokojnie, zawsze w ubraniu.

Czwartego dnia zerwał się wcześniej niż zwykle i poszedł przed kantor loteryi. Tablice były puste, bez numerów jeszcze; kupka ludzi oczekujących niecierpliwie, je okrążyła i rozprowadano sobie o szczęśliwych wygranych, o dobrych snach o chybionem jednym oku. Jan słuchał i nie słyszał — on w tej chwili marzył, rachował.

— Już, już niosą — ktoś się odezwał. Kupka się poruszyła i rozsunęła, zaszukały tabliczki z numerami, wrzucane w przedziałki. — Jan zasadził okulary i przeczytał: , , numera które rok cały trzymał, a które teraz za radą lokajki zmienił.

Wrzasnął przerażająco, chwycił się rękami za włosy i upadł na kamienie aż jęknął.

Ktoś z obecnych znał go, wiedział o jego mieszkaniu i tam go odwieziono.

Zimne i sztywne ciało z trudnością wniesiono na górę, przybiegł Wasyl z lekarską pomocą.

— Krew puścić, rozebrać go. —

Rozpięto surdut, pokazało się nagie ciało bez koszuli i żadnego ubrania. Teklę ten widok bardziej przeraził, niż choroba ojca; zasłoniła twarz rękami i krzyknęła boleśnie. Wasyl pokiwał smutnie głową i szepnął:

— Ot nędzarze. —

Puszczono krew, chory dał znaki życia. Zanosilo się jednak na długą chorobę — było sparaliżowanie pacierza, a w skutek tego ubytek sił i przytępienie władzy myślenia; staruszek począł dziecińnic. W pustej izdebce bez wszelkich wygod niepodobna było trzymać chorego. Wasyl wystarał się dla niego o miejsce w szpitalu i kazał go tam przenieść. W izdebce na poddaszu została Tekla sama; nikt nie zajrzał do niej i ona uciekała i kryła się przed ludźmi, bo hańba jej codzien stawała się jawniejszą, chwila strasznego rozwiązania zbliżała się. Siedziała więc po całych dniach w domu, wychodząc tylko do ojca; pracowała ciągle z gorączkową pilnością, raz dla tego, że bieda ją zmuszała, a powtóre, że pilne zajęcie się robotą rozrywało jej myśli czarne. Nieraz kiedy sobie pomyślała, że za dni kilka lub kilkanaście hańba jej wydać się musi przed ludźmi, że wytykać ją będą palcami, a uczciwe dziewczyny stronić od niej — wzdrygała się, szalone, rozpaczne postanowienia przychodziły jej wtedy do głowy, myśl samobójstwa stawała jako jedyny pocieszyciel i kusila ją.

— Chryste Jezu ratuj! — wołała wtedy w wiel

kiem uciśnieniu i modlitwy chwytala się jak rozbitek deski.

Nikt nie wiedział o tych moralnych cierpieniach dziewczyny; cała ta tragedia wstydu, obawy, rozpacz, odbywała się bez świadków, wśród czterech brudnych ścian opustoszałej izdebki.

Jednego dnia przed południem siedziała przy piecyku z robotą w ręku; na blasze stał mały garnuszek z ziemniakami.

Mimo to, że pod blachą błyszczał ogień, w izbie było dość zimno; Tekli zsiniały i skostniały ręce tak, że igły utrzymać nie mogła. Położyła więc robotę na kolanach i grzała palce blisko nad blachą.

W tem ktoś zapukał do drzwi; zadrżała, tak odwykła od ludzi, tak się ich bała teraz. Odwróciła się i czekała.

— Kto tam? Niezamknięte. —

Nie zamykała drzwi, bo nędza lepiej niż klucz zamknęła je i nie puszczała nikogo.

Drzwi się otwarły — wszedł Wasyl. Tekla nie spodziewała się tego, chwyciła chustkę z poręczy łóżka i odziała się w nią.

— Dzień dobry panno Teklo — obejrzał się po izbie i zposepniał. Ta pusta izdebka, ta dziewczyna otulona w podartą chustkę, blada i zbiedzona, przykre na nim zrobiły wrażenie; choć był

przyzwyczajany do podobnych widoków, przecież tutaj oprócz nędzy coś więcej go uderzało, tu czuć było śmierć, albo nieszczęście jakieś.

— Cóż panno Tekło, co panna porabia? — spytał siadając na krawędzi łóżka.

— Pracuję.

— A cóż ojciec?

— Zawsze jednak.

— Przytomność wróciła?

— Przytomny jest, bo poznaje każdego, ale kiedy zacznie mówić, to się na płacz zbiera tak to wszystko nie ma związku, takie bezmyślne jak szczebiotanie kanarka. A wciąż te numera, te nieszczęśliwe numera.

— Wasyl patrzył smutno w ziemię.

— Biedny stary; ha, może i lepiej, bo co jego czeka dobrego na świecie.

— Jakto pan doktor myśli, że on niebezpieczny, może pan dziś był tam i....

Wstała, w oczach jej było przerażenie, chwyciła Wasyla za rękę i pytała:

— Co pan wiesz o moim ojcu?

— Nic, zapewne żyje, jeżeli to życie — tak pożyć może tydzień, miesiąc, rok; ale musisz się panno Tekło na to przygotować, że on już nie wyjdzie z tej choroby.

Dziewczyna zaszlochała.

— Ja wiem, że to smutno, ale cóż robić, umrzeć trzeba; od dzieciństwa wiemy o tem, a przyzwyczaić się do tej myśli nie możemy. —

Wasyl pocieszał po swojemu, czem jeszcze bardziej rozżalił Tekłę.

— Samej dziewczynie zostać, to ile, to niepodobna, ja to znam. Słuchaj mnie panno Tekło, ty tak sama zostać byś nie mogła, tobie by trzeba iść za mąż.

Dziewczyna spuściła oczy i poczerwieniła ze wstydu.

— Kto zechce biedną dziewczynę.

— Jesteś panna pracowita, to grunt. —

Nie wiedział jak dalej ciągnąć, ona milczała.

— No, a tak mnie naprzykład chciałabyś za męża?

— Żartuje pan Wasyl.

— Niech mnie piorun trzaśnie jeżeli żartuję. Spodobałaś mi się panna i kwita. Nie od dziś ja o tem myślał; czekałem aż przyjdę do czegoś, ale dziś czekać trudno, ty tak dłużej zostać nie możesz.

— Zostawcie mnie mojemu losowi — mówiła dziewczyn tuląca twarz w chustkę — ja nie mogłabym być panową żoną.

— Rusin nie przypadł ci do smaku, panno Teklo, szorstki i niezdarny, na żurnał by się nie zdał. Wy przywykłe po mieście do gładkich Łaszków i miodowych słówek, no, tego ja nie umiem, ale z tego nic ci panno nie przyjdzie — rozumiesz?

— Nie o to mi idzie panie Wasylu, ja umiem ocenić pańską zacną duszę i właśnie dla tego nie mogę was zwodzić. Wy powinni dostać cnotliwą i uczciwą żonę.

— A panna, alboż nie cnotliwa? — spytał Rusin zdziwiony.

— Oj nie — wyszeptala z trudnością i zaniósłszy się od płacu, ukryła twarz w fałdach derowej chustki. — Rusin zrobił duże oczy, popatrzył na nią badawczo i uderzył się w czoło. —

— Ot medyk a osioł, nie poznał się na tem, no bom ja na nią innemi patrzył oczami. —

Wstał, wyprostował się i spojrział pogardliwie na płaczącą dziewczynę i splunął:

— A czort by się znał na was. Po wierzchu wyglądacie jak święte na obrazkach, a w środku robaczywe, paskudne, pfuj. Bodaj was!....

Splunął, zaklął i wyszedł, zatrzasnawszy drzwi. Po jego odejściu dziewczyna załamała ręce i z sza

loną rozpaczą poczęła tłuc głową o ścianę; w oczach był wyraz dziki, nieprzytomny.

Wasył wrócił do siebie zły, Fedka wytłukł porządnie że nie przyniósł na czas świecy; chodził po izbie niespokojny, mrużąc i klnąc. Gdy się tak nachodził i umęczył, usiadł na posłaniu i począł już spokojniej rozmyślać.

— Taki prawda — mówił do siebie — że zbłądziła; no, ale ktoś ją namówił do tego — może z miłości, może dla pieniędzy, dziewczyna była biedną. Czort zna je czy ona winna, czy niewinna. —

Po tej refleksyi żal mu się zrobiło dziewczyny tak opuszczonej, bez niczyjej pomocy.

— Rady sobie nie da, trzeba by jutro zajrzeć, poradzić, pomódz; a potem jak się wygrzebie z choroby bierz cię czort, niech sobie idzie na cztery wiatry. — A to co? —

Przestał mówić do siebie i nasłuchiwał.

— Fedko, słyszałeś?

— Słyszałem Wasylenku, coś jakby pisk, jakby coś spadło. —

Krzyk się powtórzył w sieni, ale słabszy — i potem zrobiło się zupełnie cicho.

— Może koty latają — odezwał się Fedko.

— A może — potakiwał Wasyl i zabierał się do roboty. —

W sieni na dole zrobił się gwar, lament.

— Cóż to u licha być może? — rzekł, wziął świecę i wyszedł. W sionce koło poręczy potrącił o coś nogą, przybliżył świecę i zobaczył Teklę leżącą nieprzytomnie na ziemi; na dole ludzie skupili się około trupa dzieciątka z rozstrzaskaną główką. Czy dziecko wypadło z rąk omdlewającej, czy sama matka je zabiła — o to toczyły się żarliwe rozmowy.

Tłum ciekawych coraz się zwiększał.

— A to suka nie matka — wołała przekupka kleparska.

Dajcie jej tam pokój Kasprowa; dziewczyna biedna, wstyd przed ludźmi, a może i niewinna.

— Ale! niewinna! patrzecie jak łebek rozwalony jak nieprzymierzając orzech zgryziony. Oj, pasy bym darła z takiej djablicy.

— A wyście ta może lepsza — odezwał się kowal — a pamiętacie jak chcieliście raz w złości chłopaka waszego na śmierć zatłuc, ledwie go obronił.

— A wam djabli do mnie i do moich dzieci! Tłukę, bo moje, bo im pod pysk podstawiać mu

szę, a jak nie mam, to mi nikt nie da na to, rozumiesz Wasan. —

Kłótnię przerwała straż policyjna, która weszła rozpedzając tłum.

— Co się tu stało? — spytał kapral.

— Zabiła dziecko. O, ta! —

— Nie, nie zabiła — odezwało się kilka innych głosów.

Otrzeźwiono Teklę i choć osłabioną zabrano wraz z trupem dziecięcia do doróżki i zawieziono do kryminału.

— No, a sztoż teraz bude? — pytał drugiego dnia Wasyl Leona — doczka w kryminale, syna gdzieś djabli wzięli, trzeba chyba nam o starym pamiętać. Pójdiesz ty dziś do niego?

— Chodźmy. —

Mieli wychodzić, kiedy nadeszła komisja śledcza do zbadania faktu na miejscu; spisano protokół, potem udali się wszyscy do mieszkania zbrodniarki. W izdebce był nieład — na łóżku zmierzwiona słoma, podarta chustka, widocznie chora męczyła się bardzo; przy drzwiach wisiał zaczepiony o gwóźdź kawał oddartej spódnicy, co naprowadzało na ślad ruchu gwałtownego, nieprzytomnego. Przetrząsnięto łóżko, szafkę, nic nie znaleziono, tylko w szufladce małego koszła

wego stolika znaleziono złote kolczyki obwinięte w białą, angielską bibułkę, a potem w papier gruby i obwiązane szaremi nićmi.

— Za te kolczyki ją kupiono — mówił Wasyl do Leona, gdy szli razem na Wesołą do szpitala — ale to dziwna rzecz, że ich nie tchnęła, nie sprzedała, choć była w takiej biedzie. W tem coś jest — nie domyślasz się Leonie?

— Nie — może nie chciała tknąć rzeczy, za którą się sprzedała.
— Albo może kochała go? Ha i to być może — mruknął Wasyl i spuścił głowę.
Weszli na salę gorączkowych — zbliżyli się do łóżka Jana. Staruszek, gdy ich zobaczył, rozszerzył wychudłą twarz do radosnego uśmiechu.
— A, panowie, witam, witam.
— Poznałeś nas pan?
— O zaraz — pan doktor, a ten pan mi nieraz tabaczkę kupował: o znam, znam, niech panowie siadają. —
Usiedli na łóżku.
— No i cóż? — spytał Wasyl, biorąc za puls.
— A nic panie, , , podobno wyjdą teraz, trzebaby postawić.
— Dobrze, dobrze, postawimy później.

— A nie, uchwaj Boże, nie można później, tożbym sobie narobił, jak jeden mój znajomy, co.....jakżeż to było, nie pamiętam. Jakoś nie mam teraz pamięci. —
Chwycił się za czoło i macał rękami. Wasyl korzystał z przestanku i zmienił rozmowę na inny przedmiot.
— Cóż, apetyt jest? —
— Nie, panie konsyliarzu, nie ma — mówił chory, dziwne robiąc oczy — tak mi jedzenie każde zbrzydło, śmierdzi.
— To źle, trzeba jeść, bo ztąd siły — i wziął go za chudą rękę.
— Nie bój się pan, tutejszy doktor mówił, że ja nie umrę na suchoty, ja mam dobre piersi — o! — i rozpiął koszulę i począł mocno robić piersiami na znak, że zdrow.
— Hi, hi, hi, robi jak kowalskim miechem — odezwał się głos.
Leon się wzdrygnął, ten głos rozstrojony, zwierzęcy, słyszał już gdzieś; obejrzał się i zobaczył głupowatą twarz Błażka. Siedział przy nogach chorego leżącego na drugim łóżku — ręce wsadził między kolana jak w dyby, zgarbił się i gapiowato wytrzyzczał oczy, słuchając majaczeń szewca. Leon spojrzął na niego, to znowu

na chorego, przy którym on siedział i dziwne domysły zaczęły mu przechodzić do głowy. Spojrzął na tabliczkę wiszącą nad łóżkiem, tam stało inne nazwisko, nie to, którego się spodziewał. A jednak twarz leżącego taka szlachetna, choć sterana, kędzierzawa broda, oczy niebieskie, poważne a łagodne, do tego głupi Błażek — wszystko to przekonywało go, że domysły jego nie były mylne.
— Błażek — odezwał się po chwili, patrząc na głupca.
Chory ruszył się na łóżku i przyjrzał się Leonowi.
— Zkąd pan znasz tego człowieka? — spytał Leona.
— Zdaje mi się, że go widziałem w jednym dworze.
— Pan byłeś w tym dworze?
— Nieraz. —

Policzki chorego zarumieniły się, chciał coś mówić i zatrzymał się, oddech jego był przyśpieszony, dyszący.
— Ale zkąd to nierozumne stworzenie aż tu się przywlekło? — spytał Leon, topiąc w chorym spojrzeniu badawcze.
Chory się zmieszał.

— Ot, przyczepił się i przylazł za mną, że trudno go teraz kijem odpędzić!
— Instynktem poczuł swego pana, jak pies. — Choremu zdziczały oczy z obawy.
— Jakto? Pan mnie znasz? —
— Wszak pan Płoni.....
— Cicho — zatkał mu usta ręką przestraszony i obejrzał się w koło — cicho, na miłość Boską nie mów tego nazwiska, nie nazywaj tak żebraka i pijaka, bo to nazwisko noszą moje dzieci. —

XIII. WOLA BOŻA.

Kiedy Kraków szalał z uciechy jak żebrak, gdy się spije i zapomni o nędzy — Warszawa coraz więcej poważniała, uśmiech schodził z jej twarzy, kolorowe szaty spadały z jej ramion; z każdym dniem bardziej przypominała sobie, że jest tylko niewolnicą i od tej myśli zamknęły się jej usta, zdziczał jej wzrok. Ponuro przyglądała się zjazdowi monarchów, assafoetydą zaprawiała

ich uciechy i milczeniem straszyla ich. Illuminacja rządowych gmachów i pałacu Kosakowskich wyglądała na czarnym całuniecie nocy jak pogrzebowe światła i nie mogła rozjaśnić ciemności pustych ulic, na których głucho było milczenie; tylko deszcz i wiatr, jak ulicznicy, przechadzały się po mieście, gasząc światła i tłukąc okna. To była pierwsza niema protestacją niewolnicy; ale z czasem odważyła się na więcej, smętny, ponury pomruk niechęci stawał się coraz silniejszy, krystalizował się w słowa coraz wyraźniejsze, aż zabrzmiał głośną modlitwą:
„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!”

Po trzydziestu latach milczenia i ucisku pierwszy raz zdobył się naród na głośną skargę — ta odwaga kosztowała go pięć ofiar. Pięciu nowych męczenników z rozdartem!, krwawymi ranami, rzuciła Warszawa na kupieckie sumienie Europy i pod nogi papieżkiego tronu. I cóż? — Papież i Europa mieli swoje kłopoty i świeckie troski, jęk męczennicy przeleciał mimo ich uszów, jak jęk dzwonu nad gwarem jarmarcznym i echo nie przyniosło nam na pociechę nic, prócz podziwu. Ale dla Polski wieść o pięciu ofiarach, była jak prąd elektryczny, co przebiega po ner

wach paralytyka — drgnęła, chrzest krwi roznamiętnił ją do męczeństwa; z połamanami krzyżami, pieśniami, szły fale ludu na moskiewskie bagnety; było to coś jakby rapsod z ostatnich chwil konającego Rzymu, jak jedna karta wydarta z dziejów prześladowań Kościoła. Ruch ten patryotyczno religijny udzielał się szybko dalej, w coraz szersze rozrastał się kręgi i coraz więcej obejmował ziemi.

Leon patrzył na ten ruch, idący z woli Bożej, z uczuciem niewymownego szczęścia, jego marzenia o potędze ducha iściły się; przed ludem, co za broń miał krzyże złamane i pieśni, cofały się zastępy północnego tyrana. Przez ulice Warszawy tysiące ludu płynie, unosząc na swej fali pięć czarnych trumien, ubranych w palmy i cierniowe korony. — Moskiewski jenerał ze spuszczoną głową idzie oddać męczennikom ostatnią przysługę; władzę oddano w ręce delegacyi, a wojsko cofnęło się do kazamat; śmiały adres posłano do cara. I to wszystko stało się nie przez siłę fizyczną, ale przez siłę ducha, przez wpływ moralny, przez messyanizm, którego on był apostołem i wyznawcą. — A co? — spytał Leon jednego dnia Wasyla, wchodząc do jego mieszkania.

— Z czem? — odparł Wasyl, siedzący na posłaniu z ręką opartą o ławkę, służącą mu za stolik. — O czem chcesz mówić Laszku, coś wesołego stać się musiało, bo masz twarz tak rozjaśnioną, jakbyś ją w słonecznym promieniu wykapał.

— Ty się nie domyślasz powodu? Spójrz na ulice Warszawy rewolucyonisto i patrz jaka broń dzisiaj daje nam zwycięstwo. —

Wasyl rozśmiał się gorzko i pokiwał głową.

— Jako? tybyś i teraz chciał wątpić?

— Lachy, barany, idziecie na rzeź i cieszycie się, że idziecie spokojni i w porządku.

— Wasylu nie urągaj z chwili, której podobnej nie pokażą wieki długie. —

Wasyl się zerwał z posłania, jak zwierz zraniony.

— Chwila była wielka, wola Boża ją stworzyła, ja to wiem, ale patrz, co oni zrobili z tego natchnienia Bożego, jak zmamili tę chwilę? co?

— Me rozumiem cię Wasylu.

— Wiele wojska było w Warszawie podczas pierwszych strzałów?

— Czterdzieści tysięcy.

— Może i połowy tego nie było, ale przypuśćmy i to. Pojmujesz ty, co to jest czterdzieści

tysięcy wojska niewolniczego, bydłęcego wśród blisko dwukrociowej ludności, roznamiętnionej widokiem krwi, zfanatyzowanej patryotyzmem, gotowej na wszystko — to statek na rozhukanych bałwanach, to garstka zboża wśród rozpedzonych walców maszyny — można ich było zetrzeć ot tak, jak ten kawałek papieru. Moskwa stchórzyła, władzę, której nie mogła utrzymać, powierzyła w ich ręce, a oni co z tą władzą zrobili, na co jej użyli? — na utrzymanie porządku dla Moskali. Pfu! głupie Lachy! —

Uderzył się w czoło i począł chodzić żywo po izbie.

— Głupie Lachy, zaprzęły się do służby wroga, stali się policyntami Moskwy do utrzymania porządku i cieszą się z tego. A bodaj was Widzę ich, widzę te tysiące ludu groźne masą, groźne miłością wolności, idące przez ulice Warszawy ciche jak barany i kontente z tego, że ciche. —

— Błóżniesz Wasylu, nie pojmujesz wielkości tego ludu, jak nie pojmował lud żydowski pochodu na Kalwaryę.

— Więc znowu po męczeństwo ten pochód?

— Nie, tą razą po zwycięstwo; przed siłą

ducha, co jest w nas, cofnęła się dzicz, którą tylko siła cielesna ożywiała.

— Marzycielu, utopisto! stworzyłeś sobie marę, urojenie i cieszysz się nią i nie widzisz za nią nic i nie chce ci się uznać, że tęczowa bańka z tego samego mydła, którym brud zmywasz z rąk. Czy wiesz dla czego Moskwa przycichła? Bo się porachowała z siłami i uznała się słabą; ustąpiła więc, ale w chwili gdy się wy cieszyacie zwycięstwem, ona ściga wojsko. Za kilka dni innym głosem przemówi.

— Mówisz jak fałszywy prorok.

— Nie, mówię jak Kasandra; idę przeciw prądowi, a choć mnie unosi trudno milczeć, bo mi szkoda tego ludu Warszawskiego, który panowie tak za nos wodzą. Ludzie młodzi poczęli ruch i i oddali go w ręce starych, wątpliwych, na zatracenie. To stara rzecz w waszych dziejach — trzydziesty rok nic innego nie pokazał. Kto stworzył tę chwilę, którą ty nazywasz wielką? Lud, ulica. Kto szedł z piersią odsłoniłą przeciw czarnym lufom Moskali? Ten motłoch, ta ulica, co się nie rozumie na niczem, jak mówią herbownicy. Krew już broczyła ulice Warszawy, kiedy towarzystwo rolnicze obradowało o gospodarstwie, może o uwłaszczeniu, na które nigdy

zdobyć się nie mogli. A za dni parę w czyich rękach władza"? W rękach ludzi, którzy nie poczęli ruchu, nie chcieli go; to też nie dziw, że ci ludzie niczem więcej być nie mogli, tylko policyntami moskiewskimi; że nie mieli innego hasła dla ludu, tylko: spokój i porządek. I słuchano ich. Oj Lachy — kiedy Bóg was chce karać, to wam daje rozsądnych ludzi, ludzi starych! — Czegóż chcą starzy? — mówił dalej, już nieco spokojniejszy — starzy chcą stać na miejscu, jak ten woźnica, co trzyma konie i boi się ruszyć z miejsca, by go nie uniosły; rozum ich przewiduje tysiące niebezpieczeństw, na jakieby ich ruch mógł narazić. Psy nie lubią, gdy kto prędko leci i szcękają, bo im się zdaje, że to złodziej — coś podobnego robią starzy. Ruch i nowość to ich wrogowie; radziby widzieć świat takim, jakim go zastali, dla tego siłą się na wytlomaczenie młodym, że tak jak jest, jest dobrze, że inaczej być nie może. Gdyby Cezar — Napoleon — słuchali rozsądnych starców, świat by o nich do dziś dnia zapomniał.

Żeby z cierpienia, Z nieszczęść nawały wypłynąć, Trzeba się upić chęcią ocalenia. Skrzydła naprzeciw burzy wyteżyć, rozwinąć,

Trunku, namiętności trzeba,
Żeby wielka myśl urosła.
Potrzeba w dłoń szaloną żelaznego wiosła,
Żeby na kruchej łodzi dobijać do nieba. —

Rozumiesz? Te słowa powiedział poeta uchowany na waszych mogiłach, wśród ciszy smętarnego miasta — on czuł czego trzeba do czynu: trunku, namiętności trzeba, a wy go gasicie wodą chłodnej rozważi. O ! zapał to rzecz droga; nie w każdej chwili można go dobyć z piersi Judzkiej jak iskry z krzemienia; na chwile się liczy jego istnienie, a kto zmarni — to zbrodniarz.

— Zapału tego nie zmarnowano Wasylu; odrzucono wprawdzie myśl walki z zatrwożonym wrogiem, bo nie miano czem walczyć, bo zwycięstwo było wątpliwe, bo nie trzeba było siły fizycznej używać tam

— Gdzie była duchowa — stara twoja piosenka, w którą nie wierzę. Duch walczy z duchem, ale na siłę trzeba siły. Dzikiego zwierza nie pokonasz duchem, trzeba ręki i żelaza. —

— Pozwól mi skończyć — odrzucono więc walkę z wrogiem, ale nie ustąpiono przed nim : adres do Cara śmiały — to także walka.

— Nie, to tylko układy, które pożerają drogi czas i studzą zapał. „Nie upadł w nas dobry

duch (w chwilach stanowczych), tracimy go tylko wtedy, gdy nam zawczasie o pokoju lub lichej zgodzie polityka lub nikczemność myśli natracą; wtedy jedynie broni w ręku utrzymać nie możemy." Te słowa powiedział jeden z zacnych Lachów, starzec, co duchem wiecznie był młodym. Co znaczy śmiały adres do Cara od niewolników, adres nie poparty bronią i hukiem armat? Car naszle wojska, powie: małczat', nałóży kaganiec i obroże i będzie cicho. Pfu! szkoda ofiar, szkoda zapału tego ludu. Czytałeś przedstawienie cechów do Delegacyi?

— Nie. —

Wasyl dobył z kieszeni gazetę.

— Posłuchaj, tu w prostych i niezgrabnych słowach więcej się mieści rozumu niż w gimnastycznych mowach członków towarzystwa. Poczciwi robotnicy idą za mądrymi głowami, a czują, że źle idą, że idą daremno, Słuchaj: —

I począł czytać ustępy:

„Szanownej Delegacyi przedstawienie cechu Brązowniczego, Slusarskiego, Kotlarskiego a innych, majstrowie, tudzież czeladnicy.

„Dla tego my chodzili z processyami i śpiewamy za konstytucyą i znowu chodzić będziemy jak będzie potrzeba. A że były ofiary, to tak

widać trza było Boskiej Opatrzności; a nawet my gotowi jeżeli więcej trzeba i losem wyciągać, kto ma iść na ofiarę, choćby prosto na zarżnięcie, albo zginąć pod batami, jak to trzech woda wyrzuciła zawiniętych w słomę pod Zakroczymem, co ich z zamku do Wisły rzucili. Tylko jeżeli dla Ojczyzny nie będzie zmiłowania, to będzie źle." — Słyszysz Leon to groźne upomnienie Ludu? To będzie źle — on tu grozi i przepowiada, bo przewiduje. — Mówiąc te słowa Rusin zapatrzył się ponuro w ziemię, jakby czytał na brudnych deskach podłogi komentarz tego źle, tej przepowiedni rzuconej od warstatów ludziom światłym. Po chwili otrząsnął się z zamyślenia, podniósł gazetę do góry i czytał dalej :

„Powtóre, że dla czego nam nie dają podpisywać adresu za konstytucję, kiedy inni podpisali a do resursy nie puszczają; a zwłaszcza z twardego rzemiosła to już trzeba w świętecznym ubraniu — a jeden chodził po to do Komisarza cyrkulowego, to ten go ofuknął i jeszcze zagroził mówiąc: to nie wasza rzecz. A coby było niesłusznie, gdyż my za konstytucję gotowi i życie położyć, dla tego chcemy wszyscy podpisywać,

kto pisać umie, a kto nie umie, to znakiem krzyża świętego, o co wysoką Delegacya usilnie upraszamy.

„Co jeszcze powiadają, czy wy wiecie, co jest konstytucya? To my deklarujemy, że wiemy, jak nas ojcowie nauczali, jak było za królów polskich, żeby niesprawiedliwie nie wojować, tylko swojego bronić, a który kraj chce się przyłączyć, to dobrze — a nie, to wolna droga. Jeszcze żeby było prawo sprawiedliwe, coby go wszyscy słuchali, iżby była pobożność, uczciwość dla każdego człowieka ludzkość, tudzież wojsko polskie koniecznie." Wasyl skończył czytanie, twarz miał rozognioną, czarne oczy były wilgotne, a ręce — drżały:

— To mi lud — mówił uderzając w gazetę — patrz, ile tu rozumu i serca — to są młodzi; ci ludzie nie cofną się przed żadnym poświęceniem, z nich będą pierwsi męczennicy i pierwsi wojownicy — zobaczysz.

— Gdzie idziesz? — spytał go Leon widząc, że zapina surdut i bierze za czapkę.

— Idę przeczytać to moim robotnikom, tam w szynku, oni głodni takich słów, oni mi za to bardziej podziękują niż za chleb. Bądź zdrów.—

Leon wrócił do swojej izdebki i rozmyślał nad tem, o czym mówił z Wasylem. Rusin nie przekonał go, ale wśród rozmowy nawinęło mu się pytanie, czy się nie łudzi, czy chwila, od której ma się rozpocząć panowanie ducha i sprawiedliwości nadeszła już rzeczywiście — czy Moskwa ukorzy się przed tą potęgą, lub będzie z nią walczyć; czy długo naród utrzyma się na tej wyżynie męczeńskiej?

Te pytania męczyły go, nie umiał sobie odpowiedzieć na nie, czekał więc. Duszą wsłuchał się w życie Warszawy, uchem łowił wieści od niej.

I stało się' co przepowiedział Wasyl. Ledwie Moskwa do Warszawy zgromadziła znaczniejsze siły, natychmiast zmieniła postępowanie. Przybyły z Petersburga adjutant cesarski wyraża niezadowolnienie monarchy, poczytuje adres za nie były i usprawiedliwia go tylko chwilą uniesienia. Na uspokojenie zaś wzburzonego ludu rzucono obietnice małych reform, jako to:) Ustanowienie rad municypalnych z wyborów po wszystkich miastach.) Rewizję służby administracyjnej i reorganizację takowej.) Ustanowienie rady stanu rządzącej.) Zreorganizowanie całego systemu naukowego.

Obiecanki te przyrównane do śmiałych żądań

wyrażonych w adresie, wyglądały na ironję; toteż Naród pomrukiem niechęci je przyjął, wyjąwszy tych, którzy nigdy sprawy narodowej nie brali na seryo, dla których wszelki ruch był straszidłem, którzy byle czego używali za powód do umycia rąk od wszystkiego. Ci starcy ducha odłączyli się od narodu, a tymczasem ruch religijnonarodowy szerzył się, może nie tyle z zapału ile z propagandy. Wdziano żałobę, stawiano krzyże z godłami Polski, modlono się i śpiewano publicznie. Kręgi tego ruchu objęły i Kraków — dla bigotów starego miasta był to cios niesłychany, pokonano ich własną ich bronią — oni używali religii dla uspienia narodu, propaganda ruchu użyła jej do obudzenia. Zakłopotanie ich było widoczne i niepewność w postępowaniu wielka. Cóż robić? Potępić modlitwy, pielgrzymki, processy, które niedawno sami zalecali choć w innym celu, było niepodobieństwem; iść za ruchem, za prądem ulicznym, którego cel był tak sprzeczny z ich dążnościami, było tyle, co ostrzyć nóż na siebie. Przyczaili się więc chwilowo — stanęli neutralni na boku, przemyślując nad sposobami zaradzenia grożącemu niebezpieczeństwu. Ksiądz Aureli z całym zastępem dewotek i dewotów stali jak w oszańco

wanej twierdzy, patrząc na przeciągające zastępy niosące zamię krzyża, godło wydarte im z rąk. Pan Hilary zacierał ręce i cieszył się z tego. Kiedy inni tracili głowę, on przemyślał nad sposobem wydostania się na wierzch i układał już w myśli tryumfalny pochód po trupie księdza współzawodnika do więziłości w kółkach arystokratycznych. Widział niepodobieństwo owładnięcia ruchu, który się rozszerzał jak wezbrana rzeka, ale znał źródło jego; wiedział że nie sam zapał trzyma naród w ekstazie religijnej, ale silna praca agitatorów. — A jedynym z główniejszych był Leon; w ten punkt więc uderzyć postanowił — chciał się pozbyć tego człowieka.

Jednego dnia do mieszkania Leona ktoś zapukał — to był pan Hilary. Wszedł układny, grzeczny. Leon przyjął go poważnie i z pogardą.

— Jestem.....

— Wiem kto pan jesteś.

— Jakto, pan mnie znasz?

— Może lepiej by mi było żebym nie znał. — Hilary zgryzł obelgę w milczeniu; nie należał do ludzi obrażających się o takie drobnostki, gdy tego nikt nie słyszał, zwłaszcza tu, gdzie szło o przeprowadzenie planu.

— Jeżeli pan takie masz o mnie wyobrażenie, w takim razie wizyta moja u pana jest zbyteczną i daremną.

— Równie daremną była pańska wizyta w Policyi.

— Oszczyństwo.

— Mniejsza o to. Czego pan chcesz?

— Przedewszystkiem wiary ze strony pana w moją przychylność.

— To niepodobna.

— Wypadki się zmieniły, może też i wyobrażenia moje.

— W to wierzę — ludzie panu podobni często barwę zmieniać lubią i umią. Więc słucham.

— Przyszedłem ostrzedz pana, że groźna chmura zbiera się nad jego głową.

— O to jestem spokojny, nie mam powodu obawiać się burzy.

— Pan nie dbasz na opinię?

— W czymże miałbym się jej obawiać?

— Pan znasz barona Edmunda?

— Lepiej niż wy go znacie.

— Baron Edmund po odziedziczeniu majątku miał zamiary względem hrabianki Zatorskiej.

— On? — spytał Leon marszcząc brwi.

— Pan je udaremniłeś — masz w nim wroga.

Może i więcej ma powodów nienawidzenia pana, rozsiewa więc o panu hańbiące plotki wraz z panią Herminią, która także podobno nie należy do przyjaciół pana.

— Cóż może mi szkodzić zawiść starej rozpustnicy i człowieka podejrzaney uczciwości.

— Szkodzić każdy może i najlichszy robak — niech pan o tem nie zapomina; ludzie chętnie podają ucho oszczercom, którzy nawet miłość pańską do hrabianki umieli zużytkować na swoją korzyść. Utrzymują, że hrabia obawiając się wpływu pańskiego u rządu, przez który szkodzić

mu mogłes i konfiskaty dóbr w zabranych prowincjach skłonił się do oddania mu swojej córki, — Podli — syknął Leon z oburzeniem. — I ludzie chętnie wierzą, oszczerstwo szerzy się jak zaraza, jedni podają drugim. Panie Leonie, ani wiesz jak, wielu masz nieprzyjaciół; jedni cię nienawidzą przez zazdrość, drudzy dla tego, że cię nie znają, inni przez lekkomyślność, I dla takich ludzi poświęciłeś się. —

— Nie mąc mi pan duszy; jam się nie dla nich poświęcił, jeno dla idei.

— Czemże idea bez ludzi? Znam trudy i usiłowania twoje panie Leonie, korzę się przed ich wielkością, ale ci powtarzam: niewarto. I ja

kiedyś tak chciałem żyć dla ludzi, poświęcić im wszystko; ale gdy najszczerzy przyjaciele zwiedli gdy ci dla których się poświęciłem urągali ze mnie i poświęcenie nazwali szaleństwem, a inni przez głupotę złorzeczyli mi, plunąłem na wszystko i cofnąłem się jak żółw w skorupę. I ciecie czeka ta droga rozczarowania i z wątpienia.— Leon zapomniał kto do niego mówi; słyszał tylko treść jego mowy i zabolął w duszy, bo czuł po części prawdę tej mowy, bo i jego nieraz goryczą poił lud wtedy, kiedy z miłości dla niego cierpiał i pracował. Wewnętrzna boleść odbiła się na jego twarzy, zmęczony usiadł i spuścił głowę na piersi. Hilary dostrzegł skutku swej mowy, widział walkę na twarzy Leona i mówił dalej:

— Byłem, gdy tracono Konarskiego — wszak umierał nie dla siebie i nie za siebie, a przecież ci ludzie, dla których się poświęcił ruszali ramionami, zrzekali się wspólności z nim, męczennika nazwali lekkomyślnym.

— Nie kuś szatanie — zawołał Leon tak go te słowa ubodły.

— Porzuć, póki cierni nie wbito w twoją głowę, dopóki ci złość ludzka nie przebiła boku.

— Czy pan to tylko miałeś mi powiedzieć? —

— To.

— A więc skończyliśmy z sobą. Zostaw mnie pan mojemu losowi i nie troszcz się o mnie.

— Odpychasz pan usługi przychylnego człowieka. Może przyjdzie panu żałować kiedy tego. Żegnam. —

Po jego odejściu Leon załamał ręce; w piersi jego poczęła szaleć burza wątpienia: słowa Hilarego obudziły w nim wszystkie doznane od ludzi cierpienia, upokorzenia, przykrości, pogardy, zapoznania, wszystkie żale, i poczęło to trapić jego duszę, szarpać, kusić i szemrało jak chmura brzęczących komarów koło jego uszów : Nie warto, nie warto.

— Porzuć pracę, która cię trawi i prócz cierpień nic ci nie daje, żyj dla siebie a będziesz miał spokój i szczęście i dnie bez troski i w nocy sny miłe i dobry apetyt. Co cię obchodzić może świat, co cię obchodzą ludzie, igraszki, namiętności. Miliony lat, tysiące mędrców i apostołów nie przeinaczyły ich — i ty zniszczysz siebie a ich nie zmienisz. I przez zaciemnionę przepaście jego duszy, przeciągały blade postacie męczenników, osamotnione, potępione przez lud, dla którego się po . święcili, dla którego konali; i widział Sokratesa otulonego w płaszcz i czekającego na śmierć,

wśród malej gromadki uczniów — Chrystusa na Golgocie, opuszczonego od złęcznionych apostołów, patrzącego miłośnie na matkę i Jana. — I słyszał groźby ludu Florenckiego i widział jego zaciśnięte pięści przeciw swemu ulubieńcowi dawnemu, przeciw Sawonaroli, konającemu wśród płomieni — to znowu Husa na stosie, słuchającego przekleństw rzeszy ciemnej.

I zachwiał się Leon, i zląkł się tej drogi, po której miał iść dalej, natura ludzka w nim przemagała: zapragnął spoczynku, szczęścia; rodzinne życie nęciło go do siebie oczami hrabianki, fantazja malowała mu to życie najprzecudniejszemi kolorami. Ciemność i światłość rozłamały na dwoje duszę jego — z jednej strony widział ciche mieszkanie, spokojną pracę, piękną twarz swojej przyszłej, tu było tak zacisznie, ciepło, wygodnie — a z drugiej strony czerniła się burzliwa noc, po tej nocy on szedł z latarnią w rękę, mocując się z pędem wiatru, co go wstecz cofał, szedł koło więzień strzeżonych bagnetami, koło szubienic skrzypiących; mijaly go kibitki z twarzami blademi wysłańców i wycie wichrów mówiło mu: to twoja przyszłość — droga i praca bez odpocznienia, a koniec za kratą, w zawiei sybirskich

lodów lub na haku! — Zadrzał przed tą myślą i zasłonił twarz rękami.

„Idź, droga choć przykra, ale piękna, droga zasługi” — odezwał się w nim głos — to było echo słów ojca Adryana, które słyszał w Bielańskiej pustelni — z tego wątku snuł dalsze myśli, które mu dobry duch podszeptował, i zobaczył odwrotną, piękną stronę swoich posepnych widziadeł. — Zobaczył, że choć prorocy ginęli zapoznani, prace ich i słowa nie przepadały, i w późnych latach niosły owoce. Żadna kropla krwi, żadna łza, żadne słowo nie pada marnie, każde ma swoje następstwa, swoją nieśmiertelność. W tym względzie mistycyzm i materyalizm schodzą się ze sobą z tą różnicą, że pierwszy zły lub dobry, wpływ człowieka na drugich robi zależnym od zastępu duchów złych lub dobrych, otaczających nas, podczas gdy materyalizm przypisuje go wyłącznie człowiekowi i mówi: trzeba unieśmiertelnić czyny, gdyż duszy nie unieśmiertelnić.

Trzeba nam koniecznie w to uwierzyć, że każdy zły lub dobry czyn człowieka — to płodna macierz długiego szeregu innych czynów w nas i w innych, że każde nasze słowo ma pod sobą gałęziste drzewo genealogiczne. Ztąd waga słów i czynów, które się w następstwach unie

śmiertelnie mogą w aniołów lub szatanów. Każdy z czytelników doświadczył zapewne nieraz że często kilka słów mimochodem zasłyszanych, które wpadły do bogatych spichrzy jego pamięci, mimo woli i wiedzy, że jakieś uliczne zdarzenie, pochwycone jednym rzutem oka, jakaś twarz, której nie mieliśmy czasu się przypatrzeć, później zmartwychwstaje w nas, w stanowczych wypadkach stanowi i rozstrzyga, jest nieraz drogoskazem na heraklesowych rozdrożach i takie widmo czarodziejskimi dłońmi często nas zatrzymuje, lecących w przepaść — to wpycha w nią, to nas odstrasza od złego, jak szubienica zbrodniarza, to wabi, jak ulicznica do siebie.

Weźmy przykład:

Ojcu, włóczącemu się po brudnych zaułkach miasta, w gronie podchmielonych towarzyszy, szukającemu rozpustnych nocnych pohulanek i roskoszy, zdarzy się, że usłyszy płacz jakiegoś dzieciaka — przechodząc, rzuci

okiem w małe, niskie okienko obdartego domku i zobaczył nędzę oświetloną ogarkiem świecy, a wśród tej nędzy kołyskę, a nad kołyską ogorzałą twarz wyrobnika i schorowaną żonę jego. Oboje patrzą w kołyskę, i od kołyski coś, jak światło słoneczne, rozjaśnia ich twarze. Zobaczył to jednym rzutem oka; coś

mu się przypomina, coś go zakłóło pod żebrami; milczkiem opuszcza towarzyszków i wraca spiesźnie do domu i całuje dziecko swoje i ściska żonę, zdziwioną tym wybuchem czułości. Jakaż to misterna plątanina wpływów ludzi na ludzi! Płacz nieznajomego dziecka rzucił się jak przepaść do nóg temu ojcu, by oddzielić od złamania małżeńskiej przysięgi, od rozpusty.

A teraz odwrotna strona: Młody chłopiec w domu swoich rodziców, lub innych ludzi, zobaczył jakiś nieprzyzwoity ruch, jakieś wsteczne usłyszał słowa, był świadkiem może jakiejś brzydkiej rozpusty — nie strzeżono się przed nim, bo był małym, bo nie rozumiał tego. On to zobaczył i zapomniał. Ale kiedyś potem, gdy dorósł w młodzieńca, w któreś gorące południe to słowo, ta rozpustna scena, wypełzały z jego pamięci, jak gad na słońce, ubrały się w lubieżne kształty i fantazja jego młoda uprzytomniła sobie pokusę; pieści się nią i z wszech stron obgląda, krew ogniem, ławą tłucze się po żyłach młodego, namiętność burzy spokojną pierś, porusza męty nieczystych myśli — ten człowiek grzeszy, rzuca się . w otchłań rozpusty bez wędzidła, zkaąd go często doktorzy wywloką wpół nieżywego jak gladyatora z cyrku. Cóż go rzuciło na tę arenę rozpusty?

Jedno słowo, jeden nieprzyzwoity ruch nierozsądnych rodziców.

Tak moglibyśmy odszukać skutki i następstwa każdego naszego czynu, każdego słowa; trzeba tylko odrzucić pozorną maskę przypadków, jak się zdziera skórę z trupa, a zobaczylibyśmy sieci żył i nerwów, przyczyn i skutków; zobaczylibyśmy, że przypadku w świecie nie ma, że każdy zły i dobry czyn ma swoją następstwa, że winy lub cnoty ojców przechodzą na dzieci i potomków i te następstwa, które są koniecznością, nazywają się przeznaczeniem. Nadeptnięcie podrastającego krzewu zmienia kierunek jego wzrostu; złe życie rodziców psuje dziecko i zmienia kierunek jego przeznaczenia. Cierpienia nasze od" stu lat prostują w nas to, co było skrzywionem — to nasze przeznaczenie na teraz. Czytelnik uważny, w zdarzeniach osób niniejszej powieści, pozna, że ta myśl przewodniczyła mi, że chciałem, o ile mogłem, rozwiązać sobie zagadkę przeznaczenia, wolnej woli, opatrności i dopatrzeć związku między życiem pokoleń nowych i tych, co przechodzą lub przeszły. Książę Ireneusz jest jednym z ludzi, na których widocznie cięży przeznaczenie; to potomek win i błędów ojców, to też, mimo chęci i dobrego serca, ten człowiek nie

umie zdobyć się na nic, nic stworzyć; tam gdzie się wmiesza w akcję, niesie za sobą nieszczęście; na nim spełnia się kara i pokuta za przeszłość. W innych osobach powieści ta sama myśl mniej więcej się uwydatnia.

Wracam do Leona.

Słowa ojca Adryana wzmocniły go, a lubo lęk przed trudami życia nie opuścił go, przecież nie cofnął się już, bo w przyszłości widział owoce tych trudów — rzucił się na kolana przed czarnym krucyfiksem i modlił się dwoma słowami:

— Boże! spokoju! —

Modlitwę przerwał mu gwar uliczny, jakieś krzyki. Wstał i poszedł ku oknu. W stronę kościoła św. Floryana pędziło dużo ludzi, między nimi kilku policyantów; tłum zatrzymywał się przed domkami po kolei i szedł dalej.

Wasył wracał ztamtąd.

— Co to się stało? — spytał go Leon.

— Jakiś złodziej umknął dozorcóm policyjnym — ma to być szczwany lis, jeden z tych, co w październiku okradli kościół św. Jana; już nieraz im tak umykał — nazywa się podobno Żelazny. —

Leon się wstrząsnął i odskoczył od okna.

XIV. ZŁOŚĆ LUDZKA.

Pan Hilary nie kłamał, ostrzegając Leona o knowaniach Edmunda i pani Herminii; chciał on użyć tego środka do zastraszenia niebezpiecznego propagatora ruchu religijnego i pozbycia się go. Że to mu się nie udało, wrócił do mieszkania księżstwa w kwaśnym humorze, przemyślający nad nowym sposobem.

— Ani byście się państwo nie domyślali — rzekł wchodząc — zkad wracam.

— Pewnie z jakiej patryotycznej procesyi — rzekł książę.

— Strzegę się podobnych rzeczy, butowi patryoci nie złapią mnie na ten lep. Byłem przecież w miejscu gorszeni.

— Gdzież więc? — spytała niecierpliwa Herminia.

— W mieszkaniu głównego wicherzyciela — u Leona. —

Pani Herminia aż się wstrząsnęła i zrobiła na twarzy wyraz obrzydzenia.

— To niepodobna.

— Chciałem go zastraszyć i łatwym sposobem pozbyć się go. Nie udało się, nie uląkł się.

— Tego się należało spodziewać, podobni ludzie mają zawiele bezczelności — rzekł Edmund.
— Przedstawiłem mu, że go potępia opinia publiczna, że należy mu się cofnąć.
— A on? — spytał Edmund i wyraz brzydkiej radości zaskrzył się w jego oczach.
— Odrzucił radę.
— Drwi z opinii, której brak dowodów na potępienie go. Tą razą się omylił, dowody są.
— Co? — zapytali chórem: książę, pan Hilary, pani Herminia. (Księżnej nie było w domu.) — Pan masz dowody?
— Mam list pisany z Warszawy do Leona, na ręce jednego z moich kolegów, który sobie pozwolił go otworzyć. Z tego listu dowiedzieliśmy się naocznie, że wielki patriota, jest tylko usłużnym agentem rządu rosyjskiego. —
Tu wyjął z tryumfującą miną list z pugilaresu.
— Tym listem i kijami wypędzimy go z Krakowa. —
Pani Herminia była rozpromieniona; dzika radość tygrysicy, gdy łup trzyma w łapach, rozjaśniała bladą twarz jej.

— Panie Edmundzie, zasługujesz na naszą wdzięczność — ochronisz miasto nasze od zarazy, która się w niem szerzy. Widzę już minę hrabiego Zatorskiego, gdy się dowie, jaką karierę zrobiła jego pieszcotka, zaślubiając szpiega. Ha, ha, ha! —
Rozśmiała się zjadliwie, drwiąco.
— Hrabia Zatorski będzie miał jeszcze czas cofnąć się — rzekł Edmund.
W tej chwili pan Hilary spojrział na niego badawczo, podejrzliwie. Edmund się zmięszał, jak człowiek schwytyany na złodziejstwie, spuścił oczy, by stary nie przeczytał do reszty jego planów.
— Oby panu Edmundowi udało się jak najlepiej — odezwał się pan Hilary dwuznacznie — spadłby nam wielki ciężar z głowy, ale to jeszcze nie wszystko, i zawczasie wołamy: „Jo triumphe!” Pozbędziemy się głównego wichrzyciela, ale zostaną ci, których on obalamucił; przez zgraję zapaleńców miasto zostało wprawione w ruch, który nie ustanie choćby samą siłą bezwładności, i Bóg wie jak daleko pójdzie.
— Stwarzasz nowe niebezpieczeństwa mój Hilary — odezwał się książę, którego to już trochę nudzić zaczynało.
— Aby im zaradzić. Mam bowiem maleńki

planik: stwórzmy opozycję. Mieszczaństwo zaprzestało zabaw i uciech — my je podejmijmy, mieszczaństwo i młodzież rwie się do żałoby i niby polskich strojów — my trzymajmy się stroju Europy, narodów ucywilizowanych.
— To niepodobna, sterroryzują nas i zmuszą byśmy po owczemu poszli za nimi — zauważył Edmund.
— Zaczniemy demonstrację w naszych salonach, pocichu, bez hałasu; z czasem pod opieką policji, której się pewnie uprzykrzą burdy tych butowców, będziemy mogli śmieiej wychylić się na ulicę; wreszcie młodzież nasza powinna się zdobyć na otwartą opozycję, złożyć stowarzyszenie, któreby udaremniało wszelkie ruchy reszty młodzieży i wyśmiewało jej szat patriotyczny. Jestem pewny, że takie stowarzyszenie się uda i wkrótce urośnie w liczbę: każdy woli się bawić. jak smucić, tańczyć, lub śpiewać psalmy.
— Bawić się? A wiesz co mój Hilary, to doskonała myśl — panie muszą nam być pomocne. —

(Tu pani Herminia zrobiła ruch gotowości; niedziw, ona już nie miała czasu na czekanie do końca żałoby, karnawał jej życia już się kończył.

— Będziemy się bawić — ciągnął książę — to rozumnie; odżyłem jakoś tą myślą, bo już bałem się, że umrę z tych nudów. Będziemy się bawić, mój Adolf musi się rozruszać, musi dać przykład; u nas pierwsza zabawa. Na tem skończyło się posiedzenie — wstecznicy rozeszli się zadowolnieni z siebie i pewni zwycięstwa. — Edmund nie zasypiał, chodziło mu o zdeptanie Leona pierwej, nim by ślub z hrabianką Zatorską przyszedł do skutku: to był główny powód jego czynnego zajęcia się sprawą. Wkrótce rozeszła się po mieście wieść o liście do Leona; źli, niechętni i nieświadomi szerzyli ją i powiększali — najczarniejsze podejrzenia miotano na tego, którego musiano tak długo szanować. I Wasylowi dostało się coś przy tem. Większa część młodzieży wiedziała już o liście; Leon i Wasyl nie wiedzieli jeszcze, ani przeczuwali tej burzy jaka im groziła i warczała z tyłu za nimi. Chmury nienawiści coraz czarniejsze występowały na ich horyzont, a nie widzieli ich jeszcze, bo mieli oczy zapatrzone w inną stronę. Szczególniej Wasyl w tych kilku dniach był w dziwnem zamyśleniu: w duchowem jego życiu stała się wielka przemiana. Dotąd (jak to mogliśmy uważać) Wasyl stał

na stanowisku czysto ruskiem, a choć kochał Polskę kochał ją nie jako syn, jeno jak sprzymierzeniec. — O Polakach zawsze mówił wy.

— Ruś to osobna ziemia — mawiał nieraz — ma swoją historję, swój język, swoją wiarę; jeżeli Polscza uszanuje braci, Ruś będzie z nią, jeżeli nie — to kwita z przyjaźni — nam nie trzeba opieki tylko braterstwa. —

Te myśli ciągle mu chodziły po głowie, ciągle obawiał się, że by przy połączeniu się z Polską Ruś nie straciła nic na swej wielkości; jemu szło o to, aby Ruś świętą znać było w Polonii, dla tego dbał zawsze o utrzymanie różnicy, podziału. Uważaliśmy, że często mieszał ruskie słowa do polskich, nosił się z ruska, zgoła bał się, by go kto nie posądził, że on nie Rusin.

Teraz od jakiegoś czasu zmienił się bardzo pod tym względem; raz nawet wyrażając się o ruchach w Warszawie powiedział: my Polacy. Zmiana to była wielka, tem bardziej zadziwiająca, że w tak krótkim dokonana czasie.

Zobaczmy powód tej przemiany:

Przewracając raz papiery swego kolegi prawnika także Rusina, znalazł duplikat jakiejś prośby, w której wyraził Rusin często się powtarzające zwróciły jego uwagę.

— Co to jest? — spytał kolegi.

— Sprawa jednego z klientów adwokata X. — dość ciekawa, przeczytaj. —

Wasył wziął akt w rękę i czytał.

Jakiś strażnik finansowy Dzenowicz czy Drenowicz Wiktor, były mandataryusz, oddalony ze służby jako poborca podatkowy w Kronstademie, podawał przez adwokata prośbę w języku niemieckim do Najwyższego Sądu Kasacyjnego w Wiedniu Lipca . L. . powołując się na swoje poprzednie zasługi. Prośba tak brzmiała*:

„Podczas mego urzędowania w Żółkwi przy c. k. urzędzie kameralnym, wybuchła, w skutek Bankietu reformy w Lutym, przez Odillon Barrota we Francji urządnego, powszechna rewolucya w Europie i objęła swemi zgubnymi płomieniami także Galicyę. Przy znanej słabości ówczesnych, urzędów stała się wnet Galicyą, w skutek napływu Emigracyi ze wszystkich krajów Europy i miejscowych malkontentów, ogniskiem rewolucyi. — O całkowitem oderwaniu jej od Austrii publicznie rozgłaszano; cesarskie godła bądź całkiem zdjęto, bądź zakryto; nie

* Autentyczne

mniej urzędnicy byli wyszydzeni, znieważani, do nieczynności i wyjazdu zmuszani, a ogólny stan rzeczy przez powszechny terroryzm tak niebezpieczny, że stanowisko ówczesnego Namiestnika hr. Stadionia do zera się prawie redukowało. — Ciężkiego doznał prześladowania w tym czasie wierny rządowi c. k. Radca kameralny terazniejszy mój zwierzchnik, August May: podczas kocięj muzyki zrobionej przez rewolucjonistów, był ten zacny człowiek narażony na utratę życia i ledwie zdołał uchronić się przed centnarowemi kamieniami lecącemi przez okno. —

„Oburzony takim zuchwałem postępowaniem polskich rewolucjonistów, zważywszy w jakim niebezpieczeństwie znajdował się rząd przez nagły wzrost Gwardyi narodowej polskiego rewolucyjnego wojska, powiedziałem w pierwszych dniach rozruchów do c. k. radcy kameralnego Augusta Maya: „Moja służba przy urzędzie kameralnym ustaje na czas jakiś; wielką misję mam spełnić, bo Cesarz i ojczyzna są w niebezpieczeństwie; powszechny terroryzm ugniata kraj a nikt nie bierze inicjatywy w odważnym czynie. Wymyśliłem plan na zniszczenie machinacyi Polaków i chcę przysłużyć się rządowi cesarskiemu. Hrabia Stadion zapoznaje nasze polityczne stosunki,

przeniewiercze ministeryum daje wszędzie koncesyje, które się nie zgadzają z dobrem państwa i o upadek przyprawić je mogą!! — Gdym to powiedział c. k. radca kameralny rzucił mi się w ramiona, całował mnie serdecznie i radził udać się natychmiast do hrabiego Stadiona, celem przedłożenia mu mojego planu.

„Otrzymałem więc pod pozorem słabości nieograniczony urlop i udałem się najprzód do kanonika w Żółkwi Błońskiego z Biberstein, posiadającego wielką przychylność ludu i temu moje przedsięwzięcia przeciw Polakom oznajmiłem i naradziłem się z nim nad ułożeniem p r o k l a m a c y i do Rusinów, której podpisanie on mi uroczyście przyrzekł.

„Ucieszony pomocą takiego patrioty jak kanonik Błoński, udałem się do namiestnika Galicji hr. Stadiona do Lwowa i podczas otrzymanej audyencji oznajmiłem mu mój plan, że w obecnym położeniu rzeczy nie ma nic lepszego, jak obudzić w Rusinach myśl narodowości, rozburzyć ich przeciw Polakom, aby się wzajem ścierali, a w końcu zniszczyli — i t. d.

Hrabia Stadion z wielką pochwałą przyjął mój plan przeciw rewolucyi, upomniał mnie, abym mą

drze postępował w mojej czynności, aby można uniknąć krwawego starcia i obiecał mi przytem moralną i materyalną pomoc ze swej strony.

„Powróciłem potem do domu kanonika Błońskiego, ułożyłem tam wydane później w drukarni Poręby we Lwowie proklamacye do Rusinów w ruskim, niemieckim i francuskim języku i po podpisaniu tychże przez kanonika Błońskiego i przezemnie, następnie po porozumieniu się ze starostą Martiniczem i obersztem huzarów Baronem Barco, oznaczyłem na narodowe zgromadzenie dzień Maja w mieście cyrkularnem Żółkwi.

„Po odbytem nabożeństwie przez infułata opata Bazylianów Chomczyńskiego, udało się zgromadzenie do sali Kasyna; lud wiejski nappełnił rynek i ulice. Przy tej sposobności obrało zgromadzenie narodowe kanonika Błońskiego na prezydenta, a mnie na sekretarza. Uroczyście ślubowałem wtedy ludowi i wziąłem sobie wtedy za dewizę: „fidelis imperatori et Ruthenorum genti," — i „flamans pro recto."

„Zgodnie z moją proklamacyą ułożono statuta na posiedzeniu zgromadzenia narodowego i już w artykule gim tychże umieściłem: że każdy

członek przysięże uroczyście uznanie całości państwa Austryackiego i na przypadek napadu będzie gotów majątek, życie poświęcić dla Cesarza i ojczyzny, do którego to celu uformuje się i uzbroi korpus pod nazwą cesarsko austryackich Kozaków, który rozkazom cesarskiego Generała en chef podlegać będzie.

"Po ułożeniu statutów powstała prawdziwa radość i wołanie: Niech żyje Cesarz Ferdynand! Niech żyją Rusini! Precz z rewolucjonistami Polakami!" —

— No, a co? przeczytałeś?

— Przeczytałem — odrzekł Wasyl powolnym głosem, patrząc ponuro w ziemię; zmiął papier rzucił od siebie, potem potarł ręką zachmurzone czoło.

— Bądź zdrów — rzekł do kolegi i wyszedł.

Długo z głową na piersi zwieszoną chodził po plantacjach, zdziczałe od smutku oczy spuścił w ziemię i coś mruczał pod nosem. Gdy wchodził po schodkach do swego mieszkania, uszów jego doleciał śpiew chłopięcy, rzewny. To Fedko śpiewał piosnkę ruską:

W nedilnonko rano — sinoje more hrało.... Zmarszczył się jeszcze bardziej. Fedko zo

baczywszy brata nie przestał śpiewać, bo wiedział że on lubi ruskie dumki, więc nucił dalej:

Oj to ne more hrało

— Cicho — rzekł Wasyl opryskliwie.

Chłopiec urwał pieśń, zestrachany patrzył na brata z zdziwieniem.

— Jakto Wasyleńku, ty nie chcesz żebyś śpiewał nasze ruskie dumki —

— Taki i chciałbym, ale co z tego? Co po ruskich dumkach, gdy Rusi świętej nie ma już.

— To ty zabył ziemi swojej?

— Co miał zapomnieć, ale ziemia sama to jeszcze nie Ruś, nie Ruś. Nie ma Rusi chłopcze, tej Rusi, co miała hetmanów swoich i swoją chorągiew — tej Rusi nie ma, i ją i jej synów przykryły mogiły — a tę naszą nową Ruś to stworzyły szelmy, podli ludzie, złodzieje, nie warci nosić ruskiego miana. Oni skalali naszą Ruś, że wstyd przyznać się do niej.

— Jakto Wasylu?

— Kiedyś ci to wszystko opowiem, dziś nie, bom zły. —

Siadł na posłaniu, łokciem wsparł się o ławkę, i dumał.

— I ci podli obalamucili lud i powiedli go

za sobą. I ja roilem zawsze, żeby Ruś była niezależna, ale nie żeby szła tam, gdzie oni ją prowadzą. Co tu robić? Co tu robić? —

To myślenie męczyło go, nie mógł dać sobie rady, szarpnął się za włosy, wstał i chodził.

— Prawych Rusinów garstka mała, nie przeinaczy ludu i sama zginie bez wieści, gdzież jej droga, gdzie przytułek?

W duszy powiedziało mu coś: Polska.

— Tak Polacy tego chcą, czego i my — a apostaty chcą zmoskwicć Ruś. Leon dobrze powiedział — nie rozdrabniajmy się na kółka kółeczka, bo nas zjedzą — nam trzeba owszem łączyć się. —

Od tego czasu Wasyl zmienił się, jak to wyżej powiedzieliśmy — ruch w Warszawie wzmagający się co chwila mimo prześladowań, stanowczo przechylił go na tę stronę, do której się nakłaniał i rozstrzygnął walkę w piersiach Rusina. Tu zaczynano pracować, nadzieja świeciła a Ruś bałamucona przez Świętojurdów spała jak chłop uparty, któremu po zniesieniu pańszczyzny nie chce się wyjść na robotę.

Tak przemienionym zastajemy Wasyla teraz w jego mieszkaniu, zajętego pisaniem jakiegoś listu. List musiał być ważny, bo go pisał przy

drzwiach zamkniętych. Fedko pod oknem wyklejał białego orła na chorągiewce.

— Fedko — rzekł Wasyl pieczętując list — zbież się, pójdziesz oddać ten list, wiesz już gdzie. Tylko przezornie chłopcze, lepiej połknij, niżbyś miał zgubić; rozumiesz? —

Fedko wziął czapkę, rzucił oczami na list i przeczytał na kopercie: Paryż.

We drzwiach uderzył się z Leonem, który wszedł do mieszkania Wasyla dziwnie czegoś rozirytowany.

— Co ci jest Leonie.

— Zaczynam wątpić — odrzekł tenże.

— Spodziewałem się tego, wasze śpiewy i demonstracje religijne nie wytknęły sobie celu, to też same z siebie upaść muszą; bo trudno utrzymać ducha w takim nastroju ciągle, a gdy słabnąć zaczyna, cóż mu pokażesz, jakąż mu dasz nadzieję, aby się podniósł i ożył?

— Nadzieję przyszłego zwycięstwa.

— Wyrachowaną, na miliony lat, której mikroskopem dopatrywać się trzeba.

'— Moznaby ją zbliżyć, gdyby nie było tyle złej woli. Ale tu tak wszystko rwie się i psuje. Jokejklub szaleje, starsi zamiast zganić rozpustę protegują ją i pobbają ją, jedynie dla tego,

aby nas osłabić. Och podle, źle. Córki i synowie domów, których winy sypały Polsce mogiłę zamiast w worki szare wieść i posypać się popiołem i pokutować za błędy ojców, szaleją, marnotrawią czas i pieniądze. Och podle, podle. —

— Wiesz dla czego Mojżesz czterdzieści lat włóczył lud żydowski po puszczy? Bo chciał wytracić pokolenie, co znało egipskich bałwanów. I nam trzeba by wytracić to pokolenie, które znało herbowe znaki, fawory moskiewskich dworów. Wśród powszechnej żałoby ono się stroi i bawi, bo nie zna nędzy; trzeba je zubożać, ubrać w torby dziadowskie, a wtedy chyba zapłaczą z nami. Dobrze radził Kołłataj rzezać tych łotrów. —

— Nie dość na zabawie, niszczą naszą pracę gdzie mogą i czem mogą. Czytałeś „Zamiar dziennika Wiary.”

— Nie.

— Sumienie oburza się na te zbrodnie jakie oni osłonili płaszczem wiary. Wiara ma bronić wolności ubierania się i noszenia po francusku; wiara ma usunąć Żydów od praw obywatelskich, przytłumiać ruch węgierski i słowiański, utworzyć zakon rycerski dla papieża. Jakaż tu wsteczność

w ciemnotę średniowieczną. Boże! czem tych ludzi przekonać można, że źle robią.

— Sztyletem. W zawierusze rewolucyjnej nie śmiałyby się odezwać z takimi słowami, bo by go to kosztować mogło wiele; dziś pod opieką despotyzmu, schowani pod trony, śmiało szczekają na nas, jak psy pokojowe i nie dają pokoju do pracy. — Słuchaj mnie Leonie, dokąd wasz ruch zaprowadzić was ma?

— Modlitwą i wytrwałością chcemy zdobyć to, czego żelazo zdobyć nie mogło.

— Wytrwałością? Jak wy się łudzicie! Ręce wam już opadły od noszenia krzyżów i cierniowych koron, gardła poschły od śpiewania i nic nie przybywa tylko ofiar co chwila.

— Chrześcijaństwo tą drogą doszło do zwycięstwa.

— Nie. Chrześcijaństwo byłoby padło pod gruzami walącego się Rzymu, gdyby biskupi nie zamienili się w polityków, nie utworzyli organizacji silnej, która przetrwała upadek starego świata. Organizacja i cel podtrzymują ducha i stalują go — wy tego nie macie. Idźcie bez celu, na oślep i jedynie na męczeństwo zdobyć się umiecie. Leonie! Kiedyś krew męczenników bardzo zacieży na sumieniu tych, którzy ich wy

syłali na śmierć bezowocną! Tyle ofiar padło a z drugiej strony bachanalie starych i herbowników niszczą ich wpływ, szyderstwem obryzgały Golgotę i cóż ztąd? Marniejecie i my z wami. —

— Nie mów mi tego Wasylu, na Boga nie mów; nieraz w bezsennych nocach ja to wszystko widzę, wszystko mnie to trapi, dręczy; chciałbym przejść świat z słowem miłości cicho i spokojnie nauczając, a tu tyle zawał, tyle kału — nogi wciąż grzną, padalce czepiają się szat. — Światu potrzeba pierwej Herkulesa, coby go wyczyścił jak stajnie Augiaszowe.

— Byłem pewny, że tak powiesz, skoro dotkniesz się ran ludzkości — nie goić, ale wypalać je trzeba, bo zanim byś zgoił jedną, inne pożarłyby ciało i dusze ludzkości. Aby apostołowie mogli kiedyś swobodnie chodzić po tej ziemi i nauczać, trzeba ją przeorać mieczem i przeczyszczyć ogniem.

— Straszna mi radzisz rzecz — rzekł Leon z boleścią zamykając oczy — a jednak widzę, że nie ma innej drogi — złość ludzka przygniotła mi piersi, słowem samem nie zrzuć jej z siebie, trzeba uczynić krucyatę przeciw złemu.

— Tę pracę my już zaczęli — sieć organizacji obejmuje już kraj i przygotowuje powstanie,

a tymczasem skryta walka z tymi co przeciw nam. Patrz! —

Tu rozwinął mu jakiś papier niebieski.

— Ale zaczekaj — trzeba zamknąć drzwi.— Jeszcze nie doszedł do drzwi, gdy w progu pojawił się Brunon — poeta. Wasyl cofnął się ku stolikowi i schował papier, Brunon podejrzliwie spojrzął na niego, potem na Leona.

— Leonie — rzekł — przyszedłem cię przestrzedz. Niebezpieczeństwo ci zagraża, po mieście kursuje wieść o jakimś liście przejętym, z którego pokazuje się, że ty jesteś. . .

— Dokończ.

— Jesteś ... nie dobrym człowiekiem, że ... że się sprzedałeś wrogom. —
Leon założył ręce na piersiach i uśmiechnął się boleśnie.
— Znowu toż samo — rzekł.
Wasył nie przemówił słowa, był cały czerwony jak rozpalone żelazo, pięści zacisnął w kulak, zęby ściał —
zneruchomiał w oburzeniu.
— Ernest ma ten list w ręku, chce go przedłożyć kolegom, akademia wzburzona; jedni cię potępiają, drudzy żałują.
Leonie, wyjeżdżaj, połóżysz koniec tym plotkom.
— Ha! łotry — syknął Wasył.

— Twoja rada jest złą Brunonie; ustępując potwierdziłbym to, co złość ludzka na mnie wymyśliła.
— Więc się czujesz niewinnym? — O! oddycham.
— I ty wątpiłeś Brunonie? — spytał Leon z bolesnym wyrzutem.
— Daruj mi, ja cię kochałem jak dawniej, ale tłumaczyłem sobie twoję postępowanie może nędzą, może zasadami.
— I ty poeta, który narodowi masz dawać prawdę, tak wierzyłeś w elastyczność jej, że się do wszystkiego nagnie? Nie ty jeden może tak sądzisz. — Leon westchnął, to westchnienie było nad nędzą moralną świata.
Brunon się zawstydził i spuścił oczy ku ziemi.
— Gdzie jest ten list? — spytał Leon spokojnie.
— Ernest ma go dziś pokazać na zgromadzeniu.
— Przyjdę i ja zobaczyć ten list.
— Jakto Leonie, tybys tam poszedł uniewinniać się może? — spytał Wasył.
— Nie, tylko prawdę, pokazać; czy się boisz o mnie Wasył?

Głos Leona był rzewny i dziwnie uroczysty; Bruno i Wasył słuchali go wzruszeni, a płacz drżał im w piersiach. W tym spokoju człowieka, potępionego niewinnie, była wysoka tragika.
— Pójdę — rzekł — wobec mnie może nie zdobędą się oszczercy na bezczelność. O której godzinie zejda się koledzy?
— O trzeciej.
— Będę. —
Bruno odszedł — Leon zabierał się także do wyjścia.
— Gdzie idziesz? — spytał go Wasył.
— Do siebie — potrzebuję być sam — dodał ciszej, w głosie jego znać było udrczenie wewnętrzne i wyszedł chwiejnym krokiem. Wasył stał i patrzył za nim, gdy się drzwi zamknęły, Rusin zapłakał jak dziecko, aż się uniósł od płaczu.
— Co tam ten biedak teraz cierpieć musi — rzekł kiwając głową — o, ja to znam. On wszystko poświęcił dla nich i zapłacili mu; oj strasznie mu zapłacili. I gdyby choć zaklął za to, gdyby pięść zacisnął — ale nic, nic, przeniósł to tak spokojnie, na twarzy jego ani gniewu nie było; ale co tam w duszy dziać się musi? Eh, głupio na świecie i basta! — A kto tam?

Wszedł węglarz.

— Pana Leona nie ma w domu?

— Jest.

— Byłem, ale zamknięto.

— Zamknięte? — spytał zmieszany Wasyl i zatrwożył się — cicho! — rzekł — zbliżył się do ściany, położył oko do szpary, obawa o Leona tłumaczyła jego ciekawość — spojrzął. Leon klęczał przed krucyfiksem i modlił się.

Wasyl odszedł od ściany ku oknu i obrócony plecami do węglarza obcierał łzy.

— A czegoście to chcieli od pana Leona Marcinie? — spytał po chwili.

— Eh, proszę łaski pana doktora, chciałem panów prosić na chrzciny mojego chłopaka. Nie mogliśmy się dotąd na to zdobyć, ja siedział, żona była chora.

— A kiedyż to?

— Dziś po południu.

— Daj mu spokój, on dziś ma inne zajęcie, on.....

Urwał i nie wiedział jak to wytłumaczyć węglarzowi.

— On dziś na wiananie nie mógłby dać twemu dziecku nic, chyba łzy i rozbolełe serce. Rozumiesz?

— Cóż się stało panu Leonowi, Chryste Jezus! może nieszczęście jakie, może złodziej.....

— Tak złodzieje, co mu ukradli dobre imię. Węglarz nie zrozumiał i pytająco patrzył na Rusina.

— Czy ty wiesz? dobroczyńcę twego nazwano szpiegiem.

— Kto? kto? doktorze — zapytał węglarz głosem podniesionym, białka jego oczów łysnęły, pięści podniósł do góry — kto? panie doktorze! Na rany boskie mówcie, ja tego człowieka skruszę, roztlukę mu łeb jak węgiel kamieniem — mówił, dysząc cały.

— Nie jeden, nie jeden, wielu ich.

— To nic, zbierze nas się gromada, będzie bitka, panie doktorze, przez miłość Boską, powiedzcie gdzie te szelmy?

Pójdziemy, potłuczemy kości.....

— Byłaby to najlepsza odpowiedź, kijami zamknąć szczekające gęby, ale Leon nie pozwoliłby na to, on by się gniewał

— on inaczej myśli, to człowiek inny, to człowiek święty, Marcinie! —

Szorstki Rusin i muszkularny węglarz zanieśli się od płaczu. Okropnie rzewny był ten płacz u ludzi, co nie wyglądali na czułych.

— Idźcie, idźcie, z chrzciniami zatrzymajcie się do jutra — przyjdziemy. On wam pobłogosławi syna. —
Węglarz odszedł — Wasyl siadł i czekał. Na Maryackiej wieży odbiła trzecia — drzwi się otwały — wszedł Leon
blady, smutny, ale spokojny.

— Chodźmy — rzekł słabym głosem. Rusin wstał i poszedł za nim jak dziecko,
bolejący i posepny.

Przez drogę nic nie mówili do siebie; gdy się zbliżali do gmachu akademickiego, Leon przystanął trochę i wsparł się na
ręce Wasyla.

— Czekaj, odetchnę trochę, nie myślałem że to tak boli — otarł z potu bladą twarz — i wszyscy uwierzyli, Wasyl,
wszyscy — dodał, ściskając jego rękę — ba! tak być musiało. — Chodźmy! —

Gdy weszli, zastali kolegów już zgromadzonych w sali — którzy za ich przyjściem rozsunęli się, tworząc szpaler.
Posądzeni weszli w dwa szpalery i szli, jak przez różgi, sieczeni pogardliwym wzrokiem i przycinkami: żaden nie
podał im ręki, nikt nie przemówił do nich przyjaźnie; nawet ci, którzy im sprzyjali, bali się okazać im wyraźnie
współczucia, stali na boku i milczeli.

W katedrze stał Edmund wyprostowany, z ironicznym uśmiechem na ustach i pewny siebie, obok niego Ernest z
otwartym listem.

Leon z oczami spuszczone w ziemię, przyszedł ku katedrze i rzekł głosem stłumionym:

— Jestem. —

W zgromadzeniu zrobiła się cisza — Edmund zabrał głos:

— Panowie! Kiedy przed rokiem prawie upominałem was, abyście nie dowierzali nieznanym ludziom, którzy Bóg
wie z kąd przywlekli się do nas, aby istnienie jedyne polskiego uniwersytetu podkopać i młodzież obalamować,
wyśmialiście moje obawy i odepchnęliście moje rady. Dziś powtarzam to samo, z tą różnicą, że już nie na domysłach,
ale na istotnych dowodach opieram moje oskarżenie. Oto list, który Ernest pozwolił sobie przejąć, powodowany
dobrem kolegów, list do jednego wichrzyciela naszego miasta, do jednego przybłądy.....

Wasyl zerwał się i zarzycał:

— Oskarżaj, ale nie szkaluj. —

Edmund nie spojrzał na niego, był odważnym i pastwił się nad tymi, których wszyscy odstępili; tryumfująca pewność
malowała się na jego wytartym czole. Ernest był trochę niespokojny i za

kłopotany; Edmund wziął z jego drżących rąk list i przeczytał. List był, jakby od któregoś urzędnika policyjnego z Warszawy, i zawierał instrukcje dla Leona w postępowaniu, a zarazem obietnice nagrody. — Gdy Edmund skończył czytać, wszystkich oczy zwróciły się na Leona, w twarzy jego chcieli przeczytać wstyd, hańbę, pomieszenie. Tego tam nie było, oprócz boleści i zniechęcenia nic tam nie było — spokój tylko, spokój trochę surowy, cierpki.

— Proszę o ten list — odezwał się Edmund nie patrząc na niego, rzucił mu. Leon przypatrzył się pismu, adresowi, pieczęci,

potem spuścił rękę wraz z listem i rzekł z westchnieniem :

— Tak, to tak jakby do mnie.

— Cóż masz na twoją obronę? — spytał jeden z kolegów.

— Moje sumienie. Koledzy! ja jestem niewinny! —

Rzekł głośno, uroczyście, głosem drżącym z boleści.

To wyznanie jedni przyjęli milczeniem, drudzy ironicznym śmiechem, inni żartami. Wasyl nie mógł wytrzymać, wskoczył na stopnie, żyłastą pięść podniósł do góry i krzyknął:

— Kto nic wierzy, niech się odezwie, a pięścią go przekonam.

— Milcz, milcz — wołano.

— Wasylu — rzekł Leon, chwytając jego rękę — daj pokój, jeżeli moje życie nie mówi za mną, to pięść twoja nie przekona ich. Koledzy! odwołuję się do waszych serc; powiedzcie co złego wam uczyniłem, co złego wam radziłem kiedy, nakłaniałem do pracy i do miłości ojczyzny !

— I do demonstracji, które narażały nas i uniwersytet — wtrącił Edmund szyderczo.

— Czekajcie! — odezwał się Wasyl i rozepchnąwszy tych co go otaczali, postąpił ku katedrze z listem, któremu się dotąd uważnie przypatrywał.

— Czekajcie — rzekł i zwrócił się do Ernesta pomieszanego nieco.

— Od kogo ten list odebrałeś?

— Od listonosza.

— Ty mi się bratku nie wykręcaj dowcipem, mów, kto pisał ten list do ciebie?

— Jeden z moich kolegów, z którym wcale nie korespondowałem przedtem, i który mojej dawnej znajomości użył widocznie za powód tył

ko, do przesłania tego listu; zresztą jest to człowiek dosyć podejrzany.

— Nazwisko jego?

— Na ... zy ... wa się — Ernest poczerwieniał, zagadnięty nagle, zapomniał nazwiska.

— Zaczerski — podszeptał mu Edmund.

— Ty milcz, ja jego pytam. Więc Zaczerski i niby kolega — ciągnął Rusin, patrząc podejrzliwie na Ernesta, mieszającego się coraz bardziej — tamten lepiej, lepiej pamiętał nazwisko. Hm — to nic. Kiedy odebrałeś ten list?

— To nie należy do rzeczy — przerwał Edmund.

— Owszem należy — rzekł Rusin powoli a groźnie i patrzył silnie w twarz Edmunda — No kiedyż? toż pamiętać musisz.
— Przed tygodniem.
— Dzień powiedz — w który dzień? — zawołał Rusin, coraz bardziej rozszarty i wściekły.
— Nie pamiętam — rzekł Ernest błędnie. — Wasyl chwycił go za rękę.
— Przypomnij sobie — rozumiesz? przypomnij, bo ja ci przypomnę. —
Ernest przestraszony spojrzął na Edmunda — w zgromadzeniu począł się szmer.
— Zapomniałeś, jaką datę zmyśliliście na

kopercie. To jeszcze nie koniec. Panowie! tu idzie o wielką rzecz, bo o potępienie człowieka; chcecie być sumiennymi i badajcie rzecz ściśle.

— Czego chcesz?

— Żądam, aby zgromadzenie wybrało kilku, którzyby teraz poszli do mieszkania oskarżycieli i zrewidowali ich papiery.

— Dobrze, zgadzam się — rzekł Edmund, wyjmując klucz.

— Ha, zniszczyliście ślad wszelki, to nic. Panowie, ja żądam małej rzeczy, chcę mieć w rękach tylko czysty listowy papier tego.

Wskazał ręką na Edmunda zmieszanego. Cofać się nie mógł, dał klucz on i Ernest; wybrani wyszli; sprawa została zawieszona. Poczęły się głośne rozmowy i narady; wszyscy zaczęli podejrzawać autentyczność listu, oglądano go i podawano sobie. Leon był zmęczony i osłabiony, usiadł na stopniach. Wielu kolegów poczęło żałować swojej porywczosci w posądzeniu go; przychodzili więc ku niemu z oznakami współczucia i przychylności. Leon nie wyrzucał im nic, ale ani dziękował, ani patrzył na nich, bo czuł żal wielki do nich.

Edmund z Ernestem odosobnieni, stali w milczeniu — na twarzy Ernesta był przestach,

chciał wyjść, Edmund przytrzymał go i coś szepnął.

Wreszcie wrócili wysłani i złożyli tekę z papierami. Wasyl chwycił tekę, przerzucał papiery, papiery były z cyfrą Edmunda, tylko jeden mały seksternik był bez liter. Wasyl go wziął w ręce przymierzył do wielkości listu, porównał kolor papieru i podnosząc w górę, rzekł:

— A co? Któż winny? Patrzenie, w tym seksterniku brakuje dwóch arkuszków, właśnie tyle, ile było potrzeba na dwa listy potwarcze. —

Zgromadzenie oburzyło się przeciw oskarżycielom. Ernest zląkł się, wyrwał gwałtem rękę swoją z ręki Edmunda, odbiegł od niego i rzekł:

— Broń się sam, ja niewinny.

— Lotr, oszczerca, ukarać go — wołano ze wszech stron i rzucono się ku katedrze.

— Stójcie koledzy — rzekł łagodnie Leon podnosząc się i wstrzymując oburzonych — czyż nie dość dla niego, że jest podłym? Wasza wżgarda niech mu będzie karą. On na nią całkiem zasłużył, nie dla tego tylko, że mnie spotwarzył, są inne zbrodnie na sumieniu tego człowieka. —
Edmund bezczelnością chciał się trzymać w roli.
— Czas wyświeci prawdę — rzekł efroncko.

Leon spojrział na niego surowo i zmarszczył czoło.

— Milcz — rzekł do niego z oburzeniem — ja tego, com powiedział — nie mówiłem bez powodu. —

To mówiąc wyjął z pugilaresu zwitek papieru, ten zwitek miał od Mateusza służącego nieboszczyka barona, który mu go dał radząc się, co z tem zrobić. Kartkę tę zapewne przypomnieli sobie czytelnicy, na niej stało:

„Jestem potrzebujący, rozpacz zrobiła mnie zbrodniarzem — jeżeli nie dostanę natychmiast ryńskich, będę zmuszony zabić cię!” —

Leon rozwinął kartkę i przystąpił z nią ku winowajcy jak sędzia. — Znasz to pismo ? —

Edmund zrobił ruch gwałtowny, chciał chwycić za kartkę i wydrzeć ją — Leon mu ją rzucił w twarz i rzekł z pogardą:

— Zbrodniarzu! —

XV. CZWARTE PRZYKAZANIE.

— Więc ty znasz mojego Emila? — pytał żebrak Leona trzymając jego rękę w swoich dłoniach — powiedz mi, czy on wspominał kiedy o swoim ojcu? Co? wspominał? — pytał starzec ze łzami w oczach, podnosząc się na postaniu.

— Nieraz — rzekł Leon przymuszając się do kłamstwa, by uspokoić dziada.

— Dobry Emil, i ja ich tak opuściłem, co oni tam myślą sobie o ojcu swoim; a ja Bóg świadkiem nie mogłem zostać dłużej, ja musiałem uciec, bo wytrzymać dłużej trudno było. Tyś znał nieboszczkę moją żonę? To była kobieta dobra, ale dumna i nieugięta; tylko wtedy, gdyśmy się poznali, ona była inna; ta jej duma rozplynęła wtedy, jak kryształowa sól w wodzie; mój Boże ona była wtedy taką dobrą dla mnie, że nie umiałem się oprzeć temu szczęściu, co mi się uśmiechało przez jej oczy i zostałem mężem księżniczki. Żli ludzie mówili, że dla majątku to zrobił, bo nieboszczka nie była urodna. — Kłamali; ona w moich oczach była cudowną. A do

tego jeszcze, widzisz: mnie tu pod czaszką Bóg wie jakie myśli się roily o ludzkości, o szczęściu drugich. Majątek księżnej dawał mi nadzieję, że moje marzenia się spełnią, że plany dojrzeją — myślałem o zakładaniu szpitali, ochron, domu dla rękodzielników i wyrobników, kasy oszczędności i Bóg wie co; chciałem, żeby ona to wszystko robiła, ja tylko doradzać chciałem. Niestety! wszystko się rozbiło o nieugięty upór tej kobiety; słowami miłości rozmiękczyć jej nie mogłem, bo mnie już nie kochała. —

Tu zamilkł stary, siwą brodę spuścił na piersi i zadumał się smutnie. Po chwili odezwał się:

— Jej miłość to był chwilowy kaprys pański, który rozwiało oburzenie jej rodziny, urąganie świata — znenawidziła mnie potem. A ja z każdym dniem bardziej ją kochałem, szalałem z miłości. Nieraz u jej nóg wlekłem się po pokoju i prosiłem choć o odrobinę litości, o odrobinę serca. Odpychała mnie zimnymi słowami, gorszyła się mojem gminnem postępowaniem i upominała, bym się nie zapominał. Zrywałem się wtedy, uciekałem da siebie, zamykałem się na dni kilka nie pokazując się jej na oczy; myślałem, że zateśkni za mną, że poszle po mnie. Nie. Więc znowu leciałem, prosiłem, płakałem i niczem nie mogłem

przywołać ducha miłości pierwszych lat naszego • pożycia. Takiej męki było lat kilka, com wycierpiał trudno opowiedzieć. Ja jej to już wszystko przebaczyłem, ale gdy sobie przypomnę, nie mogę nie wyrzekać. Nieraz po takich scenach wracałem do siebie wpół nieżywy, w głowie coś strasznie paliło, piekło, mąciło się, trwoga mnie brała o moj rozum. Nieraz chwytałem pistolet, zimną lufę jego wkładałem już w rozpalone usta — ale na samobójstwo zdobyć się nie mogłem — miałem jedną myśl co mi wytręcała broń z ręki i kazała żyć — tą myślą była ojczyzna.

— Panoszk, zmęczyciście się gadaniem, a dobrodziejka będzie się gniewać, hi, hi, hi — zachichotał Błazek, który jak pies stróżował wciąż łóżko pana swego — dajcie też i mnie powiedzieć temu panu jaką gadkę. Było trzech braci: dwóch mądrych a trzeci głupi, jak nie przymierzając mój pan i mieli ojczyznę po ojcu — ale mądrzy chcieli wyścigać głupiego i powiedzieli mu, że ojczyzna uciekła w świat. Taki mój głupi maciuś nogi za pas i poszedł w świat szukać mienia. Hi, hi, zabawne, co?

— Cicho Błazek — odezwał się dziad karcącym głosem. Głupiec zmilknął w jednej chwili, dziko głupkowata twarz jego przybrała wyraz

apatyczny, jak marionetka, gdy sprężyny działać przestaną. Dziad mówił dalej :

— W tyra czasie emigracya za granicą była czynna, wysyłała emisaryuszów do kraju, przygotowywała powstanie. Pojechałem tam; w wirze i w odmętach politycznego życia chciałem utopić moję osobiste troski, pracowałem z innymi. Rzeź galicyjska zadrwiła ogromnie z prac naszych, pobito nas naszą własną bronią. W dwa lata później błysnęła chwilowa nadzieja, zniknęła i było nam znowu ciemno, rozpacznie. Takie zawody szarpały mnie strasznie. Ja na świecie nie miałem teraz prócz tej jednej nadziei i ta nadzieja co chwila zawodziła, gasła, ale nie mogłem porzucić jej

nigdy. — Na grobie zawodów jam szczepił nowe nadzieje, wśród ciszy zwątpienia, która owładła kraj i ziomek po nieudanych wysileniach, jam nasłuchiwał hasła nowego powstania — gdziekolwiek błysnęła jaka odrobina nadziei dla nas, tam ja byłem, tam pracowałem. Wchodziłem we Włoszech do tajnych spisków Mazynistów, łączyłem się z malkontentami węgierskimi; zgola szukałem wszędzie ojczyzny po świecie, jak jeden z tych trzech braci, głupi, o którym powiastką gminna nam mówi. Wybuchnęła wojna wschodnia, upadłe nadzieje zajaśniały znowu, odżyłem,

począłem się krzątać, pracować. Z Turcyi przeszedłem na Ukrainę, ówczesne rozprężenie Rosyi dawało mi nadzieję, że powstanie w tych ziemiach się uda; częsty pobór do wojska zraził chłopów do rządu; ta niechęć ludu była moim sprzymierzeńcem, chodziłem po wsiach i burzyłem lud. Wśród mojej pielgrzymki trafiłem na dom jednego sołtysa, człowieka młodego, w którego piersiach drzemały wspomnienia hetmanów kozackich, sława Zaporozża — pokazywał mi szablę, spuściznę przodków, którzy Konstantynopol zatrważali. Ten człowiek był mi bardzo pomocny. Moskale dowiedzieli się o moim pobycie i wysłali żandarmów na schwytywanie mnie. Lud się oparł i nie dał; czynowników i żandarmów zbezczeszczył i wygnał, a mnie tajemnie wyprawiono dalej. Później dowiedziałem się, że sam Wasylczyków przyszedł z wojskiem, żądał wydania sołtysa i mnie — lud się zebrał w kupę czarną i groźnym milczeniem odpowiadał na rozkaz; wtedy wojsko się rozstąpiło i odsłoniło armaty — Wasylczyków kazał strzelać do bezbronnego ludu, rozpoczęło się męczenie, lud bito i kolbowano, sołtysa schwymano — zginął pod batami. Ta groźba uśmierzyła zapal ludu, obawiano się — wróciłem więc pod Sebastopol i tam z kolegami

cieszyliśmy się znowu nadzieją układów i wierzyli w Napoleona. Pokój paryzki zabił nasze nadzieje; ton cios mnie dobił — opuściłem ręce i zropaczyłem. Wtedy z ropaczy począłem pić, z pijaństwa wszedłem w nędzę, z której trudno mi się było wygrzebać. Brzydziłem się sobą samym, a wyjść z tego błota było trudno. Rozłajdaczyłem się z ropaczy marniało mi życie po szynkach. Czasami gdym był trzeźwy, żona i dzieci stawały mi w pamięci, tęsknota ciągnęła mnie do nich; ale odpychałem tę chęć, zasłaniałem oczy, by nie widzieć tego jedyne jasnego promyka w mem życiu, bom się czuł niegodnym, bo nie umiałbym spojrzeć w oczy moim dzieciom i stanąć przed nimi w łachmanach. Dla nich wyrzekłem się nazwiska, które skalałem życiem, wyrzekłem się nadziei widzenia ich — i czekałem tylko śmierci; pijaństwo stargało moje siły, zachorowałem raz mocno. Było to we Frankfurcie. Czy wiesz, że ja te chwile co innych tak tworzą, przywitałem z radością; na to co mi się tu działo w piersiach, śmierć byłaby najskuteczniejszym lekarstwem — czekałem jej. Gdzieś w jakiejś komorze pod schodami, gdzie mnie umieszczono z łaski, leżałem wśród obcych; tyfus niszczył mnie, chciano mnie odwieźć do szpitala, oparłem się

temu — tam by mnie leczono, a ja chciałem umrzeć. I patrz, choroba znędziła mnie, ale nie pożarła — po kilku miesiącach znowu piłem jak dawniej, włączyłem się: żebrałem, straciłem ostatki wstydu — i szedłem tak po pijanemu coraz dalej, aż instynkt wiódł mnie jak zwierzę, tu napowrót. Byłem tam w pałacu, z kądem uciekłem przed trzynastu latami. Śmiech tego głupca — tu pokazał na Błażka, co skulony siedział w kącie i lizał sobie ręce — śmiech tego głupca obudził mnie z letargu, w który mnie nędza i wódka wtrąciły — widziałem moje dzieci, rozumiesz? Żebrak, co na rozstajnych drogach prosił ich o jałmużnę — to był ich ojciec. O! okropna to była chwila. — Starzec załamał ręce, zacisnął zęby i tak leżał długo, mając przymknięte oczy; piersiami robił mocno, jak człowiek co kona. — Leon wziął go za rękę — chory otworzył oczy. — Przeląkłeś się o mnie? — spytał — nie bój się, jeszcze pożyję: o, pożyję z parę dni, nie więcej — O! nie więcej. Czuję to dobrze, tutaj żołądek wypalony spirytusem obejść się bez niego nie może, a ja już nie chcę więcej pić — odkąd zobaczyłem dzieci moje. — Zakrył twarz rękami i płakał.

— A jednak jabym je tak rad jeszcze widzieć przed śmiercią! Boże, mój Boże!

— Hi, hi, hi, dobrodziejka idzie — zawołał Błażek i schował się za łóżko.

Zakonnica zbliżyła się do łóżka; chorego mowa zmęczyła, był więc bledszy i osłabiony.

— A co? znowu mówił? Nieznośne to gadulstwo, doktor przecież wyraźnie zakazał.

— Dobrze już dobrze — rzekł chory, oczami pożegnał Leona i rzekł: a przyjdź znowu. —

Leon pożegnał dziada i Jana, którego zdrowie wcale się nie polepszyło i poszedł do domu. Tam zaraz zabrał się do napisania listu do Emila i siostr jego, wzywając ich spiesźnie do konającego ojca. W końcu listu dopisał: Niech was to nie zraża, że waszego ojca w nędzy zastaniecie — błędy jego życia są tego rodzaju, że je nie tylko przebaczyć, ale uszanować można, bo cierpiał wiele. Zresztą nie do dzieci należy sądzić winy ojców, żebrak uliczny jest zawsze waszym ojcem. — Czekam was —

List ten oddany natychmiast na pocztę i wysłany na wieś, nie zastał tam już Emila, który z siostrami od tygodnia już wrócił do Krakowa. Jan odebrawszy list, dopisał na kopercie: w Krakowie — i odesłał napowrót na pocztę. Poczi

wy Jan, od czasu jak my go ostatnią razą widzieli, nie zmienił się wcale.

Przyłysiał tylko nieco, może od kłopotów gospodarskich, których miał wiele, ale zresztą wyglądał zdrowo i czerstwo — zasiedział się na wsi. zapracował, wyjeżdżał mało i tak nawykł do tego życia jak wół do jarzma. Każda pomyślność w gospodarstwie cieszyła go, jakby to dla niego miała korzyść wypłynąć ztąd jaka; tak cały się oddał pracy dla sierot,

że zapomniał o sobie, o swoim szczęściu, a nawet o swojej miłości, Przyjazd Zofii zaniepokoił go trochę, poczerwieniał z zakłopotania przed nią; ale to trwało niedługo, gospodarskie zajęcia nie dały mu czasu odgrzebywać dawne uczucia, chłodna mina Zosi także go nie mile otrzeźwiła i odstręczała; był więc dla niej uprzejmy ale obojętny, był gościnnym gospodarzem a nieczułym kochankiem. Może Zofię gniewało to, może po smutnym zawodzie z baronem byłaby się pocieszyła szlachecką fortuną, ale Jan nie zrobił żadnego kroku zbliżenia. Nie długo potem i Emilowi polepszyło się; wrócili więc do miasta, a Jan został, pracował jak dawniej i nie myślał o niczym więcej jeno o szczęściu sierot. Wziął do siebie starą ciotkę, która mu zajmowała się gospodarstwem kobiecym

i przemyślał nad wyswataniem kuzynka. Może jej się uda, może Jan da się nakłonić — dalsze losy Jana nie wchodzi już w zakres naszej powieści.

Jak powiedzieliśmy odesłał list, kiedy sieroty już od tygodnia zostawały w Krakowie u księstwa. — Był to zarazem ostatni tydzień ich pobytu w tym domu a to z dwóch przyczyn: najprzód Emil wszedłszy raz do Zofii, trafił nieszczęśliwym sposobem na tę chwilę, w której ksiądz Aureli w kaznodziejskim zapale, pomyliwszy się, zamiast w czoło w usta całował swoją owieczkę.

Oburzony Emil zkorrygował omyłkę kijami na plecach jegomości, za co w pałacu okrzyczany był za bezbożnika i kacerza. Powtóre, książe wszedłszy raz podczas niebytności syna do jego pokoju, znalazł między papierami zacząty list do Maryni z czasu, kiedy jeszcze była na wsi. Zapewne list ten księciu źle się napisał, odrzucił go więc, a napisać musiał drugi i posłać, ten zaś zapomniał zniszczyć. Z listu tego poznał książe, że to nie miłość prawdziwa, że syn jego gotów wbrew woli ojca zrobić głupstwo; postanowił więc wcześniej rozerwać to. Nie namyślając się długo poszedł do sierot, wyrzucił im a szczególnie Maryni, że za gorliwą, ojcowską

prawie pomoc i opiekę odpłaciła się czarną niewdzięcznością uwodząc mu syna, jedyną pociechę — że dla szczęścia i spokoju wzajemnego należy im się wydalić z pałacu, że lubo tyle doznał złego od nich, nie zapomni całkiem o nich i da im jaką zapomogę, dopóki sami nie znajdą sobie jakiego utrzymania, o którym czas by już było myśleć.

Słowa księcia były takie kłójące, takie upakarzające, że sieroty nie namyślały się ani na chwilę i zaraz następnego dnia opuściły pałac, przenosząc się na mieszkanie do miasta. Emil najął dla sióstr skromne dwa pokoiki przy ulicy szewskiej. Tam odebrał list Leona odesłany mu przez Jana. List ten wydawał mu się nowym upokorzeniem; zdawało mu się, że Leon, który mu wydarł podstępem hrabiankę, urąga teraz z niego, że jego ojciec żebrak, nędzarnik — nie miłość synowska ale miłość własna przemówiła w Emilu; wiadomość o ojcu nie tyle go zajęła, ile własne nieszczęście. Cierpienia sieroce ubierały jego czoło w męczeński wieniec, podczas gdy przyznanie się do ojca żebraka rozpałało je wstydem. Podobnie myślała Zofia i tylko Marynia po przeczytaniu listu była wzruszoną.

— Emilu, więc idziemy zobaczyć naszego ojca? — spytała.

Emil spuścił oczy w ziemię i zająknął się. —

— Zapominasz Maryniu, że matka nasza z nim nie żyła.

— Cóż nas to obchodzić może, to ojciec nasz.

— Ja w tym względzie szanuję wolę matki. —

— I ja — dodała Zofia. Marynia poszła sama.

Rozrzewniającą była scena przywitania się ojca i córki — dziad, żebrak, był zażenowany obecnością takiej pani, jaką była jego córka; nie wiedział jak ją witać, jak mówić do niej — z początku mówił „pani” — dopiero Marynia serdecznością swoją ośmieliła go; słysząc jej mowę, widząc jej oczy łez pełne, uwierzył, że to jego córka i jak córkę witać począł. —

— Dziecko moje — mówił, trzymając jej twarz w swoich dłoniach — jaka ty dobra, i piękna, a te oczy, o znam je, znam dobrze; Maryniu, pamiętasz żebraka pod karczmą, któremu dawałaś jałmużnę? —

Puścił ją i zapłakał znowu i zakrył twarz ze wstydu.

— Och, to było okropne! —

— Ojczy, zapomnij! o tem. Teraz wszystko się zmieni, będziesz przy nas, z nami. —

— O, takie szczęście już nie dla mnie, za

późno — rzekł ponuro, zadumał się i w zamyśleniu skubał koldrę. Wnet się otrząsnął z tego i znowu patrzył na córkę. — Jaka ty dobra, ty się nie wstydzisz ojca mój aniołku — i wziął ją za rękę i chciał całować po rękach, ledwie zdołała wyrwać mu je.

— Ojczy, co ty robisz! —

— Dziecko, czemu ja ci podziękuję za twoją dobroć, ja niczem, niczem nie zasłużyłem na to, całe życie nie byłem dla was ojcem. —

— Wszak ty nas kochałeś?

— O kochałem, bardzo kochałem, moje dzieci. Ale gdzie Emil, Zosia, wszak Zosia, prawda?

— Emil trochę słaby — rzekła zakłopotana Marynia — Zosia została przy nim.

— Cóż mu jest? — spytał żebrak przestraszony — mów, może bardzo chory, co? Maryniu, przez Boga żywego

powiedz, co mu jest? — pytał, a ogniste jego oczy latały trwożnie po twarzy Maryni, pragnąc na niej wyczytać prawdę.

— Ale nic mój ojczy, jak cię kocham — uspokoiła go Marynia — słabość kataralna, która mu nie pozwala wychodzić z domu.

— Żeby choć powozem mógł przyjechać, bo, bo może nie doczekam się ich. —

— Gadaj im stary o powozie — rzekł Wa

syl, który siedział na drugim łóżku przy Janie — kiedy oni na mieszkanie nie mają teraz. —
Marynia odwróciła się ku Wasylowi i wzrokiem prosiła go, by milczał.
— Jaktó? Jaktó? — pytał dziad usiłując zrozumieć.
— Książę wypędził sieroty ze swego domu.
— A ich majątek? Maryniu, gdzie wasz majątek?
— My nie mamy majątku — rzekła cicho — ale cóż cię to obchodzi ojczę, nie martw się tem, nam i tak dobrze.
— Więc nie macie majątku, a cóż się stało z tą połową spadku po starej księżnie, waszej babce? —
Marynia spojrzała na ojca z troskliwością i bojaźnią, myśląc, że gada w malignie. —
— O jakim majątku mówisz ojczę?
— Jaktó? Wy nic nie odebrali od księcia?
— Ja nie wiem.
— Ale ja wiem, że nic — rzekł Leon, który właśnie nadszedł i słyszał ostatnie słowa.
— Nic? — spytał dziad z natężeniem. — Nic? Więc książę was okradł?
— Jaktó? — spytał Leon.
— Słuchajcie, zbliżcie się, bo mówić głośno

już nie mogę, a nie chciałbym umrzeć nie powiedziawszy; tu idzie o moje dzieci.

I z gorączkową niecierpliwością, jakby się bał, żeby śmierć nie przerwała mu wyznania, począł mówić.

— Kiedym był pierwszy raz w Paryżu, dowiedziałem się, że księżna Ambrożyna (to była twoja babka Maryniu) mocno zachorowała, że przed śmiercią poczęły ją trapić wyrzuty sumienia, poczęło ją gryść to, że córkę z powodu mezaliansu wydziedziczyła; chciała uspokoić sumienie, naprawić błąd, zmieniła więc testament i syna swego zakłęła, aby siostrze krzywdy nie zrobił. Dowiadywałem się o jej zdrowie, boć to zawsze była matka tej, którą kochałem — lokaj doniósł jej o tem. W dzień, w którym umrzeć miała, kazała mnie przywołać do siebie; książęca дума uciekła ze strachu przed śmiercią.

— Zawiniłeś Acan wiele — mówiła mi gdym stanął przed nią — ale przebaczam ci i jej przebaczam także — książę Ireneusz jej brat, wypłaci jej połowę spadku. Oto testament. Podpisz acan jako świadek. —

W dwie godziny potem księżna już nie żyła. — I cóż się stało z testamentem, z pieniędzmi? —

— To tajemnica uczciwości książęcej — rzekł Wasyl i wybuchnął szyderczym śmiechem.

— On wygnał sieroty, które okradł! — rzekł dziad boleśnie, całując Marynię w głowę.

Zmrok już zapadał, w szpitalnej sali już zapalano lampę. Marynia wstała.

— Idzież? — spytał ojciec, w głosie jego była miłość i tęsknota.
Maryni żal ścisnął serce — nie mogła odejść od ojca, który tak prosił, została tę noc przy jego łóżku Leon i Wasyl zabierali się do odejścia. — Leon zbliżył się do dziada i rzekł:
— Będziesz pan miał siłę napisać to, coś nam mówił o testamencie. —
— Dla czego?
— Pójdę z tem do księcia. —
— O jeżeli na to, to znajdę siły dosyć; ale jeżeli napróżno?
— Kto ukradł ten i skłamać potrafi — wtrącił Wasyl.
— Będę próbował.
— Bóg cię natchnął tą myślą, może pismo umierającego człowieka poruszy go.
— Toż i matka nie tańcowała, kiedy mu testament posyłała — odezwał się Wasyl — a to go nie poruszyło.

— Bez serca.
— Jednak napiszę. —
Stało się jak Leon radził — dziad spisał to czego był świadkiem i zakończył pismo prośbą i zaklęciem — złożył to na ręce Leona i powierzył mu los sierot. Niedługo potem umarł. — Marynia nie odstępowała go aż do śmierci, już nie tylko z miłości dziecięcej, ale z obowiązku swego powołania, została bowiem Szarytką — przy zwłokach ojca stała już w zakonnym ubiorze.
Cóż książę Adolf?
Książę Adolf nie wiedział o niczem; kiedy sieroty wróciły ze wsi, jego wtedy w Krakowie nie było; przyjechawszy nie zastał ich już w pałacu, był więc pewny, że jeszcze nie wróciły. Aż jednego dnia spotkał na rynku Emila — zdziwiło go to. Emil zapłonął się, może ze wstydu, może z oburzenia, może z żalu, jaki czuł do całej rodziny księstwa, skreślił w bok i udał że go nie widzi; ale książę Adolf pobiegł za nim.
— Emilu, ty w Krakowie?
— Czy udajesz, czy na prawdę nie wiesz?
— Ależ zkądże mam wiedzieć, wszak się jeszcze nie pokazałeś u nas.
— Owszem, byliśmy tam tydzień cały, ale nas wygnano — dodał z goryczą.

— Co? — książę zmarszczył brwi i zrobił namiętny, gwałtowny ruch — kto śmiał?
— Twój ojciec. —
Tu opowiedział Adolfowi całą historię posądzeń i oburzenia. Adolf słuchał go niespokojny, dygotając cały.
— Gdzie Marynia? — spytał szybko, nie dając Emilowi skończyć opowiadania.
— Marynia wstąpiła do zakonu, została Szarytką. —
Książę zbladł, zębami przyciął wargi, oczy miał sztywne, nieruchome. Chwilę tak postął, jakiś plan układał, potem się zerwał i sunął ku Wesołej, nie pożegnawszy nawet Emila.

Przed bramą szpitalu, na drodze, stał żałobny karawan, u drzwi wchodowych wieko od trumny, a koło niej garstka ludzi. Książę minął to wszystko nie patrząc, nie widząc, wpadł na korytarz, do rozmownicy i silnie pociągnął za dzwonek. Odsunęła się krata, wyjrzała zakonnica.

— Do kogo to?

— Chciałbym się zobaczyć z panną Maryą Płoniewską — rzekł książę gwałtownie, pospiesznie.

— Z siostrą Rozalią? Czyś pan brat?

— Tak.

— Zaraz tu przyjdzie. —

Krata się zasunęła znowu. Po chwili usłyszał z tamtej strony szybki chód kobiety; serce mu zaczęło bić mocno w piersiach, gwałtowność ustąpiła a nastąpiło osłabienie tak, że o mur oprzeć się musiał. Odsunęła się krata, blada twarz Maryni ukazała się na ciemnym tle zmroku, jaki był w tamtej stronie rozmownicy. Marya, zobaczywszy księcia, zmieszła się i spuściła oczy. Książę patrzył na nią z uwielbieniem, oczami modlił się do niej jak do świętej — w twarzy jego było rozczulenie.

— Maryo, Maryo, coś ty zrobiła? — pytał drżącym głosem, składając przed nią ręce.

— Uczyniłam, co byłam powinna uczynić — odrzekła, siląc się na spokój — dla sieroty to jedyne schronienie.

— Jam ci gotował inne.

— Obciążone przekleństwem twoich rodziców.

— Ja ich przebłagam, uproszę.

— Stało się — rzekła Marynia z ciężkim westchnieniem — ja ztąd nie wyjdę, mnie tu natchnienie Boże przywiodło.

— O, tyś mnie nigdy nie kochała — zaryczał rozpacznie książę — Maryo! Maryo, zaklinam cię, odpowiedz mi to jedno; zabrałaś mi wszyst

ko, zostaw mi choć tę jedną pociechę — czyś ty ranie kochała choć trochę? —

Marya milczała, oparła głowę o kratę, usta jej ścisnęły się w milczeniu.

— Maryo, na Boga odpowiedz.

— Zastanów się pan, gdzie to mówisz i do kogo, uszanuj suknię, którą noszę. Tam leży na marach ciało mojego ojca, a ty mi mówisz o miłości?!

— Więc żadnej, żadnej nadziei — wołał książę, tłukąc rozpacznie głowę o mur — o, to zrozpaczyć trzeba! Cóż mi pozostaje?

— Poświęcenie się dla drugich. Poświęć życie twoje jednej wielkiej myśli, a zapełnisz je i nie zbrzydni ci i nie przeklniesz go. Tyś dotąd żył dla siebie, nie umiałeś nic poświęcić dla drugich.

— Poświęcić się wielkiej myśli? — pokaż mi tę wielką myśl, pokaż ludzi, z którymi by ją można dokonać? Myśli skarłały i ludzie skarleli.

— Znałam jednego człowieka, który umiał się poświęcać i żyć dla wielkiej idei — imię jego Leon. Idź za nim, idźcie razem — ja za ciebie Adolffie modlić się będę. Bądź zdrów. —

Krata się zasunęła, książę zajęczał i upadł na krzesło.

Tymczasem na podwórku, przed szpitalem gromadka ludzi się powiększyła i czekała na wyniesienie ciała.

— Będzie burza — rzekł jeden mieszczanin, patrząc w górę — niebo się zaciąga coraz straszniejszymi chmurami.

— Oho, już się łyska, w imię Ojca i Syna... — mówiła przekupka.

— Trzebaby się pospieszyć z pogrzebem, bo deszcz co tylko nie lunie. Na cóż czekają?

— Na syna, ma przyjść. —

Leon stał przy karawanie, co chwila poglądał na zegarek, to na drogę idącą od miasta.

— Czy posłałeś po niego? — spytał Wasyl pocichu.

— Dwa razy.

— A nuż nie przyjdzie?

— To niepodobna. Czekajmy jeszcze. —

I czekano jeszcze pół godziny; księża z zapalonymi świecami stali w otwartych drzwiach kościoła i niecierpliwili się.

Drugi posłaniec wrócił z miasta.

— I cóż? — spytał go Leon.

— Drzwi zamknięte.

— Musiał wyjść, może się minął z posłańcem, pewnie nadejdzie, czekajmy jeszcze chwilę.

— Jakoś niespiesznej synowi na pogrzeb ojca — mruknął znowu ten sam mieszczanin, co poprzednio.

— Dobry synek — rzekł drugi i pokiwał głową.

Nad głowami ludzi rozległ się grzmot w chmurach, gęste krople deszczu już padać zaczynały.

— Nie ma — rzekł Wasyl ponuro.

— Ruszajmy — odezwał się Leon — postępowanie Emila oburzyło go.

Zanucono psalmy, wyniesiono trumnę, kondukt ruszył — za karawanem szła Marynia, Leon, Wasyl i ludzi garstka.

Deszcz coraz się powiększał — po czarnym całunie chmur przelatywały błyskawice, od czasu do czasu grzmot się odzywał. Nawet po śmierci żebrak nie miał spokoju — burza wrzała przez całe życie W jego piersiach — burza szalała teraz nad jego trumną.

Emil zamknięty w swoim pokoju, z drżeniem słuchał tej burzy, usiłował się czemś zająć mocno, by jej nie słyszeć.

Zdawało mu się, że niebo grozi mu i grzmi nad nim. Usprawiedliwiał przed sobą swoje postępowanie wolą matki, która nie żyła z ojcem, wreszcie złem życiem ojca; ale się nie przekonał, nie uspokoił sumienia. W głębi mówił mu głos: nie kłam, ty nie przez

wzgląd na matkę wyrzekarz się ojca, ty się wstydzisz wobec ludzi przyznać do ojca żebraka i iść za jego trumną. Zosia nie przechodziła tych walk, ona była o wiele spokojniejszą, siedziała przy oknie z książką do nabożeństwa; rozmyślała jak jest nieszczęśliwą, jak straszną jest dola sieroty i zalewała się łzami. O ojcu ani pomyślała, bo ona nie miała serca, była tylko egzaltowaną, sentymenta jej były sztuczne, lub samolubne.

Na wieży odezwały się dzwony; Emil wstał i słuchał; jęk dzwonów powtarzał się echem w jego sercu, nie mógł dłużej wytrzymać, zerwał się, wziął za kapelusz i chciał wychodzić. We drzwiach stanął i zastanowił się.

— Tam będzie mój rywal Leon, który uragać będzie z syna żebraka, co śmiało oczy podnieść na hrabiankę. —

Rzucił kapelusz na ziemię i usiadł znowu. Grzmoty stawały się coraz częstsze i silniejsze, deszcz padał ulewny.

— Pewnie odłożono pogrzeb, na taki czas któżby szedł — perswadował sobie.

W tej chwili wężyk piorunowy zamigotał nad dachem kościoła przeciwległego i uderzył z hukiem w róg domu. Emil struchlał; drżącą ręką

podniósł z ziemi kapelusz i poleciał ku szpitalowi.

Pod bramą zastał kalekę żebrzącego. — Rzucił mu pieniądz.

— Nie wiecie kiedy będzie pogrzeb jednego ubogiego? — spytał nieśmiało.

— O, już chwila jak go powieźli na smętarz.

Emil pobiegł w tamtą stronę — zdyszany, zmęczony, zablocony, dogonił kondukt, gdy już wchodził na smętarz.

— Przecież — mruknął Wasyl. Postawiono trumnę nad świeżo wykopanym dołem, widok trumny podziałał na Emila, wyrzuty sumienia ruszyły go, zapłakał i objął trumnę rękami. Grabarze zakładali już sznury. Emila żal ogarnął za ojcem, którego nigdy nie widział.

— Otwórzcie, niech go zobaczę — prosił. Podważono łopatą i odjęto wieko. Na białej poduszce leżała głowa dziada wyschnięta, jak rzeźby gotyckie zapleśniałe; siwa, kędzierzawa broda sterczała do góry, na czole był mars, może z bólu przedśmiertnego, może z gniewu. W skutek przechylenia trumny podczas przenoszenia, głowa trupa przekrzywiła się na jedną stronę, tak, iż się zdawało, że trup odwrócił twarz od

syna. Tak i Emilowi się zdawało. Zaryczał z boleści i spuścił głowę na kolana.

— On mnie znać nie chce — on mnie przeklął może.

— On cię błogosławił — rzekł Leon — ten żebrak, któregoście wy się wstydzili, zostawił wam zapis majątku. —

XVI. ZEMSTA ŻYDA.

W kilka dni potem, z tego samego szpitala wywieziono na smętarz zwłoki szewca Jana. Umarł nieprzytomnie, powtarzając wciąż fatalne liczby loteryi. Kiedy wózek z trumną, z uliczki idącej od szpitala ku Strzeleckiemu ogrodowi, skręcał na główną drogę, prowadzącą do smętarza — tą samą drogą przed nim dwie wychudłe szkapy ciągnęły czarny wóz, w kształcie skrzynki, zamykany klapą z góry. Wózek ten wyprzedził o wiele orszak pogrzebowy i o wiele wcześniej stanął przed smętarzem. Dobyto z niego trupa, obwiniełego w słomę, wrzucono do dołu i

przysypano ziemią; nikt nie przeżegnał, nikt nie zapłakał, nikt nawet nie spytał: kto to? — Później dopiero Wasyl dowiedział się, że w dzień pogrzebu Jana, przewieziono także na smętarz, z gmachu kryminalnego, ciało jego córki. Zanim wysłędzono czy winna, czy niewinna — umarła. Wstyd, rozpacz i nędza dobiły dziewczynę, ofiarę książeńcych zachceń. Upadek moralny ją tylko dotchnął hańbą, nie dosięgając uwodziciela. Dziwny sąd świata. Książę Adolf ani domyślał się cierpień, których był sprawcą; posłał jej raz zapomogę przez jakąś dewotkę. Tekla nie przyjęła, dewotka osądziła za stosowne zatrzymać pieniądze dla siebie — książę więc o tem się nie dowiedział — zapomniał o niej, inne myśli zajmowały go teraz, sumienie nic nie wyrzucało.

A jednak bez powodu nie pokazałem wam bladej twarzy tej dziewczyny; nie na tom wprowadził ją w powieść, byście słyszeli parę jęków więcej, kilka westchnień, przelatujących w powietrzu. Książę zapomniał o takiej bagatelii, jaką był romans z biedną dziewczyną; dziewczyna umarła pod zarzutem zbrodni; przez mury kryminału do niczyich uszów nie doleciała jej skarga, może nawet umarła nie skarżąc się; a jednak krzywda dziewczyny zaciężyła niewiedomie nad

łosami księcia; uczuje ciosy, a nie domyśli się z kąd idą i za co, będzie się może skarżył że cierpi niewinnie, a skarga jego będzie bluźnierstwem. W życiu narodów i w życiu ludzi muszą być także zadosyćczynienia za przewiny; ludzie o nich mogą zapomnieć, nie zapomina przeznaczenie — opatrność.

Wnet to zobaczymy.

Teofil, brat Tekli, nic nie wiedział o śmierci siostry ani ojca. Od czasu jak go raz widzieliśmy pod oknami sali balowej, wyczekującego swojej Laury, dopiero teraz mamy czas i sposobność pomówić o nim. Teofil wciąż kochał się platonicznie i układał sonety. Życie takie mgliste i bez celu odwiodło go od surowej pracy, zaniedbywał się w szkołach, zaniedbywał w lekcjach — tak, iż przy końcu roku zmuszony był z braku funduszków i opieszałości w naukach porzucić szkoły. Zleniwił i zgnuśniał, i nie umiał się z tego wygrzebać. Podobny stan męczył go, czuł potrzebę pracy, a nie umiał się zabrać do niej. Widok ojca był mu ciągłym wyrzutem — ojciec wierzył, że on chodzi jak dawniej do szkół, że wnet będzie miał swój kawałek chleba i ojcu da pomoc — a on był niczem i w przyszłości miał być niczem. Kiedy pomyślał na chwilę, w której ojciec

dowie się o tem, strach go przejmował, chciał więc usunąć się z domu — zgodził się na lekcye na wieś i pojechał. Porzucił starego ojca bez żalu, bez myśli, że go zostawia w nędzy. — Teofil nie czuł sercem, jeno głową, fantazyja — a fantazyja chwyta rzeczy nie jak są, ale jak chce. Teofila drażniło położenie ojca, ale wyjechawszy, zapomniał o tem, tylko mu siostry czasami żal było. I na wsi nie dosiedział długo — tęsknota za Laurą ściągnęła go napowrót do Krakowa, nie pokazywał się jednak w domu — ubóstwo jego rodziny wstydziło go i odstraszało. Dostał się za diurnistę do urzędu; w dzień siedział w biurze, wieczorami wałęsał się koło okien ubóstwionej kochanki, a kończył dzień w piwiarni. Potem dowiedział się, że jego Laura zamąż poszła i wyjechała; począł wtedy rozpaczać, ale i rozpacz jego była równie mdła, jak była mdła i ta jego miłość; ten człowiek nie był zdatny ani do wielkiej zbrodni, ani do wielkiego bohaterstwa — w marzeniach robił się pogromcą świata, w życiu na mierny czyn się nie zdobył. W rozpacz za utraconą, błąkał się nad wodą z myślą samomójstwa, pakował w kieszenie trucizny, chował się w lasy, żegnał świat, płakał nad sobą mającym umrzeć — nie umarł przecież, brakło mu

odwagi. Skończył na tem, że się zaniedbał w biurze, w ubiorze, zbiedniał i marnił życie po kawiarniach, siedząc i gapiąc się na grających.

W takim stanie spotkał go raz Izaak. Wpatrującemu się w znędniałą i wyszarzaną postać swego dawnego kolegi, Żydowi przyszła myśl jakaś, od której twarz jego drgnęła i oczy się zaskrzyły. Wstał i zbliżył się do niego.

— Jak się masz Teofil? —

Teofil obejrzał się i przypatrywał się Żydowi trochę gapiowato.

— Nie poznajesz mnie? To ja, Izaak.

— A! jak się masz?

— Gdzież się ty chował tyle czasy?

— Nie było mnie w Krakowie. — Żyd siadł przy nim.

— Kelner — zawołał — dwie kawy i cygara, napijesz się ze mną. —

Żyd stawał się szczodry — Teofil skinął na znak, że się zgadza.

— I dawno wróciłeś?

— Nie dawno.

— Pewnie na pogrzeb ojca. —

Teofil spojrział na niego z zdziwieniem i przerażeniem.

— Jakto? ty może nie wiesz, że twój ojciec umarł?

— Nic nie wiedziałem — mruknął Teofil ponuro.

— Ani o siostrze?

— Cóż się z nią stało ?

— A to sławne — rzekł Izaak ironicznie — nie wiesz? Siostra twoja umarła w kryminale pod zarzutem dzieciobójstwa. Może czuła się winną, dla tego umarła. I to się dzieje. —

Teofilowi krew uderzyła do głowy, oczami błędnie, nieprzytomnie patrzył na Żyda, jak człowiek, co się w trumnie z letargu obudzi.

— I dawno to się stało? — spytał dziko, powoli.

— Przed tygodniem. —

Marzyciel ukrył twarz w dłonie i wsparty na stole, siedział nieruchomo. Wyrzuty, jak robactwo, obiegły jego sumienie i gryzły go. Żyd patrzył na niego i coś układał w głowie.

— Czy ty wiesz Teofil, kto ci uwiódł siostrę?

— Gdybym wiedział, zdusiłbym go — rzekł Teofil, uderzając pięścią w stół.

— A ja go znam. To książę Adolf.

— On? Zkąd wiesz o tem?

— Śledziłem go, widziałem go kilka razy wieczorem z twoją siostrą.

— Biedna Tekla! Oj mamy panów, mamy magnatów, znać ich, że są, znać ich po hańbie naszych sióstr, kochanek.

Jesteśmy dla nich, jak owce dla wilków, jak ryby dla szczupaków. Biedna Tekla, o, nie daruj! —

Żal za siostrą, wstyd, poczęły go rozpalać, marzyciel począł żyć.

— Cóż zrobisz?

— Pójdę do niego.

— Po co?

— Wyzwać i zabić.

— Mówisz po głupiemu — a jak on cię zabije? I to jeszcze pytanie, czy się zechce bić, czy cię nie każe wyrzucić, jak psa, swoim lokajom.

— Zobaczymy.

— Słuchaj Teofil, nie bądź głupi, ja ci dam inną radę. —

Tu przysunął się bliżej do niego i szeptał mu do ucha:

— Wyśledziłem, że książę chodzi na jakieś tajne schadzki z akademikami, oni coś przygotowują. Gdyby można wejść tam i zbadać rzecz. Mnie nie puszczą, mnie się boją, ale ty?

Teofil się oburzył.

— Szpiegiem być? — i spojrzał surowo na Żyda. Ten pobladł trochę.

— Na co szpiegiem? ty się zemścisz tylko. Co, ty myślisz, może dobrego wypaść z tych spisków, w które wchodzi książę — oni tam pewnie radzą tylko o tem, jakby im było dobrze a nam źle. A co to będzie za rokosz, widzieć jak żołnierze poprowadzą księcia, jaśnie oświeconego księcia do kryminału, ukłonimy mu się wtedy. —

Teofil począł się namyślać — chęć zemsty zaślepiła go.

— A jak z tego inni ucierpią?

— Zrobimy tak, że sam książę ucierpi, jego podamy jako głównego członka, już w tem moja rzecz. — No co? —

I znowu począł namawiać, przekonywać i bałamucić jego sumienie.

Żyd sprytnie ułożył plan zemsty; nie narażał siebie; boleści kolegi użył jako broni, którą miał ranić swego przeciwnika, a zarazem zjednać sobie pochwałę u rządu. Od dawna śledził księcia Adolfa i domyślał się, że należy do jakiegoś tajnego zgromadzenia, niebezpiecznego rządowi.

— Ha, Goimom zachciewa się Polski, sprzy

krzył im się ucisk obcych, chcą sami teraz uciskać — o! niedoczekanie ich. —

Rzeczywiście książę Adolf, od ostatniej rozmowy z Marynią, zbliżył się do Leona i Wasvła i wspólnie z nimi pracować zaczął — i odmienił całkiem życie. Unikał zabaw, porzucił rozpustne uciechy żokejklubu, który mamił czas i pieniądze na pohulanki i zbytki, z przekwitającymi pięknosciami wyższego świata, a noce spędzał na bahanaliach w mieszkaniu Józki, owej dawnej kochanki Emila — porzucił to wszystko, to było czeze, jałowe, brzydkie — a chwycił się z gorączkowym zapałem pracy, około odbudowania Polski — rzucił się w spiski, przygotowujące zbrojne powstanie. Leon oddawna należał do tego. On chciał spokojną, apostołską pracą rozbudzać coraz więcej ducha narodowego, podnosić moralność i patriotyzm; ale kiedy widział, jak złość ludzka targała jego pracę jak przędzę, i co chwila musiał zaczynać ją na nowo — zniecierpliwił się, w piersiach jego zbudziło się gorączkowe pragnienie przyspieszenia chwili odrodzenia za jakąkolwiek cenę. Upór i złość ludzi starych przemieniły go w rewolucjonistę — złączył się z Wasylem i wspólnie z nim zawiązali stosunki z emigracją i innymi uniwersytetami. Rozpoczęła się

praca rewolucyjna, propaganda czynnego wystąpienia, schadzki, stowarzyszenia. Teofil, jako znajomy ich, łatwo dostał się w ich kółko.

Izaak, jak pająk, gdy rozepnie sieci, przyczał się i czekał na skutek swych machinacji. Po tygodniu zeszedł się znowu z Teofilem, podług umowy. Tym razem przywitał Teofil Żyda zimno i trochę pogardliwie.

— I cóż? — spytał Izaak chciwie.

— Wyznałem im wszystko, odkryłem, ostrzegłem, aby się mieli na baczności przed tobą. —

Żyd odskoczył i spojrzał wybladły niedowierzająco na mówiącego.

— Co? — Teofil, czy ty zwaryowałeś? Ty puścił księcia z rąk.

— Tam był i Leon, ja nie mogłem patrzeć śmiało w twarz temu człowiekowi, mając zbrodnią w myśli. Wyznałem przed nim wszystko i powiedziałem : aby się przedemną strzegli. —

Żyd splunął z wściekłością.

— Głupi — i odwrócił się i odszedł od niego.

— Leon — mówił do siebie — znowu ten Leon pokrzyżował mi plany, wszędzie on stoi mi na drodze — trzeba go usunąć. I on jak i drudzy, i on Żyda parcha nienawidzi i całuje w twarz tego, co mnie shańbił — ja mu tego nie daruję.

Tak mówił do siebie mściwy Żyd, wracając do swego mieszkania, za synagogę. Po zabłoconych schodkach wszedł do szynkowni i zbliżył się do matki, szynkującej wódkę.

— Matko — odezwał się cicho po hebrajsku — gdzie jest Żelazny?

— W schowaniu — masz co do niego?

— Mam.

— Będzie tu wieczorem, jak się zmierzchnie. Żyd poszedł do komórki, dotykającej do szynkowni. W komorze nie było nikogo — trochę łachmanów leżało na ławie pod oknem, przy drzwiach stał klocek do rąbania drzewa. Żyd łąził po komorze, coś mówił do siebie głośno i układał. Spojrzał w okratowane okienko, na niebie już się zmierzchało, gwiazdy wybłyskiwały jedna po drugiej — Żyd się niecierpliwił od czasu do czasu niespokojne spojrzenie rzucał na drzwi.

Wreszcie się uchyliły, ktoś cicho wsunął się do komory.

— To wy Żelazny?

— Ja — odezwał się chropowaty, zachryply głos — a czego chcecie?

— Chodźcie bliżej. —

Żłódziej przystąpił bliżej, z nieufnością patrząc na Żyda. Nic się nie zmienił — tak samo na nim

teraz wisały łachmany jak przed kilkunastu latami, twarz się nie zmieniła, tylko jeszcze więcej spodłala — włos na głowie siwiał już. Żyd siadł na klocek drzewa i mówił:

— Żelazny, słuchajcie no, wszak wyście mieli syna ?

— A miałem.

— Nu, gdzie on się teraz obraca, nie wiecie?—

— A djabli go wiedzą, musiał wyjść na pana, bo się chował u bogatych ludzi.

— Żelazny, co wy mnie dacie za to, ja wam nastęcę dobry interes, ja wiem gdzie wasz syn.

— I co mi z tego przydzie, że wiesz. —

— On teraz żeni się z bogatą hrabianką. Żelazny, wy możecie dobry zrobić interes.

— Chyba okraść go.

— Tego wam nikt nie broni, ale jest pewniejszy interes. Słuchajcie no Żelazny, gdybyście wy poszli do tego hrabiego i powiedzieli mu, że to wasz syn, wy byście mogli wziąć dwie pieniądze za tajemnicę, bo przecie hrabia nie chciałby, żeby świat wiedział, jako on wydaje córkę za syna złodziejskiego. No, a co Żelazny.

— Hm, to by było nie źle, a jak nie da i wypchnie?

— Już on tego nie zrobi. —

Złodziejowi spodobał się projekt Żyda, wypytał się o mieszkanie hrabiego i nazajutrz poszedł tam. Dawno już nie byliśmy w pałacu hrabiego; wypadki polityczne i ważniejsze zdarzenia odwróciły od niego naszą uwagę, wśród smutnych tragedii nędzy i bóleści nie mieliśmy czasu zajrzeć do tego przybytku miłości i szczęścia. Dla Leona zakłopotanego tyłoma przykrościami, ta ustron była miejscem odpoczynku i wytchnienia — miłość goiła rany, jakie źli ludzie mu zadawali. Była to miłość cicha, spokojna, ale głęboka, bez piorunów i rozpacz, bez strasznych namiętnych pasowań się ducha; jedna z tych miłości, która się wcale nie przyda do efektowego romansu. Kochankom płynęły dnie prędko, razem układali plany przyszłego swego pożycia i cieszyli się tem naprzód — ślub miał się odbyć po skończonych rygorozach Leona. Hrabia patrzył na to i cieszył się szczęściem swojej córki, z Leonem projektował różne dobroczynne urządzenia, zakłady; a jednak mimo to hrabia nie był szczęśliwy, nie mógł się przyzwyczaić do swego nowego położenia. Świat wyższy patrzył na niego, jak na człowieka obranego z rozumu, że śmiało przekroczył święte jego prawa; ruszał ramionami i drwił —

hrabiego to bolało. Do tego nie trzeba zapominać, że to był człowiek urodzony i wychowany w przesądach kastowych; przez samo więc przyzwyczajenie przyłgnął do nich, a choć poszedł wbrew nim przez szlachetność serca, przecież nie mniej ofiara go bolała. Nie o takim szczęściu marzył dla swojej córki. —

Tak było aż do dnia, w którym wchodzimy znowu w dom jego. Hrabia siedział w swojej kancelaryi, Leon z hrabianką w salonie; trzymał ją za rękę i opowiadał jej szczegóły z Warszawy, które słyszał od naocznego świadka. Tego dnia był Leon w gorączkowym usposobieniu, jakieś złe przeczucie jak mgła zasłaniało mu wesołe myśli o szczęściu. —

— To dziwna rzecz — mówił do Heleny — tak się dziś czegoś boję, tak drzę czegoś, tak mi czegoś smutno — i tęsknie spojrzął na nią, jakby ją żegnał.

— To przejdzie mój drogi, ja sama nieraz... Nie dokończyła, wejście hrabiego przerwało jej słowa.

— Dzień dobry Leonie. Wyobraź sobie, jakiś włóczęga, złodziej, od paru dni nachodzi mnie utrzymując uparcie, że jest twoim ojcem; za dochowanie tajemnicy żądał odemnie wynagrodzę

nia. Kazałem go wyrzucić wczoraj, dziś wrócił znowu. Przyprowadzą go tutaj wnet — wobec ciebie może nie będzie tak bezczelnie kłamał. —

Leon zachwiał się i pobladł, ścisnął hrabiankę za rękę i oparł się o stół — sił mu brakowało ustać, utrzymać się na nogach. Okropna chwila nadeszła dla niego, całe jego szczęście, dobre imię zależało od jednego słowa; nie miał odwagi wymówić tego słowa, milczał i patrzył z przerażeniem we drzwi, które miał wejść włóczęga.

Wszedł Żelazny, prowadzony przez lokai; syn i ojciec spojrzeli na siebie, stary złodziej zmięszał się i zakłopotał w salonie — nastąpiła chwila strasznej ciszy, hrabianka i jej ojciec patrzeli w twarz Leona czekając zaprzeczenia — twarz jego była blada jak krzyże na całunie — Leon pasował się strasznie — kłamstwo mogło go ocalić, uwierzonoby mu bez wątpienia — nie miał odwagi skłamać — słowa ojca Adryana stanęły przed nim i pogroziły mu. —

— Panie hrabio — rzekł ledwie dostyszczanym głosem — ten człowiek nie kłamał, to mój ojciec. Hrabia osłupiał z przerażenia.

XVII. PO KATASTROFIE.

Leon przyznając się do ojca złodzieja, zadał stanowczy cios swoim nadziejom ; runęły , rozsypały się w gruzy u nóg jego, stał wśród nich z twarzą bolesną męczennika. Zemsta Żyda nie dosięgłszy księcia, w jego uderzyła głowę. — Złączenie się z człowiekiem, na którego głowie ciążyły winy jego własne i winy przeszłości, było zgubą dla niego. Hrabia z oburzeniem wyrwał córkę z jego ręki i znaczącym pogardliwym ruchem drzwi mu pokazał. Leon ze spuszczoną głową opuścił pałac i dowlókl się do domu. Dzień ten i noc następną przeleżał w gorączce. Wasyl zatworzony o niego, przesiedział tę noc przy nim bezsennie. Trzeciego dnia Leon był już zdrowszy, tylko mocno osłabiony. Koło południa jakaś dziewczyna przyniosła list do Leona. List był od hrabianki Heleny w tych słowach: „Leonie! Postąpiłeś sobie szlachetnie, przyznając się do ojca swojego; gdybyś inaczej zrobił nie mogłabym cię szanować, jak teraz szanuję

i wielbię. Nie wiem dla czego ojciec mój inaczej myśli i z pogardą mówi o tobie. Chce wyjechać ze mną ze granicę. Leonie! czuję, że nie będę mogła być mu posłuszną, bez ciebie nie odjadę — nie mogę odjechać. Aby być razem z tobą gotowani wiele, wiele zrobić, nawet iść wbrew woli ojca. Leonie! rozkazuju!" —

Podczas czytania listu łzy błysnęły w oczach Leona, gdy skończył spuścił rękę z listem na poduszkę i szepnął. —

— Zaczna dusza — potem westchnął głęboko i dodał: — I to wszystko trzeba będzie porzucić.

— Co ci Leonie? — spytał Wasyl, patrząc z współczuciem i wzruszeniem na niego — ja tego wszystkiego nie rozumiem.

— Później ci to powiem, dziś nic mogę. Zapatrzyłem się w światłość — teraz zagasła, i jest mi ciemno, strasznie ciemno Wasylu. —

Kiedy Leon tak skarżył się Wasylowi, po mieście rozchodziła się szybko wieść o wypadku w pałacu hrabiego; złośliwe języki przerabiałały według swej fantazyi i podawały dalej — znajomi Leona wstydzili się teraz przyznać do niego, byli

zgorzzeni, że tak długo obcowali z synem złodzieja, że go tak szanowali. Jego cnota wydawała im się teraz obłudą, udaniem — miłość

ku milionowej hrabiance podawała w podejrzenie jego szlachetność: zgoła wszystko złe przypisywano temu, w którym nie dawno widziano wszystko dobre. Ludzie chętnie rzucają się na wielkości, co im imponowały; zbyt światło razi ich i radzi łąż jak robactwo po strąconych z piedestałów posągach. — Byli wprawdzie i tacy, którzy sumiennej zastanawiając się nad tem, osądzili, że Leon postąpił godnie, że syn nie może odpowiadać za winy ojca, że właśnie powinno mu się liczyć za zasługę wygrzebanie się z błota do tak pocziwego życia — ale i ci ludzie stronili od niego, bo wstyd nie pozwalał im dotknąć się ręki syna złodzieja. —

— Syn złodzieja, pfe! — mówił z obrzydzeniem książę Adolf, gdy się o tem dowiedział — i nie mógł sobie darować tego, że z tak podłym indywiduum się bratał, że z nim wszedł w związki pewne — teraz stanowczo je potargał. Książę był z tych ludzi, którzy żywo i gwałtownie przyjmują wrażenia; nie lubiał zgłębiać, badać, rozsądzać, brał rzeczy jak go uderzyły. Szlachetna dusza jego oburzała się na każdy występki — słowo: „złodziej” przejmowało go obrzydzeniem; syn złodzieja był dla niego coś paskudnego, czego się dotknąć nie można — i nie dziw, książę

że wierzył że złe i dobre idzie rodami i jest dziedziczne — tak go nauczono.

Nieszczęście chciało, że gdy Leon pierwszy raz po słabości wyszedł z domu ku Zwierzyńcowi — na plantacyach spotkał się z księciem Adolfem oko w oko — Leon cenił szlachetność księcia, to też ucieszył się z spotkania go i uśmiechem uprzejmym witał nadchodzącego. Książę poznawszy go, spojrzawszy pogardliwie i odwrócił się.

Ta pogarda zabolęła Leona bardziej niż wszystkie złośliwe mowy, którego dochodziły — z rezygnacją zniósł upokorzenie i poszedł w stronę ku Bielanom.

Wracamy więc znowu do pustelni bielańskiej — tą razą z podwórca wejdziemy wprost do kościoła. Po obu stronach wielkiego ołtarza jest marmurowa balustrada i kamienne schody prowadzą na dół do chóru i katakomb. Sklepienie chóru podpierają dwa filary, rzucając mocny cień na podłogę — w około ścian ławki i pulpity, na których rozłożone księgi. Wilgotny chłód był w tem podziemiu. — Po prawej stronie jest wejście do katakomb — przez które widać ciemne półkoliste otwory grobów, lub napisy czarne na białej ścianie. U wejścia jest napis:

Groby, co widzisz gościu rozdzielone.
Schody do nieba rozumiej złożone;
Nie niższe nad te są gradusy górę.
Tylko przez śmierci żalobną figurę.

Po nad tem stoi:
Corpora ipsorum in pace sepulta sunt.

W katakombach, przed świeżo zamurowanym grobem, klęczał mnich z księgą w ręku i modlił się — to był ojciec Adryan — modlił się za brata niedawno zmarłego, którego cęła dotykała do jego cęli. Nieraz ojciec Adryan słyszał ciężkie westchnienia jego, z nich dorozumiał się, że on cierpi i przyłgnał do niego. Dziś już nie cierpiał, wsunięto go w czarny otwór w murze, zamurowano i na świeżo pobielonej ścianie napisano:

R. P. Bruno.
Erem. Cam. m. c. Prof. M. A.
aetatis suae .
Relig. vero ., obiit . Julii A. D. . Requiescat in pace.

Ojciec Adryan wpatrywał się w czarne litery, jedyne świadki, że ten człowiek żył kiedyś i zadumał się nad nie rozplątana, nie odgadniona

zagadką śmierci. Łoskot kroków po kamiennej podłodze, zwrócił jego uwagę — po chodzie poznał, że to nie żaden z zakonników, podniósł się więc i chciał się usunąć do swej celki przed okiem ludzkim, gdy u wejścia spotkał się z Leonem.

— Leonie ! dziecko moje — rzekł wzruszony mnich, tuląc go w swoje objęcia — katakumby dziko, posępnie, powtórzyły te jego słowa.

— Co się z tobą działo Leonie, tyś tak wynędzniał, pomizerniał, czy chorowałeś?

— Stało się ojczę, czego się bałem zawsze. — Tu opowiedział mnichowi dzieje swoje; gdy skończył, spuścił zmęczoną głowę na piersi mnicha i oddychał ciężko. — Mnich przytulił go jak matka, smutnie i miłośnie patrzył w twarz młodego męczennika i milczał — milczeniem uszanował jego boleść. — Po długiej chwili dopiero odezwał się ze słowem pociechy: Przeczuwałem to i bałem się tego, że ci kiedyś przyjdzie odpokutować nie za własne winy. Ha! darmo! Dzieci po rodzicach oddziedziczają choroby, majątki — i hańba ojców dziedziczną się staje, póki za nią nie odpokutują potomki. Narody i ludzie idą nieraz przez takie czyście!

— Leonie, przenieś to mężnie; będzie to naj

piękniejsze twoje zwycięstwo. Bohaterowie, co krwią i mieczem pisali swoje imiona w historii, leżą już w grobach — dziś czas na nowych bohaterów, bohaterów ducha. Kto więcej cierpi, więcej ukocha, więcej przebaczy — ten będzie większym — w Chrystusie. Słowa te już przed dziewiętnastu wiekami słyszał świat, ale potem złość, głupota i przewrotność, przysypały te słowa śmieciem; trzeba je teraz dobywać, odkopywać — i to co było krzewione mieczem i ogniem, rozszerzać słowem miłości i dobrymi czynami: trzeba nanowo rozpowszechnić Chrystyanizm. Na takie apostołstwo nie dosyć święceń kapłańskich, trzeba się uświęcić tu — rzekł, pokazując na serce — kto tu czuje ogień święty, niech działa i naucza.

— Pracowałem, ile sił starczyło, i jedna chwila stargała moją pracę i zniweczyła.

— Nie mów tego Leonie, w świecie nic marnie nie ginie — ziarna, co burza rozmiata, nasiona, które woda ponosi, nie giną, gdzieś padają, osiadają i rosną. Żadne słowo ludzkie, rzucone między ludzi, żaden czyn, nie giną marnie i kiedyś będzie z nich owoc. O to się nie bój. Jednej tylko obawiam się rzeczy — upór starszych i ich zła wola roznamiętniły młodych, rozgorączkowały ich — aby skończyć raz walkę z własnymi, któ

rzy jak krety ryją pod nimi: młodzi zechcą przyspieszyć wybuch, a to będzie zgubne — braknie im cierpliwości i wytrwania, nie obrachują się i będzie źle. Starzy odpowiedzą za to przed dziejami i przed sumieniem. Przeczuję straszne rzeczy. — Ha, darmo, co się stanie, stać się musi. Klęski narodów mają swój cel i swoje przyczyny. — Tu mnich zapatrzył się gdzieś daleko w przyszłość, jakby coś czytał — wyglądał jak prorok w tej chwili. — Potem przyszedł do siebie:

— I cóż zamýślasz robić? Tu zostać niepodobna, tu zamknięto ci wszystkie drogi.

— Wyjeżdżam do Warszawy.

— Kiedy?

— Jeszcze nie wiem, mam jeszcze ważną rzecz do załatwienia; idzie tu o los sierot, które okradziono z majątku — ojciec ich umierając, zostawił mi skazówkę, gdzie szukać tego, co ich skrzywdził — ale dowodów mam mało, cała nadzieja w sumienności tego człowieka, a on nie ma sumienia.

— Znasz tego człowieka?

— Książe Ireneusz.

— Co? książe Ireneusz?

Błada twarz mnicha oblekła się w szkarłatny rumieniec.

— O jakim zapisie mówisz?

— Który matka jego zrobiła w Paryżu.

— Na rzecz wydziedziczonej córki — prawda? — rzekł ojciec Adryan pospiesznie.

— Tak.

— I ten majątek nie dostał się jej?

— Nie, sieroty po niej żyją w ubóstwie.

— Daj mi twój skrypt, uproszę przełożonego. Może więcej będę mógł zrobić w tym względzie, niż ty — znam tę sprawę, ów zapis miałem w rękach. —

Na drugi dzień przed pałacem księcia zatrzymała się bryczka, z niej wyszedł mnich z bielańskiego klasztoru i kazał odźwiernemu zameldować się księciu.

— Laudetur Jesus Chrystus.

— In secula..... czemuż mogę służyć? —

spytał książe Ireneusz.

Mnich od drzwi postąpił na środek pokoju.

— Książe mnie nie poznajesz? — Jestem Zygmunt, dawny nauczyciel twego syna.

Książe Ireneusz zmieształ się trochę. — Adolf siedzący w drugim pokoju, z książką w ręku, przez uchylone drzwi słyszał rozmowę — ostatnie

słowa poruszyły go na stołku — wstał i przystąpił ku drzwiom.

Dziwne uczucie ogarnęło go, patrząc na tego człowieka, o którym niejasne wspomnienie nieraz przewijało mu się po głowie; ze złością i radością patrzył na tę posagową twarz, na czoło, pełne szlachetności i myśli — od tego białego mnicha czuć było ducha, co w nim drgał.

— Nie bój się książe, nie przyszedłem wyrzucać ci tego, coś zrobił ze mną, ja ci to już dawno przebaczyłem.

Przyszedłem tylko spytać się, co się stało z majątkiem, który matka twoja kazała ci oddać twojej siostrze? —

Książe zbladł, grzechy, o których zapomniał, zmartwychwstały i poczęły mu grozić. Książe odebrał od matki powtórny testament, nakazujący równy podział majątku w czasie, gdy jego interesa jak najgorzej stały; zatarł go więc, odkładając wynagrodzenie siostry na później. Później trudno mu było zdobyć się na to, nie chciał umniejszać fortuny) którą chciał wzbogacić syna, jedyną swoją nadzieję, jedyną dumę swoją. — Teraz zrozumiemy, dlaczego książe znosił cierpliwie w domu swoim sieroty do jakiegoś czasu — skrupuły sumienia, obawa obmowy, skłaniały go do tego; w ostatku i na to nie zważał: wy

dał je całkiem i zapomniał o nich. W chwili, gdy się czuł w tym względzie zupełnie spokojnym, mnich, jak głos sumienia, zjawił się przed nim. Książe, w miarę im bardziej czuł się winnym, stawał się bezczelniejszym.

— Kto mu dał prawo wglądać w moje rzeczy?

— Mówię w imieniu sierot, które książe okradłeś z majątku. —

W drugim pokoju coś stuknęło; książe Ireneusz, zmieszany śmiałością mnicha, nie słyszał tego łoskotu. To książe Adolf upadł na stołek. Okropna przepaść rozwarła się przed okiem młodego księcia, dowiedział się o strasznej tajemnicy — że jego ojciec zbrodniarzem — złodziejem. Z przerażeniem, z oczami na wierzch wyszłemi słuchał i cierpiał cały. Przypomniawszy sobie Leona — on odtrącił tego człowieka, pogardził nim, bo był synem złodzieja. — A. czemuż był jego ojciec? —

Książę zerwał się jak zwierzę raniony, szarpał włosy, rozpiął koszulę; było mu duszno — wśród ciszy słysząc było jego ciężki, przyspieszony oddech, oparł się o ścianę i słuchał dalej. —
— Jakie macie dowody? — spytał znowu książę Ireneusz. —

— Książę, twoje sumienie powinno ci dać dowód.

Książę się rozśmiał obrzydliwie. —

— Jeżeli innych nie macie — to źle.

— Są. Jest przedśmierne zeznanie ojca sierot, który był przy ostatnich chwilach starej księżnej w Paryżu i którego podpis jest na testamencie. —

— Na jakim testamencie?

— Książę nic kłam — rzekł mnich oburzony podnosząc głos — ja sam testament ów miałem w rękach, twoje listy szły wtedy na moje ręce.

— To nie dowód. —

— W drugim pokoju łoskot się powtórzył, książę Adolf zerwał się nieprzytomny, i poszedł do biurka, po drodze zawadzał o stołki — szedł jak człowiek w ciemnościach, usiadł przy biurku i coś spieszenie pisał. Potem wyjął kluczyk i wsadził go w otwór szkatułki podłużnej stojącej na biurku. —

— Ja będę świadczył — zawołał mnich. —

— Twoje świadectwo nic nie znaczy — odparł książę Ireneusz, tyś był pod śledztwem, siedziałeś w kryminale. A zresztą nikt nie wie o tem — kto mi co zrobi — ? — pytał urągając.

— P>óg! — rzekł mnich uroczyście. —

W tej chwili w drugim pokoju rozległ się

strzał. Książę Ireneusz zerwał się i pobiegł tam — syn jego leżał na ziemi i tarzał się we krwi. Ojciec schylił się ku niemu ratować, tamować krew — konający ostatkiem sił wyrwał mu się z rąk i odwrócił od niego.

Na biurku młodego księcia znaleziono potem kartkę tej treści:

„Nie chcę żyć dłużej szanujcie pamięć moją i spokój mej duszy oddajcie skradziony majątek sierotom.”

Jeszcze jedna odsłona — na zakończenie. Mały obrazek. —

pokoik nie duży — w nim Emil siedzi oparty chmurny, posepny patrzy w ziemię, obok niego stoi Leon w podróżnym ubraniu i podaje mu jakieś papiery.

— Emilu, spełniam zlecenie twego ojca, oto skrypt księcia, który przyznaje wam majątek.

— A kto mi wróci tę, którąś mi wydarł podstępem? — spytał Emil gorzko.

Leon spojrział na niego pytająco.

— Udajesz, że nie rozumiesz? Tyś wysłuchał moich serdecznych zwierzeń, tyś wiedział jak ja

ją kochałem i poszedłeś tam i podstępnie zyskałeś jej serce. O! to było godne ciebie — i twego pochodzenia.

— Emilu, Emilu — rzekł głosem rzewnym — jak ty mnie ranisz, a jam cię tak kochał!

— Ty? — Emil się rozśmiał ironicznie — Leon wyjął z zanadru list jakiś i podał mu go — list był w tych słowach:

„Heleno! Dałaś mi twój szacunek dla tego, że się nie zapał mojego ojca, a chcesz podeptać wolę twójego. — Heleno! za takie nieuszanowanie woli ojcowskiej karze Bóg. Pisząc ci to, zabijam całe moje szczęście, a jednak nie mogę przecie inaczej. Heleno! zdobądźmy się na odwagę i poświęćmy własne szczęście dla drugich; taka ofiara nas podniesie i da pociechę jaką mieli męczennicy.”

„Ten, który ci ten list odda, kochał cię i kocha, dla ciebie zrobiłby wszystko, poświęciłby wszystko. — Heleno! szkoda, aby ten człowiek zmarniał— resztę zostawiam twemu sercu. Bądź zdrowa —

Leon.”

Emil szybko przebiegał oczami list, z każdym wierszem twarz jego się rozjaśniała, w oczach

zbierały się łzy; gdy skończył, rzucił się do nóg Leona.

— Leonie, przebacz mi — prosił łkając — jam nie zasłużył na to, coś ty dla mnie uczynił

— Zostawiam ci — mówił Leon głosem rzewnym — to, co miałem najdroższego tutaj

— ją i prace moje zaczęte — nie opuszczaj obojga. — Bądź zdrow i szczęśliwy!

Tego samego dnia Wasyl i Leon wyjechali do Warszawy dwaj bohaterowie późniejszych czasów i dwaj męczennicy za wolność!

Skończyłem w Paryżu d. . Października r.

ELPIDON.